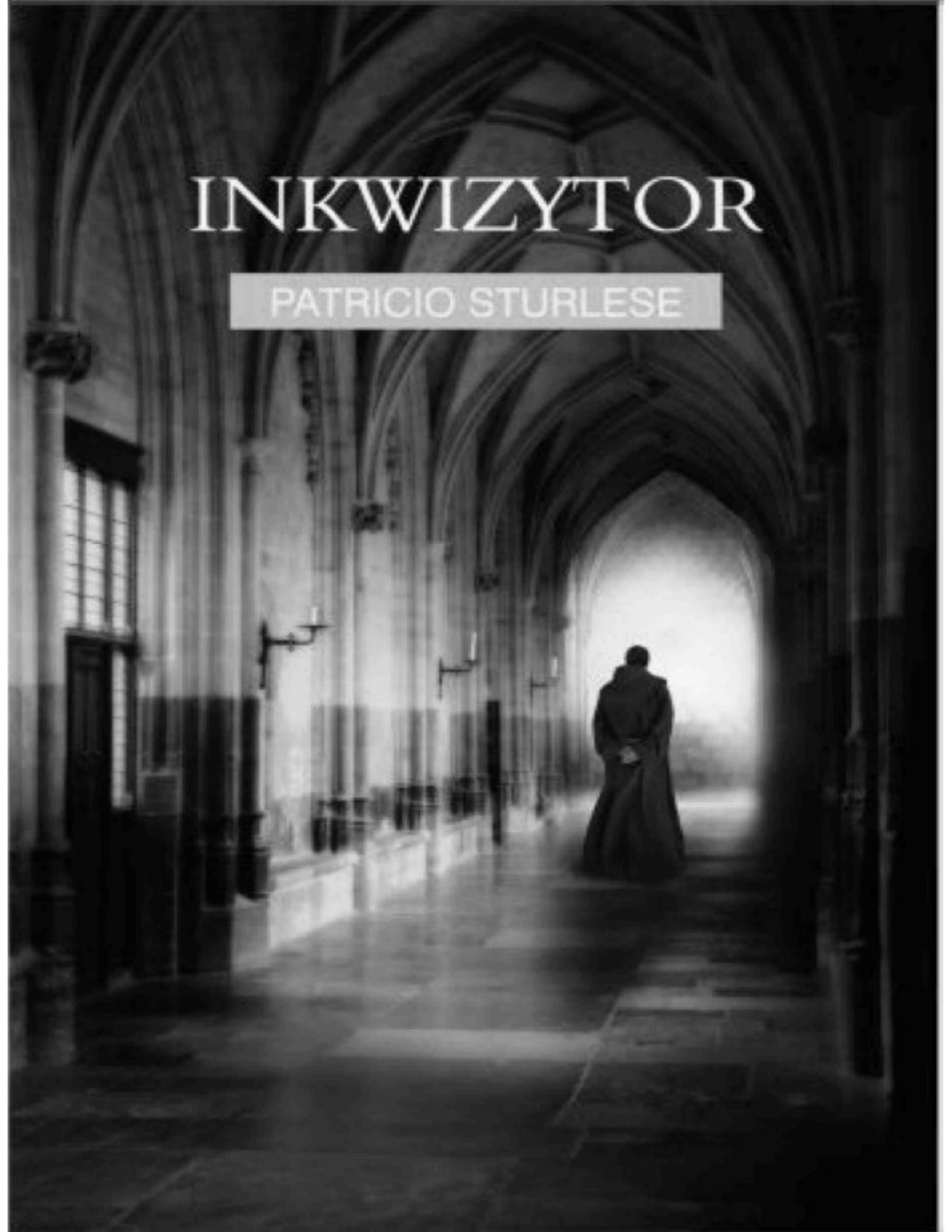


INKWIZYTOR

PATRICIO STURLESE



PARTICIO STURLESE

Inkwizytor

Jesienią 1597 roku inkwizytor Angelo DeGrasso zostaje wezwany do Watykanu. W obecności Ojca Świętego, papieża Klemensa VIII, otrzymuje misję odnalezienia śmiertelnie niebezpiecznego tekstu, jedyne ocalałego egzemplarza „Necronomico-nu” – szatańskiej, zakazanej przez Kościół księgi zawierającej tajną wiedzę astrologiczną. Tylko heretyk Eros Gianmaria od czterech lat więziony w lochach Genui wie, gdzie została ukryta. Stosując tortury, DeGrasso poznaje lokalizację kryjówki, ale „Necronomiconu” już tam nie ma – zniknął. Według Świętego Oficjum ten, kto wejdzie w posiadanie dokumentu i zdoła prawidłowo odczytać zaklęcia, będzie mógł stworzyć na ziemi królestwo Szatana. Z tajnym zadaniem od Superiora Generalnego Inkwizycji DeGrasso udaje się na pokładzie hiszpańskiego galeonu do Nowego Świata – osady franciszkanów koło Asunción. W czasie rejsu dochodzi do serii tajemniczych zbrodni. Wokół inkwizytora zagęszcza się sieć intryg. Angelo stopniowo odkrywa prawdziwą rolę, jaką mu wyznaczono w tej grze. Do wyścigu o wielką wiedzę i władzę stają przedstawiciele loży masońskiej Corpus Carus, rodziny Medyceuszy oraz członkowie tajnej sekty czcicieli diabła z Wielkim Czarnoksiężnikiem na czele...

Pozwólcie heretykom przyjść do mnie.

Z nimi uczynię piekło.

PROLOG

ŁOWCY CZAROWNIC

Upłynął wiek, odkąd sprowadzeni z Ferrary benedyktyńscy mnisi opuścili parafialny kościół w Portomaggiore. Ograbiony z wszelkich ozdób jeszcze tego samego dnia, kiedy go zdesakralizowano, zachował z dawnej świetności jedynie kilka fresków. Obok głównego ołtarza, w miejscu, gdzie dawniej znajdowała się wspaniała marmurowa chrzcielnica, w słabym świetle kaganka zakapturzona postać obmacuje drżącymi rękami resztki posadzki. Jedna płytką się poruszyła. To tutaj.

Gaśnie oliwny kaganek. Ciemności nocy spowijają kościół. I to, czego tak zazdrośnie strzegł.

W nerwowym pośpiechu kobieta kreśli na cienkiej, pożółkłej kartce papieru ostatnie linijki listu. Z leśnej gęstwiny dobiega daleki jeszcze jazgot brytanów; kobieta boi się tych odgłosów, więc jak najprędzej kończy i podpisuje:

ISABELLA, czarownica i świadek Szatana, październik 1597 roku

Szczekanie psów dochodzi coraz wyraźniej i słyhać już głuchy tętent koni: przez czarny las przedzierają się jeźdźcy.

Wkrótce tu będą. Isabella prostuje się i patrzy przez otwór w kryjówce. Nie widać ich, jeszcze ma czas. Biegnie do drzwi, zamyka je na skobel, gasi wąż światła jedynej świeczki, w ponurej ciszy bierze zapisaną kartkę, składa w małą kostkę, podnosi spódnice i wsuwa palce między nogi głęboko, coraz głębiej, jak robiła to w czasie orgii, żeby się podniecić. Serce zaczyna bić szybciej, jak wtedy kiedy czuła zbliżającą się rozkosz, ale teraz nie jest tak samo. Czuje zwierzęcy strach przed jeźdźcami nocy. Przykucnęła w kącie i czeka.

Psy przestały ujadać. Jeźdźcy są już w progu.

Isabella nic nie słyszy. Nic. Nagle drzwi wylatują z zawiasów, głośny huk rozsadza gęstą ciszę. Wchodzą jeźdźcy, siedmiu postawnych, zakapturzonych mężczyzn. Szukają jej z pochodniami i od razu znajdują, gdy próbuje się podnieść.

–Czego chcecie? – jęczy wyprostowana. Nikt nie odpowiada. – Jeśli chcecie się zabawić, dobrze trafiliście – dodaje, miętosząc koszulę na obfitych piersiach, które wysunęły się z rozpiętego wcześniej gorsetu. – Kto pierwszy posmakuje tych delicji?

Isabella odsłania jedną pierś i podsuwa wyzywająco w stronę mężczyzn. Ciemny sutek sterczy kusząco, twardy jak dojrzały żołędź. Jeden z jeźdźców, ten najwyższy, ściąga kaptur i obchodzi ze światłem wszystkie kąty kryjówki. Ma jasne wąsy, brodę i włosy, ściągnięte w dwa długie warkocze. Jego niebieskie oczy są tak jasne, że aż przezroczyste. Przysuwa światło do czarownicy.

–Co? Ty będziesz pierwszy... wikingu? – szepcze kobieta, uśmiechając się lubieżnie.

–Isabella Spaziani? – pyta mężczyzna. Ale nie otrzymuje odpowiedzi. – Nazywasz się Isabella Spaziani? – nie ustępuje jeździec.

Czarownica przygląda mu się z ciekawością i ryzykuje pytanie.

–Kto pyta...? Czyżbyś był... czarownikiem...?

–Ty jesteś Isabella Spaziani? – powtarza spokojnie.

–Być może...

Isabella zawahała się i to wahanie zawiera milczące potwierdzenie, wobec czego jeździec odwraca się do swych towarzyszy, kiwa głową i oddaje im pochodnię, a sam rozsuwa pelerynę. Czarownica uśmiecha się; najwyraźniej ci mężczyźni przyszli tylko po to, żeby się zabawić. Ale spod fałd peleryny wylania się nie to, czego się spodziewała, tylko kusza, nakierowana prosto na nią.

Jeździec ma lodowaty wzrok, mierzy do niej jak do tarczy i strzela bez litości. Stalowa strzała przeszywa uśmiech Isabelli, wybija część zębów i leci dalej, aż rozwała czaszkę. Czarownica instynktownie podnosi ręce, jakby chciała zasłonić usta i pada na podłogę. Dłonie ma całe we krwi, która tryska nieprzerwanie z gardła. Mężczyzna obserwuje uważnie agonię Isabelli, popycha nogą nieruchomą głowę, by upewnić się, że już nie żyje. Krew czarownicy powoli i nieprzerwanie spływa na podłogę.

Jeźdźcy przetrząsnęli kryjówkę, znaleźli starą magiczną księgę i zniknęli w czarnej nocy pośród mgieł spowijających genueńskie lasy, tak samo nagle, jak się pojawili; odprowadzało ich warczenie brytanów, spowodowane nie truchtem koni w leśnych ostępach, tylko czymś, co wyczuły w powietrzu. Była to zapowiedź czegoś złowieszczonego.

W Bazylice Świętego Piotra jeden z kardynałów Świętego Oficjum zwalnia kroku. Jest późno. Długo wpatruje się w starą rzeźbę z czarnego brązu, przedstawiającą świętego Piotra, jakby chciał prosić go o pomoc. Ma złe przeczucia. Wie, że Wielki Czarnoksiężnik znów zwołuje swe hufce.

Demon został uwolniony.

I

RYCERZ ŚWIĘTEGO ZAKONU

i

Wikariusz Chrystusa obserwował mnie z naprzeciwka w głębokim milczeniu. Na jego dłoni widniał Pierścień rybaka. Miał twarz jak starzy, zmęczeni mężczyźni, którzy żeglują po wzburzonych morzach i raz po raz zarzucają sieci bez rezultatu. Czasy były trudne dla wiary. Okręt Kościoła przemierzał wśród spienionych fal niespokojny ocean Renesansu, a Najwyższy Kapłan sterował nim tak, żeby nie rozbić się o Reformację i herezję.

Klemens VIII i Superior Generalny Inkwizycji, kardynał florencki Vincenzo Iuliano, poinformowali mnie przed chwilą, dlaczego zostałem wezwany do Rzymu. I choć nie dowiedziałem się wszystkiego, co uważałem za konieczne, informacje te wystarczyły, aby

zaplanować moją najbliższą przyszłość. W tym momencie zrozumiałem, że wybrała mnie jedna z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych kongregacji na świecie, która udzieliła mi pełnomocnictwa na piśmie, jakie posiada niewielu inkwizytorów. Święte Oficjum Kościoła Powszechnego, którego jestem sługą i sędzią, wskazało na mnie.

Wezwano mnie do apartamentów papieża na audiencję prywatną dwudziestego drugiego listopada roku Pańskiego 1597.

Sykstus V i Klemens VIII kolejno zajmowali te cudowne komnaty, które niezrównany Rafael pomalował dla Juliusza II, papieża wojownika. Trudno było oderwać wzrok od fresków na ścianach, ukazujących poprzez różne sceny z Pisma Świętego, że Bóg stał zawsze przy swym Kościele, bronił przed zagrożeniami i pomagał niedowiarkom odzyskać i umocnić wiarę. Był tam anioł, uwalniający świętego Piotra z więzienia, i hostia z Bolseny, która spłynęła kroplami krwi, aby udowodnić wątpiącemu kapłanowi, że przeistoczenie nie jest li tylko piękną metaforą. Byli Piotr i Paweł wspierający papieża Leona w działaniach mających zapobiec inwazji Attyli na Italię, i Heliodor, który chciał ukraść skarb ze świątyni Salomona, ale wypędził go stamtąd boski jeździec.

Było tam też lustro, a w nim wychudłe, surowe oblicze, nieco podstarzałe (bo minęła mu już trzydziestka i napatrzyło się na wiele różnych rzeczy), lekko przerzedzone kasztanowe włosy i oczy w ciepłym kolorze skryształizowanego miodu, co trochę łagodziło ich ostry wyraz. Oblicze Angela DeGrasso. Moja twarz.

Oderwałem wzrok od lustra i zbliżyłem się do miejsca, gdziej czekali już na mnie papież i Superior Generalny Inkwizycji. Iuliano wskazał mi gestem, że mam zająć jedno z pustych krzeseł naprzeciwko nich. Po krótkim kurtuazyjnym wstępie przeszliśmy do głównego tematu rozmowy.

–Bracie DeGrasso, śledzimy z bliska twoją pracę Inkwizytora Generalnego Ligurii – rozpoczął kardynał niskim, znie-j walającym głosem, kierując na mnie swój badawczy wzrok – i stwierdzamy, iż wśród powierzonych ci procesów jest jeden, bardzo szczególny, który przykuwa naszą uwagę: proces here-j tyka Erosa Gianmarii – przemówił Iuliano, a papież obser-| wował nas w milczeniu.

–Wkrótce miną cztery lata, odkąd Gianmaria jest w więzieniu, z czego tylko rok pod moją jurysdykcją – odpowie-j działem, patrząc na nich ze zdziwieniem. – Niewiele nowego'

mam do powiedzenia, bo więzień jeszcze nie stanął przed trybunałem.

–Nie chodzi o nowe rzeczy – odrzekł kardynał – tylko

o coś, co heretyk od początku ukrywa i wciąż nas zwodzi pokrętnymi zeznaniami.

–Co takiego? – spytałem zaskoczony.

–Więzień, którego trzymasz w zamknięciu w Genui, zdołał omamić Inkwizytora Generalnego Wenecji i, jak się zdaje, to samo robi teraz z tobą.

–Żaden heretyk nie wyjdzie z podniesioną głową z mego śledztwa, a tym bardziej z mojego więzienia – odparłem uniesiony pychą. – Jakież to sekret ukrywa Gianmaria tak dobrze, że Wasza Eminencja nie znalazł go w aktach sprawy?

Kardynał Iuliano pogłaskał powoli wiszący na szyi krzyż. Podniósł głowę i patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, szykując się do odpowiedzi, ale nie on mi jej udzielił, tylko ktoś obcy, kto dyskretnie wszedł do sali i stał za moimi plecami.

–Heretyk Gianmaria ukrywa księgę.

Nowo przybyły postąpił naprzód kilka kroków w stronę papieża i usiadł po jego lewicy. Miał ostrą twarz z orlim nosem

1 wąskimi, posiniałymi jak u trupa wargami, poprzecinaną głębokimi zmarszczkami, pełną egzaltowanej determinacji. Nie rozumiałem, czemu przypisać jego obecność, i ta wątpliwość odbiła się na mej twarzy. Iuliano nie kazał mi długo czekać na wyjaśnienia.

**–Bracie DeGrasso, pozwól przedstawić sobie mnicha Darko – kardynał wskazał na przybysza.
– To Mołdawianin, który służy naszemu Kościołowi.**

–Bądź pozdrowiony, bracie w Chrystusie – rzekłem, pochylając głowę. Koścista twarz mnicha poruszyła się w niewyraźnym uśmiechu. – Wybacz mi niedyskretną ciekawość, ale dziwi mnie bardzo twój strój. Wszak służyysz naszemu Kościołowi, jak stwierdził Jego Eminencja, a nosisz habit mnicha prawosławnego.

–Nie daj się zwieść wyglądowi. Jestem lojalny wobec Rzymu, nie Konstantynopola – odparł stanowczo brat Darko.

Postanowiłem, że tę ciekawość zaspokoję kiedy indziej, a teraz zajmę się sekretem Gianmarii.

–Twierdzisz, że mój heretyk ukrywa jakąś książkę...

–Tak jest – odparł mnich.

Patrzyłem na niego, starając się nie okazać rosnącego zainteresowania, i wdychałem balsamiczną woń kadzidła, unoszącą się w pomieszczeniu, aby odzyskać spokój przed dalszą rozmową.

–Jest oskarżony o gorsze rzeczy – rzekłem tonem, który spowodował natychmiastową interwencję kardynała.

–Teraz nie interesują nas żadne aberracje, gwałty, szatańskie rytuały i mordy, które zarzuca się heretykowi. Jest potworem, ale to nie największy z jego grzechów. Gorzej, że ukrywa księgę – stwierdził ze zniecierpliwieniem Iuliano.

–Księgę, o której wspomniał brat Darko? – Byłem coraz bardziej zaintrygowany.

–Tak. To księga... zakazana – zakończył uroczyście kardynał, a cisza w sali zgęstniała. Papież patrzył na mnie miłosiernym wzrokiem, w którym kryło się błaganie, toteż musiałem zareagować.

–Co mam zrobić, ojczyne generale? – zwróciłem się do Iuliana.

–Odnaleźć ją.

–Jaki ma tytuł? – spytałem wreszcie, a kardynał nabrał powietrza, zanim wypowiedział trujące jadem słowo.

–Necronomicon.

–Grecka? – zamyśliłem się, gdyż ta nazwa odezwała się we mnie jak dźwięk strun harfy.

–Nie – sprostował autorytatywnie brat Darko. – Ten tytuł nadał jej tłumacz, grecki filozof, który wprowadził ją do Europy. Oryginał jest arabski. I już nie istnieje, skonfiskowany przez Kościół i zniszczony w Toledo w roku tysiąc dwieście

trzydziestym pierwszym. My szukamy egzemplarza, który jest ostatnią kopią przekładu na język włoski i nie został jeszcze zniszczony, jak wszystkie inne.

–Rozumiem – powiedziałem szczerze, bo dopiero teraz pojąłem, czemu przypisać nagłość tego spotkania i wysoką rangę uczestniczących w nim osób. – Jedyne, co jeszcze budzi mą ciekawość (a przyznam, że i troskę), to treść książki. Co w niej takiego, że domaga się uwagi Ojca Generała i Waszej Świątobliwości? – spytałem, patrząc wprost na Klemensa VIII.

Ojciec Święty siedział z pochyloną głową, pogrążony w myślach, a jego wzrok błędził po gęstej, białej brodzie. Na moje pytanie odpowiedział Iuliano.

–To księga szatańska – wyjaśnił Inkwizytor Generalny. – Naznaczona straszliwym znamiem grzechu... Jest niczym suche polano dla płomienia herezji, który trawi nasz lud.

–Necronomicon mówi o arkanach gwiazd – dodał Darko z pasją erudyty. Pod prawosławnym habitem Mołdawianina krył się wnikliwy badacz sfer niebieskich, nie na darmo zwany w Rzymie Astrologiem. – Podobno ta stara księga jest kluczem do odwiecznej tajemnicy gwiazd stałych, rozwiązaniem pradawnej zagadki, reszty można się tylko mgliście domyślać...

–Jak to... znacie zatem treść tej księgi? – nie mogłem nie zapytać o coś, co wynikało ze słów mnicha Darko, a on zrozumiał, że wpadł w pułapkę swego entuzjazmu, i poprosił wzrokiem o pomoc kardynała.

–To nie ma teraz większego znaczenia – stwierdził kategorycznie Iuliano. – Koniecznie musimy zdobyć tę księgę i herezyk musi wyznać, gdzie ją ukrył.

–Gianmaria jest trudnym więźniem... Nie będzie łatwo go zmiękczyć – odparłem.

Kardynał utkwiał we mnie swój wszechmocny wzrok i powiedział słodkim głosem, aby złagodzić ciężar tego spojrzenia i tych słów:

\! «

–Poddasz go mękom, jeśli zajdzie potrzeba. Tylko uważaj, aby nie wyzionął ducha, zanim uzyskamy potrzebną informację. Sam powiedziałeś, że potrafisz zmiękczyć najtwardszego przestępcę, a my o tym dobrze wiemy, bo twoja sława wykracza poza mury klasztoru w Genui, gdzie mieści się siedziba Inkwizytora Generalnego i... więzienie. Właśnie dlatego wybraliśmy ciebie, bracie DeGrasso, a nie kogoś innego.

Tymi słowami kardynał zakończył pierwszą część spotkania. Świadom pokładanego we mnie zaufania i powierzonej misji, mogłem już tylko zapytać, na kiedy potrzebne jest zeznanie heretyka.

–Ile mam na to czasu?

–Niewiele. Kilka dni. Zaraz potem wyruszysz z nową misją – odparł Iuliano i jego słowa znowu zasiały we mnie ziarno wątpliwości. A więc to nie wszystko?

–Nowa misja? Jakiego rodzaju? – spytałem zdziwiony. Astrolog milczał, lecz jego oczy błyszczały, jakby odbijał się

w nich ogień trzaskający na kominku gabinetu papieskiego. Odpowiedź otrzymałem jak zwykle od Iuliana.

–Zaraz po autodafe, które urządzisz pierwszego grudnia, wypłyniesz z portu w Genui na pokładzie hiszpańskiego statku. Przez długi czas będziesz poza domem.

–Co ma znaczyć: przez długi czas poza domem? A co z księgą? – Nic nie rozumiałem: każą mi przesłuchać heretyka, żeby dowiedzieć się, gdzie jest księga, mam niewiele czasu na tak trudne zadanie i na tym koniec. Zaraz potem muszę wyruszyć w podróż. Iuliano udał, że nie usłyszał moich pytań; wstał, podszedł do biurka, wziął stamtąd jakiś przedmiot i wyciągnął go w moją stronę.

–To dla ciebie.

Była to skórzana koperta, zamknięta i opatrzona pieczęcią Świętego Oficjum. Na widok naszego godła poczułem dumę i swoisty lęk przed odpowiedzialnością, jaką przyjąłem na siebie.

–Popłyniesz do Nowego Świata – mówił dalej kardynał. – Tu nie chodzi o zwykłą wizytację Świętego Oficjum,

nie będzie czasu na procesy... W kopercie znajdziesz polecenia, które wykonasz dokładnie.

–Gdzie mam się udać?

–Do świeżo założonej osady franciszkanów i jezuitów w wicekrólestwie Peru, w prowincji Paragwaj, u ujścia Parany, niedaleko Asunción.

–Co mam tam robić? – patrzyłem na niego uważnie.

–Później dowiesz się, jaki jest cel misji – odpowiedział Iuliano tonem nieznoszącym sprzeciwu, ale byłem już zbyt zaskoczony tyloma sekretami, żeby powstrzymać się od pytań.

–Mam wyruszyć w podróż do Asunción, nie znając celu ni przyczyny? \

–Wszystkiego dowiesz się potem – powtórzył Iuliano. – Po powrocie do klasztoru otworzysz tę kopertę i zapoznasz się z jej zawartością. W środku znajdziesz dokładne instrukcje. Teraz nie możesz tego zrobić i na razie nie dowiesz się niczego więcej, ale nie martw się, wszystko wyjaśni się w swoim czasie.

Rósł we mnie niepokój związany z decyzją ojca generała, aby działać i nie pytać, o co chodzi; powietrze gęstniało od spojrzeń rzucanych przez Astrologa i uporczywego milczenia papieża, serce biło mi coraz szybciej.

–Naprawdę każecie mi odbyć długą podróż i nie powiecie, w jakim celu? – podjąłem ostatnią próbę uzyskania odpowiedzi.

–Tak ma być – przeciął sprawę kardynał.

Darko popatrzył na mnie dziwnie. Rygor posłuszeństwa kazał mi zamilknąć, ale przeważało gwałtowne uczucie buntu i nie mogłem zapanować nad słowami.

–Zaczynać działanie po omacku nie jest moim zwyczajem – wybuchnąłem szczerym gniewem. – Nie jest też zwyczajem Kościoła, jak sądzę, zasłaniać oczy, zamiast je otwierać. Jako Inkwizytor Generalny Ligurii, gorliwy strażnik czystości wiary, czekam, że wskażecie mi wrogów, a nie ciemności.

Moje słowa zadźwięczały ostro, jakby sztylet przeciął powietrze, dając odpór intrygom Iuliana. W tym momencie papież Klemens przerwał milczenie, potarł brodę i przemówił z rozważą i zapalem. Miał pomarszczoną, ogorzałą twarz człowieka zbliżającego się do kresu życia.

–Teraz widzę, że dokonaliśmy słusznego wyboru – zaczął – i wierzymy, że wykonasz powierzoną ci pracę tak samo gorliwie, jak gorliwie i ślepo służysz Kościołowi ze swego miejsca w klasztorze w Genui. – Głos papieża brzmiał jak cięciwa zniszczonego łuku, gdy ją szarpnąć. – Ludzką i słuszną rzeczą jest niechęć wobec tego co niejasne, ale dziś wzywamy, abyś porzucił takie rozumowanie. Tak postanowiliśmy i tak ma być.

–Oczywiście, Wasza Świątobliwość – odpowiedziałem bez wahania z takim przekonaniem, że Klemens VIII uśmiechnął się nieznacznie, powołując się na zakończenie na jedną ze swych ulubionych alegorii.

–Bracie DeGrasso... Pamiętaj, iż rzymska wilczyca karmi wszystkie swe dzieci tak samo, przeto nie żądaj dla siebie więcej mleka, tylko wysłuchaj braci, którzy zrobili ci miejsce, abyś miał dostęp do jej sutków. Zaufaj nam, nie pozwól, by twoja niepewność zakrywała ci oczy nieistniejącymi zasłonami. W przeciwnym razie możesz stracić wiarę i w zaślepieniu duszy skążesz niewłaściwego człowieka. Jak faryzeusz i oszczerca.

–Tak, Wasza Świątobliwość – wyszeptałem onieśmielony.

–Mamy pewność, że jesteś dobrym zakonikiem. Dobrze wykonasz swoją pracę.

Papież wysunął w moją stronę delikatną dłoń w rękawiczce na znak, że spotkanie dobiegło końca. Zrobiłem mały krok i ukląknę, aby ucałować papieski pierścień.

–Ojciec Święty, nie zawiodę – przyrzekłem żarliwie. – Wykonam zadanie.

–Jesteśmy tego pewni, bracie DeGrasso. Będziemy na ciebie czekać i modlić się – powiedział papież i udzielił mi

\

błogosławieństwa. – Niech Bóg cię prowadzi In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.

Kardynał Iuliano i Darko milczeli. Zdawali się nie mieć żadnych wątpliwości co do powodzenia misji. Ale ja miałem ich coraz więcej.

Księga i podróż nieuchronnie krzyżowały się na mojej drodze.

2

Wszedłem z pałaców watykańskich przez bazylikę, kierując się niespiesznie w stronę Rzymu, który wydawał się szary i obojętny. Zimne, jesienne powietrze zmroziło mi twarz i musiałem nakryć głowę kapturem i wsunąć dłonie pod poły płaszcza. Tak szedłem przez plac Świętego Piotra, jak zwykle środkiem, szukając w najgłębszych zakamarkach myśli odpowiedzi na niezliczone wątpliwości, odpowiedzi, którą próbowałem odgadnąć, stąpając po tej ziemi ochrzczonej jednocześnie krwią i miłosierdziem. Paradoksalnie, na tym samym placu imperatorzy zabawiali elity i motłoch zabijaniem chrześcijan. Na arenie cyrku, pokrytej teraz poświęconymi płytami, sam Piotr został wprzęgnięty w niszczycielskie jarzmo cesarskich prześladowań. Ostatnie chwile jego życia, ostatnie tchnienie, ostatnie wizje miały za scenerię miejsce, po którym stapałem. Życie owiane legendą, a na końcu, właśnie tu, na tym placu, pojawia się Piotr męczennik, niekwestionowana głowa Kościoła Chrystusa na Ziemi.

Czy Piotr zwątpił, tak jak wcześniej już to uczynił, w tę wiarę, która doprowadziła go do śmierci? A może ta sama wiara pomagała mu znosić męki i godzić się na własny nieunikniony kres? Czy jego śmierć daje świadectwo o Chrystusie? Czy śmierć Piotra dowodzi, że uwierzył w to, co zobaczył? Szedłem pogrążony w tych rozmyślaniach, dopóki moje oczy nie spoczęły na obelisku umieszczonym w centrum placu. Przystanąłem i odwróciłem się ku bazylice. Czy Piotr miał taką

23

wizję swojego Kościoła, czy też na placu nie ujrzał nic poza cyrkiem i Neronem? Westchnąłem. To oczywiste, że istnieją sprawy, w które nikt nie powinien wątpić, ale niemniej oczywista jest słabość ciała i w życiu człowieka nie ma takiej chwili, by pytania bez odpowiedzi nie powodowały pustki, która często jest pozbawiona wiary. Poczuję się bardziej ludzki. Poczuję się bardziej ludzki, rozumiawszy Kościół składający się z ludzi. Tam umarł apostoł za to, że chciał szerzyć swą wiarę; został ukrzyżowany głową na dół w obecności setek, tysięcy osób spragnionych pogańskich bogów. Piotr chyba się bał. Na pewno. Cierpiał i być może pomyślał, patrząc w niebo, że kto wie, czy to wszystko nie jest wielkim szaleństwem. Mój oddech tworzył obłoki pary, a oczy powoli zachodziły łzami, jak zawsze gdy tędy szedłem. Umysł formułował od nowa to samo dręczące pytanie, które pojawiała się zawsze, gdy myślałem o Piotrze na placu Watykanu: czy ja, Angelo, potrafiłbym oddać życie za Chrystusa?

Pogrążony w myślach opuściłem plac i skierowałem się w stronę Tybru. Postanowiłem udać się nazajutrz do archiwum Świętego Oficjum. Musiałem odświeżyć sprawę Gianmarii i zbadać, czy nie ma tam czegoś ważnego, czego nie przekazano do mojego klasztoru. Chciałem również sprawdzić parę rzeczy na temat tajemniczej księgi. Ale najpierw pragnąłem spotkać starego przyjaciela z młodości, którego nie widziałem od lat, kupca Tommasa D'Alemę. Gdy dowiedziałem się, że mam być w Rzymie, uprzedziłem go, że wolę zatrzymać się u niego w domu niż gdziekolwiek indziej.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ta wizyta będzie mieć swoje konsekwencje.

Stół Tommasa D'Alemy był wspaniale zastawiony tego pierwszego wieczoru, jaki spędziłem po długim niewidzeniu w jego domu. Obfite jedło, dobre wino i cała rodzina przy kolacji: żona Libia i córka Raffacla. Zdawało się, że złe

wspomnienie zimnego Rzymu pójdzie w niepamięć dzięki przyjęciu, jakie zgotował mi stary przyjaciel. Ale tak się nie stało: zachowanie Tommasa było temu przeszkodą. Po tylu latach niewidzenia i wskutek informacji, jakie dotarły do niego na mój temat, był nieufny. Mój pobyt w domu tej rodziny nie zapowiadał się łatwo.

–Wiem, że jesteś członkiem Świętego Oficjum – rzekł mój przyjaciel. – W Rzymie wieści rozchodzą się jak powietrze. Może teraz masz jakieś nowe zwyczaje... A nasze zwyczaje już ci się nie podobają.

Libia patrzyła w milczeniu, jak słup soli, a jej postawa nie miała wiele wspólnego z uprzejmością, jaką darzyła mnie wcześniej.

–Przeraża cię to, że się dowiem, iż nie robisz znaku krzyża przed jedzeniem? – zapytałem z sarkazmem. – A może raczej fakt, iż masz przy swoim stole... inkwizytora?

Głęboka cisza zapadła po moich słowach.

–Możliwe... – wyjąkał szczerze zdenerwowany Tom-maso – ale nie myśl, że wtrącam się w twoje życie. Ja po prostu staram się żyć spokojnie... bez wystawiania się na pokaz.

–To prawda... Jestem inkwizytorem. Przed czym starasz się chronić swą rodzinę? Przede mną? Powiedz, Tommaso... czy kiedykolwiek słyszałeś, aby sądono człowieka za to, że nie pobłogosławił posiłku?

–No... Nie wiem...

–Pewnie nigdy – oświadczyłem z zapalem. – Miło stwierdzić, że lata, które nas rozdzieliły, nie zniszczyły wzajemnej szczerości. Jestem ci wdzięczny za szczerą odpowiedź i chciałbym, przyjacielu, byś nadal widział we mnie dawnego towarzysza. Co prawda, noszę święty habit, ale nie jestem sędzią twoich obyczajów. – Tommaso przytaknął, więc kontynuowałem: – Nie warto tracić więcej czasu na takie rozmowy. Zaraz pobłogosławię stół i proszę, żebyście robili i mówili, co

wam się podoba. Wszak to ja jestem waszym gościem i nie chciałbym sprawiać kłopotu swoją obecnością.

Tommaso znów przytaknął, po czym wszyscy złożyli ręce, by wysłuchać mej modlitwy po łacinie, która zabrzmiała sucho wśród tych ciepłych murów.

Powoli, w miarę trwania kolacji, początkowe napięcie opadało, choć Libia zachowała milczenie dłużej, niż się spodziewałem. Chwilami przyłapywałem jej spojrzenie wyrażające wzrokiem to,

czego nie wyrażała słowami. Moje wizyty były krótkie i właściwie nigdy mnie dobrze nie poznała. Teraz broniła swoich, czujna niczym lwica, wyczuwając zagrożenie w tym mnichu zwerbowanym przez Święte Oficjum. Obserwowałem ją ze znanstwem inkwizytora, zwracając uwagę na owal szczęki i kształtny podbródek; miała prosty nos, gładkie czoło, nieregularne wargi w kolorze mocnej czerwieni, które pozostawały wciąż półotwarte. Uznałem, że ma niewątpliwie zagadkowe spojrzenie i szyję czarownicy, a piersi, choć ukryte, zdawały się twarde i wyrzeźbione, podobnie jak jej talia. Na moment ujrzałem ją nagą, torturowaną na koźle, jak patrzy na mnie wyczekująco wzrokiem, w którym ból miesza się z rozkoszą. Obserwowałem ją podczas rozmowy i kiedy wymawiała poszczególne słowa, ukazując perłowe zęby, czułem dotyk jej języka i smak śliny. Tak, to była doskonała, pełna wigoru czarownica... ukryta pod postacią tej Libii, żony i matki wciąż atrakcyjnej mimo upływu czasu. Tommaso i ja nie szczydziśmy czasu w Pisie na nocne wypadki; byliśmy młodzi i niedoświadczeni, ale bez problemu rezygnowaliśmy z kobiet: dla mnie kobiety zawsze były źródłem grzechu i postanowiłem zachować wierność złożonym ślubom, dla niego zaś, odkąd poznał Libię, inne kobiety nie istniały.

–Poznajesz moją córeczkę po tak długim czasie? – spytał Tommaso, wyrywając mnie z myśli, które rozbiły się z trzaskiem pękającego szkła.

Uśmiechnąłem się i przytaknąłem oczami, po czym odwróciłem się do dziewczyny.

Raffaella była nie do poznania, brązowe oczy patrzyły na mnie pytająco, z rozbijającą ciekawością. Fakt, bardzo urosła, odkąd widziałem ją po raz ostatni. Dziewczynka, którą zapamiętałem jako roztrzepaną śmieszkę, przekształciła się w wieku piętnastu lat w elegancką panienkę, uważnie przysłuchującą się rozmowom dorosłych. Raffaella była cennym klejnotem rodu D'Alemów: towarzyska, inteligentna, uprzejma jak ojciec i niezwykle piękna... Jak matka. Jej pełna życia skromność podziałała jak magnes na mój stan ducha.

Mój przyjaciel znów się odezwał, przerywając moje myśli:

–Zaraz przyniosę coś, co lubisz... – Natychmiast wstał i wyjął coś z drewnianej szafki stojącej nieopodal stołu. Po czym znowu usiadł, postawił przed nami dwa kielichy i pokazał niespodziankę, jaką dla mnie przygotował: była to stara, okrągła butelka grappy. Tommaso dobrze wiedział, że moje podniebienie ma słabość do tego alkoholu.

–Świetne lekarstwo na złą pogodę – zażartowałem ochoczo. – Jasne, że w przypadku grappy każdy argument jest dobry... Dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

Butelka była zalakowana i wiedziałem, że on sam wolał słabe czerwone wino niż mocną wódkę.

–Kupiłem od przyjaciela z przedmieścia. To grappa z północy, z Veneto – wyjaśnił jak prawdziwy znawca, wyciągając korek z butelki.

–Niech będzie błogosławiona! – wykrzyknąłem radośnie. – Chyba nie zostawisz mnie samego?

– Podniosłem swój kielich i spojrzałem najpierw na Tommasa, a potem na butelkę.

Uśmiechnął się pogodnie, jak w młodości, i napelił przezroczystym płynem nasze kielichy. Nie był już taki spięty, kiedy spytał:

–Jak długo jesteś inkwizytorem, Angelo?

–Dziesięć lat – odpowiedziałem, a twarz Tommasa zmarszczyła się ze zdziwienia. Nagle zdał sobie sprawę, że życie przemija szybko jak błyskawica.

–Co z twoim dawnym opactwem?

–Ach tak... jeszcze je pamiętasz?

–Bardzo dobrze pamiętam, pisałeś o nim w swoich listach tak dokładnie, że czasem miałem wrażenie, jakbym tam był. Zaglądasz tam jeszcze?

–Nie... Już nie wykładam w starym opactwie, musiałem opuścić kapucynów i scholastykę. Trybunał inkwizycyjny i powinności z tym związane nie zostawiają mi czasu na nic innego. Ale nadal jestem w Genui.

Myśl o kapryśnych kolejach losu budziła we mnie niepokój. Najchętniej zostałbym na zawsze w tym pięknym opactwie San Fruttuoso z kapucynami, którzy byli dla mnie prawdziwymi ojcami duchowymi. Ale Szanując decyzję mojego mistrza, Piera Del Grandę, której nigdy nie zrozumiałem do końca, musiałem ich opuścić, żeby ukończyć studia i przyjąć święcenia jako dominikanin. I choć wróciłem jeszcze do opactwa celem poprowadzenia lekcji z teologii, wkrótce znowu je opuściłem, żeby wejść w szeregi Świętego Oficjum, tak jakby moim przeznaczeniem była od zawsze inkwizycja, gdyż tylko dominikanin mógł zostać Inkwizytorem Generalnym. Wraz z ustanowieniem Świętego Oficjum papież powierzył dominikanom takie zadanie, ponieważ byli oni gorliwymi obrońcami czystości wiary. Funkcja strażnika wiary bardzo mi odpowiadała, ale tęskniłem za cichą, elementarną radością klasztoru, brakowało mi braci, przyrody i tamtych teologicznych dyskusji, które zbliżały do Boga.

–Opuściłeś opactwo, które przez tyle lat było twoim domem – rzekł Tommaso z tą samą dziwną nostalgią, jaką ja odczuwałem.

–Tak jest... Ale nie opuściłem do końca. Odwiedzam je sporadycznie. Spora część mego życia upłynęła w tych murach.

–Jaki jest twój nowy dom? – zapytał Tommaso, zainteresowany moim obecnym życiem.

–To stary klasztor we wschodniej części miasta, na wzgórzu nieopodal morza. Jest delegaturą Świętego Oficjum. – Głas-

kałem się po brodzie, pogrążony w nagłych wspomnieniach. – Ma piękny ogród z drzewami pomarańczowymi, oliwkami i winoroślą. Ze wzgórza widać ogrom Morza Śródziemnego, a w bezchmurne dni rysuje się na horyzoncie niewyraźny cień Korsyki.

–Jakie to piękne miejsce – fantazjował Tommaso, próbując je sobie wyobrazić, a oczy

błyszczą mu od alkoholu – i godne zamieszkania.

–Bardzo piękne... To prawda. Tak jak piękna jest róża pomimo kolców.

–Co masz na myśli? – Tommaso nie zadowolił się metaforą, która miała zastąpić bardziej precyzyjne wyjaśnienie.

–Jesteś inteligentny i nie próbujesz uciec od rzeczywistości, prawda? – Tommaso wzruszył ramionami. – W obrębie klasztoru znajduje się więzienie Świętego Oficjum, które nie zawsze jest puste, odkąd ja nim zarządzam. Zamiast wdychać słone, morskie powietrze i słuchać mew, nieraz zamykam się w czterech ścianach i studiuje akta przestępców. Innym razem nie widzę blasku dnia... bo spędzam czas w podziemiach, badając twarze uwięzionych... To są właśnie ciernie mojej róży.

–Nie da się ukryć, że każde zajęcie ma swoje przykre strony – stwierdził Tommaso, próbując złagodzić powagę moich słów.

–Zaludnione więzienie napawa mnie smutkiem, bo ubolewam nad ludzkimi słabościami, podobnie jak lekarz boleje nad chorobą. Przykro mi widzieć ludzi zarażonych herezją, która toczy ciało jak choroba i niszczy ducha.

–Kto zapewnia więzienia przestępcami? – zaciekawiał się Tommaso.

–Ja to robię – wyjaśniłem. – Wydaję nakazy uwięzienia i walczę z herezją w mojej jurysdykcji.

Tommaso zamilkł. Nikt nie chciał rozmawiać czy choćby słuchać o herezji, zwłaszcza w obecności inkwizytora. Ale trwało to tylko przez chwilę.

–Dużo tego w Ligurii?

–Jak wszędzie indziej. Wystarczy, aby wzmóc czujność. – Moje słowa zachęciły Tommasa do dalszej rozmowy i do pytania, które tkwiło w nim od dłuższego czasu.

–Sądziś... że słuszną rzeczą jest spalić człowieka za to, że zboczył z prawdziwej drogi wiary?

Spojrzałem na niego badawczo. Nic nie powiedziałem, tylko patrzyłem, podnosząc do ust kielich z grappą lubiłem żar rozlewający się w mojej piersi po wypiciu alkoholu. Sam potrzebowałem trochę czasu, żeby uporządkować swą wypowiedź. Ile jest w stanie pojąć w sposób satysfakcjonujący osoba bez studiów teologicznych? Tommaso wykazał dużą odwagę, miałem tego świadomość, więc zasługiwał na poważną odpowiedź, która będzie dlań zrozumiała i do której zobowiązany jest pasterz Kościoła katolickiego. Jego pytanie dotyczyło kwestii, zajmującej umysły teologów od zarania dziejów Kościoła. A ja musiałem podsumować te wszystkie skomplikowane debaty, czyniąc je zrozumiałymi dla prostszych umysłów. Ranga mojego habitu i przekleństwo urzędu na nowo zawładnęły spotkaniem, krępując moich przyjaciół. Cisza była tak głęboka i pełna wyczekiwania, że postanowiłem zacząć od odpowiedzi, którą pragnęli, niemal potrzebowali usłyszeć od Inkwizytora Generalnego. Odpowiedzi równie prostej i bezpośredniej jak samo pytanie.

–Tak, to jest słuszne – odpowiedziałem stanowczo. Tommaso nie uczynił żadnego gestu. Zapadło kamienne

milczenie.

–Tommaso... – skarciłem go łagodnie – płacisz podatki?

–Oczywiście.

–Przestrzegasz norm obywatelskich?

–Tak.

–Szanujesz przedstawicieli władzy?

–Jasne, że szanuję.

–Uważasz się za dobrego obywatela?

–Z całą pewnością.

Byłem teologiem, doktorem praw, i prawdę mówiąc, ta walka była nierówna. Walczyliśmy na moim terenie, moją bronią, ale tylko w ten sposób mogłem sprawić, żeby zrozumiał.

–Zatem szanujesz normy życia społecznego i uważasz za słuszne, aby je szanowano – kontynuowałem. – Ja robię to samo: szanuję prawo kościelne i uważam za słuszne, aby je szanowano, z tą różnicą, że jestem sędzią i stroną procesu jako strażnik tych praw. Nikogo nie posyła się na stos za nieznamość wiary. Posyła się tylko takich, którzy znają zasady, lecz ich nie przestrzegają, bluźnią, oddając cześć fałszywym bogom lub, co gorsza, nakłaniają innych do tego. Czy umyślnie nie pobłogosławiłeś posiłku?

–Ależ nie... Ja tylko...

Przerwałem jego usprawiedliwienia, bo nie to było moim celem.

–Nie pobłogosławiłeś, ale twoje serce jest czyste, ja to wiem. Jak sądzisz, kto staje przed naszym trybunałem? Ci, co nie błogosławią posiłków i nie modlą się na głos? Nic podobnego! – uniosłem się. – Nie wyobrażasz sobie nawet tych ludzi, bo nigdy takich nie widziałeś, ale uwierz mi, mam z nimi do czynienia na co dzień. Zaprawdę, powiadam ci, że nie ma rozumu bez wiary. Jeśli wierzysz w Pismo Święte, będziesz rozumny, spokojny i przestrzegający prawa.

–A ty jakich praw przestrzegasz? – badał dalej Tommaso.

–Tych, które wynikają z Pisma Świętego, zostały odnowione przez Odkupiciela i przekazane apostołom, a ci z kolei przekazali je w spadku nam, abyśmy trwali zjednoczeni, z dala od wszelkiej udręki. Odczytane przez Świętych Ojców Kościoła prawa te są naszym dogmatem wiary.

Tommaso zaczynał się gubić w natłoku moich słów, więc wybrałem najprostszą i jedynie możliwą formę podsumowania mych wywodów.

–Moim prawem jest Pismo Święte.

Po tych słowach wstałem od stołu i poszedłem do swego pokoju po Biblię, którą zawsze ze sobą wożę. Wróciłem z Biblią, siadłem i otworzyłem na właściwej stronie. Mógłbym recytować święte słowa z pamięci, ale wolałem pokażać, że tak zostało napisane. Tommaso patrzył na księgę, kiedy umieszczałem lekką zakładkę z cienkiego materiału na stronie, którą pragnąłem im przybliżyć. Przysunąłem je do siebie ze świeczników i zacząłem czytać. Słuchali z uwagą i przez kilka minut miałem pewność, że moje słowa zapadały w nich głęboko. Wytworzył się uroczysty nastrój. Ale to nie była właściwa pora na dalsze roztrząsanie kwestii teologicznych.

Wystarczy jak na jeden wieczór, pierwszy wieczór, ale nie mogłem się powstrzymać, by nie zakończyć parabolą, którą upodobałem sobie już w czasie nowicjatu.

–Ja jestem sędzią Prawa Boskiego, zawartego w tej świętej księdze i mam duchowe przygotowanie dominikani na. Zapamiętaj to sobie, mój przyjacielu: kiedy apostołowie zapytali Jezusa Chrystusa, dlaczego oni nie mogli wypędzić demona z ciała chłopca, On im rzekł: „Z powodu małej wiary waszej. Bo zaprawdę powiadam wam: jeśli będziecie mieć wiarę, powiecie tej górze:»Przesuń się stąd tam!«. a przesunie się. I nic niemożliwego nie będzie dla was" Jeśli nasza walka z czarownikami i czarnoksiężnikami to dla ciebie kwestia polityczna, nic nie mogę zrobić, aby ci przekonać... Ale dla mnie jest to walka rozpoczęta wieki temu i całkiem realna. Nie przestanę jej toczyć i nie spocznę, dopóki nie zwyciężymy, bo ja mam swoją wiarę, która przenosi góry...

Reszta wieczoru upłynęła jak spotkanie starych przyjaciół, na wspólnych wspomnieniach i odzyskiwaniu zaufania, jednak zmęczony po długiej podróży. W gruncie rzeczy wszyscy byliśmy zmęczeni i gdy tylko butelka grappy znalazła się znów na półce, pożegnaliśmy się do następnego dnia i przeszliśmy do swoich pokojów. Tommaso podziękował za moje wyjaśnienia,

a ja za uwagę, jaką obdarzyli mnie wszyscy troje. Oświetlając sobie drogę kagankiem oliwnym, doszedłem do skromnego, lecz dobrze wyposażonego pomieszczenia: łóżko, mała szafka, biurko i miednica z wodą na stole. Umyłem ręce i twarz, po czym klęknąłem do wieczornej modlitwy jak w każdy inny dzień mego życia. Nazajutrz miałem udać się do archiwum Świętego Oficjum.

Obudziłem się wcześnie, jakby dzwoniło na jutrznię, ale nie byłem w swoim okazałym łóżku z dębu francuskiego, tylko w skromnym pokoju. Spałem tak mocno, że najpierw nie bardzo wiedziałem, gdzie się znajduję, być może wskutek zmęczenia podróżą, rewelacji Iuliana i gorliwej modlitwy wieczornej. Zaczynało świtać i przez małe, niedomknięte okno zaglądał nieśmiało słaby brzask, a wiatr wciąż wdzierał się przez szpary i świstał nieprzyjemnie. Na zewnątrz czekało mnie znowu mroźne powietrze, ale cóż było robić. Ubrałem się, odmówiłem modlitwy, pościeliłem łóżko, nabrałem nowej wody do miski i poszedłem do kuchni, gdzie Libia już na mnie czekała z ciepłymi plackami. Podziękowałem nieśmiało i prawie bez słowa wyszedłem do swoich obowiązków.

Ruszyłem powoli przez Rzym, z twarzą ukrytą pod kapturem, z pochyloną głową, przyciskając rękami do piersi prosty krzyż zawieszony na szyi. Lubilem go: był pamiątką pobytu u kapucynów. I tak szedłem niczym prorok poprzez tłum, gęstniejący z każdą chwilą na rogach ulic i na rynkach, w posępnych Bylerfljzaułkach i na placach. Mijałem kupców, którzy rzucali mi tępe, ukradkowe spojrzenia pełne niechęci, a zarazem zainteresowania tajemniczą sylwetką o ukrytej twarzy. Zatrzymałem się przed marmurowymi schodami, prowadzącymi do siedziby Świętego Oficjum, gdzie brat Gerardo, mnich odpowiedzialny

za archiwum i bibliotekę, którego dobrze znałem, bezzwłocznie zajął się moją osobą.

–Ekscelencja DeGrasso! – zawołał na mój widok. – Czym mogę służyć?

–Bądź pozdrowiony w imię Boga, bracie – przywitała się, powoli zdejmując kaptur. – Chciałbym zbadać sprawę Erosa Gianmarii i uzupełnić informacje o pewnej starej książce

–Gianmaria... – powtórzył brat Gerardo, dotykając podbródka i unosząc jedną brew na znak, że skojarzył na: ko – chyba o nim słyszałem. Jeszcze wśród żywych?

–Tak – odparłem. – Będę go sądzić.

–Gdzie zaczął się proces?

–W Wenecji.

–Już wiem – stwierdził, uzyskawszy niezbędną informację. – Zaraz wam pokażę, gdzie szukać.

Weszliśmy do wielkiej sali, w której mieściła się biblioteka Świętego Oficjum; były tu zwykle książki, mapy i wspaniałe sferyczne astrolabium, a także kilka stolików z zapalonymi kandelabrami, ponieważ wewnątrz zwykle panował półmrok a tym bardziej przy tak pochmurnej pogodzie. Drzwi końca sali prowadziły do archiwum sądowego, w podziemiach zaś, poza zasięgiem osób niepowołanych, w miejscu zamkniętym na tysiąc spustów zgromadzono informacje o dziełach zakazanych i parę egzemplarzy tychże. Mnich podprowadza mnie do oszklonej szafy, gdzie powinno znajdować się czego szukałem.

–Tu są tomy z procesów rozpoczętych w Veneto. pamiętacie, w którym roku został uwięziony, bez trudu znaleźć właściwy tom. – Wskazał na półki, po czym na mnie. – A ta stara książka jak się nazywa?

–Necronomicon.

–Zakazana? – Znowu nastąpiło krótkie przesłuchanie.

–Tak.

–No to powinna figurować w Index Librorum Prohibitorum.

spójrz

Tak sędę.

W którym roku została potępiona?

–Wiem tylko tyle, że jeden z egzemplarzy znaleziono i spalono w Hiszpanii prawie czterysta lat temu.

–Czterysta lat... – Bibliotekarz rozważał coś w milczeniu. Kolejny ruch brwi był dla mnie wskazówką, że już ma odpowiedź. – Dobrze. Już wiem, gdzie szukać. Wy zajmiecie się

procesem heretyka, a ja poszukam książki. Przyniosę ją do biblioteki. – Po tych słowach oddalił się i zniknął za drzwiami archiwum.

Grzebanie w materiałach sądowych zajęło mi trochę czasu. Było to zresztą do przewidzenia, jeśli zważyć na wielką liczbę zarchiwizowanych procesów nie tylko z jurysdykcji Wenecji; święte Oficjum miało wszak wiele siedzib od Francji aż po Niemcy, od Alp po Neapol i Sycylię... Nie licząc terenów amorskich zdobytych przez Kastylijczyków i Portugalczyków. Wszystko spływało tutaj, każda sprawa prowadzona przez inkwizycję była tu archiwizowana; na tych półkach spoczywały kroniki każdego, kto popadł w niełaskę Kościoła. Przeszukałem dolną część szaf, wspiąłem się na drabinkę i na górze znalazłem zakurzony tom z procesu Erosa Gianmarii. Zszedłem na dół i skierowałem się do stolika, żeby przejrzeć te akta przy świetle świec. Rzeczywiście heretyk był więziony od czterech lat, ostatnio w moim klasztorze w Genui. Długie miesiące zamknięcia i ponure, zawilgocone cele nie okiełznały jego szaleństwa. Miał nieposkromiony język. Pluł jadem i bluźnił ęte przeciwko świętemu Kościołowi i klerowi z papieżem na czele, mówiąc o pomniejszych prałatach. Oskarżony o czary i podejrzany o straszliwe morderstwa w Bawarii i Veneto, niewątpliwie zasłużył na najsurowszą karę Kościoła. Gromadzone latami zeznania i doniesienia poważnie obciążały tego heretyka, zwanego Pajacem, ponieważ był członkiem Dupy teatralnej, która przewędrowała znaczną część Starego kontynentu, zostawiając za sobą zagadkowy ciąg tragicznych zgonów. Po każdym występie znajdowano okaleczone

szy

znaj nie

ciała zadreńczonych na śmierć kobiet ze śladami rytualny praktyk uznanych za satanistyczne. Zatrzymano Gianmarię, sprawiedliwość świecka była bezradna. Dopiero oskarżę o czary spowodowało, że pozbawiono go wolności i przek no Inkwizytorowi Generalnemu Veneto w roku 1593. Znalezi no przy nim zeszyty z dziwacznymi zapiskami i zakaz; książki o demonicznej treści. Jedyne, co go za to spotkało, odosobnienie i zdaje się, że Republika Wenecka zastosowała pewien manewr: nie mogąc oskarżyć diabelskiego Paj

0 zbrodnie, władze pozbyły się kłopotu, przekazując Świętemu Oficjum. Od początku byłem zaskoczony Eros> Gianmaria; miast wulgarnego heretyka znalazłem w nim osol równie uczoną jak perwersyjną. Mówił płynnie po grecki

1 łacinie, znał kilka niemieckich słów. Za dużo jak na chłop kiego syna, za jakiego się podawał.

Lektura materiałów z procesu w Wenecji odświeżyła zn mi wcześniej informacje i nie znalazłszy nic nowego, grążyłem się w rozmyślaniach. Musiałem wybrać odpowie haczyk i przynętę, żeby tym razem ryba chwyciła. Nagle 1 sobie uświadomiłem i już wiedziałem, jaką przyjąć strategii co prawda Inkwizytor Generalny Veneto przesłuchiwał En Gianmarię, ale nie do końca, proces bowiem został na; wstrzymany z jakichś bliżej nieznanym, biurokratyczn; powodów i postanowiono przenieść więźnia do Genui. Ni wyraźniej ktoś był zainteresowany utrzymaniem go przy życi Tak pochłonęły mnie te rozważania, że cały się wzdrygnął gdy poczułem czyjąś rękę na ramieniu.

–Proszę o wybaczenie – usprawiedliwiał się brat Ge; do – nie chciałem was przestraszyć. Mam tu coś na te: rzeczony książki, co prawda niezbyt wiele, kilka notatek grecku sporządzonych przez Kościół prawosławny przed scl mą. Proszę obchodzić się bardzo ostrożnie z tymi papieci

Kiwnąłem potakująco głową, wciąż czując w sercu skui przestachu.

–Jeśli mogę się jeszcze przydać...

. Nie, bracie, dziękuję... A właściwie tak. Może jest w de-ozycie jakiś przedmiot odebrany heretykowi, kiedy przebywał i Wenecji. Było to w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym trzecim.

_ Nie sądzę – odrzekł mnich. – Wszystko zostało

yam przekazane, kiedy przeszedł pod waszą jurysdykcję. Me sprawdzę.

Ponownie zniknął w głębi sali, a ja wziąłem pergamin ostrożnie podsunąłem bliżej świecy, żeby lepiej zobaczyć, jreckie litery ułożyły się od razu w sensowną całość:

–NeKpovon.tKOV – Necronomicon

Szatańska biblia karmazynowej pustyni. Księga czarnej magii z dziwaczną, zakazaną metafizyką astralną. Zawiera zaklęcia, które ożywiają i przyciągają demony starego świata.

Necronomicon została potępiona w XI wieku przez patriarchę Michała z Konstantynopola. Nasz Święty Kościół uznaje ją za haniebnny wytwór sztuk diabelskich i żywe świadectwo Szatana na tej ziemi.

Księga ta jest antyświadectwem Chrystusa i jej stronicie powinny spłonąć jak najszybciej.

Pozostałe siedem stron zawierało tylko przestrogi i fakty historyczne niewnoszące nic nowego do wiedzy o treści księgi, popiera na samym końcu, tuż przed podpisem, figurowała pszcze jedna przestroga i prośba Kościoła wschodniego, napisa-i ręką, która już ponad dwieście lat temu zamieniła się w proch:

Niech Bóg wybawi ludzi od tej księgi, gdyż bestia patrzy i widzi poprzez nią i swych czarowników.

GIORGOS GKEKAS Tesaloniki, czerwiec 1380

Mnich zbliżył się cicho i postawił przede mną szkatułę] – Szczęście wam dopisuje – powiedział wesoło. – wiem, dlaczego tu jeszcze jest, bo przecież przekazano wszystkie rzeczy heretyka zarekwirowane zaraz po uwięzi w Wenecji.

Ciemna, brudna i zniszczona płaskorzeźba na wieczku prz stawiała biblijnego demona. Oderwałem wzrok od szkatu i patrzyłem na światło świecy; nagły dreszcz wstrząsnął m ciałem. Przeraziła mnie myśl o „realnym” istnieniu diabli

II

DROGA W CIEMNOŚĆ

4

Wracałem do domu Tommasa wzdłuż brzegu Tybru. Węd-iwka zawiodła mnie przed Castel SanfAngelo, starą, maje-atyczną fortecę wojskową, która strzeże przejścia prowadzą-ego wprost do serca Watykanu. Zamek wzniesiony na miejscu awnego mauzoleum cesarza Hadriana jest nie tylko miejskim astionem, lecz również bezpiecznym składem złotych monet lajdujących się w posiadaniu Kościoła, które szacuje się na rtery miliony eskudo. Fortecę zwieńcza srogi archanioł; wy-łąda, jakby strzegł bogactw z wysokości, a zarazem próbował osiągnąć niebios w porywie uniesienia. Przystanąłem, żeby bej rzec twierdzą z mostu łączącego oba brzegi Tybru. Oparłem ę łokciami o balustradę i patrzyłem w dół, pozwalając myślom lynać z biegiem rzeki.

Dziwne to były wody, zielone i spokojne, zapatrzone w siebie cojące. Paradoksalne przeciwieństwo miasta. Za każdym razem k patrzyłem na Tyber, dziwiła mnie ta obojętność na wszystko, o go otacza – może był już znużony widokiem tylu ludzi rzeglądających się w jego wodach. Miał w pamięci tysiące, rtki tysiący twarzy i zapewne od dawna czuł niechęć do glądania nowych. Tyber jest arterią nawadniającą ziemię zymu. Jest arterią, która karmi starych i nowych mieszkańców istorią tego miasta. Wokół rzeki osnutych jest wiele legend,

39

a każda z nich jest mitycznym filarem rasy ludzi namaszczona r0gcj0ła. Cezar, ten budzący grozę i respekt cesar, który rządził mułem jej wód. Podobno tutaj wilczyca wykarmiła Romuh arfl mianował centurionów wedle własnej woli i za pomocą i Remusa... Nigdy się nie dowiemy, czy tak było, ale nikt njecha uprawiał politykę Rzymu – cezara nazywa się teraz zaprzeczy, że ta „wilczyca” istniała naprawdę i przez wie,apjeżem, a jego rządy są równie potężne jak rządy tamtych przez prawie tysiąc lat rządziła światem za pomocą miec ^fnych poprzedników. Imperium Rzymskie walczyło mie-groźnie warczała na inne ludy i gorliwie strzegła swo zern i włócznieą, Stolica Apostolska zaś walczy papierem rzymskich dzieci. piórem, lecz stanowi prawa silniejsze niż szpada i skutecz-

Wody tej rzeki wciąż były dla mnie obce, ukrywały sekne jejsze niż ostra pika. Na dodatek siedziba rządu Kościoła starzejące się pośród radości, zwycięstw, zdrad i zgonów. Dav chrystusowego mieści się w Rzymie. Bo taka była wedle sekrety, których dziś nie da się już zrozumieć. Nawet gdj>j0tra wola Ducha Świętego.

mieć dwa, trzy życia, albo całą wieczność tego miasta. Wody fale, zapraszając do dalszej wędrówki, przypomniały mi widziały, jak zwycięskie rzymskie legiony wracały z Afrj tarą grecką maksymę: „Nie można wejść dwa razy do tej niosąc bezcenne skarby w darze dla Cezara. Egipskie obelii amej rzeki”. Bo woda nie staje, tylko wciąż płynie. W rzece kamienne kolumny pokryte w całości hieroglifami i niesko nc nie jest tym, czym było, i nic nie było tym, czym jest. Tyber czenie wiele innych cudownych skarbów, które wciąż jesz(K)darował mi tę myśl i pomógł zrozumieć Kościół, który nigdy można podziwiać na ulicach Rzymu, miasta udekorowane ie był statyczny, zawsze przystosowywał się do czasów i ludzi, wojennymi zdobyczami, które przyplnęły morzem i przem iwoluował, wciąż ewoluował w miarę zmian zachodzących rzyły włoskie równiny, ciągnięte wołami. Tablice na mun v nieprzewidywalnym wrogim świecie. Chrześcijanin, który i łukach triumfalnych sławią rzymskie zwycięstwa, takie jak| vszedł do tej rzeki tysiąc lat temu, patrzyłby na dzisiejszy które przypomina grabież Świątyni Jerozolimskiej i niew Lościół z wielkim zaskoczeniem. Gdy się przegląda Liber zniszczonej Palestyny. Majestatyczne pomniki jako świadectt yontificalis i czyta żywoty papieży, widać, że każdy z nich był władzy absolutnej imperatorów. Ludzie i bogowie. Bogony. Każdy papież rządził zgodnie ze swoją osobowością i demony. Te wody kontemplowały w milczeniu szaleńc zapewne każdy wniósł własną kroplę wody do rzeki, jaką jest rozkazy pijanych władzą ludzi, zaślepionych ambicjami. Net Lościół, rzeki z korytem wyrzeźbionym przez Szymona Piotra, zobaczył w rzece odbicie swej twarzy, napił się tej wo<ybaka z Galilei, który po niej żeglował, recytował peany na jej cześć przed swoim ludem i zwymiotofl Było dwustu trzydziestu trzech papieży, minęło tysiąc pięćset

Iziewięćdziesiąt siedem lat... Czy Piotr rozpoznałby jeszcze te rody? A może Kościół wyglądałby tak samo szaro jak Tyber?

nią w piekle ognia.

Co powiedziałby Tyber, gdyby mógł ująć w słowa s pamięć? Kto potrafiłby wysłuchać zwierzeń tej rzeki?

Oczywiście, Rzym zmienił się. Odnowił się. Imperium I nież. Dekurioni nie chodzą już w skórach i brązie, teraz cho w szatach przepasanych sznurami i nazywają się inaczej., opatami. Centurioni nie mają na głowie hełmów z pióropuszan choć nadal przy odziewają się w purpurowe płaszcze/Oni się zmienili i przekształcili w kardynałów, biskupów i prał;

atrzyłem na rzekę, szukając odpowiedzi, ale jej nie znalazłem.

Tego ostatniego wieczoru w Rzymie Libia była trochę bar-aej ufna, co wywarło na mnie ogromne wrażenie.

zaś

Raffae każdym

–Mam nadzieję, że kolacja będzie ci smakować – powii działa. – Całe popołudnie myślałam, na co miałbyś ochol Nie było jak cię zapytać, toteż odważyłam się zdecydować ciebie. Staralam się zrobić to jak najlepiej.

Było to miłe i poczułem do niej sympatię, kolacja Prawdziwa uczta dla mojego żołądka: pyszna mortadela, meloi z Cantalupo i kuropatwy. Jednak to, co powiedziała, a zwłascz zdanie „całe popołudnie myślałam, na co miałbyś ochot wytrąciło mnie z równowagi, miało bowiem dla mego sumiei podwójny sens, który dotarł do mnie w pełni dopiero późni gdy znalazłem się sam w pokoju.

–Jestem pewien, że masz dobrą intuicję – odpowiedziałe i nasze spojrzenia skrzyżowały się, co nie uszło uwagi siedzącej u drugiego końca stołu.

Libia uśmiechnęła się uprzejmie i usiadła.

Kolacja upłynęła szybko. Zabawiliśmy nieco dłużej deserze, dopóki były na stole słodkie pomarańcze. Właścrrw mógłbym rozmawiać jeszcze dłużej, ale potrzebowałem począc, a przy pełnym żołądku łatwiej o dobroczynny Podziękowałem za kolację i pożegnałem się do nasi dnia, który był dniem mojego wyjazdu. I poszedłem korytarzem do mojego pokoju.

Tę noc pamiętam jak dziś. Wiem, że człowiek musi uci się na własnych błędach, ale mam też świadomość, że nych błędów nie da się naprawić, bo mamy je we i krew nie pozwala nam z nich się wyrwać. Na przed przyjazdem do Rzymu miałem zapowiedź i przeczu tej ostatniej nocy u D'Alemy. Jednak postanowiłem rzu wyzwanie intuicji i nie zmieniłem zamiaru zatrzymania w tym domu. Wówczas przyszedł Szatan i zamieszał O] nem. A ja uległem.

Leżałem po ciemku pod trzema grubymi kocami; nie umi powiedzieć, czy to było na jawie, czy już we śnie, na ciei granicy oddzielającej świadomość od nieświadomości. Sca jaka pojawiła się nagle w mej głowie, była realna i jak

Libia nakładała mi na talerz powoli i z uwagą, szepcząc przy tym coś> czego nie mogłem we śnie zrozumieć. Nalala mi trochę wina i podsunęła bochenek chleba. Wyglądało na to, że nikogo więcej nie ma przy stole ani w całym domu, tylko my dwoje. I nie było w tym nic dziwnego. Zapytałem o córkę, Libia odpowiedziała, ale znów nie zrozumiałem co, jakby mówiła jakimś dziwnym dialektem, w jednym z martwych języków pierwszych mieszkańców Rzymu. Kiedy ponownie napełniała mój talerz, pochyliła się nad stołem, a ja opuściłem wzrok na jej dekolt. I

ujrzałem ruchliwe, jędrne

piersi.

mc

se

Libia wciąż coś szeptała niezrozumiale, uśmiechając się za razem, gdy przyłapywała mnie na ukradkowym podglądaniu jej piersi. Znów pochyliła się, a dekolt rozsunał się jeszcze bardziej. Wcale jej to nie przeszkadzało, nawet się nie pra zarumieniła. Była spokojna. Wstałem od stołu lekko zmieszany i ponowiłem pytanie o córkę; wtedy dotarło do mnie to, co łowiła, i zrozumiałem słowa tkwiące w mych uszach od początku kolacji. „Całe popołudnie myślałam, na co miałbyś „... Libia spojrzała na mnie agresywnie brązowymi wzięła w dłonie obleczone sukienką piersi, ścisnęła i złączyła obie, żeby pokazać, jakie są wspaniałe, a jednocześnie iowtarzała: „Całe popołudnie myślałam, na co miałbyś ochotę” szeptała: „Podobają ci się?”, podsuwając mi je coraz bliżej, icymi rękami rozsznurowałem jej gorset i zsuwałem sukien-z ramion, aż spadła na podłogę. Nagość białych i krągłych liersi odebrała mi resztki rozsądku.

Nie musiałbym sobie nic wyrzucać z powodu tego jednego mu, gdyby nie to, że przestał być snem i zamienił się w pożąda-ie umyślnie podtrzymywane. Nie spałem aż tak głęboko, by zasłużyć na rozgrzeszenie, mogłem się obudzić, gdybym chciał, te wołałem eksplorować najciemniejsze zakamarki mojego

tępn<ochotę”

ciemny oczami

peyi

Drżąc

tydzie kę

ni,

ale

afc estestwa.

Przyciągnąłem do siebie żonę mojego przyjaciela, całowałem żywi1 dotykałem dłońmi całego ciała. Chyba sprawiło jej to przyjem-

ność, bo w odpowiedzi poszukała mojego krocza namięti i z pośpiechem. Podniosła mi habit i pieściła ze znanstwa patrząc na mnie oczami ladacznicy. Jak rozjuszona czarow Delikatnie popchnąłem jej głowę w dół, do moich bic Wsadziłem penisa w jej usta, a ona otuliła go wilgom[^] płaszczem języka. Wessała łapczywie i patrzyła, mioti oczami płomienie, od których mógłbym spłonąć jak na stos Wiedziałem, co chcę zrobić, popchnąłem ją w stronę sti i złączyliśmy się na nim jak czarownica z inkwizytor małżonka z przyjacielem, dwoje ludzi pragnących za rozkoszy; naszą jedyną myślą była doktryna ciała. Jej pie poruszały się gwałtownie; mogłem napatrzeć się do woli i j z nich, co było równie upajające jak wino, które rozlało się stole. Libia zamknęła oczy i wbiła mi paznokcie w plecy, i znać, że osiąga stan ekstazy. Potem leżała naga i uległa, pozostałem w niej, kołysany drganiem ciepłej pochwy, aż j końca. Ta chwila trwała w moich myślach nieskończenie dh Libia podniosła się, zebrała z podłogi porzucane ubr i z uśmiechem położyła dłoń na swych udach, wyczuwa opuszkami palców resztki mojego nasienia. Rzuciła poro niewawcze i tajemnicze spojrzenie, wzięła mnie za rękę i 1 się odwrócić.

Z tyłu stała Raffaella, świeża, młoda i całkiem Dziewczynka w stadium dojrzewania, w której pulsov kobiecość, budząc zachwyty długimi nogami i zgrabnyj piersiami o różowych sutkach. Patrzyła na mnie w mile niu, jakby z wyrzutem, a matka pytała, głaszcząc jej ra na: „Nie masz ochoty pocudzołożyć teraz z Raffaella? chcesz zostawić w niej swego nasienia?”. Krople mc soków nie obeschły jeszcze na jej udach, gdy wtem Li\ wykrzywiła twarz, błysnęła białkami oczu i z diabels uśmiechem wykrzyknęła głosem, który nie należał do „Zostaw w spokoju Necronomicon”.

Obudziłem się z przestraczem i odetchnąłem głęboko; by niespokojny i cały spocony. Zapaliłem lampkę i wyskocz

łóżka, żeby spojrzeć na siebie w lustrze. Nie poznałem vojej twarzy: blada ze strachu i lśniaca z wrażenia. Gdy sierdziłem, że mój ubiór rzeczywiście nosi ślady nasienia, kląłem szczerze w rodzinnym dialekcie genueńskim, przyjmując do wiadomości to niechciane zdarzenie. Rozebrałem jję, umyłem genitalia i twarz i próbowałem zapomnieć wstydlwym śnie. Co się dzieje z moją głową...? Choć Lciąż jeszcze byłem pod wrażeniem doznanej rozkoszy, nie nogłem uwierzyć, że posunąłem się tak daleko, ulegając wiadomie ciemnym stronom mojego jestestwa. Doznawałem rawdziwych tortur, patrząc na obraz w lustrze, gdy nagle Jtoś cicho zapukał dwa razy do drzwi. Nie ruszyłem się j miejsca. Dwa nowe, jeszcze słabsze stuknięcia rozległy się nocnej ciszy. Wziąłem lampę ze stołu i podszedłem do zwi.

–Tommaso? – wyszeptalem. Nie umialem zapanowac id nerwami. Podświadomość mówiła mi, że jeśli to on, na;wno przychodzi po to, by zażądać satysfakcji za mój sen;

klęm zbyt oszołomiony, aby uznać tę myśl za niedorzecz-|ość. – To ty, Tommaso?

–Nie, to ja – odezwał się głos kobiety.

–Kto?

–Raffaella.

Serce podskoczyło mi w piersiach. Spodziewałbym się każ-;go z domowników, tylko nie jej. Jednak to była ona. Otworzyłem.

–Raffaella... Dlaczego nie śpisz...? Co tu robisz o tej>rze... sama...

–Mogę wejść? – zapytała, przerywając moje jąkanie. Zawahałem się chwilę, zanim ją wpuściłem.

–Wejdz. – Kiedy przeszła przez próg, próbowałem ją •trzymać, ale zamknęła za sobą drzwi i zwinnie niczym sarna

temknęła na środek alkowy, a ja ustępowałem. W dziwny 'osób czułem przed nią lęk i wydawało mi się, że winien jej Sstem wyjaśnienie, tak samo jak jej ojcu.

- Nie chciałabym, żeby rodzice dowiedzieli się o tej wizji cie – wyszeptała Raffaella i nie mogłem się z nią nie zgol dzić. – Proszę, żebyście mnie wysłuchali... Mogę?
- Oczywiście... Mów. Przyglądała mi się badawczo.
- Dobrze się czujecie, panie? Jesteście spoceni. Coś się stało?
- Nie, nic... To znaczy... Umyłem twarz. To wszystkł Chcesz mi coś powiedzieć?
- Tak... – Raffaella zawahała się i w pokoju zrobiła sm cisza.
- O co chodzi? – zaczynałem się niecierpliwić.
- Czy mogłabym jutro wyjechać razem z wami, panie? fl Raffaella nie odrywała ode mnie oczu.
- Potarłem nos prawą ręką, jak zwykle gdy chciałem sm zastanowić, po czym postanowiłem uzbroić się w cierpliwośJ oderwałem dłoń od twarzy i wyciągnąłem w stronę dziewczynjł co miało znaczyć, że sama powinna sobie odpowiedzieć na takie dziwne pytanie.
- Chwileczkę... chyba źle zrozumiałem... Moja głowa nil pracuje zbyt dobrze o tak wczesnej porze.
- Wcześniej nie mogliśmy porozmawiać na osobności -M usprawiedliwiała się dziewczyna.
- To takie ważne...? – Raffaella potwierdziła bez słowa. Usiądz. – Pokazałem ręką na łóżko.
- Przysiadła nieśmiało w nogach rozścielonego łóżka, spuściH głowę i skrzyżowała ręce.
- No dobrze... Słucham cię – powiedziałem, próbujsj odgadnąć wzrokiem intencje dziewczyny.
- Zabierzcie mnie ze sobą... Chciałabym zobaczyć wal klasztor w Genui – wyjaśniła niewinnie.
- Jak sobie wyobrażasz naszą podróż?
- Myślę o tym od pierwszego wieczoru, odkąd siedliście razem z nami do stołu i wyjaśnialiście różne mądre rzeczjł Macie dużą wiedzę. Jak pojedę do Genui, będę mieć więcuj

czasu, żeby was słuchać, uczyć się od was i rozumieć wszystko, co mówicie.

Gdyby mogła czytać w mych myślach, jakżeby się rozczarowała... Jeszcze kilka minut temu

ten wytrawny znawca spraw wiary i dobrych obyczajów czyścił z nasienia ubranie, bo we śnie cudzołożył z jej matką i mało brakowało, a robiłby to samo z nią.

–Nie sędzę, bym mógł nauczyć cię czegokolwiek w moim klasztorze i nie sędzę, by twoi rodzice zgodzili się na taką podróż. Panience w twoim wieku nie trzeba tyle wiedzy. Lepiej spędzać miło czas z rówieśnikami.

–Myślicie tak samo jak mój ojciec? Że nie wolno mi jako kobiecie czuć ani wybierać – zapytała gniewnie Raffaella.

–Jak tylko tu weszłaś, zrozumiałem, że jesteś kobietą – zapewniłem.

–To znaczy, że moglibyście patrzeć na mnie takim samym wzrokiem jak na moją matkę? – Oczy Raffaelli zapłonęły. Było oczywiste, jaka powinna być moja odpowiedź. Widziałem to w jej oczach...

–No tak... Jesteś tak samo kobieca jak matka – odpowiedziałem.

–A gdyby to ona zaproponowała, że z wami pojedzie, co byście jej powiedzieli?

Zwlekałem z odpowiedzią.

–Dlaczego pytasz?

–Bo widziałam wasz wzrok. Wiem, jak patrzyliście na moją matkę dziś przy kolacji.

–Co takiego widziałaś w moim wzroku?

Raffaella uśmiechnęła się w taki sposób, że rysy jej twarzy zaostrzyły się, jakby nagle wydorosłała.

–Wiem, że nie macie żony...

Westchnąłem. Znów musiałem uzbroić się w cierpliwość i popatrzyłem surowo na młodą D'Alemę, zanim odpowiedziałem.

–Coś ci powiem: obiecaj, że wysłuchasz moich rad, a jak wrócę następnej wiosny, to zostanę z tobą, ile tylko zechcesz.

–Dobrze – mruknęła bez przekonania.

–Nigdzie nie wyjedziesz. Będziesz pomagać rodzicom w domu, możesz studiować... poezję... A teraz dostaniesz ode mnie prezent. Rozumiesz Raffaello?

–Jaki prezent?

–Podaruję ci moją ulubioną książkę.

Odwróciłem się i wziąłem z szafki obok łóżka stary egzemplarz.

–To dla mnie? – wykrzyknęła Raffaella i nieśmiało, prawie nabożnie, wzięła do ręki książkę.

–To bardzo cenna książka, dbaj o nią, jest twoja. Powinnaś nauczyć się łaciny, w przeciwnym razie będę zmuszony czytać ci po kawałku za każdym razem, jak się zobaczymy.

–Wyznania... Święty Augustyn – wyszeptała modlitewnie dziewczyna, głaszcząc skórzaną okładkę.

–A teraz obiecaj, że przestaniesz myśleć o wyjeździe z inkwizytorem. Zostań w domu, ucz się, a będziesz taka jak ja.

–Mam zostać zakonnica? – zapytała z pochyloną głową.

–Nie! – zawołałem gwałtownie, nie dając jej dokończyć. – Nie to chciałem powiedzieć... Ja...

–To dobrze – przerwała, mile zaskoczona moją reakcją. – Nie ukrywam, że chciałabym pewnego dnia wyjść za mąż.

Podniosłem delikatnie jej brodę i spojrzałem w oczy. Wiedziała, czego chcę, i świadomie dążyła do celu.

–Jesteś dużo bardziej atrakcyjna niż matka... Nie spiesz się, na wszystko przyjdzie czas.

Wyglądała na speszoną moimi słowami i zachowaniem. To był dobry moment, żeby odprowadzić ją do drzwi i zakończyć rozmowę. W ciemnym korytarzu pożegnałem ją ojcowskim pocałunkiem w czoło. Odeszła dwa kroki i odwróciła się –

patrzyła na mnie w ciemności. Zamknąłem drzwi i wróciłem do łóżka, do ciepłej pościeli i myśli pełnych zamętu. Łóżko wydzielalo delikatną woń perfum.

6

Podróż do Genui była męcząca, długa i uciążliwa. Rzadko się zatrzymywaliśmy, a w miarę jak zbliżaliśmy się do miejsca przeznaczenia, pojazd wydawał się wewnątrz coraz ciaśniejszy. Z sześciokonnym zaprzęgiem i doświadczonymi woźnicami nie obawiałem się zwłoki w podróży.

Za nami zostały złoza marmurów w Massie i w Carrarze. Kończył się pejzaż Toskanii i przed nami wznosił się Apenin Liguryjski -jakby witając, uprzedzał o czekających nas jeszcze trudach drogi. Zbliżyliśmy się do Spezia, co stwierdzałem po zapachu morza i widoku dużych drzew oliwnych. Byłem na mojej ziemi. Liguria odkrywała przed nami swoje wdzięki.

Przejechaliśmy ponad siedemdziesiąt mil, zostało nam jeszcze dwadzieścia. Podróżowałem sam, za to ze wszystkimi wygodami. Miałem jedzenie, obfitość picia i dużo lektury, jednak po trzech dniach podróży odczuwałem przede wszystkim potrzebę odpoczynku. Niewielki oddział z watykańskimi flagami chronił mnie przed wandalami, którzy żyli z napadów na karoce i zabijania podróżnych. Kościół budził respekt: jego ludzie i jego mienie były praktycznie nienaruszalne.

Sięgnąłem po butelkę grappy, podarunek Tommasa. Obejrzałem i wyciągnąłem korek. To był właściwy moment, żeby wypić łyk i oderwać się od myśli, które były jedynymi towarzyszami mej podróży i nie dawały się powstrzymać. Uczepiły się kuferka z archiwum Świętego Oficjum. Miałem go przy sobie, więc wyjąłem, żeby obejrzeć. Wizerunek diabła zmroził mi krew w żyłach. Podniosłem wieczko i przyjrzałem się zawartości. Nie było tam tego, czego się spodziewałem, ale

znalazłem wystarczająco dużo. Zamknąłem kuferek. Patrzyłem na drzewa oliwne przesuwające się w oknie karocy i podziwiałem zamierający blask zachodzącego słońca pokonanego przez siły zaczynającej się nocy. Wróciłem myślami do zalakowanej koperty, którą dostałem od kardynała Iuliana i kiedy znów spojrzałem na otaczający krajobraz, w oddali zamajaczyła niewyraźnie czarna postać w lachmanach, chwiejąca się jak strzęp materiału na wietrze. Ktoś śledził karocę, odkąd wjechaliśmy w góry.

Cień znający dobrze moje kroki, sylwetka budząca strach i pokusę... Diabeł.

III

TRYBUNAŁ ŚWIĘTEGO OFICJUM

7

Od rana krążyłem po korytarzach w podziemiach mojego klasztoru Santa Maria di Castello. W kościach czułem jeszcze skutki długiej, męczącej podróży i przy każdym silniejszym ruchu dawały o sobie znać obolałe stawy. Spałem krótko, lecz całkiem dobrze, na szczęście, bo umysł miałem odświeżony. Tego właśnie potrzebowałem.

Obok kroczył wikariusz Rivara. Ten skromnie~wyglądający mężczyzna, uprzejmy, dobrotliwy, nadzwyczaj skuteczny w działaniu i drobiazgowy, był moją prawą ręką. Od początku intuicyjnie darzyłem go ślepym zaufaniem, które rosło w miarę upływu lat. Był dla mnie kimś więcej niż wikarym klasztoru, dużo więcej niż notariuszem. Był moim przyjacielem. Po wspólnej porannej mszy i lekkim posiłku zaczął mnie informować, co zaszło w czasie mojej nieobecności. Wikariusz kroczył z założonymi rękami, schowanymi w rękawach habitu, pochylał głowę o jasnych, kręconych włosach, mówił łagodnym głosem. Echo odbijało się wzdłuż korytarza harmonijnym dźwiękiem, który słyszały tylko ściany klasztoru i biegające po posadzce szczury. Najpierw zostałem poinformowany o sprawach mniejszej wagi, a potem zaskoczony wiadomością dla niego najważniejszą.

51

–Gianmaria od kilku dni źle się zachowuje, ojcie przeorze – powiedział Rivara, wbijając mocno w posadzkę wypukłe niebieskie oczy. – Próbowaliśmy nawiązać z nim kontakt, ale się nie zgodził, nie przyjął papieru ani pióra i atramentu, choć zaproponowaliśmy spisanie obrony. Sądzę, że dobrowolnie się nie przyzna.

–A czego chce? – spytałem, nasuwając kaptur na twarz, bo chociaż byliśmy pod dachem, to zimno i wilgoć panujące w lochach bardzo mi przeszkadzały i musiałem zakrywać głowę.

–Nie wiem. Zachowuje się bezczelnie. Kazałem karmić go tylko raz dziennie, chlebem i wodą,

niczym więcej.

–Od kiedy?

–Od dwóch dni.

Zawieszona na murach kaganki oliwne rzucały na naszą drogę wątłe światło i oczy Rivary świeciły się, kiedy przechodziliśmy obok.

–Co z nim zrobicie, ojcze przeorze?

Zatrzymałem się w środku wilgotnego korytarza. Mury rzucały matowy cień na moją twarz o surowych rysach, która wydawała się jak z kamienia; bezlitosna, nie wyrażała żadnych emocji.

–Przygotuj na popołudnie sesję trybunału. Gianmaria odpowie na moje pytania.

Wikary podumał, a rezultat tych kalkulacji odbił się niezadowoleniem w jego oczach.

–Zdążę na koniec dnia, przed zachodem słońca.

–Nie... Sesja rozpocznie się zaraz po obiedzie.

–Będzie trudno, ojcze przeorze – zaproponował Rivara. – Heretyka trzeba umyć, oporządzić... I obciąć mu włosy, zanim stanie przed wami. To zajmie trochę czasu. Jest w oplakany stanie i cuchnie, że aż strach. Po co macie to znosić.

–Zapomnij o formalnościach, bracie Rivara – powiedziałem stanowczo. – Więzień ma być gotowy zaraz po obiedzie. Zbierz trybunał, nie mamy czasu do stracenia.

–Będzie, jak każesz, ojcze przeorze. Zaraz po obiedzie.

Rivara chciał już odejść, ale go przytrzymałem i opierając delikatnie dłoń na jego piersi, wydałem jeszcze jedno polecenie.

–Zadbaj, żeby Gianmaria najadł się przed przesłuchaniem. Niech dostanie podwójny obiad i picia pod dostatkiem. Dajcie mu pomarańcze, słodycze i przynieście wełniany materac, żeby dobrze wypoczął. Po południu ma być pełen animuszu, rozumiesz?

–Będzie, jak każesz, ojcie przeorze.

Kontynuowałem przechadzkę, zostawiając wikariusza samego, aby przemyślał sprawy organizacyjne, które zajmą mu najbliższe godziny. Nie będzie łatwo zebrać trybunał, niektórzy członkowie zgłoszą sprzeciw, że za szybko, będą domagać się wyjaśnień. Tak czy inaczej moje polecenie zostanie wykonane, bo nikt nie chce popaść w niełaskę u Wielkiego Inkwizytora DeGrasso, Czarnego Anioła Genui.

Przed rozprawą lubiłem zamykać się w gabinecie, aby spokojnie przejrzeć akta. Dzięki temu byłem przygotowany na każdą okoliczność, żeby przyprzeć złoczyńcę do muru, i nie przestawałem pytać, póki nie osiągnąłem celu: przyznanie się do herezji. Jasne, że to nie było łatwe, wiele razy moja strategia rozsypywała się wskutek świetnej obrony oskarżonego. Wiedziałem, że Gianmaria to ciężki orzech do zgryzienia, zresztą tak wynikało z akt; nie ugiął się przed inkwizytorem Wenecji ani w moim więzieniu. Odizolowanie nie miało na niego żadnego wpływu, zachował jasność umysłu i niezwykła inteligencja pomoże mu z pewnością unikać moich pytań przy użyciu tak pokrętnego języka, że trybunał nie przywiąże większej wagi do obelżywych wypowiedzi szaleńca.

Byłem rozkojarzony, coś nie pozwalało mi się skupić. To coś znajdowało się koło mnie, wewnątrz wielkiej dębowej szafy, której strzegł piękny krucyfiks wyrzeźbiony na drzwiach. Przerwałem lekturę materiałów dowodowych i z kluczem w ręku podszedłem do szafy. Była tam gruba koperta przywieziona

z Rzymu. Patrzyłem, ale nie śmiałem jej dotknąć. Wreszcie wziąłem, żeby przenieść na biurko. Byłem zaintrygowany jak dziecko, podziwiające prezent, którego jeszcze nie może otworzyć.

Wewnątrz znajdowała się wiadomość od Świętego Oficjum, które działając powoli jak śmierć, trzymało mnie w szachu, w mentalnej pułapce. Siadłem i ostrym sztyletem odkleiłem lakową pieczęć. W środku była druga skórzana koperta z napisem Sacra Congregatio Romanae et Universalis Inquisitionis seu Sancti Offici i kolejna pieczęć gwarantująca nienaruszalność zawartości. Obok znajdowała się karteczka zapisana czarnym atramentem dużymi literami, które zacząłem czytać w świetle wpadającym przez okno:

Bracie DeGrasso,

Koperta, którą masz teraz w swoich dłoniach, zawiera dokładne instrukcje dotyczące przyszłej misji. W tej kopercie znajdziesz trzy inne z pieczęciami, które otworzysz w odpowiednim momencie. Każda koperta jest oznakowana pieczęcią ewangelisty, pierwsza nosi znak świętego Łukasza, druga, świętego Mateusza, a trzecia świętego Jana.

Twoja podróż rozpocznie się pierwszego grudnia w Genui, ale zdjęcie pieczęci świętego Łukasza może nastąpić dopiero na pełnym morzu, kiedy miniesz Wyspy Kanaryjskie, płynąc w kierunku Cartagena de las Indias.

Pieczęć świętego Mateusza otworzysz, gdy galeon znajdzie się na bezpiecznych wodach Circulus aequinoctialis wraz z innymi statkami eskadry hiszpańskiej.

I na koniec pieczęć świętego Łukasza, którą otworzysz na lądzie, w pobliżu miasta Asunción. Każde otwarcie musi być dokonane w obecności specjalnego notariusza, który zostanie Wam przydzielony i wysłany bezpośrednio z Rzymu.

Niech łaska Boża przyświeca twoim czynom i błogosławi dni Twoje w tej ważnej misji.

Podpis kardynała Vincenza Iuliana kończył ten krótki, niewiele wyjaśniający tekst.

Notariusz? Nikt mi o nim dotąd nie mówił, nikt mnie nie uprzedził, że miałem czekać na notariusza, żeby się zaokrętować, i na dodatek kogoś, kogo nie znam. Notariusz był niezbędny, żeby sporządzić protokół ze wszystkiego, co wydarzyło się przed trybunałem i każdy inkwizytor wybierał sobie własnego, ponieważ każdy błąd popełniony w procesie mógł zostać zawołany lub podkreślony przez tego człowieka, którego jedyną bronią był papier i kałamarz.

Krótkie stukanie do drzwi kazało mi przerwać rozważania i zacząć szybko działać. Nikt nie powinien wiedzieć o tych kopertach, więc wsunąłem kartkę do pierwszej koperty i włożyłem na nowo do szafy, przekręcając w niej klucz. Następnie podszedłem do drzwi i otworzyłem, zdążywszy rzucić okiem na pukającego. Wikary Rivara obserwował mnie z zaciekawieniem. Punktualny jak zwykle przyszedł mnie zawiadomić, że wszystko jest gotowe do rozpoczęcia sesji trybunału. Minęła godzina, odkąd wybiło południe.

8

Wszystko było przygotowane w małej sali sądowej umieszczonej w podziemiach. Trybunał czekał na mnie na podwyższeniu. Zważywszy na nagłość sprawy, wezwano nie wszystkich, lecz tylko niezbędnych członków trybunału. Polak Damian Wołcho-wicz, prokurator, zajmował miejsce po prawej stronie, obok adwokata Daniele Menazziego, wikary Rivara zaś, który reprezentował biskupa naszej diecezji i występował jako notariusz, zasiadał z lewego końca stołu. Miejsce centralne było wolne; na wprost znajdował się wielki krucyfik, który przewodniczył zebraniem jako symbol głębokiego ducha chrześcijańskiego panującego podczas sesji. Było to miejsce zarezerwowane dla inkwizytora, czyli dla mnie. Usiadłem i rozłożyłem notatki na stole.

55

–Ojcie przeorze – odezwał się cicho wikary – Gianmaria czeka na zewnątrz.

Dałem znak palcem wskazującym, żeby go wprowadzono. Strażnik więzienny i dwóch jego ludzi eskortowali oskarżonego. Poruszał się powoli, skuty w kostkach łańcuchem. Spojrzenie miał puste, a długie kędzierzawe włosy na kształtnej głowie były skołtunione. Już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie chorego, choć trzymał się całkiem dzielnie, co nie dziwiło trybunału; oskarżeni, wzywając na pomoc resztki dumy, często próbowali pokazać, że są nieskazitelni i nieulekli, aby tym bardziej uwiarygodnić swe stwierdzenia albo zaprzeczenia. Nie da się jednak ukryć, że pobyt w lochach klasztoru wyniszczał fizycznie i umysłowo. Twarz i wygląd Gianmarii były tego potwierdzeniem. Nie wyglądał na człowieka zaledwie trzydziestoletniego. Rosłe ciało było wygłodzone i pokryte krostami wskutek długotrwałego kontaktu z zimną, wilgotną posadzką. Na ramionach miał blizny po sztylcie; układały się w dziwne symbole, a ich

znaczenia nie dało się rozszyfrować. Więzienie spowodowało znaczną deformację kości; z braku ruchu odczuwał często w mięśniach silne, kłujące bóle i nocą jęczał żałośnie. Strażnicy doprowadzili przestępcę do małej ławki na wprost trybunału i popychając, dali znak, żeby usiadł. Następnie wycofali się na drugi kraniec sali.

–Nazwisko? – zapytał oskarżonego notariusz. Wszyscy znaliśmy nazwisko przestępcy, jednak było to

pytanie, które należało odnotować w aktach przesłuchania. Przestępca również wiedział, że wiemy, jak się nazywa, lecz zachowywał się, jakby o tym nie myślał.

–Eros Gianmaria – zawył, pokazując zgniłe, brudne zęby. Notariusz przystąpił do czynności formalnych. W nisko

sklepionej sali, oświetlonej trzema świecznikami, rozbrzmiewały słowa po łacinie, choć samo przesłuchanie miało się odbyć w języku włoskim.

–Dnia dwudziestego szóstego listopada, roku Pańskiego tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego siódmego w godzinach po-

południowych rozpoczyna się posiedzenie czcigodnego Trybunału Świętego Oficjum Ligurii przeciwko Erosowi Gianmarii oskarżonemu o czyny przeciwne wierze. Odtąd wszystko, co powie oskarżony, będzie uznane za dowód jego niewinności lub winy. Przesłuchanie prowadzi przewodniczący trybunału, Inkwizytor Generalny Angelo Demetrio DeGrasso. Jako notariusz z upoważnienia Świętego Oficjum poświadczam to wpisaniem do księgi protokołów.

Żałobna cisza zapadła w sali po słowach notariusza. Podniosłem oczy i spojrzałem prosto na oskarżonego.

–Zaczynam przesłuchanie w imię Kościoła. – Zrobiłem pauzę i wpatrywałem się w niego jeszcze baczniej, po czym odezwałem się mocnym głosem, od którego dudniło w całej sali: – Proszę mi powiedzieć, Gianmaria... Dlaczego postawiono cię przede mną?

Nie podnosząc oczu, oskarżony wybelkotał, mieszając dialekt wenecki ze źle wymawianymi słowami włoskimi.

–Naprawdę nie wiem. Myślałem, że wy to wiecie, bo ja nie zrobiłem nic złego.

Gianmaria pozostawał przez dłuższy czas w zamknięciu bez konkretnego oskarżenia. Takie postępowanie było typowe i na ogół skuteczne, żeby zachęcić do rachunku sumienia i wyznania poczynionego w efekcie samotnych rozmyślań.

–Daliśmy ci możliwość obrony. W tych dniach otrzymałeś w celi świeczki, papier, pióra i atrament. Dlaczego nie skorzystałeś z tej cennej możliwości?

Najwyraźniej Eros postanowił nie pokazywać swego oblicza, bo głowę miał pochyloną i włosy spadały mu na twarz.

–Ten trybunał nie wierzy w moje słowa... W gruncie rzeczy nie wiem, czego ode mnie chce. Czekacie tylko na moje potknięcie, żeby mnie skazać. A teraz pytam... Czy tak ma wyglądać uczciwy proces? Podrzucacie mi pióra i papier, wiedząc, że nie mam nic więcej prócz suchego chleba i brudnej wody... Obrona? O jakiej obronie mówicie? Dla waszych wielmożności liczą się takie słowa, które mnie pogrążają, tylko

takie, za które można mnie skazać. Kiedy wołam, że jestem niewinny... wasze uszy są jak z kamienia... Traktujecie mnie jak kłamcę. Inkwizytorze DeGrasso, nie każcie mi się bronić na piśmie, bo mam złe wspomnienia.

–Jesteś oskarżony o herezję – kontynuowałem – o wiarę i nauczanie niezgodne z tym, co głosi Święty Kościół. Co ty na to?

Przestępca wzięł oddech, spojrział na trybunał i skierował się do mnie.

–Chciałbym wiedzieć, kto mnie oskarża, bo nie czuję się winny heretyckich wierzeń ani czynów.

–Dobrze wiesz, Gianmaria, że świadkowie są pod naszą ochroną i zabrania się mówić o nich w procesie. Ale proszę mi wierzyć, to są porządni ludzie. A może mi nie wierzysz?

–Oczywiście, że tak, Wasza Miłość. Szczerze wierzę w to, co mówicie – wymamrotał Gianmaria, patrząc w podłogę.

–Idźmy dalej. Twierdzisz zatem, że oskarżenia są fałszywe i świadkowie kłamią...

–Nie wiem, czy kłamią, ale jestem pewien, że się mylą – odparł Gianmaria, przerywając mi. –

–Jeśli twierdzisz, że ludzie, którzy oskarżają cię o herezję, mylą się, to znaczy, że rzucają oszczerstwa i w konsekwencji okłamują czcigodny trybunał.

–Nie mówię, że okłamują. Mówię, że się mylą.

–Nie mylą się...! Sam sugerowałeś, że ich oskarżenia są kłamliwe – stwierdziłem energicznie.

–Tak, Wasza Miłość... Kłamią. Proszę mi wybaczyć, że się płaczę, ale prosty ze mnie człowiek, nie umiem mówić ani rozumować jak Wasze Wielmożności, nie jestem doktorem ani prawnikiem.

–Skoro jednak niektórzy ludzie oskarżają cię o herezję – wtrącił niespokojnie Wołchowicz – to co masz na swoje usprawiedliwienie, Gianmaria.

Eros nie przejął się tym pytaniem i zwlekał z odpowiedzią.

–Proszę ich o to zapytać... Tych, co rzucają kamieniem,

a sami, jak się zdaje, są bez grzechu – odparł wreszcie, podrapał się po nosie i znów zapadł w milczenie; wciąż wpatrywał się w podłogę i nie przejawiał ochoty do rozmowy. To był właściwy moment, aby kontynuować przesłuchanie.

–Gianmaria... jesteś oskarżony o uprawianie czarów, posiadanie i rozpowszechnianie zakazanych ksiąg, udział w obrzędach satanistycznych i przede wszystkim o okrutne morderstwa, które popełniłeś w imię swych heretyckich wierzeń. Czy to prawda?

–Zapytajcie o to donosicieli; jeśli potwierdzą, macie gotowy wyrok. Możecie mnie potem spalić i opowiedzieć ludziom, że byłem potworem.

–Sam musisz ustosunkować się do tych zarzutów. Zechciej się wypowiadać i usprawiedliwić. Jak to zrobisz, sprawa będzie zamknięta.

–Jaką wartość ma moje słowo? Czy nie po to wsadziliście mnie do więzienia, żeby mnie uciszyć? Gdyby moje słowo naprawdę się liczyło, nie milczałbym. Zresztą spowiedź to coś bardzo osobistego. Na pewno bym to zrobił wobec kogoś, kto zasługuje na to, aby powierzyć mu swoje troski.

–Nam możesz wszystko powiedzieć. Nie znajdziesz bardziej godnych osób – odparł cicho prokurator.

Oskarżony po raz pierwszy podniósł głowę i utkwiał wzrok w Wołchowiczu. Miał poczerwiałą twarz z krzywym nosem i złamaną przegrodę nosową. Broda Gianmarii nie była zbyt długa, ale wyglądała plugawo, wilgotna, z resztkami zaschniętych płwocin.

–Naprawdę uważacie się za godnego wysłuchania spowiedzi, panie? – walnął mu prosto w oczy.

Wołchowicz zaniemówił, poczerwieniał i odparł gniewnie:

–Co to ma znaczyć? Czyżbyś wątpił w mą uczciwość? Nie zapominaj, że jestem prokuratorem... Więcej szacunku dla tego stanowiska!

Gianmaria nie przejął się zbyt reakcją Polaka.

–Ten człowiek o białych włosach – mówił, wytykając go

palcem -jest dobrze znany jako wielki miłośnik monet. Jakże więc ten nędzny mnich, który sprawuje sakramenty wyłącznie za pieniądze, może być godnym spowiednikiem? Ani odpusty od Ojca Świętego, ani kieszenie pełne złota nie wybawią go od ognia piekielnego. Naprawdę

sądzisz, że mógłbym wypowiadać się przed tobą? – Najwyraźniej Gianmaria dobrze znał prokuratora, który cieszył się bardzo złą opinią wśród pospólstwa. Wołchowicz wybuchnął gniewem i walnął ręką w stół.

–To zniewaga! Za dużo sobie pozwala ten heretyk...! Uciszyć zuchwalca! – Damian dał znak strażnikom, że przestępca zasłużył na cięgi, ale powstrzymałem ich. Nawet za mniejsze przewinienie byli gotowi połamać kości Gianmarii. Polak nie wierzył własnym oczom, że oto sam inkwizytor podważa jego decyzję.

–Nikt na tej sali nie będzie wymierzać sprawiedliwości na własną rękę – krzyknąłem i pogroziłem palcem. – Jestem przewodniczącym trybunału i nie będę tolerować nadużycia władzy.

Zdałem sobie sprawę, jak żenująca była ta sytuacja dla Wołchowicza, i nie chciałem go skrzywdzić, ale miałem swój własny cel: uzyskać od Gianmarii potrzebną informację. Eros uśmiechnął się i mówił dalej, pastwiąc się werbalnie nad Polakiem.

–Zdawać by się mogło, że pan Wołchowicz dobrze zna tajniki alchemii, bo potrafi przekształcać słowa w złoto. Czyż nie są prawdziwe pogłoski, że lubi opatrywać sakramentem bogaczy na łożu śmierci? Tylko magik potrafi napełniać swoje kieszenie, udzielając ostatniego namaszczenia... Ile dałbyś teraz tych „magicznych” dukatów, żeby zobaczyć, jak cierpię? – Eros zwracał się wprost do Polaka, który kipiał z wściekłości. – Ileż szlachetnego złota genueńskiego jest w twoich kieszeniach, ileż nienawiści w twoim sercu, panie Apostole Chrystusa.

Rozgniewany Wołchowicz wstał z miejsca, chwycił nóż do rozcinania papieru i zamierzył się na przestępcę. Strażnicy,

gotowi dobrać szpady, nie spuszczała z więźnia oka; mieli obowiązek czuwać nad bezpieczeństwem każdego członka trybunału.

–Damian! – wykrzyknął notariusz. – Proszę usiąść i uspokoić się...! Siadaj, na miłość Boską!

Konflikt wisiał w powietrzu jeszcze przez kilka minut. Gianmaria dostał poważne ostrzeżenie, że jeśli nie zaprzestanie obelg, będzie ukarany, i stopniowo wszystko wracało do pozornej, mało wiarygodnej normy.

–Gianmaria – kontynuowałem – obiecuję poprowadzić tę sesję spokojnie, nikogo nie obrażając. Czy jesteś gotów złożyć taką samą obietnicę?

–Widzę, że Czarny Anioł proponuje rozejm. Jakżeż miałbym nie ufać waszemu słowu?

Zaniemówiłem ze zdziwienia, że można tak bezczelnie wymawiać mój przydomek przed trybunałem. Ale powstrzymałem zalewającą mnie falę gniewu, mając na uwadze misję, powierzoną mi przez Ojca Świętego, i odparłem:

–Byłby to z pewnością krok do przodu w naszych stosunkach. Nie sądzisz?

–Tak jest. – Oskarżony chyba wreszcie zrozumiał. Świadomie zrobiłem krótką pauzę, po czym ciągnąłem dalej.

Przesłuchanie dopiero się zaczynało.

–Uważasz się za niewinnego?

–Tak, Wasza Miłość. To wszystko jest spiskiem przeciwko mojej osobie.

–Sądzisz, że świadkowie, a są to porządni ludzie, popełniają krzywoprzysięstwo i niesłusznie cię oskarżają?

–Tak, Wasza Miłość.

–Zatem, czy wierzysz w to, co głosi i naucza Kościół Święty?

–Tak, Wasza Miłość.

–Czy wierzysz w doktryny inne niż te, które Kościół rzymski uznaje za prawdziwe?

–Nie, nigdy, Wasza Miłość.

–Jesteś żydem?

–Nie mam nic wspólnego z żydami... Nigdy się z nimi nie zadawałem.

–Zatem twierdzisz, że nie jesteś heretykiem ani żydem. Uważasz się za chrześcijanina?

–Tak, Wasza Miłość.

–Twoja wiara jest, jak twierdzisz, chrześcijańska. Zatem wierzysz w Chrystusa zrodzonego z Maryi, który cierpiał jako człowiek, został umęczony, umarł i pogrzebion, zstąpił do piekieł i powstał z martwych?

–Wierzę.

–Wierzysz, że chleb i wino ofiarowane podczas Mszy Świętej przeistaczają się w Ciało i Krew Chrystusa?

–Wierzę.

–Wierzysz w Trójcę Świętą, Ojca, Syna i Ducha Świętego jako Boga Trójjedynego, podstawową wiarę każdego chrześcijanina?

–Wierzę.

–Wierzysz w Jezusa, wcielenie Słowa Bożego?

–Wierzę.

–Wierzysz, że Słowo Boże jest Bogiem prawdziwym, tak jak nauczają nasi księża według Ewangelii świętego Jana rozdział pierwszy, werset pierwszy?

–Wierzę.

–Wierzysz w Chrystusa i w złączenie boskiej i ludzkiej natury w jednej osobie?

–Wierzę

–Wierzysz, że Maryja Dziewica jako matka poczęła z Ducha Świętego i porodziła Słowo Boże?

–Wierzę.

–Wierzysz więc, że Maryja jest matką Bożą, jeśli chodzi o naturę ludzką?

–Wierzę.

–Wierzysz, że Święty Kościół, papież, biskupi i kler są bezpośrednimi następcami Piotra i apostołów na ziemi?

–Wierzę.

–Wierzysz w przekazanie władzy Jezusa ziemskiemu Wikariuszowi, w autorytet papieża, który rozmawia z Chrystusem za sprawą Ducha Świętego?

–Wierzę – szepnął Gianmaria trochę już zmęczony tą serią szybkich pytań.

–Dobrze. Nadszedł więc moment, abyś potwierdził przysięgą to, co powiedziałeś i co notariusz wpisał do księgi z tej sesji.

–Czyż przysięganie nie jest nam, chrześcijanom, zabronione? – zapytał heretyk.

–Nie zmuszam do składania przysięgi, zostawiam to twojej decyzji, bo gdybym cię zmusił, mógłbyś powiedzieć, że nakłoniłem cię do błędu wobec wiary i grzech ten spocząłby na mojej osobie. Ale jeśli zechcesz przysiąc bez mego zezwolenia, wysłucham.

–A jeśli nie przysięgnę?

–Będzie to podejrzone... Nie sądzisz?

–Jak mam przysiąc?

–Podnieś prawą rękę do góry, staraj się nie krzyżować palców. Potem przysięgnij, że to, co mówiłeś o religii, jest prawdą... Przysięgnij na Pismo Święte.

Gianmaria uśmiechnął się. Podniósł prawą rękę i powiedział, patrząc na Polaka:

–Przysięgam, że mówiłem prawdę. Przysięgam na Pismo Święte.

Teraz ja się uśmiechnąłem. Gianmaria połknął haczyk.

–Notariuszu, niech pan każe przynieść dowody – powiedziałem, nie spuszczając oczu z przestępcy.

Do sali wkroczył mnich, niosąc drewnianą skrzynkę i kuferek, które przywiozłem z Rzymu. Postawił je przede mną na stole. Wyjąłem ze skrzynki dwie książki w twardej okładce napisane odręcznie po włosku. Jedną z nich otwarłem i pokazałem trybunałowi.

–Ta księga w języku włoskim zawiera żalosne historie

i zaklęcia. Spójrzcie na te rysunki: papież z głową kozła, kardynał z nogami wilka, a wokół

nich dworzanie. Co to za literatura?

Spojrzałem na heretyka i pokazałem zawartość drugiej książki.

–Przeczytajcie uważnie te tytuły: Adoracja trzeciej części nieruchomości gwiazd, Wyrocznia z głębi morza, Siedem diademów na głowach, Panowanie siedmiu głów... Czy to nie jest literatura diabelska?

Położyłem książki na stole i otwarłem kuferek, z którego wyjąłem dwa woreczki z materiału. Pod uważnym spojrzeniem trybunału wysypałem na stół zawartość jednego z nich.

–Czarna ziemia pochodząca niewątpliwie z jakiegoś cmentarza. – Potrząsnąłem drugim woreczkiem. – A co sądzicie

o tym? – Na stół wypadł fragment ludzkiej szczęki z resztkami świeżej ziemi i śladami zadanej rany. – To zostało znalezione w jego ostatnim domu, w Wenecji. Czyż nie jest to dowód na uprawianie satanizmu, kultu bałwochwalczego i innego plugastwa? Czyż nie jest to dostateczny dowód na to, że kłamie przed trybunałem, że przysięgał fałszywie i kpi sobie z moich pobożnych intencji poprowadzenia procesu bez uciekania się do tortur?

Gianmaria odparł lekceważącym tonem:

–Skąd wiecie, że to wszystko należy do mnie?

–Znaleziono to przy tobie, kiedy zostałeś zatrzymany w Wenecji.

–Kim są Wasze Wielmożności, by przypisywać mi posiadanie takich nędznych rzeczy?

–Jesteśmy zakonnikami. Czyżbyś wątpił w uczciwość

1 bezstronność dominikanów?

–Kłamstwo! To wszystko jest stekiem kłamstw! Wymyślacie dowody, żeby mnie skazać. Sądźcie, że wystarczy kilka kości i garść brudnej czarnej ziemi, aby załatwić całą sprawę...? Jeśli to mają być dostateczne dowody, nie widzę sensu bronić się przed trybunałem, który wierzy w zabobony. Ziemia i kości! Gdzie tu przestępstwo?

–Milczeć! – wykrzyknąłem. – Jesteś kłamcą, masz język żmii! Popeliłeś krzywoprzysięstwo, a teraz kłamiesz ustami diabła. Posiadam aż nadto dowodów, by skazać cię za herezję.

–To nie są wiarygodne dowody – zauważył czarownik.

–Więc przysięgnij, że to nie są twoje rzeczy – wtrącił Wołchowicz. – Jeśli naprawdę masz czyste sumienie, przysięgnij, że jesteś niewinny!

–Przed tobą nie będę przysięgać! – Gianmaria darł się jak opętany. – Bezczelny, rozpustny Polak... Tobie nie chodzi o doktrynę. Wolisz burdele, ty występny mnichu!

–On bluźni! – ryknął Polak, zrywając się z miejsca. – Znowu znieważył trybunał. Trzeba by mu zamknąć usta raz na zawsze. Zasłużył sobie na to. Widzi dowody oskarżenia i nadal kłamie.

–Oświadczam, że dowody, które dotarły do nas z Wenecji, są wiarygodne – musiałem podnieść głos, aby uciszyć ten harmider. – Koniec dyskusji na ten temat. Mamy wystarczające dowody, żeby wykazać, że doszło do herezji.

–Czarnemu Aniołowi potrzebny jest nowy heretyk, żeby go posłać na stos, prawda? – Eros był zdesperowany. – Wasza Miłość stosuje metody, które cuchną...

–Uważaj, co mówisz – poradziłem.

–Niby dlaczego? I tak czeka mnie stos.

–Niewątpliwie, ale zachowaj się jak mężczyzna, a nie jak zatwardziały heretyk – powoli podsyciałem w nim gniew.

–A jak byś postąpił na moim miejscu? Zachowałbyś spokój inkwizytora czy też jak każdy człowiek czułbyś strach przed miejscem straceń?

–Postąpiłbym jak Chrystus.

Wreszcie mi się udało osiągnąć to, co chciałem, i Eros sam się pogrążył.

–Chrystus był tchórzem – powiedział przez zęby. Członkowie trybunału zatrzęśli się z oburzenia. – Chrystus wysłuchał diabła na pustyni... Nie wytrzymał śmiertelnych męczarni zadawanych ciału. Chrystus bał się...

–To bluźnierstwo! – zawołał znowu Wołchowicz, potrząsając grzywą białych włosów bujną jak u lwa. – Jak śmiesz obrażać Jezusa Chrystusa! Natychmiast to odwołaj!

**–Bzdury! – warknął Eros. – A może nie błagał, aby go ominął kielich śmierci? Tak czy nie...?
Jak to było? – Eros patrzył na nas błyszczącymi oczami, domagając się odpowiedzi.**

Spojrzałem na Gianmarię i dalej przypierałem go do muru.

–Nie będziemy dyskutować z kimś, przez kogo przemawia diabeł, bo takie argumenty oparte są tylko na kłamstwie. Jesteśmy teologami, nie musimy wysłuchiwać twoich heretyckich uwag, bo mamy pewność, że właściwie rozumiemy i głosimy Ewangelię.

–Jesteście jak faryzeusze z czasów Chrystusa, wasza wiara jest pełna pustych rytów. I uważacie się za doktorów tego paskudztwa.

–Milcz! – rozkazałem surowo. Miałem dość zniewag tego bluźniercy.

–To herezja! – wybuchnął Polak. – Sam się oskarża w ten sposób! Bluźnił przeciwko osobie Chrystusa! Czysta herezja!

Polak się mylił, bo heretyk, chociaż bluźnił, nie przyznał się do winy.

–Czy przyznajesz, że jesteś heretykiem?

Mimo rozdrażnienia Gianmaria powstrzymał swój język w samą porę. Spojrzał na trybunał i burknął:

–Nie... Jestem takim samym katolikiem jak Wasze Wielmożności.

Zarządziłem przerwę, żeby na nowo przemyśleć moją strategię. Zależało mi na tym, żeby go osaczyć, ale nie tak szybko, bo zanim się przyzna, najpierw musi ujawnić swój sekret. Krótki odpoczynek posłużył mi do opracowania architektury pułapki, która powoli pozbawi go tupetu i wpędzi w zamęt. Stałem na wprost przestępcy i poprowadziłem dalszy ciąg przesłuchania.

–Czy spotkałeś w swoim życiu bogatych ludzi?

–Chyba tak – wymamrotał Gianmaria. – Znałem takich, którzy pławili się w luksusie.

–Co cię z nimi łączyło? Przyjaźń?

–Nie powiedziałem, że to byli przyjaciele, tylko znajomi.

–A może... byli twoimi mecenasami? – zasugerowałem po cichu.

–Mecenasami? Co ja takiego mam, żeby bogacz chciał mi pomagać?

–Czyż nie jesteś artystą?

Eros lekko się uśmiechnął. Przez moment wydawał się szczęśliwy.

–Owszem, byłem... Ale bogaci szukają pajaców do zabawy, a ja byłem pajacem teatralnym i nie wysługiwałem się moźnym.

Członkowie trybunału zachowali milczenie, jedni słuchali z uwagą, inni byli już zmęczeni. Nie rozumieli, czemu to ma służyć, zwłaszcza że nagle zmienił się ton i kierunek przesłuchania, z

–Lubiłeś grać w teatrze?

–Owszem. Miałem zajęcie, robiłem to, co chciałem, i miałem pieniądze... Miałem czas poznać i zrozumieć życie. Dużo podróżowałem z teatrem.

–A wiesz, że twoim występom towarzyszyła śmierć. Morderstwa i diabelskie rytuały... Wszędzie tam, gdzie grała wasza trupa teatralna.

–Jak mogę nie wiedzieć? Spędziłem cztery lata w więzieniach Świętego Oficjum i domyślałem się, że Wasze Wielmożności mają mnie za mordercę.

Wolałem zmienić temat, żeby nie zbaczać z drogi do celu.

–Ciekawe... Zdziwiał mnie twoja wiedza. Zwłaszcza że twoje nazwisko nie figuruje w żadnej kartotece uniwersyteckiej. Czyżbyś studiował pod innym nazwiskiem?

–Nigdy nie chodziłem do szkoły – powiedział Eros, podnosząc oczy. Miał dumne, harde spojrzenie.

–Już kiedyś przyznałeś, że znasz parę języków. Podtrzymujesz tę wypowiedź?

–Podtrzymuję. Czytam, piszę i mówię po łacinie i w grece.

–A po niemiecku? – spytałem, opierając się na stole i patrząc mu prosto w twarz.

–Znam tylko kilka słów.

–Twoja znajomość teologii znacznie wykracza poza poziom wiedzy ludzi niewykształconych.

–Być może.

–Czy to możliwe, że człowiek, który obcował z bogaczami i arystokratami, zwiedził najważniejsze miasta Starego Kontynentu, mówi kilkoma językami, jest wykształcony, choć nie uczęszczał na żaden uniwersytet, zna dobrze Biblię i dyskutuje o teologii jak wytrawny uczonec... Myślisz, że taki człowiek mógł sam dojść do wszystkiego? Naprawdę chcesz mnie przekonać, że sam się tego wszystkiego nauczyłeś w samotności?

–Dokąd zmierzacie? – zdziwił się przestępca.

Na chwilę zapadła cisza, zanim podjąłem kolejny temat.

–Zadam pytanie... Mam nadzieję, że zrozumiesz moje słowa i odpowiedź będzie rzetelna.

Gianmaria chciał się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko wstrętny grymas. Skorzystałem z okazji i wystrzeliłem z pytaniem, które poszybowało jak lanca.

–Co wiesz o Necronomiconie! Eros spieszył się. Ale nie na długo.

–Kto wam o tym powiedział?

Członkowie trybunału obserwowali tę scenę, nic nie rozumiejąc.

–Ktoś, kto wie o wszystkim – skłamałem.

–Zdrajca... Czym mu zapłaciliście za tę plotkę? Darowaniem życia?

–Dziwi cię to? Wszystkie szczury sprzedadzą się za ser. Ty też. Jeszcze będziesz mnie błagał o łaskę. A teraz mów o książce...

–Co wam powiedzieli? – dopytywał się czarownik.

–Ze ją ukrywasz.

–To kłamstwo. Okłamali was. Wszyscy więźniowie was okłamują.

–Wiem, że ukryłeś Necronomicon w ciemnym i okropnym miejscu – stwierdziłem.

Oczy Erosa zabłysły gniewem.

–Tego nikt nie mógł wam powiedzieć. Uśmiechnąłem się. Spojrzałem na heretyka i przeniosłem

wzrok na trybunał.

–Ich możesz omotać swymi kłamstwami. Możesz ich wzruszyć albo rozdrażnić swoimi teatralnymi chwytami, ale nie mnie. Ja jestem Inkwizytorem Generalnym, znam diabła i jego sztuczki. Mów o książce albo śledztwo będzie bardzo bolało...

–Dokąd zmierzacie, ekscelencjo DeGrasso? – napierał coraz mocniej przestępca.

–Sam termin Necronomicon... coś ci mówi?

Eros opuścił głowę. Nieśmiały, dziwny uśmiech przebiegł po jego twarzy. Podniósł na mnie oczy – wąska nitka śliny zwisała mu z ust – i powiedział:

–Nie więcej niż wam, panie Inkwizytorze Generalny. Wyczułem ironię i zaripostowałem:

–Przekonajmy się... Co to jest Necronomicon?

–Apokryf diabła...

Cała sala zadrżała z niepokoju. Wszyscy patrzyli na mnie zaalarmowani, bo usta Erosa zaczęły wyrzucać ponure wiadomości i nikt nie wiedział, którędy pójdzie Czarny Anioł.

–Dlaczego tak mówisz? – spytałem.

Gianmaria wstrzymał oddech i zastanowił się. W chwilę potem mówił chrapliwym głosem tajemnicze słowa:

–Wszystkie teksty, które nie znalazły się w Biblii, są apokryfami. Diabeł, jak wiadomo, pojawia się w Piśmie Świętym... A więc jest równie prawdziwy jak sam Chrystus. W różnych miejscach Pisma Świętego pojawiają się wzmianki na jego temat, choć nie ma tego dużo. Necronomicon jest tekstem niekanonicznym, ale ma korzenie w Biblii ze względu na swą historię i treści.

Zapadła cisza.

_ Kto napisał tę książkę? – odezwał się wreszcie Menazzi.

–Arabski prorok. Przed siedmioma wiekami.

–O czym traktuje ta książka? – spytałem.

–O tajemnej doktrynie.

–A dokładniej?

–O diable... jego istnieniu i zakazanych aksjomatach. O upadku potęgi Szatana, ziemskich filozofach i hordach cmentarnych.

–Księga czarnej magii?

–Nie – odparł Gianmaria z przekonaniem. – Ale ta księga, prawidłowo odczytana, może otworzyć niezwykle wrota.

–Jakie wrota?

–Takie, których nikt nie chciałby widzieć otwartych.

–Proszę jaśniej... – zasugerowałem.

Gianmaria wbił wzrok w ciemny kąt sali. I powiedział zagadkowo:

–Gdy ktoś śpi w ciemnym pokoju i wie, że gdzieś pod kocem ukrywa się jadowity pająk, na pewno nie zmruży oka przez całą noc. Natomiast jeśli nie wie, to nawet gdyby pająk chodził mu po ciele, człowiekowi jest przyjemnie i śpi sobie w najlepsze, dopóki jad nie przeniesie go w stan wiecznego odpoczynku.

Nikt dobrze nie zrozumiał tych słów przestępcy, ale on kontynuował swe tajemnicze wyjaśnienia.

–Wielki pająk czeka w ukryciu i porusza niespokojnie szczękami gotów zaatakować. My go nie widzimy, bo jest ciemno... Czasem go pogłaszczemy i pomyślimy, jakie miłe to futerko. Ale on nas widzi. Przyjdzie dzień, gdy wskoczy na nas, nawet kiedy będziemy smacznie spali, i zamieni naszą rzeczywistość w piekło. – Gianmaria spojrzał niewidzącymi oczami na członków trybunału. – Ta straszna chwila nastąpi tylko wtedy, gdy otworzą się wrota opisane w Necronomiconie. Wrota chaosu, w który wejdzie ludzkość. Wrota ukryte w waszym sennym odrętwieniu.

–To groteskowa parabola – przerwałem mu spokojnie – ale literatura diabelska. Dlaczego mielibyśmy w to wierzyć?

–Bo tak jest zapisane w Necronomiconie – odparł hardo.

–A ty sądzisz, że ta książka mówi prawdę i autor jest realny? – zainteresował się Menazzi.

–Kwestia wiary.

–Wierzysz w tę książkę? – zapytał Damian Wołchowicz, przeświadczony, że tym pytaniem sprowokuje heretyka, żeby przyznał się do winy, ale nie docenił inteligencji Erosa.

–Nie mogę wierzyć w coś, czego nigdy nie widziałem. Powtarzam tylko to, co słyszałem od ludzi niegodnych szacunku – zreflektował się oskarżony.

Podnosząc do góry dłoń, dałem trybunałowi znak, że nie chcę żadnych pytań. Nie mogłem stracić takiej sposobności, tym bardziej że przestępca był skory do konfidencji.

–Gianmario, kiedy pytam o Chrystusa, mówisz, że wierzysz, że On jest Mesjaszem; kiedy pytam o credo, słyszę w odpowiedzi, że jesteś pobożnym katolikiem... Mam wrażenie, że ukrywasz się pod maską jak pajac pod szminkami. Smutek na zewnątrz, a śmiech wewnątrz, bo nie mówisz wszystkiego. Kłamiesz, żeby nie dać się inkwizycji. Ja nigdy nie zaparłbym się Chrystusa... A czy wierny wyznawca Szatana może się go wyprzeć ze strachu przed twardą ręką inkwizycji?

–Gdybym kłamał, opowiadając o moich relacjach z diabłem, nie byłoby w tym nic złego, prawda? Bo przecież Szatan jest ojcem kłamstwa...

Takim argumentem Eros chciał wznieść się na mój poziom, potraktować mnie jak równego sobie, ale tylko tyle osiągnął w akcie pychy, że naszała mnie pewna myśl, łącząca bezpośrednio Erosa z książką. Postanowiłem zaryzykować i posłużyć się moim odkryciem:

–Zapewne wiesz, gdzie jest Necronomicon. Jestem przekonany, że włoski przekład jest twoim dziełem, bo przecież znasz grekę.

–Ostrożnie, ekscelencjo DeGrasso, bo pańska ciekawość obróci się przeciwko wam – warknął Eros z głębi gnijącego gardła.

–Powiedz, gdzie jest Necronomicon, a nie pošlemy cię na stos. Radzę zaufać. Będziesz pod ochroną Kościoła.

–Aperuerunt ianuae curiositatis: nunquam Mam viam optarem... – wyszeptał po łacinie przerywanym głosem.

Spojrzałem ze zdziwieniem. Prosił, żebym pohamował ciekawość, bo on nigdy nie pójdzie tą drogą, na co odpowiedziałem groźnie, że jeśli wybierze drogę ciemności, dostanie karę kościelną, więc lepiej, żeby wybrał drogę wiodącą do książki:

–Nulla via obscura „subpennis ” Christi. Tantum monstra viam auae ad librum perducatur...

–Quod accipiam ob patefactionem... – upierał się Eros, gotów negocjować: chciał wiedzieć, co otrzyma w zamian.

–Już mówiłem: uratuję cię od płomieni.

–Myślicie, że przejmuję się śmiercią? Przecież już jestem martwy w waszych więzieniach!

–Więc czego pragniesz?

–Śmierci i ciszy, jaką daje grób – odparł spokojnie Eros. I uśmiechnął się drwiąco.

–Ból czasem okazuje się przydatny – zagroziłem – gdyż głos cierpienia jest krystaliczny i szczery.

–Nigdy nie zdobędziecie tej książki – rzucił wyzywająco. – Tajemna doktryna zostanie tam, gdzie jej miejsce... w ciemnościach. Kto jak kto, ale wy nie powinniście się temu sprzeciwić.

Spojrzałem na nieszczęśnika z poczuciem wyższości, zaskoczony jego śmiałością, i zawołałem:

–Demaskowanie herezji to moja specjalność, temu służy inkwizycja. – Wstałem i podszedłem do niego. – Znajdę księgę, wyrwę z niej czarne myśli, złamię jak suchą gałąź, a potem wrzucę do wiecznego ognia, niech spłonie we własnych płomieniach.

–Niczego nie wrzucicie.

–A właśnie, że to zrobię. Zrobię to dla Chrystusa.

–Wasz Chrystus nie zmierzył się jeszcze z prawdziwą potęgą diabła... Jesteście, ekscelencjo, bezkształtną hybrydą Kościoła, rzecznikiem Jezusa, Pana, który nie ma władzy.

–Lepiej zamilcz – zagroziłem.

Eros uśmiechnął się, pokazując resztki zębów.

–A kto zabrał duszę waszego Chrystusa na krzyżu i zaniósł na trzy dni do piekieł? Jak myślicie, kto to był? Kto zaciągnął waszego Boga do piekieł?

Czułem, jak płomień gniewu rozpala się w moich oczach, i podniosłem rękę, żeby wymierzyć mu siarczysty policzek.

–Błuznierca! – wykrzyknąłem ze wszystkich sił.

Śledztwo jest perwersyjną grą dualizmów, w której przesłuchujący stawia się na miejscu przesłuchiwanego, żeby badać jego odpowiedzi i wyczuć, jakie pytanie wytrąci go z równowagi. Przesłuchiwany próbuje myśleć tak, jak myśli zaszczute zwierzę na polowaniu: uciekać którądykolwiek, byle dalej od myśliwego. Gianmaria ukrył się w moim miłosierdziu, ale teraz będę go szukać na niekończących się ścieżkach terroru. Obróciłem się na piętach i spojrzałem na notariusza. Chyba wyczuł mój gwałtowny stan ducha, bo przerażenie odmalowało się na jego twarzy, gdy usłyszał moje słowa.

–Sesja będzie kontynuowana w izbie tortur. Dalsze śledztwo nastąpi w innych warunkach.

9

Ta sala w odróżnieniu od poprzedniej była wysoka, z dużym kołowrotem podwieszonym w najwyższym punkcie sklepienia. Było wilgotno i zimno, zresztą w podziemiach zawsze panowała niska temperatura, a zimowy wieczór czynił ją jeszcze bardziej nieznośną. Strój inkwizytora podczas rozpraw sądowych – czworokątny beret i czarna sutanna – nie chronił mnie zbyt

73

od zimna. Para unosiła się z ust przy każdym oddechu, gdy w milczeniu obserwowałem krótkie, precyzyjne przygotowania pod skutecznym nadzorem Rivary. Szczerze mówiąc, tego rodzaju sesje zawsze działały mi na nerwy, nie tyle ze względu na tortury, co wskutek przebywania w jednej sali z katami, ludźmi wyjątkowo tępymi. Wykonywali swą pracę bezmyślnie, jak

zwierzęta, i nie szczydzili więźniom cierpień, toteż zawsze się ich pilnowało, żeby w momencie zakuwania w kajdany i zakładania pasów mocujących nie uszkodzili układu krążenia, co nie było trudne przy ich ignorancji.

Poprosiłem o zamontowanie „kołyski Judasza”, bo uważam ją za najlepsze narzędzie tortur, takie, które zadaje najwięcej bólu. Gianmaria był unieruchomiony, ręce miał związane na plecach, nogi skute w kostkach łańcuchami. Założono mu skórzany pas z dwoma pierścieniami po bokach i jednym z przodu. Pod uważnym spojrzeniem Rivary kat przyczepił jeden koniec długiego łańcucha do kostek więźnia, a drugi umocował na ścianie. W wystające z grubego pasa pierścienie wsunął dwa dodatkowe łańcuchy i przytwierdził każdy z osobna do przeciwległej ściany. Na koniec przerzucił sznur przez koło pod sufitem i przywiązał do wolnego pierścienia u pasa.

Kiedy Rivara wydał rozkaz, kat głośno chrząknął, szarpnął za sznur i Gianmaria zaczął unosić się do góry. Ciało więźnia zawisło dość wysoko nad salą, nogi przywiązane do ściany, ręce unieruchomione ciężkimi kajdanami. Eros Gianmaria wyglądał, jakby siedział w powietrzu.

Kat przymocował sznur do kółka na podłodze i mocno przydepnął, dając odpocząć swym olbrzymim, owłosionym ramionom. Wikariusz odwrócił się lekko w moją stronę i zapytał wzrokiem. Wszystko było gotowe do rozpoczęcia ponownego śledztwa. Gianmaria miał odegrać główną rolę w najtrudniejszym, być może ostatnim przedstawieniu w swej karierze.

–Druga rozprawa przed trybunałem Świętej Rzymskiej i Powszechnej Inkwizycji przeciwko Erosowi Gianmarii – zaczął Rivara – odbywa się w izbie tortur na wniosek Inkwizytora Generalnego Angela Demetria DeGrasso. Jako notariusz z upoważnienia Świętego Oficjum poświadczam to wpisaniem do księgi protokołów.

Postanowiłem nie siadać, pilno mi było wrócić do zadawania pytań.

–Gianmaria, jest jeszcze czas, aby uniknąć tortur. Oskarżony złoży zeznanie, czy upiera się przy swej niewinności pomimo przedstawionych dowodów?

Eros wisiał związany.

–Nie pragnę bólu... ale przeczuwam, że wasze pytania będą bolesne.

–Na początek dam oskarżonemu jeszcze jedną szansę, kierując się miłosierdziem. Zacznę od pytań bez tortur, lecz jeśli oskarżony zakpi sobie z mej dobrej woli... nie zawaham się użyć surowych metod śledztwa.

Gianmaria nic nie powiedział, tylko spuścił głowę.

–Czy oskarżony przyznaje, że służy demonowi i głosi ohydne nauki związane z jego kultem? – spytałem, marszcząc brew.

–Nie – odpowiedział ledwo słyszalnym szeptem.

–Czy przyznaje się do posiadania ksiąg zakazanych przez Kościół?

–Nie.

–Czy przyznaje się do profanowania cmentarzy urządzeniem czarnych mszy?

–Nie.

Dałem znak wikariuszowi. Pora przystąpić do tortur.

Dwóch strażników wniosło do sali drewnianą piramidę wysokości człowieka, ustawioną na trzech nogach i zakończoną twardym, wygładzonym szpicem. Kat znowu chwycił za sznur, napiął się, aż żyły nabrzmiały mu na czole i podniósł więźnia jeszcze wyżej. Strażnicy popchnęli piramidę, aby znalazła się dokładnie pod Gianmaria. Jeden się wycofał, a drugi smarował

olejem drewniany szpikulec i dawał katu znak, że może opuszczać więźnia. Menazzi chwycił

swój krucyfiks i odmówił niewyraźnie jakąś modlitwę. Dla człowieka tak wykształconego i spokojnego jak on taka sytuacja była dość kłopotliwa.

Strażnik mocno złapał więźnia za uda i nakierował nieruchome ciało opuszczanego coraz niżej Gianmarii, tak aby szpic piramidy znalazł się na wprost wejścia do odbytu. Jeszcze jeden znak, nowe szarpnięcie za sznur i Gianmaria zetknął się z twardym końcem naoliwionego drewna. Strażnik cofnął się, zostawiając Erosa w pozycji idealnej do rozpoczęcia tortury.

–Gianmaria – rzekłem, przerywając ciszę – pytam po raz ostatni... Ufam, że otrzymam szczerą odpowiedź.

Eros oddychał szybko, był przestraszony, pot zalewał mu twarz i pachy pomimo panującego chłodu. Poczul parcie „Kołycki Judasza” na odbytu i ciało odmówiło mu posłuszeństwa, wszystko wskazywało na to, że zaraz zacznie mówić. Tortura mentalna była najlepszą i skuteczną strategią.

–Gianmaria – kontynuowałem – powiedz mi, gdzie jest Necronomicon.

Eros zadrżał i westchnął przeciągle. Potem spojrzał mi w oczy i gdy już zdawało się, że powie prawdę, nagle jego wzrok znów stwardniał.

–Już mówiłem, że nic o tym nie wiem...

Myślałem, że tego nie wytrzyma, jednak okazał się silniejszy, niż sądziłem, bo chociaż tortura mentalna go osłabiła, miał tyle wewnętrznej siły, że odzyskał nad sobą kontrolę. Rozkazałem strażnikowi poluznić sznur i opuścić więźnia na „kołyckę”. Kiedy to zrobił i koło się obróciło, Gianmaria opadł całym ciężarem na piramidę. Drewniane ostrze zagłębiło się w jego ciele. Odbyt pękł jak sukno rozerwane jednym szarpnięciem.

Przyznaję, że wiele razy słyszałem krzyczących ludzi i nie byłem obojętny na ich lament, choć cudze cierpienie nie robiło

na mnie wrażenia, lecz krzyk Gianmarii był nagi i tak przeraźliwy, że pamiętam go do dziś, choć już nic lub prawie nic dla mnie się nie liczy. Po tym krzyku zesztyniał i patrzył tępo w ścianę. Zaraz jego odbyt rozszerzy się jeszcze bardziej, a ból dosięgnie nerek.

–Co zrobiłeś ze swoim przekładem Necronomiconu na język włoski? – zagadnąłem przyjaźnie.

Eros nic nie odpowiedział, tylko znów zawył, bo nieznaczny ruch ciała spowodował ostry ból.

–Gdzie ukryłeś tę księgę? Jak powiesz, oszczędzisz sobie cierpień – kontynuowałem.

Eros spojrział na trybunał, po czym delikatnie, starając się nie zmieniać pozycji ciała, obrócił głowę ku mnie.

–Znieśliście to dla waszego Chrystusa?

Pytanie zadane ledwo słyszalnym głosem, jakby dobiegał z dna przepaści, przez człowieka z miną błazna na twarzy, wywołało konsternację wśród członków trybunału.

–Co się z nim dzieje, do diaska...? – zawołał zaskoczony Wołchowicz.

Gianmaria wciąż na mnie patrzył, gdy pierwsze strużki krwi z jego ciała zaczęły ściekać po „kołysce”.

–Na co liczyliście? – odezwał się tym samym, z głębi wydobytym, głosem. – Kołyska Judasza...? Penis Kościoła, tak powinno się nazywać to narzędzie męki! Nie sądzicie, że to lepsze określenie, ekscelencjo DeGrasso?

–Gdzie jest Necrono... – zacząłem, ale Gianmaria nie dał mi dokończyć.

–Co za bezczelność...! Mój tyłek krwawi, a wy wciąż czegoś ode mnie chcecie.

Kazałem obciążyć pas balastem i kat przywiesił po dwa worki zboża u boków więźnia. Dobrze wiedziałem, z kim mam do czynienia. Eros wywrócił oczami, tak że pokazały się ich białka. Pod wpływem dodatkowego ciężaru drewniany szpic wszedł o piędź głębiej w ciało i Gianmaria stracił przytomność. Głowa zwisała mu jak u szmacianej lalki.

–Ojczy przeorze, jak tak dalej pójdzie, zabijecie go! – zawołał wikariusz z przejęciem. Rivara podszedł bliżej i szepnął mi do ucha: – W ten sposób nie doprowadzimy procesu do końca. On jest gotów zeznawać, sami słyszeliście... Więc niech to uczyni i przestańmy go męczyć.

Nie odpowiedziałem, ale wysłuchałem go z uwagą. Więzień mocno krwawił; zły stan fizyczny Gianmarii pogorszył się jeszcze bardziej, co było widać po omdleniu. Nie powinienem naruszać prawa, inkwizycja dopuszczała wszelkie metody tortur, byle więzień nie umarł na sali rozpraw. Tymczasem na to się zanosilo. Rivara patrzył z wyczekiwaniem. Zastanawiałem się, jak pogodzić ze sobą prawa kościelne, podstawowe prawa ludzkie i moje własne, wynikające z nakazu chwili.

–Odwiązać go! – poleciłem strażnikom. – Doktorze, proszę go zbadać.

Wikariusz odetchnął z ulgą.

Lekarz szybko powstrzymał upływ krwi i przywrócił więźnia do przytomności za pomocą soli aromatycznych. Gianmaria powoli odzyskiwał świadomość i przez dłuższą chwilę trzeba go było podtrzymywać w powietrzu z nogami do góry. Potem strażnicy posadzili go na małej, drewnianej ławce i stanęli obok, żeby nie upadł na podłogę.

–Gianmario – powiedziałem, uznawszy, że można wznowić śledztwo – chciałbym usłyszeć z twoich ust wyznanie. Chciałbym, żebyś przyznał się przed tym czcigodnym trybunałem do uprawiania herezji. Chętnie wysłucham wszystkiego, co zechce nam powiedzieć twoje skruszone serce.

Eros podniósł ręce do twarzy i wybuchnął płaczem, potem opuścił głowę i popatrzył na krocze spływające krwią. Widział ciemne plamy krwi na posadzce i swoje nogi wstrząsane mimowolnym dreszczem. Podniósł oczy i spojrzał w naszą stronę, przypatrując się każdemu z osobna, a my obserwowaliśmy go jak zwierzę w cyrku. Oczy mu się zamglily.

–Co mówi twoje serce? – nalegałem z nadzieją, że złoży zeznanie.

Gianmaria zmarszczył brwi, z ust wyciekła mu na piersi cienka nitka śliny. Po czym wybuchnął w nagłym porywie szaleństwa:

–Czuję do was wstręt! Całe morze wstrętu! Tyle osiągnęliście tym ohydny narzędziem penetracji! I wy mi mówicie

0 Bogu? Czy Bóg patrzy i jest panem waszych czynów? Zezwala na brak szacunku należnego ciału? Takiego Boga głosicie? Oto ukazaliście mi prawdziwe oblicze dziwnie występny Boga, który łamie własne prawa. Jeśli to jest wasz Bóg... Jeśli taki jest Bóg... to lepiej umrzeć! Choćby za cenę wiecznego potępienia! Wolę ogień piekielny od waszego królestwa cierni

1 tortur.

Powstrzymałem strażników, którzy instynktownie chcieli uciszyć go siłą. Wszyscy członkowie trybunału zaniemówili, a nasze milczenie sprawiło, że Gianmaria nie przestawał mówić, pragnąc w ten sposób ulżyć swemu sercu.

–Krew Chrystusa czci się w kielichu, a krew z mego tyłka jest pożywką dla waszego credo! Tortura jest konkluzją waszych nauk, wasze kazania są pełne obsesji na punkcie mego ciała. Pod przykrywką rozumu występują najprymitywniejsze, najbardziej sadystyczne instynkty. Ja jestem ołtarzem z ciała i kości dla waszych kultów, dla waszego Kościoła. Potrzebujecie mnie, żeby istnieć. Potrzebujecie tego niepokornego heretyka, żeby karmić wasze brzuchy i napełniać kieszenie bogactwem! Jestem zagubioną owcą, torturowaną na oczach pasterza. Co to za Bóg, który na to zezwala? Czy tak ma wyglądać Jego królestwo na ziemi...? W takim razie pora umierać i nigdy w Nim nie zmartwychwstać! Czas poczuć płomień i otworzyć serce na wieczny ogień.

Gianmaria wziął oddech, ukrył twarz w nabrzmiałych krwią dłoniach i dalej mówił, szlochając:

–Niech ktoś mnie powstrzyma. Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi z tego wyjść, potrzebuję przyjaciół... Potrzebuję kogoś, kto się do mnie uśmiechnie i powie, że życie nie jest takie, jak ja widzę, potrzebuję matki, która mnie osłoni, ojca,

który osuszy moje łzy i uściska, zanim zginę z wyroku Kościoła.

–To są słowa heretyka – stwierdziłem, patrząc mu prosto w oczy.

–Jestem heretykiem! Jestem przeciwnikiem Kościoła, jestem takim samym kłamcą jak papież i takim samym grzesznikiem jak czcigodni kardynałowie i księżęta Stolicy Apostolskiej. Jestem heretykiem i niczego nie żałuję, bo kto nie uprawia herezji... jest taki jak

wy.

Menazzi przewrócił oczami i podziękował w duchu, że wreszcie usłyszał wyznanie winy. Cały skład trybunału odetchnął z ulgą. Wszyscy oprócz mnie, ponieważ miałem do więźnia jeszcze jedną sprawę.

–Gdzie oskarżony ukrywa Necronomicon! – spytałem, patrząc na niego przenikliwie.

Menozzi z niedowierzaniem podniósł oczy do góry. Podobnie jak wszyscy pozostali nie widział potrzeby dalszego przesłuchania.

–To bez znaczenia... – warknął Gianmaria. – Przecież się przyznałem... Diabeł jest mistrzem moich uczynków, doskonałym panem stworzenia... Zgadza się... Akceptuję grzech na mym czole... – Obecni przeżegnali się na te słowa. – Ogłaszam, że jestem heretykiem. Tego chcieliście... Więc róbcie, co należy. Czarny Anioł Kościoła ma już swoje trofeum... Teraz może mnie zaprowadzić prosto na stos.

Wyglądało na to, że Eros godzi się na potępienie, byle zabrać swój sekret do grobu. Był wspaniałym kandydatem na stos, ale to mi nie wystarczało. Dlaczego tak się poświęcał?

Moje oczy błyszczały. Tajemnicza księga podsyciła niepomiernie mą ciekawość. Prawdę mówiąc, rozprawa była zakończona, ale zostało mi jeszcze jedno zadanie. Musiałem posunąć się dalej i przekroczyć swoje uprawnienia, byle doprowadzić do końca walkę z demonami. Czy ktoś w Kościele podważy taką decyzję? Miałem przed sobą demona i byłem gotów go zmiążyć jak święty Jerzy smoka.

–Przygotować potro dla heretyka. Jeszcze nie skończyliśmy – rozkazałem, nie bacząc na zaskoczenie reszty trybunału.

Gianmaria nie stawiał oporu. Strażnicy rzucili go na potro jak bezwładną masę mięsa. Skrępowali mu nogi i ręce łańcuchami, po czym zbliżył się kat, żeby pokręcić korbą...

Koziół tortur, narzędzie stare jak Babilończycy i nadzwyczaj skuteczne, było dość proste w działaniu. Coś w rodzaju łoża zakończonego z jednej strony dużym bębniem, do którego przywiązywano więźnia za ręce, a nogi przykuwano kajdanami do drugiego końca łoża. Obracający się bęben rozciągał ciało tak mocno, że pękały stawy, a czasem nawet mogło dojść do złamania kręgosłupa. Powodowało to niewyobrażalne cierpienie, dostatecznie duże, aby rozwiązać język czarownikom i czcicielom diabła.

Kiedy kat napiął sznur, znów zapadła cisza tak wielka, że moje słowa odbiły się echem pod sufitem.

–Oskarżony Gianmario, pytam o twoje makabryczne tłumaczenie. Gdzie je ukryłeś?

–Niczego nie ukryłem, to wykwit waszej wyobraźni.

–Miałeś kiedyś w swym ręku Necronomicon!

–Nie! – krzyknął. – Dość tego, panie DeGrasso! Osądziliście mnie za herezję, czego wam jeszcze trzeba?

Uśmiechnąłem się lekko; torturowanie zaczynało mi sprawiać przyjemność.

–Miałeś kiedyś w swym ręku Necronomicon! – powtórzyłem dobitnie.

Eros uśmiechnął się.

–Niech was piekło pochłonie.

Kazałem zaczynać. Brodaty olbrzym ujął korbę w swe potężne dłonie i powoli przesuwiał do pierwszej kreski; ciało Gianmarii wyciągnęło się jak napięty kawałek skóry. W miarę jak lina nawijała się na krążek, drżenie wstrząsające członkami stawało się coraz silniejsze, oczy wychodziły mu na wierzch, ból stawał się tak ostry, że usta otwarte do krzyku nie były

w stanie wydać żadnego dźwięku. W pewnym momencie coś zachrząściło i rozległ się głuchy trzask: kości ramion wypadły ze stawów barkowych. Nieludzki krzyk cierpienia rozdarł ponurą ciszę, która po chwili znów nastąpiła, przerywana szlochami i jękami więźnia.

–Gdzie zakazana księga? – zapytałem szeptem. Gianmaria nie odpowiedział. Zapatrzony w sufit z trudem

przełykał ślinę.

–Mów!... Chyba że jeszcze ci mało... – zagroziłem.

–Ekscelencjo, nie ma potrzeby dłużej męczyć heretyka – wtrącił Menazzi tonem niemal błagalnym.

–Cisza! – wrzasnąłem, wbijając wzrok w teologa. – Demon nie ma prawa do adwokatów! Dobrze wiem, co mi wolno, a czego nie. – Znów spojrzałem na heretyka. – Czy kiedykolwiek miałeś w ręku Necronomicon':

Gianmaria zaczął bełkotać, dusząc się własną śliną. Najwyraźniej był gotów się poddać.

–Tak... – przyznał ledwo słyszalnym głosem.

Całą salę ogarnęło zaskoczenie: potro przyniosło wreszcie owoce, a intryga rozrastała się i mnożyła za moją sprawą jak chleb i ryby w rękach Naszego Pana.

–Gdzie? – podniosłem głos. – Gdzie ją schowałeś?

–Nigdy... – odparł bez sił. – Zabijcie mnie, jeśli chcecie, a nie powiem...

Kazałem strażnikowi docisnąć mocniej. Ten gest będzie nieodwracalny; spowoduje kalectwo na całe życie, ale nie zabije. Podczas gdy sznur nawijał się na bęben, twarz Gianmarii coraz bardziej zniekształcała się pod wpływem bólu. W pewnym momencie udręczone ciało więźnia zaczęło trzeszczeć, jakby się miało rozpaść na tysiąc kawałków. Rivara odwrócił twarz, żeby na to nie patrzeć. Eros wrzasnął jak szalony; puściły więzadła w stawach kolanowych, biodrowych i łokciowych. Potem nie było już krzyku, tylko przeciągły, gardłowy jęk. Gianmaria, wyciągnięty jak zezwłok, był o pięć dłuższy.

–Gdzie ta przekłeta księga? – krzyknąłem zdesperowany.

–Nigdy... – wycharczał więzień.

–Mów – syczałem z oczami nabrzmiałymi gniewem – mów, ty śmierdzący czarowniku!

Przekłety synu Belzebuba!

Już miałem powiedzieć katowi, żeby dokręcał mocniej, aż do końca, kiedy Gianmaria wyznał:

–W Portomaggiore, pod chrzcielnicą dawnego kościoła benedyktynów.

–Wystarczy... Na miłość Boską! – błagał Menazzi, chwytając mnie za ramię i tłumacząc nabożnie: – Zrobiliśmy, co do nas należało, pozwólcie nieszczęśnikowi dokonać żywota bez dalszych męczarni.

Słowa Menazziego otrzeźwiły mnie i odzyskałem poczucie rzeczywistości. Przez chwilę milczałem, po czym uśmiechnąłem się, jak człowiek, który się budzi ze złego snu.

–W porządku – mruknąłem. – Na tym koniec. Zwróciłem się do Gianmarii i szepnąłem mu prosto do ucha:

–Teraz została ci tylko śmierć. Spłoniesz na stosie razem z diablem, który jest w tobie... Oby Bóg ulitował się nad twoją duszą.

Eros popatrzył na mnie i z wielkim wysiłkiem oraz bólem wypowiedział kilka słów o niejasnym dla mnie znaczeniu.

–Naprawdę myślisz, że cię czeka lepszy los? Przyjdzie dzień, że twoje kości zatrzeszczą jak moje – i z oczami nabiegłymi krwią szeptał dalej: – Zapamiętaj moje ostatnie słowa... Ty, który jesteś moim katem. Wiesz, co widzę w tym momencie? Przenikam cię na wskroś, widzę, kim jesteś. Zapamiętaj te słowa, inkwizytorze... nigdy ich nie zapomnij... Jesteś synem suki...

Zaskoczony taką bezczelnością, zrobiłem kilka kroków do tyłu. Gianmaria uśmiechnął się i powtórzył:

–Jesteś bękartem, synem suki.

Po zakończeniu rozprawy poleciłem, by posłaniec niezwłocznie wyruszył do księstwa Ferrary i skierował się najpierw do

siedziby biskupstwa, gdzie przekaże własnoręcznie przeze mnie podpisany nakaz z

upoważnieniem do podjęcia działań na terenie tej jurysdykcji. Niemal jednocześnie woźny sądowy, notariusz i dwudziestu pięciu dobrze uzbrojonych żołnierzy z godłem inkwizycji wyruszyło do Emilia-Romania, mając do wykonania tylko jedno zadanie: wyjąć z kryjówki i przywieźć przekłętą księgę. Twarz i słowa heretyka długo jeszcze będą śnić mi się po nocach.

IV

ODDECH DIABŁA

10

Tuż przed zachodem słońca, kiedy bramy klasztoru zamyka się na siedem spustów, przybył pojazd ze znakami Kościoła. Miał zapalone latarnie i eskortowało go siedmiu jeźdźców. Braciszek pilnujący wejścia zajrzał do wnętrza i pokazał woźnicom drogę do stajni. Potem zamknął ogromną bramę i wrócił na swój punkt obserwacyjny. Stukot kół po bruku dobiegł do mojego pokoju, gdzie odpoczywałem po ciężkim dniu. Wyjrzałem przez okno, żeby zobaczyć, kto nas odwiedza o tak późnej porze. Ku memu zaskoczeniu zobaczyłem, że z karety wysiada Iuliano z całą świtą. Kardynał powoli uniósł głowę i przyglądał się fasadzie kościoła. Kontemplował każdy łuk, każdy relief i witraż. Po chwili przeniósł spojrzenie na przylegający do świątyni budynek i zatrzymał na oświetlonym oknie. Tu natknął się na moją sylwetkę zapatrzoną w ciemność. Szybko zaciągnąłem kotary... Sam kardynał przyjechał do mnie z Rzymu. Po co? I dlaczego tak niespodziewanie?

W sali kapituły polana trzeszczała w ogniu. Goście już na mnie czekali; wprowadził ich tu wikariusz. Superior Generalny Inkwizycji miał na piersi srebrny krucyfiks kontrastujący z głęboką czernią szat. Jego milczenie miało cechy wojownicze,

85

jakby wymierzał we mnie niewidoczne sztylety, a oczy... Oczy zawierały groźbę egzekucji. Obok stał nieruchomo w wyczekującej postawie astrolog Klemensa VIII, Darko.

–Co za niespodziewana wizyta, ekscelencjo. Nic nie wiedziałem, że zamierzacie mnie odwiedzić – zawołałem od progu.

–Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – odparł. – Decyzję podjąłem nagle.

–Ależ skąd, ekscelencjo. Pewnie jesteście zmęczeni po tak długiej podróży – powiedziałem, zapraszając, aby się rozgościli. Sam też usiadłem koło nich na wprost ognia. – Niech wikariusz dopilnuje, aby przygotowano pokoje dla naszych gości. Klasztor będzie...

–Wyjeżdżamy stąd przed północą – przerwał kardynał.

–Ależ... powinniście odpocząć...

–Jestem przyzwyczajony do takich podróży, bracie DeGrasso – dodał Iuliano. I uśmiechnął się po raz pierwszy.

Darko potwierdził w milczeniu.

Odprowadziłem Rivarę i zaraz po jego wyjściu zapytałem:

–No dobrze... czemu zawdzięczam zaszczyt goszczenia was?

–Zdążyliście przesłuchać heretyka? – spytał Iuliano, wstając z miejsca.

–Tak, niedawno skończyliśmy.

–Miło mi stwierdzić, że traktujecie waszą pracę z większą gorliwością, niż myślałem. Co przyniosło śledztwo?

–Wiem, gdzie znajduje się księga.

Kardynał inkwizycji nie mógł ukryć blasku w oczach. Uśmiechnął się nieznacznie, po raz drugi tego wieczoru.

–Gdzie? – spytał astrolog.

–W księstwie Ferrary, w opuszczonym klasztorze benedyktynów.

Iuliano pokiwał głową i przez chwilę wpatrywał się w płonące polana.

–Już posłałem ludzi po tę księgę – dorzuciłem.

–Znakomicie – mruknął kardynał.

–Jest jeszcze coś do zrobienia? – spytałem retorycznie.

–Co z heretykiem? – wtrącił Darko.

–Wytrzymał dwie sesje. Stawiał opór prawie do końca.

–Poddaliście go torturom? – pytał dalej astrolog.

–Dostał „kołyskę Judasza” i potro. Nie ukrywam, że jest w bardzo złym stanie.

Kardynał rozważał coś w milczeniu.

–Nie dopuszczajcie do niego nikogo – poradził.

–Dopilnujcie, żeby obcięto mu język przed najbliższym Sermo Generalis. Heretyk zasłużył na śmierć na stosie – znów wtrącił Darko. Teraz on wpatrywał się w ogień z roztargnieniem.

–Gianmaria umrze, to nie ulega wątpliwości; niewiele dni dzieli nas od autodafe.

–Coś jeszcze powiedział w czasie sesji? – zapytał astrolog.

–Mówił dziwne rzeczy...

–Co takiego? – Iuliano płonął z ciekawości.

–Mówił o obrzędzie inicjacyjnym... satanistycznym, takim, który otwiera wrota do świata duchowego... Do świata niebezpiecznych filozofii...

–Widać pociągnęliście go za język bardziej, niż było trzeba. – Darko poruszył się niespokojnie w fotelu, wymieniając ukradkowe spojrzenie z Iulianem.

–Co to wszystko znaczy? – spytałem, patrząc na astrologa. Oto nadarzała się sposobność, aby otrzymać odpowiedź.

–To sprawy, których nie znacie. Długo by o tym mówić, nic ciekawego – odparł kardynał.

–Mam dużo czasu, aby was wysłuchać, ekscelencjo. Przecież rzadko się zdarza, żeby heretyk znieważył inkwizytora w czasie sesji, a jeszcze rzadziej, żeby wolał umrzeć, niż wydać zakazaną księgę.

–Naprawdę was znieważył? – zaciekawił się Darko. – Co takiego powiedział?

–Czy to ważne? Dość, że znieważył. Papieski astrolog nie ukrywał ciekawości.

–Co wam powiedział heretyk? – nalegał.

–Że jestem bastardecem.

Kardynał Iuliano spojrział badawczo. Najwyraźniej wiedział coś, czego nie zamierzał powiedzieć.

–Te słowa nie mają żadnego sensu – uznałem.

–Oczywiście, że nie. Mamy tu jeszcze jeden przykład opętania przez diabła – potwierdził z przekonaniem.

–Więc jak? – szybko nawiązałem do intrygującej mnie sprawy w obawie, żeby rozmowa nie zesłała na inny temat. – O co właściwie chodzi z tą księgą i z tym heretykiem?

Darko nie odpowiedział, wpatrywał się w Iuliana i milczał. Kardynał podszedł do stolika z likierami, które niezawodny jak zwykle Rivara kazał podać zaraz po przywitaniu gości. Zazwyczaj nie podawano napojów w sali kapituły, gdzie członkowie kongregacji dominikańskiej zbierali się na dyskusji o sprawach klasztoru, a do tego nie potrzeba było żadnych rarytasów, tylko to co niezbędne, żadnych luksusów, jakim hołdowały inne klasztory, nie mówiąc już o przybytkach watykańskich. Iuliano dokładnie obejrzał butelki i wybrał jedną z nich. Nalał dwa kieliszki. W powietrzu wisiała cisza wywołana moim pytaniem. Dominikanin wrócił na miejsce i wyciągnął w moją stronę dłoń w rękawiczce, podając mi jeden z kieliszków. Jednocześnie przybliżył swój likier do nosa, delektując się jego aromatem. Wreszcie przemówił:

–Gianmaria jest ostatnim ze starego rodu czarowników, bracie. Wraz z nim gaśnie tajne stowarzyszenie czcicieli diabła.

–Jakaś sekta? – dałem upust swojemu zdziwieniu. Ileż to jeszcze rzeczy wiedzieli i ukrywali przede mną moi rozmówcy? Dlaczego upierali się, bym działał w ich służbie po omacku?

–Tak jest, dawna sekta czcicieli diabła, powstała w Egip-

cie okresu helleńskiego. – Iuliano wypił łyk likieru i kontynuował: – Za ich założycieli uważa się bibliotekarzy Wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej, którzy uciekli do Europy po dwukrotnych napadach i zniszczeniach dokonanych w siódmym wieku przez wyznawców islamu. Pierwsi czarownicy wywodzili się prawdopodobnie spośród pogan wyznających politeizm, którzy utworzyli tajne stowarzyszenie kultu tajemnej księgi w języku arabskim, znalezionej wśród wielu innych woluminów biblioteki. Księga ta ocalała z pożarów wzniesanych przez kalifów, przetrwała monofizytyzm i monoteletyzm. Pochodzi z Karmazynowej Pustyni, ale islam jej nie uznaje. Przez ponad siedemset pięćdziesiąt lat ukrywano ją przed Kościołem.

–Necronomicon – pomyślałem na głos. Darko przytaknął w milczeniu. Kardynał ujął swój kieliszek w obie dłonie i mówił dalej, jakby zwracał się do niego. – Kościół długo i uporczywie tropił tę księgę, aż wreszcie znalazł i zniszczył w Hiszpanii. Ale tajne stowarzyszenie zdążyło już wykonać tłumaczenie na grecki, jak to z czasem wykrył Kościół prawosławny. Ta kopia to właśnie Necronomicon.

–Czytałem coś na ten temat w Rzymie. Był to dokument z tysiąc trzysta osiemdziesiątego roku – oznajmiłem, powtarzając sobie w myślach ostatnie słowa tego dokumentu...

–O istnieniu tej kopii w języku greckim, która jest zresztą niekompletna, dowiedzieliśmy się od prawosławnych badaczy z Grecji. – Iuliano wypowiedział to z naciskiem, wracając do przerwanej przeze mnie wypowiedzi.

–Jak to niekompletna?

–W trzynastym wieku czarownicy postanowili usunąć z księgi groźne i niebezpieczne formuły zaklęć. Uciekając przed nami, ukryli zakazane inwokacje w innym miejscu, w innej księdze, tylko po to, aby odciąć Kościołowi dostęp do istoty Necronomiconu i do samej sekty.

–Przecież Kościół zdobył w Hiszpanii oryginał arabski...

–Owszem, ale został on zniszczony, zanim ktokolwiek zdążył go zbadać – odpowiedział Iuliano. Zarówno słowa, jak i ton jego głosu zdradzały, że ubolewał nad bezsenssem tej decyzji.

–A grecka kopia? – spytałem.

–Prawdopodobnie została spalona. Eros Gianmaria miał ją zniszczyć, kiedy skończy tłumaczenie na włoski, i na pewno to zrobił. Necronomicon Gianmarii jest niekompletną wersją oryginału – zawyrokował kardynał.

Byłem zaskoczony i dumny. Z jednej strony ich słowa potwierdziły moją intuicję co do

autorstwa przekładu na język włoski, z drugiej zaś kardynał i astrolog znali wiele szczegółów, co świadczyło o czujności i skuteczności, z jaką Kościół tworzył swoją sieć informatorów, aby poznać najdrobniejszy szczegół niebezpiecznej historii tej zakazanej księgi. Jednak to, co mówili o realnej mocy księgi, nie zgadzało się z twierdzeniami Gianmarii.

–Heretyk jest przekonany, że księga może nam przynieść problemy – powiedziałem.

–To nie jest takie pewne. – Darko znów przerwał swe milczenie. – Bez zaklęć Necronomicon jest bezużyteczny... Chyba żeby Gianmaria miał w rękach również księgę z ukrytymi zaklęciami, ale to czysta spekulacja...

–W każdym razie historia Tajnego Stowarzyszenia Czarowników dobiega końca – stwierdziłem. – Kompletną czy nie, dostaniecie zakazaną księgę za kilka dni. Trzeba tylko poczekać na powrót posłańców. Kiedy Gianmaria znajdzie się na stosie, a księga w rękach inkwizycji, to Tajne Stowarzyszenie zniknie, a wraz z nim wrogowie Kościoła.

Kardynał znów zapatrzył się w ogień. Nie wyglądał na przekonanego, że to będzie koniec, i nie musiałem długo czekać, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

–Są jeszcze inni wrogowie... – wyszeptał w kierunku płomieni i odwracając się powoli w moją stronę, obrzucił

mnie groźnym spojrzeniem, które wprawilo mnie w zmieszanie, i wymówił nazwę zupełnie dla mnie nieznaną: – Corpus Carus.

11

Ranek następnego dnia był szary, z groźnymi chmurami. Moi niezapowiedziani goście opuścili klasztor o północy. Obudziłem się pełen niepokoju, a pogoda dodatkowo źle wpływała na mój nastrój. Było bezlitośnie zimno. Śnieg padał bez przerwy przez cały ranek, równo zasypując okoliczne drogi, i klasztor zdawał się odcięty od świata.

Wikariusz Rivara poprosił o prywatną audiencję, lecz nie odezwał się ani słowem, dopóki nie znaleźliśmy się w ustronnym miejscu oddalonym o prawie dwieście kroków od klasztoru.

–Mam dla was wiadomość, ojcie przeorze – zaczął Rivara; ciepło jego oddechu zmieniało się w lekkie obłoczki pary. – Uważam, że to powinno zostać między nami, jeśli taka jest wasza wola.

–Hmmm... Tutaj mamy za świadka jedynie ten mroźny wiatr – odparłem, patrząc na morze. – Słucham.

–W nocy przyjechał drugi powóz z Rzymu. Zająłem się nim osobiście. Nikt oprócz mnie o tym nie wie. Macie wizytę...

Podniosłem brwi, żeby wyrazić zdziwienie, po co ta tajemniczość. Wikariusz zrobił przerwę i wyraźnie zastanawiał się nad doborem właściwych słów, aby przekazać mi to, co ma do powiedzenia.

–Słucham – powtórzyłem dobitnie.

–Pomyślałem, że chodzi o coś ważnego, i udzieliłem przybyłej osobie gościny. Chyba dobrze zrobiłem...

–Dość tych zagadek! Kto przyjechał?! – wykrzyknąłem z rozdrażnieniem.

91

–Ten ktoś... to jest... młode dziewczę.

–Dziewczyna? – zawołałem kompletnie zaskoczony.

–Nazywa się Raffaella D'Alema, i mówi, że przyjechała do was z Rzymu.

Poczułem się tak, jakby serce przestało mi bić na chwilę, i wpatrywałem się nieruchomo w

Rivarę, nie wiedząc, co powiedzieć.

–Zgodziłem się ją wpuścić, bo byłoby nieuprzejmie trzymać ją na mrozie. – Wikariusz zaczął się usprawiedliwiać; chyba odebrał moje spojrzenie jako mało przyjazne. – Wiem, że w życiu zakonnika młoda dama nie jest czymś „odpowiednim”. Ludzie mają wtedy o czym gadać i na korytarzach aż huczy od plotek i domysłów. Ale nawet gdyby się okazało, że ktoś wam zrobił jakiś żart lub że to zwykle nieporozumienie, nie musicie się martwić, ojcze przeorze. Umieściłem tę osobę z dala od niepożądanych oczu. Zamierzacie ją przyjąć...?

Uśmiechnąłem się nagle ku wielkiemu zdziwieniu wikariusza.

–Gdzie jest ta mała? – zapytałem jak poszukiwacz złota w labiryncie.

–Zamknięta na klucz w kaplicy pokutników – odparł wikariusz. – Nikt się o niej nie dowie, jeśli się stamtąd nie ruszy.

–Dobrze zrobiłeś, bracie, tak właśnie należało postąpić – powiedziałem serdecznie do wikariusza, patrząc prosto w jego pocziwe, niebieskie oczy i kładąc mu dłonie na ramionach. – Teraz rozumiem, dlaczego chciałeś porozmawiać na osobności i po co wyciągnąłeś mnie na tę przechadzkę. Przygotuj dla niej pokój i posiłek. Nie mów nikomu, że tu jest, i dopilnuj, żeby na rano był gotowy powóz z eskortą, który odwiezie ją do Rzymu. Noc spędzi w klasztorze.

Zostawiłem Rivarę samego i pospieszyłem do kaplicy jak najkrótszą drogą. Idąc, pozwalałem myślom kłębić się chaotycznie i nawet nie próbowałem nad nimi zapanować. Krążyły swobodnie, nie wiem, czy były dobre, czy złe, odpowiednie lub nie, jednego byłem pewien: za wszelką cenę musiałem ujrzeć

młodą Raffaellę. Pragnąłem tego tak bardzo, że nie myślałem już o świeżo zakończonym śledztwie w sali tortur ani o dziwnej rozmowie z kardynałem Iulianem i astrologiem. W pamięci miałem jedynie jej owalną twarz o gładkiej, białej cerze, czyste spojrzenie brązowych oczu i kasztanowe włosy... Jej piękne ciało... Znów nachodziła mnie pokusa. Nie umiałem powiedzieć, czy była aniołem wysłanym mi przez Boga na ratunek w tym zimnym, niepojętym świecie. Czy demonem, który zaczął już lizać mnie po twarzy, aby potem domagać się duszy na wieczne zatracenie.

V

MAGIA CIAŁA

12

Kaplica Pokutników znajdowała się na samym końcu wielkiego budynku klasztornego. Była niezwykle piękna w swej prostocie, lecz rzadko z niej korzystano w ciągu roku. Otwierano ją tylko przed Wielkanocą i na uroczystość świętych Piotra i Pawła. Ze względu na swe położenie kaplica stwarzała idealne warunki do prywatnych spotkań na osobności, a tego potrzebowałem.

Oliwne kaganki na końcu długiego kamiennego korytarza świadczyły, że coś się tu ostatnio działo. Zapalił je wikariusz, aby rozjaśnić grobowe ciemności spowijające zazwyczaj tę część klasztoru. Ująłem zimną żelazną klamkę masywnych drzwi i w takt gwałtownego bicia serca wszedłem do kaplicy pogrążonej w absolutnej ciszy. Raffaella siedziała w drugim rzędzie ławek akurat na wprost ołtarza. Kasztanowe włosy połyskiwały pod grubym, czarnym szalem, który ją okrywał. Nie zauważyła mojego wejścia, więc zbliżałem się ostrożnie, żeby jej nie przestraszyć. Ale odwróciła głowę, zanim doszedłem, bo zdradził mnie cień na ścianie.

–Angelo – powiedziała ze słodyczą w głosie, po czym wstała, ale nie ruszyła się z miejsca.

Widzieć jej twarz było dla mnie najlepszym prezentem, jaki dostałem w ciągu wielu lat. Spojrzenie Raffaelli dotknęło mego

94

serca; byłem tak zmieszany, że nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Mało kto może się pochwalić, że inkwizytor nagle zaniemówił w jego obecności. Z pewnością czekała na jakąś reakcję z mojej strony – aprobatę lub reprimendę – gdyż stała nieruchoma niczym piękna rzeźba. Uśmiechnąłem się mimo woli. A wtedy ona podeszła i objęła mnie.

–Raffaello – powiedziałem, przyciskając ją z uczuciem do piersi. – Coś ty najlepszego zrobiła?

–Proszę o wybaczenie, nie chciałam was narażać ani sprawiać kłopotów – powiedziała z

twarzą wtuloną w moje ramię. – Wiem, że nie powinnam tu przyjeżdżać, ale ufam, że mnie zrozumiecie.

Wziąłem ją za ramiona i odsunąłem nieco, aby się lepiej przyjrzeć. Była zapłakana.

–Moja maleńka – wyszeptałem czule.

Nic dziwnego, że Raffaella była wystraszona. Powodowana nagłym impulsem uciekła z domu i przejechała wiele mil. Nie przestała być dzieckiem, chociaż właśnie przekonała się na własnej skórze, że rzeczywistość jest dużo bardziej skomplikowana, niż można by sądzić, i teraz bała się kary ze strony najbliższych. Jako człowiek i zakonnik miałem obowiązek pocieszyć tę strapioną duszę.

–Gdybym wcześniej wiedział, że przyjedziesz, kazałbym ściąć wszystkie kwiaty w dolinie, żeby przyozdobić tę kaplicę.

–Nie gniewacie się, panie? – spytała zdziwiona.

–Dlaczego miałbym się gniewać?

–Nie posłuchałam waszej rady... Pamiętacie, co mi powiedzieliście, kiedy chciałam wyjechać razem z wami?

–Pamiętam – odpowiedziałem, ocierając kciukiem łzę spływającą po policzku. – Czasem usta mówią szybciej niż serce. Bardzo się cieszę, że cię widzę.

Uśmiechnęła się, a ja z trudem stłumiłem westchnienie zachwytu.

–Ale to nie znaczy, że pochwalam twój wybryk... Naprawdę sądziłaś, że mógłbym się na ciebie gniewać?

–Nie... Spodziewałam się tego po was i nie pomyliłam się... Nie żałuję tego, co zrobiłam. –
Raffaella trochę się uspokoiła.

Nie mieliśmy zbyt wiele czasu. Przedłużanie rozmowy kolidowałoby ze względami ostrożności i z obowiązkami, jakie na mnie czekały, zwłaszcza że miałem jeszcze dużo do zrobienia przed Sermo Generalis, wielkim autodafe zaplanowanym na trzydziestego listopada na placu Świętego Wawrzyńca. Silny impuls przywiódł mnie do tej kaplicy: wiedząc, że Raffaella jest pod moim dachem, nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie zobaczyć. Domyślałem się, co nią powoduje. Ten uścisk, to spojrzenie mówiły same za siebie. Jeśli jest jeszcze coś innego, później mi o tym powie. Będziemy mieć jeszcze więcej czasu i lepsze warunki do rozmowy. Trzeba tylko zaczekać, aż przyjdzie noc.

–Raffaello – powiedziałem, biorąc ją za rękę. – Teraz muszę już iść. Powiem bratu, który cię tu przyprowadził... to wikariusz Rivara... żeby przygotował dla ciebie pokój na tę noc. Przyjdę wieczorem i zjemy razem kolację. Na razie zostań w kaplicy i nigdzie nie wychodź, chyba że z Rivarą. Za nic w świecie nie opuszczaj pokoju, kiedy już tam się znajdziesz. Chyba rozumiesz, ile ryzykuję, przyjmując cię w swoim klasztorze.

Co powiedziawszy, opuściłem kaplicę, a w drodze powrotnej znów naszły mnie wspomnienia z poprzedniego dnia, o których na chwilę zdołałem zapomnieć. Okrutne przesłuchanie, tortury, zeznanie Gianmarii, oskarżenie, że jestem dzieckiem z nieprawego łoża, nieoczekiwana wizyta kardynała Juliana i papieskiego astrologa, zagadka Corpus Carus... I jeszcze ta księga,

0 której – jestem tego pewien – nie powiedzieli mi wszystkiego. Niebawem wrócą ludzie, których wysłałem do Ferrary,

1 pierwsza część zadania – odnaleźć Necronomicon Gianmarii – będzie wykonana. Zbliżała się pora wyjazdu do Nowego Świata. Bardzo chciałem rozwiązać część z tych zagadek, które tak nagle i niespodziewanie pojawiły się na mej drodze.

Umieściłem Raffaellę w lepszym skrzydle klasztoru z przestronnymi pokojami, zarezerwowanymi dla przeora i ważnych gości. Zarządziłem, że kolację mają przynieść, postawić pod drzwiami, zapukać i od razu odejść, nie czekając na odebranie.

Kiedy przyszedłem, zapukałem do drzwi cztery razy, tak jak ustaliliśmy z Raffaella, która miała przykazane nikomu nie otwierać. Zamek zadźwięczał i wielkie drzwi z drzewa orzechowego uchylły się, żeby mnie wpuścić. Raffaella miała na twarzy radosny uśmiech, a resztki jedzenia świadczyły, że kolacja była bardzo dobra.

–Cieszę się, że was widzę, panie... – powiedziała, siadając w nogach majestatycznego łoża z pięknie rzeźbionym wezłowiem.

–Smakowało? – spytałem, rzucając okiem na srebrne tace.

–Bardzo. Co to było?

–Sarnina... – powiedziałem, kontemplując doskonałość jej rysów, i uśmiechnąłem się uprzejmie.

–Sarnina? – zawołała ze zdziwieniem. – Nigdy w życiu tego nie jadłam.

–No cóż... Teraz nie możesz już tak mówić – zauważyłem. Było to danie przygotowywane zazwyczaj dla gości najwyższej rangi. Dziczyzna jest ciemniejsza od wołowiny i niezwykle smaczna, zwłaszcza z grzybowym z sosem. Nasz kucharz zachowywał w najgłębszej tajemnicy przepis na ten sos.

Podszedłem do kominka, rozgarnąłem rozzarzone drwa i dorzuciłem trzy grube kawałki, żeby utrzymać ciepło w alkowie. Układ dREW, gorący żar, trzask i wznoszenie się płomieni przypomniały mi zniecka, kim jestem. Ale w tym momencie nie miałem do czynienia z heretykiem, którego należało uwolnić od grzechów przed spaleniem. Miałem do czynienia z córką mojego dobrego przyjaciela Tommasa. Podszedłem do wielkiego łóżka, wziąłem krzesło i usiadłem naprzeciwko Raffaelli.

–Opowiedz, po co tu przyjechałaś – zapytałem najdelikatniej jak mogłem.

–Bo chcę być z tobą-odpowiedziała dziewczyna z wielką pewnością siebie, co mnie zbiło z tropu.

Spodziewałem się odpowiedzi niejasnej i zakamuflowanej, toteż stanowczość i szczerść dziewczyny zaskoczyły mnie i wpłynęły na zmianę opinii o niej. To nie było rozkapryszone dziecko, które nie wie, czego chce.

–Jestem zaskoczony tą szczerścią, ale podoba mi się twoja bezpośredniość. – Poglaskałem się powoli po brodzie i spojrzałem na nią oczami sędziego. – Intryguje mnie jeszcze jedna sprawa. Dlaczego pragniesz być blisko mnicha takiego jak ja?

Raffaella spuściła oczy i nerwowo bawiła się brzegiem sukienki. Nie było jej łatwo uporządkować myśli; wykazywała przy tym dużą odwagę.

–Właściwie nie bardzo wiem... – odparła, kręcąc głową. – Może dlatego, że nie interesują mnie inne rzeczy, może dlatego, że za dużo o tobie słyszałam... A może po prostu poznałam cię w odpowiednim momencie...

–Mówisz mi o miłości? – zapytałem poufale. Podniosła szybko głowę i wciąż mnąc w palcach rąbek sukienki, patrzyła na mnie w milczeniu.

Jedno spojrzenie warte jest więcej niż tysiąc słów, jak mówi przysłowie. Dodałbym jeszcze, że są takie spojrzenia, których nie da się opisać żadnym słowem, bo wyrażają uczucia zakochanej kobiety, a te są nie do opisanania. Czekałem na jakąś reakcję, ale Raffaella zapatrzyła się gdzieś przed siebie i nie odpowiadała na moje pytanie. Ciepłym uśmiechem odwzajemniłem prezent, jaki właśnie mi podarowała.

–Jak możesz być zakochana w kimś takim jak ja? – spytałem, a moja odpowiedź, nie zawierając kategorycznego sprzeciwu wobec jej sugestii, pozwoliła jej myśleć, że nie jest sama na tym rozstaju dróg, i dodała jej otuchy. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym owej nocy zostawił tę

małą sam na sam z uczuciami, które ofiarowała mi jak dojrzała kobieta.

–Pewnie dlatego, że dużo się o tobie mówi u nas w domu, pamiętam wszystkie opowieści ojca o waszych przygodach i to co sam nam powiedziałeś o swoim kapłaństwie, przedstawiając się jako rycerz walczący z demonami. Być może to uczucie jest zdradliwe... I zasługuje na potępienie...

–Oczarowały cię opowieści ojca czy czarny habit inkwizytorów?

Zastanowiła się, po czym kontynuowała.

–Myślę, że nosząc strój inkwizycji, nie przestajesz być tym, kim byłeś. Ojciec twierdzi, że jesteś bardzo ważną osobą. Jeździsz wspaniałymi powozami, znają cię w Rzymie i rozmawiasz z papieżem, którego ja, Rzymianka, nawet nie widziałam! To może oczarować każdego, ale mnie bardziej pociągają twoje oczy, piękne i uważne spojrzenie. Chyba nie myślisz, że uciekłam z domu dla kaprysu?

–Pochlebiasz mi – stwierdziłem i poczułem się szczęśliwy jak rzadko. – Rozumiem twoje uczucia... Gdybym powiedział ci prawdę o swoich, umiałabyś zachować ją dla siebie?

–Oczywiście! – wykrzyknęła.

–Jesteś bardzo piękna... nadzwyczaj piękna i szlachetna. Gdybym nie był zakonnikiem, zrobiłbym wszystko co w mojej mocy, abyś była ze mną... Uwierz mi.

Raffaella słuchała uważnie i zmieniała się na twarzy po każdym moim słowie.

–A więc nie chcesz, żebym była z tobą? Co ci przeszkadza? – zapytała i trafiła w sam środek dręczących mnie wątpliwości. To było dobre pytanie, cios sztyletem prosto w moje pryncypia.

–Nie jestem wolny. Można powiedzieć, że po dziewięciu latach narzeczeństwa złożyłem Bogu śluby wierności i czystości. Chyba nie chcesz, żebym złamał te śluby.

–Jestem pewna, że Bóg byłby szczęśliwy, gdybyś został ze mną.

Przez chwilę pragnąłem, aby to była prawda, ale szybko się zreflektowałem.

–Długo nad tym rozmyślałam w czasie podróży. Skoro ty, podobnie jak ja, nigdy nie widziałeś Boga, skąd wiesz, że wasz związek istnieje naprawdę?

–Bo tak mi mówi życie... Tak mi wskazuje serce... Raffaella uśmiechnęła się z przymusem i przełknęła gorycz.

–Nie ma miejsca na miłość w twoim sercu? – zapytała szeptem.

–Nie na taką, o jakiej mówisz – odparłem. – Wszystko oddałem Bogu i jego sprawie.

Podniosłem się z krzesła i usiadłem na łóżku obok niej. Dotknąłem jej dłoni, a potem pogłaskałem po głowie. Miała jedwabiste włosy; przesuwałem po nich palcami, zatrzymując się na zapince, która splatała je na karku.

–Nie kochasz mnie... Nie kochasz mnie ani trochę – powiedziała zahipnotyzowana pieśczętą.

–Owszem, kocham...

–Nie rozumiem. Cieszysz się na mój widok, widzę radość w twoich oczach, ale zamykasz przede mną swoje serce. Wyznaję ci miłość, czego nigdy nie wyznałam żadnemu mężczyźnie, a ty ją odrzucasz. I teraz na dodatek mówisz, że mnie kochasz... Nic nie rozumiem. Nie wiem, czy powinnam się wstydzić, czy litować nad sobą. – Raffaella starała się zachować godnie, choć niewiele brakowało, aby się rozplakała.

–Kocham cię, ale nie tak, jak byś chciała. Już ci mówiłem, gdybym nie był duchownym, inaczej by to wyglądało. Nie wstydź się i nie uzalaj nad sobą. Jesteś dzielną młodą dziewczyną.

Raffaella oparła głowę na moim ramieniu i wyszeptała takim tonem, jakby szła na stracenie:

–Co teraz ze mną będzie?

To pytanie przekonało mnie, że naprawdę była zdecydowana pozostać i wiązała ze mną swoje plany życiowe. Nie liczyła się

z odmową. Może zanadto ufała swej urodzie i urokowi osobistemu.

–Jutro wyruszysz z powrotem do domu. Odwiezie cię powóz klasztorny z emisariuszem, który przekaże twojemu ojcu list ode mnie z prośbą, aby nie był dla ciebie zbyt surowy.

Dziewczyna nie zrobiła żadnego gestu, tkwiła w milczeniu, oparta o moje ramię. Odsunąłem ją delikatnie i pożegnałem serdecznie, składając na jej czole czuły pocałunek. Następnego dnia rano zamierzałem ją obudzić i pożegnać się przed wyjazdem, a będzie to pożegnanie krótkie i niewinne, nie takie, jakiego by zapewne pragnęła.

Po północy wikariusz kazał mnie obudzić. Gwałtowana burza szalała nad Genuą. Błyskawice strzelały płomieniami w budynki konwentu, pioruny rozbijały się w jego murach. Musiało to być coś pilnego, gdyż w sprawach mniejszej wagi wikariusz poczekałby do wschodu słońca. Ubrałem się szybko i pospieszyłem za wysłannikiem Rivary do sali kapituły, gdzie wikariusz już na mnie czekał.

–Ojczy przearze! – zawołał na mój widok. – Wybaczcze, że niepokoje was w środku nocy, ale otrzymałem wiadomość nadzwyczaj istotną.

–A więc...? Słucham – powiedziałem, zasiadając za biurkiem.

Rivara odprawił swojego sługę, bo chociaż miał do niego absolutne zaufanie, chciał mi przekazać informacje dotyczące spraw tajnych i zakazanych.

–Pamiętacie czarownicę z Portovenere? – spytał. Blask świec powodował niespokojny taniec cieni na jego twarzy.

–Oczywiście.

–Już nikomu więcej nie zaszkodzi.

–Mamy ją? – spytałem z nadzieją.

–Tak.

–To wspaniale – zawołałem usatysfakcjonowany.

–Ale to nie wszystko, ojciec przeorze – kontynuował wikariusz. – Od dawna posiadamy spory materiał dowodowy przeciwko niej, ale koronny dowód zdobyliśmy teraz. To list, który ujawnia jej makabryczne intencje w świecie czarów.

–Świetnie – uśmiechnąłem się z satysfakcją. – Kiedy się o tym dowiedzieliście?

–Godzinę temu, ojciec przeorze.

Zapatrzyłem się w płomień świec i dopiero po chwili wróciłem do rozmowy.

–Jak brzmi prawdziwe nazwisko czarownicy? – zapytałem.

–Isabella Spaziani.

–Spaziani... – wymamrotałem z wściekłością, bo było to nazwisko znane mi aż do bólu.

–Znacie ją?

Westchnąłem, kryjąc twarz za wyłogami szlafroka nie tyle z zimna, ile żeby opanować dreszcz, który przeszył mi plecy na dźwięk nazwiska czarownicy. Wydarzenia z przeszłości kłębiły mi się bezładnie w głowie. Moje oczy koloru miodu straciły blask i pociemniały. Rivara przyglądał mi się badawczo, czekając na odpowiedź.

–To stara znajoma – powiedziałem przez zęby – uczennica francuskiej czarownicy, którą ścigałem lata temu.

–A jak się nazywała ta ważniejsza, ojciec przeorze?

–Madame Tourat. Nazywała się madame Tourat. Była bogata, mieszkała w Montpellier i w młodości zaprzedała duszę diabłu. Isabella terminowała u niej, wspólnie urządzały występne orgie, kończące się w miejskich domach. Nie tak dawno udało jej się zbiec przed inkwizycją.

–A co się stało z madame Tourat?

–Spaliłem ją na stosie na południu Francji.

Płomień świec ożywił we mnie wspomnienia, tym gorętsze, że teraz podsycane wiadomością Rivary.

–Kiedy przywiozą tu czarownicę z Portovenere? – spytałem.

Wzrok Rivary natychmiast zsunął się z mojej twarzy na podłogę. Najwidoczniej było więcej przyczyn, dla których zerwał mnie z łóżka.

–Ojcie przeorze... Właśnie dlatego po was posłałem... Mamy ją, ale nie tak zupełnie...

–Co to ma znaczyć, Rivara? – traciłem już cierpliwość wskutek okrężnych odpowiedzi wikariusza.

–Jest martwa...

–Jak to martwa?!

–Kiedy weszliśmy do domu, leżała na podłodze z ustami przeszytymi strzałą. Ktoś ją zamordował.

Jego słowa wprawiły mnie w zakłopotanie i zamieniły zdziwienie w gniew:

–I to ma być ta ważna wiadomość...! Wyciągacie mnie z łóżka tylko po to, żeby powiedzieć o trupie?

–Ojcie przeorze, nareszcie mamy pewność, że ona nie będzie już rzucać czarów na pobożnych ludzi. – Wikariusz znów spuścił oczy i wymamrotał niechętnie: – Choć teraz.wymknęła się wam i inkwizycji raz na zawsze.

Wziąłem głęboki oddech, żeby uzbroić się w cierpliwość, i powtórzyłem powoli:

–Nie wierzę, że wyrwałeś mnie ze snu tylko po to, żeby powiedzieć o martwej czarownicy. To do ciebie niepodobne.

–Zgadza się, ojcie przeorze, jest coś więcej – odparł Rivara, podsuwając do światła świec kartkę, którą trzymał w ręce. – Oto główna przyczyna.

Wziąłem poplamioną, cuchnącą kartkę, spojrzałem na wikariusza i zacząłem czytać:

Erosie Gianmario, czarowniku Wenecji,

Wciąż nie mam od Ciebie wiadomości, moje listy pozostają bez odpowiedzi. Mam nadzieję, że nie dorwały Cię psy inkwizycji. Zdaje się, że krąg powoli się zamyka... Teraz zostaje nam tylko przygotować Wielki Sabat i dać

upust wielkiemu pragnieniu czarowników i demonów, które zrodziło się w starożytności. Wiem, co mówię, bo od ponad dziesięciu lat posiadam Szmaragdowy Kodeks.

Słyszałam, że Ty z kolei posiadasz Necronomicon i tak jak dzień potrzebuje nocy, a Słońce Księżycyca, tak moja księga potrzebuje Twojej. Kościół katolicki ściga nas uporczywie, psy Chrystusa wciąż idą naszym śladem, mimo że czołgamy się po najciemniejszych, najohydniejszych zakątkach z czujnością węża, czyhającego na odpowiedni do ataku moment. Nie ma sensu opuszczać Włoch, bo prawosławni i protestanci niewiele się różnią pod tym względem, są tak samo papiescy jak rzymscy biskupi.

Wielki Mistrz czeka milczący jak mnich z nogami kozła, chociaż nikt nie wie, gdzie się znajduje. Dopilnuje, aby wszystko przebiegało wedle zakazanych rytuałów inicjacyjnych, zgodnie z sekretem czarnej magii. Połączymy obie księgi, Twój Necronomicon i mój Szmaragdowy Kodeks na chwałę Króla Ziemskich Królestw. I nastanie ciemność zupełna.

Wielki Mistrz niecierpliwi się z powodu Twojej ciszy. Ty masz księgę, jesteś panem czasu.

Ukrywam się, czuję coraz bliżej oddech psów inkwizycji, więc zaszyłam się w mojej mrocznej norze i czekam na odpowiedź.

ISABELLA, czarownica i świadek Szatana, październik 1597 roku

Podniosłem oczy i obserwowałem wikariusza.

–Gdzie był ten list?

–Ukryła go w pochwie... jakby chciała zabrać go ze sobą w wieczną ciszę śmierci. – Odrzuciłem pismo ze wstrętem i wytarłem ręce w szlafrok. Wikary kontynuował: – Czarownica była już od jakiegoś czasu martwa, ale zwłoki nie uległy

rozkładowi na mrozie. Leśne bestie rozszarpały ciało i papier wystawał na zewnątrz.

–Znaleziono coś jeszcze? Jest Szmaragdowy Kodeks, o którym pisze w liście?

–Nie, ojcie przeorze. Były ślady, że wcześniej ktoś przeszukał dom czarownicy, i to dokładnie.

–Ktoś jeszcze czytał ten list?

–Tylko ja, ojcie przeorze – odpowiedział Rivara.

–Pojąłeś, o co chodzi?

–To jasne. Chciała połączyć swoją księgę z Necronomico-nem, o którym rozmawialiście z czarownikiem. Znała naszego heretyka, ale nie wiedziała, że od tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku znajdował się w więzieniu.

–A domyślasz się, dlaczego jej na tym zależało?

–Wy jesteście lepiej zorientowani w tym wszystkim niż ja. Widać to było w czasie rozprawy. Ja nie znam się na zakazanej literaturze.

Wikariusz patrzył na mnie z wyczekiwaniem.

–W porządku... Więc postaraj się zapomnieć o tym wszystkim – poradziłem, a mając na uwadze nieoczekiwany zwrot wydarzeń, dodałem: – Dla twojego dobra.

–Tak zrobię, ojcze przeorze.

Przysunąłem twarz do światła, żeby gra półcieni wyostrzyła moje rysy i podkreśliła twardość spojrzenia. Obserwowałem wikariusza uważnie.

–Wiesz jeszcze coś, czego ja nie wiem?

–Nie, ojcze przeorze.

–To dobrze. Napiszesz zaraz list do Superiora Generalnego. Należy go powiadomić o tym odkryciu.

–Już piszę, a jutro rano wyślę przez posłańca do Rzymu. Pozostała jeszcze jedna sprawa.

–Bracie Rivara, nic już nie poradzimy na to, że los rozprawił się z tą podłą czarownicą. Ale nigdy nie pozwolę, aby śmierć ciała była wyzwoleniem dla diabelskiego ducha. Urządzimy Sermo Generalis jak należy – podkreśliłem zdecydowanie.

dowanie, a moje oczy ciskały iskry nienawiści. – Lud Genui otrzyma to, czego pragnie. Zobacz heretyków na placu.

Blask błyskawicy wtargnął przez okna. Na zewnątrz szalała burza równie gwałtowna jak wewnątrz sali. Wstałem, żeby kontynuować.

–Nie pozostawimy czarownicy bez kary. – Podnosząc do góry palec z pierścieniem Chrystusa, nadałem głosowi karcące brzmienie, a nowy błysk pioruna oświetlił mą twarz: – Każę przygotować dodatkowy pał, każę przynieść na plac ciało czarownicy. Nikt nie może się chępić, że zakpił z Wielkiego Inkwizytora DeGrasso.

Rivara zmarszczył brew.

–Zamierzacie ją spalić w tym stanie?

–Tak, spalę nieżywą. To będzie dobry przykład dla bluźnierców szydzących z nauk Kościoła.

–Ciało zacznie się jeszcze szybciej rozkładać, kiedy zabierzemy je stamtąd – ostrzegł.

–Nie martw się. Ogień usunie wszelki smród.

–Jak każecie, ojczyźnie.

Powtórnie przyjrzałem się Rivarze, który usiadł za biurkiem, żeby napisać list, tak jak mu zleciłem, i używał pióra do zanotowania moich poleceń.

–Z czym kojarzy ci się zdanie „milczący jak mnich z nogami kozła” – spytałem wikariusza, bo chciałem wiedzieć, jak dalece sięga jego zdolność rozumienia.

–Ze zdrajcą, ekscelencjo.

–Tak mniemasz? – wołałem się upewnić, choć odpowiedź wydała mi się trafna.

Wikariusza nie zdziwiło moje pytanie.

–Nie bierzcie pod uwagę mojej interpretacji, tylko to, co mówi wam intuicja – odparł Rivara, a w jego oczach odbijał się blask świateł.

Wziąłem kartkę z listem czarownicy i powoli przysunąłem do nosa. Poczulem pośmiertny zapach jej grzechu. Zmieniłem się na twarzy.

Na koniec poleciłem wikaremu, żeby rano wezwał sędziego do spraw konfiskaty wraz z sekretarzem, który sporządzi wykaz dóbr krewnych i współników Isabelli przeznaczonych do konfiskaty na rzecz Kościoła. Tej nocy znów nie mogłem zasnąć na skutek różnych myśli i uczuć, jakie kłębiły mi się w głowie. Dwa ponowne spotkania, równie dla mnie ważne, choć odmiennej natury, miały miejsce tej nocy: z Raffaella, która budziła we mnie miłość, i z Isabella, przekłętą czarownicą, która wiele krwi mi napsuła w początkach mojej działalności inkwizytora. I jeszcze ta druga księga – raz już byłem na jej tropie, nic o tym nie wiedząc... Dodatkowo dręczyły mnie wątpliwości co do roli, jaką w tym wszystkim odgrywa Iuliano. Poprzedniej nocy stwierdził, że Gianmaria był ostatnim z rodu czarowników. Dlaczego mnie okłamał?

Noc była zaiste piekielna. Burza ustała o świcie, ale nie mogłem zasnąć. Potrzebowałem spokoju, a w tych okolicznościach tylko przy Raffaelli mogłem odpocząć. Postanowiłem po nią posłać i zaproponować przechadzkę po opactwie. Tym samym nasze pożegnanie nie będzie tak raptowne. Przyszła w towarzystwie wiernego Rivary, który dla niepoznaki narzucił jej na ramiona gruby habit. Spotkaliśmy się na krużganku, skąd widać było tylko skrawek błękitnego porannego nieba, ale oczy napawały się widokiem pięknych dekoracji i romańskich kapiteli. Pragnąłem nacieszyć się jak najdłużej jej obecnością, bo wkrótce miałem ją stracić.

Wikariusz zostawił nas samych. Stary krużganek miał dwie kondygnacje; na drugiej były kolorowe witraże z postaciami świętych i dawnych prałatów Kościoła. Cudowne miejsce do nadzwyczajnego spotkania. Odsunąłem nieco kaptur z twarzy dziewczyny – patrzyła z zaciekawieniem, a jej oczy promieniowały niezwykłą energią. Dotknąłem dłonią zaróżowionego,

107

ciepłego policzka, złożyłem serdeczny pocałunek na drugim policzku i wciągałem w nozdrza jej oddech jak wyborne perfumy.

Wyglądało to zaiste dziwnie: młoda dziewczyna w mnisim stroju w klasztorze pełnym mężczyzn pośród ostrej zimy. Przez chwilę miałem ochotę dotknąć jej ciała przez materiał. Raffaella, niechcący, działała na moje zmysły, nad którymi z trudem panowałem, ponieważ dotyczyły mojej męskiej natury. Próbowałem stłumić je za pomocą Pisma Świętego, w którym zawsze znajdowałem stosowną radę na dylematy duchowe, a także na pokusy cielesne. Sam Jezus miewał pokusy i mówił o tym wyraźnie: „I jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie! Lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do życia, niż z dwójgiem oczu być wrzuconym do piekła ognistego”*. Ja też musiałem odrzucić je od siebie. Tok tych myśli został nagle przerwany, bo dziewczyna odezwała się, a jej głos mnie zachwycił.

–I co...? Czyżby twoje oczy chciały mi coś powiedzieć? – Była zaskoczona, że tak długo przyglądam się jej w milczeniu.

–Przepraszam. Przeszkadza ci to...? Nie jestem przyzwyczajony do oglądania takich twarzy jak twoja. Pozwól mi cieszyć się tym widokiem, póki mogę.

–A co byś powiedział, gdybyś mógł mieć to, czego pragniesz?

–Nic bym nie powiedział, po prostu byłbym szczęśliwy. Kto by nie był?

Raffaella objęła spojrzeniem cały krużganek i uśmiechnęła się radośnie.

–Pięknie tu... Mam nadzieję, że oprowadzisz mnie po tym miejscu.

–Oczywiście, tak ci obiecałem. Chcę, żebyś zwiędziła je przez wyjazdem.

*** Mt 18,6-10, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Wydawnictwo Pallottinum.**

–Z przyjemnością – odparła entuzjastycznie i ruszyliśmy przed siebie.

Klasztor wybudowany na miejscu dawnej fortecy z końca dziesiątego wieku został przekazany Kościołowi w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej. Wzniesiony na wzgórzu, zwrócony w stronę morza, jest wykuty w skale. Najstarsza jego część charakteryzuje się wczesnym stylem romańskim, przy czym w miarę upływu lat dobudowywano skrzydła i pomieszczenia bardziej adekwatne do potrzeb zakonników. Dwie wielkie wieże strzegły wybrzeża. Były to burzliwe czasy. Ciągłym najazdom położyły kres dopiero rządy chrześcijańskich władców i opieka ze strony wojsk papieskich. Teraz było to miejsce duchowego odosobnienia. Z czasów gdy klasztor pełnił funkcję wojowniczą, pozostało tylko więzienie Świętego Oficjum. Oprócz cennych ornamentów zachowanych w krużgankach, kościele, kaplicach i części mieszkalnej najbardziej interesujące były kalefaktorium, refektarz, kuchnia i dom konwersów, a także sad i warzywnik, które dostarczały nam część pokarmów.

Opowiadałem o historii klasztoru, a Raffaella kroczyła obok mnie, jakbyśmy wracali od ołtarza w dniu zaślubin. Słuchała uważnie i z wielkim zainteresowaniem wypytywała – niczym księżniczka odwiedzająca swe włości – o rzeczy zrazu niezrozumiałe.

–Co to za ludzie w długiej kolejce przed bocznym wejściem? – zatrzymała się i patrzyła przed siebie.

–To chłopci. Przynoszą nam wszystko co potrzebne, a czego nie mamy z naszych stajni, obór i sadów. Nasze kurniki dają nam setki jaj dziennie i drób na uroczyste posiłki. Od krów i kóz mamy mleko na nasze wyśmienite sery, masło i śmietanę. Mamy też świniaki, z których w listopadzie i grudniu wyrabia się salami, szynkę i rozmaite kielbasy na cały rok. Ale potrzebujemy jeszcze mięsa, oleju, snopków siana na karmę dla naszych zwierząt, dodatkowych warzyw i owoców, i wielu innych rzeczy, które dają nam chłopci.

–Przypomina mi to targowisko.

–I tak jest. Nie ma tu sklepów na rogach ulic, jak w Rzymie. Trzeba przejść wiele mil, aby zdobyć co trzeba.

–Chłopci przychodzą przez cały dzień?

–Nie, tylko rano i przed południem.

–Muszą być bardzo biedni... – uznała Raffaella.

–Są biedni... Niestety, wiele jest biedy na tym świecie. Klasztor daje im szansę na przeżycie –

rzekłem niezgodnie z prawdą, ci chłopcy bowiem należeli do majątku klasztornego, byli poddanymi klasztoru.

Raffaella spojrzała na mnie niewinnie i zmarszczyła brwi.

–Angelo... Kościół jest bardzo bogaty, prawda? Zwlekalem z odpowiedzią, ale tym razem odpowiedziałem

zgodnie z prawdą:

–Tak, jest, choć nie zawsze ma pełne skarbcce. Dziewczyna dalej pytała, wyłącznie z ciekawości, a nie żeby

mnie obrazić:

–Gdyby Jezus wrócił na ziemię, gdzie byś go prędzej spotkał, wśród tych chłopów czy na uczcie w klasztorze?

Znów zaskoczyła mnie tą prostą refleksją i zmusiła do namysłu, bo chciałem odpowiedzieć tak jak to czułem w sercu, bez wdawania się w skomplikowane racje, których pewnie by nie zrozumiała. Położyłem jedną dłoń na jej ramieniu, a drugą podniosłem powoli, wskazując na biedaków, którzy stali z osiołkami objuczonymi mięsem i warzywami.

–Byłby tam... Byłby wśród nich. Jestem tego pewien – mruknąłem.

Raffaella uśmiechnęła się, pełna niepohamowanej radości.

–Jesteś uczciwy – zawołała ze szczególnym blaskiem w oczach. – Wiesz co...? Myślę, że Pan Jezus jest z ciebie bardzo zadowolony, bo jesteś dobrym nauczycielem.

Odpowiedziałem uśmiechem bez słów i zaproponowałem dalszą przechadzkę w stronę spichrza, sadu i zabudowań gospodarskich.

–Ty sam tego wszystkiego dogładasz? – zdziwiła się na widok rozległych przestrzeni.

–Jasne, że nie. Odpowiedzialnym jest jeden z braci, który musi zdać sprawę opatowi. Ja odpowiadam tylko za to, co dotyczy inkwizycji. Gdybym miał jeszcze zajmować się sprawami klasztoru, mogłoby mi zabraknąć tej jasności umysłu, jakiej wymaga moja funkcja. Nie stać mnie na luksus popełniania błędów, bo w wielu wypadkach nawet drobna pomyłka jest nie do naprawienia.

Raffaella stanęła i spojrzała mi prosto w oczy.

–O której muszę wyjechać?

–Już teraz – powiedziałem ze smutkiem.

–Szkoła... – westchnęła.

–Ja też tak czuję, wierz mi. Twoja obecność i sposób patrzenia na świat są dla mnie wielką radością. Dają ukojenie mej duszy.

–Zostało niewiele czasu. Musimy się pożegnać i zaczekać, aż los zgotuje nam nowe spotkanie. Nie zapomnisz o mnie?

–Nie zapomnę, Raffaello – powiedziałem, zdejmując niewygodny kaptur z jej głowy. – Uczucia nie gasną, tylko dojrzewają w miarę upływu czasu. Taka jest moja filozofia.

–Gdybyś odczuwał miłość, pojąłbyś, jaki to ból rozdzielać coś, co samo, bez żadnego nakazu, się złączyło.

–Skąd wiesz, że nie czuję miłości?

–Ja nigdy nie oddaliłabym się od mej miłości. A ty?

–Nie oddalam się od mojego Boga. Tak samo jak ty nie chcesz oddalić się ode mnie – odparłem.

Te słowa kierowałem raczej do samego siebie, a nie po to, żeby przekonać ją o mojej wierności Bogu. Staralem się znaleźć siłę potrzebną do odparcia pokusy.

Raffaella patrzyła na mnie z młodzieńczą słodyczą w oczach czystych, poważnych, z wyrazem kobiecej dojrzałości, jaki rzadko widuje się u dziewczyny w jej wieku.

–Wracajmy, jeśli chcesz, żebym już wsiadła do powozu. Spuściłem wzrok i zamyśliłem się. Ona podporządkowała

się mej decyzji, poniosła klęskę, lecz nie histeryzowała i przyjęła

swój los z wielką odwagą i szlachetnością. Nigdy nie wątpiłem, że tak właśnie postąpi.

–Dobrze – odparłem, niewiele myśląc, jakbym recytował rolę, powierzoną mi przez los w tym dramacie. – Więc wracajmy.

Raffaella zrobiła kilka kroków i zatrzymała się, bo nie szedłem za nią,

–Mam iść sama? – zapytała cichutko.

Runął ochronny mur, jaki latami wznosiłem uporczywie wokół siebie. Runął na widok oddalającej się kobiecej sylwetki. Pospieszyłem za nią, obnażyłem mą duszę, jakby od tej odpowiedzi zależało całe moje życie, stanąłem blisko, twarzą w twarz i spytałem:

–Wciąż myślisz, że jestem dobrym człowiekiem?

–Tak.

–I będziesz tak o mnie myśleć, niezależnie od tego, co się stanie?

Dziewczyna patrzyła, nie rozumiejąc.

–Co chcesz powiedzieć...?

Moje usta poszukały jej ust i pocałowałem ją. Raffaella najpierw się zdziwiła, ale zaraz potem odpowiedziała z całkowitym zapamiętaniem. Ten pocałunek rozdarł moje życie na dwie części. Czułe wargi dziewczęce, które tyle mnie nauczyły i rozpałyły w moim sercu płomień, zepchnęły moje zasady nad brzeg przepaści. Nic nie myślałem, tylko całowałem ją namiętnie. Jedynymi świadkami tego aktu, niegodnego Wielkiego Inkwizytora DeGrasso były zwierzęta w przyklasztornej zagrodzie.

Znów noc zapadła nad klasztorem z nieśmiałym blaskiem księżyca w nowiu, zimnymi wichrami i wyciem zgłodniałych wilków. Byłoby nieostrożnie wyjeżdżać o tej porze, kiedy

wychodzą na drogę włóczędzy w poszukiwaniu łatwego żeru i zagrażają wszystkiemu, co się porusza. Ewidentne niebezpieczeństwo czyhało za murami, ale dla mnie tej nocy wróg przedarł się przez grube ściany i dotarł do samego serca klasztoru.

Po tym, jak pocałowałem Raffaellę, zdecydowałem przełożyć jej wyjazd. Była to niespodzianka dla niej i dla wikarego, który ponownie musiał przygotować pokoje dla dziewczyny i zawiadomić eskortę, że na razie nie będzie żadnej podróży. Rivara był ze mną szczery i nie ukrywał zmartwienia, że Raffella pozostanie dłużej w naszym domu; plotki szybko się rozchodzą i mogą zaszkodzić mojej, jak dotąd, niepokalanej reputacji. Miał rację, wiem, ale i ja miałem swoje racje. Musiałem dalej iść drogą, która przed chwilą mi się objawiła, odkryć tajemnicę miłości raz na zawsze i do końca.

W przeciwieństwie do minionej nocy teraz ona została zaproszona do mej sypialni. Raffaella wyglądała prześlicznie w haftowanej aksamitnej sukni, z włosami upiętymi na karku w kok. Obejrzała mieszkanie i z przyjemnością śledziła moje ruchy, podczas gdy ja podsycałem ogień w kominku i przygotowywałem stolik z łakociami, suszonymi owocami i miodem.

–Być tutaj to luksus w porównaniu z mrozem na zewnątrz... – rzekła młoda D'Alema. – Kominek, stolik z łakociami... I mnóstwo wolnego czasu, który możemy przeznaczyć na to, co chcemy...

Pokonałem krótką odległość między nami i przysunąłem do stołu dwa fotele. Gestem ręki zaprosiłem, by usiadła, a sam zająłem miejsce naprzeciwko niej.

–Cieszę się, że jest ci tu dobrze – powiedziałem, biorąc ze stołu kilka migdałów. – Wyglądasz zachwycająco, masz piękną suknię.

–Przez cały czas, odkąd wyjechałam z Rzymu, pragnęłam z całej duszy, abyś mógł ją obejrzeć i żeby ci się naprawdę spodobała. To jedyna elegancka suknia, jaką mam – Raffaella

rzuciła skromne spojrzenie na fałdy aksamitu. – To prezent od ojca, wiem, że kosztowała go zbyt drogo, ale chciał mi w ten sposób pokazać, jak bardzo mnie kocha.

–Jak myślisz, co on teraz czuje, nic o tobie nie wiedząc – spytałem z niepokojem.

–Zostawiłam krótki list przed opuszczeniem domu. Jestem pewna, że potrafi mnie zrozumieć.

–Co napisałaś?

–Prawdę. Napisałam, że jadę do ciebie z wizytą i wrócę za kilka dni.

–I myślisz, że się nie martwi?

–Na pewno nie, bo mnie kocha i ma do mnie zaufanie. Jej słowa przywiodły mi na myśl Tommasa i poczułem silne

wyrzuty sumienia, bo oto miałem zdradzić naszą przyjaźń. On też pokładał we mnie wielkie zaufanie... Ale nie było już sposobu, by się cofnąć. Ukryłem, jak mogłem, te myśli przed wzrokiem Raffaelli.

–Na pewno już widział się z posłańcem, którego wysłałem do Rzymu, żeby go uspokoić. Twój ojciec może wreszcie odetchnąć z ulgą po strachu, jakiego mu narobiłaś. – Spuściłem oczy na suknię. – Bardzo dobrze wybrałaś, wyglądasz w niej poważniej.

–Przestałeś wreszcie widzieć we mnie dziecko? Odpowiedni strój czyni cuda! – zażartowała Raffaella.

–To się stało już w czasie mojej ostatniej wizyty u was. Wcześniej byłaś dla mnie tylko słodką, małą dziewczynką.

–Dlaczego ta suknia dodaje mi powagi? – spytała kokieteryjnie Raffaella i podniosła się z miejsca.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na jej piersi, które wydawały się jędrniejsze i większe niż podczas mojego pobytu w Rzymie.

–Nosisz gorset? – spytałem, czerwieniejąc na twarzy.

–Tak – odpowiedziała, uśmiechając się porozumiewawczo.

–Może właśnie dlatego...

–Gorset nie ma wpływu na kształt moich piersi, to spadek po matce – wyjaśniła Raffaella dumna z atrybutów swej kobiecości.

Ta rozmowa przyprawiała mnie o zmieszanie. Próbowałem pomyśleć o całym szeregu świętych z kalendarza liturgicznego, policzyłem do dziesięciu po łacinie i wróciłem do greckiego zera. Nie było szans, żebym się uspokoił i zignorował obecność tej dziewczyny o pięknym ciele.

–Więc dlaczego używasz gorsetu? – zapytałem, byle coś powiedzieć, bo moje myśli krążyły gdzie indziej.

Dziewczynę zadziwiło bezsensowne pytanie, lecz odpowiedziała z wielką naturalnością, tak jakby to zrobiła wobec najbliższych przyjaciółek.

–Gorset wyszczupla talię, podnosi piersi i podkreśla dekolt – Raffaella spojrzała na swój biust, po czym kontynuowała: – Przyznam, że nie ściskam się zbyt mocno, bo nie lubię. Noszę go ze względów formalnych, ale brak gorsetu nie miałby u mnie żadnego wpływu na linię talii i kształt piersi... Czasem czuję, jak moje ciało wrze. Myślę, że to normalne w tym wieku.

–Cokolwiek by to było, jesteś piękną kobietą nawet w habicie – nawiązałem do przebrania, które musiała mieć na sobie przez cały dzień.

Raffaella podniosła ku mnie swe łagodne oczy.

–Co takiego czyniło mnie piękną w habicie?

–Świadomość, że pod spodem jesteś ty. Chociaż ciało było niewidoczne i nie prześwitywało przez tkaninę, to sama świadomość, że jest tam ukryte, była bardzo kusząca. To nie wiąże się z estetyką, tylko z poznaniem.

–Taka gra wyobraźni – doszła do wniosku dziewczyna.

–Tak, dziwna gra.

–Myślałeś o tym trochę tego ranka?

–Przyznam, że tak – odparłem szczerze.

–Czy to dobrze?

–Odpowiedź na pytanie tkwi w fakcie, że jesteś tutaj, a nie w powozie w drodze powrotnej do domu.

Doskonale zrozumiała moje słowa i, odsuwając stolik ze smakołykami, podeszła do mnie i pocałowała delikatnie w usta. To niepowtarzalne doznanie zapadło mi głęboko w serce.

–Może posuwamy się za daleko – powiedziałem cicho, nie umiejąc ukryć podekscytowania. – Może narażamy się na zatracenie... Muszę ci wyznać, Raffaello, że pierwszego grudnia wyjeżdżam w długą podróż, ale nic więcej nie mogę powiedzieć na ten temat, bo powód i cel tej podróży są ściśle tajne. Będzie rozsądniej, jeśli odsuniesz się ode mnie...

Raffaella nie odpowiedziała, ona też była trochę podenerwowana, ale podniosła się i zrobiła coś, co było jeszcze jednym dowodem jej spontaniczności i jej miłości. Podeszła do szafy, wyjęła jeden z tych ciężkich habitów dominikańskich i w milczeniu nałożyła go sobie na głowę, żeby zdjąć suknię i gorset bez pokazywania przede mną swej nagości. Kiedy obie części ubrania leżały już na podłodze, zbliżyła się ubrana w habit i usiadła z powrotem w fotelu. Speszony, spuściłem wzrok na podłogę, przyglądałem włosy, nie wiedząc, co począć z rękami, i delikatnie pogłaskałem jej kolano przez habit. Odsunęła tkaninę i wzięła moją dłoń, żebym poczuł bezpośrednio dotyk jej skóry.

–Możesz dotykać, gdzie chcesz... Nie musisz zastanawiać się, jak wygląda moje ciało pod habitem... – wyszeptała.

–Raffaello, jesteś jeszcze bardzo młoda i niewinna – starałem się wytłumaczyć delikatnie. – Jeśli dalej będziemy tak się zachowywać, to jak sądzisz, co może się wydarzyć tej nocy? – Martwiłem się, że jest niedoświadczona i nie wie, co się ze mną dzieje.

–To tylko od nas zależy – odpowiedziała z dużą pewnością siebie. – Wiem, co się dzieje między mężczyzną i kobietą. Nieraz widziałam rodziców w takiej sytuacji. Wiem, co mówię.

Jej odpowiedź trochę mnie wystraszyła, ale właściwie nie byłem zdziwiony, bo takie śmiałe nazywanie rzeczy po imieniu pasowało do jej charakteru.

–Widziałaś... Ale nigdy nie próbowałaś – stwierdziłem ostrożnie.

–Muszę przyznać, że na początku budziło to we mnie wstręt, ale w którymś momencie zaczęłam sobie wyobrażać, że musi coś być w tych zmaganiach, skoro matka mruczy jak kot...

–Dorośli nie zawsze są dobrymi nauczycielami... – powiedziałem.

Popatrzyła na mnie i dalej mówiła z tym samym przekonaniem w głosie, co przed chwilą.

–Zawsze jest jakiś pierwszy raz... Ubrałam się dla ciebie w dominikański habit i czekam z nadzieją, że z tobą dowiem się, jak to jest.

–Jesteśmy o krok od profanacji... – wyjąkałem, podejmując ostatnią próbę przywołania nas do rozsądku.

–To nie jest profanacja, nie chcę, żebyś tak o tym myślał. Włożyłam habit, bo wiem, że to jest część twoich fantazji. Chcę być taka, jaką ty mnie widzisz. Robię to dla ciebie.

Prawą ręką rozpiąłem jej kok i ułożyłem włosy na ramionach. Świece w świeczniku dawały tylko tyle światła, żeby widzieć w ciemnościach blask kasztanowych włosów, które tworzyły ekscytujący kontrast z czernią habitu. Ująłem jej głowę w obie dłonie i mocno pocałowałem. Jej usta natychmiast rozpały płomień mego ciała, każąc zapomnieć o zasadach i całkowicie poddać się nowej emocji, jaka czekała na mnie w łóżku.

Język dziewczyny spacerował po moich wargach, a ciepłe ciało było pokarmem dla szalonej namiętności. Położyłem ją na łóżku i całując, przesuwałem dłońmi po całym ciele poprzez habit, urzeczywistniając fantazję, którą miałem dziś rano... Moje dłonie wspięły się po jej nogach, delikatnie popieściły łono i zatrzymały się na piersiach, żeby poczuć twarde sutki. Raffaella doświadczała nowego, przyjemnego doznania, oczy miała półprzymknięte, spojrzenie nieobecne, a z ust wydobywały się słodkie jęki. Była tak samo podekscytowana jak ja. W głębi ducha wiedziałem, że mógłbym się opanować,

ale nie chciałem. Pozwoliłem, żeby nasze ciała poczuły, że istnieją; pozwoliłem Raffaelli zawładnąć moją duszą, która już dawno padła na kolana przed jej wdziękami.

Zsunąłem z niej habit, żeby podziwiać nagie ciało. Była pogodna, jakby pozowała do obrazu wielkiego malarza, który przygotowuje się do uwiecznienia jej na portrecie. Nasze ciała złączyły się gwałtownie, uwalniając spętana wyobraźnię. Raffaella siadła na penisie, ścisnęła udami moje biodra, powoli podsuwała piersi do całowania. Poznawałem smak jej ciała i wdychałem jej oddech; pieściłem rękami różowe sutki; w nich też pulsował ten sam rytmiczny

ruch jak w całym ciele. Pojękując, poruszała się na mnie łagodnie i pieściła moją twarz i tułów
piersiemi, które teraz wydawały się dużo większe niż w ubraniu. Ująłem jej biodra w obie
dłonie i kołysaliśmy się w tym samym rytmie. Nasze spojrzenia spotkały się i zastygły jak
zahipnotyzowane w tej ulotnej, świeżej, niespokojnej i radosnej scenie. I wtedy zrozumiałem,
że miłość cielesna jest mądrym tworem Boga, a nie aberracją demona.

Stosunek dobiegał końca. Trzymając ją mocno za włosy, wciąż jeszcze pod urokiem
pieszczoty sutków, szczytowałem z wielką rozkoszą. Uczucie zupełnie mi nieznane. Jej długie,
szczupłe nogi drżały, a urywany oddech i brązowe oczy mówiły, że czuje to samo co ja.

Dwa razy w życiu doświadczyłem niezwyklej radości w pozycji leżącej, zachłystując się
doznaniem godnym miana szczególnej łaski. Pierwszy raz było to w dniu moich święceń
dominikańskich, kiedy leżałem twarzą do dołu na podłodze Kościoła. Czułem wtedy intymny
związek z Panem. A drugi raz tej nocy, gdy leżałem twarzą do góry i obejmowałem młodą
kobietę, która oddała mi się bezgranicznie, z największą słodyczą, wypełniając pustkę, jaką od
dawna czułem w sercu, a na tę pustkę pomogły nie dogmaty, tylko to, co zostało stworzone
przez samego Boga.

Raffaella opadła na mnie zmęczona. Na jej twarzy pojawił się piękny uśmiech. Była
szczęśliwa. Tak samo jak ja.

Chętnie zatrzymałbym ją przy sobie, dopóki nie wyjadę, ale co to dla niej za życie w ciągłym zamknięciu? Nie mówiąc już o plotkach, których tak obawiał się wikariusz. Poza tym będę zajęty przygotowaniem do autodafe. Tymczasem Raffaella uparła się, że zostanie w Genui, bo chce mnie odprowadzić na statek. Poprosiłem Rivarę, żeby znalazł jej jakieś dyskretne lokum, gdzie mógłbym ją odwiedzać w rzadkich wolnych chwilach; musiała mi obiecać, że nigdzie nie będzie wychodziła. Ta dziewczyna wciąż mnie zaskakiwała i wzruszała swą prawością. Ale wszystko miało się jeszcze bardziej skomplikować... Nie doszło do następnego intymnego spotkania przed moim wyjazdem.

VI

STARY MISTRZ

16

W ciągu kilku dni wszystko zmieniło się w moim życiu i nie miałem już żadnej władzy nad losem, który wiódł mnie z determinacją w jakieś nieznane miejsce, ciemne i przerażające. Byłem w takim nastroju ducha, że myślałem tylko albo o swych uczuciach, albo o coraz większych rozmiarach powierzonej mi misji i wątpliwościach z nią związanych. Posłańcy wysłani dwudziestego szóstego po Necronomicon nie dawali znaków życia i to też mnie martwiło. Tylko jeden człowiek mógł mi pomóc w tym zagubieniu i do niego udałem się w przeddzień autodafe.

Zawsze odwiedzałem stare opactwo kapucynów w San Frut-tuoso przed wyjazdem z Genui, ale tym razem, niezależnie od chęci spotkania moich mentorów, wizyta była bardziej koniecznością niż rytuałem. Tommasso tak dobrze zapamiętał opactwo, dlatego że było to jedyne miejsce, gdzie człowiekowi udało się naśladować doskonałość natury do tego stopnia, iż wznosząca się tam budowla zdawała się istnieć od zarania dziejów jako nierozdzielna część krajobrazu małej znanej zatoki w pobliżu Portofino, kryjówki rybaków i piratów do czasu wybudowania klasztoru w wiekach X i XI. Budynek, gdzie się wychowałem, został całkowicie przebudowany w pierwszej połowie naszego wieku przez admirała Andreę Dorię, który

120

kazał wznieść wieżę ze strażnicą strzegącą przed korsarzami i wybudował swój rodzinny panteon w jednej z kaplic przy dziedzińcu wewnętrznym.

Przełożeni tego domu formacyjnego powitali mnie z radością i zaskoczeniem i czym prędzej zaprowadzili do kościoła. Od trzynastego roku życia do osiemnastego, pod ojcowską opieką zakonnika Piera Del Grandę przygotowywałem się do złożenia świętych ślubów kapłaństwa. Byłbym dobrym kapucynem, co do tego nie mam wątpliwości, i niewiele brakowało, abym nim został. Pragnąłem tego, lecz stało się inaczej wskutek decyzji znanej tylko mojemu mistrzowi:

trafiłem do zakonu dominikanów, żeby uzupełnić studia i otrzymać święcenia.

Kariera duchownego była dla mnie jedynym wyjściem. Moja rodzina była zbyt biedna, aby opłacić mi studia na uniwersytecie, gdzie zresztą nie przyjęliby mnie ze względu na pochodzenie. Byłem synem kowala Domenica DeGrasso, człowieka od miecha i kowadła, biednego wieśniaka, któremu z ledwością starczało na wykarmienie rodziny i opłacenie podatków. Niewiele mógł poradzić na mój głód wiedzy. Monopol na naukę miały dzieci możnych, a my pozostali byliśmy skazani na ciężką pracę w polu i na ignorancję. Studia wyższe majaczyły gdzieś, coraz bardziej poza moim zasięgiem. Niemniej moje życie potoczyło się inaczej, niż należało się spodziewać, i choć szczęścia mi nie brakowało, to jednak głównie upór doprowadził mnie tu, gdzie teraz jestem. Z resztek pańskiego stołu żyją ci, którzy nigdy nie pragnęli jeść na talerzu lub tacy, którzy na starość nie mają już na nic siły.

Gdy skończyłem osiemnaście lat, pierwszej niedzieli sierpnia tysiąc pięćset osiemdziesiątego roku ojciec Piero wezwał mnie do siebie, żeby przekazać wspaniałą wiadomość: miałem opuścić klasztor i udać się do Pizy, gdzie czekał na mnie zakon dominikanów i upragnione miejsce na uniwersytecie. Mój mistrz wykorzystał wszystkie swoje wpływy – nawet tam, gdzie niechętnie go przyjmowano – tylko po to, by taki biedny Genuńczyk jak ja mógł zasiąść w szacownych ławach prze-

świątyni uniwersytetu w Pizie, gdzie kształcili się potomkowie najmożniejszych włoskich rodów jak Sforzowie, Doriowie, Medyceusze i Borgiowie. Tam poświęciłem się całkowicie doktoratowi z teologii i filozofii, zrobiłem dyplom w cztery lata i w tym samym czasie przeobraziłem się w kapłana zakonu Świętego Dominika Guzmána. Stałem się dominikaninem, jednym z wielkiej armii braci znanych w świecie jako „kaznodzieje”. W wieku dwudziestu dwóch lat wróciłem do Genui i za zgodą mojego zakonu zostałem profesorem u kapucynów, dzięki czemu znów byłem blisko człowieka, który urzeczywistnił wszystkie moje marzenia o rozwoju: mój kochany mistrz Piero Del Grandę.

Rozpamiętując te wspomnienia, doszedłem do kościoła, gdzie mój mistrz, żywa relikwia opactwa, przekazywał swe wciąż bojowe przekonania grupie młodych. Z drobnej postaci w brązowym habicie z szorstkiego materiału, przepasanym sznurem, w aureoli zupełnie białych włosów, o twarzy naznaczonej dobrocią i mądrością, była gwałtowna siła. Nie miałem zamiaru mu przerywać, lecz braciszku nalegali i otworzyli drzwi, by zaprowadzić mnie do ostatniego rzędu ławek, skąd wysłuchałem w ciszy kazania starego wielkiego mistrza. Mówił do trzydziestki braci mniejszych i nowicjuszy, zachwyconych gorącą przemową, która bardziej przypominała przestrożę starego bojownika niż homilię.

–Zaprawdę powiadam wam, bracia, że oni wydadzą bitwę i wyjmą broń, bo Rzym jak zwykle nie znalazł innego sposobu, żeby okiełznać ich porywczosć. Dominikanie mają po swej stronie potężnego sojusznika... Bardzo potężnego... Kogo? spytają najbardziej naiwni i zdziwią się, słysząc śmiałą odpowiedź, że tym sojusznikiem jest sam Wikariusz Chrystusa, papież Klemens Ósmy.

W ławach zawrzało. Piero odczekał chwilę, po czym podjął kazanie, uciszając wszelkie komentarze.

–Kto, jak nie dominikanin, potrafi lepiej rozwiązać problemy dominikanów? – rzekł energicznie Piero, wznosząc ku

sklepieniu palec wskazujący. – Myślicie, że Ojciec Święty będzie patrzył obojętnie, jak jego zakon szykuje się do bitwy, która grozi przejściem od spraw teologicznych do cywilnych? Myślicie, że zakon inkwizytorów powierzy arbitraż bezstronnym teologom i narazi się na ryzyko upokorzenia...? Oni zaatakują, tak jak zawsze to robili, i zgniotą swych rywali. Rzym nie zna sprawiedliwości, Rzymem rządzą możni, hołdujący nakazom własnej krwi rodowej i tysiącletniemu zwyczajowi: zniszczyć w zarodku wszelki bunt. W tej sytuacji nasi bracia jezuici są im bardzo potrzebni.

Stary kapucyn wziął oddech i połknął ślinę, spojrział na swoją trzodę i twarz mu się rozpuściła. Nie zaskoczyło mnie wystąpienie mistrza, bo nie pierwszy raz słyszałem go

mówiącego w tym tonie o dominikanach. Ale obecnie – zresztą z jego woli, co zakrawało na paradoks – byłem jednym z nich, nosiłem ich habit, toteż cała ta sytuacja trochę mnie krępowała.

–Heretycy... Niech was nie dziwi to słowo w ustach dominikanów ani to, że rani ono moje serce. Kto mógłby przypuszczać, że ta polemika posunie się tak daleko? Z Rzymu dominikanin Bafiez oskarża o herezję hiszpańskiego jezuitę Molineę, usiłuje obalić jego teorię i skorzysta z pomocy inkwizycji, jeśli zajdzie taka potrzeba, a papież milczy. Jak sądzicie, co pomyślałby Chrystus, gdyby Piotr oskarżył zdrajcę Judasza, że jest heretykiem? Na pewno znacie odpowiedź: Chrystus wiedział, że Piotr nie może być sędzią Judasza, ponieważ najpierw musiałby osądzić sam siebie za to, że zaparł się go nie raz, ale trzy razy. Tak więc kto może być sędzią idei, kto może wymierzać karę ideom? Dominikanie? Święta Inkwizycja? Sam papież...? Spór o de awciliis zaszedł zbyt daleko w moim skromnym mniemaniu. Boski dar łaski nie powinien być przedmiotem sporu. Jesteśmy w stanie łaski, jeśli nasze uczynki tak wyglądają w oczach Wszechmogącego. Co można jeszcze dodać na ten temat?

Piero zrobił krótką pauzę i powrócił do wojowniczego tonu z początku kazania. Słyszając mojego mistrza mówiącego o in-

kwizycji jako o instrumencie zemsty w walkach wewnętrznych, czułem się jak człowiek nagle wyrwany z przyjemnego snu; nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby kwestionował pracę Świętego Oficjum. Było to tak, jakbym obserwował moje zadanie z drugiej strony lustra.

–Banez interpretuje łaskę w duchu szkoły świętego Tomasza z Akwinu, z kolei Molina pojmuje łaskę tak jak święty Augustyn. Jeden myśli tak, a drugi inaczej, jeden opowiada się za tym ojcem Kościoła, a drugi za tamtym wielkim doktorem. A ja mówię: czy Tomasz jest twórcą łaski? Czy Augustyn jest oficjalnym rzecznikiem Królestwa Niebieskiego? A może Bóg oświecił obu w sprawie dokładnej definicji łaski, żeby przekazali ją niczym jakieś objawienie...? Nie! Dyskutujemy o czystej filozofii, o abstrakcyjnych pojęciach. Kto może z całą pewnością stwierdzić, że łaska jest wstępująca lub zstępująca? Łaska emancypuje się od ludzi i od tych, którzy filozofują na jej temat; łaska jest tylko jedna i całkowicie niezależna od tych wszystkich traktatów, które próbują ograniczyć ją, nadać jedną definicję, w jednym kierunku... To wszystko kłamstwo! Same kłamstwa! Dominikanie nawet nie udają, że chcą szukać prawdy przez dyskusję! Usiłują narzucić swoją koncepcję, wygrać bitwę i zachować władzę... Łaska niewiele ich obchodzi, co widać po ich uczynkach. Ich ludzkie usta nawet nie powinny wymawiać nazwy tego Boskiego daru! I to, moi uczniowie, powinniście sobie dobrze przyswoić, bo wydarzy się to co zwykle...! Wydalą ją z siebie wraz z krwią i nienawiścią, gdyż nie będą mogli jej strawić...! Bo taka jest nasza nieposłuszna, niszczycielska natura, ta sama, która pchnęła nas do przebicia rąk i nóg Naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Stary kapucyn dusił się z gniewu i musiał na chwilę zamilknąć, żeby uspokoić przerywany oddech. Po chwili jego głos ponownie wypełnił kaplicę.

–My, kapucyni, dobrze znamy te walki. Kiedy odłączyliśmy się od franciszkanów, wydaliśmy własną wojnę, która

kosztowała nas lata wykluczenia, grózb i kar. Dobrze znamy uczucie urazy, bo jak wiecie, zabroniono nam głosić kazania i dopiero niedawno zakaz został cofnięty. Zabroniono nam opuszczać Italię i skazano na ciemności! Sądzę, mówię szczerze, że powinniśmy obserwować tę dysputę w taki sposób, jakbyśmy nie wiedzieli, co znaczy być „w niełasce” u Rzymu. Niech nasza wiara doda wam sił... Idźcie w pokoju.

W tym momencie opuściłem swe miejsce i podszedłem do ambony. Bel Grandę schodził z trudnością, przytrzymywany przez dwóch zakonników, a dwóch najgorliwszych uczniów gratulowało mu kazania, próbując wyjaśnić jakąś wątpliwość na osobności. Jeden z towarzyszących mu braci, ten bardziej korpulentny, odsunął ruchem ręki pozostałych i poprosił o opuszczenie kaplicy. Starzec był bez sił po wygłoszeniu homilii. Kiedy wszyscy wyszli, korpulentny zakonnik dostrzegł mnie przy kazalnicy.

–Padre Piero... Zdaje się, że macie gościa – szepnął mu do ucha, pokazując na mnie.

Piero spojrział w moją stronę, ale mnie nie poznał.

–Któż to przychodzi mnie odwiedzić, nie pukając najpierw do drzwi? – zapytał ze swoją retoryką.

–To ja, mistrzu. Angelo.

Starzec nadstawił ucha i uśmiechnął się.

–Angelo...? Mój uczeń konwertyta?

–Tak jest, dominikanin Angelo w habitie inkwizytora, lecz z sercem kapucyna.

–Mój mały! – wyjąkał Piero.

Powoli, nie puszcżając swych opiekunów, starzec przemierzył te kilka dzielących nas kroków, żeby uściskać mnie serdecznie.

–Bądź pozdrowiony w imię Boże, mój synu – powiedział mi do ucha. – Wybacz moim oczom, że cię nie rozpoznały. Są tak stare jak ja.

Piero odprawił swych zakonników, wziął mnie za ramię i kiedy wychodziliśmy z kaplicy, zaproponował przechadzkę po opactwie.

_ Wzrok mi się pogarsza z dnia na dzień – wyznał stary

kapucyn, opierając się mocniej na moim ramieniu. – Mam przed oczami gęstą mgłę, która mąci światło i pogrąża mnie powoli w samotności. Nie mogę wychodzić sam... Nie odróżniłbym wielbłąda od palmy.

–To bardzo przykre, mistrzu – powiedziałem litościwie.

–Nie... Moje oczy nie są winne, niczego im nie wyrzucam, za dużo już widziały. Czy jest coś nowego w życiu, co zasługuje na obejrzenie...? – Kapucyn pokręcił głową i uśmiechnął się ciepło. – Oczy dobrze mi służyły, pozwólmy im teraz spokojnie wejść w ciemność. Dzięki nim wiem, co mnie jeszcze czeka; dziś wzrok, jutro może słuch, pojutrze mowa, a potem... śmierć.

–Widzę, że postanowiłeś policzyć swoje dni – mruknąłem. – Wiek i dolegliwości zawsze dają się we znaki i każą człowiekowi mówić słowa, których nie chce powiedzieć... I których my nie chcemy słyszeć...

Piero podniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

–Stwierdzam, że mówisz już jak mistrz. Ale nie masz racji; lata ani dolegliwości nie przerażają mnie; zostawiam ten lęk starym skąpcom, ludziom zachłannym, tym wszystkim, którzy chcą żyć zawsze jeszcze trochę dłużej, byle nie rozstawać się z majątkiem i nie zmierzyć się twarzą w twarz z milczeniem grobu. Ja myślę tylko o śmierci, martwię się, ale nie o siebie, tylko o was.

–O nas? – spytałem zdziwiony.

–Tak jest. Popatrz na moje ręce, nie noszę pierścieni. Przyjrzyj się, jak wyglądam; mam tylko ten habit i sznur do przepasania. Nie mam schowanych pieniędzy ani weksli, nie ukrywam złota i nie czekam na żaden spadek. Moim skarbem jesteście wy. Z każdym dniem przybywa mi coraz więcej słuchaczy w kaplicy, każdej wiosny jest coraz więcej pączków, którym pomagam rozkwitnąć. Co zrobią, kiedy zabraknie mnie, żeby je podlewać?

–Zastosują to, czego się nauczyli, i dobre ziarno wykiełkuje. A resztę zabierze wiatr.

Piero rozważał moją odpowiedź i przez chwilę szliśmy w milczeniu.

–Po co tu przyjechałeś, Angelo? Chyba nie jesteś z wizytą kurtuazyjną – zapytał z lisią chytryością.

–Pragnę porozmawiać – odpowiedziałem powoli – myślę, że mi nie odmówicie.

–I nie mylisz się, synu... Czego oczekujesz po tej rozmowie?

Dobrze wiedział, o co pyta, i nie mogłem skłamać.

–Mam pewien problem... Raczej przeczuwam problem i potrzebuję waszej rady.

Starzec zatrzymał się.

–Rady? Co z ciebie za człowiek, że mówisz jak mistrz, a w sercu jesteś uczniem? – Nie zdążyłem odpowiedzieć, stanął bowiem przede mną i położył dłonie na mych ramionach. – Czyż nie mam powodów do troski? Popatrz na siebie... Ty jesteś przyczyną tego, że liczę, ile zostało mi dni. A kiedy mnie zabraknie...? Będziesz żyznym ziarnem czy pozwolisz, by porwał cię los? Nie chciałbym tego dożyć, Angelo. Uwierz mi.

Spuściłem głowę i zacisnąłem szczękę.

–Mistrzu, rozumiem twą troskę i naprawdę potrzebuję rady. Mam w głowie zamęt, a nie mogę zaufać nikomu innemu. Proszę, wysłuchaj mnie.

–Sam powinieneś być mistrzem, Angelo! Ja już nim nie jestem. Szukaj pokoju, szukaj odpowiedzi w Tym, który nas łączy, który wie więcej niż my dwaj, który będzie na zawsze twym przewodnikiem; szukaj odpowiedzi w Chrystusie. On jest jedynym Mistrzem i będzie z tobą w dzień i w nocy. On ci doradzi w zmartwieniach, kiedy będzie ci zimno, kiedy będziesz w więzieniu, kiedy będziesz głodny, narażony na namiętności i pokusy.

–Wiem to.

Piero zmartwił się jeszcze bardziej.

–Jeśli wiesz, to czyżbyś chciał mi powiedzieć, że nie potrafisz już rozmawiać z Chrystusem? – zapytał, wznosząc brwi.

–Nie zawsze umiem rozszyfrować Jego milczenie.

–A więc nie jesteś tym, za kogo się uważasz – odparł kategorycznie. – Twój krzyż jest zwykłą ozdobą, twój habit galanterią, a twój urząd... synonimem korupcji.

–Nie... To nie jest tak. Być może moje słowa brzmią ułudnie, ale ja naprawdę wierzę... Wierzę tak, jak mnie nauczyłeś, z miłością, nabożnie i z taką ufnością, że nie lękam się śmierci.

–No więc czego się boisz?

–Nie wszystko można wywnioskować z ciszy. Ta sprawa wymaga, żeby ktoś głośno krzyknął mi do ucha i nie pozwolił, bym słyszał głosy tam, gdzie jest tylko cisza.

Kapucyn długo mi się przypatrywał. Wobec innych uczniów nigdy nie był aż tak wymagający jak w stosunku do mnie. W przeszłości przysposobił mnie na swojego następcę, a to oznaczało, że mam się wyróżniać wielką odpowiedzialnością i przede wszystkim posiadać nigdy niegasnącą wiarę. Próbowałem wytrwać w milczeniu, ugryzłem się w język, ale nie mogłem się powstrzymać przed szukaniem u niego pomocy.

–Nie pomożesz mi tym razem? – spytałem z największą pokorą, do jakiej byłem zdolny.

Piero wziął moją głowę, popatrzył gasnącym wzrokiem i przytulił do serca. Mój mistrz nigdy nie był wysokiego wzrostu, tym bardziej teraz, kiedy wiek zrobił swoje, toteż pochyliłem się, żeby mógł mnie objąć, i tak trwałem zgarbiony jak przed czcigodnym starcem u schyłku życia.

–Jasne, że ci pomogę, mój mały Angelo. Nigdy bym cię nie opuścił.

Idąc pogrążeni w rozmowie, znaleźliśmy się na tyłach klasztoru, gdzie za kratą zardzewiałą z wilgoci znajdował się cmentarz. Na tym małym, zapuszczonym skrawku ziemi, na

której rosło kilka drzew oliwnych i bardzo dużo chwastów, grzebano – jak nakazywał zwyczaj – braci mniejszych i konwersów, groby opatów zaś i reszty hierarchii mieściły się w kościele i w klasztorze. Mały cmentarz działał kojąco na ojca Piera i tu chciał być pogrzebany.

Pamiętam z młodych lat, że lubiłem chodzić wąskimi ścieżkami między grobami, czytać nazwiska zakonników i daty ich śmierci uwiecznione na płytach nagrobnych, podziwiać skromne elementy ozdobne, których zresztą nie było tu wiele, jeśli już to najczęściej święty Gabriel lub prosty krzyż z granitu, marmuru czy kutego żelaza. Z czasem pojawiały się nowe płyty, ale i one porastały mchem i wyblakłymi grzybami, podobnie jak te starsze, na których z trudem

dawało się odczytać nazwisko zmarłego. Jednak tego mroźnego ranka nie byłem w nastroju do wspomnień, a moje rozważania nie szły w kierunku zmarłych ani tego, jak się nazywali, jak długo żyli, jaki mają grób, tylko koncentrowały się na żywych i na ich potrzebach. Piero zatrzymał się przed panteonem starej gwardii kapucynów, byłych franciszkanów o duszach rewolucjonistów, tych, co to na własne oczy widzieli powstawanie nowej reguły zakonnej i kształtowali ją swym wysiłkiem. Był to jego ulubiony zakątek.

–To tu... – powiedział, przysiadając na jednym z grobowców.

–Dobre miejsce – zgodziłem się.

Piero Del Grandę był zmęczony. Miał wciąż ten sam wyraz twarzy, surowy i pełen współczucia zarazem. Nieprzejednany wobec lenistwa i obojętności, nade wszystko cenił ludzi robiących dobry użytek ze swej inteligencji, marnotrawienie zaś tego daru uważał za ciężki grzech przeciwko ludzkości. Jego postawa i sposób mówienia były tego świadectwem, jednak czas nadwerżył wątłe siły. To było oczywiste i nieuniknione. Widać było, że zanim przejdziemy do meritum, Piero pragnął odsapnąć po przechadzce, ale węszył w moim życiu jak inkwizytor.

–Jakie są twoje wyroki, Angelo?

–Miłosierne... jak zwykle.

–Wiesz co, Angelo? Gdybym cię nie znał tak dobrze, gdybym nie wiedział, jakim respektem darzysz swój urząd, powiedziałbym, że niewiele różnisz się od oprawcy, który obraca kołem tortur.

Zastanowiły mnie jego słowa, bo przypomniały wydarzenia minionego wieczoru i krew z całego ciała uderzyła mi do głowy.

–Dlaczego tak mówisz, ojcze? – spytałem zawstydzony jak dziecko przyłapane na gorącym uczynku przez swego wychowawcę, który wszystko wie o wybrykach popełnionych z dala od jego oczu.

–Bo wysłać kogoś na stos to tak, jakby podpalić go własnoręcznie. Bo paląc ludzi, oddalasz możliwość naprawienia grzechów. I ty dobrze o tym wiesz.

–Niektóre grzechy są nie do naprawienia – przypomniałem.

–Na pewno... Więc zacznij od Watykanu, jeśli chcesz spalić wszystkich grzeszników, bo tam są ci zatwardziali. – Tylko on, mój mistrz, mógł powiedzieć coś takiego w mojej obecności, gdyż chroniła go moja miłość i szacunek dla jego dobroci i mocnej wiary.

Piero przeżył więcej lat, niż ktokolwiek mógłby zamaryć; dały mu one nie tylko białe włosy i zmarszczki, ale także mądrość i umiejętność odczytywania rzeczywistości, a to czyniło zeń przenikliwego obserwatora. Darzył Kościół katolicki tak wielką i głęboką miłością, że w swej gorliwości posuwał się do krytykowania go niczym prawdziwy protestant.

–Pozwól sobie przypomnieć, ojcze, że to ty zrobiłeś ze mnie dominikanina – zauważyłem z wyrzutem.

–Tak, ale nie kata – odparł.

Z dużym wysiłkiem oderwałem myśli od bieżących trosk, aby poruszyć temat, który dręczył mnie przez wiele lat... Który wtedy wciąż jeszcze nie dawał mi spokoju.

–Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego postanowiłeś, że mam

opuścić zakon, przecież byłbym znakomitym kapucynem... Jak ty, ojcze.

Skierował na mnie spojrzenie, które coś ukrywało, ale pozostawił moje pytanie bez odpowiedzi. A ja nie nalegałem, bo nie chciałem pokazać, jak bardzo mi na tym zależy.

–Zostawmy to na razie. Jaka to sprawa cię do mnie sprowadza?

–Chodzi o księgi.

Wyglądał na zdziwionego, kiedy powiedziałem o książkach, i zanim powrócił do pytań, kilkakrotnie pogładził ręką brodę.

–O księgi, mówisz... A które z nich budzą aż taki niepokój inkwizytora?

–Necronomicon i Szmaragdowy Kodeks.

Ku memu zaskoczeniu starzec zdawał się oczekiwać takiej odpowiedzi, choć wcale jej nie pragnął i starał się nie okazać poruszenia, jakie w nim wywołała.

–Znasz je, ojcze? – spytałem.

–A ty je widziałeś?

–Właściwie nie. Czytałem o nich i słuchałem, co mówią heretycy oraz członkowie kurii. Przed laty jedna z nich była w moim zasięgu, ale wtedy nie zdawałem sobie sprawy z jej prawdziwego znaczenia. Wnoszę jednak z twojego pytania, że wiesz, o czym mówię.

–Dobrze znam literaturę tego typu, lecz nie wiem, czy zdołam ci pomóc. Na czym polega twój problem?

–Mistrzu, jestem przekonany... A raczej wiem z całą pewnością, że pewne stowarzyszenie czarowników i czcicieli diabła robi wszystko, aby połączyć ze sobą te książki. Bardzo proszę, żeby to pozostało tylko między nami.

–Skąd masz tę pewność?

–W kryjówce jednej czarownicy znaleźliśmy dowody, że posiadała księgę zwaną Szmaragdowym Kodeksem i planowała połączyć ją z Necronomiconem, najbardziej zakazaną, poszukiwaną, diabelską i tajemniczą księgą wszech czasów, z tego co wiem.

Przeniosłem na chwilę wzrok na płyty cementarne, po czym wróciłem do rozmowy:

–Mam u siebie w opactwie heretyka, przestępcę skazanego na stos, który potwierdził, że miał Necronomicon, i wyznał, że ukrył księgę tu, we Włoszech, w opuszczonym kościele księstwa Ferrary. W kryjówce czarownicy znaleźliśmy list na pergaminie z nazwiskiem tego więźnia. Ale to nie wszystko. Czarownica pisała w tym liście o jakimś Wielkim Mistrzu, który ukrywa się „milczący jak mnich z nogami kozła”...

Przez dłuższą chwilę kapucyn trwał w zamyśleniu. Na jego twarzy rysowało się skupienie i niepokój zaalarmowanego umysłu. Wreszcie mruknął:

–Inkwizycja wysyła cię po księgi...

–Nieupełnie. Mój przełożony chciał, żebym wyciągnął z heretyka, gdzie znajduje się Necronomicon, i to wszystko. Takie miałem zadanie. Na Kodeks natrafiłem przypadkiem.

–Nie próbuj dowiedzieć się niczego więcej – wyszeptał Piero Del Grandę, patrząc błagalnie.

–Dlaczego?

–Dobrze wiem, jakie groźby czyhają na tej drodze.

–Co wiesz o tych księgach, mistrzu? Powiedz, na miłość Boską! – zawołałem, poszukując konkretnej odpowiedzi, której jak dotąd nikt nie chciał mi udzielić.

–Są diabelskie, lepiej trzymać się od nich z dala – odparł starzec, odzyskując na nowo energię. – Boże mój! Dlaczego tak szybko? Dlaczego już musisz się z nimi zetknąć? – Mój mistrz zachowywał się jak szaleniec. Czyżby wiek pomieszał mu rozum? – Synu, brak wyraźnego nakazu szukania tych ksiąg znaczy tylko tyle, że inkwizycja robi to po kryjomu. Nie obwiniam nikogo, gdyż to sprawa najwyższej dyskrecji i ostrożności.

Tym razem ja zamilkłem. Patrzyłem na starca, starając się czytać w jego myślach, po czym spytałem cicho:

–Dlaczego sądzisz, że Rzym ukrywa przede mną istotę

zadania, jakie zostało mi zlecone, żebym wypytywał heretyka o miejsce przechowywania księgi?

–Już ci to powiedziałem – odrzekł Piero ze zniecierpliwieniem. – To sprawa najwyższej wagi.

Mimo to nie miałem zamiaru ustępować, gdyż chciałem wy badać, co mistrz wie o księgach; może wreszcie uda mi się złożyć w całość fragmenty informacji, wymuszone niemal siłą od Juliana i astrologa, i zagadkowe słowa wypowiedziane przez Gianmarię pod wpływem bólu.

–O czym mówią te księgi? Kapucyn pokręcił przecząco głową.

–Nie wdawaj się w to.

–Dlaczego mam się nie wdawać?

–Bo jak raz zaczniesz, musisz iść aż do końca. Nie można zatrzymać się w połowie drogi, jeśli się zacznie węszyć w bezkresnych sekretach diabła. Uważaj na siebie, synu.

–Co się stanie, kiedy te księgi się połączą? – nalegałem.

–Widzę, że uparłeś się wiedzieć więcej. Angelo, nie szukaj w terażniejszości odpowiedzi na te pytania. Pomysł złączenia ksiąg jest stary, czarownicy próbują to osiągnąć od ponad trzech wieków. To nie jest nic nowego i wiąże się z okultyzmem.

–Do czego to prowadzi? – kontynuowałem, szukając w słowach Piera potwierdzenia tego, co wiedziałem z listu Isabelli Spaziani i z zeznań Gianmarii.

Uśmiechnął się, a uśmiech ten powoli przekształcił się w ponury grymas.

–Do najgorszego.

–Najgorszego? – spojrzałem badawczo na starca. – Co to znaczy „najgorszego”?

Kapucyn podniósł wskazujący palec i wskazał nim mój krucyfiks.

–Zobacz, co masz na piersi. Te księgi chcą to zniszczyć, położyć kres temu wszystkiemu, co stąd się wywodzi.

–Zniszczyć chrześcijaństwo?

–Całą religię.

–Ale jak? Mistrzu, powiedz mi wszystko, co wiesz – poprosiłem z nadzieją, że wreszcie dowiem się, jaką realną moc mają te księgi i jakie dziwne wrota otwierają.

–Ja tego nie zobaczę, jestem ślepy i Pan nie da mi pożyć tak długo. Co innego ty... Choć ufam, że to nigdy nie nastąpi... A teraz już koniec. Wiesz wszystko, co powinieneś wiedzieć na razie.

–Skoro nie chcesz, żebym się w to wdawał... to jak mam w ogóle postąpić?

–Mam nadzieję, że inkwizycja wie, co robi. Miej oczy otwarte i czekaj... Wszystko w swoim czasie. Jesteś na dobrej drodze, znasz historię ksiąg, te ścieżki są już wydeptane. To, co wiesz do tej pory, jest sprawdzone i pewne. Teraz pozostaje ci tylko zaufać sobie i swojej wiedzy.

–Dziękuję za radę, mistrzu. Dziękuję, że we mnie wierzysz, ale skąd jesteś taki pewny, że mi się uda? – spytałem zmartwiony, bo gdy tylko posuwałem się o krok dalej w wyjaśnianiu całej tajemnicy, pojawiała się nowa niejasność i nowa wątpliwość.

Kapucyn wzruszył ramionami.

–Jestem starcem, który słucha i nic nie mówi. Żeby wiedzieć, wystarczy zamknąć usta i otworzyć uszy.

–Mistrzu, wybacz bezczelność niedowiarka. Jednak stwierdzam, że swojej wiedzy nie zdobyłeś w tych murach... Co z ciebie za pustelnik, skoro tak dobrze orientujesz się w sprawach zachodzących na zewnątrz? – spytałem, wystawiając na próbę jego cierpliwość, bo kapucyńscy założyciele zakonu, zwani eremitami lub pustelnikami, złożyli śluby odizolowania się od świata.

–Jestem uczonym pustelnikiem, pokornym i ubogim jak święty Franciszek, ale też jestem strategiem na miarę Machiavel-lego – odpowiedział wcale niezagniewany, wręcz przeciwnie, odzyskał wojowniczego ducha. Coś mi się nagle przypomniało, gdy tak na niego patrzyłem.

–Dziwne, ale w tym momencie mam to samo wrażenie co

dawniej – powiedziałem powoli i z przykrością, bo sam byłem zaskoczony niespodziewanym zwrotem w rozmowie. – Znów mam to przeczucie, że coś przede mną ukrywasz, ojczy; nie wiem co, bo choć kiedyś dużo o tym myślałem, do niczego nie doszedłem.

Piero Del Grandę nawet okiem nie mrugnął. Długo nic nie mówił, aż wreszcie przerwał milczenie, ciężko wzdychając.

–Mój mały... Mój najlepszy uczeń. Jesteś dobrym obserwatorem, Angelo. Twoje oczy patrzą

mądrze, a wspaniały umysł nie daje zwieść się ułudzie – powiedział ze smutkiem. – Ale nie zawsze można rozwiąć ułudę do końca...

–Co to znaczy?

Starzec znów pogrążył się w milczeniu, zmarszczył czoło i sprawiał wrażenie cierpiącego.

–Mistrzu... co się dzieje? – wyszeptalem, dotykając jego chudej ręki.

Spojrzał na mnie. Ból i niepokój były z jego twarzy.

–Moje dni są policzone, synu. Życie we mnie gaśnie... Ale masz rację, ukrywam coś przed tobą i należy ci się wyjaśnienie. – Po raz wtóry twarz Piera przybrała wyraz niezwyklego skupienia, widać było, jak bił się z myślami i brał pod rozwagę różne możliwości, które dyktowało mu serce. Wtem twarz starca pojaśniała. – Tak, ukrywałem coś przed tobą przez tyle lat i miałbyś prawo napluć na mój grób, gdybym do końca nic ci nie powiedział.

–Co ty mówisz, ojcze! Nigdy bym tak nie postąpił!

–Zaprzeczasz tak gwałtownie, bo nie znasz prawdy – odparł pogodnym głosem. – Ja wiem o tobie więcej niż ty sam...

–Nie rozumiem, mistrzu. Co chcesz mi powiedzieć? – zawołałem z rosnącym niepokojem.

Piero popatrzył na cmentarz i poprosił, żebyśmy poszli odwiedzić pewien mało uczęszczany zakątek, pełen niezwyklego uroku. Zatrzymaliśmy się pod wielkim dębem, który zdawał się płonąć ogniem swych spadających liści. Pod drze-

wem znajdowało się kilka płyt nagrobnych pokrytych roślinnością i jesiennymi liśćmi.

–Tu jest dobrze... – powiedział. – Podoba ci się to miejsce?

–Oczywiście. Setki razy tu zaglądałem. To była moja kryjówka, kiedy chciałem pobyć w samotności. Znakomita kryjówka, gdzie czułem się bezpiecznie pod opieką milczących gospodarzy.

–Co najbardziej zwraca twoją uwagę w tym miejscu?

–Wspaniałe drzewo, które stoi na straży spokoju naszych zmarłych braci. I ten grób bez imienia.

–Tak jest. Dobrze powiedziałeś – głos Piera był przepełniony melancholią.

–Nie rozumiem, co się z tobą dzieje, mistrzu. Przechodzisz od pesymizmu do głębokiego smutku i mówisz mi takie dziwne rzeczy...

–Posłuchaj, Angelo – przerwał niezwykle uroczystym tonem. Przyjrzałem mu się uważnie, choć jeszcze nie wiedziałem, jak okrutną wiadomość ma mi do przekazania. To był najgorszy moment mego życia. – Nie jesteś tym, za kogo się uważasz. Nigdy nie powiedziano ci prawdy o tobie.

Piero zamilkł, żeby dać mi czas na przetrawienie tych słów. Nastąpiła cisza, ale we mnie wszystko się gotowało, targały mną sprzeczne uczucia: zaskoczenie, oburzenie, ból, chęć poznania... Kiedy byłem gotów dalej słuchać w miarę spokojnie, dałem mu znak oczami i Piero zakończył:

–Jesteś bastardec.

Wiatr porwał natychmiast jego słowa. Tylko dreszcz przebiegł mi po plecach i poczułem w środku gorzki, bolesny ucisk. Serce mi się kroilo, przed oczami miałem zakrwawioną, bluźnierczą twarz Gianmarii i nie mogłem oderwać myśli od tego obrazu.

–Co powiedziałeś? – jęknąłem głosem błagającego o litość.

–To, co słyszałeś, mój mały – powiedział Piero, ściskając moją dłoń. Trząsł się przy tym cały, jak suche liście na wietrze.

–Dlaczego chcesz mnie obrazić?

–Być bastardecem to nie zniewaga – mówił poważnie starzec.

–Na dodatek kpisz sobie ze mnie! – zawołałem zraniony w swej dumie.

–Nigdy bym z ciebie na zakpił, mój synu. Spuściłem oczy, nie mogąc dłużej znieść jego wzroku,

i usiłowałem pozbierać myśli. W głowie miałem pustkę.

–Po co mi taka prawda?! – krzyknąłem, niezdolny do jakiegokolwiek refleksji.

–Gdybym ci tego nie powiedział, mógłbyś napluć na mój grób. – Piero był poruszony. Oczywiście, miał rację i choć nigdy mu się nie przyznałem, z czasem poczułem dozgonną wdzięczność za jego szczerść.

–Mylisz się, padre... Nie pamiętasz mojego ojca? – odparłem, próbując się uśmiechnąć.

–Pamiętam, Angelo, ale... On nie był twoim ojcem.

–Przecież znałem mojego ojca! – podniosłem głos i wyrwałem dłoń z rąk mistrza; szalałem z niepokoju jak dzikie zwierzę w klatce, tak bardzo chciałem go przekonać. – Nazywał się Domenico... Domenico DeGrasso, był kowalem. Dobrze

o tym wiesz...

Kapucyn znów ścisnął łagodnie moją dłoń, ale pokręcił przecząco głową.

–Ja wszystko pamiętam... Wiem, kim jestem... -jęknąłem, padając na kolana.

Mistrz wskazał na zapomniany grób z płytą bez napisów.

–Prawda jest tu, synu – powiedział. – Ta bezimienna mogiła skrywa prawdziwą historię twego życia. Tu spoczywa twoja matka, której nie zdążyłeś poznać, a która tak bardzo cię kochała. Wiem o tobie więcej niż ty sam. Wiem o twoim pochodzeniu więcej, niż wiedział twój przybrany ojciec. Domenico DeGrasso był dobrym człowiekiem, ale ty nie jesteś jego synem.

Ukryłem twarz w dłoniach, szukając w nich zapomnienia

1 ucieczki od rzeczywistości, jak ktoś, kto jest nagi i próbuje się

przykryć. Ogarniała mnie coraz większa rozterka, wzdychałem ciężko i nagle poczułem, że moje ciało do mnie nie należy. W piersi wezbrał mi szloch. Całym sobą odrzucałem tę prawdę, ale nic nie mogłem na to poradzić; być bastarden to stan dla mnie niepojęty. Nigdy nie podejrzewałem, że przyjdzie mi się z nim zmierzyć. Podniosłem zalaną łzami twarz i spojrzałem mistrzowi w oczy.

–Padre... Dlaczego dopiero teraz...? Czemu ukrywałeś to przede mną tak długo...? Żeby oszczędzić mi tego straszliwego bólu...? Kim jestem, mistrzu? Kim ja jestem...? Kto jest moim ojcem?

Piero Del Grandę wytrzymał mój wzrok. Ból w jego oczach był niemal równie wielki jak mój. Znowu wziął mnie za rękę i powiedział:

–Musisz mi wybaczyć, Angelo, i zaufać, jak dotąd ufałeś. Wiem, że to, co ci teraz powiem, tylko powiększy w tobie niepokój i wątpliwości, ale uwierz mi, proszę, że teraz nie mogę ci powiedzieć, kto jest twoim ojcem. Na pewno wkrótce ci powiem, ale jeszcze nie teraz. Najpierw chcę cię poprosić, abyś skupił całą swoją energię na czymś innym, choć wiem, że będzie to od ciebie wymagać nadludzkiego wysiłku. Nadszedł moment, abyś dowiedział się, dlaczego jesteś zakonikiem i dlaczego skierowałem cię do dominikanów. Musisz poznać motywy i sens tej decyzji. Nadszedł moment, aby powiedzieć ci o naszym tajnym bractwie. O Corpus Carus.

Podniosłem oczy oszołomiony. Przyszedł mi na myśl Iuliano. Tymczasem starzec szeptał mi do ucha:

–Odkryję przed tobą tajemnicę naszego Kościoła, Angelo. Pora, żebyś ją poznał. Powiem ci wszystko, co powinieneś wiedzieć, jeżeli odważysz się mnie wysłuchać.

–Masz rację, Angelo. Rzym nie przekazał ci całej prawdy o poszukiwanych księgach. Ukrywają przed tobą pewną starą historię, w którą jest zamieszany Kościół, czarownicy i maso-

neria. Już ci powiedziałem, że to, co wiesz od czarowników, jest faktem. Wiedźma, która napisała ten list, dobrze wiedziała,

o czym pisze, czarownik zaś, poddany torturom w twym opactwie, opierał się, ile tylko mógł, przed złożeniem zeznań.

1 oto przychodzisz do mnie... pytasz o księgi, które przez siedemset pięćdziesiąt lat były przyczyną prześladowań i wygnania.

Patrzyłem na mistrza w milczeniu. Staralem się ukoić nerwy. Chciałem zyskać potwierdzenie informacji, jakie już miałem, i to nie tylko od heretyków. Kapucyn kontynuował:

–Po tym, jak Kościół zniszczył oryginał Necronomiconu w Hiszpanii w roku tysiąc dwieście trzydziestym pierwszym, Tajne Stowarzyszenie Czarowników postanowiło zaszyfrować jedyną kopię zakazanej książki, jaka im pozostała. Usunęli z niej wszystkie formuły zaklęć i przenieśli do innej książki, zwanej Codex Terrenus, aby zabezpieczyć przed inkwizytorami sekrety czarnej magii.

–Gianmaria miał Necronomicon... ale nie kodeks, o którym mówisz...

–Ty znasz go jako Szmaragdowy Kodeks – przerwał Piero. – Tę książkę miała twoja czarownica.

Spróbowałem uporządkować myśli i przeanalizować fakty.

–Czarownicy chcieli połączyć obie książki, żeby odzyskać zaklęcia – mówiłem cicho. – Wiedźma wspomniała o tym w liście. To nie Kościół przeszkodził im w tym dziele. Ktoś był szybszy niż inkwizycja.

–Dlaczego tak sądzisz? – spytał starzec.

–Superior Generalny Inkwizycji wiedział o istnieniu książki z zaklęciami, ale nigdy nie nazwał jej Szmaragdowym Kodeksem. Podczas naszego pierwszego spotkania nawet o niej nie wspomniał. Ucieszył się, kiedy usłyszał, że wiem, gdzie jest ukryty Necronomicon. Przecież sam zlecił mi to zadanie. Ja już od jakiegoś czasu byłem na tropie czarownicy z Portovenere, ale nie kazałem jej zabić. Zginęła od strzały, która przeszła jej

usta. Zresztą mam zaufanie do kardynała Iuliana, jest moim superiorem.

Kapucyn uśmiechnął się. Przez dłuższą chwilę błdził wzrokiem po niebie.

–Musisz jednak wiedzieć, że on ci nie ufa – oświadczył.

–Dlaczego tak mówisz, ojcze?

–Dlatego że opowiedział ci tylko połowę tej historii. Lekki powiew wiatru zdmuchnął suche liście z cmentarnych

nagrobków. Zmarszczyłem brwi.

–Ale dlaczego...?

–Bo jesteś w jego oczach podejrzany.

–Ja?

–Tak, Angelo. Kardynał podejrzewa cię o przynależność do Corpus Carus.

Corpus Carus... Już po raz trzeci słyszałem tę nazwę. Za pierwszym razem padła z ust kardynała Iuliana, który, pamiętam to dobrze, przeszywał mnie wzrokiem, jakby chciał czytać w moich myślach... Słowa mistrza zaczęły nabierać sensu i już mu nie przerywałem. Czekałem, aż powie wszystko o tej masonerii, tak jak obiecał.

–Do połączenia tych ksiąg nie doszło dzięki Corpus Carus – mówił dalej Piero Del Grandę. – Corpus Carus jest katolicką masonerią, walczącą o te księgi z inkwizycją i Tajnym Stowarzyszeniem Czarowników. Corpus Carus zwerbowało cię dla Kościoła, opłaciło studia, uratowało od śmierci w dzieciństwie. Corpus Carus to loża, do której należę, dla niej przeprowadzam selekcję i werbunek, zajmuję się przygotowaniem ludzi.

Byłem oszołomiony tą informacją. Ja, Wielki Inkwizytor DeGrasso, zawdzięczam tak wiele – nawet życie – organizacji masońskiej, która zasługuje na miano heretyckiej... A mój mistrz jest wybitnym członkiem loży. Była to rewelacja, która wprawiała mnie w duże przygnębienie i zakłopotanie i nic innego nie przychodziło mi do głowy, jak zapytać:

–Mistrzu... Jesteś wrogiem Kościoła? Ty?

–Nic podobnego, mój synu. Jestem strażnikiem Kościoła. Teologiem, który usiłuje powstrzymać ekscesy Kurii Rzymskiej i chronić duchownych, niosących Światło apostołskiego

przesłania.

Obserwowałem mojego starego mistrza z niedowierzaniem.

–Muszę ci wyznać, że kardynał Iuliano napomknął o Corpus Carus podczas wizyty, jaką mi złożył kilka dni temu. Mówił, że masoni są naszymi...

–Wrogami? – rzucił Piero Del Grandę, nie czekając, aż dokończę zdanie, więc potwierdziłem skinieniem głowy. – To zrozumiałe. Kardynał dobrze wykonuje swoją pracę, jest bardzo ortodoksyjny. To logiczne, że widzi w nas zagrożenie. Słuchaj uważnie: nie stanowimy dla nich zagrożenia z przyczyn doktrynalnych czy z powodu herezji, tylko ze względu na rozbieżności w ocenie polityki kościelnej. Mamy prałatów w otoczeniu Tronu Piotrowego, mamy swoich biskupów i teologów w całym Kościele Świętym. Nic dziwnego, że jesteśmy prześladowani. Inkwizycja chce poznać tożsamość naszych braci. Kardynał nie ufa tobie dlatego, że mnie podejrzewa, a ty jesteś moim uczniem.

Zastanowiłem się chwilę nad tym nowym obrazem rzeczywistości.

–A więc ja jestem waszym wrogiem.

Piero uśmiechnął się, zanim wyjaśnił nieporozumienie:

–Inkwizytorzy i dominikanie tak, ale nie ty. Jesteś moim uczniem. Moim ukochanym uczniem, przygotowanym do tego, by przeniknąć tarczę ochronną Rzymu. Jesteś jedynym inkwizytorem przeznaczonym do służby na rzecz Corpus Carus.

–To dlatego posłałeś mnie do dominikanów, dlatego nie chciałeś, żebym został kapucynem – wyrzucałem mu szeptem.

–Tak jest.

–Nikt mi nie pomógł zostać inkwizytorem! Sam zasłużyłem na ten urząd. Ja sam! – odparłem gniewnie, usiłując powstrzymać tę mieszaninę wściekłości, zaskoczenia i smutku,

jaka wzbierała we mnie, odkąd dowiedziałem się, że jestem bękartem.

–Oczywiście, ale ktoś zaproponował cię na to stanowisko...

–Inkwizytorem mianował mnie Ojciec Święty – przerwałem, przeczuwając, dokąd prowadzi ta rozmowa.

–Zgadza się, Sykstus Piąty w roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym siódmym. Jemu zaś podsunął twoje nazwisko teolog jezuita Roberto Bellarmino.

–Ale dlaczego? Przecież nawet go nie znam. Moja ciekawość nie miała granic.

–Dlatego że tak postanowił Wielki Mistrz Corpus Carus. Zapadła cisza.

–Bellarmino jest członkiem loży? – spytałem doszczętnie oszołomiony.

–Bellarmino jest dobrym człowiekiem i dobrym zakonikiem.

–Bellarmino należy do Corpus Carus? – nie ustępowałem. Dobrze wiedziałem, że jezuita jest obecnie doradcą papieża

Klemensa i uczestniczy w obradach Kolegium Biskupów pod przewodnictwem papieża. Bellarmino i kardynał Iuliano często mijali się w salach ze słynnymi watykańskimi freskami.

–Mamy jezuitę w Watykanie – podsumował Piero, co wyjaśniałoby gwałtowny ton wypowiedzi w obronie Towarzystwa Jezusowego, wygłoszonej niedawno w kaplicy.

Dręczyło mnie jeszcze jedno pytanie i sądziłem, że mam pełne prawo je zadać i otrzymać wyraźną odpowiedź.

–Kto jest Wielkim Mistrzem Corpus Carus?

–Nie wiem – odpowiedział ojciec Piero z uśmiechem. – Nikt tego nie wie. Czy ty byś powiedział, gdybyś wiedział?

–No cóż... Nie wiem, ojcze. W tej chwili nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

–A ja wiem, jak mam postąpić. Zresztą nawet gdybym wiedział, też bym ci nie powiedział, więc nie nalegaj, Angelo.

Widząc, że nic więcej nie osiągnę pytaniami o Corpus Carus, wróciłem do pytań o

czarowników. Chciałem się przekonać, czy Piero Del Grandę powie mi coś więcej, niż sam wiem.

–A co z czarownikami?

–Tajne Stowarzyszenie Czarowników też ma swojego Wielkiego Mistrza. Jego czarowników już nie ma w Europie, większość zniknęła za sprawą inkwizytorów, a niewielka część dzięki naszej łoży.

–Wiesz coś o Wielkim Mistrzu Czarowników?

–Najgorszy ze wszystkich. Przez osiem wieków nikt mu nie dorównał w machinacjach i przenikliwości. Wszystkich nas wyprowadził w pole, ukrywając miejsce swojego pobytu i swoją tożsamość. Udowodnił, że może mu się udać połączenie obu satanicznych ksiąg, a na dodatek doprowadził do konfliktu w łonie Kościoła w związku z wzajemnymi oskarżeniami.

–A więc nikt nie wie kto to, tak samo jak nikt nie wie, kto jest Wielkim Mistrzem Corpus Carus... – Przypomniały mi się słowa z listu Isabelli do Gianmarii: „milczący jak mnich z nogami kozła”. Taki opis pasował do niejednego zakonnika. Mistrz kontynuował:

–Wiem tylko tyle, co wiedzą wszyscy, włącznie z tobą. A to stanowi prawdziwy motyw twej wizyty i powód wzajemnych oskarżeń i zarzutów... Żyjemy w czasach chaosu, kiedy diabeł ma twarz męczennika, armia Kościoła zaś, miast zjednoczyć się w walce, zaczyna łamać szyki...

–Mistrzu, wciąż czegoś nie rozumiem. Po co Corpus Carus chce mieć te księgi? Nie lepiej zostawić to w rękach inkwizycji?

–Oj, Angelo! Przecież mówiłem, że każdy może okazać się Wielkim Mistrzem Czarowników. Nawet członek Świętego Oficjum.

–Albo ktoś z Corpus Carus – odparłem w obronie własnej.

Piero Del Grandę na kilka sekund zaniemówił po tych słowach, zanim zdołał wyjąkać:

–Mam nadzieję, że Bóg by na to nie pozwolił.

Czas szybko płynął; kilka godzin spędziliśmy na cmentarzu bez jedzenia i bez picia, pochłonięci rozmową. Zaczynało się zmierzchać. Wraz z zachodzącym słońcem uchodziła ze mnie resztkę pewności, jaką dotąd miałem. Mógłbym jeszcze wiele razy przychodzić na ten cmentarz i przystawać w tym ustronnym zakątku, bo czułem do tego miejsca podświadomy pociąg, a nigdy bym się nie dowiedział, że tu kryje się prawda o moim istnieniu. Tymczasem w tym bezimiennym grobie, któremu nigdy nie poświęciłem większej uwagi, czy choćby krótkiej modlitwy, zbiegały się wszystkie ciemne ścieżki mego życia. Odkryłem to dopiero tego wieczoru.

Nastąpił czas chaosu.

Diabeł był wśród ludzi.

/

VII

AUTODAFE

18

Nadszedł dzień wielkiego świętowania. Od wczesnego ranka konni heroldowie oznajmiali, że odbędzie się ceremonia autodafe, przeznaczona dla wszystkich, którzy mają skończone czternaście lat. Władze cywilne i kościelne wymierzają sprawiedliwość odstępcom od prawdziwej wiary. Wśród skazanych znajduje się między innymi dwójka najbardziej poszukiwanych heretyków: groźny Eros Gianmaria zwany Pajacem i długo nieuchwytna Isabella Spaziani, wiedźma z Portovenere, osądzona pośmiertnie. Był to ważny dzień sądu i sprawiedliwości, czas rozrywki dla prostego ludu.

„Chleba i igrzysk” mówili Rzymianie w czasach imperium i tą magiczną formułą uspokajali apetyty plebsu, zawsze skorego do buntu. Pospólstwo czuło się częścią tych widowisk zarówno na arenie, jak i na widowni. Za cenę tej farsy kupowano wolę ludu. Od tamtych czasów niewiele się zmieniło: za wysokie urzędy trzeba płacić złotem, a lud nadal musiał się zadowalać „chlebem i igrzyskami”.

Wokół placu Świętego Wawrzyńca powiewały chorągwie. Uprzątnięto okoliczne ulice i trasę procesji oskarżonych. Najciemniejsze zaułki, pełne zazwyczaj oszustów, złoczyńców i morderców, były udekorowane sztandarami. Porządek panował wszędzie, nawet w niebezpiecznych tawernach, gdzie zwykle

odbywały się ponure transakcje, a prostytutki opróżniały kieszenie pijaków. Ten porządek potrwa tylko jeden dzień; potem wszystko wróci do normy i Genua znów będzie miastem handlowym, mówiącym i po arabsku, i po francusku, miastem bankierów wspierających imperia, dla którego oszczędność jest skąpstwem, a własna rodzina może być towarem.

Na placu wznosił się ogromny amfiteatr mogący pomieścić ponad tysiąc widzów. Dla władz kościelnych i osób szlachecko urodzonych zarezerwowano kilka pierwszych rzędów na wprost katedry, gdzie miały stanąć trzy mównice i ławki z więźniami. Mury katedry ozdobiono flagami, baldachimami i złotym brokatem. Ogromny czarny sztandar z wyhaftowanym złotym godłem Świętego Oficjum wisiał u wejścia do katedry.

Na placu, sąsiednich ulicach i na całej trasie procesji tłum zaczął się gromadzić jeszcze przed świtem. Kto nie mógł zapłacić za miejsce siedzące, czekał na stojąco. Jedni byli pijani, bo już od kilku godzin rozgrzewali się wódką; inni, wściekli i głodni, i tylko nieliczni modlili się za dusze skazańców. Ale każdy cieszył się, że zobaczy kogoś biedniejszego i bardziej nieszczęśliwego od siebie. Wszystko było gotowe do autodafe, do Sermo Generalis.

Goście z Rzymu zjawili się na placu wcześniej rano. Trzy okazałe powozy przywiozły trzech kardynałów i jednego biskupa oraz świętę każdego z nich. Siostrzeniec papieża Piętro Aldobrandini przybył konno na czele całkiem pokaźnego oddziału wojsk papieskich. Prezentował się wspaniale w narzuconej na purpurowy habit błękitnej pelerynie z aksamitu, wysadzonej szlachetnymi kamieniami i haftowanej złotą nitką. Dumnie predefilował na srokatym ogierze przez środek miasta, żywy symbol potężnego rodu z nadmierną żądzą zaszczytów. U jego boku papiescy halabardziści w hełmach z pióropuszcami i w szkarłatnych strojach wysoko dzierżyli sztandary Rzymu, Watykanu i herb Aldobrandinich.

Na kilka minut przedtem nim dzwony katedry Świętego

Wawrzyńca wybiły godzinę dwunastą, zajęli swoje miejsca w ławach dla nich zarezerwowanych wszyscy prałaci i przedstawiciele władzy uczestniczący w Sermo. Dostojnicy polityczni i religijni w wytwornych kolorowych szatach, wyróżniali się z daleka. Centralne podium było przeznaczone dla arcybiskupa Genui monsignore Sandra Rinaldiego, któremu towarzyszył gubernator Nicoln Alberico Bertoni, zwany Dobrotliwym. Nieco niżej, na sąsiedniej trybunie, usadowili się Jego Eminencja Gino Delepiano, arcybiskup Florencji, i florencki kardynał Aleksander Medici, niezawodny kandydat na przyszłego papieża. Podium usytuowane najniżej zajmował ja, moja świta i trzynaście najznamienitszych osobistości z komisji Świętego Oficjum przysłanej z Rzymu, która liczyła w sumie dwadzieścia osiem osób cywilnych i duchownych. W uroczystych szatach ceremonialnych przykuwałem uwagę wszystkich zgromadzonych, gdyż każdy chciał zobaczyć Inkwizytora Generalnego, byle z daleka. Koło mnie siedzieli członkowie mojej rady włącznie z notariuszem i pisarzem, którzy mieli sporządzić protokół z przebiegu Sermo. Obok byli też członkowie świeckiego wymiaru sprawiedliwości, którzy po odczytaniu wyroków przejmą więźniów i przystąpią do wykonywania orzeczonych kar. Brakowało tylko lekarza, cyrulika i starszego woźnego sądowego, którzy potem dołączą, gdyż teraz eskortowali skazanych.

Procesja wyszła z więzienia Świętego Oficjum odpowiednio wcześnie, aby dotrzeć na plac o dwunastej; o tej godzinie miało się rozpocząć autodafe. Poruszali się wolno, zatrzymywani co chwila przez tłum. Każdego przestępcę prowadziło dwóch familiantów inkwizycji, a jeśli któryś nie mógł iść o własnych siłach, wieziono go na grzbiecie osła. Całą procesję otwierał Zielony Krzyż, sztandar inkwizycji z wyhaftowanym herbem świętego Dominika. Tuż za nim szli przestępcy recydywiści, przeznaczeni do spalenia na stosie. Aby tłum mógł się do woli napatrzeć i naśmiać, umieszczono na wysokich tyczkach kukły wyobrażające skazańców. Osoby, mające wysłuchać łagodniej-

szych wyroków, szły z tyłu w otoczeniu czterech strażników na koniach.

Gdy ucichły dzwony Świętego Wawrzyńca, rozległ się ryk tłumu. Zawtórowało mu ze środka placu bicie w trzydzieści bębneków. Przestępcy weszli na plac i z pomocą familiantów Świętego Oficjum zajęli wyznaczone miejsca. Podniosłem się i podszedłem do ambony, żeby przyjąć uroczystą przysięgę od wszystkich zgromadzonych. Gdy skończyłem mówić, znów rozległ się wrzask tłumu. Autodafe zostało rozpoczęte.

Siedmiu nieszczęśników, odzianych w worki pokutne, miało wysłuchać wyroków skazujących: dwóch za czary i satanizm, jeden za bluźnierstwo, inny za bigamię, dwóch kolejnych za sodomie i ostatni jako żyd. Różnice w strojach wskazywały na rodzaj kary, dzięki czemu pospólstwo już na pierwszy rzut oka mogło odróżnić dobro od zła, skruszonego heretyka od recydywisty. Autodafe służyło bowiem nie tyle rozrywce ludzi, co przestrodze dla małuczkich, aby nie próbowali odstąpić od prawdziwej wiary; wiary głoszonej w kościołach miejskich i kaplicach parafialnych w całej okolicy.

Żyd, bluźnierca i bigamista uratowali skórę, ponieważ wyrzekli się grzechów; pierwszy wyrzekł się swej religii, drugi – bluźnierstw, a trzeci – perwersji; na znak tego mieli na głowach spiczaste czapki z rysunkami nawiązującymi do ich grzechów, w rękach trzymali niezapalone żółte świece, z szyi zwisał im powróż z supłami, a na każdy supel przypadało po sto uderzeń batem. Poniosą karę chłosty, zanim dostaną rozgrzeszenie i zostaną przyjęci na łono Kościoła. Eros Gianmaria, Isabella Spaziani i sodomici mieli na sobie worki pokutne recydywistów ozdobione strzelającymi w górę płomieniami i głową Janusa na wysokości brzucha. Na spiczastych czapkach mieli wymalowane takie same znaki. Cała czwórka pójdzie prosto na stos.

Gianmaria był w oplakany stanie. Nie mógł się poruszyć, więc zaciągnięto go na miejsce niczym worek cebuli. Kto by powiedział, patrząc na niego, że jeszcze nie tak dawno siał strach i przerażenie w całym mieście, kiedy został tu przewie-

ziony z więzienia w Wenecji; prosty lud wierzył wówczas, że wymyka się z celi w nocie pełne gęstej mgły i pod postacią wilka lub wampira czyha na biednych ludzi w mrocznych zaułkach portowych. Eros, złowieszczy Pajac, czarownik Wenecji, najemnik Szatana, człowiek, któremu przypisywano najbardziej sadystyczne zbrodnie przeciw wierze, który niegdyś wzywał diabła i zamknięty w celi więziennej wzywał zakonników, któremu nikt nie śmiał spojrzeć prosto w oczy z lęku przed złym urokiem, teraz ten sam człowiek – ruina dawnego Erosa – nie mógł utrzymać się na nogach ani podnieść głowy. To wcielenie demona, uosobienie najwyższego zła, musiało ustąpić przed sędziami Chrystusowymi. Inkwizytor okazał się silniejszy niż wszystkie jego zaklęcia i złośliwości razem wzięte. Prawdziwa wiara zatriumfowała; byłem dumny z osiągnięć inkwizycji, która po raz kolejny dowiodła, że demon ugnie się pod ciężarem Biblii.

Jednak największe zaciekawienie i najsilniejszą odrazę budziła martwa Isabella Spaziani, przywieziona na plac w odkrytej trumnie i przybita do słupa w żelaznym gorsecie. Wiedźma z Portovenere cuchnęła okropnie; miała półotwarte oczy i dziwaczny grymas na twarzy pozbawionej ust. Teraz można było ogłosić jej wyrok. W spuchniętym ciele w stanie rozkładu wciąż przykuwały wzrok piersi, dawniej tak hojne i wybujałe. Krążyły plotki, a i ja sam przed laty byłem tego świadkiem, że lubiła je moczyć w nasieniu mężczyzn zdeprawowanych wskutek jej uroków. Isabellę Spaziani oskarżono o wielokrotne organizowanie i podżeganie do orgii z udziałem żonatych, ojców rodzin, a nawet księży i kleryków zakonnych. Słyszała z perwersyjnych upodobań seksualnych i zadawała się ze zwierzętami w obecności uczestników orgii, kompletnie tym zaskoczonych, choć lubieżnie podekscytowanych. Ta po stokroć przeklęta wiedźma z Portovenere umiała pozatruwać wszystkie sakramenty święte, czyniąc grzeszny użytek ze swego gorącego łona. Z pewnością zasłużyła na stos.

149

19

Arcybiskup Florencji, rozłożony wygodnie na pokrytych aksamitem poduchach głównej trybuny, zmarszczył czoło na widok spuchniętego ciała czarownicy. Podniósł do nosa pęczek świeżo zerwanego kwiatu jaśminu, mający go, jak sądził, chronić od groźnej zarazy. Otoczenie poszło za jego przykładem, wyciągając chusteczki z perfumowanego jedwabiu. A kto nie miał nic, zakrywał nos ręką.

Szlachetnie urodzeni obrzucali pogardliwym spojrzeniem przestępców w strojach pokutniczych siedzących w ławkach na wprost władzy, a plebs nie szczędził im dodatkowych obelg. Diakon o delikatnych rysach twarzy, z szeroko wygoloną tonsurą, odpowiedzialny za odczytanie wyroków, wdał się w długie i ciężkie przemówienie, które zajęło prawie godzinę. Retoryka typowa dla tego rodzaju wystąpień i ortodoksyjna terminologia kościelna uspiły najpobożniejszych, bo choć głos diakona brzmiał jak trąba, większość nie rozumiała ani słowa z wygłaszanego po łacinie przemówienia. Na zakończenie mówca parokrotnie podkreślił wagę

posłuszeństwa dla credo i pełnego poświęcenia się Kościołowi oraz jego parafiom, a zanim przeszedł do odczytywania wyroków, wypowiedział po włosku te oto słowa:

–Dzisiejsza uroczystość Sermo Generalis jest po to, by sprawiedliwi mogli zobaczyć wcielenie zła w człowieku, aby przykładowy obywatel ujrzał oblicza grzechu takie, jakie są, i aby nasze dzieci otrzymały po nas w spadku czysty przekaz wiary, bez aberracji i haniebnych odchyłeń. Oni – tu wskazał na przestępców – są naszym bólem, a więc pod wodzą Chrystusa, który oczyszcza i leczy z chorób, my, Kościół, formalnie przekazujemy ich świeckiej sprawiedliwości poprzez nasze Święte Oficjum, tak jak zawsze to robimy, gdyż zadanie nasze dobiegło końca.

Wikariusz Rivara podszedł do ambony, żeby przekazać diakonowi wyroki inkwizycji. W tym momencie poczułem na

sobie spojrzenia zgromadzonych. Bogaty i biedny, mądry i nieuczony, wszyscy pokładali we mnie nadzieję i ufali, iż człowiek, który samą swą obecnością budzi lęk, wyznaczy przestępcom zasłużoną karę. To był moment największej chwały każdego inkwizytora; jego przekonania, myśli, słabości, okrucieństwo i miłosierdzie wyrażały się w tych wątych kartkach z wyrokami. Co prawda wyrok był dziełem całego trybunału, a nie jednego człowieka, ale dla ludu trybunał miał tylko twarz Inkwizytora Generalnego. Głos młodego diakona przerwał moje refleksje.

–Archidiecezjo Genueńska, oto stoją przed tobą odszczepieńcy od wiary. Jurysdykcja kościelna uznała tych siedmiu oskarżonych za winnych. Trybunał Świętego Oficjum w składzie: Inkwizytor Generalny Ligurii Angelo Demetrio DeGrasso, oskarżyciel Damian Wołchowicz, asesor Daniele Menazzi i notariusz Gianluca Rivara, zbadał pod okiem Bożym każdy przypadek i wszystko dokładnie przygotował, aby doprowadzić do odnowy duchowej penitenta, stosownie do popełnionych przez niego błędów. – Diakon przerwał na chwilę lekturę, by pierwszy oskarżony zdążył wejść na podest dla przestępców i wysłuchać wyroku. – Oto Antonio Righi, fałszywy konwer-tyta. Jest winien wyznawania za plecami Kościoła swej żydowskiej wiary. Za karę będzie pracować w soboty i pomoże archidiecezji genueńskiej przy sprzątaniu katedry. Po odbyciu tej kary zostanie ponownie przyjęty na łono Kościoła i na nowo ochrzczony.

Antonio Righi zszedł z podwyższenia, a jego miejsce zajął Sebastiano Rene, gotów do wysłuchania wyroku.

–Błuznierca Sebastiano Rene winien praktykowania heretyckiej wiary manichejczyków. Będzie nosić strój pokutniczy przez sześć miesięcy, aby ludzie mogli rozpoznać go na ulicy i wszędzie indziej. Dla dopełnienia naprawy duchowej przez cały rok będzie pomagać przy budowie świątyń na terenie tej diecezji. Po odbyciu kary zostanie powtórnie ochrzczony i na nowo przyjęty na łono Kościoła.

Podobnie jak Antonio Righi, Sebastiano Rene opuścił podest, żeby kolejny oskarżony wysłuchał wyroku.

–Fabio Colonesse, bigamista, oskarżony o pogwałcenie sakramentu małżeństwa, ponieważ obcował z dwiema kobietami, w tym z własną siostrą, co powiększa rozmiary przestępstwa

0 kazirodztwo. Oskarżonego skazuje się na dwa lata więzienia, ponieważ wcześniej wyrzekł się niegodziwego i niezgodnego z prawem konkubinatu, żeby zachować jedynie dozwolony

1 prawowity związek, pobłogosławiony przez księży i krzyż Chrystusa.

Biedny rymarz o spokojnym usposobieniu, ale zbyt figlarny w swych miłosnych podbojach, miał

za sobą ciężkie śledztwo, którym kierowałem osobiście. Obiecałem mu, że jeśli nie zrezygnuje ze współżycia z siostrą, ona też pójdzie pod sąd i zostanie spalona jako czarownica. Byłem pewien, że to nie nauczy go wierności; nadal będzie sypiał z innymi kobietami i fantazjował lubieżnie o własnej siostrze, ale już się do niej nie zbliży, bo ani jako kochanek, ani jako brat nie chciał jej widzieć na stosie.

Nadal trwało odczytywanie wyroków, najdłuższa część ceremonii, ale teraz zaczynały się najcięższe przestępstwa. Przyszła kolej na sodomitów.

–Jaime Alvarado i Joaquín Helguera są winni czynów haniebnych i niemoralnych wobec ludzi i wobec Boga. Wbrew naturze i za obopólną zgodą utrzymywali stosunki cielesne godne najgorszych potępieńców spośród uczniów Szatana. Na dodatek zachęcali uczciwych ludzi z tutejszej parafii do uprawiania takich samych praktyk cielesnych, nie licząc się z zasadami i dobrymi zwyczajami, jakie Kościół usiłuje wpoić swemu ludowi. Dlatego obaj zostali skazani na najwyższą karę: konfiskatę mienia i śmierć na stosie.

Mówca nabrał powietrza, przełknął ślinę i przedstawił dwie ostatnie sentencje wyroku, na które wszyscy czekali niecierpliwie. Familianci Świętego Oficjum przysunęli nieco bliżej zwłoki czarownicy z Portovenere, które już wcześniej udało im się ustawić w pozycji pionowej.

–Czarownica Isabella Spaziani, winna szerzenia herezji w miastach i wioskach, które zadreżczała czarami i perwersyjnymi zaklęciami. Oskarżona między innymi o to, że przepowiadała przyszłość z rozrzuconych patyczków, wywoływała duchy, rozmawiała ze zmarłymi, stawiała się niewidzialna, używała świętych słów na wywołanie miłości lub nienawiści do jakiejś osoby, chrzcila lalki za pomocą sakramentalnych słów, rzucała klątwy i uroki, warzyła napoje miłosne, wróżyła ze szklanego kubka, nożyc, szklanki wody i rozbitego jajka, i czarowała na wiele innych sposobów, których tu nie wymieniamy. Poza tym jest oskarżona o zboczenie płciowe, wabiła bowiem i deprawowała porządnych mężczyzn, czyniąc grzeszny użytek ze swego łona. Za te wszystkie winy zostaje skazana... chociaż śmierć ją dopadła wcześniej niż Święta Inkwizycja... na najwyższą karę: konfiskatę mienia i śmierć na stosie.

Wreszcie przyszła kolej na Gianmarię. Familianci pomogli mu wdrapać się na podwyższenie, bo sam nie był w stanie poruszyć ręką ni nogą, tak był połamany po torturach. Gniewny pomruk doszedł z trybuny dla przedstawicieli władzy. Wśród nich było wielu Wenecjan, którzy odbyli tę długą podróż do Genui specjalnie po to, żeby nacieszyć się jego klęską. Ten niebezpieczny morderca długo był dla nich zagrożeniem, potem kilkakrotnie zmieniał więzienia, aż wreszcie musiał ulec potędze inkwizycji. Co prawda osądzono go za herezję, a nie jako sprawcę owych potwornych morderstw, ale rezultat jest taki sam: śmierć czarownika. Weneccy dostojnicy mieli w oczach radość i bezgłośnie żądali ofiary ze swojego baranka. Domagali się zemsty.

–Eros Gianmaria – diakon zaczął odczytywać ostatni wyrok – nieugięty i bezkarny heretyk, wróżbita oskarżony o czary i herezję, posiadanie zakazanych ksiąg szatańskich, czytanie i interpretowanie znaczenia stałych gwiazd sfery niebieskiej, propagowanie pism heretyckich swego autorstwa wraz ze świętokradczymi formułami alchemii, posiadanie ziemi cmentarnej i ludzkich kości wydobytych ze sprofanowanych,

świętych grobów; oskarżony o odprawianie czarnych mszy, przywoływanie demonów do ołtarzy ofiarnych, kontakt i opętanie przez plugawe duchy, zniewagi wobec Chrystusa i Jego kapłanów na ziemi, kłamstwa i używanie języka żmii, aby omamić strażników prawdziwej wiary chrześcijańskiej. Za czary i niegodziwe czyny przeciwko wiernym Święte Oficjum skazuje go na najwyższą karę: konfiskatę mienia i śmierć na stosie.

Reakcją widzów był wybuch radości. Wszyscy krzyczeli, klaskali, tupali nogami na znak zadowolenia z surowych wyroków. Jedni ściskali się wzajemnie i składali sobie gratulacje, inni wznosili w stronę przestępców zaciśnięte groźnie pięści i złorzeczyli im bezwstydnie. Był to kolejny krok na drodze do zwycięstwa w wojnie przeciwko dysydemtom nieznaną dogmatów. Prawdziwa wiara zatriumfowała, a zemsta Kościoła była zemstą ludu.

W tym samym czasie przybył wysłannik z flagą Świętego Oficjum i podszedł do Rivary. Był spocony i wycieńczony; widać było, że gnał całą drogę bez przerwy, nie dając sobie ani koniowi chwili wytchnienia. Teraz też bardzo się spieszył, cały pokryty kurzem pochylił się nad wikarym, coś mu szepnął do ucha i zniknął równie szybko, jak się pojawił. Rivara zbliżył się do mnie z zatroskaną twarzą.

–Ojcie przeorze, wrócił posłaniec z Ferrary. Niestety, przynosi złe wieści – zakomunikował mi szeptem. – Nie było zakazanej księgi w kościele w Portomaggiore. Znaleźli kryjówkę pod posadzką, tak jak mówił heretyk, ale ani śladu po Necronomiconie.

Powstrzymując oznaki niezadowolenia, wziąłem głęboki oddech i odpowiedziałem cicho:

–Nie teraz... Potem porozmawiamy, jak się skończy Sermo. Nie miało już znaczenia, kiedy porozmawiamy i co mi

powiedzą o tamtej parafii oraz kryjówce. Najważniejsze i najgorsze było to, że posłaniec wrócił z pustymi rękami. Tego nie mogłem zaakceptować. Rzym czekał na księgę. Piero Del

Grandę potrzebował księgi. Obie strony na mnie liczyły, a ja miałem puste ręce i parę jałowych słów. Poczulem wstyd i oburzenie, że heretyk zadał swój ostatni cios, oszukując mnie pomimo tortur. I zabierze swój sekret na stos, gdzie zamieni się w kupkę popiołu. Wszystko się komplikowało, ślad po przeklętej księdze ginął w coraz gęstszej mgłę; może jest już u Wielkiego Czarnoksiężnika... Podobnie jak Szmaragdowy Kodeks, bo obie księgi zginęły.

Nadszedł moment przekazania więźniów świeckiej sprawiedliwości. Do niej należało wykonanie wyroków; Kościół nie mógł plamić rąk śmiertelną krwią. Ponownie wszedłem na ambonę i w obecności władz cywilnych oraz duchownych wypowiedziałem słowa uwalniające inkwizycję od wszelkiej winy za to, co czeka więźniów. Inkwizycja tropiła, oskarżała, torturowała i wydawała wyroki, ale nie zabijała. To robił zakapturzony kat, postać bez nazwiska i bez twarzy. Omiotłem wzrokiem plac, zaczynając od przedstawicieli władzy i kończąc na skazańcach; utkwilem spojrzenie w Gianmarii.

–Musimy wypuścić więźniów, bo taki jest nasz obowiązek. Od tej pory przechodzą pod władzę pełnomocnika sądu Republiki Genueskiej Mattea Bertoniego. Prosimy, aby wraz ze swym zastępcą zechciał przejąć więźniów.

Wyroki śmierci zostaną wykonane tego samego dnia. Plac straceń był przygotowany na obrzeżach miasta i tam skierowano skazańców, a na placu zaczynała się ceremonia nawracania skruszonych grzeszników, którzy musieli ponieść taką karę, jaką wskazywały zawieszane u ich szyi powrozy. Jednocześnie trwały przygotowania do mszy z zapalonymi świecami, przyniesionymi przez nawróconych. Straże spieszyły się z rozpoczęciem krwawego widowiska, dopóki jeszcze nie wszyscy

155

ruszyli w kierunku placu straceń; przywiązywano nawróconych więźniów do szerokich pali, odsłaniano im plecy i przystępowano do biczowania.

Bigamista otrzymał więcej razów, niż należało. Kat chłostał bez litości. Skóra biczowanego odpadała w strzępach koloru miedzi. Jego lament w nikim nie budził współczucia i nie zwracał niczyjej uwagi. Skruszonego manichejczyka Sebastiana Rene zakuto po otrzymanej chłości w dyby i wystawiono na widok publiczny. Tłum runął na złoczyńcę; mężczyźni i kobiety przepychali się, żeby napluć mu w twarz i obrzucić zgniłymi owocami. Konwertytę spotkał łaskawszy los, zemdlął bowiem po dziewiętnastym uderzeniu batem. Sermo dawało ludowi pierwszy pokaz kary, przedsmak furii, która miała się rozpętać na placu straceń, dokąd zmierzała już procesja skazańców. Eros Gianmaria znów znalazł się na ośle; miła drogi dzieliła go od niechybnej śmierci, a sekret, którego nie zdradził, miał przepaść razem z nim w milczeniu stosu...

–To fascynujące! Naprawdę fascynujące, ekscelencjo DeGrasso! – zawołał gruby Giuseppe Arsenio, schodząc do mnie ze swojej trybuny.

Nie był sam, towarzyszyła mu piękna dama. Uśmiechem odpowiedziałem na komplement. Arsenio był zasobny i miał miłe rysy twarzy, nic więc dziwnego, że zawsze widywano go z pięknymi kobietami. Ale osoba towarzysząca mu jak cień nie wyglądała na kolejną kurtyzanę; była zbyt wykwiwna i delikatna. I nie pomyliłem się. Zauważywszy me spojrzenie, Arsenio

pospieszył z prezentacją.

–Pozwólcie przedstawić sobie pannę Anastasię. Przybyła z orszakiem florenckim, żeby wziąć udział w Sermo.

–Bardzo mi miło – rzekłem, całując delikatną dłoń. Odpowiedziała uśmiechem.

–Panna Anastasia od dawna interesuje się czarownicą z Portovenere – ciągnął Arsenio. – Właśnie spytała mnie,

czy znam inkwizytora prowadzącego tę sprawę, przeto nie miałem innego wyjścia, jak podejść i dokonać prezentacji. Wiem, że nie jest to zbyt stosowny moment, ale panna Anastasia zostaje w mieście bardzo krótko.

Miał rację; trudno znaleźć gorszy moment do rozmowy. Procesja dawno już wyszła i powinienem podążyć czym prędzej na plac straceń... Jednak skłamałem.

–Każdy moment jest dobry, aby poznać tak piękną i elegancką damę.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

–Skąd tyle galanterii u człowieka, któremu zarzuca się chłód i powściągliwość... Jestem doprawdy zaskoczona, ekscelencjo DeGrasso.

–Chłód to cecha kamieni – odparłem zręcznie – ale w jednym muszę przyznać pani rację. Jestem powściągliwy, kiedy wzywają mnie obowiązki, lecz proszę odwiedzić mnie w klasztorze, jeśli pani pragnie. Wtedy przekona się pani, że znajdę czas, aby przyjąć i wysłuchać tak miłego gościa.

Wikary Rivara stanął koło mnie i z charakterystyczną dla siebie dyskrecją dawał wzrokiem znak, że pora ruszać. Anastasia doskonale wyczuła moje położenie i nie zwlekała z odpowiedzią.

–Będzie to dla mnie zaszczyt. Cieszę się, że was poznałam, ekscelencjo DeGrasso. Zapewniam, że się jeszcze odezwę, może nawet niebawem.

Uśmiechnąłem się i powtórnie ucałowałem jej dłoń. Ale zanim ruszyłem w kierunku placu straceń, zapragnąłem dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

–Proszę wybaczyć moją niedyskrecję... Jakie jest pani nazwisko rodowe?

–Iuliano – odpowiedziała zdziwiona. – Naprawdę nie wiedzieliście?

Nie zdołałem ukryć zaskoczenia.

–Jestem siostrzenicą kardynała Vincenza Iuliana, Superiora Generalnego Inkwizycji – wyjaśniła Anastasia.

–Nie wiedziałem, pierwszy raz słyszę, że kardynał ma tak piękną siostrzenicę.

Przyjęła to z uśmiechem. Pożegnałem się pospiesznie, pozostawiając ją na placu z opiekunem.

W całym Rzymie mówiono, że kardynał Iuliano ma nie siostrzenicę, tylko córkę, której zazdrośnie strzeże pod inną parantelą. Wtedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, a teraz zastanawiam się, czy nasze zapoznanie było znakiem łaski czy przekleństwem, z którego nie otrząsnąłem się do końca moich dni. Jednak początkowo wydawało mi się jedynie, że ta frywolna dama pragnie poznać bliżej słynnego Czarnego Anioła. Jak bardzo się myliłem...

Plac straceń był usytuowany na równinie, znanej mieszkańcom Genui jako „esplanada zamku”. Skazańcy, osoby towarzyszące i gapie przebyli całą drogę pieszo, wlokąc się w tumanach kurzu za widocznym z daleka zielonym krzyżem inkwizycji, wzniesionym wysoko jak sztandar zwycięskiego wojska, który pokazywał, że dobrze być spod tego znaku i źle mu się sprzeciwić. Przedstawiciele Republiki Genueńskiej, orszak biskupów i goście z sąsiednich księstw oraz republik przebyli ten odcinek w powozach lub konno, nie narażając się na zmęczenie, będące udziałem wędrowców, ani na powiew mroźnego wiatru znad morza. Zamierzali obserwować widowisko z okien powozów, racząc się przekąskami i ciepłym jerezem.

Na placu straceń ustawiono w jednym szeregu cztery pale. Wokół każdego ułożono stos drewna. Strażnicy i kaci biegali od jednego do drugiego, żeby przywiązać skazanych. W pobliżu kłębił się tłum, a ci z pierwszych rzędów bronili zębami i pazurami swego miejsca. Rozpalone pospólstwo nie przestawało złorzeczyć i opluwać przestępców.

Gdy znalazłem się na esplanadzie, w kolanach trzeszczało mi jak w starym drzewie i byłem tak wyczerpany, że ledwo

mogłem wyszeptać Zdrowaś Mario przed rozniesieniem ognia. Gianmaria przestał lamentować, kiedy trzech grubych strażników przyniesli go pod słup. Siedział na ziemi i czekał, aż go przywiążą z wyrazu twarzy nie przypominając istoty ludzkiej. Inni skazańcy byli już przywiązani do swych słupów sznurami długo moczonymi w wodzie, żeby nie spłonęły przed czasem. Po przywiązaniu Gianmarii kat czekał, aż przystąpię do ostatniego przesłuchania złoczyńców; był to gest miłosierny, aby oszczędzić im długiej męki w płomieniach i pozwolić na szybką śmierć przez uduszenie garotą. Podeszedłem więc do Jaimego Alvarada, który czekał przy pierwszym słupie.

–Czy żałujesz za swe grzechy i wyznajesz wiarę w Kościół? Przyjmujesz przed śmiercią Chrystusa jako Zbawiciela? – zapytałem, czyniąc znak krzyża.

Sodomita opuścił na chwilę oczy i zaraz podniósł. Miał dumne, wyzywające spojrzenie. Nie powiedział ani słowa. Na mój znak kat podpalił stos drewna zapaloną pochodnią. Płomienie szybko objęły nogi skazańca i zaraz dał się słyszeć jego wrzask. Wtedy podeszedłem do drugiego stosu, gdzie Joaquín Helguera patrzył, jak kochanek zwija się z bólu, i wąchał zapach palonego ciała. Uczyniłem znak krzyża.

–Czy żałujesz za swe grzechy i wyznajesz wiarę w Kościół? Przyjmujesz przed śmiercią Chrystusa jako Zbawiciela? – powtórzyłem formułę, a przerażony Helguera zadrżał na widok skutków cierpienia swego towarzysza jak mała dziewczynka, rozplakał się bezgłośnie i wyjąkał zbawienne słowa.

–Tak, żałuję za me grzechy. Tak, wyznaję wiarę w Kościół i przyjmuję przed śmiercią Chrystusa jako Zbawiciela.

–Niech On przyjmie cię do swej chwały – odpowiedziałem – bo tu na ziemi dni twoje dobiegły końca.

Na te słowa kat dał znak pomocnikowi, żeby wziął od niego pochodnię i przyniósł garotę. Szyja Helguery wydała głuchy trzask i głowa opadła bez życia. Kat kazał sobie podać pochodnię i podpalił stos, a tłum wznosił okrzyki niezadowolenia, bo

ominął go zabawny spektakl z sodomitą zwijającym się z bólu. Alvarado i Helguera, dwaj Hiszpanie przybyli do Genui do pracy w tutejszym banku, który łożył na utrzymanie hiszpańskiej korony, zakończyli życie z dala od ojczyzny.

Dochodząc do trzeciego słupa, powoli podniosłem głowę, przyglądając się czarownicy z Portovenere, temu wcieleniu występku. Śmierć utrwaliła posępny grymas na twarzy Isabelli Spaziani. Mróz wykonał dobrą robotę, zachowując zwłoki w należytych stanie, tylko ten fetor... Przez chwilę pomyślałem, jak bardzo czułbym się usatysfakcjonowany, gdyby żyła i gdybym mógł wydobyć z niej torturami potrzebne informacje. Ale ta myśl uleciała równie szybko, jak przyszła. Przeżegnałem się, gdy kat podpałał stos i życzyłem wiedźmie, żeby szybko zgniła w piekle.

Gianmaria był ostatni. Podszedłem do niego, z trudem hamując gniew, wywołany najświeższymi wiadomościami. Obrzuciłem go spojrzeniem pełnym wściekłości i wyrecytowałem formułę:

–Czy żałujesz za swe grzechy i wyznajesz wiarę w Kościół? Czy wyrzekasz się diabła i przyjmujesz przed śmiercią Chrystusa jako Zbawiciela?

Eros wyszeptał ledwo słyszalnym głosem:

–Wyrzekam się siebie... I przyjmuję ciebie... który jesteś Bogiem wśród ludzi. Dajesz i zabierasz dowolnie, karzesz i zabijasz wedle uznania... I myjesz sobie ręce naszą krwią, krwią ofiarnego baranka. – Gianmaria ostatkiem sił wypowiadał swoje heretyckie słowa. Strużka śliny ze strzępkami zakrzepłej krwi, której nie mógł przełknąć, spływała mu po brodzie i spadła na pokutny wór.

–Daruj sobie te zniewagi, padalcu. Krwawisz z ust, ale trwasz w grzechu, który prowadzi do najgorszego. Kto służy diabłu, jest moim wrogiem!

Eros spojrział w niebo, po czym przeniósł wzrok na mnie, próbując się uśmiechnąć.

–Eli, Eli... lenta sabachthani? – spytał ironicznie.

„Boże mój, Boże mój... czemuś Mnie opuścił?“. Poczulem do niego wielką odrazę, że powtarza słowa Chrystusa z dziewiątej godziny męki ukrzyżowania, ale powstrzymałem się w nadziei, że może teraz uda mi się to, czego nie zdołałem uzyskać w izbie tortur.

–Gdybyś tylko chciał, mógłbym zdjąć cię z tego miejsca – powiedziałem. – Jeszcze możesz uratować swoje życie.

Eros nic nie odrzekł, tylko patrzył na mnie pytająco.

–W parafii Portomaggiore nie znaleźliśmy księgi Necronomicon. Nie mówiłeś prawdy?

–Nie znaleźliście? – wyjąkał.

–Okłamałeś mnie, Gianmario?

Eros nawet nie miał siły się uśmiechnąć.

–Powiedz prawdę, a nie pójdiesz na stos.

Patrzył nieufnie. Kat zaczynał się niecierpliwić. Tłum jeszcze bardziej. Miałem niewiele czasu.

–Zastanów się! Tylko szybko! Nie spłoniesz dzisiaj, jeśli powiesz prawdę o księdze – nalegałem.

–Co jeszcze za to dostanę? – spytał Gianmaria trochę bardziej zainteresowany.

–Przed upływem tygodnia będziesz wolny. Zadbam, żeby opatrzone ci rany w moim klasztorze, a potem pomogę ci w ucieczce.

–Skąd mam pewność, że dotrzymasz słowa?

–Czarny Anioł zawsze dotrzymuje obietnicy. Powiesz mi teraz prawdę?

Lekki podmuch rozwał jego kędzierzawe włosy.

–Tak, powiem ci prawdę – usłyszałem nareszcie.

–Mów...

–Najpierw zabierz mnie stąd.

–Nie pora na negocjacje, Gianmaria. Pospiesz się, bo nie unikniesz stosu.

Kat nie ruszał się z miejsca coraz bardziej zdziwiony. Tłum falował gniewnie, lecz mimo to czekałem, aż Gianmaria zacznie mówić.

–No dobrze... – zdecydował się wreszcie. – Ja cię nie okłamałem. Ale stało się... Teraz już nikt nie jest w stanie ci pomóc, parne inkwizytorze. Jeśli nie ma księgi w Portomaggiore... to znaczy, że zabrał ją ktoś inny.

–Kto? – świdrowałem oczami każdą zmarszczkę na jego twarzy.

–Inny czarownik...

–Co mam robić, by go znaleźć?

–Czekać... Nic tylko czekać... aż zacznie się chaos.

–Gdzie do diabła jest Necronomicon! – Byłem u kresu wytrzymałości. Eros ożywił się, oczy mu zabłyśły i nagle odzyskał głos.

–Nawet nie wiesz, jak niewiele mi brakowało... – powiedział cicho. – Jak niewiele brakowało, bym odkrył najtajniejsze sekrety czarnej magii. Gdybym nie wpadł w ręce takich jak ty fanatyków waszej wiary... inaczej potoczyłoby się moje życie i teraz ja byłbym Wielkim Czarnoksiężnikiem. Tak niewiele mi brakowało...

–Odpowiadaj na pytanie! – krzyknąłem zniecierpliwiony, bo dłużej nie mogłem przeciągać tej rozmowy, a kat tylko czekał na mój znak, by podłożyć ogień.

–Bez tej księgi nie jestem nic wart. Nie wiem, gdzie się teraz znajduje. Ten, kto ją posiada i zdoła prawidłowo odczytać zaklęcia, wkrótce da się poznać, a jego znakiem będą zniszczenia, jakie wywoła nowa doktryna. Byłem tak blisko, inkwizytorze... Bardzo blisko. Mam nadzieję, że pewnego dnia Kodeks połączy się z Necronomiconem i że nastąpi to jeszcze za twego życia, abyś zobaczył, co się stanie.

–A co się stanie? – spytałem.

Skoro Eros, jak się zdaje, nie wiedział, gdzie jest księga, to może przynajmniej uzyskam wreszcie jasną i wyraźną odpowiedź na pytanie, które zadawałem.

–Jeśli ktoś wymówi zaklęcia, natychmiast zjawi się przy nim niewidoczny dla jego oczu demon i będzie mu szeptać do ucha. Powoli poprowadzi go tak, żeby odnalazł klucz otwiera-

jacy zamknięte wrota, a potem ten człowiek otrzyma, dzięki tajemnej wiedzy, najbardziej diabelskie narzędzie...

–Jakie?

–To filozofia końca... Sekretna doktryna.

–Filozofia?

–I nastanie całkowita ciemność – oznajmił.

–Co to za filozofia?

–Stworzona przez Szatana. Czarne światło zapanuje nad chrześcijaństwem, a grzech będzie tylko złym wspomnieniem w umysłach niewolników Nowego Boga. Nastąpi królestwo Szatana na ziemi, człowiek powtórnie zje zakazany owoc. Z rąk węża... Za sprawą filozofii... Z rąk nowych teologów głoszących obietnicę ciemności. On mi to powiedział – zakończył wpatrzony nieruchomo w jeden punkt za moimi plecami.

–Kto? – odwróciłem się, ale nie zobaczyłem nikogo oprócz kata.

–Demon unosi się nad tobą – odpowiedział, a na te słowa wstrząsnął mną silny dreszcz i przebiegł od karku po całych plecach. – Demon idzie za tobą, odkąd interesujesz się księgą. Demon mówi do mnie...

–Umiesz rozmawiać z demonem?

–Nauczyłem się... Mówił mi do ucha nocami w lochach twojego klasztoru.

–To dlaczego diabeł cię teraz nie uratuje? – zawołałem z ironią.

–Nie ratuje, bo nie jestem mu potrzebny, ma już innego. Rozumiesz? Znalazł sobie innego czarnoksiężnika i ten dokończy moją pracę, bo nawet jeśli nie posiada jeszcze obu ksiąg, to wkrótce będzie je miał i zniszczy waszego Boga.

–Czary! Ohydne czary! – zezłościłem się. – Kto ci kazał służyć demonowi?! Nikczemne plemię węzowe... Zasłużyłeś sobie na swój los.

–Ten wąż jest teraz z tobą. – Eros uśmiechnął się i ślina pociekła mu z ust. – Dotrzymaj słowa i zabierz mnie stąd.

Beze mnie nigdy nie dotrzesz do nowego właściciela księgi. Pomogę ci, jak uwolnisz mnie od śmierci.

–Powiedz, kto ma księgę, a każę cię rozwiązać. Gianmaria zastanawiał się. Jego czas się kończył. Mój też,

bo w tej samej chwili kat dotknął mego ramienia, pytając, czy już skończyłem. Heretyk wbił we mnie wzrok. Był bardzo zdenerwowany.

–Wielki Czarnoksiężnik – poruszył ustami, nie wydając dźwięku.

Z najwyższą uwagą obserwowałem jego wargi.

–Mój mistrz – dokończył.

Spojrzałem na suche drwa stosu, a potem znów na Gianmarię. Heretyk patrzył błagalnie.

–Skończyłem... – powiedziałem szeptem do stojącego obok kata.

–Mogę podłożyć ogień? – upewnił się oprawca.

–Możesz... Zadbaj, żeby ten człowiek palił się powoli. Bo nie wyraża żadnej skruchy, tylko jeszcze bardziej nienawidzi Boga.

Gdy osłupiały Gianmaria to usłyszał, zawołał z przerażeniem:

–Dotrzymaj słowa! Zabierz mnie stąd, a ja ci pomogę!

–Zgiń w płomieniach, czarowniku! Mówisz jak wąż, tylko kłamiesz i kuisz. Znajdę księgę bez twojej pomocy i raz na zawsze uciszę demony, żeby nie dręczyły takich mięczaków jak ty.

Odwróciłem się, by odejść, bo miałem dość słownej potyczki z tym wielkim kłamcą. Ale Eros dorzucił jeszcze coś, co kazało mi się zatrzymać.

–Czarny Aniele... nazwałem cię bękartem, pamiętasz? Stojąc tyłem, wysłuchałem spokojnie, co miał mi do powiedzenia.

–Demon przekazał mi tę informację ostatniej nocy przed śledztwem.

Nadal się nie ruszałem i nie patrzyłem na niego, ale wiedział, że słucham, więc cedził słowa:

–Wiesz, co jeszcze mi powiedział, panie inkwizytorze? Nie odezwałem się, ale odwróciłem się

twarzą do niego.

–Że Wielki Czarnoksiężnik rozprawi się z tobą, bo beze mnie nie zdołasz go zidentyfikować. Wielki Czarnoksiężnik ukąsi cię w momencie najmniej spodziewanym. Jesteś żywym trupem tak samo jak ja. Demon mi to powiedział, a on się nie myli, uwierz mi. Może zaprzeczysz, że jesteś dzieckiem bezimiennego grobu? – Gianmaria zakończył swe przemówienie makabrycznym uśmiechem. Jego twarz wyrażała radość niestosowną dla kogoś, kto lada moment przekroczy próg śmierci.

Wielokrotnie miałem do czynienia z wiedźmami, ludźmi opętanymi, heretykami i szaleńcami, ale po raz pierwszy w życiu czułem, że stoję naprzeciwko rzeczywistej siły, groźnej i potężnej. Czułem niemal fizyczne zagrożenie. Uświadomiłem sobie nagle, że po raz pierwszy w życiu miałem do czynienia z demonem. Słowa Gianmarii zrodziły we mnie strach, który później zatruje mi rozum. Zrobiło mi się słabo.

Poza tym te słowa stanowiły gwałt na mojej intymności. Gianmaria mówił tak, jakby znał przyszłość i przeszłość, a taką wiedzę mają tylko ci, którzy obcuja z duchami. Wziąłem głęboki oddech, uzbroiłem się w męstwo, spojrzałem heretykowi prosto w oczy i wykrzyknąłem:

–Vade retro, Satanas! Ukorz się przed moim Bogiem, bo Jego jest Królestwo, potęga i wieczna chwała. Na wieki wieków.

Kości zostały rzucone. Podjąłem decyzję. Nieznany dotąd strach i nowa świadomość istnienia demona niespodziewanie okazały się tygłem, w którym wykrystalizowała się moja przemiana, wywołana lawiną zająć, które niepostrzeżenie przeorały całe moje życie i wyrzeźbiły dlań nową dewizę. Odtąd tylko Bóg będzie mi pomocą; tylko Bóg moim przewodnikiem. A nie wyznawcy diabła. Postanowiłem służyć jedynie Bogu. Nie ludziom, nie mojemu superiorowi, bo choć dotąd okazywałem mu posłuszeństwo, na niewiele się to zdało. Teraz tylko ja i Bóg naprzeciw Złu.

–Umrzesz, inkwizytorze, tak jak ja umrę! Nie masz już swojej księgi. Korzystaj z życia, póki możesz, bo rychły jest jego koniec.

To były ostatnie słowa Gianmarii. Zanim kat podpalił stos, sprawdziłem, czy drewno jest odpowiednio suche. Czasem krewni i przyjaciele skazanych przekupywali oprawców, żeby podłożyć mokre polana i tym samym przyspieszyć śmierć przestępcy przez uduszenie się. Upewniłem się, a kat potwierdził, że Gianmaria będzie piekł się powoli jak zwierzę.

W chwilę potem delegacja Świętego Oficjum opuściła esp-lanadę. Obserwowałem z okien powozu, jak nad placem straceń wznosi się wielka, milcząca kolumna siwego dymu. Ogień gniewu szalał po stosach, a dusze bezbożników, również dusza Gianmarii, zstępowały prosto do wrót piekła.

Zakapturzona postać cały czas śledziła z pewnej odległości długi dialog, jaki toczyłem z Gianmaria, i zanim zniknęła w tłumie, dał się dostrzec uśmiech na wargach otoczonych jasnymi wąsami.

VIII

DOM BOŻY

22

Czułem potrzebę, żeby się zastanowić. Czułem potrzebę, żeby polecić się Bogu. Przemyśleć podjętą decyzję o posłuszeństwie wobec Niego i tylko wobec Niego, rozważyć, czym w gruncie rzeczy jest ta decyzja: jedynym jasnym punktem odniesienia wśród gęstej mgły, na którą składa się miłość cielesna do Raffaelli, moje obowiązki względem Świętego Oficjum, lojalność wobec mistrza i niepokój wynikający z niewiedzy, kto był moim prawdziwym ojcem... Jeszcze ten diabelski oddech na moim karku. Necronomicon, którego już prawie dotykałem, stał się symbolem i centrum mojej udręki, przyspieszającym wydarzenia nadające nowy kierunek memu życiu. Potrzebowałem pozbierać się wewnątrznie, a do tego najlepszym miejscem jest Dom Boży. Prosto z placu straceń poszedłem do katedry i tam trwałem pogrążony w myślach, dopóki nie rozproszył mnie zgrzyt głównych drzwi wejściowych pchniętych niecierpliwą ręką. Z wewnątrz widziałem tylko wysoką sylwetkę dostojnika kościelnego, rysującą się dość wyraźnie na tle ostatnich brząsków dnia. Mężczyzna w czerni szedł równym, pewnym krokiem przez główną nawę w stronę tego samego miejsca, gdzie od dłuższej już chwili szukałem w modlitwie ukojenia po emocjonującym dniu. Miałem niespodziewaną wizytę kardynała Vincenza Iuliana. Zamienił kardynalską pur-

purę na czarną sutannę z majestatycznie narzuconym płaszczem, który przy każdym ruchu odsłaniał blask wiszącej u pasa szpady.

Superior Generalny inkwizytorów był znany z wielkiego upodobania do broni. Posiadał duże doświadczenie w tej dziedzinie, gdyż jako potomek szlacheckiego rodu od dziecka był przyuczony do posługiwania się bronią. Iuliano był wojownikiem, żołnierzem na miarę dawnych krzyżowców i gdy opuszczał bezpieczne mury Watykanu, zawsze chodził uzbrojony jak oficer armii. Miał wielu wrogów i starał się być przygotowany na każdą ewentualność z racji swej przynależności do świata, gdzie wszyscy spiskowali przeciwko wszystkim.

Zatrzymał się przy mnie tak blisko, że widziałem na jego twarzy ślady po ospie, które tuszował przystrzyżoną bródką.

–Co za niespodzianka, ojcie generale! Pozdrawiam was w imię Boże – powiedziałem na powitanie. Z tą niespodzianką trochę przesadziłem, bo odkąd Rivara wysłał do kardynała posłańca z wieścią o śmierci Isabelli Spaziani, mogłem spodziewać się jego wizyty w każdej chwili.

–Bądź pozdrowiony w imię Boże, bracie DeGrasso – odpowiedział natychmiast.

Z niechęcią pomyślałem, że czeka mnie przykry obowiązek zawiadomienia go o porażce. Ale wolałem mieć to szybciej za sobą.

–Cieszę się, że was widzę, bo mogę osobiście przekazać najświeższe wieści o zakazanej księdze Gianmarii... Niestety, nie są dobre – powiedziałem, spodziewając się gniewnej reakcji.

Tymczasem Iuliano nie przestawał rozglądać się nerwowo po wszystkich zakamarkach świątyni.

–Jak tu ciemno, te witraże są zbyt małe i dają niewiele światła, ledwo widać zarysy ławek. Łatwo się tu ukryć – wyszeptał. Był człowiekiem skrupulatnym, upartym i wyjątkowo inteligentnym, ale przesadnie podejrzliwym. Wszędzie węszył spisek i niebezpieczeństwo, co wyglądało na prawdziwą obsesję.

–Jesteśmy sami, prawda? – mruknął przez zęby.

–Tylko my i Bóg, kardynale Iuliano – odpowiedziałem uspokajająco.

Jego oczy błędziły jeszcze po świątyni, ale był już spokojniejszy. Kiedy wreszcie przeniósł wzrok na mnie, ujrzałem w nim gniew, tak jak się spodziewałem. Złakłem się nawet, że mnie zabije, ale na szczęście nie wyjął szpady.

–Co ty sobie wyobrażasz, bracie DeGrasso?! – z trudem powstrzymywał się od krzyku w świętym miejscu.

–Słucham? – powiedziałem zdziwiony. Nie wiedziałem, skąd ta wściekłość, skoro jeszcze nie zdążyłem przekazać mu złej wieści.

–Jak to: słucham? – odparł z sarkastycznym uśmiechem. – Czyżbyś nie wiedział, dlaczego tu jestem?

–Domyślałem się, że przyszlście po księgę... Kardynał uniósł prawą dłoń i spojrzał na mnie z odrazą.

–Dałem ci rady, które powinieneś potraktować jak rozkaz, a ty podjąłeś działania na własną rękę i wykazałeś zbyt wiele inicjatywy w kwestii zakazanej księgi... Chyba się nie mylę, bracie? – Iuliano zrobił krótką przerwę, po czym kontynuował: – Dlatego tu jestem.

Coś mi przyszło do głowy, gdy słuchałem tych oskarżeń. Przypomniały mi się słowa Piera Del Grandę tak wyraźnie, jakbym dopiero co je usłyszał. „Iuliano ci nie ufa, każe cię śledzić”. A ja starałem się wtedy bronić kardynała przed zarzutami mistrza...

–Rozumiem... – odpowiedziałem.

Nareszcie wiedziałem, czego się trzymać i jak dalej prowadzić tę rozmowę, aby nie zaszkodzić ani sobie, ani ojcu Del Grandę.

–W porządku, pomówmy zatem o tym, co mnie najbardziej interesuje.

–Nie wiem, co mam powiedzieć Waszej Eminencji, bo chyba nie interesują was moje obawy – broniłem się, atakując, gdyż chciałem zorientować się, co wie, i wolałem, żeby zaczął mówić pierwszy.

–Odwiedziłeś byłego mistrza, długo rozmawialiście, opowiadałeś mu o sprawach, które nie powinny wychodzić poza krąg inkwizycji. Zwierzyłeś mu się ze swych obaw, ujawniłeś wyniki śledztwa. Chyba nie zaprzeczysz?! Myślisz, że możesz robić i mówić, co ci się żywnie podoba? Sprawy Świętego Oficjum nie są przeznaczone dla wszystkich uszu!

Gniew Iuliana rósł równie szybko, jak na zewnątrz zapadała noc.

–Owszem, odwiedziłem ojca kapucyna, ale nic z tego nie wynika. Proszę nie kwestionować mojej uczciwości, ojcze generale, bo to podważa rangę sprawowanego przeze mnie urzędu.

–Bierzesz mnie za głupca, bracie DeGrasso? – zadygotał Iuliano jak wulkan na moment przed wybuchem. – Zaprzeczysz, że zdradziłeś moje zaufanie?

–Jestem lojalny – odparłem, starając się zachować spokój.

–Nie jesteś, Angelo DeGrasso. Wydałbyś brata jak Judasz! – krzyknął Iuliano i chwycił mnie za kołnierz sutanny.

–Proszę się uspokoić, księżę kardynale. Mówicie do inkwizytora, sędziego Chrystusowego. Wasz gniew jest skutkiem życia w ciągłej obawie przed spiskiem.

Moje ostatnie słowa przebrały miarę jego cierpliwości. Iuliano wyciągnął z pochwy szpadę i bez wahania przyłożył mi ją do szyi. Widziałem ostrze pełne śladów po stoczonych walkach.

–Bezczelnie ze mnie kpisz! Wiesz, co osiągnąłeś takim postępowaniem? Zraziłeś nas do siebie. Wystawiłeś na niebezpieczeństwo sprawę niezwyklej wagi dla Świętej Inkwizycji. Praca dziesiątków inkwizytorów i parę wieków badań mogą pójść na marne wskutek twojej niedyskrecji. Tajemnica przekazywana z papieża na papieża warta jest żelaznego milczenia – Iuliano wciąż trzymał szpadę przy mej szyi, czułem ucisk ostrza na gardle, trwoga ścisnęła mi serce.

–Przestańcie mi grozić – powiedziałem słabym głosem –

proszę, opuśćcie szpadę, nie można jej używać w świętym miejscu.

Kardynał spuścił wzrok i uspokoił się trochę. Ucisk stali zelżał, ale nie zniknął.

–Co ci powiedział kapucyn o księdze?

–Nic.

–Jak to nic? Na Boga, nie drażnij mnie, Angelo! Chyba wiesz, kim jest ten starzec?

–Kapucynem, który woli służyć Bogu na klęczkach, a nie na siedząco. Jest dobrym zakonnikiem.

–Mylisz się! – krzyknął kardynał, nie mogąc powstrzymać gniewu. – On jest członkiem rebelianckiej, wywrotowej sekty. Uboga sutanna i siwe włosy to tylko przykrywka! Piero Del Grandę jest rewolucjonistą! Dobrze znam twój mistrza i nie wierzę, żeby nie przekazał ci wszystkiego, co wie o Necronomiconie. Nie wierzę, że cię nie przygotował... – Kardynał powoli opuścił szpadę, więc odetchnąłem z ulgą.

–Wybaczcie, ojcze generale, ale mam wrażenie, że wy wiecie dużo więcej niż ja – zaryzykowałem mimo lęku, że ostrze szpady znów znajdzie się na moim gardle.

–I na tym polega twój błąd, Angelo. Uparcie zadajesz pytania, których nie powinno się zadawać.

–Czy to źle, ojcze generale? Boicie się, że mogę coś odkryć?

Kardynał nie wsunął jeszcze szpady do pochwy; stał i gładził się po głowie, jakby zastanawiał się nad dalszymi pytaniami, aż wreszcie zadał to, na które czekałem.

–Jesteś jednym z nich, prawda?

–To znaczy kim? – udałem, że nie wiem, o co chodzi.

–Jesteś członkiem Corpus Carus, jak twój mistrz.

–Corpus Carus? Już raz wymieniliście tę nazwę, nie racząc wyjaśnić, co się za nią kryje.

–To dlaczego nie zapytasz mnie o to, lecz szukasz odpowiedzi u kapucyna?

–Był moim mistrzem i darzę go szacunkiem.

–Aha, zatem przyznajesz, że z nim rozmawiałeś...

–Od początku nie ukrywałem, że byłem u niego. Oczywiście, że z nim rozmawiałem, ale nie o zakazanej księdze. Ani o żadnych innych sprawach, które wolno poruszać tylko z władzami inkwizycji.

–Kłamiesz!

–A dlaczego tak mówicie, księżę kardynale? Kazaliście mnie śledzić? Nie ufacie mi?

–Tak, kazałem cię śledzić, bo w rozmowie z nami i podczas przesłuchania Gianmarii uparczywie próbowałeś dowiedzieć się czegoś więcej o tych księgach. Dlatego przestałem ci ufać.

–Teraz wy kłamiecie, księżę kardynale – powiedziałem cicho, lecz stanowczo. – Nigdy mi nie ufaliście.

–Ciekawe... Skąd ta pewność?

–Bo nigdy nie wspomnieliście, że Szmaragdowy Kodeks ma duże znaczenie. Wiedzieliście o istnieniu tej księgi, być może nawet wiedzieliście, gdzie się znajduje, ale nic mi nie powiedzieliście – odparłem, a Iuliano uśmiechnął się przekonany, że teraz ma mnie w ręku.

–Nie myliłem się. Rozmawiałeś z kapucynem o sprawach inkwizycji.

–To nie tak, księżę kardynale. Miałem dostatecznie dużo danych przed wizytą u kapucyna. Pomyślcie tylko: kiedy odwiedziliście mnie w klasztorze razem z astrologiem Darkiem, obaj wspomnieliście mimochodem o jeszcze jednej księdze. Potem moi ludzie znaleźli list Isabelli Spaziani do Gianmarii ze wzmianką o Szmaragdowym Kodeksie. Wysłałem do was posłańca z tą wiadomością. O istnieniu Kodeksu dowiedziałem się zatem ze słów plugawej wiedzmy!

–Kłamstwo! Kłamstwo! Kłamstwo! – nie wytrzymał Iuliano, na nowo coraz bardziej zagniewany. – Chciałeś, żeby Del Grandę potwierdził twoje informacje.

–To prawda... – wyznałem po chwili wystudiowanego milczenia – rozmawiałem z nim trochę na ten temat, nie będę

dłużej ukrywał. – Pomyślałem, że jeśli ja będę szczery, to wyciągnę od Iuliana trochę więcej.

–Świetnie, nareszcie mówimy takim samym językiem. – Kardynał wsunął szpadę do pochwy i usiadł obok. – Co on ci powiedział o mnie? Co powiedział o księgach?

Byłem zdecydowany chronić mojego mistrza i nie ustawać w poszukiwaniu prawdy.

–Ja nie kłamię, ojcie generalu. Poszedłem do Piera Del Grandę, bo go szanuję. Był moim mistrzem, ale po tej rozmowie został mi tylko żal. Zapytałem go o Necronomicon, bo wiadomość o istnieniu Kodeksu i wasza powściągliwość w tej sprawie wzbudziły mój niepokój. Tymczasem ojciec Piero okazał się tylko starcem, pokonanym przez czas. O Necronomiconie nie wiem nic ponadto, co wy mi powiedzieliście, o Kodeksie zaś wiem tylko tyle, ile zdołałem wyczytać z waszych słów i słów czarownicy. Co kryje się za tymi księgami?

Juliano podniósł niebieskie oczy i zapatrzył się w główny ołtarz, znajdujący się kilka kroków przed nami. Potem przeniósł spojrzenie na mnie.

–Po czyjej jesteś stronie?

–Po stronie Boga – była to odpowiedź zawierająca największą i jedyną prawdę mojego życia.

–Ty... – wyciągnął w moją stronę palec wskazujący – z pewnością mógłbyś być moim wrogiem. Wielkim Czarnoksiężnikiem albo członkiem Corpus Carus. Dlaczego miałbym zdradzać przed tobą sekrety inkwizycji? Skąd wziąć pewność, że mogę ci zaufać?

–Jestem inkwizytorem, a nie żadnym czarownikiem, i ślubowałem wam posłuszeństwo, ojcie generalu. O Corpus Carus wiem tylko to, co właśnie usłyszałem: że Piero Del Grandę należy do tego bractwa.

Kardynał spojrział na mnie poważnie i powiedział:

–Zapamiętaj to sobie raz na zawsze: nie zdradzaj żadnych sekretów temu kapucynowi, wykonuj swoje zadanie należycie,

ale bez nadmiernego zaangażowania i uważaj na pułapki zastawiane przez masonów.

Obserwowałem kardynała w milczeniu. Był już bardziej spokojny, gdy zapytał:

–Jakie to złe wieści masz mi do przekazania o Necronomiconie!

I oto przyszedł moment, aby dokończyć wypowiedziane na początku rozmowy zdanie o tajemniczym zniknięciu książki.

–Obopólna nieufność wpędziła nas w niepotrzebną dyskusję, kardynale Iuliano, i odsunęła moment przekazania złych wieści. Z wielką przykrością stwierdzam, że nie wiem, gdzie jest księga. Ktoś nas wyprzedził i opróżnił skrytkę w kościele w Portomaggiore... Nic więcej nie mogę dodać oprócz daremnych przeprosin...

Kardynał zareagował dokładnie tak samo jak wcześniej, gdy wspomniałem, że mam złe wieści na temat księgi. Nawet nie drgnął.

–Dobrze wiem, gdzie jest Necronomicon.

Jego słowa uleciały pod kopułę katedry i tam się rozwiały. Nastąpiła cisza. Oniemiałem ze zdziwienia.

–Papieski astrolog Darko – ciągnął niezmieszany Iuliano – jest jedynym człowiekiem, który może nam w tym dopomóc.

–A co takiego może zrobić astrolog Ojca Świętego? – spytałem.

–Darko służył kiedyś Kościołowi prawosławnemu i zebrał sporo dokumentów o Necronomiconie. Lepiej od niego nikt w Europie nie zna tajemnic czarowników i wyznawców diabła.

–Ufacie mu, ojcze generale? – spytałem znaczącym tonem.

–To Darko zasugerował, żebyś zajął się Necronomiconem. Osobiście zwrócił się z tą prośbą do papieża... Od dawna go znasz? – Iuliano chciał wiedzieć, czy Darko i ja należymy do tego samego stowarzyszenia, wszystko jedno jakiego, gdyż wszędzie węszył zdradę.

–Nie, nigdy w życiu go nie widziałem, dopóki nie wezwą-

leś mnie do Rzymu – potarłem ręką brodę z z troskaniem. – To zakrawa na jakieś szaleństwo. Nikt oprócz heretyka nie widział księgi, a wszyscy podejrzewamy siebie nawzajem o najgorsze rzeczy i nie ufamy nawet własnym cieniem. Czy to nie dziwny labirynt?

–Od ponad siedmuset lat nie możemy znaleźć zeń wyjścia – odrzekł kardynał z bezmiernym smutkiem.

–Widzieliście tę księgę, ojcze generale? – spytałem na wszelki wypadek.

–Nigdy.

–Może to tylko spisek heretyków? Może Necronomicon jest jedynie mitem? – zastanawiałem się głośno.

–Kościół ma rzeczywistych wrogów. Kościół nie walczy z chimerami. Jest to udokumentowane. Byłbyś wstrząśnięty widokiem dokumentów, jakie posiadam. Ludzie poświęcali całe życie poszukiwaniom tej księgi. Wiele osób zginęło. Necronomicon jest rzeczywistością jak mury tej katedry – stwierdził Iuliano.

–Dlaczego przyszliście tu za mną, ojcze generale? Do czego wam jestem potrzebny, jeśli wiecie, gdzie znaleźć tę księgę? Jaka jest moja rola w tej komedii?

–Przysięgnij mi wierność... Przysięgnij, a uczynię cię powiernikiem mych sekretów. Udowodnij, że można ci zaufać, a zostaniesz moją prawą ręką w inkwizycji.

–Nie bardzo rozumiem...

–Tylko w ten sposób będę miał gwarancję, że jesteś po stronie Kościoła. Pamiętaj, że ja mam władzę. To ja decyduję, co należy zrobić, i jeśli trzeba, bez wahania skazuję zdrajców na śmierć. Na pewno, jak byłeś mały, cieszyłeś się, że Judasz się powiesił. Ja jestem pięścią Chrystusa – zakończył z żarliwym błyskiem w oczach.

–Ja też się cieszę, gdy zdrajcy są ukarani...

Trzeci głos wynurzył się z półmroku. Kardynał i ja odwróciliśmy się zaskoczeni. Dźwięk dochodził spod ostatniej

arkady nawy bocznej na skrzyżowaniu z transeptem. Zdawało się nawet, że z krypty, bo rozbrzmiewał jak echo umarłych, rozchodzące się po głębokiej pieczarze. Albo jak głos aniołów z łuków wspartych na filarach i dekoracji w kształcie muszli.

–Świecka potęga trwa, dopóki ciało nie zgnije – mówił głos. – Żądza władzy jest nietrwała i krótkowzroczna, typowa dla ludzi kierujących się ambicją i przeniewierców.

Rozpoznałem ten głos i zdumiało mnie, że słyszę go w tym miejscu i w tym momencie. Kardynał Vincenzo Iuliano zmarszczył brwi, otworzył szeroko oczy i znów wyciągnął szpadę. Stał w pozycji obronnej, podczas gdy niespodziewany gość powoli zbliżał się do nas miarowym krokiem, choć widać było, że chodzenie sprawia mu trudność. Twarz miał zasłoniętą kapturem, toteż dopiero gdy odsłonił głowę, okazało się, że to ojciec Piero Del Grande i kardynał osłupiał ze zdziwienia.

–Zapytaj Cezara Augusta, gdzie teraz jego władza i jak długo trwała – ciągnął stary kapucyn. – A nie zapomnij zapytać o jego imperium. Wejź do grobowców faraonów i sprawdź, czy ich wysuszone mumie zachowały choćby resztkę władzy. Niech ci opowiedzą o czasach swej potęgi i o losie, jaki zgotowali tym, których uznali za swych przeciwników. Sprowadź króla Dawida i zapytaj prochy z jego kości, gdzie królewska władza i czy wciąż chce podstępem odebrać żonę swemu generałowi. Otwórz groby faryzeuszy i zapytaj tych, którzy uknuli spisek przeciwko Chrystusowi, czy nadal sądzą, że broń jest źródłem władzy, a nie Słowo.

Iuliano, wpatrzony w starca, jakby zobaczył ducha, wyjąkał ze zdziwieniem:

–Co do diabła... po co tutaj... czego szukasz?

–Wiedziałem, że instynkt mnie nie zawiedzie. Jestem stary, ale wiara dodaje mi sił i prowadzi tam, gdzie powinienem być.

Kardynał w czarnych szatach i z czarną duszą zaśmiał się głośno.

–Przybyłeś, by ratować swego ucznia? – spytał z sarkazmem. – Jasne! Powinienem był to przewidzieć. Doprawdy,

masz niezwykły dar dowiadywania się o wszystkim w samą porę. Tylko pozazdrościć. Podobnie jak tego triumfalnego wejścia. Niezły z ciebie magik.

–Miłość ojca czyni cuda – powiedział, bojowo nastawiony kapucyn.

Przez moment pragnąłem, aby słowo „ojciec” miało w tym wypadku normalne, ludzkie znaczenie, żeby okazało się, że spłodził mnie Piero, co byłoby wielką nagrodą za mój los

bastarda.

–Bracie Del Grandę, czego szukasz w tej bazylice? – Drżenie głosu Iuliana zdradzało niepokój. – Za stary jesteś na takie wybryki. To już nie to samo co kiedyś. Popatrz na siebie: ślepy, zgrzybiały... Czego jeszcze chcesz?

Kapucyn oparł się mocniej na swym kiju i skierował stare, niedowidzące oczy na zwierzchnika inkwizytorów.

–Schowaj szpadę – nakazał, a gdy Iuliano parsknął śmiechem, powtórzył tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Schowaj szpadę, powiedziałem.

Kardynał stracił ochotę do śmiechu i usłuchał. Nie rozumiałem, co tu się dzieje. Zastygłem jak posąg z marmuru, wytyżając słuch. Stary kapucyn podniósł do góry kościsty palec i pogroził kardynałowi.

–Jeśli dobrze pamiętam, zabroniłem ci zbliżać się do Angela – powiedział. Byłem oszołomiony: o czym ten Del Grandę mówi?

–Nie będziemy teraz do tego wracać – syknął przez zęby Iuliano.

–Myślałeś, że na starość odwołam ten zakaz? Chcesz mnie wypróbować? Pragniesz zmierzyć się ze mną?

Iuliano schował ręce pod poły szerokiego płaszcza i patrzył podejrzliwie.

–Angelo, proszę cię, wyjdź stąd – zarządził mistrz.

–Wyjdę, ale tylko razem z tobą – odpowiedziałem.

–Zostaw nas samych – nakazał tonem nieuznającym sprzeciwu.

Ruszyłem w stronę wyjścia. Przechodząc obok mistrza, przystanąłem, żeby pocałować go w czoło, i szepnąłem:

–Czekam na zewnątrz. Nie pozwolę, aby stało ci się coś złego.

Starzec ścisnął mi dłoń, uśmiechając się.

–Nie martw się, synu. Mam większą ochronę, niż myślisz. Kardynał odprowadzał mnie wzrokiem do samych drzwi. Na placu przed katedrą stało w pogotowiu około trzydziestu

kapucynów. Ta niezwykła sytuacja wprawiała mnie w jeszcze większe osłupienie. Co za walkę prowadzą między sobą ci dwaj zakonnicy, których pozostawiłem w katedrze? Jakie siły reprezentuje każdy z nich? Jaka jest moja rola w tym wszystkim? Podszedł jeden z kapucynów, zaprowadził mnie do powozu i kazał woźnicy jechać prosto do klasztoru. Zanim stangret trzasnął z bicia, kapucyn powiedział:

–Bracie DeGrasso. Mam wiadomość od ojca Piera Del Grandę. Powtórzę dokładnie jego słowa: „Umiłowany Angelo, wiem, że wielu rzeczy nie rozumiesz, dręczą cię wątpliwości, a moja szczerość wzmogła jeszcze bardziej twój niepokój. Wiem, że masz silne nerwy, sam cię zahartowałem. Dlatego śmiem prosić, odwołując się do twojej lojalności, abyś nie wahał się podjąć podróży, w którą wysyła cię Iuliano. Ufaj mi, tak jak dotąd ufałeś. Bóg z tobą”.

Po tych słowach powóz ruszył w drogę do klasztoru. Nigdy nie dowiedziałem się, co wydarzyło się tej nocy w genueńskiej katedrze, ale nie wątpiłem, że spotkam jeszcze kohortę kapucynów czuwających nad bezpieczeństwem Piera Del Grandę. Kapucyn i kardynał mieli ze sobą jakieś stare układy. Tego dnia Iuliano próbował zerwać ów pakt.

23

Prośba mojego mistrza była jeszcze jedną zagadką, wiedział on bowiem, choć nie ja mu to powiedziałem, dokąd się udaje

178

i po co. Nadawało to nowy sens tej i tak tajemniczej wyprawie. Dlaczego Piero Del Grandę był nią zainteresowany? Różne myśli przychodziły mi do głowy w trakcie przygotowań do podróży; przypomniałem sobie między innymi, co powiedział Iuliano: „Dobrze wiem, gdzie znajduje się Necronomicon”. Zastanawiałem się, czy przypadkiem podróż ta nie została zaplanowana po to, by oddalić mnie od zakazanych ksiąg, ponieważ nie jestem godzien zaufania, czego dowodzi wizyta Iuliana.

Nazajutrz o świcie muszę zaokrętować się na jednym ze stojących w porcie hiszpańskich

galeonów. Rozpocząłem powierzoną mi misję; pomyślałem o zalakowanych kopertach i instrukcjach, aby tę pierwszą otworzyć tuż po wypłynięciu z Wysp Kanaryjskich, drugą – na Circulus aequinoctialis, trzecią zaś – w pobliżu miasta Asunción. Wskutek burzliwych zajęć, jakie nastąpiły po moim powrocie z Rzymu, nie myślałem ostatecznie o tych kopertach, które tak bardzo mnie zaintrygowały. Nowy Kontynent coraz bardziej urealniał się w moich snach i rozważaniach. Wszystko, co posiadałem, zmieściło się w pięciu skórzano-drewnianych kufrach. Trzy z nich zawierały ubrania, czwarty – przedmioty osobistego użytku, a ostatni – dokumenty i księgi Świętego Oficjum. Każdy kufer był zamykany na klucz. W pustej, samotnej alkwie zmówiłem wieczorną modlitwę i oddałem swe znużone ciało dobroczynnemu działaniu snu.

Tej samej nocy, kiedy ja spałem spokojnie w klasztorze, czterech na czarno ubranych jeźdźców przegalopowało przez Genuę w kierunku opactwa San Fruttuoso. Kłamstwo utorowało im drogę; powiedzieli kapucynom, że przybywają z pilną wiadomością od arcybiskupa. Braciszkanie, łatwowierni jak niewinne owieczki, wpuścili do środka wilki. Jeździec w habitach zakonnika wszedł do budynku, reszta czekała na dziedzińcu.

Tej samej nocy, gdy minęła północ, sztylet dotknął szyi i przeciął miękką skórę, jak nożyce krawieckie tną jedwab.

Nikt nic nie widział ani nie słyszał, żadnego hałasu ani poruszenia. Tylko grobowa cisza. Krew płynęła po sutannie i skapywała na dywan. Ostatni cios sztyletem w plecy przypieczętował bolesny pakt z ciszą. Wyraz twarzy ofiary pozostał niezmienny mimo przeszywającego bólu.

W ten sposób zapoczątkowano pakt krwi. Był to pierwszy z wielu mających nastąpić zgonów. Ta śmierć ukazała mi boleśnie i aż nadto wyraźnie, jak ważne to są księgi i jak wiele zła jest wśród poszukiwaczy.

Tej nocy powykręcane ciało ofiary spadło w kałużę krwi i leżało z otwartymi nawet po śmierci oczami. Wieść rozeszła się z szybkością wiatru i okryła żałobą całą Genuę, ale ja dowiedziałem się o tym dopiero po powrocie z podróży.

Ojciec Piero Del Grandę został zamordowany. Zasztyletowany przez zakonnika zabrał swoje tajemnice do grobu.

W mrocznym, wykutym w kamieniu przejściu prowadzącym do krypty opuszczonego kościoła czyjaś ręka niosła zapalony paschał. Przejście było wąskie i wilgotne. Usta zakapturzonej postaci wydzielały lodowatą parę; ciężkie, choć ostrożne kroki, świadczyły o wielkim udręczeniu.

Ukazała się duża skalna grota ozdobiona starymi freskami. Płomień świecy paschalnej oświetlił twarz Przenajświętszej Dziewicy i powoli wydobywał z mroków resztę. Była to majestatyczna rzeźba Niepokalanej o zatroskanym obliczu, z dłońmi wysuniętymi w ofiarnym geście spod skrywającego ją płaszcz. U jej stóp leżał świat otoczony chmurami. Wzrok zakapturzonej postaci badał uważnie kształty figury. Były doskonałe.

Dłoń Wielkiego Czarnoksiężnika dotknęła policzka Maryi. Jego usta cicho szeptały. Łacińskie słowa dziwnie nie pasowały do natrętnego spojrzenia...

–Mater Dei, Mater Dei... – wołał. Błagalne wołanie odbijało się echem od sklepienia groty.

W przejmującym zimnie gęste obłoki pary wydobywały mu

się z nosa i warg przy każdym oddechu. Czarnoksiężnik stanął przed fałszywym ołtarzem przy ścianie z symbolem Tajnego Stowarzyszenia: diabelski pentagram zwany stopą czarownicy na tle starego fresku przedstawiającego Boże Narodzenie. Na dostojnym fotelu pod freskiem siedziało martwe zwierzę. Kozioł z poderżniętą szyją odziany w święte szaty biskupie. Spod mitry wystawały rogi.

Wielki Mistrz Czarowników uśmiechnął się. Tej nocy zniknęła z jego drogi jednaprzeskoda.

Ważna to była noc i wszystko odbywało się zgodnie z planem.

Dłoń czarnoksiężnika wróciła pieszczotliwie do policzka Maryi. Jego palce przesuwają się obsesyjnie po marmurowych wargach.

Wkrótce odbędzie się ostatni sabat czarownic. Już niedługo.

CZEŚĆ DRUGA

KROKI W NIEZNANE

IX

DAMA W BIELI

24

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami pierwszego grudnia czekały na mnie w porcie dwa galeony. Trudno było ich nie zauważyć pomimo gęstej, porannej mgły spowijającej nabrzeże. Duże nieruchome statki, bez śladu życia na pokładzie, wyglądały w tej mgle jak widma z pola bitwy pod Lepanto. Wikary Rivara wszedł na pokład jednego z nich, żeby dopilnować rozpakowywania bagażu w kajucie i wypełnić niezbędne dokumenty. Admirał powiedział mu, że za kilka minut oba galeony będą gotowe do odcumowania. Miałem niewiele czasu, żeby pożegnać ziemię ojczystą i Raffaellę D'Alemę, moją miłość.

Gęsta mgła, której tak bardzo nie lubili genueńscy marynarze, chroniła nas teraz od niepotrzebnych spojrzeń. Staliśmy z Raffaella przy rampie przeładunkowej, trzymając się za ręce, i patrzyliśmy na siebie, jakby przeczuwając, że ta podróż nie przyniesie nic dobrego i nie wiadomo, kiedy znów się spotkamy.

–Co teraz będzie ze mną? – Raffaella przerwała milczenie.

–Za dwa dni znajdziesz się w Rzymie – zapewniłem ją czule. – Nie martw się...

–Nie o to pytałam i nie chcę o tym mówić. Myślę o przyszłości.

–Przyszłość...? Ja nawet myśleć o niej nie mogę, Raffaello.

185

Zaraz wsiadam na statek i wyruszam z misją, o której prawie nic nie wiem. Krocę po omacku ku nieznanemu przeznaczeniu.

–Jak to możliwe, że ty czegoś nie wiesz? – spytała.

–Możliwe.

–A więc mam wrócić do Rzymu i nigdy więcej cię nie zobaczyć?

Pogłaskałem ją po ręce, zamiast odpowiedzieć.

–Mam wrócić i żyć tak, jakby nic się nie wydarzyło...? Po tym jak pierwszy raz w życiu okazałam rodzicom nieposłuszeństwo? Opuściłam domowe pielesze i złamałam zasady, jakie winny przyświecać dziewczynie mego stanu. Przyjechałam do ciebie, kierowana uczuciem, którym od dawna darzyłam cię nieświadomie, choć rozumiałam to dopiero wtedy, gdy odwiedziłeś nas w Rzymie. Oddałam ci moje ciało, przy tobie poznałam miłość... A ty mi każesz teraz o tym wszystkim zapomnieć. Sądzisz, że to możliwe? Nawet gdybym chciała i gdyby to miało być najlepszym rozwiązaniem, nie mogę wrócić do rodziców i żyć tak, jakby nic się nie stało.

–Chyba nie... – wyszeptałem z trudem.

–Oczywiście, że nie... Mam ciało kobiety i czuję jak kobieta.

–Jesteś wspaniałą kobietą, bardzo odważną... – patrzyłem jej w oczy i próbowałem dodać otuchy.

–Jeszcze nie powiedziałaś, co z nami będzie – zaniepokoiła się piękna Raffaella.

Była wobec mnie szczerą. Oddawała mi się ciałem i duszą, a ja łamałem tej dziewczynie serce. Nic nie powiedziałem, tylko wziąłem jej dłoń i przyłożyłem do swojej piersi. Nie umiała powstrzymać łez, choć bardzo się starała. Ukradziono jej marzenia, zdradzono duszę.

–Rozumiem... – zaczęła szlochać.

Ścisnąłem mocniej jej dłoń i czekałem, aż minie pierwsza gorycz. Nic nie usprawiedliwiło mego tchórzostwa... To nie było nawet tchórzostwo, tylko zwykła głupota! Tchórzem jest ten, kto się boi, a ja się jej nie bałem, wręcz przeciwnie,

pragnąłem z całego serca. Tchórz ucieka, żeby ratować swój błogostan, ale ja nie chciałem uciekać; byłem gotów stawić czoło tej sytuacji, zresztą ucieczka nie oszczędziłaby mi cierpienia. Kim ja właściwie byłem? Tchórzem uciekającym przed miłością? Czy głupcem szukającym udręczenia? Wzięłem głęboki oddech. Nie mogę dłużej milczeć. Nie mogę zwlekać z odpowiedzią.

–Nie opuszczę cię – wyszeptalem zaskoczony własnymi słowami. – Umarłbym, gdybym to uczynił.

Na skąpanej łzami twarzy Raffaelli zakwitł nieśmiały uśmiech.

–To znaczy, że się jeszcze spotkamy? – spytała z nadzieją w głosie.

–Posłuchaj, maleńka. W moim życiu zaszły ostatnio duże zmiany. Wytrąciło mnie to trochę z równowagi i naruszyło najsilniejsze przekonania, jakie miałem. Musiałem inaczej na siebie spojrzeć. Jedyna piękna rzecz, jaka mi się w tym czasie przydarzyła, ma związek z tobą. Nie zostawię cię, choć jeszcze nie wiem, dokąd mnie doprowadzi ta namiętna miłość.

–Odsunąłeś się od Boga z mojego powodu – zmartwiła się Raffaella.

–O nie! Moja miłość do Boga nie podlega dyskusji.

–Przecież złożyłeś śluby, Angelo, przyjąłeś zobowiązania.

–Zostaw to mnie – poprosilem. – Nie chcę teraz o tym myśleć. Właśnie z miłości do Boga zdecydowałem się wyruszyć w tę podróż. A problem, o którym mówisz, rozwiążę sam. Oddajmy ludziom co ludzkie i Bogu co boskie.

Przytaknęła i skłoniła głowę z szacunkiem.

–A więc Raffaello D'Alema, czy bierzesz mnie za męża w takim znaczeniu, jakie nadaje temu słowu Pieśń nad Pieśniami? – spytałem, choć jeszcze przed chwilą nie byłem pewien, czy odważę się to powiedzieć.

Dziewczyna odpowiedziała jak zaczarowana:

–Biorę cię za męża. Dla mnie to ma takie samo znaczenie jak życie w raj.

–Nie mamy czasu do stracenia. Moje słowa płyną prosto z serca. Pragnę być z tobą. Jak przyjdzie pora umierać, chcę być w twoich ramionach, a nie w chłodnej samotni klasztoru.

–Będziemy jednym ciałem i jedną duszą – oświadczyła. – Przyrzekam zachować płomień tej miłości do końca naszych dni, abys mógł się nim ogrzać u kresu życia.

–I tak niech się stanie, jeśli taka jest wola Chrystusa. On na pewno pozwoli staremu żołnierzowi wycofać się ze służby i leczyć rany odniesione w wielu bitwach. A jeśli zechce, bym nadal sprawował swój urząd, to da mi to poznać, zobaczysz.

Rzymianka zdjęła z szyi łańcuszek, który miała pod suknią, i podała mi go. Do łańcuszka był przyczepiony okrągły medalik przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem w stylu szkoły Limoges.

–To dla ciebie, Angelo. Ten medalik przyniesie ci szczęście. Noś go zawsze. To tak, jakbym ja była przy tobie.

Przyjąwszy podarunek, skręciłem łańcuszek w palcach i ucałowałem medalik. Potem obejrzałem to prawdziwe dzieło sztuki.

–Jaki piękny... Czuć jeszcze ciepło twojej skóry.

–Czy mogę cię pocałować... – powiedziała prosząco Raffaella.

Patrzyłem na nią przez chwilę w milczeniu, zanim mruknąłem:

–Pospieszmy się... zostało niewiele czasu.

Odwieczny rytuał namiętności połączył nasze wargi. Pocałunek trwał tyle co westchnienie, ale przypieczętował na zawsze nasz miłosny pakt. Choć wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakie będą tego skutki.

Czyjeś kroki odezwały się w pobliżu dość głośno, jakby ktoś celowo chciał nas uprzedzić o swej obecności. We mgle zamajaczyła elegancka postać damy. Podeszła bliżej i rozpoznałem Anastasię Iuliano.

–Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać – powiedziała delikatnie.

Odsunąłem na bok Raffaellę, żeby ją chronić. Miałem nadzieję, że gęsta mgła spowiła zasłoną nasz pocałunek, ale nie byłem tego pewien. Wolałem nie narażać dziewczyny na cudze spojrzenia. Nie chciałem, by zobaczyła ją krewna mojego superiora, dopóki nie złożę rezygnacji z kapłaństwa i urzędu. Próbując ukryć zaskoczenie jej wizytą, nie omieszkałem wyrazić zdziwienia:

–Oczywiście, że pani nie przeszkadza, ale młoda dama nie powinna sama przebywać w takim miejscu i o takiej porze.

–Proszę nie sądzić, że specjalnie pana śledzę albo że mam zwyczaj przechadzać się w porcie o świcie. Chciałam pana zobaczyć przed odjazdem. Mam pilne sprawy do omówienia – odparła, zatrzymując się w dyskretnej odległości.

Moje zdziwienie sięgnęło zenitu. Anastasia Iuliano w porcie bez asysty? Ma do mnie sprawę, a więc wie o moim wyjeździe... Co jeszcze wie?

–Proszę bliżej... O co chodzi? Nie dysponuję czasem, statek zaraz odpływa.

Spojrzała znacząco na Raffaellę i rzekła:

–Czy możemy porozmawiać na osobności...

Na szczęście – i dzięki Bogu – zjawił się wikariusz Rivara. Zrobił wszystko, co miał do zrobienia na statku, i przyszedł się pożegnać.

–Wszystko gotowe, ojczyźnie. Dokumenty rejestracyjne są podpisane, kajuta przygotowana, bagaże rozpakowane. Admirał tylko czeka, żeby wypłynąć.

–Dziękuję, wierny drużynie. Co ma być, to będzie. Dbaj o moje sprawy jak zawsze i dbaj o nią – wskazałem na Raffaellę. Powierzałem ją opiece Rivary w przekonaniu, że mogę na niego liczyć.

Wikary uśmiechnął się nieśmiało.

–Możecie być spokojni, wszystko będzie dobrze. – Wyciągnął spod sutanny jakąś kopertę. – Przekazano mi to wczoraj w nocy z poleceniem, żeby oddać wam do rąk własnych, zanim wyjedziecie. List od ojca Piera Del Grandę.

\

Spojrzałem z ukosa na Anastasię i nadałem obojętny ton memu głosowi.

–Należy ci się podziękowanie za sprawne działania.

_ Przekazano mi również, że macie otworzyć kopertę dopiero po przybyciu na ziemię wicekrólestwa.

–Więc tak uczynię. – Jeszcze jedna koperta z tajemniczą zawartością oraz instrukcjami co do jej otwarcia. Czwarta z kolei...

–Uważajcie na siebie – rzekł wikary. – Mówię w imieniu wszystkich braci, którzy nie mogli przyjść was pożegnać.

Wiedziałem, że mówił prawdę, bo od kucharza po furtiana, od zarządcy po chudego dzwonnika – wszyscy dzielili z Rivarą smutek pożegnania. Kto sieje miłość, zbiera taki plon.

–Odejdź w pokoju. Dotąd wracałem bez szwanku ze wszystkich moich krucjat i tym razem będzie tak samo.

Rivara wziął delikatnie młodą D'Alemę za ramię i pociągnął za sobą. Gotowy do drogi powóz stał w pobliżu.

–Będę czekać – szepnęła Raffaella, podchodząc nieco bliżej, by nikt inny nas nie słyszał. – Będę czekać w Rzymie, aż przyjedziesz po mnie. Będę na ciebie czekać. Zawsze.

Jako że nie byliśmy sami, pocałowałem dziewczynę w czoło i powiedziałem do ucha:

–Wrócę latem, a wtedy nic nas już nie rozdzieli. – Uściskałem ją szybko ze wzruszeniem. Nigdy nie lubiłem pożegnań, ale to pożegnanie było inne, nie takie jak zwykle; zawierało obietnicę ponownego spotkania, wyjątkowego spotkania. Będę na nie czekać jak dziecko, cieszyć się nim z góry jak dorosły. Wikary i Raffaella weszli w mgłę i straciłem ich z oczu.

Odwróciłem się do Anastasii. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji; przypominała rzeźbę z marmuru. Czyżby nie poruszały jej pożegnania? Czego ode mnie chciała? Jeszcze jedna wielka tajemnica...

–Nie sądziłam, że będzie tylu odprowadzających... Szary świt, zimno, nietypowa pora. Wszystko, co sprzyja smutnym

pożegnaniom. – Anastasia miała cudowny akcent toskański i mówiła w sposób zdradzający znaczne wykształcenie.

–Mogłoby przyjść więcej, ale jestem dyskretny i nie lubię tłumów – zażartowałem.

–Wasza parafianka? – Anastasia zainteresowała się Raffaella.

–Przyjaciółka – poprawiłem.

–Widać, że do was przywiązana. Była bardzo serdeczna – skomentowała Anastasia.

Takie zainteresowanie Raffaella było nie na miejscu... A może coś zauważyła?

–Czy to źle?

–Skądże! Proszę mnie źle nie zrozumieć. To pożegnanie dobrze o was świadczy.

Długo patrzyłem na nią w milczeniu, zanim spytałem:

–Ciekaw jestem, czego panna Iuliano szuka w porcie o tak dziwnej porze?

–Proszę mówić do mnie Anastasia – odparła natychmiast. – Właściwie sama nie wiem, nie jestem pewna...

–Pomogę pani. Biorąc pod uwagę nazwisko, pochodzenie i znajomości, stwierdzam, że to, czego pani szuka, dotyczy spraw politycznych. Jeśli tak, traci pani tylko swój cenny czas.

–Obraża mnie pan – odparła powściągliwie.

Jej wzrok stwardniał, początkowy nastrój zaczął pryskać.

–Przecież jest pani siostrzenicą kardynała Iuliana. Mam uwierzyć, że przyszła pani pożegnać mnie jak przyjaciela w taką koszmarną pogodę? Niemożliwe.

–Naprawdę sądzi pan, że załatwiam tu jakieś sprawy polityczne? – rozgniewana Anastasia była jeszcze piękniejsza; nie mogłem tego nie widzieć.

–A co pani by pomyślała na moim miejscu? – spytałem. – Bo ja myślę, że chodzi o przekupstwo, jakiś szlachcic chce zaskarbić sobie względy inkwizycji i wysyła w tym celu piękną damę.

–Jest pan w błędzie. Nie po to... – zaczęła się tłumaczyć, ale przerwałem.

–Nie, to pani chce mnie wprowadzić w błąd. Zjawia się pani jak duch we mgle i mam nic nie podejrzewać? Znam wszystkie oblicza przekupstwa, wiem, kiedy puka do mych drzwi... Czyżby pani nie wiedziała, że świat kręci się wokół konspiracji, a spisek jest jego motorem?

Anastasia spuściła wzrok.

–Jest w tym trochę racji. Ale nie mogłam wybrać innego momentu na spotkanie. Proszę mi wybaczyć. – Dama w bieli podniosła oczy i spojrzała mi prosto w twarz. – Nie wiedziałam, że często miewa pan propozycje przekupstwa...

–Jestem sędzią. Dużo ludzi chce wykorzystać inkwizycję przeciwko swym wrogom. Dlatego nie ufam nieznanym.

–Ale ja nie zajmuję się polityką i nie po to tu przyszłam. Zapewniam pana.

–Wobec tego proszę wybaczyć obraźliwe słowa i przykrość, jaką mogły wyrządzić – powiedziałem przyjaźnie. – Ale nadal nie pojmuję powodów pani wizyty.

–No cóż... Nic dziwnego, że często spotykam się z podejrzeniami, jeśli zważyć na to, kim jestem.

–Przykro mi... Jeszcze raz przepraszam.

–Na pewno pan wie, że Vincenzo Iuliano nie jest moim wujkiem, lecz ojcem. Wszyscy to wiedzą, tylko udają zaskoczonych. – Musiałem przyznać w duchu, że była odważna. Mówiła dalej, nie czekając na odpowiedź: – Zdaje pan sobie sprawę, że mam bliskie powiązania ze światem władzy, więc łatwiej mnie pan zrozumie. Jako córka kardynała Iuliana żyję i oddycham polityką, obracam się wśród osób niebudzących mego zaufania, które ojciec nazywa swymi przyjaciółmi. Wychowałam się wśród paktów i konwenansów. Sama tego nie wybrałam. Urodziłam się w niewłaściwym domu. Marzę, aby nie musieć tłumaczyć za każdym razem, gdy próbuję się do kogoś zbliżyć, że nie mam złych intencji. Nie chcę czekać

bezczyinnie, aż wybiorą dla mnie męża, żeby przypieczętować kolejny pakt polityczno-rodzinny.

–Żaden szlachcic europejski nie zawaha się przed poślubieniem pani. To chyba dobra przyszłość? Będzie pani wieść życie usłane różami...

–To ma być dobra przyszłość? Niedobrze mi się robi na samą myśl – odparła, a gwałtowny błysk w oczach potwierdził szczerłość tych słów.

–Niech pani nie narzeka – powiedziałem oschle i uśmiechnąłem się niemal bezczelnie. – Nie brak ludzi, którym wiedzie się dużo gorzej. Żywią się odpadkami, resztkami z pańskich stołów, muszą się dobrze natrudzić, żeby przeżyć choć jeden dzień. To jest prawdziwe nieszczęście! Pani ma uprzywilejowaną pozycję, lepiej nie skarżyć się na los.

–Dlaczego mówi pan do mnie w taki sposób? – Anastasia wydawała się rozdrażniona.

–Zechce pani wysłuchać odpowiedzi?

–Proszę bardzo! – rzekła dumnie.

–Bo uważam panią za kapryśną pannę, która lubi filozofować we mgle, a nigdy nie musiała pracować w pocie czoła. Mam nadzieję, że moja szczerłość nie zabrzmiała obraźliwie.,

–Nie docenia mnie pan, ekscelencjo DeGrasso – odparła Anastasia jeszcze bardziej urażona.

–Niewykluczone, że się mylę. W takim razie chętnie odwołam, co powiedziałem.

–Znamy się od niedawna, a już kieruje pan do mnie zatrute słowa, graniczące z brakiem szacunku.

–Ponownie proszę o wybaczenie Anastasio, ale muszę przyznać, że ta rozmowa mnie dziwi. Pani mnie dziwi. – Było w niej coś takiego, sam nie wiem co, że miałem ochotę prowadzić dalej tę rozmowę. Na pewno bym nie odmówił, gdyby wcześniej poprosiła mnie o spotkanie.

–Jak to? – spytała, unosząc brwi.

–Jest pani interesującą młodą damą. I to nie tylko ze

sprowadza...

–Chciałam pana zobaczyć. Tylko tyle. Nie lubi pan rozmawiać z kobietami?

–Nie o to chodzi. – Rozglądałem się dookoła, próbując przebić wzrokiem mgłę. – Ciekawe, kto pana tu przyprowadził? Ojciec? Od niego dowiedziała się pani, że wyjeżdżam? Mało osób o tym wie, tym bardziej jestem zdziwiony, że pani należy do wtajemniczonych.

–Nikt mnie nie przyprowadził, przyszedłam sama. Bez straży ojcowskiej – odparła Anastasia zdawkowo. Było jasne, że albo wie od ojca, albo jest dobrym szpiegiem...

–Jest pani nie tylko kapryśna, ale także zuchwała – dorzuciłem z uśmiechem.

–Przyjmuję to za komplement w nadziei, że nie ma pan o mnie złego zdania – skwitowała młoda dama, odzyskując dobry humor, jaki miała na początku spotkania.

–Proszę posłuchać, Anastasio. W pani spojrzeniu jest coś takiego, co nie do końca rozumiem. Pani oczy ukrywają coś, co chciałaby mi pani wyznać. Czy bardzo się mylę?

–Jest pan spostrzegawczy i uprzejmy wobec dam, dużo bardziej niż inni przedstawiciele włoskiej szlachty.

–Więc proszę zamykać oczy, jeśli chce pani coś przede mną ukryć. Szmaragdy, choć błyszczą pięknie, są przejrzyste dla dobrego obserwatora.

Uśmiechnęła się.

–W kontaktach z mężczyznami jestem zawsze panią sytuacji. Mam świadomość swej urody i umiem inteligentnie z niej korzystać. Jednak wobec pana nie chcę stosować tej gry. Chcę być sobą.

–Znaczy, że dobrze czytam w pani oczach – rzekłem. – Po co pani przyszła, Anastasio...?

Dziewczyna wyjęła z torebki list i wręczyła mi go drżącą dłonią.

–Co za tym wszystkim się kryje? – powiedziałem zdu-

miony, przyjmując list. – Wczoraj spotkałem panią po raz pierwszy w życiu, a dziś ta rozmowa i zagadkowy list każą mi myśleć, że to nie było przypadkowe spotkanie.

–Może pan myśleć, co pan chce, ekscelencjo DeGrasso, ale proszę obiecać, że przeczyta pan ten list i uwierzy w to, co napisałam – odpowiedziała Anastasia. Jej oczy i barwa głosu zdradzały skrywane zmartwienie.

–Obiecuję, że przeczytam i uwierzę. – Patrzyłem długo w jej oczy; oddychała szybko, zbyt wzruszona jak na kogoś, kto przyszedł pożegnać nieznanego. Tak zachowuje się zakochana kobieta, pomyślałem i postanowiłem wyjaśnić to bez ogródek. – Pani zachowanie jest mylące, Anastasio... Chyba nie chce mnie pani uwieść...? – Muszę przyznać, że gdyby chciała, zawojowałaby mnie bez większego wysiłku, uroda była jej najlepszą bronią.

Córka kardynała nie odpowiedziała. W każdym razie nie tak szybko, jak by wypadało, gdyby miała zupełnie czyste sumienie.

–Proszę przeczytać list – szepnęła. – Coś panu teraz powiem, ale niech pan nie sądzi, że zwariowałam. Choć się prawie nie znamy, podziwiam pana i w jakimś sensie zależy mi na panu. Boję się, że może spotkać pana coś złego – dodała tajemniczo – a za nic w świecie tego bym nie chciała. Dlatego uprzedzam. I błagam, proszę mi zaufać.

Delikatnie umieściłem kopertę pod sutanną obok listu od ojca Piera, który przed chwilą wręczył mi wikary Rivara.

–Dobrze, Anastasio – powiedziałem.

Z mgły wynurzył się młody hiszpański żołnierz i spokojnie poinformował, że statek odpływa i muszę jak najszybciej znaleźć się na pokładzie. Spojrzałem na Anastasię świadom, że nasz czas dobiegł końca. Nie wiedziałem, czy na pożegnanie pocałować ją zgodnie z protokołem w rękę, czy w policzek, na znak zaufania i dla przypieczętowania naszej konfidencjonalnej rozmowy. Gdy tak się zastanawiałem, ona zrobiła pierwszy krok. Po prostu wzięła mnie za ramiona i złożyła delikatny pocałunek na policzku. Od jej zapachu zakręciło mi się w głowie

i przestałem myśleć, a mięśnie delikatnej skóry otumanilo do reszty.

–Szczęść Boże! – wyszeptała.

–Dziękuję, że przyszłaś, Anastasio. Teraz wiem, że zrobiłaś to ze szczerego serca. Zostań z Bogiem.

Dama w białej sukni zniknęła we mgle bez śladu, jak zjawą. Była dojrzała od Raffaelli co

najmniej o pięć lat. Tak samo jak Raffaella wtargnęła w moje życie niczym strzała, zostawiając mi tylko zdolność do analizowania rany, bez żadnych szans na powstrzymanie krwotoku wrażeń, jaki spowodowała.

Wypłynęliśmy na pełnych żaglach w błękitną toń Morza Śródziemnego. Galeonem bujało tak mocno, że wkrótce poczułem mdłości. Choć spędziłem już w życiu wiele godzin na otwartym morzu i z optymizmem podjąłem się tej podróży, to jednak teraz trudno mi było przyzwycząić się do nieustannego kołysania. Próbowałem o tym nie myśleć, ale szybko zmogły mnie mdłości i zmęczenie, tak że po trzech godzinach podróży jedyną ulgę dawało mi przytulanie się do poduszki, żeby powstrzymać wymioty, które żółcią podchodziły mi wciąż do gardła. Nie da się ukryć, że byłem szczurem lądowym, a nie wilkiem morskim.

Z wielkim trudem wyszperałem w jednym z kufrów butelkę grappy, prezent od Tommasa d'Alemy. Wróciłem do łóżka, o dziwo nie przewracając się. Ta butelka była moją ostatnią deską ratunku, lekarstwem na nękającą mnie chorobę. Piłem sporymi łykami i czekałem, aż alkohol spłynie żarem do żołądka jak lawa podczas wybuchu, wyciskając mi łzy z oczu. Pokładałem duże nadzieje w tym lekarstwie, ale ono tylko pogorszyło mój stan.

W dziewiątej godzinie podróży młody podoficer wszedł do mojej kajuty po długim i natarczywym, bezskutecznym pukaniu

196

do drzwi. Leżałem w łóżku żółty na twarzy, wycieńczony, rozsiewając dookoła zapach alkoholu wystarczająco silny, by wziąć mnie za nałogowego pijaka. Próbowałem wstać, ale nie mogłem. Wymiociny obok łóżka stanowiły uspokajającą odpowiedź na nieme pytanie podoficera. Inkwizytor był groźnym człowiekiem, ale tylko na lądzie...

Obudziłem się w dużej ładowni bez ubrania, owinięty kocami. Jakiś człowiek podsuwał mi pod nos flakonik z solami. Uśmiechał się miło. Obok stał żołnierz i podoficer, który mnie uratował.

–Lepiej się czujecie? – spytał medyk. Z trudem zamrugałem oczami.

–Co się dzieje? – jęknąłem. Medyk zmarszczył czoło.

–Lepiej się czujecie? – powtórzył. Powoli wracałem do świata żywych.

–Chyba tak... – odbąknąłem kiepsko-po hiszpańsku. – Co mi się przytrafiło?

–To samo co wszystkim. Choroba morska. To normalne.

–Gdzie jestem? – omiotłem wzrokiem pomieszczenie.

–W ładowni „Santa Elena”. Tutaj mniej rzuca. Musiałem was rozebrać, bo wszystko było pobrudzone wymiocinami. Proszę powiedzieć, gdzie jest czysta bielizna, to kogoś po nią poślę, jeśli można. Radziłbym włożyć czyste ubranie, bo choć okryłem was kocami, łatwo się przeziębć przy takim osłabieniu.

–Oczywiście – odpowiedziałem. – Ale czuję się już lepiej i sam pójde się przebrać do kajuty.

Podoficer dobrze zrobił, przenosząc mnie z kajuty do tego pomieszczenia, poniżej linii wody.

–Proszę odpoczywać. Wróćcie do kajuty, jak odzyskacie siły – powiedział medyk.

Uśmiechnąłem się z zażenowaniem i nie wiedziałem, co zrobić ani co powiedzieć, ale medyk pospieszył mi z pomocą. – Proszę się nie martwić, to się często zdarza. Wielu ludzi cierpi na morzu na taką przypadłość.

Czasem nawet wytrawni marynarze – skłamał. – Zaraz wam przyniosą kawałek chleba. Trzeba mieć coś w żołądku, to soki trawienne się uspokoją.

Widząc mnie w lepszym stanie, medyk wrócił do swych zwykłych obowiązków, a ja zostałem w towarzystwie podoficera i żołnierza. Na odchodnym obiecał wrócić za godzinę, żeby sprawdzić, jak się czuję. Ciszę przerwał podoficer, ostrożnie dobierając słowa:

–Myślałem, że pan umiera.

–A ja myślałem, że już nie żyję. Nigdy więcej nie wsiądę na statek...

–To nie wasza wina, ekscelencjo. Fatalna dziś pogoda. Mamy wiatr od bakburty i dużą falę. Nikt nie czuje się dobrze w takich warunkach.

–Jak się pan nazywa? – spytałem, siadając na zaimprovizowanym łóżu, na którym mnie położono. Była to duża skrzynia z drewna cedrowego.

–Llosa, ekscelencjo. Kapral Llosa. – przedstawił się młody marynarz.

–A imię? – zapytałem, żeby rozładować trochę atmosferę, bo był bardzo sztywny.

–Andreu.

–Andreu? Pierwsze słyszę.

–Jestem Katalończykiem, ekscelencjo. Tak na mnie wołają w domu.

–Ile masz lat, Andreu?

–Siedemnaście, ekscelencjo.

–Całe życie jeszcze przed tobą... Czy mogę cię o coś poprosić?

–Do usług – odpowiedział z gorliwością.

–Przysuń mi chleb i powiedz admirałowi, że zajrzę do niego, jak nabiorę sił.

–Sam chciał was zaprosić dzisiaj na kolację, i po to przyszedłem rano do waszej kajuty. Nie wiedział, że się rozchorowaliście. Ale możecie jeszcze iść.

–Rano? To która teraz godzina?

–Szósta. Zaczyna się zmierzchać. Admirał zarządził kolację na ósmą. Mogę wam towarzyszyć, jeśli chcecie.

Nie przypuszczałem, że spędziłem prawie cały dzień w stanie nieświadomości, szarpany mdłościami. Zresztą niewiele zapamiętałem z tych pierwszych godzin na pokładzie.

–Powiem wam na pociechę – dodał Andreu – że w mesie oficerskiej kołysze mniej niż w waszej kajucie.

–Myślę, że dam radę pójść. Powiedz admirałowi, że będę o ósmej. Zobaczymy się na kolacji zgodnie z planem.

–Zaraz mu to przekażę, ekscelencjo. Ale nie powinniście jeszcze wstawać, odpoczynek dobrze wam zrobi.

–Dobrze, dziękuję za wszystko.

W chwilę po wyjściu Hiszpanów dopadło mnie wielkie zmęczenie i szybko zasnąłem. Ładownia była brudna, ale wyjątkowo przytulna.

Po przebudzeniu znów ujrzałem jakąś postać. Tym razem nie lekarza. Z trudem stłumiłem w piersi głuchy krzyk, bo widok mroził krew w żyłach. Nieduży mężczyzna o silnie zniekształconej twarzy stał w nogach mojego legowiska. Przyglądał mi się uważnie i w milczeniu. Nie wiem, ile czasu tak stał, ale na pewno obserwował mnie od dłuższej chwili.

–Nie chciałem wystraszyć Waszej Ekscelencji – powiedział po włosku.

Natychmiast usiadłem na przykrytej kapami skrzyni, służącej mi za łożo, i poszukałem wzrokiem żołnierza. Był na miejscu. A więc wszystko w porządku.

–Nie zostaliśmy sobie przedstawieni – ciągnął osobnik w kapturze. – Gdy dowiedziałem się, że jesteście w ładowni, postanowiłem złożyć wam wizytę, zanim pójdziemy na kolację.

Z pewnością nie był to najlepszy moment ani miejsce na

dokonanie prezentacji, ale cóż było robić. Podniosłem się, żeby należycie przywitać gościa. Serce wciąż kołatało mi niespokojnie.

–Nazywam się Giulio Battista Evola, ekscelencjo.

–Jesteście z południa? – zapytałem tylko przez grzeczność, bo jego akcent wskazywał na to nieomylnie.

–Jestem Neapolitańczykiem – potwierdził. – Pochodzę z Castellammare di Stabia.

–Bardzo mi miło. Ja nazywam się Angelo Demetrio DeGrasso – powiedziałem z uśmiechem – i jestem Inkwizytorem Generalnym Ligurii. A wy? Czym się zajmujecie?

–Jestem... waszym notariuszem – oznajmił. – Nie miałem okazji przedstawić się wam na nabrzeżu, dlatego czynię to teraz.

Patrzyłem na niego w zamyśleniu. Gdzieś już słyszałem to nazwisko.

–Czy przypadkiem nie spotkaliśmy się wcześniej?

–Nie sędzę. Choć nie wykluczam, że moje nazwisko może być znane w rzymskich kuluarach, bo zyskałem swoimi pracami pewną renomę w Watykanie i w Królestwie Neapolu.

–Czym się zajmujecie?

–Jestem balsamistą.

–Rzeczywiście, słyszałem o was w Watykanie – skojarzyłem od razu nazwisko z zawodem.

Kościół zakazał balsamowania zwłok, ale dostojnicy kościelni i potomkowie arystokratycznych rodów wciąż byli przywiązani do tego rytuału i bardzo dobrze płacili. Praca balsamisty polegała na tym, by zachować zwłoki w dobrym stanie na czas uroczystości pogrzebowych, które trwały tygodniami. Evola musiał więc doskonale znać anatomię człowieka i prastare sekrety swego niemal heretyckiego fachu, wykonywanego za milczącą zgodą umarłych i przy cichej aprobacie możnych tego świata.

–Zostawmy to – kontynuował Evola. – Przyszedłem tu, by oddać się do waszej dyspozycji.

–Znacie szczegóły misji? – spytałem oschle, bo jakoś ciężko było mi się przekonać do tego nieznanego.

–Nie.

–Kto wam zlecił to zadanie?

–Sam kardynał Iuliano.

Evola zdjął kaptur, odsłaniając całą twarz. Nawet w półmroku wyglądała okropnie i razila bestialskim okrucieństwem. Nie mogłem oderwać od niej wzroku, nikt by nie mógł. Neapolitańczyk nie miał jednej brwi, lewe oko przesłaniała opaska, a skóra prawie połowy twarzy tworzyła groteskowe fałdy i zmarszczki. Wyglądał jak odrażający potwór, a nie syn Boży.

–Wiem, że trudno przyzwyczaić się do mego wyglądu – skomentował moje zaskoczenie.

–Przepraszam, nie chciałem was obrazić – zawstydzilem się i natychmiast odwróciłem wzrok.

–Nie musicie się usprawiedliwiać. To nie wasza wina. Dobrze wiem, że moje oblicze budzi przerażenie i odrazę u każdego patrzącego. /

Kusiło mnie zapytać, co mu się stało, ale powstrzymałem niezdrową ciekawość i nic nie powiedziałem. Sam z siebie udzielił mi krótkiej informacji.

–To dzieło Boże. Tylko Bóg jeden wie, dlaczego tak mnie naznaczył i dlaczego muszę tłumaczyć się ze swego wyglądu za każdym razem, gdy odsłaniam twarz. Ale to nie powinno mieć wpływu na naszą współpracę. Zjecie razem z nami kolację?

–Tak, całkiem już wydobrzałem.

–Dziś rano zacząłem wpisywać do księgi pierwsze wydarzenia z naszej misji. Zamierzam wszystko notować, nie tylko sprawy związane bezpośrednio z waszym urzędem, ale również codzienne zajścia podróży. Taki mam nakaz od Świętego Oficjum.

–Nie sądzę, bym miał kiedykolwiek korzystać z pańskich usług – podkreśliłem z naciskiem.

Chciałem sprawdzić, ile wie o naszej misji.

–Jesteście tego pewni? Podniosłem głowę zaskoczony.

–Słucham?

–Pytam, czy jesteście pewni, że nie będę wam potrzebny w czasie podróży – powtórzył zuchwale.

–Jestem pewny.

Evola przyjął to z takim uśmiechem, jakby przyłapał mnie na gorącym uczynku. Teraz było jasne, że skłamał, mówiąc, iż nie zna tajników misji.

–A zalakowane koperty? Czyż nie powinienem być obecny przy otwieraniu każdej z nich, ekscelencjo?

Przyglądałem mu się w milczeniu. Jego pytania były tylko pułapką, żeby mnie wypróbować. Zresztą moje odpowiedzi także. Zmierzyliśmy siły i nie ulegało wątpliwości, że nie przypadliśmy sobie do gustu.

–Wydawało mi się, że nic nie wiecie o misji... Kto wam powiedział o pieczęciach? – spytałem cicho.

–Superior Generalny. Kardynał Iuliano.

–W porządku, bracie Evola, chciałem tylko sprawdzić, czy rzeczywiście przysłał was Iuliano. Jasne, że będę wam potrzebować przy otwieraniu kopert – starałem się nadać głosowi taki ton, żeby brzmiał przekonująco dla notariusza.

–Dobrze, będę czekać na wezwanie. Nie zabieram wam więcej czasu, zobaczymy się przy kolacji – powiedział Evola, uznawszy rozmowę za skończoną, i oddalił się w kierunku drabinki prowadzącej na górę, do kajut. Jednak w połowie drogi przystanął, odwrócił się na pięcie i mierząc mnie z tej odległości swym jedynym okiem, spytał złośliwie: – Czy waszym zdaniem powinienem zaznaczyć w księdze, iż usiłowaliście zataić przede mną istnienie zalakowanych kopert?

Były to słowa na granicy braku szacunku, ale uświadomiły mi wyraźnie to, co już podejrzewałem. Evola był niebezpiecznym szpiclem inkwizycji. Nic nie odpowiedziałem, zresztą on

nie oczekiwał odpowiedzi, gdyż ledwo skończył mówić, wspiął się na drabinkę. Posłałem mu tylko nieprzychylne spojrzenie, równie znaczące jak jego insynuacja.

Pod koniec tego długiego pierwszego dnia podróży, który tak straszliwie zapisał się w mej pamięci, mogłem wreszcie bez większych przeszkód fizycznych uczestniczyć w kolacji wydanej przez admirała Armady i kapitana „Santa Eleny”. Kiedy zaszedłem do kajuty, żeby się umyć i przebrać, stwierdziłem z niepokojem, że nie wiem, co się stało z listami Anastasii i ojca Piera. Powinny być w kieszeni habitu; muszę zapytać doktora, gdzie zaniósł moje poplamione ubranie i czy wyjął listy. Martwiła mnie myśl, że mogłem je zgubić.

Wszedłem do mesy oficerskiej w towarzystwie medyka pokładowego, który chwilę przedtem złożył mi wizytę w kajucie, dotrzymując danego słowa. Na nasz widok wszyscy obecni wstali i admirał pierwszy zabrał głos.

– Witamy Waszą Ekszelencję. Cieszymy się, widząc was w lepszym stanie – powiedział grzmiącym głosem.

Leon Calvente miał na sobie nieskazitelny mundur z jedwabiu, przetykany złotą nitką, z dużymi guzikami z brązu. Biały aksamitny kołnierz, ozdobnie haftowany, ciasno opinał mu szyję, z której zwisał gruby złoty łańcuch zakończony ciężkim medalionem. Dystyngowanym gestem ręki zaprosił, żebym zajął miejsce, a kiedy to uczyniłem, osobiście dokonał prezentacji pozostałych biesiadników.

– Po waszej prawej stronie znajduje się kapitan hiszpańskiej piechoty don Guillermo Pablo Martinez – oświadczył. – Będzie was chronił na lądzie wraz ze swym oddziałem. Dla niego to nie pierwszozna, bo wykonywał już podobne zadania na zlecenie hiszpańskiej inkwizycji.

Kapitan Martinez uśmiechnął się szeroko, okazując tym zarówno gościnność, jak i poślizgnięcie od tytoniu zęby. On też nosił galowy mundur. Admirał kontynuował:

–Oto ojciec Francisco Valerón Velasco, któremu jestem bardzo wdzięczny, że zgodził się wziąć udział w wyprawie. To nasz kapelan. Zadbaj o nasze dusze i pomoże w wypełnianiu religijnych obowiązków w trakcie długiego rejsu. Obok niego nasz medyk Ismael Alvarez Etxeberria; jego chyba nie muszę wam przedstawiać. Reszta obecnych jest wam znana.

–Niestety lub na szczęście zawarliśmy już wcześniej znajomość – uśmiechnąłem się do medyka. To on doglądał mnie w chorobie z wprawą i cierpliwością. Obok niego siedział Evola i jego miał na myśli admirał, mówiąc o „reszcie obecnych”. Zgodnie z logiką nie musiał mi przedstawiać mojego notariusza, chociaż dla mnie był on takim samym nieznanym jak wszyscy pozostali.

Zanim rozpoczęliśmy kolację, admirał powiedział mi parę rzeczy o statku i samej żegludze, bo wiedział, że jako człowiek niemający styczności z morzem, jestem w tych sprawach analfabetą.

–Ekscelencjo, chciałbym podać dla waszego spokoju parę informacji o tym statku i samym rejsie.

–Będę bardzo wdzięczny, panie admirale – odpowiedziałem. – Nie ukrywam, że mam sporo wątpliwości.

Calvente zareagował uśmiechem godnym oficera korony i zaczął wyjaśniać:

–Przed wszystkim pragnę zapewnić, że to bardzo solidny galeon. „Santa Elena” jest jednym z najbezpieczniejszych i najnowocześniejszych statków Armady Hiszpańskiej. We mgle nie mogliście tego zobaczyć, ale na dziobie ma herb dawnego Królestwa Katalońsko-Aragońskiego i został ochrzczony...

–Przepraszam, panie admirale, ale jakie to ma znaczenie? – przerwałem, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

–Ten herb jest tam po to, by uświetnić statek, nie po to, by tonąć razem z nim. Tym samym chcę powiedzieć, że choćby nie wiem jaka fala trzęsła kadłubem i żaglami, nie pójdziemy na dno. Ale huśtania i kłopotów, jakie was dziś dopadły, nie da się uniknąć.

–To było okropne, daję słowo – przyznałem. Admirał uśmiechnął się.

–To jeszcze nic w porównaniu z naprawdę wzburzonym morzem. Da Bóg, że do tego nie dojdzie, ale bywają takie sytuacje, że to dzisiejsze bujanie wyda się wam dziecinną igraszką.

–Mam nadzieję, że Bóg was wysłucha i do tego nie dopuści! – zawołał kapitan piechoty Martinez, dzieląc wraz ze mną troskę o solidność statku.

Admirał kontynuował.

–Dziś mieliśmy dobre wiatry i płynęliśmy ze średnią prędkością ośmiu węzłów. Za siedem, osiem dni będziemy na Wyspach Kanaryjskich, gdzie uzupełnimy prowiant i dołączymy do floty płynącej w kierunku Indii Zachodnich. Odtąd będziemy poruszać się wolniej...

–Jeszcze raz przepraszam, panie admirale, czy nie byłoby możliwe płynąć jak najszybciej? – Nie ukrywałem, że tęskno mi do stałego lądu.

–To niemożliwe, ekscelencjo. Musimy utworzyć formację razem z innymi statkami, żeby się chronić od piratów...

–Anglicy... – rzucił Martinez przez zęby.

–Właśnie – potwierdził Calvente. – Są bardziej niebezpieczni niż sztorm.

–Oportuniści – ocenił Martinez. – Lubią brudną wojnę. Zdejmują bandery i napadają na nasze statki. A potem przynoszą swej królowej skradzione skarby i w zamian za część łupu mogą liczyć na pobłażliwość i dobre stanowiska w polityce. Nienawidzę ich!

–Cały świat ich nienawidzi – potwierdził Calvente. – Nawet szczury zasługują na większy szacunek.

Wszyscy pokiwali głowami. Reputacja Anglików nie różniła się zbytnio od reputacji, którą mieli w tym środowisku niewierni muzułmanie. Admirał Leon Calvente mówił dalej:

–Na oceanie będziemy zabezpieczać flotyllę aż do Cartagena de las Indias. Przy sprzyjających wiatrach i prądach powinno nam to zająć dwadzieścia dni, licząc od opuszczenia Wysp Kanaryjskich. Rozdzielimy się na Morzu Karaibskim.

–To nieskończenie długo... – westchnąłem.

–Długo? Jeszcze nie skończyłem, ekscelencjo – zażartował Calvente, słysząc moje westchnienie. – Z Morza Karaibskiego będzie jakieś tysiąc trzysta pięćdziesiąt mil morskich do ujścia Parany, a potem dwieście dwadzieścia w górę rzeki, do celu naszej wyprawy: Asunción.

–Czy mógłby pan to przeliczyć na lądowe mile? – spytałem nieśmiało, gdyż trochę bałem się odpowiedzi i tego, co mnie jeszcze czeka.

–Proszę bardzo... To będzie... mniej więcej pięćset osiemdziesiąt.

–Tak dużo?... Ile czasu zajmie nam przepłynięcie tej trasy? Calvente zmarszczył czoło, rachując w pamięci.

–Do tego, co już powiedziałem, trzeba by dodać... jakieś dwadzieścia dni. Ale to tylko czyste kalkulacje, nie uwzględniają żadnych komplikacji.

Wyraz goryczy zagościł na mej twarzy. Miałem przed sobą prawie dwa miesiące na pokładzie, licząc tylko podróż w jedną stronę. Medyk pospieszył mi z pomocą.

–Proszę się nie martwić, Wasza Ekscelencjo – powiedział miłym tonem – będzie czym się zająć. Czas upłynie tak szybko, że sami się zdziwicie.

Wiedziałem, że wyprawa do Nowego Świata jest długa, ale trudno było mi przetrwać myśl, że spędzę na statku prawie całe pół roku. Mimowiednie podniosłem rękę i dotknąłem schowanego pod ubraniem medalika od Raffaelli, żeby dodał mi sił.

–Możliwe – odpowiedziałem. Chciałem się uśmiechnąć, ale zamiast uśmiechu wyszedł mi dziwny grymas. – Nie przypuszczałem, że Ziemia jest taka duża – próbowałem zażartować.

Calvente miał szczere spojrzenie i nie owijał niczego w bawełnę.

–Płyniemy na koniec świata – powiedział. – Wasza Ekscelencja nie wyobraża sobie nawet, jak to daleko. Przemierzyłem wiele mórz, ale jeszcze nie widziałem tak odległych i

niebezpiecznych lądów. To będzie ciężka wyprawa dla naszych ciał i naszego ducha.

–Ale jakie niezapomniane doświadczenie! – medyk próbował mnie pocieszyć.

–Och, z pewnością- odparłem ironicznie. – Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

–Czułem się w obowiązku poinformować was o tym, ekscelencjo – powiedział z uśmiechem admirał – a teraz przejdźmy do przyjemniejszych spraw. – Wstał, żeby wznieść toast. – Proponuję wypić za sukces naszej wyprawy.

Calvente podniósł kielich z winem i zaraził nas swoim dobrym humorem. Wszyscy poszliśmy w jego ślady; wszyscy z wyjątkiem Giulia Battisty Evoli. Neapolitańczyk nawet nie drgnął, siedział nieruchomo, jakby miał za nic dobre zwyczaje. Nikt nic nie powiedział, jednak parę spojrzeń pobiegło w jego stronę. Był to lekki dysonans, ale szybko minął i w miesie znów zagościła świąteczna atmosfera.

Wieczór toczył się dalej. Rozmowa zeszła na tematy ogólne, niezbyt pogłębione. Uczestnicy tej pierwszej kolacji wystrzegali się tylko rozmów o królu Hiszpanii Filipie II i o papieżu Klemensie VIII. Każdy bał się popełnić gafę w obecności inkwizytora.

Na kolację podano rybę manta, tak ościstą, że trudno było ją oczyścić i równie trudno przeżuć, ale smak miała wyśmienity. Tego wieczoru został zawarty swoisty pakt towarzyski, jako że

wszyscy mieliśmy ze sobą coś wspólnego: poważne stanowiska, godności i zaszczyty oraz zadanie do spełnienia, które nieodwracalnie połączyło nas na dłuższy czas.

Dwie rzeczy z tej przyjemnej kolacji utkwiły mi ością w gardle: medyk nie widział i nie wziął listów od mistrza Del Grandę i od Anastasii, a Evola przesiedział cały wieczór w milczeniu. Zniekształcona twarz dawała mu ponurą przewagę: nic z niej nie można było wyczytać. Tego wieczoru moje troski nie były anonimowe.

X

PIECZĘĆ ŚWIĘTEGO ŁUKASZA

27

Mślałem – i słusznie – że po prawie dziesięciu dniach żeglugi zatrzymamy się w porcie przynajmniej na tyle, by nasze twarze odzyskały swój naturalny kolor. Wiedziałem, że goni nas czas, ale jakże byłem zdziwiony, gdy okazało się, że spędzimy na lądzie tylko kilka godzin. Zastanawiałem się nawet, czy warto schodzić ze statku, bo to się może źle skończyć i po powrocie poczuję się jeszcze gorzej. Ale po długotrwałym, przymusowym zamknięciu na kołyszającym pokładzie nie zejść na ląd, który jest w zasięgu ręki, to tak, jakby postawić przed pijakiem kieliszek wódki i przykazać, żeby nie wypił. To było oczywiste. Nie mogłem się powstrzymać i wbrew głosowi rozsądku dziewiątego grudnia zszedłem na ląd, gdzie zostałem do ostatniej chwili, tak długo, jak to tylko było możliwe.

W czasie tego pierwszego postoju odnotowałem jako rzecz szczególną nagłą zmianę klimatu. W porcie wiał ciepły, wiosenny wiatr i nic nie przypominało surowej, mroźnej zimy, którą niedawno zostawiłem na północy Włoch. Rzadkie podmuchy wiatru były spokojne w przeciwieństwie do rytmu życia portowego, zdominowanego przez wrzawę i chaos, jak w każdym innym znanym mi porcie. Na szczęście admirał zaprosił mnie na czas tego krótkiego postoju do garnizonu morskiego, wspaniałej hiszpańsko-arabskiej fortecy u wejścia do portu, gdzie

209

było pod dostatkiem wina, świeżych winogron i moreli, przysmaków z dolnych osłodzić nawet największą i najstraszniejszągorycz.

Siedziałem na przestronnej galerii, wychodzącej na garnizonowe ogródki i popijałem z kielicha szczerze wypełnionego winem, obserwując krzątanicę oficerów, zwracając szczególną uwagę na pewną scenę. W jednym z ogródków admirał Calvente rozmawiał z miejscowym marynarzem; wyglądał na rozdrażnionego i zniecierpliwionego.

–Nie wszyscy cieszą się spokojem tego pięknego poranka – rzekłem do kaprala Llosy, który pełnił przy mnie straż, i wskazałem ruchem głowy na admirała Calvente.

–To normalna rzecz, zwłaszcza w tym porcie. – Młody kapral trzymał się w przepisowej odległości, co prawda nie tak dużej, żebym musiał krzyczeć, ale trudno było prowadzić rozmowę. zaproponowałem więc, ku jego zdziwieniu, żeby przysiadł się do mnie.

–Chodź tu – powiedziałem wesoło, wskazując na wplne krzesło – potrzebuję towarzystwa.

–Ależ, ekscelencjo, nie chciałbym nikomu uchybić, ani wam, ani moim przełożonym.

–Siadaj – nakazałem – i nie martw się o przełożonych. Ja się nimi zajmę. A teraz chcę, abyś siedział koło mnie.

Andreu uśmiechnął się delikatnie, choć trochę nerwowo, i nie spuszczał ze mnie oczu, usiadł obok.

–Dziękuję bardzo – wybąkał zawstydzony.

–Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. Gdybyś nie wyciągnął mnie wtedy z kajuty, teraz żywiłyby się mną ryby.

Wziąłem kawałek moreli i gryzłem powoli, nie przestając obserwować admirała i marynarza w ogrodzie. zaproponowałem Andreu szklanekę wina.

–Nie wiesz, o co im chodzi? – spytałem młodzieńca.

–Prowadzą negocjacje – odpowiedział oschle i zwięźle.

–Negocjacje...? A co takiego może negocjować admirał Armady?

–Miejsce na statku.

–Potrzebujemy więcej załogi? – spytałem ze zdziwieniem.

–Nie. To pasażer na gapę.

–Nielegalny pasażer...?! – pomyślałem głośno, a Andreu dokończył:

–Tacy jak on potrzebują dostać się do Nowego Świata, więc płacą sporą sumę i sprawa gotowa. Mają miejsce gdzieś pod pokładem.

–To wypada im taniej niż legalna podróż – uznałem.

–A właśnie, że nie, dużo drożej, choć bezpieczniej – kapral zaskoczył mnie tą odpowiedzią.

–Dlaczego miałyby być niebezpiecznie na statkach flotyli strzeżonej przez armaty galeonów?

–Wasza Ekscelencja nie rozumie. Pasażerowie na gapę to przeważnie zbiegowie poszukiwani przez prawo. Ich dalszy los zależy od tego, czy dowódca statku zapewni im wygodną i bezpieczną podróż.

Uśmiechałem się lekko pod nosem, słuchając kaprala, wreszcie nie wytrzymałem i parsknąłem. Andreu osłupiał.

–Widzę, że Hiszpanie mają wiele wspólnego z Włochami – powiedziałem rozweselony. – U nas też zawsze znajdzie się jakieś wyjście z tarapatów, byleby dobrze zapłacić. Ile bierze admirał od takiego pasażera?

–Może dziesięć... piętnaście... dwadzieścia, a czasem nawet trzydzieści dukatów lub równowartość tychże w złotych es-kudach genueńskich. Wszystko zależy od zdolności negocjacyjnych płacącego.

Znów się uśmiechnąłem.

–Tylko proszę nikomu nie mówić, ekscelencjo, że dowiedzieliście się tego ode mnie – zreflektował się młodzieniec. – Nie chciałbym mieć kłopotów z przełożonymi.

–Nie przejmuj się, umiem odczytać prawdziwe intencje. Twój sekret będzie dobrze strzeżony... A ty nie mów oficerom, że pozwoliłem ci się napić wina na służbie.

Kapral Llosa poczerwieniał i błyskawicznie odstawił na stół szklanę, którą niepewnie trzymał w ręku.

–Obiecuję.

Podniosłem się, bo zobaczyłem, że admirał dobija targu i odchodzi. Nielegalny pasażer wziął z ziemi swój worek z rzeczami, przewiesił go przez ramię. Był wysoki i korpulentny. Odwrócił się w moją stronę, jakby wiedział, że tu jestem i właśnie mnie szukał. Miał długie, jasne włosy, jasne wąsy i brodę. Zastanawiałem się, kogo mi przypomina... Wyglądał zupełnie jak... wiking. Przebiegł oczami galerię i zatrzymał wzrok na mnie.

Port Santa Cruz de Tenerife szybko zniknął na horyzoncie. Natomiast wiosenny klimat pozostał do końca dnia, zabarwiając niebo o zachodzie na wściekle czerwony kolor. Gasnąca kula słońca powoli zanurzała się w morzu na skraju wód, jakby wciągana mackami olbrzymiego kalmara. Znów wpłynęliśmy na głęboki ocean, tym razem wspólnie z niezwykłą formacją morską. Po wyjściu z portu nasz galeon zajął miejsce okrętu admiralskiego, a statek towarzyszący nam od Genui, „Catalina Nina”, pełnił funkcję kapitańską. Sześć innych galeonów płynęło na flankach flotylli złożonej z trzydziestu pięciu karaweli wiozących wszystko co potrzebne dla wicekrólestw Nowego Świata.

Był to pierwszy dzień, kiedy mogłem wreszcie wyjść na pokład, albowiem burzliwy okres przeprawy przez Morze Śródziemne spędziłem w zamknięciu, przemieszczając się jedynie między kajutą i ładownią. Przyjemna bryza rozwiewała mi włosy i targała sutanną, w głowie rodziły mi się refleksje wokół podróży. Myślałem o postępie technicznym umożliwiającym taką wyprawę i o tym, że humanizm ogłosił człowieka ośrodkiem stworzenia, o sztuce Renesansu, która filozofię humanizmu przekuła w cudowne rzeźby i ożywiła marmur, obdarzając go niezwykłym życiem, o lekcji płynącej dla czło-

wieka z dzieł malarskich, które przetwarzają ludzkie myśli w obrazy, o architekturze zdolnej wkrótce odtworzyć nawet wspaniałą świątynię Salomona. Człowiek udowodnił, że potrafi zrozumieć życie i zbliżyć się do Boga poprzez sztukę.

Monarchie korzystały z owoców nauki, budując olbrzymie okręty zdolne połączyć odległe światy dzięki zastosowaniu precyzyjnych instrumentów, które określały kurs według gwiazd, a coraz dokładniejsze mapy i plany nawigacyjne upraszczały zadania dawniej, zdawałoby się, niewykonalne. Osiągnięcia nauki, takie jak przedstawienie ciała ludzkiego w formie artystycznej, były owocem humanizmu, który stawiał sobie za cel poznanie człowieka, człowiek zaś, mimo tych wszystkich zmian, pozostawał wciąż taki sam. Próbowałem sobie wyobrazić, jaki będzie dziedzic tych dobrych fermentów za czterysta albo pięćset lat, ale nie mogłem zapomnieć, że gdy wynaleźliśmy garotę, użyliśmy jej przeciw bliźniemu naszemu i to samo uczyniliśmy z wynalazkiem szpady... Teraz na polach bitwy dominuje proch, a żołnierze giną setkami od straszliwych wybuchów. Postęp wiedzy przyczynił się jedynie do udoskonalenia sztuki wojennej. Jaki będzie człowiek tysiąclecia? Łagodny czy okrutny...? Bóg jeden wie. Byłem świadkiem tylu okropności, lamentów, wojen i cierpienia, że chciałbym wreszcie uwierzyć, iż człowiek jutra nauczy się na błędach przodków i złagodnieje. Skoro umiał udoskonalić marmur i płótno, może w jakimś momencie przyszłości zdoła wyciągnąć wnioski z historii.

Patrzyłem na flotyllę płynącą obok nas. I nagle poczułem swoją małość. Opadły wzniosłe refleksje, które jeszcze przed chwilą dawały poczucie siły, i pojąłem, że jestem jak ten pyłek

na wietrze. W zadziwieniu patrzyłem na ostentacyjny pokaz morskiej potęgi, podziwiałem doskonałość statków prujących fale na wzdętych żaglach i sprawność załóg, dzięki którym można było żeglować z takim majestatem. Uzmyslowiłem sobie zarazem, mimo swej ignorancji, że bezprzykładowy postęp w rozwoju skomplikowanych mechanizmów poruszających

statkiem i całej tej inżynierii służy większej wygodzie człowieka. A poza tym te okręty były naprawdę piękne.

Późnym wieczorem miałem spotkać się w kajucie z notariuszem i w jego obecności zdjąć pierwszą pieczęć. To fakt, że nauka ułatwia mi życie, pomyślałem, patrząc na szybko płynące statki, ale dokąd mnie prowadzi? Miałem nadzieję, że po otwarciu koperty zniknie niepewność towarzysząca tej podróży.

Evola obserwował mnie w półmroku ze skupieniem, ukrywając przed światłem swą monstrualną twarz. Brązowe oko patrzyło badawczo.

–Pora zerwać pierwszą pieczęć – rzuciłem w przestrzeń kajuty.

–Oczywiście – potwierdził notariusz. – Nadszedł ten dzień i ta godzina.

Skrzyżowaliśmy spojrzenia, ale żaden z nas się nie odezwał. Trzeba było postąpić zgodnie z protokołem. Ukląknę przy kufrze z oficjalnymi dokumentami i zacząłem w nich grzebać, dopóki nie trafiłem na gruby, skórzany pakunek z trzema zalakowanymi kopertami i instrukcjami Świętego Oficjum. Wstałem z kolan i usiadłem przy biurku. Neapolitańczyk nie spuszczał ze mnie wzroku. Odwiązałem sznurek. Wewnątrz były trzy identyczne koperty, różniące się tylko znakami na dużych ciemnoczerwonych pieczęciach. Odszukałem kopertę ze skrzydlatym wołem, symbolizującym świętego Łukasza.

–Znak świętego Łukasza – powiedziałem głośno.

–Zgadza się – odparł Evola.

Notariusz wyciągnął spod ubrania krzyż wielkości dłoni. Przytrzymał poprzeczne ramię i pociągnął za trzon; ukazał się ostry sztylet sprytnie ukryty w krzyżu, w sam raz do rozcinania laku. Podał mi, a ja wziąłem go, nie zadając żadnego pytania na temat tej dziwnej broni. Oddzieliłem pieczęć i wyciągnąłem kartkę z koperty. Zacząłem czytać na głos:

Zgodnie z przyjętymi postanowieniami wiadomość ta winna być odczytana dopiero na otwartym morzu, po opuszczeniu Wysp Kanaryjskich, w obecności oficjalnego notariusza wyprawy.

Przerwałem lekturę i spojrzałem na Neapolitańczyka. – Zgadza się – oświadczył. – Wszystkie warunki spełnione. Proszę kontynuować...

Rzym, 15 listopada roku Pańskiego 1597

List pierwszy z pieczęcią świętego Łukasza.

Dla zachowania integralnego sensu wyprawy i zwrócenia Waszej uwagi tylko na to, co w danej chwili istotne, instrukcje zostały podzielone na części, a całość będzie widoczna dopiero po przeczytaniu ostatniego listu.

Ekscelencjo DeGrasso, Inkwizytorze Generalny Ligur-gii, Wasza podróż do Nowego Świata ma dla Kościoła dwojakie znaczenie: z jednej strony potwierdzi nasze wpływy w najbardziej niegościnnych zakątkach Ziemi, gdzie winien stanąć krzyż na znak naszej jurysdykcji i potęgi wojskowej. Z drugiej – ma stanowić w wieku dogmatycznej rewolucji i rozłamów godną przestrożę dla naszych zamorskich wiernych. Wasze podstawowe zadanie polega na znalezieniu, pojmaniu i deportowaniu herezji pisanej, utworów wymierzonych przeciwko prawdziwej wierze przekazywanej nowo ewangelizowanym w oparciu o nasz katechizm oraz znalezieniu, pojmaniu i deportowaniu osób posiadających w sensie fizycznym i moralnym te utwory.

Radzę wykorzystać dni podróży i należycie przygotować się do realizacji tych celów. Pomogą Wam w tym postanowienia soboru trydenckiego. Trzeba dać zdecydowany odpór herezji i sprawiedliwie osądzić błędy.

Przygotujcie się duchowo do tego, co nadejdzie. Waszą jedyną bronią będzie właściwie stosowane prawo Boże. Zawsze wasz w Jezusie,

kardynał VINCENZO IULIANO Superior Generalny Świętego Oficjum

Podniosłem oczy znad kartki papieru.

–Niczego nie wyjaśnia – mruknąłem, patrząc na Evolę. – Nie wnosi nic nowego do zrozumienia naszej podróży.

–Rzeczywiście niewiele – przytaknął Evola, który prawdopodobnie też spodziewał się czegoś więcej po tym liście. – Zapewne kardynał Iuliano ma swoje racje...

–Może i ma, ale ja ich nie rozumiem – przerwałem mu przemówienie. – Zamiast domniemywać, poczekajmy na otwarciu trzeciej koperty i skończą się nasze wątpliwości.

Evola pogрузił się w milczeniu z opuszczoną głową, ale wkrótce ją podniósł, żeby zapytać:

–Gniewacie się na mnie, Ekscelencjo? – spytał.

–Powiedzmy, że nie widzę potrzeby rozmawiania z wami ponadto, co niezbędne. To wszystko, do czego zobowiązują mnie instrukcje Świętego Oficjum. – Nie ukrywałem, że osoba notariusza, który został mi narzucony, nie budzi mojej sympatii.

–Ja tylko wykonuję swoje obowiązki – oświadczył Evola, chowając dłonie w rękawach habitu – i zamierzam rozmawiać tylko o sprawach dotyczących naszej misji.

–Lektura zapieczętowanych listów jest początkiem i końcem naszej współpracy. Chyba jasno się wyraziłem. Nie zamierzam się dzielić refleksjami co do ich zawartości.

Evola wysłuchał uważnie i odparł urażony:

–Jest taki gatunek sędziów, którzy nie okazują, co myślą. Cechuje ich przezorność rządzących.

–Mylicie się, Evola. Gdybym miał tu swoich zaufanych ludzi, na pewno omawiałbym z nimi swoje przypuszczenia.

–To że jestem skrupulatny w pracy, jeszcze nie znaczy, że nie można mi zaufać.

–Już pierwszego dnia zagroziliście, że będziecie zapisywać wszystko, co robię, myślę i mówię.

Czyżby na tym polegała wasza praca?

–Obawiacie się, że moje zapiski was skompromitują?

–Nie, obawiam się tylko tego, że nie jesteście godni mego zaufania. Ja nie popełniam błędów i moje czyny nigdy nie są kompromitujące.

–To po co się tak przejmować...

–Jak to po co – przerwałem gwałtownie. – Co prawda nie ja was wybrałem jako notariusza, ale spodziewałem się innego zachowania. Współpracowałem z różnymi superiorami i współpraca układała się nam bez zastrzeżeń. Ale wy...

–Ekscelencjo... – tym razem on mi przerwał. – Nie ukrywam, że podejrzliwość jest cechą mojej osobowości. Postaram się nie dawać wam więcej powodów do rozdrażnienia.

Uśmiechnąłem się lekko i zmieniłem temat rozmowy.

–Co to za sztylet? – spytałem, zwracając mu fałszywy krzyżyk.

–Niezbędny na przedmieściach Neapolu. Również zaułki starego miasta są dość niebezpieczne dla człowieka tak niepo-każnej postury.

–Rozumiem...

Evola wsunął sztylet do środka i schował krzyż pod sutannę. Przyglądałem mu się przez chwilę.

–Musieliście dużo wycierpieć – zaryzykowałem stwierdzenie.

Notariusz podniósł na mnie oczy, a w jego spojrzeniu była męka czyścowa.

–Czy możecie sobie wyobrazić, jak żyje się z takim wyglądem?

–Nie – skłamałem.

–Ciekaw jestem, ilu wierzących, dumnych ze swej pobożności, nie znienawidziłoby Boga, mając moją twarz.

–Złorzeczycie Bogu?

–Nigdy. Choć czasem nienawidzę życia. Nienawidzę wszystkiego i wszystkich, którzy mnie nienawidzą. Nienawidzę kobiet, dzieci, starców... Tych gapiących się i tych, którzy nie odważają się na mnie spojrzeć. Odnajduję spokój tylko w mojej pracy i pośród...

–Pośród zmarłych...? – dokończyłem za niego.

–Zmarli o nic nie pytają i z niczego się nie wyśmiewają.

–Niedobrze jest mieć nienawiść w sercu... – powiedziałem, litując się nad nim.

–Nie jestem kaznodzieją – przerwał obrażony – i nie muszę mówić ani zachowywać się jak święty. Wykonuję swój zawód oraz rozkazy Kościoła. Reszta mnie nie dotyczy.

–Czuć w waszych słowach urazę.

–Wzrastałem pośród szyderstw. Wszyscy odwracali się na mój widok. Życie mnie nie rozpieszczało, nie znałem sukcesów ani laurów. Jestem taki, jakim ukształtował mnie ten świat. Jestem prawdziwy, tak jak prawdziwa jest nędza człowieka.

–Bardzo mi przykro! – zawołałem szczerze.

–Nie trzeba, zdążyłem się przyzwyczaić. Poradzę sobie nawet z waszym odrzuceniem.

Jego wygląd fizyczny budził we mnie litość, ale jednak nie czułem do niego zaufania. Postanowiłem to ukryć i osłodzić trochę nasze wzajemne stosunki, proponując mu pewien pakt, którego, oczywiście, nie zamierzałem respektować. Spojrzałem uważnie na Neapolitańczyka i powiedziałem pojednawczym tonem:

–Coś wam zaproponuję... – E/vola uśmiechnął się lekko, a ten uśmiech był mieszanką radości i złości. – Zgadzam się przekazywać wam moje uwagi na temat misji, tak jak to robię zazwyczaj z notariuszem w Genui. Potraktuję was jak współpracownika, a nie jak człowieka obcego, narzuconego przez władze, ale w zamian...

–Co w zamian? – odezwał się szybko z podniesioną głową.

–W zamian oczekuję, że będziecie zachowywać się jak notariusz w służbie inkwizytora. Chcę pracować z człowiekiem, a nie z biurokratą. Co wy na to...? Odnotujecie tę propozycję jako próbę korupcji z mojej strony?

–Nie... to słuszne, co mówicie.

–Mam nadzieję, że to porozumienie pomoże nam poprawić relacje, które nie miały najlepszego początku.

Evola podszedł do okienka kajuty, przez chwilę rozważał coś w milczeniu, po czym spytał, odwracając się w moją stronę:

–Jakie jest zdanie Waszej Ekscelencji o tym liście? Nabrałem do płuc powietrza, zanim odpowiedziałem.

–To wszystko jest bardzo dziwne. Choć przeczuwam, że szukamy czegoś szczególnego.

–Co macie na myśli?

–Nie wiem, nie umiem tego wyrazić... ale to coś ważnego, coś bardzo ważnego dla naszego Kościoła.

–Pisana herezja?

–Można by tak wywnioskować z listu, ale to jeszcze nie wszystko... Jestem pewien, że chodzi o coś więcej.

I nie myliłem się.

Jedyne oko Evoli zabłysło na moment w mrokach kajuty. Był to dziwny blask pełen konspiracyjnego żaru.

Po naszym nocnym zebraniu zszedłem na dół do kuchni, żeby poprosić kucharza o specjalną potrawę: gnocchi al basilico. Otyły Bask o okrągłej twarzy i krzaczastych brwiach z ochotą na to przystał. Widać było, że moja wizyta napęłnia go dumą, bo natychmiast zaczął wydawać polecenia, kazał zagotować wodę i ostentacyjnie podkreślał swoją rangę w kuchennej hierarchii. Sprawiało mu dużą satysfakcję, że sam Inkwizytor Generalny będzie spożywać jego dania. Nie mógł grubas wiedzieć, co go czeka. Przed dziesiątą jeden z kuchcików

narobił alarmu, który postawił wszystkich na nogi. Coś makabrycznego wydarzyło się w kuchni. Baskijski kucharz leżał w składzie mąki; ciężkie, bezwładne ciało nosiło ślady od ciosów sztyletem w plecy i było okaleczone. Bez oczu i bez języka.

W ten sposób otrzymaliśmy tej nocy okrutne przesłanie równie niezrozumiałe jak list. Czytelne tylko dla kogoś, kto umie rozszyfrować ponure znamiona śmierci. Wiadomość rozprzestrzeniła się wśród załogi jak malaria. Oficerowie widzieli w zbrodni złą wróżbę dla rejsu; podróż zaczynała być niebezpieczna. A co bardziej przesądni marynarze twierdzili, że śmierć jest jednym z pasażerów „Santa Elena”. Już nie była anonimowa.

XI

PIECZĘĆ ŚWIĘTEGO MATEUSZA

29

W nastroju ogólnego zniechęcenia, zaledwie piętnaście dni po brutalnym morderstwie stawiliśmy się na mszę wigilijną. Tuż przed północą wszyscy zgromadzili się na pierwszym poziomie pod pokładem, żeby wysłuchać pasterki, pierwszego z trzech nabożeństw bożonarodzeniowych. Ojciec Francisco Valerón Velasco odprawił stosowną liturgię, zgodnie z mszałem. Choć mówcą był charyzmatycznym, nie powiedział nic ponadto, co należało, żeby nas bardziej nie smucić, a trochę też i z obawy, że inkwizytor zwróci mu uwagę, jeśli nie będzie przestrzegać doktryny Rzymu. Absolutnie nic nie mogłem mu zarzucić, bo padre Valerón okazał się skrupulatnym wykonawcą postanowień papieża Klemensa, którego największą troską, odkąd zasiadł na Tronie Piotrowym, było zjednoczenie Kościoła: „Jedna Biblia – Wulgata, jedna liturgia – rzymskokatolicka”.

Po skończonej mszy wyszliśmy na pokład. Admiral Calvente zarządził salwę armatnią z rufy, a inne statki natychmiast się przyłączyły. Wspaniale oświetlona woda zamieniła się na moment w błyszczące lustro. Potem, już przy świetle księżyca, pozwolono załodze napić się alkoholu.

–Nigdy nie myślałem, że tak przyjemnie spędza się na tym statku święta Bożego Narodzenia, zwłaszcza po tym, co się stało z kucharzem – rzekłem, patrząc na wody wciąż roz-

221

iskrzone od strzałów. Moja dłoń powędrowała jak zwykle do ukochanego medalika rozgrzanego ciepłem ciała; dotykając go, czułem w jakiś sposób bliskość Raffaelli. Calvente nie dał się wciągnąć do rozmowy o tej dziwnej śmierci i ewentualnym mordercy. Zastanawiałem się, czy nie myślał przypadkiem

0 pasażerze na gapę.

–Tak, to bardzo piękne, ekscelencjo – odpowiedział. Piękna rozgwieżdżona noc, rześki powiew... marzenie każdego marynarza, kiedy jest na lądzie.

–Teraz widzę, że statek nie musi być powodem udręki – uśmiechnąłem się szeroko.

–Stajecie się marynarzem, ekscelencjo. Jeszcze trochę, a pokochacie ten statek.

–Oby Bóg was wysłuchał – odpowiedziałem uprzejmie na jego miłe słowa.

Calvente chciał mi nalać wódki, ale odmówiłem. Wiedząc, że istnieje zwyczaj popijania po mszy, przygotowałem sobie wcześniej buteleczkę grappy. To był napój w sam raz dla mojego gardła, odpowiedni na tak uroczystą okazję. Wyjąłem małą butelkę, napełniłem kielich i już mogłem przyłączyć się do toastu.

–Zdrowie! – zawołał Calvente, wznosząc swoją szklanę. – Wesółych świąt Bożego Narodzenia!

Powtórzyliśmy jeszcze parę razy ten toast pod rozgwieżdżonym firmamentem. W pewnym momencie Calvente powiedział:

–Pamiętam, że pytaliście mnie o Circulus aequinoctialis. Chcieliście wiedzieć, kiedy znajdziemy się w pobliżu, a ja żartowałem, że wszystko jest podporządkowane biurokracji.

–To dla mnie bardzo ważne, panie admirale. Czy już jesteśmy blisko?

Admirał przymknął oczy, wypił jeszcze jeden łyk wódki

I przystąpił do udzielania wyczerpującej odpowiedzi; nie potrzebowałem aż tylu informacji, ale słuchałem cierpliwie, bo admirał chciał się pochwalić swą wiedzą.

–Skoro płyniemy ze średnią szybkością sześciu węzłów – zastanawiał się głośno – i piętnaście dni temu opuściliśmy Teneryfę, to znaczy, że... zrobiliśmy już jakieś sześćset mil... To znaczy również, że niedawno przekroczyliśmy Tropicus cancri i jakkolwiek jeszcze nie jesteśmy na wodach działu, mogę was zapewnić, że to już całkiem blisko do Circulus.

–Świetnie. Prawdziwy z was znawca, panie admirale – podziękowałem mu za wyjaśnienia.

–Czy to ważna informacja? – zapytał admirał z nagłym zainteresowaniem.

–Tak sądzę.

–No to macie szczęście. Możecie wywiązać się jak należy z otrzymanego zadania. Teraz jest właściwy moment.

Dobiegła końca noc wigilijna, szykowałem się do zdjęcia drugiej pieczęci. Zaczynał się dzień Bożego Narodzenia obchodzony już w świątecznym nastroju. Przed wschodem słońca wzięliśmy udział w nabożeństwie jutrzni, a na koniec dnia – w uroczystej mszy. Po każdej mszy dźwięczały kieliszki z alkoholem... A ja sięgałem po swoją buteleczkę grappy.

30

Tej samej nocy po świątecznej kolacji notariusz punktualnie stawił się u mnie w kajucie. Dał wyraz swemu zdziwieniu, ledwo zamknął drzwi.

–Wzywaliście mnie, ekscelencjo?

–Tak – odpowiedziałem zza biurka.

Evola zauważył na stole skórzane zawiniątko z zalakowanymi kopertami.

–Widzę, że zamierzacie otworzyć drugą kopertę – stwierdził, patrząc w tym kierunku.

–Tak. Dlatego was wezwałem. To będzie doskonale zwień-

223

czenie tych szczególnych świąt Bożego Narodzenia, nie sądzicie?

–Oczywiście, choć sam fakt spędzania ich na morzu jest dla mnie wyjątkowo szczególny. Jesteście pewni, że nadszedł właściwy moment? – Evola patrzył podejrzliwie.

–Rozmawiałem z admirałem na ten temat i uzyskałem jasną odpowiedź. Warunek złamania drugiej pieczęci jest spełniony.

–To bardzo dobrze – oznajmił Evola.

Wzmianka o admirale podziałała nań uspokajająco. W dalszym ciągu nie ufał moim słowom i nie omieszkałem mu o tym powiedzieć:

–Widzę, że moje słowo się dla was nie liczy. Evola uśmiechnął się.

–Ani wy, ekscelencjo, ani ja nie znamy się dostatecznie na kartografii, żeby stwierdzić z całą pewnością, że znajdujemy się w miejscu zgodnym z instrukcjami. Dobrze zrobiliście, zwracając się z tym pytaniem do admirała. Jego słowa dają nam potrzebną pewność.

Notariusz umiał się obronić. Choć uprzedził mnie, że jest podejrzliwy z natury, jakoś nie mogłem się do tego przyzwyczaić. Oczywiście był znakomitym adwokatem własnej sprawy i doskonałym biurokratą, co z pewnością zadecydowało

o jego wyborze przez Rzym. Woląłem dłużej się nad tym nie zastanawiać.

–Czy możecie przystąpić do sporządzenia protokołu?

–Tak jest – odparł, zajmując miejsce i sięgając po papier

1 pióro.

–Znak świętego Mateusza – zakomunikowałem, podnosząc zawiniątko do góry, żeby dokładnie obejrzał pieczęć z aniołem symbolizującym tego ewangelistę.

–Zgadza się – potwierdził Evola.

Przeciąłem wosk za pomocą cienkiego sztyletu, który był moją własnością, wyjąłem kartkę papieru i przysunąłem się bliżej świecznika, żeby przeczytać:

Rzym, 15 listopada roku Pańskiego 1597

List drugi z pieczęcią świętego Mateusza.

Bracie DeGrasso, będąc w polowie drogi do miejsca przeznaczenia, winniście poznać niektóre szczegóły wyprawy. Proszę, przeczytajcie uważnie ten drugi rękopis.

Po długich poszukiwaniach i intensywnych badaniach dowodów zdobytych dzięki pracy licznych inkwizytorów w ostatnich dekadach udało nam się zlokalizować miejsce ukrycia dwóch zakazanych dzieł szczególnej wagi, które od czasów Średniowiecza krążą z rąk do rąk w kręgach pewnych wyznawców diabła. Istnienie tych dzieł zagraża poważnym wybuchem herezji nie tylko w Europie, ale i w Nowym Świecie.

Dotarła do mych uszu wielce wiarygodna informacja, iż zakazanych ksiąg nie ma już tam, gdzie wcześniej podejrzewaliśmy, i zostały ukryte w bezpiecznym miejscu poza Europą, w pobliżu miasta Asunción, celu waszej wyprawy.

Otrzymujecie najważniejsze naszym zdaniem zadanie, na jakie może liczyć Inkwizytor Generalny dla ukoronowania swej pracy: dokończyć trwające latami śledztwo i położyć kres troskom, dręczącym od wieków nasz Kościół poprzez odnalezienie i konfiskatę tych dzieł. Wyrokiem Trybunału Świętego Oficjum księgi oraz ich właściciele należy natychmiast deportować do Rzymu.

Razem z Jego Świętobliwością Klemensem VIII pokładamy w was całkowite zaufanie i modlimy się, dzielny inkwizytorze, abyście w sposób zadowalający wypełnili wasze zadanie w służbie Kościoła Świętego.

Zawsze wasz w Jezusie

kardynał VINCENZO IULIANO Superior Generalny Świętego Oficjum

Gdy skończyłem czytać, podniosłem od razu wzrok na notariusza. Jak zwykle jego twarz nic nie wyrażała, ale przez dłuższą chwilę milczał, głaszcząc się intensywnie po brodzie.

–Ciekawe... – wydusił wreszcie.

–Na to się zanosz – odparłem przygnębiony. Woląłem przenieść na Evolę obowiązek skomentowania listu,

żeby zyskać na czasie i uporządkować niespokojne myśli.

–Mielście rację, ekscelencjo. Wasze domysły, że to będzie coś niezwykłego, okazały się słuszne.

–Przeczenie, bracie. To wielkie szczęście otrzymać tak ważne zadanie, nawet jeśli jest bardziej skomplikowane, niż sądziliśmy.

–Jeśli dobrze rozumiem, mamy wytropić jakieś stare księgi.

–Zdaje się, że średniowieczne, a raczej jakieś późniejsze kopie.

–Domyślcie się, o jakie konkretnie księgi chodzi? – spytał Neapolitańczyk, przeświadczony, że nie dzielę się z nim wszystkimi informacjami.

Nie spuszczałem z niego oczu, wciąż usiłując doprowadzić do ładu moje myśli. Jasne, że się domyślałem. Zaczynałem rozumieć słowa Piera Del Grandę i dlaczego Iuliano tak spokojnie zareagował podczas rozmowy w katedrze na wiadomość, że zgubiliśmy ślad księgi.

–Ekscelencjo, czy domyślcie się, o jakie konkretnie księgi chodzi? – powtórzył notariusz zniecierpliwiony moim brakiem odpowiedzi.

–Nie – skłamałem.

Po wyjściu Evoli usiadłem na łóżku i próbowałem się skoncentrować, wpatrując się w płomień świecy. Sięgnąłem do pamięci, żeby pozbierać i uporządkować wszystkie posiadane informacje; zaczęło się od isierki, a teraz buchał z niej coraz silniejszy płomień. Poczułem niebezpieczną pokusę zerwania trzeciej pieczęci natychmiast, nie czekając na notariusza i na

właściwy moment. Ale w porę się powstrzymałem, przywołując na pomoc resztki rozsądku.

Księgi nabierały nowego znaczenia. Sądząc po datach listów, Iuliano musiał wiedzieć, gdzie został ukryty Necronomicon, a być może także i Kodeks, zanim zlecił mi poszukiwania. Jaki to wszystko miało sens? Dwie księgi – myślę, że te księgi – czekały na mnie w Asunción. A jeśli za tym skomplikowanym manewrem kryje się po prostu nieufność kardynała Iuliana? Jeśli powierzył mi proces Gianmarii i obecne zadanie tylko po to, by wypróbować mą wierność? Miał powody, by podejrzewać mnie o przynależność do Corpus Carus, byłem bowiem ulubionym uczniem Piera Del Grandę. Oczywiście. A poza tym nie należało wykluczać powiązań z Tajnym Stowarzyszeniem Czarowników... Czemu nie? Ale coś mi mówiło, że to jeszcze nie wszystko, że jest jeszcze jakiś inny motyw zachowania Iuliana. I że trzecia pieczęć zawiera klucz do tej tajemnicy. Zatrzęsło mną od złości. Wziąłem do ręki zalakowaną kopertę i próbowałem rozerwać jej brzegi. Utkwiłem w niej wzrok, ręce mi się pocily, chciałem otworzyć, ale nie mogłem. Odrzuciłem kopertę daleko od siebie i odetchnąłem z ulgą. Musiałem jakoś wyjść z tego transu, więc sięgnąłem po butelkę grappy, wyjąłem korek i pociągnąłem z niej spory łyk. Alkohol jeszcze bardziej rozniecił mój gniew.

Co za głupota! Cały ten plan sporządzony w urzędach Świętego Oficjum jest jedną wielką głupotą! I po co? Żeby postradał zmysły w podróży z Europy do Ameryki, żeby doprowadzić mnie do szaleństwa, wystawić na pokusy, wypróbować... W przeciwnym razie to wszystko nie ma sensu! Dlaczego nie powiedziano mi od razu, o co chodzi? Kim był ten notariusz o ciętym języku i diabelskiej twarzy? Kto mi go przydzielił i po co? Jakież pokrętny umysł pilnował tego labiryntu niepewności? W jakim celu? Nie znałem odpowiedzi, ale się dowiem. Wstałem z łóżka i poszedłem po kopertę, która lecąc na skrzydłach mego gniewu, upadła koło drzwi; zamierzałem schować ją razem z innymi, żeby mnie więcej nie kusila. Jakże

mi brakowało listów od mistrza i Anastasii! Może one pomogłyby mi zrozumieć sens tej absurdalnej podróży. Schylałem się, żeby podnieść kopertę, kiedy nagle usłyszałem pukanie do drzwi i aż się wzdrygnąłem.

Były to trzy krótkie, miarowe pukania. Kto o tak późnej porze chce jeszcze ze mną rozmawiać? Ukryłem kopertę pod sutanną i przyłożyłem ucho do drzwi, nie mając zamiaru otwierać. Mogłem rozróżnić słowa, dobiegające z drugiej strony.

–Ekscelencjo... Mistrzu DeGrasso... Spicie? – Głos ucichł na moment, lecz nie uzyskawszy odpowiedzi, znów się odezwał: – Przepraszam, że przeszkadzam, ale ja tylko na chwilę... Mówi doktor Ismael Alvarez Etxeberria...

Uchyliłem drzwi, wbijając wzrok w ciemny korytarz. Rzeczywiście, obok stał z lampą w ręku znajomy medyk.

–Proszę wejść.

–Dziękuję – powiedział, kiedy wpuściłem go do środka. – Jeszcze raz przepraszam. Mam nadzieję, że was nie obudziłem.

–Nie mogłem zasnąć – odpowiedziałem, podsuwając mu krzesło.

Zapaliłem drugi świecznik, żeby rozjaśnić pomieszczenie.

–Mizernie wyglądacie – zauważył natychmiast Etxeberria.

Bładość mojej twarzy rzucała się w oczy w większym świetle.

–Mam za sobą ciężkie chwile, doktorze.

–Za dużo alkoholu? – zapytał z uśmiechem. Było oczywiste, że zdradzał mnie oddech.

–To nie jest takie proste. Nawet alkohol nie pomaga.

Wyczuwając niepokój zarówno w moich słowach, jak i z wyrazu twarzy, ośmielił się postawić pełne troski, aczkolwiek niedyskretne pytanie:

–Co was tak dręczy? Może mógłbym pomóc?›

–To sprawa osobista. Dziękuję, ale tym razem nie możecie nic dla mnie zrobić.

–Na pewno?

Spojrzałem na niego w taki sposób, żeby nie miał więcej wątpliwości. Przeszedł więc bezpośrednio do tematu, który sprowadził go do mojej kajuty.

–Muszę wam coś powiedzieć... Jak wiadomo, bezpieczeństwo na statku można określić, przy dobrej woli, mianem „ograniczonego”. – Medyk nawiązywał do wciąż niewyjaśnionej zbrodni zabójstwa kucharza. – Właśnie o tym chcę z wami pomówić...

Zrobił przerwę, żebym mógł coś powiedzieć, ale wzruszyłem ramionami.

–Mów dalej, synu Boży! Nie musi pan czekać na moją aprobatę. Co do tego mamy jasność, że śmierci nie można lekceważyć.

–Dobrze... Z pewnością chcielibyście wiedzieć, dlaczego przyszedłem właśnie teraz, a nie kiedy indziej... – medyk z trudem dobierał słowa.

–Niech pan mówi, słucham – powtórzyłem spokojnie.

–To taka sprawa, którą mogę powierzyć tylko wam, ekscelencjo, nikomu innemu. Nikomu więcej nie mogę zaufać – oświadczył medyk, mówiąc bardzo cicho, jakby się bał, że ściany mają uszy. – Dziś wieczorem wezwano mnie do zęzy; jest to najniższe miejsce wewnątrz kadłuba... Wyjątkowo nieprzyjemne. Opatrzyłem człowieka z raną dłoni w stanie zapalnym, niby nic poważnego, ale brzydko wygląda. – Doktor przeczesał palcami włosy, żeby zyskać na czasie i uporządkować myśli; był zdenerwowany. – Rana nie była groźna, ekscelencjo. Ale bez dostępu świeżego powietrza i słońca źle się goiła i wdał się stan zapalny.

–Co pan chce przez to powiedzieć? – zainteresowałem się bardziej.

–Ten człowiek przebywa na samym dnie statku, gdzie zbiera się woda morską, mocz, pomyje i inne nieczystości. Smród nie do wyobrażenia. Rana wskazuje na to, że nie ruszał się stamtąd od wielu dni. Podejrzane... prawda? Dodam, że nie jest on członkiem załogi.

–Do czego pan zmierza? – byłem zniecierpliwiony.

–To... nielegalny pasażer – powiedział medyk, zniżając głos tak bardzo jak to tylko możliwe.

–Nielegalny pasażer... I co z tego?

–Powiedziano mi, że nazywa się Xanthopoulos; muszę przyznać, że samym swym wyglądem budzi przerażenie: ma wzrok szaleńca. Według moich obliczeń rana ropyje już od piętnastu dni. Tyle czasu upłynęło od morderstwa. To podejrzane, ten człowiek wygląda naprawdę podejrzanie... Jestem lekarzem, ekscelencjo i rzadko się myślę. Zauważyłem przy nim coś jakby rękojęść sztyletu. Założę się, że jest uzbrojony.

–Pan wybaczy, Etxeberria, ale skoro jest pan tak przekonany, dlaczego nie podzieli się pan tymi podejrzeniami z admirałem? – spytałem wreszcie.

–Bo ten człowiek na pewno zapłacił admirałowi sporą sumę za miejsce na statku. Nie wierzycie, jak mówię, że tylko wam mogę zaufać? Admirał ma w tym swój interes, żeby się nie wydało.

–Ma pan rację – przyznałem szczerze.

Widząc zdenerwowanie medyka, zrozumiałem, że nie powiedział mi jeszcze wszystkiego i teraz prowadzi ze sobą wewnętrzną walkę: wyznać czy nie. Czytałem to w jego twarzy i oczach tak jak podczas przesłuchiwania heretyków.

–Coś jeszcze ma pan mi do powiedzenia?

–Ten człowiek jest zbiegłym więźniem Korony – wydusił Etxeberria.

–Aha, teraz rozumiem. Skąd pan wie?

–Dowiedziałem się od jednego marynarza. W ładowniach nic się nie ukryje.

Spojrzałem w stronę okna. Noc była jasna od księżyca w nowiu, niebo czyste, a tu, w kajucie, robiło się coraz duszniej.

–Proszę się nie denerwować. Porozmawiam osobiście z kapitanem Martinezem. Może coś mi wyjaśni jako wojskowy.

–To jeszcze nie wszystko, ekscelencjo. Jest coś, co mnie najbardziej przeraża.

–Co takiego?

–Ten człowiek mówił o was. – Ta wiadomość wprawiła mnie w osłupienie. – Parę razy wymówił w delirium wasze nazwisko...

Etxeberria przełknął energicznie ślinę i podrapał się po spiczastym, czerwonym nosie.

–Jak on wygląda? – czułem, że ogarnia mnie strach i zdenerwowanie.

–Blondyn, długie włosy, broda i wąsy. Prosty nos, zielone, świdrujące oczy...

To ten sam osobnik, którego widziałem w ogrodach fortecy na Teneryfie, kiedy rozmawiał z admirałem.

–Wiking – stwierdził medyk. – W każdym razie podobny do wikinga.

–Co jeszcze powiedział o mnie?

–Pokazał mi rysunek... Kazał mi się dobrze przyjrzeć.

–Co to było?

–To wyglądało jak pięciobok z czymś w środku, co przypomina pięcioramienną gwiazdę, ale mogę się mylić... – Etxeberria spuścił głowę, speszony przesłuchaniem.

Wstałem z łóżka i podszedłem do kufra z książkami i papierami inkwizycji. Wziąłem jedną z książek i zacząłem kartkować.

–Proszę tu spojrzeć, doktorze. Proszę dokładnie obejrzyć wszystkie rysunki gwiazd. Czy widzi pan tu taką samą gwiazdę jak na tamtym rysunku? – wskazałem na stronę pełną diabelskich symboli.

Medyk długo się zastanawiał, wodząc palcem po kartce, a ja śledziłem niecierpliwie ruch jego ręki. Palec się zatrzymał.

–Ta... – pokazał.

–Stopa czarownicy... – powiedziałem. – Jest pan tego pewny?

–Tak, ekscelencjo. Co to znaczy?

Silny dreszcz przebiegł mi po plecach. Pięcioramienna gwiazda wpisana w obwód koła. Szatański pentagram, celtycka stopa czarownicy, pradawny symbol wielbicieli ludzkiego ciała i wy-

znawców diabła. Nie odpowiedziałem na pytanie medyka; spojrzałem na niego bacznie, podziękowałem za wizytę, prosząc, żeby pozostawał ze mną w kontakcie, i pożegnałem się. Oczywiście przykazałem, aby nic nikomu nie mówił, dopóki ja sam nie porozmawiam z Martinezem. Etxeberria wyszedł z ulgą zadowolony, że go wysłuchałem.

Kiedy zostałem sam, zamknąłem drzwi na cztery spusty, a także okno, przez które wpadał lekki wiatr morski. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Oto otrzymałem niespodziewaną wiadomość od nieznanego, który był nową postacią w tej wielowątkowej już sprawie i zdawał się wiedzieć tyle samo co ja. Zastanawiałem się nawet, czy doktor nie jest jego współnikiem, gdyż w tym łańcuchu zdarzeń był kimś, kto wniósł do mojej kajuty powiew zakazanych ksiąg. Pentagram świadczył wyraźnie, że czarna magia dotarła aż do statku.

Ranek rozpoczął się od wrzasku marynarzy ogłaszających przeraźliwą nowinę: Ismael Alvarez Etxeberria nie żyje. Znalezione go bez oczu i bez języka w cuchnących wodach zęzy. Podobnie jak kucharz został okrutnie zamordowany w sposób świadczący o rytuałach diabelskich.

Tego dnia zarygłowałem się w kajucie. Niebezpieczeństwo czyhało z każdego kąta.

31

Dzień po Bożym Narodzeniu był wolny od pracy dla marynarzy wyższej rangi. Tak zaplanowano już wcześniej, żeby uczcić kapitana Martineza, który obchodził w tym dniu swoje urodziny. Ale to, co się wydarzyło o świcie, zagłuszyło radość. Potworny mord na doktorze Alvarezie Etxeberrii wywołał panikę i powszechne przygnębienie: po raz drugi śmierć zjawiała się na statku. Nikt nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym niż o okaleczonych zwłokach medyka. Mimo to admirał Calvente urządził pod koniec dnia przyjęcie, choć żaden z nas

232

nie miał chęci opuszczać kajuty nawet w tak uroczystym celu. Zwierzęcy strach panował w mrocznych korytarzach galeonu.

Zręcznie manewrując srebrnymi tacami, czterech służących wniosło do mesy różnorodne potrawy pochodzące z Hiszpanii i w ciągu kilku minut zostaliśmy obsłużeni. Napełniłem winem kielich i postanowiłem skoncentrować się tylko na degustacji tych smakołyków. Nikt nie zamierzał nawiązać do zabójstwa medyka, każdy wolał poruszyć jakiś banalny temat, aby nie zepsuć kolacji solenizantowi.

–Ta szynka nie ustępuje nawet parmeńskiej, jest nadzwyczaj smaczna – powiedziałem szczerze.

–Miło mi to słyszeć – odrzekł natychmiast Calvente. – Zrobiono ją z wieprzków hodowanych pod gołym niebem i mezonych żołądziami z najdorodniejszych dębów. Żadne kulinarne sztuczki nie dadzą tak pięknego koloru i wyśmienitego smaku. Ale też trzeba przyznać, że nie wszystkie hiszpańskie szynki są tak wyjątkowe. Ta jest najlepsza z najlepszych, zarezerwowana tylko dla oficerów.

–Miałem szczęście odwiedzić parę razy Hiszpanię i rzeczywiście zaobserwowałem dużą różnorodność szynek na waszych rynkach – wyjaśniłem. – Nie znam się na tym, ale podobno oprócz karmy najważniejszy jest proces dojrzewania i suszenia. Zdaje się, że to najlepiej strzeżony sekret.

–Tak jest, ekscelencjo. Kluczową rolę odgrywa długość podsuszania szynki na powietrzu w odpowiedniej temperaturze. Mówicie, że widzieliście płaty mięsa wiszące w sklepach i na straganach, a trzeba wiedzieć, że zwyczaj ten zawdzięczamy poniekąd Kościołowi – wtrącił kapitan Martinez, uśmiechając się tajemniczo.

–Naprawdę? – spytałem zaintrygowany.

–Wieszanie i wietrzenie szynek w sklepach ma swe przyczyny w religii – ciągnął Martinez. – Kościół jest w pewnym sensie współtwórcą tej procedury.

–Ma pan na myśli jakiś specjalny edykt? – dopytywałem.

–Niepotrzebny był edykt – uśmiechnął się znów kapi-

tan. – W ubiegłym wieku kupcy bardzo bali się inkwizytorów i na wszelki wypadek, aby uniknąć podejrzeń, że są żydami konwertytami, starali się udowodnić, że z dawien dawna wyznają katolicyzm. Wywieszając w swych sklepach szynki, pokazywali, że jedzą mięso zabronione przez judaizm.

–Ciekawe... – skomentowałem.

–W tamtych czasach ludzie robili pranie i rozwieszali na sznurkach w sobotę – dorzucił Martinez – bo jeśli ktoś tego nie uczynił, mógł być oskarżony przez sąsiada o świętowanie szabatu. W rezultacie wszyscy zaczęli się licytować, kto więcej pracuje w soboty.

–Żydów na szczęście już nie ma w Europie, ale są dobre szynki – podsumował tryskający humorem Calvente, wypiwszy jednym haustem szklankę wina.

–A ja wznoszę za to toast – zakończył Martinez, naśladując admirała.

Ta niewinna rozmowa o sprawach na pozór kulinarnych nawiązywała do purystycznych ekscesów Kościoła i choć nikt nie odważył się powiedzieć o tym wprost, było jasne, że nic nie zmieniło się od tamtych czasów; nie dość, że prawo, metody i ich wykonawcy, czyli my, inkwizytorzy, to wszystko było takie samo, to jeszcze nowe kodeksy wymagały od nas większej surowości. Pod koniec szesnastego wieku Kościół katolicki sprawował absolutną kontrolę nad sumieniami wiernych.

Choć biesiadnicy zręcznie lawirowali wokół drażliwych tematów, to jednak po kolejnym toaście na cześć Martineza admirał Calvente nie mógł dłużej unikać pytania, które spędzało wszystkim sen z oczu. Zadał je kapelan Valerón Velasco, korzystając z chwili ciszy.

–Panie admirale, czy coś już wiadomo o mordercy? – spytał ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Calvente nie od razu odpowiedział, ale musiał przyznać:

–Na razie nic konkretnego. Prowadzimy śledztwo.

–To bardzo przykra sprawa – mówił dalej kapelan. – Po

tym co zaszło, nikt z nas nie może czuć się bezpiecznie na tym statku.

Calh/ente wbił wzrok w kandelabr stojący na środku stołu.

–Oczywiście, oba morderstwa popełnił ten sam człowiek. Zabójca kucharza zabił również

doktora Alvareza Etxeberię. Obie ofiary pozbawiono życia i okaleczono w taki sam sposób.

**–Dla dobra nas wszystkich mordercę należy znaleźć jak najszybciej – uznał kapitan Martinez.
– Nastroje wśród moich żołnierzy są wybuchowe.**

–Co właściwie było powodem tych morderstw? – spytałem.

–Nie wiemy, ekscelencjo – odparł admirał – ale bardzo by nam pomogła w śledztwie informacja, co robił doktor w ostatnich godzinach życia.

Milczący zazwyczaj Giulio Battista Evola odezwał się niespodziewanie:

–Minąłem się z nim późnym wieczorem w ciemnym korytarzu między naszymi kajutami. Mam wrażenie, że kierował się tam, skąd ja wracałem. Nie widzę innej możliwości...

–Czyli gdzie, waszym zdaniem? – przerwał kapitan, ledwo zdążywszy umoczyć wargi w winie w przerwie między jednym a drugim tematem rozmowy.

Evola spojrział znacząco w moją stronę. Nie wierzyłem własnym uszom i oczom. Zabrałem głos, żeby powiedzieć to, co powinno wyjść tylko z moich ust.

–Doktor Alvarez Etxeberria był u mnie – powiedziałem ku zdumieniu reszty zebranych. – Mój notariusz widział go wychodzącego z mojej kajuty.

–Dlaczego wcześniej o tym nie wspomnieliście, ekscelencjo? – zapytał Martinez.

–Zamierzałem porozmawiać na osobności z panem admirałem, ale dotąd nie było odpowiedniej okazji – musiałem skłamać ze względu na obecność Calventego, bo wszak pierwotnie zamierzałem porozmawiać z kapitanem. Evolą zajmę się później. – Skoro zostałem wywołany do odpowiedzi, nie

miałem innego wyjścia, jak przekazać wszystkim to, co medyk wyznał mi wczoraj wieczorem wielce poruszony.

Spojrzałem na Calventego, prosząc wzrokiem o pozwolenie, a on kiwnął potakująco głową. Potrzebowałem jego zgody, ponieważ kierował śledztwem, któremu moja informacja mogła nadać nowy bieg. Admirał uznał obecnych za godnych zaufania.

–Doktor Etaceberria wyznał mi wczoraj w mojej kajucie, że ma pewne podejrzenia wobec osoby, która jego zdaniem ukrywa się na samym dnie statku w miejscu rozsiewającym przykre, niezdrowe zapachy, zwanym...

–W zęzie...? – Calvente doskonale wiedział, o co chodzi.

–Właśnie tam.

–Czy to możliwe? – kapelan spytał admirała.

Ten nie odpowiedział słowami, ale potwierdził ruchem głowy.

–Według Etxeberrii – kontynuowałem – podejrzany to człowiek niebezpiecznie obłąkany i uzbrojony. Nic więcej mi nie powiedział, bo gdy tylko trochę się uspokoił, zaproponowałem, żeby poszedł spać i że wrócimy do tej sprawy na drugi dzień w rozmowie z admirałem lub kapitanem. Nie przypuszczałem, że przyjdzie mu zapłacić życiem... za to, że może zdradził jakiś sekret.

–Mamy szaleńca na pokładzie... – westchnął Evola – może to sam diabeł.

Wymieniliśmy spojrzenia w ciszy, jaka zaległa po tych słowach, ale nikt nie odważył się odezwać, bo ta głośno wyrażona myśl była zbyt makabryczna i wykraczała poza granice rozumu. Kiedy pierwszy strach minął, podjęliśmy przerwany wątek.

–Dlaczego doktor przyszedł z tym do was, ekscelencjo, a nie do któregoś z nas? – spytał Martinez i dodał, w dalszym ciągu zwracając się do mnie, choć niewykluczone, że tę część pytania kierował do wszystkich: – Czy to nie wydaje się nielogiczne?

–Nie mógł zaufać oficerom z jednego prostego powodu – spojrzałem na admirała z nadzieją, że pociągnie ten wątek, nikt

bowiem oprócz niego nie powinien udzielać wyjaśnień w tym względzie.

Tak też się stało. Calvente niezwłocznie podniósł dłoń na znak, że pragnie zabrać głos, i

rozpoczął relację mającą niewiele wspólnego ani z poczuciem honoru, ani z moralnością.

–Zarówno nieboszczyk, jak i Jego Ekscelencja mają na myśli osobę, która dołączyła do nas w porcie na Teneryfie jako ostatni pasażer, cywil. Zaokrętowałem go osobiście do Car-tagena de las Indias po uiszczeniu pewnej kwoty na rzecz Armady. – Admirał zręcznie wybrnął z sytuacji, traktując własną kieszeń jako część Armady. – Wielka szkoda, ekscelencjo, że dowiedzieliście się o tym z ust medyka. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak wyjaśnić do końca całą sytuację, żeby uspokoić wszystkich zebranych. Otóż w zęzie podróżuje grecki handlarz, który marzy jedynie o tym, żeby dotrzeć cało i zdrowo do Nowego Świata, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Jest logiczne, że widząc go w takim miejscu, doktor zaczął coś podejrzewać, zwłaszcza po zabójstwie kucharza. Myślę jednak, że jego podejrzewania nie brały się z rozsądku, tylko z paniki. Jest również logiczne, iż dowiedziawszy się, że pasażer jest... nazwijmy to... nielegalny, doktor nie chciał powiadamiać oficerów o swoim odkryciu. Czy mam rację, ekscelencjo?

–Całkowicie, panie admirale. Kapelan wtrącił natychmiast:

–Skoro utrzymuje pan, admirale, że ten nielegalny pasażer jest niewinny, to w takim razie kto zabił? Przecież ktoś musi być odpowiedzialny za zbrodnie, i to nie jest zwykły morderca. Piętnuje swe ofiary z demonicznym okrucieństwem. Ja myślę, że lekarz wiedział, co mówi... i dlatego zginął.

–Ksiądz ma rację – stwierdził Evola, wykrzywiając jeszcze bardziej swą zniekształconą twarz. – Na statku jest zabójca, choć pewno go nie spotkamy. Działa z bestialskim okrucieństwem i nikt mu nie da rady. Nikt go nie powstrzyma. Zostanie z nami, dopóki nie osiągnie swego celu.

–O kim ksiądz mówi? – zapytał Martinez, niezbyt przekonany, czy chce usłyszeć odpowiedź.

–O Złym.

Admirał Calvente bardzo dobrze wiedział, co oznacza śmierć na statku; wiedział, że wszyscy marynarze, nawet najwięksi awanturnicy, są niezwykle przesądni. Wiedział też, że roztrząsanie tej sprawy obniży morale załogi, źle wpłynie na dyscyplinę i pracowitość.

–Wykrycie mordercy to kwestia kilku dni. Przecież nie może wiecznie się ukrywać – stwierdził stanowczo, uznając rozmowę na ten temat za zakończoną. W każdym razie będę mieć baczenie na pasażera z żęzy.

Kolacja zakończyła się w takim samym nastroju, jak się zaczęła: wszyscy byliśmy niespokojni i pełni wątpliwości. Martinez, odpowiedzialny za moje bezpieczeństwo, obiecał jeszcze tej nocy postawić straż przed moją kajutą i u notariusza.

32

Tej nocy, w kajucie zamkniętej na klucz, nie zmrużyłem oka. Próbowałem zasnąć, zgasłem świecznik, wierciłem się w ciepłym łóżku, robiłem wszystko, żeby się odprężyć, ale sen nie nadchodził. Chciałem nawet wyjść na pokład i pospacerować... Co za szalony pomysł...! Szybko zrezygnowałem, kiedy uzmysłowiłem sobie, że morderca czai się w jakimś zakamarku. Spokoju nie dawała mi także myśl o Evoli oskarżającym mnie wobec wszystkich w tak dwuznaczny sposób, jakbym to ja był głównym podejrzanym. Postanowiłem szukać ratunku w grapple, która coraz częściej służyła mi za lek w tej długiej podróży. Usadowiłem się w łóżku z butelką i rozglądając się po pogrążonej w półmroku kajucie, zatrzymałem wzrok na kufkach. Moje rzeczy, cel wyprawy, kłamstwa, Raffaella, listy od mistrza i Anastasii, które zaginęły zaraz pierwszego dnia podróży. Pewnie gdzieś upadły, kiedy zdejmowano ze mnie pobrudzone

238

od wymiotów ubranie, a potem przeniesiono do ładowni. Szukałem bez powodzenia, gdy odebrałem oczyszczone ubranie, ale szybko o nich zapomniałem, mając głowę zajętą czym innym, i dopiero teraz po paru głębszych łykach grappy znów mi się przypomniały. Odstawiłem butelkę na podłogę, zapaliłem świecznik i lekko zawiany, zabrałem się do przesuwania kufków i paru innych mebli, które stanowiły skromne wyposażenie kajuty. Dzięki tej szczególnej percepcji, jaką daje alkohol, w pewnej chwili zauważyłem wystający spod jednego z kufków skrawek białego papieru. Znalazłem! Leżały w szparze między deskami podłogi. Wyjąłem je stamtąd wielce rozradowany; list Piera ucałowałem i schowałem do kufra z książkami, żeby się znów gdzieś nie zawieruszył, bo zgodnie z zaleceniem miałem go otworzyć dopiero na ziemiach wicekrólestwa.

Kopertę z listem Anastasii przysunąłem bliżej światła, zerwałem pieczęć i wyjąłem zapisaną kartkę. Poprawiłem poduszkę, żeby było mi wygodniej, i pociągnąwszy nowy łyk z butelki, zacząłem czytać:

Angelo, pisze do Ciebie, bo cały czas myślę o Tobie. Mam nadzieję, że przyjmiesz to jako list od kobiety, a nie córki swojego superiora. Czytaj z ufnością i zaakceptuj mnie.

Papier rozsiewał delikatną woń perfum, mimo że długo leżał na podłodze. Był to przyjemny zapach i muskał mój nos jak miły oddech damy. Anastasia pisała prosto, bez zbędnych formalności i protokołu, spontanicznie zwracała się do mnie per ty, co w jakimś sensie mi schlebiało, ale też było podejrzane. Ta rzekoma siostrzenica kardynała była klejnotem w koronie starego rodu Iuliano w. Kardynał wykorzystywał ją często w interesie rodziny jako broń dyplomatyczną, i to, zdaniem wielu osób, broń wielce skuteczną, gdyż ta dama z florenckiej arystokracji miała tyle swady i uroku, że uległyby jej nawet rzeźby greckich bóstw z kolekcji Uffizich.

Genua, 30 listopada 1597

Jakaś dziwna siła każe mi napisać ten list i nie zważać na formalności. Wybacz więc, proszę, śmiałość i ten szczególny ton, zbyt konfidencjonalny. Przyjmij to jako przejaw mojego niepokoju; tylko w ten sposób mogę przekazać Ci ważne informacje.

Jest późna noc. Piszę przy świeczce, przy cudzym biurku w Nuncjaturze Apostolskiej w Genui, gdzie zatrzymałam się po ceremonii autodafe. I po spotkaniu z Tobą.

Przypomniałem sobie to spotkanie i przyjemność, jaką sprawił mi, w tym dniu pełnym cierpienia, niepokoju i tajemnicy, widok jej wdzięcznej postaci. Przypomniałem sobie, nie bez wstydu, mój wzrok utkwiony w dekolcie szcudrze odsłaniającym piersi Anastasii, zachwyty nad pięknym kształtem ramion i szczupłych bioder. I te zielonoszare oczy, mieniące się jak szmaragd w blasku ognia. Wypiłem jeszcze jeden łyk grappy, która płonęła w gardle i podsycała szalone myśli.

Czy nie byłoby Boskim darem mieć ją koło siebie w łóżku? Oczywiście, że tak! A jakże niezwykłym doświadczeniem musi być poznawanie jej ciała... Dotykać obfitych piersi, zamykać je w dłoniach, doznawać najszlachetniejszych i najbardziej zdeprawowanych uczuć... Jej kibić... Któż oparłby się kapryśnym, rozkołysanym ruchom bioder córki kardynała! Któż nie chciałby spłynąć strumieniem satysfakcji w jej łonie, a potem podziwiać tę nieskalaną twarz, która tchnie spokojem. Czy ktoś chciałby wyprosić ją z łóżka zaraz po stosunku jak jakąś ladacznicę? O nie! Chciałoby się ją zatrzymać, podziwiać i pieścić, jak złotnik pieści najcenniejsze klejnoty.

Nagle pojawiła się w mych myślach Rafaella D'Alema. Wspomnienie pięknej Rzymianki świadczyło o jednym: moje serce ma już swoją panią. Jakżeby inaczej! Poszukałem łańcuszka i wzięłem w palce medalik Przenajświętszej Dziewicy,

240

który dostałem od Raffaelli na pożegnanie w porcie. Trzymałem go blisko oczu i myślałem. Może Bóg zechciałby podarować mi obie? Czy nie za dużo proszę? Jak by to było mieć Raffaellę i Anastasię w jednym łóżku...? Całować je i brać w posiadanie, patrzeć, jak one pieścą się nawzajem tylko dla mnie, napawać oczy widokiem dwóch ciał tak różnych w swej piękności, podziwiać te relikwie najwspanialszej rozkoszy. Tak powinien wyglądać raj...! Do diaska! To nie jest prośba do Pana Boga, tylko do Szatana. Setki mil od Włoch, pośrodku oceanu, list Anastasi podrażnił wszystkie moje zmysły. I choć nie znałem się na sztuce żeglowania, to jednak upodabniałem się do marynarza, ogarniętego nienasyconą tęsknotą za kobietą.

Oczywiście ten list wcale nie był zaproszeniem do łóżka, nie zawierał nic, co uzasadniałoby

moje fantazje na temat Raffaelli i Anastasi. Na dodatek, pisała go osoba z rodu Iulianów. Przy dalszym czytaniu odeszły mnie lubieżne myśli, a serce zabiło z zupełnie innego powodu.

O przyczynach mojego zainteresowania Twoją osobą na razie nie warto mówić, muszą pozostać nieznane. Nie czas na wyjaśnienia.

Ojciec nie wie, że piszę do Ciebie te słowa, toteż usilnie błagam, aby nigdy nie wyszły poza Ciebie, byłby to bowiem dowód mojej zdrady. Wiem, że to desperacki pomysł, silny impuls, któremu nie mogłam się oprzeć, ale uważam za swój obowiązek uprzedzić Cię, że uknuto spisek przeciw Tobie i ta pułapka powoli się zamyka... Dlatego nie mogę dłużej milczeć...

Spisek, pułapka? O czym ona pisze? Czytałem dalej z jeszcze większą uwagą.

Towarzysząc ostatnio ojcu na przyjęciach w Rzymie, Florencji, Mediolanie i Wenecji, zauważyłam, że wszędzie w tym gronie mówi się głównie o jednym. Chodzi o po-

ważny problem teologiczny, przedmiot dysputy, która angażuje cały Kościół i czeka na rozstrzygnięcie. Mam jednak wrażenie, że konflikt między dominikanami i jezuitami jest tylko zasłoną dymną dla innych, dużo trudniejszych i bardziej tajemniczych spraw.

Tylko podczas wizyty w Królestwie Neapolu rozmowy wyglądały zupełnie inaczej. Słowem nie wspomniano o niesnaskach w łonie Kościoła ani o rzeczonyj dyspucie czy o rozgrywkach między kardynałami o podział władzy w Watykanie. Dzięki przyjacielowi rodziny, który jest bardzo czuły na me wdzięki, mogłam poznać te wszystkie pogłoski związane z niepokojem biskupów, arcybiskupów i innych przedstawicieli Kościoła w republikach, księstwach i królestwach Włoch. Tenże przyjaciel – Giuseppe Arsenio, znasz go, bo wszak to on nas sobie przedstawił, gotów zapłacić za me względy każdą cenę, jakiej zażądam – powiedział mi coś, co tu teraz przytoczę.

Według Arsenia, mój ojciec odpowiada za odnalezienie zakazanych ksiąg, stanowiących wielkie zagrożenie dla naszej chrześcijańskiej wiary. Jest w nich bowiem zaszyfrowana niebezpieczna informacja, o dużym potencjale destrukcyjnym dla dogmatów naszej wiary i Kościoła. Wiem, że realizację tego zadania powierzono Tobie, bo jesteś jednym z najbardziej szanowanych włoskich inkwizytorów. Wiem również, że nie obejmujesz całej doniosłości i złożoności tej sprawy; nie rozumiesz, jaką rolę w tej partii szachów grasz Ty oraz ci, którzy Cię wybrali.

Arsenio to człowiek gotów zdradzić swych chlebobawców z rodu Medyceuszy, byleby tylko musnąć ustami mój policzek i przytulić głowę do mych piersi. Bardzo pragnie posiąść córkę najpotężniejszego kardynała Rzymu. Tak bardzo, że mąci mu się w głowie i traci zdolność rozumowania. Nic więc dziwnego, że zdradził mi jeszcze jeden

sekret. I zapewniam Cię, że to nie kłamstwo, bo nie może kłamać ktoś, komu serce bije szybciej na mój widok.

Pewnego razu w fortecy Basso, najlepszej twierdzy Florencji, Arsenio usłyszał poprzez drzwi cichy szept. Papieski astrolog, mnich imieniem Darko, mówił komuś

o masonach z łoży Corpus Carus i o Tajnym Stowarzyszeniu Czarowników, którzy również poszukują tych ksiąg.

Zatrzymałem wzrok na tych słowach. Przysunąłem list bliżej oczu i jeszcze raz przeczytałem ostatnie zdania. Anastasii udało się połączyć w jedną całość luźne fragmenty, których długo nie mogłem dopasować, i tym samym potwierdziła me domysły.

Choć Corpus Carus jest bractwem katolickim, mój ojciec walczy z nimi, bo mają ściśle powiązania z jego rywalami politycznymi, którzy rządzą teraz w Hiszpanii. Właśnie dlatego

wizyta ojca w Neapolu miała zupełnie inny przebieg, bo to królestwo należy do Hiszpanii. Zmiana tonu rozmów jest zrozumiała z powodów dogmatycznych

1 politycznych, bowiem Corpus, bractwo złożone w większości z jezuitów, którzy znaleźli schronienie w Hiszpanii, stanowi przeszkodę w zabiegach rodów florenckich, a zwłaszcza Medyceuszy, o pozostanie na Stolicy Piotrowej. Corpus cieszy się względami Filipa II, gdyż interesy bractwa są zbieżne z interesami tego monarchy, który dąży do ograniczenia władzy króla Francji, politycznego sojusznika Florencji.

A więc walka o prawowierność, o czystość doktryny... sprowadza się w gruncie rzeczy do skomplikowanych zmagania o władzę polityczną w łonie Kościoła? To nie do pomyślenia, to niemożliwe, aby Piero Del Grandę był jedynie narzędziem w rękach króla hiszpańskiego. Czytałem dalej:

Corpus pragnie zdobyć księgi tylko po to, by zapewnić sobie przewagę nad Kurią Rzymską i zapobiec masowym polowaniom na swych członków. Akcją kieruje z Wioch kapucyn Del Grandę, twój mistrz i wybitny członek Corpus Carus.

Z kolei Tajne Stowarzyszenie Czarowników chce mieć te księgi, żeby wprowadzić w czyn ich złowieszcze i destruktywne przesianie. To bardzo stara organizacja i choć poważnie zdziesiątkowana przez naszą Świętą Inkwizycję, wciąż działa pod kierunkiem swego Wielkiego Mistrza, człowieka bez twarzy i nazwiska, który wymyka się jak piskorz, i nikt go nie zna, ale on czuwa. To może być nawet ktoś z naszego środowiska, kto ujawni się dopiero wtedy, gdy spełni swe zadanie.

Coś zaszeleściło w kajucie, a przynajmniej tak mi się zdawało. Wpatrywałem się w półmrok, ale niczego nie zauważyłem. Pewnie szczury szukają pożywienia, pomyślałem i wróciłem do listu:

Tak to jest, Angelo: Kościół, Corpus, czarownicy – wszyscy chcą mieć to, czego szukasz, każdy ma w tym swój interes, każdy Cię obserwuje i próbuje przeciągnąć na swoją stronę albo wyeliminować z gry. Gdziekolwiek się poruszysz, tam śmierć i kłamstwo, a także prawda, choć pokryta błotem zdrady. Nikt nie może Ci pomóc. Zdaje się, że te księgi kryją niezwykle głęboką tajemnicę. Trudno sobie wyobrazić, co takiego zawierają, że przykuły uwagę największych mocarzy tego świata. Pamiętaj jednak, że zastawiono na Ciebie pułapkę.

Pokój i miłość niech będą z Tobą. Twoja na zawsze, ANASTASIA IULIANO

Znów rozległo się ciche skrzypnięcie drewna. Prawie niedosłyszalne, ale coraz bliższe. Powoli opuściłem list na kolana i rozejrzałem się dookoła. Uniosłem się wyżej na łóżku; lampa ledwo się tliła, widoczność prawie żadna, tyle co błysk świetlików zamkniętych w szklanej kuli.

Nowy dźwięk wydobył się z ciemności, jakby z kąta kajuty naprzeciwko łóżka, koło drzwi. Tym razem był to niewątpliwie przytłumiony odgłos kroków. Sparaliżował mnie strach, nagły chłód przeszył moje ciało, a potem oblał mnie pot. Wszystko dlatego, że dostrzegłem jakiś niewyraźny cień. I ten cień był coraz bliżej.

Demoniczna twarz o ludzkich rysach i niespokojnych oczach pojawiła się w zasięgu mego wzroku. Ta sama, którą opisał medyk: twarz jasnowłosego, brodatego szaleńca. Szedł w kierunku łóżka. Kiedy wyobrażamy sobie taką sytuację, stać nas na spektakularne gesty, niezwykle czyny i odwagę, budzącą podziw bywalców portowej tawerny. Ale w rzeczywistości wszystko sprowadza się do paraliżującego lęku, przesadnej gestykulacji bez jednego słowa, bez krzyku, ze ściśniętym gardłem i suchością w ustach; człowiek jest roztrzęsiony i nie może się opanować.

–Kim jesteś? – wyjąkałem z trudem.

Powoli i nieubłaganie mężczyzna zbliżał się do mnie w milczeniu, nie czyniąc żadnych gestów. Straszliwy grymas podobny do uśmiechu pojawił się na jego twarzy (ale to nie był uśmiech), a w oczach nabrzmiewały czerwone żyłki trawiące go gorączki. Gorączki krwi i śmierci.

–Kim jesteś? – powtórzyłem przerażony.

–Nieważne, kim jestem – wymamrotał nieznajomy, wyciągając w moją stronę otwartą dłoń.

–Co robisz w mojej kajucie? Czego chcesz, do diaska?! – udało mi się krzyknąć. Zerwałem się z łóżka, gotów stawić mu czoło.

–Ciszej...! Szukałem dojścia do was...

Chwyciłem świecznik i zamachnąłem się na niego, krzycząc bez przerwy w nadziei, że obiecane przez kapitana Martineza straże znajdują się w pobliżu.

–Cicho...! Oni was nie obronią. Przestańcie krzyczeć, na miłość Boską! – nalegał ponury osobnik.

–Nie podchodź bliżej...! Nawet nie próbuj! – starałem się nie okazać strachu, chociaż bałem się coraz bardziej. A on to widział.

–Musimy porozmawiać... Lepiej nikogo nie budzić... To intymna rozmowa. Tylko my dwaj.

–O czym?

–O czarach... O księgach...

–Nie mam ci nic do powiedzenia! – zawołałem. – Nie znam cię... Zakradasz się do mojej kajuty i wychodzisz z ukrycia w środku nocy. To nie jest najlepszy sposób nawiązania rozmowy. Wiem, kim jesteś! Morderca! – zakończyłem, krzycząc.

–Mylicie się, panie. Szukałem do was dojścia... Przestańcie, panie, krzyczeć i wysłuchajcie mnie. Ukryłem się, bo musimy porozmawiać, ale tak, żeby nikt nas nie zobaczył.

–Chcesz mnie zabić! Tak jak zabiłeś tamtych! – krzyknąłem.

Jeszcze parę kroków, a byłby mnie dosięgnął, na szczęście ktoś zapukał do drzwi.

–Czy coś się stało, ekscelencjo? – usłyszałem głos z korytarza.

–Straże do mnie! Jestem w niebezpieczeństwie! – krzyknąłem ze wszystkich sił, przylegając mocno do ściany, bo napastnik wyjmował sztylet spod ubrania.

–Po co ten alarm, panie...! Wszystko popsuliście! – krzyknął.

Wyrwane z futryny drzwi runęły na podłogę. Kajuta wypełniła się żołnierzami. Intruz próbował wyskoczyć oknem, ale został pojmany i rozbrojony. Związano mu z tyłu ręce na plecach i rzucono na podłogę twarzą do dołu.

–Wszystko w porządku, ekscelencjo? – spytał mocno zdenerwowany kapral Llosa. Kapral dał rozkaz wejścia i przy pomocy wartowników zdołał wyważyć drzwi, uwalniając mnie od niechybnej śmierci. Tej nocy Andreu okazał się, w pewnym sensie, moim aniołem stróżem.

–W porządku – odpowiedziałem z wdzięcznością.

–Usłyszałem wasz głos, gdy przechodziłem korytarzem. Najpierw pomyślałem, że znów cierpicie na chorobę morską, ale potem zawołaliście o pomoc... Zranił was?

–Nie zdążył – odparłem, próbując bezskutecznie ukryć rozgorączkowanie i alkoholowy zapach z moich ust.

Admirał Calvente wpadł do kajuty z pistoletem w dłoni. Widać było po nim, że właśnie został wyrwany z przyjemnego, głębokiego snu. Za nim wkroczył Martinez z pięcioma żołnierzami uzbrojonymi w długie arkabuzy. Na końcu zjawił się Evola.

–Wasza Ekscelencja dobrze się czuje? – zawołał nerwowo admirał z twarzą zmiętą od poduszki.

–Teraz już dobrze...

–Proszę spojrzeć na ten sztylet, panie admirale – powiedział Martinez, podnosząc z podłogi broń. – Nasz przyjaciel miał wrogie zamiary, jak sędzę. – Kapitan dokładnie zrewidował zatrzymanego, zabrał mu parę rzeczy i szarpnięciem za włosy odsłonił twarz.

–Poznaje go pan? – spytał admirała. Calvente popatrzył i mruknął niechętnie:

–Tak... To ten pasażer na gapę... Głęboka cisza zaległa po słowach admirała.

–Medyk miał rację – rzekł Martinez. – To człowiek z zęzy.

Neapolitańczyk przyklęknął i wyciągnął z kieszeni intruza małą karteczkę. Przedstawiała rysunek pentagramu.

–To czarownik – powiedział Evola. Martinez z żołnierzami przeżegnali się szybko.

–Na miłość boską... Zabrać go pod pokład! – rozkazał

Calvente, chowając broń. – Jutro się nim zajmiemy i wszystko się wyjaśni.

Po tym okropnym zajściu wzmocniono strażę przy moich drzwiach. Nielegalny pasażer został umieszczony pod pokładem z kajdankami na rękach i nogach, daleko ode mnie i od swych mrocznych zamiarów. Morderca zrobił, jak się zdaje, fałszywy krok, i teraz cała załoga będzie mieć wreszcie spokój.

Ale nie na długo.

XII

CZAROWNICE Z MONTPELLIER

33

Twierdzę z całym przekonaniem, że koniec starego roku przyniósł nam więcej kłopotów niż radości, a nie mówię tego o samym świętowaniu, tylko o nieszczęsnym spotkaniu oficerów z różnych galer.

Kapryśny los sprawił, że tego właśnie dnia dotarliśmy do punktu, gdzie nasze galeony miały odłączyć się od reszty floty płynącej do Indii. Admirał Calvente kazał zarzucić kotwice

0 kilka mil od wyspy Trynidad, gdyż uznał za stosowne zorganizować spotkanie pożegnalne dla oficerów, którzy płynęli dalej do Cartagena de las Indias, i jednocześnie uczcić iście po marynarsku Nowy Rok. Ten pocziwy zamiar okazał się żaloszny w skutkach dla naszej załogi, ponieważ witając na naszym pokładzie oficerów z innych statków, przywitaliśmy zarazem nieskończoną ilość pcheł.

Dwadzieścia trzy dni po tym wydarzeniu mogłem stwierdzić, że piekło przybrało formę okrętu. Drapałem się nieustannie

1 wciąż liczyłem bąble na nogach, rękach i głowie. Pchły rozplenily się już dawno na karawelach wiozących zwierzęta, po czym oficjalnie zjawiły się u nas, kiedy Calvente rzucił hasło bratania się; tu już pozostały i szybko rozmnażały się w ciepłe naszych ciał, karmiąc się naszą szlachetną krwią. Mimo to nastroje wśród załogi znacznie poprawiły się po

249

zatrzymaniu Greka Nikosa Xanthopoulosa, bratanka malarza tułacza o przezwisku El Greco. Choć uporczywie twierdził, że jest niewinny i nie ma nic wspólnego z popełnionymi zbrodniami, od czasu jego uwięzienia nikt nie zginął.

Ale ten błogi stan nie trwał długo i wkrótce po inwazji pcheł, kiedy zeglowaliśmy po

brazylijskich wodach, niedaleko miasta Sao Paulo, jeden z marynarzy zachorował na malarię i umarł po kilku dniach. Wieść o malaryku przeraziła nas wszystkich i zmusiła do podjęcia drastycznych kroków. Wrzucono do wody nie tylko zwłoki – zgodnie z marynarskim zwyczajem pochówku, ale też wszystkie rzeczy należące do zmarłego, a statek spryskano wodą różaną i aromatami o rzekomo oczyszczającym działaniu.

Ranek dwudziestego trzeciego stycznia tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku przywitałem w nie najlepszej formie, ujrawszy to, co można by opisać jako czarne morze, choć to nie było morze, tylko rzeka – jak poinformował Andreu – wielka rzeka Parana, sięgająca od horyzontu do horyzontu. W nocy i częściowo o świcie straszna burza przewaliła się nad „Santa Elena”. Duży żagiel poszedł w strzępy, a z masztu mniejszego żagla zostały drzazgi. Czarne morze nie przyjęło nas życzliwie, demonstrując wzburzone ciemne wody, jakby wymiotował je Neptun. Z powodu powstałych uszkodzeń musieliśmy zarzucić kotwicę i poświęcić resztę dnia na naprawy.

Był to niewątpliwie najnudniejszy dzień z całej dotychczasowej podróży; nieruchomy statek, ciągła mżawka i kompletny brak odpowiedniego towarzystwa. Z tego, co wiedziałem, admirał Calvente był pijany i zamknął się w kajucie, żeby przeczekać złowieszczy czas usuwania zniszczeń. Martinez nie rozstawał się z kapelanem, spowiadając się niemal co godzinę, żeby mieć pewność, iż w razie zarażenia się malarią będzie w stanie łaski i zasłuży na dobre miejsce w Królestwie Niebieskim.

W południe stanowczo odmówiłem pójścia na obiad do mesy, bo nie chciałem złapać jeszcze więcej pcheł. Aby nie

tracić czasu, zamówiłem sporą ilość wódki ku wielkiemu zdziwieniu kelnera, który mi ją przyniósł. Nie wypilem jednak ani kropli, tylko przemyłem wódką włosy i całe ciało w desperackiej nadziei, że to pomoże wytepić pchły. Dodatkowo spryskałem podłogę i ściany, żeby raz na zawsze uwolnić się nie tylko od tych dokuczliwych krwiożerców, ale również od wszelkich zarazków malarycznych. Na koniec ległem w rogu łóżka zmożony oparami etylowymi.

Upłynęło wiele dni od czasu, gdy przeczytałem list Anastasii i gdy Xanthopoulos został uwięziony. Przez te wszystkie dni moja głowa pracowała wytrwale, żeby uporządkować informacje, jakie w ten czy inny sposób zdobyłem na temat ksiąg i ich poszukiwaczy. Kardynał Iuliano kazał mi wyciągnąć od Gianmarii miejsce ukrycia Necronomiconu, nie wspominając nic o istnieniu drugiej księgi, dopóki sam nie powiedziałem, że wiem, gdzie heretyk ukrył pierwszą, a i wtedy napomknął o niej tylko zdawkowo. Potem z listu Isabelli Spaziani dowiedziałem się, że druga księga – Szmaragdowy Kodeks – jest bardzo ważna i chyba jeszcze niebezpieczniejsza od pierwszej, ponieważ zawiera klucz do szkodliwych formuł magicznych. Moje przypadkowe odkrycie nie spodobało się w Rzymie, bo zamierzano ukryć przede mną istnienie drugiej księgi. Mój umiłowany mistrz Piero Del Grandę potwierdził znaczenie obu ksiąg, co zresztą sam już wcześniej wydedukowałem ze skąpych informacji kardynała i z materiałów pozyskanych w archiwum inkwizycji. Powiedział mi również o moim pochodzeniu i o bitwie, jaka toczy się o księgi na trzech frontach, co w pełni wyjaśnił mi dopiero list Anastasii. Jak mogłem wywnioskować z rozmowy w katedrze Świętego Wawrzyńca, bitwa ta miała już swego zwycięzcę, którym był sam kardynał Iuliano. Nikt jednak nie wiedział – nawet ja tego nie wiedziałem, dopóki nie poznałem prawdziwego nazwiska czarownicy z Porto-venere – że księgi te przypadkowo pojawiły się w moim życiu już dawno.

Wiele lat temu (mówiąc dokładnie: jedenaście), z racji świeżej

naówczas funkcji inkwizytora generalnego musiałem interweniować w pewnej dziwnej sprawie. Francuski opat zwrócił się bowiem do Świętego Oficjum z prośbą o pomoc. W owym czasie królestwo Francji było rozdarte wojnami religijnymi, protestanci opanowali połowę terytorium i jurysdykcja Kościoła rzymskiego była osłabiona, zwłaszcza na południu kraju, w Montpellier. I właśnie z tej protestanckiej twierdzy, niechętniej katolikom, nadeszło wołanie opata o pomoc. W styczniu tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego roku wyruszyłem z rodzinnej Ligurii w długą i niewygodną podróż do Francji, w towarzystwie mojego notariusza i ucznia Giovanniego D'Orto. Przebrani za kupców, aby uniknąć kontroli hugenotów (jak nazywano francuskich protestantów), przekroczyliśmy granicę na grzbietach oślic i udało nam się dotrzeć do majestatycznego miasta Awinion. Tam skierowaliśmy swe kroki do pałacu nad Rodanem, który był siedzibą papieży w czasach schizmy. W tym miejscu, przypominającym chwałę papieży rządzących przez ponad sześćdziesiąt lat francuskim Kościołem w oderwaniu

od Rzymu i czasy wielkiego wpływu królów Francji na Kościół, oczekiwał nas nieżyjący już dziś opat Vincent Lanvaux, gotów przyjąć z otwartymi ramionami owych kupców, którzy pod świeckim przebraniem skrywali krzyże i odznaki Świętej Inkwizycji. Awinion był dla nas miejscem odpoczynku i schronienia, katolicką enklawą w tym wielkim królestwie nawróconym na protestantyzm.

Opat Lanvaux miał dla nas wszystko, co trzeba dla odświeżenia ciała po nużącej podróży na grzbietach oślic, ale ledwie zdążyliśmy trochę odpocząć, niezwłocznie poinformował o czekającym nas zadaniu.

–Nie wyobrażacie sobie nawet, jak bardzo się cieszę, że was widzę – powiedział.

Miał miłą twarz z zaczerwienionymi policzkami i nosem, być może wskutek nadmiernego upodobania do czerwonego wina, o czym mogliśmy się przekonać już na początku rozmowy, kiedy napełnił trzy szklanice i zdrowo pociągał ze swojej.

–Myślałem, że nigdy do was nie dotrzemy – powiedziałem szczerze – wszędzie pełno protestantów, a ci, jak wiadomo, nie odznaczają się wielką tolerancją w stosunku do duchownych naszego Kościoła.

–Mądry Pan Bóg wysłuchał moich modłów. Jesteście żywym dowodem na to, że Pan jeszcze mnie słucha.

–Ojcie Lanvaux, samo wejście na ziemie protestanckie jest szaleństwem, a co dopiero podróż do centrum hugenotów, żeby przesłuchać parę czarownic...

Lanvaux obdarzył mnie ciepłym uśmiechem.

–Chodzi o coś więcej niż kilka czarownic...

–Więc proszę nam to wyjaśnić...

–Pojedźcie na południe Montpellier, gdzie możecie liczyć na niewielką, a właściwie żadną pomoc z naszej strony i tam trzeba dotrzeć do jednej pani o nazwisku Tourat, madame Tourat, która jest podejrzana o satanistyczne praktyki i czary wywodzące się z jakiejś niezwyklej księgi.

–Jeśli to prawdziwe czary, księga musi być zaiste niezwykła. Pospólstwo zadowala się na ogół zwykłymi sztuczkami, biorąc je za czary – dodałem.

–I dlatego, drogi bracie, sprowadziłem was z Włoch. Samo przesłuchanie dwóch czarownic na wroziej ziemi jest sprawą drugorzędną. Dużo ważniejsza jest księga. Musicie dostarczyć ją do Awinionu razem z właścicielką. Dopiero wtedy zwołamy posiedzenie trybunału i zbadamy jej sztuczki.

–A więc chodzi głównie o księgę – powtórzyłem nieco zaskoczony. – Naprawdę jest taka ważna?

Opat opróżnił szklankę wina jednym łykiem, zanim odpowiedział:

–Musi być ważna, skoro papież natychmiast was tu przysłał, jak tylko mu o niej powiedziałem. Kościół jest tak bardzo zainteresowany tą księgą, że zrobi wszystko, aby do niej dotrzeć. Teraz już wiecie, dlaczego tu jesteście.

Następnego dnia o zmierzchu pożegnałem opata Lanvaux, obiecując rychły powrót. Odpowiedział, że Pan Bóg chce, aby

tak się stało i nie może być inaczej. Liryczny ton i opatrnościowe słowa opata trąciły taką dobrocią i optymizmem, że uwierzyłem w świetlaną przyszłość i poczułem ufność, która potem pomagała mi koić nerwy w chwilach największego napięcia. Z nastaniem nocy mój notariusz i ja znów dosiedliśmy twarde grzbiety oślic i wyruszyliśmy do Montpellier, miasta Wielkiej Czarownicy.

Wykrwawiona, umęczona i zbiedniała Francja – najpierw z powodu długiej wojny z Anglikami, a teraz wskutek konfliktów religijnych między katolikami i protestantami, które pochłonęły już wiele ofiar, licząc od krwawej Nocy Świętego Bartłomieja – odkrywała przed nami ogrom dewastacji. Po przybyciu do Montpellier postanowiliśmy poszukać kwatery poza miastem, aby nie narażać się na ciekawskie spojrzenia protestantów, którzy przy spotkaniu twarzą w twarz bywają bardziej niebezpieczni niż skorpion ukryty pod koszulą. Z dwojga złego woleliśmy zamieszkać w skromnej wiejskiej chacie, którą udało nam się znaleźć za niewielką opłatą.

Tego samego dnia posadziłem Giovanniego na łóżku, żeby wyjaśnić, że tym razem nie będziemy stosować rutynowych metod działania, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni, ponieważ nie mamy nikogo do pomocy. Nie możemy jak zwykle zgłosić się do biskupa, opowiedzieć o naszej sprawie i zadaniu, jakie mamy do spełnienia, żeby ułatwił wszystko, co się z tym wiąże. Teraz możemy liczyć tylko na siebie. Szukać katolickiego biskupa wśród hugenotów, to ryzykować, że obedną nas ze skóry jak zające. Z tego samego powodu nie możemy obwieścić naszego przybycia, jak to zwykle robimy, aby przyciągnąć donosicieli i zdobyć denuncjacje potrzebne do zatrzymania oskarżonych. W tym mieście inkwizycja nie była dobrze widziana. W miarę jak to mówiłem, Giovanni bladł na twarzy i trząsł się ze strachu. Nic dziwnego, miał łagodną naturę baranka, a poza tym był młody i niedoświadczony.

–Mistrzu Angelo... a jak przygotowujemy posiedzenie trybunału?

Popatrzyłem na notariusza niemal z czułością.

–Co ty wygadujesz, Giovanni! Myślisz, że będziemy sędzić w Montpellier? Chyba nie dość jasno się wyraziłem. Nie będzie sądu ani przesłuchania, nie mamy tu parafii i kościołów. Pozostaniemy w ukryciu tak długo, jak się da.

–No to jak znajdziemy te czarownice? – wypytywał mój naiwny notariusz.

–Rusz głową, Giovanni! Pomyśl trochę!

Miałem ochotę potrząsnąć nim, żeby głowa zaczęła pracować.

–Nie wiem... – wzruszył ramionami.

–Nie możemy nikogo poprosić o pomoc ani ściągnąć czarownic siłą, prawda?

–Tak, mistrzu.

–No więc, skoro one nie przyjdą do nas, to my... – przerwałem, czekając, aż notariusz sam dokończy zdanie.

–To my pójdziemy do nich? – dokończył Giovanni nie bez trudu.

–Brawo, Giovanni! My pójdziemy do nich.

–Jak to? Sami mamy polować na czarownice?

–Tak jest. Ale nie martw się, nie zrobimy z tego wielkiej procesji.

–Nie rozumiem, mistrzu. To jak to będzie?

–Użyjemy podstępów. Udamy, że potrzebujemy ich usług, zdobędziemy ich zaufanie, a potem... złapiemy je!

–Ale jak? Jak chcecie to osiągnąć? – pytał chłopak, dając dowody większego realizmu niż ja. Podumałem przez chwilę i nic nie przychodziło mi do głowy.

–Nie wiem, Giovanni. Bóg nam podpowie – zakończyłem.

Skoro żaden podręcznik nie mówi, jak inkwizytor ma złapać swojego heretyka, to na pewno z punktu widzenia wiary i doktryny wszystko jest dozwolone. Można nawet podszywać się pod heretyków, byle dotrzeć do korzeni zła. Była to pierwsza wielka lekcja, jaką musiał przyswoić sobie mój młody uczeń. Niewątpliwie zatręła jego umysł i doprowadziła do śmierci.

–Uważaj na diabla! – powiedziałem mu tej nocy na zakończenie rozmowy.

–Będę się starał, mistrzu – odparł Giovanni.

–Weźmiemy udział w sabacie, gdzie przyjdzie zmierzyć się z samym diabłem. Pamiętaj, że demon raz pokonany wraca potem z siedmioma innymi demonami, a ci są jeszcze gorsi i bardziej odrażający od pierwszego. Rozumiesz, Giovanni?

–Rozumiem, mistrzu – odrzekł z przekonaniem.

W dwa tygodnie potem mieliśmy już dojście do czarownicy i zdobyliśmy jej zaufanie na tyle, by otrzymać zaproszenie na jeden z najbliższych seansów. Byliśmy umówieni w kamienicy w centrum Montpellier na sabat celebrowany przez samą madame Tourat.

–Kto będzie twym przewodnikiem, Giovanni? – zadałem chłopcu takie samo pytanie, jakie kiedyś postawił mi ojciec Piero.

–Jezus Chrystus, nasz Pan, mistrzu – odpowiedział z pasją.

–Kto cię obroni przed pokusami Złego, Giovanni?

–Mój Anioł Stróż.

–Kogo masz za Anioła Stróża, Giovanni?

–Michała Archanioła, który szpadą pokonał demona, mistrzu!

–Od czyjej szpady ginie demon, Giovanni? – egzaminowałem go dalej.

–Od szpady Kościoła, mistrzu!

–Pamiętaj: masz tarczę wiary, hełm zbawienia i szpadę Ducha Świętego. Żadne zło ci się nie oprze, a Chrystus złoży je u twych stóp, tak samo jak innych wrogów. Jasne? Zrozumiałeś?

–Tak, mistrzu!

–To dobrze. Wystarczy. Zabieraj swoje rzeczy. Idziemy polować na demony.

Tego samego wieczoru zgłosiliśmy się jako genueńscy kupcy, poszukujący magicznych wywarów na wywołanie ekstazy i rozkoszy ciała (wszyscy wiedzieli, że każda czarownica umie

sporządzać coś takiego) i zaprowadzono nas od razu na trzecie piętro, gdzie czekało już sporo osób. Wszyscy siedzieli. Zapłaciłem z góry piętnaście dukatów za próbkę wywaru; lepszego dowodu herezji nie mogłem sobie wyobrazić.

–Trzymaj się blisko mnie – szepnąłem Giovanniemu, gdy tylko znaleźliśmy się w grupie oczekujących na rozpoczęcie sabatu.

Notariusz uśmiechnął się. Punktualnie o północy pogaszono prawie wszystkie światła i weszła do salonu Wielka Wiedźma. Była nią madame Tourat, czarownica z Montpellier. Miała na sobie długą, czarną suknię godną arystokratki; głęboki dekolt odsłaniał białe, jędrne piersi, choć miała ponad czterdzieści lat. Na piersiach wisiał medalion z pentagramem. Tak rozpoczął się niezwykle rytuał, w którym uczestniczyłem razem z Giovannim; coś kuszącego i przerażającego jednocześnie.

Na podłodze pośrodku salonu widniał rysunek utworzony z mąki. Przedstawiał satanistyczny ornament, taki sam jak ten, który ozdabiał dekolt czarownicy: pięcioramienna gwiazda wpisana w obwód koła, na którym ustawiono pięć czerwonych świec, po jednej w każdym rogu gwiazdy. W ślad za wiedźmą weszła do salonu półnaga młodziutka dziewczyna, położyła się na pentagramie z rozkrzyżowanymi ramionami i rozsunęła nogi tak, żeby dotykały dolnych rogów gwiazdy. Madame Tourat kazała jednej z pomocnic zarzącić czarnego koguta i zrosić ciało leżącej krwią tryskającą strumieniami z koguciej szyi. Potem powiedziała:

–Ogłaszam otwarcie sabatu. My, czarownice, służki pięknego i uwodzicielskiego, kłamliwego i ziemskiego Księcia Ciemności, zgromadziłyśmy się tutaj przed wami, żeby zaspokoić wasze pragnienia i potrzeby, prośby i żądze.

Oprócz nas dwóch było jeszcze siedmiu innych mężczyzn, którzy słuchali jak zaczarowani słów wiedźmy, a krew koguta wciąż kapiała na skąpe ubranie dziewczyny, które zaczęło się przyklejać do ciała i uwydatniać ponętne kształty. Madame Tourat ciągnęła lubieżnym głosem:

–Uwierzcie mi, gdy mówię, że wasze problemy mają rozwiązanie. Uwierzcie mi, gdy mówię, że prośby ludzkie są wysłuchiwane na ziemi, a nie w niebie. Uwierzcie mi, gdy mówię, że żądze cielesne znajdują ukojenie tylko w królestwie ciała, a nie w królestwie ducha. Prośmy więc króla wszystkich ziemskich królestw, aby nas namaścił, udzielił nam swej mocy i pozwolił cieszyć się łaską. Czcijmy go, a otrzymamy to, czego szukamy, zwracajmy się do niego, bo szybko odpowiada na nasze prośby. Wezwijmy króla, wezwijmy Lucyfera.

Madame weszła w pentagram i zapalając po kolei każdą z pięciu świeczek, deklamowała żarliwie:

–Zjaw się, Lucyferze, przyjdź do swych czarownic, przyjdź do swoich służek. Zjaw się, Lucyferze, przyjmij ofiarę z naszych ciał na tym ołtarzu z ciała i krwi. Uświęć ten sabat swą obecnością i ściemnij noc, żeby była dla nas zasłoną! Daj moim czarom moc. Niech twoje słowa płyną przez me usta. Objaw swą potęgę w moim ciele!

Po zapaleniu ostatniej świeczki uśmiechnęła się do siebie i wymamrotała zaklęcie w łacinie ludowej z błędami i złą intonacją, rażącą moje uszy, ale reszta zgromadzonych odebrała to jako wzniosłą sentencję, dowód nieogarnionej mądrości. Wymówione zaklęcie oznaczało: „To jest prawda, cała prawda, na pewno i bez kłamstwa: To, co jest na dole, jest takie jak to, co jest na górze, a to, co jest na górze, jest takie jak to, co jest na dole. Poprzez to dokonują się wszelkie cuda. I tak jak wszystkie rzeczy istnieją w Jednym i pochodzą od Jednego, które jest najwyższą Przyczyną, poprzez mediację Jednego, tak wszystkie rzeczy są zrodzone z Jednej Rzeczy przez adaptację. Słońce jego ojcem, Księżyc matką, wiatr nosił go w swym łonie. Ziemia jest jego żywicielką i strażnikiem". Słowa te parzyły mi uszy i zapadły głęboko w pamięć, bo wyczułem, że to tylko mała próbka zawartości posiadanej przez nią księgi.

–Proszę państwa... Lucyfer już jest między nami – stwierdziła czarownica, przesuwając powoli złe oczy po wszystkich obecnych; część wstępna sabatu została zakończona.

Giovanni rzucił mi wystraszone spojrzenie; widziałem, że jest przerażony do szpiku kości. Madame kontynuowała:

–Nasze dzisiejsze spotkanie ma tylko jeden cel: magiczne poszukiwanie rozkoszy. Wszyscy o to prosiliście. Może nie?

Większość zebranych uśmiechnęła się bojaźliwie, potakując głową w milczeniu.

–Dobrze, a więc proszę się przygotować, gdyż otrzymacie to, po co przyszliście...

Młoda, urodziwa uczennica podsunęła jej matowe naczynie z drewnianym moździerzem, narzędzie alchemika. Przykucnęła i czekała na dalsze słowa mistrzyni.

–Tu jest sekret, którego szukacie: wywar miłosny, napój pożądania. Ale nie myślcie, że dam popróbować jak na jarmarku. Sabat to nie jest spotkanie handlowe, ale schadzka ze Złym, z Panem Królestw Ziemi, Lucyferem, z nami wszystkimi – zakończyła, pokazując na swych pięć uczennic.

W coraz szerzej otwartych oczach Giovanniego rosło przerażenie zmieszane z zachwytem. Może dlatego madame Tourat wybrała go spośród innych.

–Ty. Podejdź bliżej. Giovanni zbladł.

–Ja? – zapytał, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

–Tak, ty – potwierdziła czarownica.

Młodzieniec spojrział na mnie. Nie wiedziałem, co robić. Nie wzięliśmy pod uwagę, że przyjdzie nam aktywnie uczestniczyć w sabacie, ale nieszczęście i fatalizm losu podjęły za nas decyzję. Dałem mu oczami lekki znak przyzwolenia i Giovanni podszedł bliżej kręgu pentagramu, gdzie wyciągała swe macki madame Tourat.

–Jesteś Genueńczykiem, prawda? – spytała, kiedy stanął koło niej.

–Tak... – wyszeptał młodzieniec.

–Przyszedłeś po napój miłosny, prawda?

–Tak – odparł młodzieniec niezdolny wyartykułować cokolwiek innego poza monosylabami.

–Dam ci popróbować wywaru, żeby inni mogli ocenić efekty działania. Zaraz coś zobaczycie.

Patrzcie uważnie...

Po tych słowach pierwsza uczennica przysunęła się na klęczkach do stóp Giovanniego i delikatnie zdjęła mu spodnie. Wyjęła mu członek i włożyła sobie do ust. Pracowała nad nim z wprawą i oddaniem prostytutki, ale bez żadnego efektu, bo chłopak był tak spięty z przerażenia, że jego męskość nie miała szans się ujawnić.

–Widzicie? – rzekła madame Tourat. – Brak podekscytowania w tym wypadku jest rzeczą naturalną. Trudno ulec pożądaniu, kiedy zawiodą nas zmysły. Nieraz to wręcz niemożliwe, nawet gdyby się było królem rozplodowców.

Dziewczyna przerwała fellatio, którego jedynym efektem była strużka śliny na członku Giovanniego. Chłopak słuchał Wielkiej Czarownicy w zawstydzeniu z nieprzytomnym spojrzeniem. Został wybrany, żeby inni mieli z tego zadowolenie, a nie on. W tym momencie madame Tourat dała mu się napić wywaru z mózdzierza i trzeba przyznać, że nie skąpiła poczęstunku. W salonie zaszumiało: wszyscy chcieli zobaczyć, co dzieje się po wypiciu magicznego napoju. Skutki nie dały na siebie długo czekać: młody notariusz zaczął bredzić, jakby postradał rozum, i zachowywał się w sposób nie do poznania. Złapał dziewczynę za uszy, zmuszając do kontynuowania fellatio. Ale to nie wszystko...

Nagle wstał. Niepohamowany jak bestia odepchnął uczennicę, podbiegł do dziewczynki zbryzganej kogucią krwią, leżącej na pentagramie. Zerwał z niej resztki ubrania i obmacywał lubieżnie, aż dotarł do dziewczęcego sromu. Widowisko okazało się miłym zaskoczeniem dla zgromadzonych. Dookoła rosło podniecenie. Pragnąłem, żeby ziemia rozwarła się u mych stóp i pochłonęło mnie piekło. To moja wina, że Giovanni poważyl się na tak straszliwe bluźnierstwo. Byłem tego pewien.

–Patrzcie! Obserwujcie, co za ogień bucha z tego chłopca. Podziwiajcie cudowne dary królestwa diabelskiego – wołała rozegzaltowana madame Tourat, sama najbardziej podniecona obscenicznym widowiskiem.

Giovanni był na skraju paroksyzmu, kiedy wchodził w pokrwawioną dziewczynkę, która leżała nieruchomo, nieobecna duchem. Do orgii przyłączyła się urodziwa pupilka, starając się uszczknąć coś dla siebie. Madame Tourat wraz z innymi uczennicami utworzyły krąg wokół tej trójki, obserwując uważnie każdy gest Giovanniego. Kiedy zorientowały się po wyrazie jego twarzy, że lada moment nastąpi wytrysk, madame Tourat szybko przyklęła, wyrwała członek młodzieńca spomiędzy ud dziewczynki i włożyła go sobie do ust, żeby przyjąć rwący strumień nasienia. Gkwanni padł wyczerpany na podłogę, uczennice na próżno próbowały go jeszcze ożywić i zachęcić do nowych swawoli, podczas gdy madame Tourat łykała spermę z widocznym zadowoleniem.

Był to zaledwie początek niesamowitej orgii, która rozkręciła się na dobre, kiedy wszyscy spróbowali wywaru. To, co się działo, było oczywistym kultem diabła, który – choć sam niewidoczny – uwidaczniał się w zachowaniu swych wasali. Tej nocy znienawidziłem heretyków ze wszystkich sił, jak zarazę, i zrodziła się we mnie bezgraniczna fobia wobec kobiet, ich odrażających, lubieżnych ciał, które pozbawiają cię człowieczeństwa i zamieniają w jeszcze jedną bestię pośród stworzeń. Zapragnąłem żyć długo i w dobrym zdrowiu tylko po to, żeby zmieść z powierzchni ziemi te nędzne pasożyty i doprowadzić je tam, gdzie ich miejsce: na stos.

Podniecona madame Tourat rozmazywała sobie na piersiach nasienie swoich gości i korzystała z każdej okazji, by podsuwać biust mężczyznom w stanie ejakulacji. Na koniec, kiedy wszyscy legli znużeni w fotelach lub na podłodze, Wielka Czarownica podeszła do mnie.

–Nie wypił pan wywaru. Dlaczego? Czy jest jakaś przeszkoda? – odezwała się, stojąc przede mną całkiem naga z bryzgami spermy na ciele.

–Nie ma żadnych przeszkód – odparłem obrzucając jej ciało spojrzeniem – ale nie odpowiada mi moment ani miejsce.

Wiedźma kusiała dalej.

–Nie odpowiada panu to miejsce – spytała, pokazując rozwarty srom.

–Miejsce może być, ale nie teraz – rzekłem, udając podziw dla różowego krocza.

–Czy to pan zapłacił piętnaście dukatów za coś, czego nawet pan nie spróbował?

–Piętnaście dukatów to dla pani dużo pieniędzy? – zapytałem z uśmiechem.

Pułapka była gotowa.

–Jasne, że dużo – odparła czarownica.

–A więc nie odrzuci pani pięćdziesięciu dukatów... jeśli powiem, że w zamian pragnę wypróbować działanie wywaru sam na sam z panią – kontynuowałem, a oczy madame Tourat zabłyły na dźwięk mych słów. Podeszła jeszcze bliżej i skarciła mnie żartobliwie, szepcząc kusząco do ucha:

–Widzę, że nie żałuje pan pieniędzy, żeby pofolgować chuci, kawalerze.

–Mam w tym kupiecki interes. Co prawda handluję jedwabiem, ale zamierzam poszerzyć swą działalność... do spółki z panią.

–W jakim sensie, panie...? – spytała madame Tourat. Najwyraźniej udało mi się rozbudzić w niej zainteresowanie.

Moja strategia zaczynała przynosić owoce.

–Angelo. Po prostu Angelo.

–Dobrze, Angelo. Czego oczekuje pan ode mnie oprócz tego, co widział pan tej nocy?

–Chcę, żeby pani urządziła takie zebrania jak to na mojej ziemi. Chcę sprzedawać ten wywar w całych Włoszech, a nawet w imperium tureckim, w Grecji i na Ziemi Świętej. A pani będzie właścicielką fortuny i posiadłości ziemskich oraz moją protegowaną w Genui. Pomogę pani wejść do najlepszego

towarzystwa, dzięki czemu pomnoży pani swój majątek i zyska wiele przyjemności.

–Od czego zaczynamy? – spytała madame Tourat gotowa na wszystko, nie spuszczając z oka moich warg.

–Spotkanie we dwoje. Bez gości. Tylko pani i ja.

–Jakiego rodzaju spotkanie? – szepnęła podniecona i zarazem podniecająca.

Uśmiechnąłem się lekko.

–Takie, żebym mógł pić z pani „naczynia”, madame Tourat – odpowiedziałem, wpatrując się bezwstydnie i lubieżnie w jej wzgórek łonowy.

Czarownica roześmiała się.

–Spotkanie z panem będzie prawdziwą przyjemnością. Kiedy?

–Jutro wieczorem. U pani w domu.

–Zgoda. Zobaczymy, czy powiedzie się nam w interesach... Otrzymam na początek obiecane pięćdziesiąt dukatów?

–Oczywiście. To będzie drobna zaliczka na konto wspaniałej kariery nowej czarownicy włoskiej.

Tak jak uzgodniliśmy, następnego dnia pojawiłem się w jej domu. Nawet nie podejrzewała, że podpisała na siebie wyrok śmierci.

34

Przybyłem punktualnie na umówione spotkanie jak człowiek interesu zaciekawiony nowym przedsięwzięciem, po którym obiecuje sobie korzyści nie tylko handlowe. Na początku madame Tourat nieufnie rozglądała się dokoła, czy ktoś mi nie towarzyszy; z pewnością obawiała się zasadzki. Przekonał ją wyraz zadowolenia na mej twarzy, jaki przybrałem na jej widok. Na wszelki wypadek zapytała:

–Sam pan przyszedł, prawda?

–Oczywiście, madame. Już powiedziałem, że to sprawa

między nami. Tylko pani i ja – odparłem z kurtuazją. Czarownica szybko ułożyła usta w rutynowy uśmiech i otworzyła szerzej drzwi.

–W porządku, Angelo. Twoja propozycja bardzo mnie zaintrygowała. Chętnie wysłucham, co masz do powiedzenia.

–Powiedziałem już prawie wszystko. Teraz możemy przejść do szczegółów naszego przedsięwzięcia.

Madame Tourat słuchała uważnie.

–Będę szczery. Podzielimy się zyskami po połowie.

–Na czym ma polegać moja praca, Angelo?

–Pani będzie urządzić w bezpiecznych miejscach takie zebrania jak to wczorajsze, przygotowywać magiczne wywary i dostarczać rozkoszy.

Wiedźma pogładziła medalion i spytała oględnie:

–Skąd pan wie, że w pańskim kraju będę szczęśliwsza i powiecie mi się lepiej niż tutaj? Co zyskam, przenosząc się do Genui?

–Mam możliwych przyjaciół i klientów, madame, gotowych wydać fortunę na magiczną noc, noc rozkoszy, noc czarów. Czy nie byłoby przyjemnie tarzać się w pieniądzach po każdym sabacie?

–Hm... brzmi kusząco... Ale co na to Kościół i inkwizycja?

–Wszak hugenoci też prześladują czarownice.

–To prawda, Angelo, ale tutaj znam każdą dziurę, wiem, gdzie się ukryć. W Genui nie mam takich możliwości. Gdzie się podzieję, gdy przyjdzie uciekać przed gorliwymi katolikami, fanatykami religii? – Mówiła o ludziach mego pokroju.

–Zamieszka pani u mnie, madame, proszę się o to nie martwić. Mury mojej rezydencji zapewnią pani bezpieczeństwo. Posiadam starą fortecę na obrzeżach miasta. Idealne miejsce na magiczne seanse. Tam będzie pani bezpieczniejsza niż królowa w swym pałacu.

–Widzę, że umie pan dobijać targu – rzekła czarownica z nieufnym uśmiechem. – Świetny z pana kupiec albo... znakomity oszust.

Popatrzyłem jej w oczy, wyciągając z kieszeni płaszcz wypchaną sakiewkę.

–Proszę bardzo.

–Co to? – mruknęła, nie rozumiejąc mego gestu.

–Pięćdziesiąt złotych monet, tak jak obiecałem minionej nocy? Zapomniała pani?

W chciwych, szeroko otwartych oczach wiedźmy pojawił się błysk – niemy wyraz tłoczących się w głowie myśli. Od razu zmieniła zachowanie. Bez wątpienia zależało jej na pieniądzach, zresztą sama to powiedziała wczoraj.

–Zarobi pani tyle na czarach dla wieśniaków? – spytałem z miną zblazowanego kupca. Po raz pierwszy grałem jakąś rolę i muszę przyznać, że świetnie mi to szło.

Czarownica podumała w milczeniu i oznajmiła stanowczo:

–Zgadzam się.

Połknęła haczyk do końca. Teraz powinienem użyć podstępu, żeby w pełni wykorzystać sprzyjającą sytuację. Nie zapomniałem, że oprócz wiedźmy mam dostarczyć podręcznik z zaklęciami, będący w jej posiadaniu. Musiałem się upewnić, że zabierze go w podróż. Teraz należało poprowadzić śledztwo pod tym kątem, więc zmieniłem temat rozmowy.

–Pewnie wydam się pani niedyskretny. Nie musi pani odpowiadać, jeśli nie ma pani ochoty. Ale naprawdę jestem ciekaw, jak robi się te wywary i skąd pochodzą zaklęcia dające tak niezwykle rezultaty.

–Rzeczywiście, jest pan niedyskretny. Pyta pan o tajemnicę zawodową, powiem więcej: jest to moja tajemnica. Nie zdradzę jej nawet inkwizycji – pochwaliła się, demonstrując poczucie wyższości.

Już wkrótce miała pożałować tych słów.

–Rozumiem, że taka tajemnica musi być dobrze strzeżona, ale nie uwierzę, że nie ma pani jakiejś dobrej księgi, proszę nie zaprzeczać.

–Mam coś lepszego.

Uznawszy rozmowę za zakończoną, wstała z miejsca, wyjęła piersi na wierzch i zbliżała się do mnie kusząco.

–Niech pan popatrzy na moje sutki. Jak twardnieją... Podobają się panu? Moje ciało jest świątynią, w której składam ofiarę magii i pożądaniu...

Czarownica stanęła tuż przy mnie, wzięła mnie za rękę i zaczęła ssać moje palce, a potem położyła je sobie na piersiach.

–Poczuj, jak podnieca się moje ciało. Pragnę, żebyś mnie dosiadł jak klaczy, uczyni, co obiecałeś, napij się z mego gorącego naczynia – mówiła uśmiechnięta, pocierając o sterczące sutki moje zaślinione palce. – Dopełniłeś części przyrzeczenia, teraz moja kolej. Przyjmij zaliczkę na konto tego, co możesz mieć codziennie, gdy ruszy nasze wspólne przedsięwzięcie.

Zacząłem gwałtownie myśleć, jak postąpić, żeby to wyglądało naturalnie i nie budziło podejrzeń, żeby nie zepsuć efektów wykonanej pracy. Musiałem inteligentnie wydostać się z pajęczyny rozpusty, jaką ta kobieta utkała wokół mnie.

–Jest pani gotowa wyruszyć ze mną do Genui? – wyszeptalem urywaniem głosem.

–Oczywiście... to już postanowione – mruknęła czarownica, muskając oddechem moje usta. Uklękła i poszukała w spodniach mego członka.

–Pragniesz mnie, Angelo, widzę, że bardzo mnie pragniesz – zaczęła go delikatnie pieścić i zaraz mocno złapała. – Chodź do mnie. Mam dla ciebie dobre miejsce.

Z lekkim drżeniem dotknąłem jej nadgarstka, żeby powstrzymać ruchy ręki i desperacko perswadowałem:

–Dla mnie najważniejsze jest w tej chwili nasze przedsięwzięcie. Wszystko inne odkładamy na potem, droga madame Tourat. Zamierzam wyruszyć w drogę jeszcze dziś. Nie traćmy czasu.

–Dziś to niemożliwe. Muszę zwołać moje uczennice i zapakować książki.

–Niech się pani pospieszy... Wyjedźmy stąd jak najszybciej.

Dopiero teraz przestała i popatrzyła na mnie zdziwiona.

–Jak to? Nie chcesz mnie posiąść? Nie chcesz nasycić mną zmysłów aż do wyczerpania?

Odpowiedziałem na to z determinacją gladiatora i niezachwianą powagą dominikanina:

–Jeszcze nie teraz. Potem będzie na to czas.

O dziwo, czarownica wybuchnęła śmiechem, niezrażona moją odmową. Wbrew pozorom mój opór okazał się jeszcze jednym dowodem na to, że zawarliśmy poważną transakcję. Półtorej godziny później stawiała się w towarzystwie dwóch uczennic z kufrem pełnym książek, żeby wyruszyć do ziemi obiecanej, do Genui.

Przy pomocy Giovanniego z wielkim trudem i dużym wysiłkiem fizycznym udało mi się związać kobietom nogi i ręce, wymierzywszy im najpierw po kilka policzków. Mój uczeń wynajął na podróż nędzną karetkę, do której wsadziliśmy czarownice z bagażami. Po całonocnej podróży dotarliśmy do celu, który był bardzo oddalony od obiecanej Genui; byliśmy w Awinionie. Opat Lanvaux wysłuchał mej relacji z zapartym tchem i nie wierzył własnym oczom: inkwizytor wrócił z pełnymi rękami.

–Dobrze, Giovanni, porozmawiajmy o tym, co zapamiętałeś z sabatu z tymi dziewczuszkami? – spytałem, kiedy urządziliśmy się w pałacu papieskim. Wcześniej nie chciałem grzebać w tych nieszczęsnych wspomnieniach, zresztą nie miałem czasu, ale dłużej nie można było tego odkładać, bowiem w sali tortur mój uczeń ponownie spotka czarownice. Wezwałem go więc na rozmowę do pałacowej kaplicy.

–Nic nie pamiętam, mistrzu... zupełnie nic. – Giovanni zrobił się taki czerwony, jakby siedział w piecu, a nie w lodowato zimnej kaplicy, gdzie raczej powinien marznąć.

Było oczywiste, że kłamie.

–Nic? Chcesz powiedzieć, że nie zachowałeś żadnych wspomnień? Zastanów się.

Giovanni przygryzł dolną wargę i słabo zaprzeczył ruchem głowy.

–Jeśli chcesz przede mną ukryć to wspomnienie, to znaczy że się boisz, jeśli boisz się mnie, to jeszcze większy lęk poczujesz przed Naszym Panem Jezusem Chrystusem – powiedziałem poważnie, usiłując namówić go do spowiedzi niezbędnej do oczyszczenia duszy.

–Mistrzu... Byłem pod działaniem wywaru... To było silniejsze ode mnie, zachowałem się jak zwierzę... Ja nie chciałem...

Popatrzyłem na niego jak na ministranta, który zszedł na manowce, i wtedy zrozumiał, że nie znajdzie miłosierdzia, jeśli będzie upierać się przy kłamstwie.

–Kłamiesz, Giovanni – stwierdziłem oschle i srogo. Giovanni pochylił głowę i wybuchnął płaczem, a ja nadal mówiłem do niego tym samym tonem. – Co chcesz wyrazić łzami, czego nie możesz powiedzieć słowami?

–Sami chcieliście mistrzu, żebym poszedł – odparł chłopak. – To nie moja wina, że zostałem wybrany przez wiedźmę. Tak bardzo pragnę, żeby można było cofnąć czas, żeby to się nigdy nie zdarzyło! Zrobiłem to, bo zabraliście mnie na sabat, do sali pełnej czarownic.

–Nie należy mylić obowiązków ze słabością. Nie pytam, dlaczego przystałeś na moją prośbę, nie mówię nic o posłuszeństwie. Pytam, jak ci było z czarownicami. – Młodzieniec westchnął wyczerpany, zanim odpowiedział.

–Dobrze jak nigdy przedtem, mistrzu – powiedział wreszcie, błędząc wzrokiem po suficie kaplicy.

Znów się rozplakał.

–Dobrze, że nie kłamiesz.

–I co teraz? – wydusił z siebie mój uczeń, okazując niepokój, który musiał go dręczyć od kilku dni.

–Pociesz się, Giovanni, wyznałeś prawdę i to wyznanie cię uratuje.

–Mistrzu... Nie kryłem tego przed wami ze strachu, tylko ze wstydu. Nie chciałbym stracić waszego zaufania.

–Giovanni, twoja wiara cię uratowała. Zostałeś moim notariuszem, bo w ciebie wierzę. Wybrałem cię na ucznia, bo jesteś taki jak ja w twoim wieku. Teraz nic nie ukrywasz, nic, z czego powinieneś się wypowiadać. Nie ukrywasz przed sobą ani przede mną, ani przed Jezusem, naszym dobrym Nauczycielem.

Młodzieniec padł do moich stóp, obejmując mnie za kolana. Poglaskałem go serdecznie po głowie i powiedziałem surowo:

–Daj mi rękę i módl się, aby oczyścić się z grzechów cielesnych.

Wyjąłem z sutanny leszczynową różgę i zacząłem uderzać go po palcach. Z każdym uderzeniem mój umysł szukał desperacko własnego ukojenia: musiałem przywrócić Giovanniemu czystość duszy, jaką miał przed upadkiem. Przed upadkiem, do którego ja sam niechcący się przyczyniłem. Mój umiłowany uczeń, młodzieniec, w którym ulokowałem swoje nadzieje i uczucia. Którego pragnąłem chronić przed wszelkim złem. Przerwałem karę dopiero wtedy, gdy czerwona, spuchnięta ręka wyglądała tak samo jak jego członek podczas orgii w Montpellier.

35

Madame Tourat kwiczała jak zarzynane prosię, kiedy wskutek nowego obrotu koła rozwierały się w jej odbycie kolejne płatki „weneckiej gruszki”, narzędzia męki skłaniającego bezbożne wiedźmy do szybkich zeznań.

–Litości! Powiedziałam już wszystko, co wiem! – rozległ się gardłowy ryk czarownicy.

–Jeśli dobrze pamiętam, twierdziłaś, że nawet inkwizycji nie powiesz o księdze, z której czerpiesz swoje zaklęcia – odparłem z sarkazmem. – Zgadza się?

Czarownica ciężko dyszała na ławie tortur, zastanawiając się, co powiedzieć. Jasne, że pamiętała dokładnie swe słowa, dźwięczały jej w uszach jak świeżo wypowiedziane. Ale to było wtedy, gdy czuła się całkowicie bezpieczna i nawet nie

269

podejrzewała, że słucha jej inkwizytor w przebraniu. Teraz przyszło jej za to zapłacić.

–Nie wiedziałam, co mówię – przyznała wreszcie.

–Co to za księga, madame Tourat? Chcę wiedzieć! – miałem już dość jej wykrętów.

–Znajdźcie ją w kufrze! Weźcie ją sobie! – krzyknęła zdesperowana wiedźma.

–W kufrze jest dużo ksiąg. Mów, która z nich zawiera te specjalne zaklęcia.

–Jest w ciemnej okładce... Tak... To ta księga! Kazałem oprawcy wykonać półtora obrotu i natychmiast dał

się słyszeć rozdzierający krzyk. Metalowe płatki „weneckiej gruszki” rozrywały wiedźmie odbytnicę, rozszerzając ją do granic możliwości. Opat Lanvaux nie wytrzymał i odwrócił wzrok.

–Smaragdowy Kodeks] – krzyknęła czarownica ze wszystkich sił.

Spojrzałem na notariusza. Giovanni notował wszystkie słowa włącznie z tajemniczym tytułem, który usłyszeliśmy; lewą ręką z obandażowaną dłonią, która wciąż była spuchnięta od chłostania różgą, dał mi znak, że wszystko jest jak należy.

–Przynieście ją – poleciłem i kazaliśmy natychmiast zamknąć płatki „weneckiej gruszki”.

Madame Tourat odetchnęła z ulgą, nie czując narzędzia tortur w odbycie.

–Macie, co chcieliście. Co teraz będzie ze mną? – spytała czarownica.

Rzuciłem jej zdumione spojrzenie i odpowiedziałem:

–Czyżbyś sądziła, że to koniec przesłuchania? Takie mam wrażenie – oznajmiłem, patrząc jej prosto w oczy.

–Dostaliście księgę. Jeszcze wam mało? – spytała czarownica. Z jej oczu wyzierał strach.

–Koniec bólu nie oznacza końca śledztwa. Nie należy mylić tych dwóch rzeczy. To duży błąd...

Czarownica zmarszczyła czoło i spojrzała nieufnie.

–Czego ode mnie chcecie? Dałam wam wszystko: moje\ księgi, sekret moich wywarów...
Czego jeszcze chcecie?

–Masz zeznać, że jesteś czarownicą i heretyczką. Tego chcę – rzekłem stanowczo.

–Po co wam moje zeznanie? Przecież wszyscy wiedzą, że uprawiam herezję.

–Owszem, ale chcę to usłyszeć z twoich ust, żeby zapisać w księdze protokołów. To zwykła formalność – powiedziałem, próbując oszukać wiedźmę, która dobrze wiedziała, po co mi jej zeznanie.

–Co mnie czeka potem?

–Umrzesz na stosie.

Przerażona czarownica wytrzeszczyła oczy, zmieniła się na twarzy i krzyknęła jak szalona:

–Przecież wszystko wyznałam! Odpowiedziałam na wszystkie pytania! Nie możecie mi tego zrobić!

–Dlaczego nie mogę? – spytałem, nie ukrywając triumfalnego uśmiechu.

–Przecież współpracowałam... – bąknęła coraz bardziej przerażona moim nieprzejednaniem.

–Współpracowałam sama ze sobą, powiedzmy, że dla dobra własnego sumienia, żeby nikt więcej nie padł ofiarą twoich zaklęć i twoich ksiąg. Nie współpracowałam ze mną, robiłam to dla swego zbawienia.

–Dla zbawienia...? To jakieś szaleństwo! Chcecie mnie zabić! Co mam zrobić, na miłość Boską, żeby wyrwać się z tego waszego obłąkanego kręgu?!

–Nie mogę cię posłać na stos, dopóki nie złożysz zeznania. Madame Tourat zaniemówiła. Po chwili spytała zaskoczona:

–Sugerujecie, żebym nie przyznawała się do herezji?

–Tak jest.

–Więc się nie przyznam.

–Owszem, madame Tourat. Przyzna się pani – powiedziałem uśmiechnięty. Następnie zwróciłem się do kata: – Przynieś kleszcze...

Sluchajac ostatnich slow czarownicy przypomnialem sobie scene z sabatu, jak rzucila urok na Giovanniego i chlopak postradal rozum. Wiecej nie trzeba bylo, zeby wzbudzic moj gniew. Z rozpalonego do bialosci zelaza bilo duszace goraco. Przed uzyciem cegi lezaly dluzszy czas na rozzarzonych wenglach. Wszyscy odczuli w pomieszczeniu wzrost temperatury. Zelazo iskrzylo, kiedy niesiono je przez sale, niczym sztandar piekielnej procesji. Wszyscy wyobrazali sobie, jak straszliwy musi byc bol zadany takimi cegami; wszyscy oprócz kobiety, która odczula je na własnym ciele.

Powoli rozpinalem jej kaftan, delektujac sie tą chwila do ostatniej haftki. Biale, ponętne piersi wyskoczyly nagie naprzeciw spojrzoniom zgromadzonych osób. Spojrzalem w jej oczy jak zakochany, po czym przenioslem wzrok na sutki. Wystarczylo przytknac zelazo, aby sale obiegly silny, nieprzyjemny zapach przypiekanego ciała, któremu towarzyszył nieludzki krzyk. Jeden sutek przestal istniec, choc jeszcze przed chwila wygladal slodko jak różowy kwiat. Wystarczylo lekko wziac w cegi druga pierś, aby uzyskac zeznanie tak wyraźne i glosne, ze uslyszeliby je nawet glusi wspolbracia z mojego opactwa. Giovanni obserwowal tę scene z lekkiem, niechęcią i smutkiem. Nie rozumial mego postepowania. To dobrze, ze czuje litość w takiej chwili, pomyslam, niech sie lituje, to świadczy o dobroci serca. Ale to byla nie tylko litość...

Podszedlem do czarownicy i powiedzialem cicho:

–Nigdy nie lekceważ swojego pana, inkwizytora.

Z warg zwisala jej nitka sliny. Nic nie odpowiedziala. Popatrzyła oczami, w których bylo totalne wyczerpanie^ Nie miała już na nic siły, dobiegala kresu żywota pod ciężkim ramieniem Kościoła. Pod moim ramieniem.

To, co się stalo zaraz potem, bylo tak nieuchronne, ze odebralo mi poczucie zwycięstwa i pogrązylo w neutulonym smutku. Tego samego dnia, w srogie zimowe popołudnie moja

misja dramatycznie dobiegła końca, okrywając się niesławą, cokolwiek można by o tym sądzić.

Usłyszałem krzyki po francusku na korytarzach pałacu. Odbijały się echem po krużgankach i dobiegały aż do wewnętrznych dziedzińców: czarownica uciekła, notariusz zabity. Uchylając drzwi, zobaczyłem dużą grupę mnichów biegnących w kierunku miejsca zbrodni; potwierdzili zasłyszane wieści. Razem z nimi dotarłem do alkowy, którą opat Lanvaux udostępnił mi na sekretną komnatę, gdzie wedle inkwizycyjnych reguł należało przechowywać dowody skonfiskowane przez trybunał. Jako że było tylko dwóch członków trybunału: Gio-vanni i ja, klucze od komnaty powierzyłem jemu. Przeciskając się między mnichami, zbliżyłem się do mojego ucznia; leżał na podłodze blady i półnagi. Poczulem w piersi rozdzierający ból i z trudem stłumiłem szloch. Bolałem nad moim uczniem, ale także nad sobą. Delikatnie przesunąłem ręką po jego zimnej twarzy. Tylko tak mogłem mu okazać swą miłość. I jednocześnie pożegnać.

Wyraz twarzy Giovanniego był ewidentnym dowodem na to, że chłopak padł ofiarą oszustwa. Otworzyłem mu usta i obejrzałem język: był opuchnięty, siny od trucizny. Cztery czy pięć świeżych plam nasienia wokół bioder świadczyło, że ostatnie chwile jego życia należały do kogoś o umyśle diabelskim, libertyńskim i zbrodniczych. Kiedy zjawił się opat Lanvaux, nie miałem już żadnych wątpliwości.

–To straszne, ekscelencjo! – zawołał starzec, wchodząc do alkowy.

–Gorzej być nie może, wielebny opacie...

Vincent Lanvaux spojrział z zażenowaniem na ciało Giovan-niego i przeżegnał się.

–Oszukano go – powiedziałem. – Otruto i skradziono naszą księgę.

–Kto...? Na miłość Boską... kto mógł to zrobić?

–Czarownica – odparłem niechętnie.

–Niemożliwe. Trzymamy ją w sekretnym więzieniu. Prze-

cież to niemożliwe, żeby dokonała takiego „wyczynu” i wróciła do zamkniętej celi – powiedział skonsternowany opat.

–Nie mówię o madame Tourat, tylko o jej pupilce.

–Ależ ekscelencjo, młodą też zamknęliśmy – zaznaczył opat. – Wykluczone, żeby zerwała sztaby i włamała się do sekretnej komnaty.

–To nie ona się włamała, tylko umysł mojego notariusza – powiedziałem z przykrością. – To on wypuścił ją z więzienia i utorował drogę do księgi czarów. Uwiodła go. Widocznie chciał ponownie zmierzyć się z własną słabością i przegrał z największym wrogiem mężczyzny: z lubieżną żądzą. Dała mu się napić mikstury z Montpellier, choć nie wiem, jak zdołała ją przemycić. Magiczny wywar podniecił go do tego stopnia, że stracił kontrolę nad sobą i stał się bezwolny. Młoda wiedźma przekonała mojego notariusza, żeby ją uwolnił i zaprowadził do sekretnej komnaty. Obiecała, że mu się tam odda, i zrobiła to, ale najpierw podała mu zbyt dużą dawkę wywaru, żeby go wykończyć.

–Jak mogła uciec w środku dnia, nie zwracając niczyjej uwagi? – dziwił się opat.

–W habicie mojego ucznia. Przebrała się za niego. Kto by kontrolował mnichów wchodzących i wychodzących przez główne drzwi?

Opat spojrział na mnie. Potem poprosił swoich zakonników, żeby opuścili pomieszczenie, i zamknął drzwi.

–Ekscelencjo – powiedział, opuszczając ze zmartwienia głowę – wróciliśmy do punktu wyjścia.

–Księga nie może być daleko. Odnajdę ją i nową właścicielkę – obiecałem.

–Oby tak się stało, żeby już więcej nikomu nie szkodziła. I nie zabijała. – Opat zamilkł i wyszedł, zostawiając mnie samego z nieszczęsnym Giovannim.

O zmierzchu na przedmieściach Awinionu spaliliśmy grzesznice. Madame Tourat poddała się z rezygnacją swemu przeznaczeniu, lecz ucieszyła ją wieść o ucieczce ulubionej pupilki

z księgą zaklęć. Razem z nią na stosie była dziewczynka, z którą najpierw spółkował Giovanni. Płakała żałośnie, że przyszło jej umierać tak młodo, w wieku trzynastu lat. Ale kat się nie zawahał. Wykonał swe zadanie i wkrótce drwa buchnęły czerwonym, oczyszczającym płomieniem, który lizał ciała skazanych. Zazwyczaj nie oglądałem egzekucji, ale tym razem zostałem do końca. Chciałem zobaczyć, jak płonie twarz czarownicy i ukoić ściskający mi serce żal – nie modlitwą, lecz zemstą. Kiedy płomienie wdarły się w ciało, czarownica z Montpellier, madame Tourat, która przywiodła do zguby tylu wiernych, zaczęła wić się jak żmija – bo wszak nią była – i wydawać przeraźliwe krzyki bólu, skierowane ku niebiosom. Na nogach porobiły jej się pęcherze, a na twarzy zmarszczki. Cała skóra kurczyła się i rwała jak pergamin. Brzuch popękał, odsłaniając wnętrzności. Raptem wrzaski ustały, a ja odwróciłem twarz. Ciało dalej paliło się na milczącym stosie.

W ten sposób dobiegł końca z mojego wyroku żywot madame i jej młodziutkiej uczennicy. Tego samego popołudnia spoczął w chrześcijańskim grobie mój notariusz Giovanni D'Orto, którego największym grzechem była żądza cielesna. Gdyby nie był moim uczniem, być może (choć kto to wie) nie znalazłby śmierci na nieprzychylnej ziemi południowej Francji. Przez wiele lat myśl ta ciążyła mi na sercu i spędzała sen z powiek. W te bezsenne noce obwiniałem się o to, że dusza Giovanniego zwiędła, jeszcze zanim rozkwitła.

Uczennicą, która wyrwała mi się z rąk i nie zdołałem jej dopaść mimo największych wysiłków, była Isabella Spaziani, wiedźma z Portovenere. Ona też już dokonała życia, choć nie z mojej ręki.

W kajucie zabrzmiało mocne pukanie do drzwi. Młody Andreu przyszedł zapytać, czy zamierzam iść na kolację z oficerami, czy zjem sam w kajucie. Zdecydowanie wolałem nie wychodzić, a młody Katalończyk przyjął to ze zrozumieniem i dał dowód swej spontaniczności.

–Dobrze robicie, ekscelencjo – powiedział przez drzwi – zaraz każę przynieść kolację. Macie jakieś specjalne życzenie?

–Owszem, przynieś mi trochę wódki.

–Wystarczy mała butelka?

–Nie, lepiej od razu przynieś trzy butelki – odparłem. Za drzwiami zrobiło się cicho.

–Wedle życzenia Waszej Ekscelencji – rzekł po chwili Andreu, oddalając się korytarzem.

Bóg jeden wie, co też młody Katalończyk pomyślał sobie o moim życzeniu. Każdy by uznał, że trzy butelki wódki na kolację zamawia tylko szaleniec albo zatwardziały pijak, skrywający

swój nałóg pod habitem inkwizytora. Bóg jeden wie, co myślał na ten temat Andreu, niemniej ja nie zamierzałem wypić tej wódki. Była mi potrzebna do walki z pchłami.

Zapaliłem świecznik, żeby rozproszyć mrok. Pod koniec tego wyjątkowo długiego dnia na rzece Paranie wiatr poszarpał chmury, toteż miejscami prześwitywało radośnie czyste niebo z pierwszymi gwiazdami. Oparłem plecy o poduszkę i szykowałem się do nowego dnia.

/

OSTATNIA PIECZĘĆ. OBJAWIENIE ŚWIĘTEGO JANA

36

Giulio Battista Evola wszedł do mojej kajuty z miną niezawodnego, metodycznego notariusza; emanował spokojem, typowym dla benedyktyńskiego mnicha, który spędza całe życie w klasztorze. Delikatnie zamknął drzwi za sobą i zdejmując kaptur, obdarzył mnie nieśmiałym uśmiechem, tak nieśmiałym, że trudno było go dostrzec. Następnie zabrał głos.

–Wezwaliście mnie, ekscelencjo? – odezwał się, stojąc przy drzwiach.

–Tak, pora zająć się naszą misją.

–Domyślałem się, że chodzi o zerwanie ostatniej pieczęci – kontynuował Evola, podchodząc do stolika.

–Owszem. Właśnie dziś wypada to uczynić. Dotarliśmy do celu dwudziestego dziewiątego stycznia. Za

kilka dni mieliśmy zejść na ląd.

Notariusz usiadł z drugiego końca stołu, położył przed sobą księgę wpisów notarialnych, przysunął świeczkę, sprawdził, czy pióro jest dobrze przycięte, i zanurzył je w kałamarzu. Po czym szepnął:

–Wyznam ekscelencji, że nie mogłem się doczekać tego dnia.

277

Obserwowałem Neapolitańczyka z uwagą, jak zwykł był to robić mistrz Piero wobec mnie, i nie czekając dłużej, powiedziałem:

–Ciekawość jest złym doradcą, bracie. Warto o tym pamiętać.

Evola odpowiedział zimnym, nieprzyjemnym uśmiechem. Jak hiena gotowa do ataku. Niewykluczone, że swoje dziwne poczucie humoru zawdzięczał pustelniczemu życiu za murami klasztoru i tłumieniu uczuć. Nasz Święty Kościół składa się z ludzi bardzo różniących się między sobą. Tak jak ja i on. Wyrośliśmy pod tym samym dachem i w tej samej wierze, ale inaczej podchodzimy do życia. Charakter człowieka zawsze określał i określa funkcje sprawowane w tym Wielkim Domu Bożym; z pewnością cechy Evoli pasują do jego roli: roli mastifa, psa stróżującego. Taki ktoś nie kieruje się w życiu łagodnością i uprzejmością, ale jest gorliwym strażnikiem, znawcą w kwestiach ochrony. W owym czasie Watykan bardzo potrzebował takich ludzi.

Ostatnia koperta leżała na stole. W laku wyryty był symbol świętego Jana Ewangelisty: orzeł. Jak poprzednio, przed zerwaniem pieczęci wziąłem kopertę do rąk i pokazałem Evoli.

–Znak świętego Jana – mruknąłem.

–Znak świętego Jana – zanotował notariusz, zanim przystąpiłem do otwarcia koperty i lektury ostatniego listu.

Nareszcie miałem się dowiedzieć, czego chce ode mnie Święta Inkwizycja w tej podróży. Wyjąłem ze środka kartkę papieru i przeczytałem głośno:

Rzym, 15 listopada roku Pańskiego 1597

List trzeci z pieczęcią świętego Jana.

Bracie DeGrasso, w ostatnich chwilach Waszej podróży, gdy wkrótce przyjdzie Wam przystąpić do/wykonania powierzonego zadania, uważamy za stosowne rozwiać Wasze wątpliwości i przedstawić szczegóły tej misji.

Jak zaznaczyłem we wcześniejszych listach, Wasza wyprawa ma na celu odnaleźć zakazane księgi, które w jakiś sposób opuściły Europę i znalazły schronienie na nowej ziemi, z dala od Świętej Inkwizycji, blisko zaś wrażliwych dusz zamieszkujących owe terytoria. Ostatnia z tych ksiąg nie tak dawno odplynęła od naszych wybrzeży, choć niewątpliwie, kiedy będziecie czytać ten list, ona będzie już w miejscu wybranym przez heretyków. Wyznawcy diabła mają jasny zamiar: szerzyć herezję w warunkach, które wydają się im sprzyjające wskutek naszej nieobecności, mamić tubylców i odwodzić ich od ewangelizacji.

Ekscelencjo DeGrasso, oto wielce poufna informacja, którą można zawierzyć tylko pod rygorem tajemnicy wynikającej z Waszego urzędu i milczenia Waszego notariusza. Ujawniamy Wam wysoce tajny problem Kościoła, nad którym od lat ślęczą teolodzy i wciąż nie został rozwiązany mimo długich i wnikliwych badań prowadzonych w ciszy Watykanu.

Przeniosłem na moment wzrok na Giulia. Obserwował mnie w milczeniu swym jedynym okiem z wyrazem twarzy stosownym bardziej dla złodzieja skarbów niż dla mnicha. Wróciłem do czytania:

W regionie Guaira, w samym środku dżungli, nieopodal Asunción, znajduje się osada Los Altos, założona przez franciszkanów i kierowana obecnie przez jezuitów. Tam, w zaciszu niewielkiej świątyni pod wezwaniem Świętego Stefana, znalazły schronienie najstraszliwsze księgi, jakie kiedykolwiek napisano. Nie ma potrzeby zdradzać Wam ich tytułów, i bez tego łatwo je rozpoznać. Spoczywają przedzielone jakąś książką w drewnianej skrzyni, ukrytej w sekretnej komnacie wewnątrz świątyni.

Nie jesteście upoważnieni do otwierania tych ksiąg i studiowania ich treści, nie próbujcie niczego zrozumieć. To będzie zadanie dla doktorów wyznaczonych przez Kościół. Wasza rola polega na skonfiskowaniu i deportowaniu dwóch ksiąg wraz z przeorem, duchownym jezuitą, który nazywa się Giorgio Carlo Tami i jest bezpośrednio odpowiedzialny za ukrywanie poszukiwanych przez nas ksiąg. Władze cywilne są zobowiązane udzielić Wam wszelkiej pomocy potrzebnej do wykonania tej pracy, ale nie zwołujcie trybunału i nie urządźcie żadnego autodafe. My we właściwym czasie zrobimy to w Rzymie przy pomocy wyspecjalizowanych prawników i teologów. W kopercie znajdziecie dokładną mapę z zaznaczeniem miejsca, gdzie macie się udać. Po zejściu na ląd wręczycie ją dowódcy wojskowemu, który przez cały czas będzie do Waszej dyspozycji. On pokaże Wam drogę.

Ten list należy spalić po przeczytaniu, razem z poprzednimi, w obecności Waszego notariusza.

Zawsze Wasz w Jezusie kardynał VINCENZO IULIANO Superior Generalny Świętego Oficjum

Wyraźny podpis i pieczęć papieża figurowały na dole jako poręka wszystkich trzech pism. Nie dziwiło mnie to, ponieważ od samego początku tego galimatiasu papież dał jasno do zrozumienia, że w tej sprawie, dotyczącej zapobieżenia herezji i uratowania wielu ludzi, jest po stronie inkwizycji. Od piętnastego listopada inkwizycja wiedziała, że Necronomicon i Szmaragdowy Kodeks, nawet jeśli jeszcze nie zostały ukryte w Los Altos, to na pewno będą tam, kiedy ja dotrę do celu wyprawy. Fakt pominięcia tytułów ksiąg mógł wskazywać, że Iuliano nie do końca ufa swojemu zbirowi Evoli, bo jeśli nie przed nim, to przed kim chciałby to ukryć?

Ostatni list nie pozostawiał wątpliwości co do rangi i zakresu

mojego działania; nie jechałem tam jako inkwizytor, tylko w charakterze zwykłego komisarza z pewnymi uprawnieniami. Wziąłem jedną ze świec i popaliłem listy; wpatrywałem się w płomień bez słowa. Evola przerwał ciszę:

–Interesujące z każdego punktu widzenia...

–Czyżby? – odparłem, z trudem hamując gniew. – Co jest takiego interesującego w tym, że ciągle mało wiemy, albo w tym, że wysłano nas jako zwykłych „woźnych sądowych”, skoro nie możemy przestudiować ksiąg ani osądzić heretyków.

Notariusz pogłaskał się po wielkiej bliźnie nad okiem, gdzie dawniej były brwi.

–Naprawdę myśleliście, że powierzą wam całą sprawę? – powiedział z ironicznym uśmiechem. – Przykro mi z powodu waszego rozczarowania. Ale instrukcje są wyraźne w tym względzie.

–Tak uważacie? – spytałem poirytowany. – Może wyraźne dla was, bo waszą największą ambicją i powodem do satysfakcji jest skrupulatne przestrzeganie otrzymanych poleceń. Zastanowiliście się przynajmniej, po co aż trzy koperty? Nie wystarczyłaby jedna?

–To wie tylko kardynał. Na pewno ma swoje racje... – stwierdził Evola, jak zwykle wierny swemu panu.

–Jakie racje? Dlaczego nie informuje się nas o tytułach ksiąg do skonfiskowania? Wydaje wam się rozsądne przemierzyć pół świata i nie wiedzieć dokładnie po co? Czy jest rozsądne powiadamiać nas w ostatniej chwili, że do zbadania i osądzenia dowodów powoła się specjalną komisję „teologów”? To dlaczego nie wysłano od razu tuzina teologów? Dlaczego wysłano mnie, skoro chodzi tylko o zatrzymanie nieposłusznego księdza? – dałem upust swej złości.

–Myślę, ekscelencjo, że sprawa jest bardzo delikatna i dlatego wam ją powierzono. – Neapolitańczyk próbował mnie uspokoić.

–Delikatna, czy nie, skąd mogę wiedzieć, skoro nadal nie mam i nie będę mieć pełnej wiedzy na ten temat. Żaden sędzia

nie wypełni dobrze swych obowiązków, jeśli nie rozumie całości procesu. Prawda?

–Oczywiście, ale instrukcje są, jakie są, i trzeba je wykonać, ekscelencjo – zareplikował Evola.

Dla mnie posłuszeństwo jest kwestią złożonej przysięgi, czymś osobistym, lecz wiąże się

również z zaufaniem, jeśli ma być realizowane w imię miłości Bożej. Nie wszyscy mogą żądać od nas posłuszeństwa, bo nie wszyscy są jego godni: tylko ci, którzy kierują się rozsądkiem i chrześcijańską moralnością. Moje milczenie i gniew zaniepokoiły notariusza.

–Co zamierzacie uczynić?

–Kierować się wytycznymi – rzekłem ogólnikowo, bo nie chciałem dłużej manifestować nieufności do kardynała Iuliana w obliczu jego sługi.

–To dobrze – zawołał uspokojony Evola. – Macie dla mnie jakieś specjalne polecenia na najbliższe godziny?

–Proszę przygotować się do zejścia na ląd i powiadomić władze cywilne oraz diecezjalne o naszym przybyciu.

Notariusz szykował się do wyjścia, ale zatrzymał się przy drzwiach, spojrzał na mnie i powiedział cicho, finezyjnie jak dobrze dostrojone skrzypce.

–Jednak zamierzacie zabrać ze sobą na ląd narzędzia śledztwa?

–Oczywiście, bracie Evola. Nigdzie nie ruszam się bez nich.

Wkrótce potem rozległo się nowe stukanie do drzwi, zapowiadając kolejnego gościa. Był nim kapelan z „Santa Elena”, cichy i spokojny Francisco Yalerón Velasco.

–Nie przeszkadzam, ekscelencjo? – rzekł, wsuwając swój spiczasty nos przez szparę w uchylonych drzwiach.

–Proszę się nie krępować. Niech ksiądz wejdzie i siada – powiedziałem.

Kapelan usiadł przy stoliku na krześle, które wcześniej

zajmował notariusz, i musiał coś wyczuć w powietrzu, bo cień troski przesunął się po jego twarzy.

–Co się dzieje? – spytał ostrożnie, okraszając pytanie delikatnym uśmiechem. – Ekscelencja wybaczy, ale czuję tu silny zapach wódki...

Zaskoczony, przyglądałem mu się uważnie, bez słowa. Źle odczytał moje milczenie, bo natychmiast opuścił głowę, jakby chciał udowodnić, że świadomie popełnił tę niedyskrecję. Zdziwił się niesłuchanie, gdy usłyszał mój pierwszy wybuch śmiechu, po którym nastąpiła cała kanonada wybuchów, co skłoniło go do oceny, że pewnie jestem pijany. Kiedy udało mi się pohamować wesołość, mogłem mu wreszcie odpowiedzieć ze łzami w oczach:

–Proszę się nie martwić, księżę kapelanie, to nie ja się upiłem, tylko pchły. Oto, do czego może prowadzić desperacja! Rozlałem w tej kajucie więcej wódki, niż karczmarz nalewa do kieliszków w ciągu roku. Ileż to rzeczy człowiek uczy się na starość bez żadnego uniwersytetu. – Kapelan zdołał poprawić mój nastrój swą niewinną uwagą. Uśmiechnął się z ulgą, a ja zadałem mu bezpośrednio pytanie: – Ksiądz lubi czasem wypić?

–Nigdy – odparł bez wahania.

–Naprawdę? – nie dowierzałem.

–Nigdy – powtórzył szybko i zdecydowanie.

–Matko Boska! Hiszpan abstynent! Zdążyłem się już przyzwycząić do niespodzianek po tylu dniach podróży, a mimo to zaskoczyłeś mnie, księżę Francisco, całkowicie.

–Widzę, że macie spore poczucie humoru – stwierdził kapelan – a to jest rzecz prawie niespotykana u osób na waszym stanowisku.

–No cóż, drogi bracie, czasem krzyż na piersi mówi bardzo dużo, ale niekoniecznie o człowieku, który go nosi. Myślał ksiądz, że taki inkwizytor jest zgorzkniałym, sztywnym wykonawcą prawa?

–Tak myślałem, ekscelencjo.

Przeniosłem wzrok z kapelana na skrzynię z książkami i papierzyskami. I od razu straciłem ochotę do śmiechu.

–Kto wie? Może to ksiądz ma rację? Może jestem zgorzkniałym, sztywnym wykonawcą prawa?

Valerón Velasco milczał; moje słowa zostały bez komentarza.

–Słucham, co ksiądz do mnie sprowadza? – podtrzymałem rozmowę.

–Chciałbym wam coś zaproponować.

–Co takiego? – byłem zaintrygowany.

–Chętnie przyłączę się do was, żeby towarzyszyć wam i waszej świcie w dalszej drodze. Udzielałbym żołnierzom posługi religijnej, a wam pomagałbym we wszystkim, co trzeba.

Spojrzałem uważnie na kapelana.

–Nie przyszło mi to wcześniej do głowy, ale to znakomity pomysł. Potrzebny księdzu mój nakaz, żeby zejść na ląd?

–Tak, ekscelencjo. Jestem kapelanem armady i tego statku. Tylko na wasz wniosek admirał Calvente zgodzi się mnie wypuścić. Oczywiście, jeśli naprawdę tego chcecie.

–Myślę, że ksiądz się nam przyda. Sprawa załatwiona. Jeszcze dziś porozmawiam z admirałem.

–Będę wam bardzo wdzięczny, ekscelencjo. Propozycja kapelana zaskoczyła mnie i nie wierzyłem, że

kieruje się tylko troską o dusze moich podopiecznych. Dlatego pytałem dalej:

–To chwalebne troszczyć się o nasze dusze, drogi księże, ale musi być jeszcze inny powód, dla którego chcesz opuścić statek.

–Nie znam tej ziemi, ekscelencjo. Chciałbym poznać – odpowiedział bez wahania.

–A więc zwykła ciekawość?

–Ciekawość i fascynacja... W Europie dużo się mówi o tych krainach. Podobno mają wiele uroków w sensie doczesnym, a także duchowym. To grzech, być tak blisko i nie skorzystać z okazji, żeby je poznać dokładnie.

–Widzę, że ma ksiądz ducha poszukiwacza przygód i odkrywcy. Jak Marco Polo albo mój rodak Krzysztof Kolumb.

–Możliwe, ale największego odkrycia dokonałem już dawno.

–Można wiedzieć co to takiego? – zapytałem z najwyższym szacunkiem.

–Oczywiście, ekscelencjo. To Chrystus. Nasz Pan. Spodobał mi się ten prosty człowiek; dzięki niemu przez

chwilę czułem się w zgodzie sam ze sobą, co potrafi docenić tylko ktoś udręczony przez samotność, tak jak ja od początku tej podróży.

–W porządku, proszę księdza, cieszę się, że mogę spełnić takie życzenie. Nie chcę, byś „grzeszył” z mej przyczyny. Zobaczysz mityczne ziemie Nowego Świata.

–Ekscelencja jest dla mnie bardzo dobry.

To powiedziawszy, kapelan się pożegnał i wyszedł z mojej kajuty. Ani on, ani ja nie wiedzieliśmy, że widzimy się po raz ostatni i że to było jego ostatnie życzenie.

Następnego dnia rano ciało kapelana leżało w prochowni bez oznak życia. Wciśnięty między beczki prochu tęgi ksiądz Valerón znalazł taką samą okrutną śmierć jak kucharz i medyk; wyglądało na to, że diabeł załatwia jakieś osobiste porachunki z zamordowanymi. Na jego twarzy zastygł wyraz paniki jak u poprzednich dwóch ofiar, oczodoły były puste, a język obcięty. Znów ten widomy znak diabła i dziwna zagadka, niepojęta jak sama śmierć.

Panika powróciła na statek. Ksiądz Valerón Velasco padł ofiarą samego Szatana, ponieważ człowiek uchodzący dotychczas za mordercę pozostawał w zamknięciu i nie mógł popełnić tej zbrodni.

Diabeł ponownie objawił swą obecność.

37

–To niemożliwe. Strażnik ani na chwilę nie spuścił oka z celi. Moi ludzie przysięgają, że więzień spędził całą noc

285

w lochach. Co tu się dzieje? Chyba nie przeszedł niewidzialny przez kraty? – Kapitan Martinez nie ukrywał zdumienia.

Zaprosiłem go do swej kajuty, żeby przedyskutować to zajście i przekazać plan sytuacyjny świątyni pod wezwaniem Świętego Stefana, bo niewiele czasu pozostało do zejścia na ląd.

–Prawdopodobnie jest niewinny – stwierdziłem bez wahania.

–Wasz mnich powiedział, że to czarownik. Mógł zabić poprzez czary... – Martinez wołał takie rozwiązanie, niż przyjąć, że prawdziwy morderca swobodnie porusza się po statku od wielu dni.

–Może i czarownik, ale nie zabił – zapewniłem.

–Na Boga, przecież usiłował was zabić! I waszym zdaniem, on nie ma nic wspólnego ze śmiercią kapelana! – zawołał zdesperowany Martinez.

–Być może ma współnika. Ale jestem pewien, że Xan-thopoulos nie zamordował księdza Valeróna.

–To pogarsza sprawę – mruknął Martinez ze spuszczoną głową.

–Ewentualny współnik pewnie też jest czarownikiem – dodałem szeptem – i może zaatakować nas na łądzie.

–Wzmocnię wasze strażę, ekscelencjo – zapewnił Martinez.

–Mam do pana pełne zaufanie, panie kapitanie Martinez. A co będzie z Xanthopoulosem? Kto się nim zajmie, jak my wysiądziemy? – spytałem.

–Zabierzemy go ze sobą – rzekł kapitan świadom, że nie spodoba mi się ta odpowiedź. – Przekażemy go władzom cywilnym w Asunción. Admirał Calvente nie zgodziłby się go zatrzymać za żadne skarby się świata. Dobry Boże! Nie życzę nikomu takiego pasażera na gapę.

–Jaka jest wersja admirała w kwestii zgonów? – dopytywałem.

–Xanthopoulos jest winny i pójdzie pod sąd w Asunción.

–A co z kapelanem? – zdziwiłem się, bo tej śmierci nie można było przypisać Xanthopoulosowi.

–Oskarża się go również o zamordowanie księdza Valeró-na. Nie można zostawiać tej kwestii otwartej – powiedział Martinez chyba nie do końca przeświadczony o słuszności decyzji admirała.

–Panie kapitanie... mam prośbę. – W czasie długiej podróży przekonałem się, że można mu zaufać.

–Dla was wszystko, ekscelencjo – odparł kapitan uprzejmy jak zwykle.

–Czy mógłby pan tak zrobić, żebym nie musiał patrzeć na Xanthopoulosa? I proszę dopilnować, żeby był dobrze strzeżony.

–Sprawa załatwiona. Ekscelencja nawet nie zauważy jego obecności. Moi żołnierze zadbają, żeby nie wchodził wam w oczy.

–Bardzo pan miły, kapitanie. Dziękuję. Ile zajmie nam podróż do miejsca zaznaczonego na mapie?

Podąłem mapę, którą kapitan od razu rozłożył na biurku. Wpatrywał się uważnie, wodząc palcem po szlaku na papierze. Kartografia nie grzeszyła precyzją, zwłaszcza w przypadku świeżo odkrytych lądów, ale miałem nadzieję, że watykańscy kartografowie tym razem przyłożyli się szczególnie i sporządzili mapę z dokładnością równą ich ciekawości dla ziemi na końcu świata. – ^

–Dzień albo dwa, nie potrafię powiedzieć dokładnie – kalkulował kapitan.

–Aż tyle? Na piechotę?

–Może dłużej. Przyznam się wam, ekscelencjo, że nigdy nie widziałem tak gęstej dżungli. Od kilku dni obserwuję zarośla na brzegu rzeki. Roślinność wypełnia każdą wolną szczelinę. I to może nam utrudnić podróż wbrew moim optymistycznym prognozom.

–Trudno. Mam nadzieję, że po tej podróży obaj dostaniemy kilka wolnych dni na wypoczynek – powiedziałem, żeby nadać rozmowie lżejszy ton.

–O niczym innym nie marzę. Dałbym sobie uciąć palec od prawej ręki za jeden dzień na mojej ziemi w Benajarafe.

Spojrzałem na kapitana i pomyślałem, próbując jednocześnie zagłuszyć sumienie, że ja dałbym

sobie uciąć całą dłoń za jedną godzinę z Raffaella.

–Ekscelencjo? – cichy głos Martineza wyrwał mnie z marzeń.

–Benajarafe – rzekłem natychmiast, nadrabiając miną – gdzie to jest?

–Niedaleko Malagi, na wybrzeżu Andaluzji. Pięknie tam, możecie mi wierzyć.

–Ma pan szczęście mieszkać w takim miejscu. Muszę zajrzeć do Benajarafe, jak będę w Hiszpanii – powiedziałem z ciepłym uśmiechem.

–Będę zaszczycony, mogąc Waszą Ekscelencję gościć u siebie – powiedział Martinez, dając jeszcze jeden dowód swych znakomitych manier.

Następnie – wciąż z eskortą straży, którą przydzielił mi kapitan – przeszliśmy do mesy, gdzie admirał wydawał ostatnią kolację na pokładzie. Nazajutrz mieliśmy wreszcie stanąć na twardym gruncie, a ziemia w sugestywnym kolorze brązu była pełna obietnic.

CZEŚĆ TRZECIA

KSIĘGI ODNALEZIONE

XIV

CZUWANIE

38

Lądowanie przebiegło szybko i sprawnie przy pierwszych brzaskach dnia, wszyscy bowiem odzyskali energię i chęć do pracy. Przez dwa miesiące życia w izolacji od świata, jeśli nie liczyć kilku godzin spędzonych na Wyspach Kanaryjskich, staraliśmy się usunąć z myśli obraz ziemi, przygnębieni monotonią bezmiarów wód, wycia wiatru i pustego horyzontu. Szczególnie dawało się to we znaki żołnierzom Martineza, którzy nie mogli się już doczekać, by swobodnie pomaszerować przez łąki, rzecz na pozór trywialna, ale bezcenna dla jeńców morza żyjących wspomnieniami. Życie wracało do normy, bo nikt, kto nie jest zawodowym marynarzem, nie przepada za spaniem w hamakach i walką z pchłami. Chodzenie po ziemi było czymś wspaniałym i każdy na swój sposób cieszył się tym darem, odkrywając na nowo jego uroki.

Martinez galopował po plaży na grzbiecie czarnego rumaka w bogatej zbroi osłaniającej pierś i ramiona, wymachując szablą ze złotą rękojeścią. Peleryna powiewała w rytmie końskich kopyt i przy silniejszych ruchach odsłaniała na plecach kapitana dwa długie pistolety ze zdobionymi kolbami. Jeszcze tylko sztylet w cholewie długich butów, a byłby najlepiej uzbrojonym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Razem z nim opuścił statek oddział walecznych żołnierzy z muszkietami.

291

Wolno stąpaliśmy po nowej ziemi. I stopniowo odkrywaliśmy przeróżne niespodzianki, jakie zgotowała nam dżungla.

Uroki stałego lądu szybko okazały się złudzeniem, płonną, krótkotrwałą nadzieją, bo niebawem stało się jasne, że jeden stan izolacji zamieniliśmy na inny, a stare kłopoty na nowe, jeszcze gorsze. Teraz atakowały nas nie pchły, tylko setki komarów wielkich jak ptaki i bezczelnych jak wampiry. Męczył stęchły zapach zwierząt juczych i smród ich odchodów. Nie mówiąc już o duszącym upale: powietrze było tak nagrzane, że nie dawało się nim oddychać. Każdy napój wyglądał jak zupa, woda gęstniała, likiery fermentowały, a wina nabierały konsystencji sosu. Wszędzie pot, nic tylko pot i mało ciekawy pejzaż, bo w dżungli wszystkie drzewa były takie same i to, co na początku podziwialiśmy z zachwytem, z czasem nam się opatrzyło i znudziło jak oglądanie ziaren ryżu w garnku.

Niewiele wiedziałem o tej ziemi, a jeszcze mniej o jej mieszkańcach. Od czasu do czasu migają wśród zarośli sylwetki tubylców i rozlegał się świst strzały wymierzonej przeciwko

wszystkiemu, co się rusza i co ma inny niż ich kolor skóry. Starzy żołnierze opowiadali, iż niektóre plemiona są tak żarłoczne, że nie gardzą nawet zbroją. Przekazywano sobie te wysrane z palca historie po to, by po powrocie do Europy opowiadać je w tawernach, ciesząc się przez kilka godzin podziwem pijaczków i prostytutek.

Odkąd dominikanin Bartolome de las Casas zadenuncjował nadużycia popełniane wobec Indian od początku konkwisty Nowego Świata, za każdym razem, gdy zakładano nowe miasto i organizowano władzę dla terytoriów przygranicznych, Kościół wysyłał duchownych z misją ewangelizowania i chronienia tubylców. Wiedziałem, że franciszkanie przybyli na te ziemie w rok po założeniu Asunción w tysiąc pięćset trzydziestym siódmym roku i utworzyli w prowincji zwanej Guaira kilka osad, gdzie uczyli Indian Guarani wiary katolickiej, uprawiania roli, rzemiosła i innych przydatnych rzeczy. Niektórzy – jak Luis Bolanos – nauczyli się mówić tak jak Guarani i nawet

spisali katechizm w ich języku. Jakże inna była to praca w porównaniu z działaniem inkwizycji.

Kapitan Martinez posłał do przodu dziesięciu żołnierzy, piętnastu innych stanowiło eskortę dla nas i pozostałych dwudziestu żołnierzy, z czego czterech pilnowało więźnia. Tak oto zamieniłem piekło statku na spacer po ogrodzie czyśćcowym.

Z nadejściem nocy wszystko się pokomplikowało. W godzinę po zachodzie słońca zdechła nam jedna koza. Po prostu opadła z sił, pogryziona przez komary, i z jękiem pełnym skargi wydała ostatnie tchnienie. Następnie Martinez poinformował, że należy zgasić wszystko, co się świeci – pochodnie, kaganki oliwne, lampy – aby nie przyciągać więcej komarów; pozostało nam jedynie światło księżyca, lecz i tak nie ustały ataki tych przeklętych owadów, dla których podobno nawet pancerz zbroi nie stanowił dostatecznej przeszkody. Na dodatek jaguary tylko czekały nocy, żeby zapolować na taką łatwą zdobycz i pożywić się smacznym Hiszpanem, utuczonym na szynkach i dobrym winie.

Podchodząc do mojego powozu, kapitan zakomunikował, że muszę go opuścić, bo jest za duży i za ciężki, żeby przedzierać się nim przez dżunglę. Tak więc zdjęto mu oś i koła, odwiązano konie, i ustawiono kabinę na dwóch długich drągach, robiąc z niej coś w rodzaju lektyki. Niosło ją na swych barkach ośmiu żołnierzy. Byłem gotów się założyć, że każdy z tych zmęczonych Hiszpanów myślał tylko o tym, aby przy pierwszej nadarżającej się okazji porzucić inkwizytora i jego skrzynie gdzieś w zaroślach, ale żaden nie dał tego po sobie poznać. Evola postanowił odbyć podróż na grzbiecie muła, osłaniając się szczelnie swym benedyktyńskim habitem, który chronił przed żarłocznymi komarami, ale zarazem powodował gęste poty, odwadniające organizm.

Idąc za radą kapitana, zasunąłem kotary w oknach kabiny i upewniłem się, że z zewnątrz nie widać nawet iskry światła.

Zapaliłem lampkę oliwną i dałem odpocząć plecom z westchnieniem, które zrodziło się w piersi i zgasło w ustach.

Trzeci list otworzył mi oczy. Rzeczywistość była bardzo podobna do tego, co napisała Anastasia. Od początku podejrzewałem jakąś znowę; pierwszy napomknął o spisku Piera Del Grandę, a potem potwierdziła to w swym liście Anastasia. Czas przekonać się, o czym pisze mój mistrz. Byłem na ziemiach wicekrólestwa, a więc mogłem przeczytać jego list. Wyciągnąłem go ze skrzyni. Intrygował mnie równie mocno jak zalakowane koperty inkwizycji, ale miałem nadzieję, że będzie mniej enigmatyczny. Jednak najpierw nalałem do kieliszka ostatnie krople krystalicznej grappy, powoli wysączyłem i dopiero wtedy rozciąłem brzeg koperty.

Genua, 30 listopada roku Pańskiego 1597

Mój drogi, czcigodny i umiłowany uczniu,

Po tym, co Ci wreszcie wyznałem, a ukrywałem to tak długo, aby dać Ci możliwość całkowitego ukończenia formacji, nie dla laurów naszego Kościoła, lecz w sensie duchowym, co potrafi ocenić tylko oko mistrza, dziś pragnę powiadomić Cię o jeszcze jednej sprawie.

Stwierdzam i oświadczam, że Twoja formacja jest już kompletna i teraz Twoją główną powinnością jest służyć naszemu bractwu Corpus Carus, które działa jako ukryta masoneria w łonie Kościoła.

Ja wykonałem swoje zadanie najlepiej, jak umiałem: wykształciłem Cię, ukierunkowałem, chroniłem i otaczałem opieką. Nie sprzeciwiałem się, kiedy odkryłeś w sobie powołanie do czynienia sprawiedliwości; pozwoliłem Ci wyjść spod moich skrzydeł do dominikanów. Ale wiem, że nasza więź nigdy nie osłabła pomimo długich okresów niewidzenia się w ostatnich latach.

Moja miłość do Ciebie sprawiła, że długo pozostawałeś

w nieświadomości, a w dniu, gdy dowiedziałeś się prawdy o swoim pochodzeniu, zniszczyłem wszystko, czego sam Cię kiedyś nauczyłem. Ta prawda przez lata spędzała mi sen z powiek i nie pozwalała widywać Cię tak często, jak obaj byśmy tego chcieli. Zresztą nigdy nie zamierzałem ukrywać jej przed Tobą dłużej, niż to było konieczne. Tak postanowiłem już wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałem Cię w klasztorze zawiniętego w całun z trumny matki. Teraz gdy z moich ust poznałeś długo skrywaną w moim sercu prawdę, wzywam Cię do wypełnienia misji, do której jesteś przeznaczony; misji w służbie Naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, w służbie jego Kościoła i naszego bractwa Corpus Carus, które tak bardzo potrzebuje Twojej pomocy.

Podniosłem głowę znad listu i w zdumieniu popatrzyłem na płomień lampy. O co tu chodzi? Czyżby mój mistrz oszalał?

Corpus Carus oczekuje, że będziesz nas chronił i troszczył się o współbraci, choć ich jeszcze nie znasz i nic o nich nie wiesz. W momencie gdy czytasz mój list, dobiega półmetka wyprawa, która jest częścią powierzonej Ci przez nas misji. Dlatego osobiście nalegałem, żebyś nie rezygnował z tej podróży. Czarne chmury zbierają się nad Tobą, lecz jasność Corpus Carus pozwoli Ci odnaleźć mimo burzy skrawki błękitnego nieba.

Niespodziewanie przyszły mi na myśl słowa z listu Anastasi, że znalazłem się w centrum wielu spisków i muszę być ostrożny.

Weź sobie do serca nową dewizę, która na pewno nie kłóci się z Twoimi przekonaniem, wręcz przeciwnie: jeszcze bardziej pomnoży Twą wiarę i wzmocni Twoje uznanie. Rycerz Wiary, jakim jest członek Corpus Carus, nigdy nie zapomina, że „Wikariuszem Chrystusa jest to,

co nam dyktuje nasze pierwsze i spontaniczne odczucie sumienia”.

Nie negując posłuszeństwa należnego papieżowi, opieramy się przede wszystkim na przesłance, że Chrystus jest w naszych sercach i każde postanowienie wychodzące z serca jest namaszczone Jego łaską. Każda decyzja Rycerza Wiary jest podjęta w Duchu i zahartowana w jedności naszego bractwa.

Nie będziesz sam, drogi Angelo. Już wkrótce, tak szybko, że sam będziesz zdziwiony, otrzymasz w spadku nowy, niespodziewany urząd. W podróży spotkasz braci z Corpus Carus, których znakiem rozpoznawczym będzie nasze hasło: Extra Eccksia nulla salus.

Z mojego polecenia jeden brat będzie czuwać nad Tobą przez cały czas podróży, ale nie będziesz wiedział kto to, dopóki on sam nie uzna za konieczne się ujawnić.

W nadziei, że się jeszcze zobaczymy, ślę Ci moje gorące pozdrowienia i życzę prawdziwego pokoju.

Twój w Jezusie Ojciec PIERO DEL GRANDE

Odłożyłem list i przez szparę w zasłonach spojrzałem na dżunglę skąpaną w świetle księżyca.

–Jeden z braci czuwa nade mną przez cały czas podróży? Ciekawe... – pomyślałem – bo mało brakowało, a zginąłbym na statku z ręki czarownika.

Ponownie rzuciłem okiem na końcówkę listu: Extra Ecclesia nulla salus, „poza Kościołem nie ma zbawienia”. Tymi słowami ma się przedstawić człowiek przychodzący w imieniu Corpus Carus. Ukryłem list w kufrze z podwójnym dnem, gdzie trzymałem rzeczy osobiste, i pogrążyłem się w rozmyślaniach. Im dłużej myślałem, tym więcej pytań bez odpowiedzi gromadziło się w mojej głowie. Piero Del Grandę chciał, żebym wyruszył w tę podróż, żebym działał w imieniu Corpus Carus,

zapowiadał, że odziedziczę jakieś stanowisko... Czego tak naprawdę ode mnie oczekiwał w związku z tą misją? Kiedy się wreszcie tego dowiem? Co to za stanowisko, które mam odziedziczyć...?

Miałem mieszane uczucia, ale list uwolnił mnie w pewnym sensie od ciężaru samotności. Podjąłem się tej podróży w nieznaną nie przez lojalność wobec inkwizycji czy papieża, tylko dla Boga, dla jego Kościoła i wskutek nalegań Piera Del Grandę. Nigdy nie byłem sam w tej długiej, nużącej, niebezpiecznej podróży: byli ze mną obaj mistrzowie.

A pytania, które mnie dręczyły, nie pozostały długo bez odpowiedzi. Tylko jeden dzień.

XV

LIBRORUM PROHIBITORUM

39

Dotarliśmy do świątyni trzydziestego pierwszego stycznia po południu przez nikogo nieniepokojeni. Nikt nie zauważył naszej obecności, bo przez cały dzień lało jak z cebra. Nauczyłem się na tej ziemi, że ulewa przychodzi z nienacką, bez uprzedzenia; ot, taki kaprys natury dla tutejszego nieba. Ulewa spadała nagle, odbijała się o wysokie wierzchołki drzew i schodziła niżej, nasączając wilgocią krzewy, paprocie i setki roślin egzotycznych gatunków, których nazw nie znałem. Ziemia stawała się od razu głębokim bajorem. Niespodziewanie orszak zatrzymał się i usłyszałem głos kapitana.

–Ekscelencjo, już widać bramy świątyni – zawołał do mnie przez okno, nie zsiadając z konia.

Był nieco zmizerowany i mocno przemoczony.

–Bogu niech będą dzięki! A panu, kapitanie, gratuluje, że się nie pogubiliśmy – westchnąłem, odsuwając od siebie złe myśli i przywidzenia, jakie dręczyły mnie przez kilka godzin, kiedy błądziliśmy w dżungli.

–Dużo jeszcze zostało?

–Jakieś dwieście kroków, ale osłania nas dżungla. Kapitan był dobrym strategiem i wziął pod uwagę różne

czynniki działające na naszą korzyść.

–Wobec tego idziemy prosto do świątyni. Pańscy ludzie otoczą budynek i dopilnują, aby nikt

nie wy dostał się na zewnątrz bez mojego zezwolenia.

–Tak jest, ekscelencjo. Wydam żołnierzom rozkaz okrążenia. Wkrótce będziemy na suchej ziemi dokładnie tam, gdzie wskazuje wasza mapa. Przyjąłem wasze rozkazy.

Po tych słowach Martinez spiął konia i oddalił się galopem. Byliśmy o krok od celu. Serce waliło mi z euforii; czułem, że zbliża się finał.

Świątynia była częścią osady, w której dało się dostrzec skromne początki cywilizacji. Kościół z czerwonej gliny był największą budowlą w samym jej centrum. Resztę zabudowań stanowiły kryte liśćmi chaty dookoła niewielkiego placu. Kiedy tam weszliśmy, w oknach pojawiło się na chwilę kilka głów; byli to groźni Guarani, którzy schronili się tu przed ulewą. Widać było po ich minach, że nasza obecność nie wróży niczego dobrego, raczej zapowiada rygory, których od dawna się bali. Patrzyli na nas w milczeniu jak jaguary gotowe do ataku. Wyglądało to groźniej, niż się spodziewaliśmy.

Martinez rozkazał zająć świątynię. Dwudziestu najlepszych ludzi poumieszczał w portyku, a reszta pilnowała placu. Żołnierze patrzyli z bliska na synów dżungli, dając im znaki, żeby pozostali na swych miejscach i się nie wtrącali. Kiedy wszyscy żołnierze zajęli wyznaczone stanowiska, Martinez kazał postawić na ziemi moją kabinę. Dziesięciu kuszników osłaniało moje wyjście i eskortowało do drzwi świątyni. Wyczuwało się dokoła panikę: to nie była chrześcijańska osada, sami tubylcy, żadnego białego człowieka jak okiem sięgnąć.

–Zostanę na zewnątrz – powiedział Martinez, nie ukrywając zafrasowania. – Dopilnuję porządku na placu. Zostawiam Waszej Ekscelencji straż przyboczną. Są na wasze rozkazy.

Przywołałem notariusza i zarządziłem, że wchodzimy do świątyni. Pięciu żołnierzy ruszyło do przodu z obnażonymi szpadami, nacierając na solidne drzwi. Tak się to wszystko zaczęło.

40

–Co to za gwałt! Czy nie widzicie, że to Dom Boży?! – zawołał wysoki, szczupły mnich, wychodząc naprzeciw szpadom.

Kazałem schować broń i wysunąłem się do przodu, żeby zabrać głos. Ten człowiek miał rację, to był Dom Pański. Czuło się to w powietrzu, którym oddychaliśmy. Nie powinno się tu wyciągać broni.

–To nie gwałt – odparłem i wyjaśniłem krótko – przybywamy w imieniu Świętej Inkwizycji, żeby przejąć budynek i całą osadę.

Braciszek zdziwił się niepomierne.

–Święta Inkwizycja? Co ma do roboty Święta Inkwizycja na tych mokradłach?

Zdjąłem kaptur i obejrzałem wewnątrz kościoła, zanim odpowiedziałem:

–Nazywam się Angelo Demetrio DeGrasso, jestem Inkwizytorem Generalnym Ligurii. Od tej chwili kościół przechodzi pod mój zarząd. Będzie tymczasową siedzibą inkwizytora. Nakładam areszt na was i wszystkich zakonników, którzy tu się znajdują.

Oślupiały mnich zdołał jedynie unieść brew i zawołać:

–Aresztujecie mnie?

–Wasze nazwisko? – zapytałem, nie odpowiadając wprost na jego pytanie.

–Nuno Goncalves Dias Macedo – odparł.

–Portugalczyk – pomyślałem głośno, bo to nie był człowiek, którego szukałem.

300

–Tak. Jestem Portugalczykiem, panie DeGrasso.

.– Mieszka jeszcze ktoś w osadzie oprócz tubylców?

–Tak, dwóch braci.

–Czy są tu gdzieś w tej chwili? Portugalczyk zawahał się, ale odpowiedział:.– Tak,

ekscelecjo.

–Gdzie?

–W zakrystii albo w swoich celach, nie wiem dokładnie.

–Czy któryś z nich nazywa się Giorgio Carlo Tami? – pytałem dalej.

–Tak.

–Tak? – powtórzyłem, nie dlatego bym wątpił, ale wydawało mi się zbyt proste, że człowiek, którego mam przesłuchać i zatrzymać, znajduje się w zasięgu ręki.

–Powiedziałem tak, ekscelecjo – zdenerwował się Portugalczyk. – To Włoch, jeśli chcecie wiedzieć.

–Gdzie jest zakrystia?

–Po waszej prawej stronie, za tamtymi drzwiami – powiedział Macedo, wskazując na drzwi przy głównym ołtarzu.

Kazałem żołnierzom iść za mną i skierowałem się do drzwi, ale otworzyły się, zanim do nich doszedłem, i wyszedł z nich inny zakonnik.

–Co tu się dzieje? – wykrzyknął.

Rozpoznałem nieomylnie akcent saksoński, a więc nie był Włochem. Dwóch żołnierzy natychmiast podeszło go zatrzymać – nie stawiał oporu.

–Jak się nazywasz, bracie? – spytałem.

–Ojciec Lawrence Killimet, jezuita. Dowiem się wreszcie, co to za zamieszanie?

–Gdzie jest Włoch? – zapytałem.

–Giorgio...?

–Giorgio Carlo Tami. Jest tutaj?

–Kto o niego pyta? – spytał Saksończyk nieufnie. I usłyszał w odpowiedzi:

–Inkwizycja.

Ojciec Killimet spojrział na Portugalczyka, po czym wskazał na drzwi w jednej z bocznych naw świątyni.

–U siebie – mruknął.

–Panie kapitanie Martinez, niech pan zatrzyma tych dwóch. Trzeba przygotować dla nich miejsce odosobnienia. Nie wolno im nigdzie się ruszać do czasu nowego rozkazu – powiedziałem i poszedłem w kierunku wskazanym przez ojca Killimeta.

Na końcu ciemnego, wilgotnego korytarza dostrzegłem gościnnie uchylone drzwi. Wszedłem razem z żołnierzami. W mrocznej celi zastałem mnicha; odwrócony do nas plecami czytał coś w wątlym świetle dopalającej się świeczki. W przeciwieństwie do poprzednich nie zapytał, kim jesteśmy ani czego chcemy. Odwrócił się spokojnie w naszą stronę i patrzył bez słowa na ludzi, którzy wtargnęli nieproszeni do jego pomieszczenia. Potem wstał i utkwił we mnie wzrok. Tami był szczupły, miał mocno przerzedzone na skroniach włosy i orli nos. Oczy promieniowały duchowością. Odniosłem dziwne wrażenie, że od razu wiedział, kim jestem, bo zanim się odezwał, rzucił przez zęby:

–No proszę, tę złą pogodę przywiało nam z Rzymu.

–Jesteś aresztowany, bracie. Pozostaniesz w zamknięciu, dopóki Święta Inkwizycja nie postanowi inaczej – oświadczyłem, a moje słowa wcale go nie obeszły, zresztą muszę przyznać, że mnie też wydały się puste.

Patrzyłem na księdza jak na zdobycz wojenną. Giorgio Carlo Tami przeszedł koło mnie z kajdankami na rękach i miałem go zobaczyć dopiero następnego dnia w więziennej izbie, pozbawionej elementarnych wygód. Znów ramię Kościoła dosięg-nęło jednego z najbardziej (wedle mych informacji) poszukiwanych heretyków.

Po zatrzymaniu jezuitów żołnierze przeprowadzili dokładną rewizję we wszystkich zabudowaniach osady, koncentrując się głównie na świątyni, bo to było miejsce zaznaczone na mapie. Ani śladu ksiąg. Zapadła noc, wszyscy byliśmy wyczerpani długą podróżą na piechotę. Najwyższa pora coś zjeść i udać

się na odpoczynek; następny dzień mógł przynieść różne niespodzianki. Zanim przeszedłem do przygotowanego dla mnie pokoju, uprzedziłem Evolę i Martinezę, że trzeba będzie przesłuchać Tamiego w sposób nieformalny, bo mieliśmy wyraźny zakaz zwoływania trybunału. Należało odnaleźć księgi-

Następnego dnia po obiedzie rozpoczęliśmy śledztwo. Postanowiłem, że odbędzie się w celi więziennej, urządzonej w pustym, ciemnym i zimnym pomieszczeniu w tej samej części budynku, gdzie były sypialnie zakonników. W pobliżu znajdowała się również cela więzienna Xanthopoulosa. Zaprosiłem na przesłuchanie Martineza. Oczywiście przyszedł również Evola, choć nie był na obiedzie i w ogóle się spóźnił. Miał zapisywać przebieg wydarzeń i czuwać, abym nie zadawał zbyt wielu pytań.

W pomieszczeniu ustawiono stół; jego centralna część była zarezerwowana dla mnie. Po mojej prawej stronie usiadł notariusz, a po lewej – kapitan Martinez. Czterech żołnierzy pilnowało Tamiego. Dałem Evoli znak, że może zaczynać.

–Nazwisko? – spytał oskarżonego Neapolitańczyk.

–Giorgio Carlo Tami – odpowiedział kapłan, posadzony na krześle naprzeciwko mnie.

Evola zanotował nazwisko w księdze notarialnej – miał wyszukany, staranny krój pisma – i ogłosił:

–Dnia pierwszego lutego tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku w godzinach popołudniowych rozpoczyna się przesłuchanie księdza Giorgia Carla Tamiego z zakonu jezuitów w sprawie wykroczeń przeciwko wierze. Odtąd wszystko, co powie oskarżony, będzie uznane za dowód jego niewinności lub winy. Przesłuchanie prowadzi Inkwizytor Generalny Angelo

303

Demetrio DeGrasso. Jako notariusz z upoważnienia Świętego Oficjum poświadczam to wpisaniem do księgi protokołów.

Następnie ja przystąpiłem do zadawania pytań z całą pompą i wprawą, jakiej nabyłem przez lata studiów, z podręczników i przede wszystkim dzięki praktyce, doskonałej z dnia na dzień w ramach mojej osobistej krucjaty. Choć to nie było formalne posiedzenie trybunału, zamierzałem poprowadzić je podług zwykłego w takich wypadkach scenariusza, zwłaszcza że Tami nie wiedział o ograniczeniach narzuconych mi przez Rzym.

–Padre Tami, czy wiesz, dlaczego stajesz przed nami? Co doprowadziło do tej sytuacji? – rzekłem i wpatrywałem się w niego ze zmartwiałą twarzą.

–Nie wiem, Wasza Miłość – odparł szczerze.

–Jak to nie wiesz...? Zastanów się, proszę. Nie przychodzi ci do głowy nic, co mógłbyś szczerze wyznać przed tym trybunałem?

–Nie, Wasza Miłość.

–Posłuchaj, padre Tami, ja wiem, że coś przede mną ukrywasz...

–Możesz myśleć i podejrzewać, co ci się żywnie podoba, ekscelencjo DeGrasso. A ja i tak nie wiem, czego ode mnie chcecie.

–To są słowa typowe dla osób, które próbują ukryć swoje brudy. Ale mnie się nie oszuka taką kłamliwą mową. Ja nie zniechęcam się tak łatwo. Więc bądź rozsądny i powiedz mi to, co mam nadzieję usłyszeć.

Tami wziął głęboki oddech i powiedział:

–Przykro mi, ale Wasza Ekscelencja niepotrzebnie traci swój czas. Jeszcze bardziej mi przykro, że uważa się mnie za kłamcę, chociaż żadne kłamstwo nie wyszło z moich ust.

–Nadal podejrzewam, że coś ukrywasz.

–Nie w mojej mocy zakazać wam podejrzliwości. Tami uporczywie obstawał przy swoim zdaniu. To typowe

dla oskarżonych o pewnej kulturze, natomiast analfabetom

język rozwiązywał się od razu na widok inkwizytora z krzyżem na piersi. Ale na każdą rybę jest przynęta, a na heretyka – pułapka.

–Miałeś już do czynienia z inkwizycją?

–Nie.

–Pewno dlatego nic nie rozumiesz. Skoro jesteś podejrzany, musisz przebywać w odosobnieniu. Popraw się w moich oczach, jeśli chcesz żyć jako wolny człowiek w Kościele Chrystusowym.

–Jeśli dobrze rozumiem, mam za wszelką cenę przekonać Waszą Ekszelencję, że nie zasługuję na podejrzenia?

–Właśnie tak. I nie żałuj wysiłku, bo robisz to dla siebie, dla swojego honoru. Czy masz mi już coś do powiedzenia?

–A jeśli nie zechcę?

–Nie można ciągle się wzbraniać, wiem to z doświadczenia. Prędzej czy później zaczniesz mówić, w taki czy inny sposób. Wolałbym, żeby to się stało w pierwszej instancji. Stosowanie bowiem środków przymusu prowadzi do jałowego, nieudanego dialogu, który świadczy o wybujałym ego u podejrzanych, a nie sądzę, żeby to była twoja cecha. Nie pozwól, bracie, żeby twoja mowa przysporzyła ci jeszcze więcej kłopotów.

–Ja nie miałem kłopotów do tej pory. To Wasza Ekszelencja chce, żebym je miał.

Przyjąłem ten zarzut ze spokojem i odparłem statecznie, z powagą godną sędziego.

–Jesteś powściągliwy. Dobrze ci zrobi, jak spędzisz trochę czasu w zamknięciu. Sam się tego domagasz. Miesiąc, dwa, a może cztery... tyle, ile trzeba, abyś zapomniał, jak wygląda światło i stracił powściągliwość. Mam wrażenie, padre Tami, że nie zdajesz sobie sprawy, na co się narażasz takim zachowaniem. Wolę myśleć, że to efekt ignorancji. A więc bądź rozsądny i pozwól sobie pomóc w rozwiązywaniu problemów.

–Niech się wreszcie dowiem, jaki to problem – zawołał wzburzony. I w tym momencie zarzuciłem przynętę jak każdy dobry wędkarz.

–Opowiedz mi o księgach.

–O księgach?

–Tak, powiedz, a unikniesz więzienia.

–Mam wiele książek... Co was interesuje? Zerwałem się z miejsca i walnąłem pięścią w stół.

–Dość tej zabawy! Pytam o książki ukryte w świątyni! Jezuita posiniał, jednak dalej upierał się przy swoim.

–To jakaś pomyłka, Wasza Ekszelencjo. Nic nie wiem

o żadnych księgach, bierzecie mnie za kogoś innego – odparł spokojnie.

Giulio Battista Evola podniósł oczy znad swoich notatek

i popatrzył na mnie porozumiewawczo. Wykręty Tamiego nie przekonały go.

–Przysięgnij na Pismo Święte, że niczego nie ukrywasz! – zareplikowałem.

–Nie przysięgnę, choćbyście mnie nie wiem jak prosili.

–To taki elegancki sposób potwierdzenia, że jesteś tym, kogo szukamy, ale nie chcesz się przyznać, prawda?

–Wy... – zaczął Tami. Natychmiast mu przerwałem.

–Nie odzywaj się bez mego przyzwolenia. Jeszcze nie skończyłem. – Zwróciłem się do kapitana Martineza, który przysłuchiwał się śledztwu w milczeniu: – Panie kapitanie, gdyby któryś z pańskich żołnierzy nie chciał przysiąc, że mówi prawdę, to co by pan pomyślał?

Martinez zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

–Pomyślałbym, że coś ukrywa.

–Dobrze... A dlaczego?

–Bo gdyby miał czyste sumienie, nie wahałby się przysięgać.

–No właśnie! I to samo można powiedzieć o naszym podejrzanym. Jeśli posiada informację i świadomie ukrywa ją przed naszym trybunałem, to znaczy, że ma jeszcze resztki sumienia i nie chce złożyć przysięgi w obawie przed popełnieniem grzechu przysięgania nadaremno.

–I to ma być dowód? – wtrącił Tami z niedowierzaniem.

–Owszem, padre, zresztą nie tylko to. Jestem w posiadaniu raportu z poważnymi zarzutami wobec ciebie.

–Kto mnie oskarża?

–Inkwizycja nigdy nie ujawnia nazwisk donosicieli pomagających nam rozprawić się z kimś takim jak ty. Nie jest ważne, kto oskarża, ważna jest wiarygodność doniesień.

Włoski ksiądz pochylił głowę. Niespodziewanie zaplątał się w pajęczą sieć inkwizycji. Nie miał wyjścia, bo jeśli przysięgnie, oskarżę go o bluźnierstwo, i nie będzie mógł się obronić.

–Twierdzicie, że macie dowody na to, że coś ukrywam i że się z tego nie wykręcę. Więc co mam powiedzieć? Prawdę, czy to, co chcecie usłyszeć?

–Powiedz, padre, gdzie są zakazane księgi i więcej nie będę pytał. Zapewniam.

Tami zacisnął zęby, ale zaraz się zreflektował i odpowiedział spokojnie:

–Nic nie wiem na ten temat.

W tym samym momencie, jakby zrzędzeniem Opatrzności, otworzyły się drzwi i w progu sali pojawił się tęgi żołnierz z wiadomością, że znaleźli w kościele zamaskowaną niszę. Wszyscy zaniemówili z wrażenia. Tami opuścił głowę przygnębiony. Moje oczy miały błyskawice.

–Zawieszam przesłuchanie. Zbierzemy się ponownie o zachodzie słońca – oznajmiłem i czym prędzej opuściłem salę, żeby zbadać znalezisko, co wydawało mi się zajęciem dużo bardziej pasjonującym niż grzebanie się w głowie jezuitę.

Włoski ksiądz znalazł się w celi więziennej, sam na sam z własnym sumieniem i z ciężkimi chmurami nad swoją głową. Jego wiarygodność doznała szwanku. To samo czeka każdego, kto próbuje zmierzyć się z inkwizycją.

42

Dotarłem do głównej kaplicy najszybciej, jak mogłem. Żołnierze stali o kilka kroków od głównego ołtarza i coś między sobą szeptali. Szum przyciszonych głosów odbijał się o skle-

307

pienie i wracał ze zdwojoną siłą bez chwili przerwy. Pytające spojrzenia krzyżowały się, nie otrzymując odpowiedzi. Coś tajemniczego pojawiło się za fałszywą przegródką w mrocznym wgłębieniu pod prostym, drewnianym krzyżem – jedyną ozdobą kościoła. Kazałem żołnierzom natychmiast wyjść na zewnątrz.

Obejrzałem otwór. Była to nisza w ścianie, dawniej przykryta zwykłą płytą nagrobną, która teraz leżała strzaskana na podłodze. Czyjś grób został sprofanowany. Przez nas. Odwróciłem

się, żeby poprosić o światło i zajrzeć do środka. W kościele zostali tylko Evola, kapitan Martinez i podoficer, odpowiedzialny za naruszenie płyty. Wniesiono żelazny lichtarz; słabe światło świec wydobyło z ciemnego otworu kontury małej, starej skrzynki. Nic więcej tam nie było, żadnych szczątków ludzkich.

–Jak na to trafiliście? – spytałem, nie spuszczając kuferka z oczu.

–Wasz notariusz pokazał nam to miejsce dziś rano – odpowiedział kapral Llosa.

Spojrzałem na milczącego Evolę, który stał obok mnie. To dlatego obudził się dziś tak wcześnie i wbrew swoim zwyczajom przyszedł spóźniony na przesłuchanie.

–Kazaliście sprofanować grób?

–Tak, ekscelencjo.

–Skąd wiedzieliście, że to skrytka? Widzę koło ołtarza trzy inne płyty nagrobne w stanie nienaruszonym.

Giulio Battista Evola dotknął wielkiej blizny nad przesłoniętym okiem, jak zwykle kiedy chciał się zastanowić, i powiedział:

–To pomysłowa kryjówka, niemal doskonała. Zacząłem coś podejrzewać dopiero wtedy, kiedy przeczytałem wyrytą na płycie datę śmierci.

–Co w niej było podejrzanego?

–Waszym zdaniem, ile może mieć ta świątynia, rok? Obdarzyłem go zaciekawionym spojrzeniem i odpowiedziałem bez wahania:

–Widać, że jest jeszcze świeża, ale daję jej więcej niż rok...

–Trzy lata?

–Myślę, że więcej...

–Dziesięć?

–Chyba raczej...

–Dwadzieścia pięć?

–Bracie Evola, z tego, co wiem, franciszkanie przybyli tu w tysiąc pięćset trzydziestym ósmym, zgadza się...? Starczy już tej zgadywanki! – zawołałem z irytacją, zmęczony pytaniami Evoli, choć rozumiałem, że notariusz chciał przedłużyć swoją chwilę sławy.

–Kazałem zdjąć tę płytę, bo wyryty napis mówił o księdzu zmarłym w tysiąc pięćset dwudziestym trzecim. Grób jest starszy niż świątynia... to dziwne i nielogiczne, prawda? Na pozostałych tablicach widnieją nazwiska autochtonów, z pewnością prawdziwe, i całkiem świeże daty śmierci. Najstarsza sięga ubiegłego roku. Jestem pewien, że w tych kryptach znaleźlibyśmy kości.

–Nie będziemy ich profanować – oświadczyłem – bo chyba znaleźliśmy to, czego szukamy. Ale najpierw sprawdźmy.

Kapitan i podoficer pomogli mi wyciągnąć skrzynkę na zewnątrz. Umieściliśmy ją na ołtarzu. Czułem, że moje oczy płoną niezwykłym blaskiem chciwości, pożądania i nieufności jak oczy patrzącego na cudowny klejnot leżący pośród zwyczajnych kamieni. Nadeszła z dawna oczekiwana chwila.

–Panie kapitanie – zwróciłem się do Martineza – czy zechce pan zostawić nas samych? Tylko mój notariusz i ja jesteśmy upoważnieni do zbadania zawartości kuferka.

Ten niezbity argument podziałał na Martineza. Z lekka zawiedziony opuścił kościół razem z kapralem Llosą. Kiedy zostałem sam z Evolą, popatrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Zdmuchnąłem kurz z kuferka i podziwiałem prostotę drewnianego wieczka. Miał idealne wymiary: szeroki na jakieś dwie i pół piędzi, głęboki na półtorej i wysoki na piędź. Można było go przenosić bez większego wysiłku. Ciemne drewno bez

specjalnych ozdób, tylko rogi i przednia krawędź zaopatrzone we wzmocnienia z brązu.

Przesuwając ręką po wieczku, czułem każdą zadreę; zatrzymałem palce na zamku i powoli otworzyłem. Zawiasy wydały słaby zgrzyt.

Wewnątrz, owinięte kawałkiem sukna, znajdowały się dwie książki, jedna duża i gruba, a druga mała co do wielkości i liczby stron. Evola odnotował to wszystko w księdze notarialnej, po czym rzekł:

–Idealnie pasują do opisu, jaki otrzymaliśmy z Rzymu. Czy macie jeszcze jakieś wątpliwości, że są to księgi, których szukamy?

–Nie mam. Jasne jak słońce, że to są te zakazane księgi.

–Co za zadziwiająca precyzja wskazówek Świętego Oficjum – rozważał głośno Evola. – Znaleźliśmy księgi dokładnie w tym miejscu, gdzie kazano nam szukać. Nie było żadnych komplikacji ani pomyłek.

–Równie zadziwiająca jest ludzka skłonność do zła. Kto by powiedział, że ziemia tego odległego zakątka skrywa tyle bólu?

Wyjąłem pierwszy egzemplarz, trzymając obiema rękami, i położyłem na ołtarzu. Była to gruba książka licząca około tysiąca stron oprawionych w czarną skórę. Nie miała żadnego napisu na okładce ani na grzbiecie. Otworzyłem na pierwszej stronie.

–Co chcecie zrobić? – wykrzyknął wzburzony Evola, łapiąc mnie za rękę.

–Zbadać materiał dowodowy.

–Tego nam nie wolno. Instrukcje zabraniają, ekscelencjo.

–Musimy wiedzieć, jaki rodzaj literatury ukrywał włoski ksiądz. To warunek niezbędny do formalnego oskarżenia.

–Instrukcje mówią inaczej, ekscelencjo. Macie przestrzegać nakazów albo odnotuję to jako samowolę. Wasze uprawnienia sędziowskie są w tym przypadku ograniczone. Nie wolno łamać rzymskich nakazów.

Rzuciłem ukradkowe spojrzenie na otwartą stronę. Zobaczy-

lem stopę czarownicy, a pod tym złowrogim symbolem – nazwisko autora: Abdul Al-Hazred, nazwisko tłumacza na język włoski i tytuł. Tłumaczem był Gianmaria, a tytuł brzmiał Necronomicon. Szybko zamknąłem księgę.

–Macie rację – rzekłem do notariusza – ciekawość nigdy nie jest dobrą doradczynią. – Evola patrzył na mnie, nie okazując żadnych emocji.

–Tak trzeba – wyszeptał.

Odłożyłem na miejsce gruby wolumen i wyciągnąłem drugą księgę. Ta miała oprawę drewnianą zszytą na grzbiecie cienkim podniszczonym drutem, przytrzymującym nie więcej niż sto pięćdziesiąt stron. Czas pozostawił na niej swój bezlitosny ślad: w wielu miejscach drut był zardzewiały, a stronicie zbutwiały z powodu wilgoci. Ta księga wydawała się dużo starsza w porównaniu z Necronomiconem i została spisana po łacinie, na pierwszej stronie można było przeczytać: Szmaragdowy Kodeks. A więc tu mieściły się zaklęcia usunięte w trzynastym wieku z Necronomiconu, kiedy czarownicy uznali, że tak będzie bezpieczniej. I chociaż ponad wszystko na świecie pragnąłem ją przeczytać, a przynajmniej przekartkować, nic nie mogłem zrobić, bo notariusz obserwował mnie jak pies gotów do ataku. Włożyłem książkę na powrót do kuferka i zamknąłem wieczko. Byłem podekscytowany: miałem w ręku księgi, które wywarły piętno na moim życiu. Księgi ukrywające moc śmiertelnie groźną dla Królestwa Bożego.

–Co teraz zrobimy z tym kuferkiem, ekscelencjo?

–Przede wszystkim zdejmijmy go z ołtarza. Nie chciałbym popełnić grzechu świętokradztwa. Trzeba urządzić sekretną komnatę w jakimś wolnym pomieszczeniu osady i tam zostawić te księgi pod pieczęcią dwóch żołnierzy, którzy będą trzymać straż w dzień i w nocy, dopóki stąd nie wyjedziemy.

–A co z jezuitą? – Evola uśmiechnął się, a jego uśmiech wyrażał nie tyle satysfakcję z doskonale wypełnionego zadania, ile złośliwą radość na myśl o tym, że mógłbym użyć narzędzi tortur.

–Zmniejszyć dzienną rację chleba i wody. Niech już teraz zaczyna pokutować za swą niegodziwość.

Tego samego wieczoru poinformowałem księdza, że znaleźliśmy księgi i mamy dostateczne powody, aby wytoczyć mu proces o przestępstwo przeciwko wierze, a jest to zarzut wyjątkowo poważny w przypadku zakonnika. Dopóki nie wrócimy do Rzymu, on i dwaj pozostali jezuiti, których uznajemy za jego współników, będą zamknięci i odosobnieni. Dodałem, że proces odbędzie się w Rzymie. Tami przyjął moje wyjaśnienia obojętnie jak posąg z marmuru. Jego

twarz nie wyrażała żadnych emocji. Ten niepojęty spokój wzbudził jeszcze bardziej moje zainteresowanie osobą włoskiego księdza. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ma mi coś do zakomunikowania.

XVI

REVELATIO

43 '

Upłynęły trzy dni od naszego przybycia, trzy długie dni, które spędziłem na roztrząsaniu wątpliwości, nie ruszając się z osady, którą przyszło mi dzielić z dwoma wrogami Boga: czarownikiem i heretykiem. Co prawda, Martinez dotrzymał obietnicy i ani przez moment nie widziałem Xanthopouloza, ale wiedziałem, że jeszcze nie został odstawiony do Asunción, gdzie miano go oddać pod sąd cywilny. W głowie miałem teraz jedną myśl: czy nie za łatwo poszło nam odnalezienie ksiąg? Czy nie ma w tym czegoś więcej niż wyjątkowa przenikliwość Evoli? Iuliano zaznaczył, że doskonale wie, gdzie są księgi, a Evola był mu wiemy jak pies. Czy nie popełniłem pomyłki, uznając, że notariusz nie zna dobrze celu naszej wyprawy? Być może od początku wiedział dokładnie, gdzie szukać tych przeklętych ksiąg. Coraz bardziej frapował mnie włoski jezuita, jego prawość, otaczająca go aureola spokoju, tego spokoju, który tak cenilem i pragnąłem dla siebie, to wszystko skłaniało mnie, żeby szukać z nim rozmowy i co więcej, żeby go wysłuchać. Tego dnia wstałem skoro świt i postanowiłem złożyć mu wizytę w celu nie w charakterze inkwizytora, tylko jako człowiek spragniony odpowiedzi na nękające go pytania. Wraz z pierwszym pianiem koguta zjawiłem się przed strażnikiem, a ten – zdziwiony – pozwolił mi wejść do wilgotnej, ponurej

313

celi. Ksiądz leżał zwinięty w kłębek w najsuchszym kącie, jaki znalazł, z rękami pod głową zamiast poduszki, mając za jedyne przykrycie swój stary, zniszczony habit. Dostawał tylko chleb i wodę, toteż głód, niewyspanie i konieczność wdychania odoru własnych odchodów odbijały się zmęczeniem na jego twarzy. Otworzył szeroko oczy na mój widok, szybko wstał i przycisnął się do ściany.

–Proszę się nie bać, przyszedłem tylko porozmawiać – powiedziałem uspokajająco.

Spojrząwszy na drzwi jezuita zorientował się, że nie będzie żadnych tortur, skoro nikt nie towarzyszy inkwizytorowi.

–Szczерze mówiąc, czekałem na was – odparł. – Spodziewałem się was wczoraj, ale to tylko potwierdza to, co mi mówiono, że cechuje was wielka cierpliwość.

–Kto księdzu powiedział, że jestem cierpliwy? – spytałem łagodnie.

–Wspólny przyjaciel.

–Wspólny przyjaciel...? Nie sądzę, byśmy mieli wspólnych przyjaciół. Nazwisko księdza nic mi nie mówi.

–Uwierz mi, bracie DeGrasso. Nie zamykaj się na moje słowa.

–Ksiądz myśli, że mogę mu zaufać po tym, co się stało? Jak może powoływać się na swoją wiarygodność osoba ukrywająca księgi?!

–Jednak trochę mi wierzysz, bracie DeGrasso – odparł z uśmiechem Tami, przyglądając sobie włosy. – Chyba że wstałeś tak wcześnie rano tylko po to, żeby odwiedzić kłamcę. To byłoby głupie, a ja mam wysokie mniemanie o Waszej Ekscelencji. Rzeczywiście, powinienem przeprosić za to zamieszanie z księgami, ale gdybym mógł, ukryłbym je raz jeszcze.

Całą tę rozmowę prowadziłem, stojąc przy drzwiach, ale wreszcie przysunąłem ławkę i usiadłem naprzeciw księdza, żeby porozmawiać twarzą w twarz.

–Kim jest nasz wspólny przyjaciel, Giorgio? – zwróciłem

się doń po imieniu, żeby poczuł się pewniej. Tami przyglądał mi się przez chwilę, zanim odpowiedział:

–Ojciec Piero Del Grandę.

Słowa jezuita zadudniły w mej głowie, a w celi zaległa niespokojna cisza.

–Piero? Znasz Piera Del Grandę?

–Tak, ekscelencjo, zanim mnie tu przysłał, opowiadał o swym ulubionym uczniu, widocznie przewidywał, jaki los mnie czeka.

–To niemożliwe! Piero nigdy nie mówił mi o tobie ani o tym miejscu...

Twarz Tamiego przybrała uroczysty wyraz, a usta wypowiedziały słowa, których nigdy nie spodziewałem się usłyszeć od heretyka.

–Extra Ecclesia nulla salus – wyszeptał.

W osłupieniu czekałem na dalszy ciąg wyjaśnień.

–Angelo, jestem konfratrem Corpus Carus. Jestem tym, kogo szukasz, nie jako inkwizytor, ale w swoim sercu. Nie wiem: zechcesz nam pomóc, czy raczej przyłożysz rękę do tego, żeby nas zniszczyć? Nie wiem, co postanowisz, ale nie możemy już dłużej czekać, bo jesteśmy twoimi więźniami, czyli więźniami Rzymu. Mam nadzieję, że zrozumiesz me słowa i modłę się do Boga, abyś zechciał do nas przystąpić. Corpus Carus cię potrzebuje. Teraz.

Nie było mi łatwo opanować zdziwienie i zobaczyć w Tamim konfratru Corpus Carus. Był uczniem Piera Del Grandę. Tak jak ja. Jezuita mówił dalej:

–Przywiodła cię do mnie ciekawość. Zakazane księgi nie dają ci spać. Przeszedłeś, boja mogę rozwiązać twoje wątpliwości, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej ich sporą część. Czuję, że chcesz widzieć we mnie nie heretyka, który odstąpił od prawdziwej wiary, ale kogoś, kto dąży do tego samego, do czego ty dążysz jako inkwizytor, choć nie tą samą drogą. Widziałeś

księgi, Angelo, ale wiesz o nich bardzo mało. Nie wiesz, komu je oddasz ani jak się tu znalazły. Prawie nic nie wiesz o Corpus...

Tami mówił powoli. Choć się nie znaliśmy, rozumiał moje troski lepiej niż ja sam. Przerwałem niecierpliwie, ponaglany pilną potrzebą wiedzy.

–No to mów, nie traktuj mnie jak ucznia, jestem inkwizytorem.

–Wszystko po kolei – kontynuował Tami. – Najpierw rzeczy najważniejsze, a o księgach potem. Zacznijmy od tego, że musisz lepiej poznać historię Corpus Carus. W ten sposób zrozumiesz, czego my chcemy, a czego chcą czarownicy. Co o nas wiesz, Angelo?

–Co wiem...? Nic lub prawie nic. Piero Del Grandę powiedział mi bardzo mało, kiedy odwiedziłem go ostatnio w klasztorze, nieco więcej wyjaśnił w swoim liście... Jeszcze mniej dowiedziałem się od kardynała Iuliana.

–Co powiedział Piero Del Grandę?

–Między innymi to, że rozpoznam was po słowach Extra Ecclesia nulla salus, że jesteście katolickim bractwem, które działa w obronie nieomylności Stolicy Apostolskiej i dogmatów wiary naszych Ojców Świętych. Nazwał was Rycerzami Wiary...

–Zgadza się – wtrącił Tami. – Jesteśmy Rycerzami Wiary, a nasza dewiza brzmi: „Wikariuszem Chrystusa jest to, co nam dyktuje nasze pierwsze i spontaniczne odczucie sumienia”.

–Właśnie tak mi napisał mój mistrz – potwierdziłem.

–Co jeszcze wiesz, Angelo? – wypytywał Tami, jakbyśmy zamienili się rolami i teraz ja byłem oskarżonym, a on sędzią Kościoła.

–Piero powiedział, że ktoś będzie czuwał nad moim bezpieczeństwem przez całą wyprawę, ale nikt z Corpus Carus się nie ujawnił oprócz ciebie. A jak ty mi możesz pomóc z celi więziennej?

–Masz rację, że nie mogę, tym bardziej że siedzę tu o chlebie i wodzie. Za kilka dni zostaną ze mnie same kości... Ale nie mówmy o tym, Angelo. Pomówmy o twoim strażniku.

Zapewniam cię, że on istnieje. Piero nie zostawiłby bez opieki swego umiłowanego ucznia.

–Posłuchaj, Giorgio, na statku zginęły trzy osoby... Popełniono trzy morderstwa. Moje życie też było w niebezpieczeństwie. Napastnik zaczął się na mnie w kajucie. Na szczęście nie byłem sam, bo po dwóch pierwszych morderstwach postawiono straż w przejściu do mojej kajuty. Zawołałem o pomoc i to mnie uratowało. Ten czarownik zabiłby mnie, gdyby nie żołnierze...

–Czarownik? Jesteś tego pewien?

–Lekarz pokładowy powiedział mi przed śmiercią o diabelskim pentagramie, który widział u człowieka podróżującego nielegalnie w zęzie, odkąd opuściliśmy Teneryfę. Ten sam człowiek został zatrzymany przez strażę przy próbie napaści na mnie, a Evola znalazł u niego pentagram.

–Gdzie on teraz jest?

–Tu, w osadzie. Czeka na odwiezienie do Asunción, gdzie będą go sądzić władze cywilne – wyjaśniłem, a twarz Tamiego oblekła się w strach, że czarownik jest tak blisko ksiąg.

–Ktoś go pilnuje? – chciał wiedzieć Tami.

–Oczywiście. Zapewniam cię, że sam jego widok budzi przerażenie: tęgi, wysoki mężczyzna, zimne, jasnoniebieskie oczy, długie, kręcone włosy, broda i wąsy. Wygląda jak wiking, a nazywa się...

–Xanthopoulos – przerwał mi Tami, jakby mówił sam do siebie ze smutno opuszczoną głową.

Znów osłupiałem.

–Jak to możliwe, że go znasz?

–To twój anioł stróż, bracie Angelo, człowiek przydzielony do twojej ochrony, konfrater Corpus Carus, jeden z naszych najlepszych ludzi. Znakomity łowca czarowników. Coś ci się musiało pomylić. On nie chciał cię zabić...

Błyskawicznie zerwałem się na nogi. Przypomniałem sobie jego słowa: „Szukałem dojścia do was”. Podszedłem do drzwi, żeby wydać żołnierzom rozkaz. W chwilę potem, w drzwiach

do zaimprovizowanej celi Tamiego stanął Xanthopoulos z dwoma żołnierzami, którzy wepchnęli go do środka. Upadł na ziemię z hukiem żelastwa kajdan i łańcuchów. Patrzył na nas zdziwiony, nic nie rozumiejąc. Po wyjściu żołnierzy powiedziałem doń uspokajająco:

–Nie bój się. Tami właśnie mi powiedział, że jesteś członkiem Corpus i znalazłeś się na statku po to, żeby mnie chronić. Wtedy, w mojej kajucie, byłem pewien, że to próba kolejnego morderstwa, ale kolejne morderstwo zostało popełnione potem i nie przez ciebie, bo ty byłeś już uwięziony, więc nie mogłeś zabić. Zacząłem się zastanawiać, czy zatrzymaliśmy właściwą osobę... Istniała jeszcze możliwość, że nie działałeś sam.

–Angelo – powiedział Nikos Xanthopoulos, podnosząc się i szukając oparcia na ścianie obok Tamiego – właśnie z powodu tych morderstw szukałem do ciebie dojścia tamtej nocy. Pilnowałem twojej kajuty. To samo robił twój notariusz... Za każdym razem, gdy schodziliście się, żeby otworzyć zalakowane koperty...

–Skąd wiesz o istnieniu zalakowanych kopert? – byłem zaskoczony.

–Bracie Angelo, Corpus Carus ma wszędzie swoje oczy i uszy – wtrącił Tami – ale my wiemy tylko o ich istnieniu, a nie o zawartości...

–Te trzy koperty nie zawierały nic nowego, czego nie wiedziałbym wcześniej, powiedziałbym nawet, że zawierały mniej, niż sam wiedziałem. To było absurdalne, a sztywne instrukcje otwarcia każdej z kopert tylko potęgowały ten absurd. Byłem zobowiązany czynić to w obecności notariusza, dlatego Xanthopoulos widział go wchodzącego do mojej kajuty. Ale... z tego jeszcze nic nie wynika.

Trzy trupy, trzy koperty, Evola strzegący mej kajuty. Nagle wszystko mi się rozjaśniło.

–Po otwarciu pierwszej koperty nie rozumiałem, po co tyle zachodu. Zaraz potem poszedłem do kuchni, żeby zamówić

sobie specjalne danie. I kucharz został zamordowany. Jedna pieczęć zerwana, jedno życie przerwane. Wizyta medyka nastąpiła tuż po otwarciu drugiej koperty. On też został zamordowany. Dwie pieczęci, dwa morderstwa. To samo stało się za trzecim razem, kiedy życie stracił kapelan Valerón. Trzecia pieczęć, trzeci trup. Oprócz mnie tylko jedna osoba wiedziała o kopertach i ich otwieraniu. To osoba, która strzegła mojej kajuty. Ta sama, która znalazła u Xanthopoulosa pentagram... Za dużo tych przypadków zbiegu okoliczności. To nie ty jesteś mordercą- zakończyłem, pokazując na Greka – tylko Evola. Ale dlaczego? Dlaczego zabijał każdego, kto zbliżył się do mnie w chwilę po otwarciu koperty?

–Wiesz, Angelo, ja myślę – wtrącił Xanthopoulos – że koperty były przynętą na mnie jako twojego opiekuna i towarzysza podróży. Kardynał Iuliano podejrzewał, że za każdym razem będziesz przekazywał do Corpus Carus informacje o treści przeczytanego listu. Tym samym postarał się o trzy okazje, żeby mnie zidentyfikować i potwierdzić swoje podejrzenia, że należysz do naszego bractwa.

–Aż trudno w to uwierzyć... – westchnąłem zniechęcony – ale wszystko się zgadza. Wolałbym widzieć w Evoli członka Tajnego Stowarzyszenia Czarowników niż mnicha mordującego niewinnych... Na pewno podłożył ten pentagram, żeby cię pogrążyć – powiedziałem do Xanthopoulosa.

–To nie tak, Angelo. Miałem ten pentagram przy sobie. Znalazłem go w zęzie – odparł Grek.

–Jeśli nie on, to kto? Evola jest przywiązany jak pies do Iuliana. To kardynał mi go narzucił.

–Obyś miał rację – wtrącił Tami. – Bo trzeba ci wiedzieć, Angelo, że Rzym chce zniszczyć Corpus Carus, aby zapobiec naszym wpływom w Watykanie. Do zniszczenia bractwa są im potrzebne księgi, które masz im przekazać. Mają one tak wielką wartość, że każdy król oddałby tron za ich posiadanie. Jestem pewien, że czarownicy też kręcą się w pobliżu i pilnują cię tak samo jak Rzym.

–Mówisz, że te księgi są wam potrzebne do obrony przed Rzymem. Czy to znaczy, że wy, Rycerze Wiary, strażnicy czystości... – ironizowałem – uczestniczycie w niezdrowych potyczkach o władzę? Należy natychmiast zniszczyć te księgi. Najlepiej powierzyć to zadanie inkwizycji.

–Zaczekaj, Angelo, Rzym chce zdobyć księgi nie tylko po to, żeby nas zniszczyć. Rzym chce poznać ich treść w przekonaniu, że zrobi z nich „pożyteczny” użytek. Dlatego księgi nie mogą wpaść w ręce inkwizycji. Dla nas mają one wartość wymienną w dążeniu do dobra wyższego: potrzebujemy bowiem trochę czasu, żeby obalić Święte Oficjum. Inkwizycja jest wypaczeniem nauk Naszego Pana, bo nie mówi o Bogu miłości i przebaczenia, tylko o Bogu, który sędzi,

potępia i niszczy. Inkwizycja jest równie bezlitosna wobec swoich braci. Święte Oficjum musi zniknąć. I to się kiedyś stanie, bo nadal troszczymy się o to, by mieć wykształconych adeptów w szeregach kurii papieskiej... Bracia tacy jak ty mogą obalić tę niegodziwą instytucję od wewnątrz. Chcemy mieć te księgi u siebie, dopóki nie zniszczymy Świętego Oficjum. To nasza główna misja.

Po tych słowach Tamiego zapadła głęboka cisza. Powoli wszystko układało się w mojej głowie w jedną całość, wszystko tu pasowało (nie mogłem temu zaprzeczyć), żaden ruch w tej wielkiej partii szachów nie był przypadkowy, a ja grałem tylko rolę skoczka, którego trzeba poświęcić dla obrony cenniejszych figur. Wciąż za mało wiedziałem i pragnąłem zweryfikować moje informacje o księgach. Więc poprosiłem:

–Powiedzcie mi o księgach, muszę dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Ciągłe otrzymuję częściowe informacje; miałem nawet te księgi w rękach, ale nie mogłem ich przejrzeć. Odkąd o nich usłyszałem po raz pierwszy i zostałem zamieszany w tę skomplikowaną sprawę, nikt nie mówi ze mną jasno na ten temat.

–A co wiesz? – zapytał Tami.

–Jeszcze niedawno nie zdawałem sobie sprawy, że ta sprawa ciągnie się za mną niemal od początku mojej działalności

inkwizytora. Przez wiele lat byłem na tropie Szmaragdowego Kodeksu, nie wiedząc, czego naprawdę szukam. Dla mnie była to tylko księga zaklęć, bardzo dobra księga, i rozumiałem, że Kościół chce ją odzyskać, gdyż przywiązuje do niej taką samą wagę jak do walki z czarownicami używającymi tych zaklęć. Idąc po śladach Necronomiconu, dotarłem aż tutaj. Mam jedynie słabe pojęcie o zawartości tych ksiąg, ale sam jestem świadkiem, jak wiele energii włożono w ich poszukiwanie, co dowodzi, że musi być ku temu ważna przyczyna. To, co do tej pory usłyszałem o hipotetycznej mocy ksiąg, po stokroć uzasadnia wszystkie podjęte środki.

–Nie znasz treści ksiąg, ale przeczuwasz, że mogłoby się zdarzyć coś strasznego, gdyby znalazły się w niepowołanych rękach – powiedział Tami.

–O to właśnie pytam. Co jest w tych księgach? Czy możecie mi potwierdzić, że...

–Nie – odparł stanowczo Tami. – Nie teraz. Pomyśl o tym, co powiedziałem. Już wiesz, kim jesteśmy i jakie mamy zamiary. Przemyśl to sobie spokojnie, bo stoisz przed podjęciem niezwykle ważnej decyzji. Pozwól naszym słowom fermentować w twych myślach. Potem zajmiemy się tym, co cię tak bardzo frapuje. Jeśli zechcesz nam pomóc, masz pełne prawo wiedzieć, co zawierają te księgi. Przyjdź wieczorem.

XVII

KSIĘGI

44

Zgodnie z obietnicą, o zmroku ponownie pospieszyłem pełen ciekawości do celi więziennej jezuity. Tym razem, w przeciwieństwie do porannej sesji, zastałem Giorgia Carla Tamiego rozbudzonego; na twarzy miał dziwny grymas zadowolenia i emanował na nowo duchem walki. To nie będzie walka z bronią w ręku, lecz na ostre słowa, które – dobrze użyte – potrafią przebić się przez pancerz mojego urzędu i przemienić sędziego Kościoła w sojusznika bractwa. Zachwycony zręczną retoryką Tamiego zacząłem wreszcie doceniać teologów Towarzystwa Jezusowego. Wyobrażałem sobie nadchodzącą rozmowę jako dialektyczny pojedynek między jezuitą i dominikaninem, między misjonarzem i prawnikiem; pojedynek wytrawnych znawców prawa kościelnego, gotowych wspólnie przedzierać się przez ścieżki, które doprowadzą do centrum labiryntu konspiracji i herezji.

Zatrzymałem się w progu celi, żeby poprosić jednego ze strażników o zamknięcie drzwi i niewpuszczanie tu nikogo więcej. Następnie podszedłem do Tamiego, który leżał w swoim barłogu, i usiadłem przy nim. Jezuita obserwował mnie z blaskiem w oczach jak człowiek, który marzy o uniknięciu stosu.

–To dla ciebie – powiedziałem, wyciągając spod ubrania pół salami, trochę sera i bułkak z

winem.

–Dla mnie? – odpowiedział zdumiony.

–Oczywiście... Przejrzyj się w wiadrze wody... Wyglądasz jak trup. Zjedz coś, dobrze ci to zrobi.

Jezuita przyjął pożywienie i zjadał się, nie bacząc na nic. Potrzebował pokarmu prawie tak samo jak powietrza do oddychania; połykał łapczywie i krztusił się co chwila.

–Spokojnie, Giorgio. Nikt ci tego nie odbierze. Nie spiesz się tak.

Tami odpowiedział, nie przerywając mlaskania i przysuwając do ust buklak z winem.

–Wypróbuj na sobie skutki twoich kar. Zobaczysz, że po trzech dniach o suchym chlebie przestaniesz myśleć o dobrych manierach. Wiem, że to mało wykwintne, ale zaprawdę powiadam ci, że mój żołądek jest despotą, który dziś poświęca elegancję dla własnych potrzeb.

Skończywszy jeść, ksiądz umościł się wygodniej w barłogu, obciągnął na sobie ubranie, splótł dłonie na podolku, westchnął i już był gotów do rozmowy. Nadeszła chwila prawdy.

–Teraz mi powiedz wszystko, co wiesz o księgach – zagadnąłem słodko i łagodnie jak ksiądz podczas spowiedzi.

Jezuita popatrzył na mnie w milczeniu i zaczął mówić:

–Zgoda, ekscelencjo DeGrasso. Tylko słuchaj uważnie i nie przerywaj, chyba że czegoś nie rozumiesz. Porzuć od razu upór i niedowierzanie, nie wdawaj się ze mną w czcze dyskusje, bo nie zamierzam mówić do skały.

–Czy skała przyniosłaby jeść wygłodzonemu? – zapytałem pokornie, żeby okazać swą dobrą wolę.

–Jasne, że nie. Przyznaję, że masz ludzkie odruchy. Ale jeśli chcesz wysłuchać mnie do końca i pojąć znaczenie tego, co ci powiem, musisz wyzbyć się wszelkich uprzedzeń, bo w przeciwnym razie zabrzmiałoby to dla ciebie jak niewinna bajka.

–W porządku, możesz na mnie liczyć. Ale przejdź wreszcie do tematu – powiedziałem zniecierpliwiony.

I w tym momencie moje uszy wypełniły się słowami, które

tryskały jak czysta, źródłana woda i zaspokoily bezmierne pragnienie wiedzy.

–Skoro tu jesteś – zaczął Tami – to na pewno wiesz, co to są Necronomicon i Szmaragdowy Kodeks. Są, by tak rzec, jak drzwi i klucz wiodące do ciemnego królestwa Szatana. Jedno bez drugiego jest niczym. Wzięte każde z osobna są jałowe i dopiero razem stanowią wartość. Co chcę przez to powiedzieć? – Jezuita zaczerpnął powietrza. Na nowo uporządkował myśli i podjął przerwany wątek. – Chcę powiedzieć, że nabierają właściwego znaczenia dopiero wtedy, gdy połączyć je w odpowiednim momencie i w odpowiedni sposób. Te książki mają moc sprawczą ukrytą w tekstach heretyckich, przystrojonych dla niepoznaki w mało ortodoksyjne wiersze, rażące nasz zmysł religijny. Poemat, będący w gruncie rzeczy kodem, zawiera na pierwszy rzut oka zwykle heretyckie przesłanie.

Spojrzałem uważniej na Tamiego, ale on mówił dalej:

–Pochodzenie mniejszej książki jest dość niepewne. Mam na myśli Kodeks, który z czasem stał się znany w Europie jako Szmaragdowy Kodeks. Stworzyli go czarownicy w czasach średniowiecznych w jednym, ściśle określonym celu... Żeby zakodować zaklęcia z Necronomiconu. Jeśli spróbujesz przeczytać ten Kodeks, zobaczysz w nim spójność i sens, zobaczysz piękne, choć heretyckie poematy i nie przyjdzie ci do głowy, że jest w nich coś nienormalnego. Tymczasem między tymi wierszami i pośród innych tekstów znajdują się zmyślnie zakodowane strofy wyjęte z drugiej książki, tej, która jest najbardziej poszukiwaną przez Kościół od siedmiuset pięćdziesięciu lat.

–Dlaczego Necronomicon został tak okrojony? – zapytałem, unosząc brwi.

– Dokonał tego Wielki Czarnoksiężnik, żyjący w tysiąc dwieście trzydziestym pierwszym roku. Ten niegodziwy, szczywany osobnik usunął zakazane zdania tylko po to, by inkwizytorzy nie mogli przeczytać i zinterpretować tych aksjomatów. Nie zapominaj, że w tym samym roku spalono w Toledo oryginalną, arabską wersję Necronomiconu, nawet nie zadając sobie trudu, żeby ją przestudiować. To wydarzenie wywołało alarm wśród czarowników.

Tami zamilkł na chwilę, po czym kontynuował:

–Ten średniowieczny mistrz czarowników opracował Kodeks i skodyfikował jedyną istniejącą kopię Necronomiconu w wersji greckiej... która dotrwała do naszych czasów. Została przetłumaczona na włoski, a potem zniszczona.

–...Gianmaria – wycedziłem przez zęby.

–Zgadza się, Gianmaria.

–Znasz go? – spytałem cicho. Tami uśmiechnął się.

–To ja kazałem Nikosowi wykraść Necronomicon z kryjówki. Wiking szukał pod posadzką opuszczonego kościoła w Portomaggiore i tam go znalazł. Znalazł osławioną księgę Gianmarii.

–A więc to ty! – zawołałem, bo właśnie udało mi się dopasować kolejny brakujący element łamigłówek. – A ja przesłuchiwałem Gianmarię, wycisnąłem z niego zeznanie, ale... na miejscu okazało się, kryjówka była pusta i księga zniknęła.

–Przybyliście za późno. My byliśmy pierwsi. – Jezuita znów się uśmiechnął. – Corpus Carus ma wiernych, oddanych sobie ludzi na bardzo ważnych stanowiskach, a działając bez biurokracji, osiągamy szybkość równą złodziejskiej. Dzięki temu trafiliśmy dwa lata temu na tę księgę, wyprzedzając inkwizycję.

–Nie do wiary!

–Podczas gdy ty ciągnąłeś za język Gianmarię, my już mieliśmy to, czego szukałeś.

–A Kodeks! Jak trafiliście na Szmaragdowy Kodeks!

–To było łatwe. W norze Gianmarii skonfiskowaliśmy listy od czarownicy, która miała do niego pilną sprawę. Przez długie miesiące nie mogliśmy wpaść na jej ślad, ale odpisaliśmy na któryś kolejny list, podając się za Gianmarię, i wkrótce nadeszła odpowiedź. Dla niej to był wyrok śmierci.

–Kodeks musiał tu do was trafić niedawno – zauważyłem. – List, jaki znaleźliśmy przy zwłokach czarownicy, był z października tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Byliśmy tam w dwa miesiące później.

–To prawda. Mamy go od niedawna. Szczerze mówiąc, więcej kosztowało nas zdobycie Kodeksu niż Necronomiconu Gianmarii... ale udało się. Obie książki są razem i są nasze. Pewnie dlatego inkwizycja przyspieszyła poszukiwania. I znalazłeś się tutaj.

–Kto zabił czarownicę z Portovenere? – zapytałem, żeby się upewnić.

–Zrobił to Nikos. Wytropił jej kryjówkę i posłał strzałę prosto w usta. Potem ukradł Kodeks.

–To niemożliwe – pokręciłem z niedowierzaniem głową. – Czysty perfekcjonizm...

–Xanthopoulos jest świetnym łowcą czarownic. Wykonał wielką pracę. Podjął się wytepić wszystkich czarowników.

–Jak to wszystkich? To już nie ma czarowników? W oczach Tamiego pojawił się dziwny płomień.

–Został jeszcze jeden. Sam Wielki Mistrz Czarowników... Zapewniam cię, że on nie spocznie, póki nie dopadnie ksiąg. Ten Wielki Czarnoksiężnik nie pozwoli pozbawić się Necronomiconu i boję się, że jest tu gdzieś blisko.

–Co o nim wiesz?

–Nic.

–Jak to? Ty też nic nie wiesz?

–Tylko tyle, że to możesz być ty lub ja albo nawet sam kardynał. Równie dobrze może być nim mężczyzna, jak i kobieta, młodzieniec albo starzec. Jest sprytny, a jego najlepszą bronią jest umiejętność przybierania przeróżnych masek.

– Co takiego jest w Necronomiconie, że budzi tyle emocji i zainteresowania?

Spojrzałem ostrożnie na jezuickiego teologa, a w moim wzroku była ciekawość i coraz większa chęć zgłębiania tych dziwnych wyjaśnień.

Jezuita wziął oddech, zwilżył gardło dużym łykiem wina i kontynuował:

–Necronomicon, który możemy uznać za „drzwi” otwierane za pomocą Kodeksu, znaczy po grecku Księga Imion Zmarłych. To ohyda niedająca się porównać z niczym innym. Oryginalny, arabski tytuł księgi brzmi Al-Azif. Napisał ją szalony poeta, który uciekł z Sany do Jemenu około roku siedemsetnego, za kalifatu Omajjadów. „Azif” to słowo na określenie odgłosów wydawanych w nocy przez owady, a w tym przypadku chodzi o nieustanne wycie demonów włóczących się po pustyni pod osłoną nocy. Przypominasz sobie dźwięk nocnych owadów?

–Tak – odpowiedziałem natychmiast – to takie brzęczenie.

–Z czym ci się to kojarzy? Dobrze się zastanów... Zastanowiłem się. Spróbowałem odtworzyć sobie w głowie

ten dźwięk podobny do głosików szepczących w różnych językach coś, co nie służy porozumieniu, bo każdy głosik prowadzi własny dyskurs zamiast rozmowy. Jak zwykle odwołałem się do Pisma Świętego, bo tam jest wszystko. Babel, pomyślałem, to jak języki z wieży Babel, brak porozumienia, który prowadzi do chaosu i zniszczenia. Chaos, oto czym były te małe głosiki szepczące w ciemnościach bez szukania odpowiedzi.

–Kojarzy mi się z chaosem – odparłem zdecydowanie. Tamiemu rozbłysły oczy.

–Tak jest, Angelo... Al-Azif zawiera załączek chaosu, bo to nic innego jak ewangelia Szatana.

Tami zamilkł, czekając na moją reakcję. Poczulem się głupio. Przecież Gianmaria opisał mi dokładnie Necronomicon, tylko że ja nie umiałem go słuchać. Pierwsze, co powiedział na ten

temat, to właśnie: „apokryf diabła”. Mój Boże! Jak mogłem być taki ślepy! Dałem jezuitcie dłonią znak, żeby kontynuował.

–Autorem księgi jest Abdul Al-Hazred, szalony poeta, który spędził samotnie dziesięć lat na Dahna, zwanej „karmazynowa pustynią”, ale on był tylko ręką piszącą pod dyktando głosów z diabelskiego wycia, wypełniających jego umysł, które tak go dręczyły, że postradał zmysły. Umarł w dziwnych okolicznościach w roku siedemset trzydziestym ósmym, a księga przechodziła w sekrecie z rąk do rąk w kręgach czcicieli diabła, dopóki Theodorus Philetas, Grek z Konstantynopola, nie przetłumaczył jej na swój język w dziesiątym wieku, nadając

tytuł, pod którym jest obecnie znana. Tak więc Necronomicon ma swoją długą historię, której nie sposób zaprzeczyć. Potępiło go parę edyktów, palono wszelkie możliwe kopie; w jedenastym wieku patriarcha Michał nakazał go zniszczyć, a w dwa wieki potem sam Grzegorz Dziewiąty umieścił go na liście ksiąg zakazanych.

–A więc Necronomicon stanowi hipotetyczne drzwi do demonicznego chaosu i co jeszcze? – dopytywałem nieufnie.

–Filozofia tej książki jest taka, że daje niewyobrażalną moc, ale tylko temu, kto prawidłowo zinterpretuje jej treść. Daje władzę będącą bezpośrednim zagrożeniem dla naszych dogmatów wiary.

–Jakiś szalony poeta napisał coś, co miałyby zaszkodzić naszej wierze? Czy to nie przesada?

–Pominąłeś jeden drobny szczegół. To nie szalony poeta był prawdziwym autorem tej książki, tylko Szatan. Arab poruszał tylko piórem, był opętany przez diabła... Treść zakazanej książki nie pochodzi od zwykłego śmiertelnika.

–Twoje słowa brzmią zbyt apokaliptycznie, Giorgio – wyznałem z uśmiechem niedowierzania.

–A twoja reakcja jest taka, jakiej mogłem się spodziewać po teologu, pochłoniętym rutynowymi sprawami, który ma zatwardziałe serce. – Tami był zagniewany, lecz mimo to próbował zachować spokój. – Nie wyobrażasz sobie nawet,

jak trudno mi pojąć ludzi małej wiary. Takich jak ty. Kiedy w Piśmie Świętym czytacie o końcu czasów, o paruzji, Apokalipsie i demonie, wszystko wydaje się jasne. Ale jak się wam mówi, że to może nastąpić już jutro albo jeszcze dziś, uznajecie za śmieszne to, co jeszcze przed chwilą było dla was dogmatem. Może usunąć z Biblii Apokalipsę? Czy ty, który tępisz czarownice i czarowników, wierzysz, że demon istnieje rzeczywiście?

–Wierzę-odparłem kategorycznie. – Jestem prześladowcą demonów, wierzę w nich jak w powietrze, którym oddycham.

–No to odłóż na bok swoje przesady, bo za tekstami księgi nie stoi nikt inny tylko Szatan – oświadczył jezuita nieco łagodniej, bo odzyskał już spokój. Przyglądał habit i mówił dalej. – Kiedy tylko zaklęcia umieszczone obecnie w Kodeksie wrócą na swoje miejsce w Necronomiconie, księga rozwali drzwi powstrzymujące Bestię. Dlatego była i jest celem tylu poszukiwań. Dobrze o tym wiedzą różni inkwizytorzy.

–Dlaczego? Co takiego mówią te zaklęcia?

–Dokładnie nie wiadomo. Wiemy tylko tyle, że jest ich dwanaście i że są umieszczone wśród innych zwykłych zaklęć Szmaragdowego Kodeksu. Najpierw trzeba je więc w nim odnaleźć, potem przenieść z powrotem do Necronomiconu na to samo miejsce, gdzie były przed usunięciem. I na koniec wypowiedzieć jedno po drugim wedle ustalonego porządku, który również został zaszyfrowany w Kodeksie.

–Nie rozumiem... Czy mógłbyś mówić jaśniej – poprosiłem, bo to wszystko wydawało mi się niedookreślone, a brak precyzji jest niedopuszczalny w tak poważnej sytuacji.

Jezuita wbił we mnie wzrok i kontynuował:

–Musisz uwierzyć, Angelo, uwierzyć bez dotykania. Zaklęcia mają siłę niszczycielską. Nic się nie ostanie, tylko historia naszej zwiędłej wiary. Kościoły opustoszeją, ludzie będą niewolnikami Bestii. Wszyscy. Protestanci i prawosławni. Rzym upadnie. Konstantynopol upadnie. Orędzie apostolskie spadnie na ziemię i będzie bezsilne. Religia, taka jaką znasz i czu-

jesz, przestanie istnieć. Przypomnij sobie Apokalipsę, Angelo: „A zdumieją się mieszkańcy ziemi, ci których imię nie jest zapisane w księdze życia od założenia świata – spoglądając na Bestię, iż była i nie ma jej, a ma przybyć”. Oto do czego prowadzi ta księga; ma sprawić, że Bestia zatriumfuje nad Barankiem i zostanie uwolniona, a wraz z nią armia śmierci.

–Co? To niemożliwe, żeby jakaś jedna księga była w stanie osiągnąć coś takiego! Nie widzę tu żadnej logiki, Giorgio. Proszę o konkretną odpowiedź: co mówi Necronomicon!

–Nie mogę ci więcej powiedzieć.

–Chcesz ukryć przede mną to co najważniejsze?

–Nie mogę nie dlatego, że nie chcę, tylko że odpowiedź tę znają jedynie trzy osoby i ja do nich nie należę.

–Kto to?

–Papież, Wielki Mistrz Corpus Carus i Wielki Mistrz Tajnego Stowarzyszenia Czarowników. Ci trzej są dziedzicami sekretu i w odpowiednim czasie przełożą go swoim następcom. Tak jest już od ponad siedmiuset lat.

–To powiedz przynajmniej, kto jest Wielkim Mistrzem Corpus. Chyba mam prawo to wiedzieć – poprosiłem, ale Tami pokręcił przecząco głową.

–Nie mogę powiedzieć. Wielki Mistrz sam decyduje, kto ma go poznać.

–Rozumiem.

–Ale zapewniam cię, że on zna cię dobrze.

–Czy ojciec Piero jest Wielkim Mistrzem? Czy to on kieruje Corpus Carus? – nie ustawałem.

Tami przez chwilę myślał, po czym znów pokręcił przecząco głową.

–Nigdy nie mówię o Wielkim Mistrzu. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

–Dobrze, uszanuję waszą decyzję. Założmy, że ci wierzę. Nawet wtedy, gdy mówisz, że te księgi są śmiertelnym niebezpieczeństwem dla chrześcijaństwa. Albo kiedy wyjawiasz mi kulisy niewiarygodnego spisku z udziałem inkwizycji, martwych

czarownic i bezimiennych czarowników. Załóżmy, że ci wierzę, ale co ja mam z tym zrobić?

–Posłuchaj, sam rozumiesz, że księgi muszą pozostać w posiadaniu Corpus Carus i nigdy nie powinny wpaść w niepowołane ręce ani w ręce Watykanu. Powinieneś postąpić jak Rycerz Wiary, jako jeden z nas.

–To trudne i ryzykowne. Inkwizycja wysłała mnie po te księgi. Przepląnąłem cały znany świat, żeby je znaleźć. Moi przełożeni zażądają rezultatów.

–Ci sami przełożeni poddali ci próbie zapieczętowanych kopert, ci sami przełożeni kazali ci torturować Gianmarię, chociaż wiedzieli, gdzie są księgi...

Nie słuchałem Tamiego i mówiłem dalej:

–Giorgio, dlaczego każesz mi ukryć przed inkwizycją herezję...? Twoje wyjaśnienia brzmią alarmująco i na pewno zasługują na uwagę, ale to, czego ode mnie żądasz, jest karane stosem. Być może żądasz ode mnie więcej, niż mogę ci dać. – Spojrzałem mu prosto w oczy. – Sądysz, że zdołam to tak zakamuflować, żeby wrócić do Rzymu z pustymi rękami i nie wzbudzić podejrzeń? A może sądysz, że przekażę w Rzymie to, co od ciebie usłyszałem? Jak możesz myśleć, że zamiast dochować wierności swojemu Świętemu Oficjum, będę wiemy Corpus Carus, o którym wiem tak mało i nie wiem nawet, kto stoi na jego czele?

–To twój dylemat, Angelo, i musisz go w sobie rozważyć. Ja już dokonałem wyboru: żyję dla mojego Kościoła. Mogę stanąć w obliczu śmierci z przekonaniem, że dobrze zrobiłem. Ale to mi nie wystarczy. Chcę czegoś więcej. Chcę, żeby moje poświęcenie nie poszło na marne i żeby te księgi zniknęły raz na zawsze z ludzkich oczu. Jeśli jest to możliwe choćby za cenę śmierci, to nic mnie nie przeraża. Jestem gotów.

–A gdyby tak księgi zginęły w przypadkowym pożarze, czy to byłoby jakieś wyjście?

–Nie... to wykluczone.

–Nie?

–Nie możemy stracić naszej jedynej broni zastraszającej. Inkwizycja by nas wtedy zgmiotła, nie mielibyśmy się gdzie schronić i historia by o nas zapomniała. Księgi, to nasza jedyna polisa na życie. Dopóki je mamy, oni będą nas szanować.

–To dlaczego nie skorzystaliście z tej broni, żeby powstrzymać naszą wyprawę? Dlaczego pozwoliliście dominikanom działać i doprowadzić do tego, co jest?

–To przez ciebie. Ty nam w tym przeszkodziłeś. Przybyłeś w najmniej odpowiednim momencie i odebrałeś nam możliwość manewru. Pozbawiłeś nas tej jedynej szansy! Twoja misja była utrzymywana w wielkim sekrecie i tak pomyślana, aby Corpus Carus nie zorientował się w kolejnych ruchach. Teraz mamy nóż na gardle. Pokrzyżowałeś nam szyki tą swoją bezszelestną przeprawą przez dżunglę. Teraz rozumiesz, dlaczego twoja misja zaczęła się wkrótce po tym, jak zabraliśmy od czarownicy Szmaragdowy Kodeks! Rozumiesz to? Rozumiesz, jakim pionkiem jesteś w tej grze?

–Oszalałeś, Tami, wszyscy jesteście szaleni. Chcesz, żebym zrezygnował z tego, co jest moim domem, z mego urzędu, z uprzywilejowanej pozycji w Kościele. Mam się narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo i zająć twoje obecne miejsce. Nie rozumiem...

–Jeśli nie rozumiesz, to potraktuj to jako rozkaz. Corpus pragnie zachować teksty, nie chcemy ich zniszczyć. Na pewno nie teraz, kiedy trwa wojna między dominikanami i jezuitami. Rób swoje: myśl.

Świece dopalały się w lichtarzach, pokazując, jak długo już trwał ten dialog. Podniosłem oczy do góry i próbowałem doszukać się w półmroku więcej odpowiedzi, być może po raz ostatni.

Tami kontynuował:

–Pentagram znaleziony przez Nikosa w ładowni jest dowodem na to, że czarownicy idą po naszych śladach. Są bezimienni, ale ujawnią się we właściwym momencie, żeby uderzyć... Uważaj, Angelo, nie jesteśmy tu sami ani bezpieczni.

–No cóż... moja wizyta dobiegła końca. Zrobiło się już późno.

Podniosłem się do wyjścia, ale Tami jeszcze mnie zatrzymał.

–Przemyślisz sobie to wszystko, co ci powiedziałem?

–Oczywiście, ale nie łudź się zbytnio. Nie jestem tak odważny jak ty.

Wszedłem z celi i zaczekałem, aż żołnierz zamknie drzwi. Idąc korytarzem, zobaczyłem, że ktoś mnie obserwuje, ukryty w cieniu, jak wilk na czatach. Był to Giulio Battista Evola. Czekał na mnie w ciemnym habicie z dłońmi schowanymi w rękawach, z oszpeconą twarzą, częściowo przysłoniętą kapturem. Na pewno miał pytania niecierpiące zwłoki.

Tego samego wieczoru po kolacji notariusz przyszedł do mojego pokoju i stanął obok stołu. Przy kolacji nie odezwał się ani słowem; jadł niewiele i unikał mych spojrzeń. Teraz stał przede mną i patrzył jak sfinks.

–Dobry wieczór, bracie. W czym mogę pomóc? Nie wzywałem was do siebie. Czy coś się stało?
– zapytałem bez troski.

–Mam kilka pytań, ekscelencjo...

–I nie dają wam spać, jak widzę – wszedłem mu w słowo.

–Czy można wiedzieć, po co odwiedzaliście heretyka? – powiedział, podnosząc karcąco palec.

–Kiedy? Dziś? – dalej udawałem obojętność.

–Dziś, i to dwa razy – powiedział.

Spojrzałem znacząco na benedyktyna, żeby dać mu do zrozumienia, że wchodzi na niebezpieczny teren.

–Jestem inkwizytorem i robię to, co uważam za stosowne – odpowiedziałem, patrząc prosto w jego jedyne oko.

–W takim razie jeszcze mniej rozumiem te ukradkowe sesje. Inkwizytor powinien zabrać ze sobą notariusza.

–Widzę, że śledzicie mnie nieustannie.

–Już mówiłem, że taka jest moja praca – oznajmił bezczelnie.

–Bracie Evola, odwiedziłem więźnia sam, bo tak postanowiłem. A o co chodzi?

–Tak się nie postępuje, ekscelencjo. Nie mogę wam nakazać przestrzegania przepisów, ale uprzedzam, że sporządziłem notatkę w księdze notarialnej, którą przekażę przełożonym po powrocie do Rzymu.

Spuściłem głowę i uśmiechnąłem się do siebie; musiałem mu pokazać, kto tu ma wyższą pozycję.

–Bracie Evola, gdybym chciał, mógłbym odebrać wam funkcję notariusza, wziąć na to miejsce jakiegoś podoficera po studiach i trzymać was w zamknięciu do końca wyprawy.

–Wiem – powiedział Neapolitańczyk – jesteście inkwizytorem, a ja tylko notariuszem. Będę wam służyć, dopóki nie wrócimy do Europy, ale nasi przełożeni dowiedzą się o wszystkim i nie muszę dodawać, że wasza postawa jest dość podejrzana.

–To moja sprawa i proszę się nie martwić. Dobrze wiem, przed kim odpowiadam, i znam swoje kompetencje.

–Nie rozumiem, ekscelencjo...

–Po prostu uprzedzam: nie przebierajcie miary, bo nie zadrży mi ręka, by was zamknąć na cały czas podróży powrotnej. Czy wyrażam się jasno?

Evola nie odpowiedział; popatrzył na mnie jak morderca, który chętnie by zaspokoił swój zbrodniczy instynkt, ale który musi się pohamować, bo moja śmierć zależała od czegoś, co wykraczało poza nas obu.

–Jestem miłosierny – kontynuowałem – dopóki mogę, ale gdy nie ma innego wyjścia, zamieniam się w Angela z sesji tortur i wtedy nie przekonują mnie słowa, tylko jęki. Wolę uznać, że jeszcze nie przekroczyliście granicy, i potraktować was łaskawie. Dlaczego tak was niepokoją moje wizyty u heretyka?

Notariusz przyjął łagodniejszy ton po wysłuchaniu mej groźby i postanowił zmienić swą postawę, toteż odpowiedział pokornie:

–Chciałbym wiedzieć, o czym z nim rozmawialiście. Tylko tyle.

–Przepytowałem heretyka, żeby otrzymać informacje o towarzyszących mu jezuitach – skłamałem, próbując pokazać Evoli, że lepiej być ze mną niż przeciwko mnie, bo przynajmniej można uzyskać odpowiedź. Nieważne, że daleką od prawdy.

–Dwie wizyty tylko w tym celu? Nie było innych tematów?

–Nie. Dlatego obyłem się bez was.

–Nie pytaliście go o księgi – zaatakował Neapolitańczyk. Nie uwierzył mi ani na jotę.

–Sądzicie, że trzeba mi więcej informacji o księgach, aby obwinie tutejszych jezuitów i wywieźć ich do Rzymu? Czyż nie otrzymałem instrukcji, żeby nie pytać o księgi, tylko je znaleźć i zabrać w drogę powrotną razem ze wszystkimi, którzy są w to zamieszani. Temat ksiąg uważam za zamknięty. O czym jeszcze miałbym rozmawiać z Tamim? – Tym razem moja wypowiedź zabrzmiała bardziej przekonująco, ale Evola był uparty.

–Jakie decyzje podjęliście wobec innych jezuitów?

–Jutro zostaną uwolnieni.

Evola skamieniał. Tego już nie mógł strawić.

–Chcecie uwolnić jezuitów? Przecież mieliśmy zawieźć ich do Rzymu, gdzie zostanie podjęta decyzja.

–Nie widzę dostatecznych powodów, aby tak zrobić.

–Nie...? Proszę wybaczyć, ekscelencjo... zapomnieliście o ostatniej pieczęci?

–Pamiętam jak ojczenasz. I mogę to zaraz wyrecytować: „Wasza rola polega na skonfiskowaniu i deportowaniu dwóch ksiąg wraz z przeorem, duchownym jezuitą, który nazywa się Giorgio Carlo Tami i jest bezpośrednio odpowiedzialny za ukrywanie poszukiwanych przez nas ksiąg. Władze cywilne są zobowiązane udzielić wam wszelkiej pomocy potrzebnej do

wykonania tej pracy, ale nie zwołujcie trybunału i nie urządźcie żadnego autodafe. My we

właściwym czasie zrobimy to w Rzymie przy pomocy wyspecjalizowanych prawników i teologów". Jedynym odpowiedzialnym jest Tami. Zapewniam brata, że wiem, co mówię, i długo zastanawiałem się nad tą decyzją.

–Skąd mam mieć taką pewność? – Evola upierał się przy swym stanowisku.

Zanim odpowiedziałem, uśmiechnąłem się ironicznie.

–Racja, bracie. Jak się nad tym głębiej zastanowić, to rzeczywiście powinienem był was zabrać ze sobą. Ale co się stało, to się nie odstanie i teraz pozostaje wam tylko zaufać moim słowom.

Widziałem wzbierający w nim gniew, bo Evola zacisnął mocniej szczęki. Kontynuowałem:

–Jeszcze jedno: jutro zajmę się zbadaniem sytuacji naszego heretyka. A wy zajmiecie się przygotowaniami do mszy przed wyjazdem.

–Msza? – burknął Neapolitańczyk. – A kto ją odprawi?

–Któryś z jezuitów.

–Ale, ekscelencjo... chcecie pozwolić na odprawienie mszy jednemu z jezuitów, pozostających obecnie w odosobnieniu? Jak to przyjmą hiszpańscy żołnierze? Ktoś, kto może okazać się heretykiem, ma dokonać przeistoczenia Ciała i Krwi Chrystusa? – Evola był oburzony, zdumiony, obolały. Moja decyzja wprawiła go w osłupienie.

–Niech brat zostawi „ale” i robi, co nakazałem. Wszystko inne to dywagacje pozbawione sensu – odpowiedziałem i odwróciłem oczy, wracając do przerwane go zajęcia.

Tym łatwym do odczytania gestem dałem mu do zrozumienia, że rozmowa skończona. Evola zrozumiał to doskonale.

–Jak Wasza Ekscelencja każe.

Co powiedziawszy, notariusz ruszył dumnie ku drzwiom, ale jeszcze zatrzymał się w progu, żeby zadać ostatnie pytanie lub dodać coś na zakończenie. Nie dałem mu dojść do słowa.

–Zrozumcie, że jestem sędzią i nie obchodzi mnie, co myślą o moich decyzjach hiszpańscy żołnierze. Terenem mojego działania jest sąd, a nie przesąd. Nie nadużywajcie więcej mojej cierpliwości.

Giulio Battista Evola spojrział na mnie i wykonał swój charakterystyczny gest: pogłaskał się powoli po bliźnie na twarzy, po czym skrzywił usta w uśmiechu niezadowolenia, który niósł zapowiedź jeszcze większych problemów. Na koniec bez słowa zamknął za sobą drzwi. Nie ulegało wątpliwości, że tego wieczoru podpałilem drwa pod moim własnym stosem.

XVIII

ODKUPIENIE

47

Ta wyprawa stała się punktem zwrotnym w moim życiu i mojej karierze, najważniejszym epizodem całego mojego istnienia, tego dotychczasowego i tego, które miało nadejść. Z dala od domu, co było rzeczą zwyczajną w pracy inkwizytora, ale również z dala od świeżo rozkwitłego uczucia, musiałem samotnie podjąć decyzję, która zaważy na mojej przyszłości i na życiu osób, które mi zaufały. Wcale nie zamierzałem spędzić tego dnia na badaniu sprawy Tamiego, choć tak powiedziałem Evoli. Musiałem zastanowić się nad sobą i tym wszystkim, co mi się przydarzyło.

Przyszłość jawiła mi się niepewna, zwłaszcza że moja droga – dotąd tak prosta – coraz częściej rozwidlała się w różnych kierunkach i każdy wydawał się ważny. Polecenia kardynała Iuliana wykonałem nienagannie, nic mi nie można było zarzucić: miałem w ręku zakazane księgi, a wraz z nimi – chwalebny szansę awansu w karierze kościelnej, co do tej pory uważałem za swój cel i priorytet. Zdobyć władzy. Coraz większej władzy. Ale jednocześnie myślałem o Tamim, który reprezentował inną rzeczywistość i zapraszał, żeby się do nich przyłączyć. Ten ksiądz przypominał mi mnie samego sprzed wielu lat, kiedy nade wszystko przedkładałem sprawy ducha i chciałem bronić wiary, poświęcając się dla innych. To była

338

droga Pjera Del Grandę, którą musiałem opuścić, choć byłem do niej przygotowany, ale tak mi kazano. I teraz, zmęczony tyloma intrygami, otwierałem serce na uczciwe, szczere, proste słowa tego „heretyckiego” księdza. Jeśli zrobię to, o co prosi, stracę urząd inkwizytora. Te dwie drogi były nie do pogodzenia, a wybór jednej z nich będzie nieodwracalną decyzją. Bez szansy na powrót. Choć może ja nie chciałem widzieć takiej szansy. Woląłem ucieczkę, drogę totalnej rezygnacji, bo ona prowadziła szybko i prosto do mojej ukochanej Raffaelli.

Jednak nadal lubiłem moją pracę, od początku dawała mi satysfakcję, bo zaspokajała mój głód

sprawiedliwości. Walczyłem z grzechem wyrytym na twarzach mężczyzn i kobiet, wrywałem herezję z ich umysłów, a na dodatek sam świeciłem przykładem. Miałem Święte Oficjum we krwi, wciąż o nim myślałem. Było moim życiem. Nie wyobrażałem sobie świata bez cenzury, zapatrzonego w libertynizm. Świata, gdzie teolodzy niskiego lotu znieprawiają dogmaty wiary, ten cenny i z mazołem wypracowany spadek po naszych Ojcach, gdzie pierwszy lepszy nawiedzony poczuje się w prawie obrzucić ich bluźnierstwami. Ja, Angelo DeGrasso, Czarny Anioł, opiekun, nie mogłem na to pozwolić.

Zło jest niewyczerpane. A moje życie nie.

Problem nie tylko w tym, że trzeba zniszczyć te księgi, których demoniczną, niszczycielską treść wyczuwałem prawie namacalnie wokół siebie, choć na pozór jawiła się bardziej jako punkt do dyskusji dla seminarium teologicznego niż dowód dla trybunału inkwizycyjnego. Wciąż mi chodziło po głowie, że jak mnie zabraknie, to Przenajświętsza Trójca będzie na ustach przechrztów, pomieszkańców i innych fałszywych chrześcijan. Czy to możliwe, żeby ludzie odeszli od katolicyzmu i na nowo zaczęli wielbić złote cielce? Mnożą się na potęgę fałszywi prorocy, głosząc pozornie nowe idee, które tak naprawdę nawiązują do wczesnych herezji. Kto będzie ich przywódcą? Nowy Luter, kolejny Kalwin, a może jakiś Zwinglio lub Henryk VIII? Czy znów stwierdzą, że Trójca nie istnieje, i usuną ten

dogmat wiary? Czy przyciągną do siebie ludzi, którzy będą słuchać tych nowoczesnych erudyków o nowatorskich poglądach i będą oklaskiwać tych fałszywych kapłanów za słowa niemające nic wspólnego z doktryną apostołów? Czy ludzie uwierzą w nowe chrześcijaństwo? W nowy Kościół? W nowe doktryny? Czy to możliwe, że znów pojawią się obrazoburcy, żeby sprzedawać swój dawno przeceniony towar, gdyż wrogowie obrazów, podobnie jak oszczercy Świętej Trójcy, wyrastają jak grzyby po deszczu wszędzie tam, gdzie toczy się walka o prawowierność Kościoła. Powrócą burzyciele figury Chrystusa, którzy oddzielili Go od Ojca, bo jedni uważali, że ma naturę wyłącznie ludzką, a drudzy, że wyłącznie boską. Powrócą ci, którzy Go zniekształcili i zmienili nie do poznania, negując nawet jego śmierć na krzyżu; którzy proponują ludziom czytanie Ewangelii na marginesie tradycji, bez interpretacji apostołów. Będą głosić wolną wolę i wolną interpretację Pisma Świętego, przez co powstanie tyle religii, ile interpretacji. Ogłoszą koniec świata, żeby zasiać strach, i okażą się sługami Szatana, bo zostawią rozproszone stado.

Jedno życie Angela nic na to nie poradzi, pomyślałem. Ani nawet dwa życia. Zło pozostanie i rozszerzy się jak plama oleju na wodzie. Nie zdołam temu zapobiec. Bo mnie już nie będzie.

Że chaos zatriumfuje, to pewne – już to widać – jeśli inkwizycja nie wskaże, gdzie jest prawdziwe drzewo chrześcijaństwa w lesie fałszywych wierzeń. Są drzewa wyrosłe na tej samej glebie co drzewo Kościoła katolickiego, ale poskręcane wskutek całkowitej lub częściowej negacji tego, co jest esencją drzewa prawdziwego, tego, które jako jedyne trwa w stanie nienaruszonym od czasów naszego Zbawiciela.

Pracowałem dla inkwizycji jak prawdziwy żołnierz Chrystusa, zwalczałem jej wrogów i w nastroju wielkiego podniecenia delektowałem się smakiem zwycięstwa jako wiemy żołnierz uzbrojony w słodką doktrynę Ojców Kościoła. Przez dziesięć lat wysłałem na stos sto czterdzieści cztery osoby po dokładnym przesłuchaniu i bezstronnym osądzeniu wedle prawa kościel-

nego, które spadało jak miecz na ich głowy. Inkwizycja systematycznie usuwała aberracje z ciała chrześcijaństwa katolickiego, poczynając od albigenów, katarów i gnostyków, a kończąc na żydach, muzułmanach, protestantach, czarownikach, czcicielach demonów, sodomitach i cudzołożnicach. Bo wszyscy oni byli rzecznikami diabła, czyhającymi na błędny krok ludzkości.

Kochałem inkwizycję i kocham ją nadal. Kochałem i kocham Kościół, z którego czerpią schizmatycy, anglikanie i protestanci.

Myśl ta podziałała na mnie kojąco. Powstrzymałem szaloną gonitwę myśli i spokojnie wróciłem do swych rozważań, bo niezależnie od tej miłości musiałem sprawiedliwie rozłożyć i zważyć na szali wiele elementów, które dotychczas były mi obce. Musiałem wyjść z roli sędziego i spojrzeć na to wszystko z innej strony, nie tylko jako wykonawca Boskiej sprawiedliwości, ale jako ktoś, kto na nią zasługuje. Musiałem wyrzec się rutyny.

Pod wpływem miłości – ale nie tej głoszonej z takim zapalem przez kleryków, tylko miłości cielesnej, która była mi zabroniona, jednak odkąd ją poznałem, tkwię w jej sidłach – poświęciłem się dla Raffaelli. Wciąż noszę na piersi jej medalik promieniujący ciepłem. Miłość do tej dziewczyny stanowiła w tym momencie moją największą przewinę. Złamanie ślubów odbierało mi moralne prawo sądenia innych. Mój czas w Kościele dobiegał końca. Nie tylko z powodu Raffaelli. Absorbowała mnie jeszcze inna sprawa – wezwanie o pomoc i wierność należna temu, który był mi mistrzem i ojcem: Pierowi Del Grandę. Nawet gdybym został poddany torturze potro, nie czułbym się potem tak połamany i poraniony, jak teraz się czułem w sensie duchowym. Z jednej strony – Piero Del Grandę i Corpus Carus, z drugiej – Raffaella, a jeszcze z innej – inkwizycja. Każdy ciągnie mnie w swoją stronę. Jak to strasznie boli...

Pragnąłem zachować się należycie pod względem moralnym wobec każdej ze stron, ale nie widziałem wyjścia z sytuacji,

która przyprawiała mnie o wielkie cierpienie. Zawieźć księgi do Rzymu było równoznaczne z podpaleniem stosu dla braci z Corpus Carus. Postawić Giorgia Carla Tamiego przed kościelną sprawiedliwością, to skazać go na hańbę niczym czarownika. Ale Corpus Carus chce położyć kres inkwizycji... Kim są ci masoni w katolickich habitach? Odpowiedź była łatwa, lecz bardzo bolesna: uczniami mojego kapucyńskiego mistrza, samego Piera Del Grandę. Czyż mogłem zaprzeć się człowieka, który był mi jak ojciec?... A wierność... Jak tu być wiernym kobiecie, skoro nie byłem wierny ani mojemu Kościołowi, ani mojemu mentorowi.

Nie chciałem już dłużej myśleć. Kręciło mi się w głowie. Wziąłem w obie dłonie krucyfiks, upadłem na kolana i z płaczem ukorzyłem się przed Najwyższym Sędzią. Przeszedł mi na myśl mój prawdziwy ojciec, chociaż go nie znałem. A także ten, co mnie przysposobił – wiecznie zapracowany Domenico DeGrasso, który dał mi nazwisko, mimo że mnie nie spłodził. I jeszcze

mój mistrz Piero Del Grande; pokładał we mnie wielkie nadzieje, byłem jego ulubionym uczniem. I dziewczyna, która oddała mi serce, Raffaella D'Alema; musiała stawić czoło rodzicom i przesądom, narażając się na utratę reputacji. Na koniec pomyślałem o tej dziwnej kobiecie, z którą – nie wiedzieć czemu – czułem się mocno związany, o Anastasii Iuliano. Wszystkie te osoby były bardzo dzielne. Ja też muszę być dzielny. Dla nich.

Moja droga będzie tak wygodna i szeroka, lub tak ciernista, jak sam tego zechcę. Z jednej strony – triumfujący Angelo, wspaniały i bezlitosny, którego wszyscy podziwiają. A z drugiej – Angelo zdolny wszystko porzucić dla jednego uczucia. „Kto odda za mnie życie, znajdzie je”, powiedział Pan. Byłem zagubiony i najbardziej pragnąłem odnaleźć samego siebie, mnie, a nie kogoś, kto jest ulubionym uczniem, bastardecem, egzekutorem czy też szczęśliwym kochankiem. Musiałem wybrać, kim chcę być w przyszłości.

Msza pożegnalna rozpoczęła się punktualnie o zachodzie słońca w tym prostym kościele z gliny w kolorze rumieńca na policzkach damy. Nie mógł się mierzyć z imponującymi, wspaniałymi kościołami europejskiego gotyku, ale wyglądał bardzo pięknie, udekorowany ozdobami w formie kwiatów, zrobionymi na tę okazję przez Indian Guarani. Evola zapewnił świeżo uwolnionemu ojcu Killimetowi wszystko, czego potrzeba do odprawienia mszy.

W głównej kaplicy pozostały jeszcze ślady otwarcia grobu i choć płyta wróciła na dawne miejsce, nie przylegała już tak jak dawniej – jej brzegi wyraźnie odstawały. Był to symbol walki Kościoła z diabłem, bo przecież zakazane księgi wyszły stąd jak demony z pobielanego grobu.

Ojciec Killimet, odziany w ciężki ornat, wyszedł z zakrystii, niosąc przygotowany wcześniej kielich i chleb oraz mszał z zaznaczonymi do czytania stronami. Przyklęknął przed tabernakulum, umieścił wszystkie przedmioty liturgiczne na prostym stole z kamienia, który służył za główny ołtarz, i odwrócił się do nas, czyniąc znak krzyża:

–In nomine Patris, et Filii et Spiritus Sancti, Amen. Ministrantem był Guarani i do niego zwrócił się teraz jezuita.

–Introibo ad altare Dei – rozpoczął formułą: „Przystąpię do ołtarza Bożego”.

–Ad Deum qui laetificat juventutem meam – „Do Boga, który jest weselem moim od młodości” – pięknie odpowiedział ministrant. Wprowadzenie do liturgii zakończyło się wezwaniem do pokuty i zapanowała chwila ciszy.

Tylem do nas, a przodem do ołtarza jezuita przygotowywał się do rozpoczęcia Eucharystii, największego sakramentu, który Chrystus ustanowił podczas Ostatniej Wieczerzy. Wszyscy zgromadzeni na mszy, przygotowani do udziału w życiu, męce i śmierci Chrystusa, tak jak On nas nauczył i prosił, byśmy to czynili na Jego pamiątkę, przyjmując Jego Ciało i Krew pod

postacią chleba i wina, czekaliśmy teraz na liturgię słowa, trzy czytania wyjęte z Pisma Świętego, ściśle wyznaczone na dany dzień, które w takim samym układzie powtórzą się dopiero po trzech latach. Kościół był wypełniony wiernymi: byli to głównie wojskowi, kilku zakonników i Indianie Guarani, żyjący pod opieką jezuitów. Evola, jak zwykle skrupulatny w sprawach protokołu, przeznaczył dla mnie miejsce z prawej strony ołtarza, skąd mogłem obserwować uważnie szczegóły mszy i twarze wiernych, co też czyniłem, kiedy jezuita czytał.

W pierwszym rzędzie ławek był kapitan Martinez z dwoma podoficerami, wszyscy trzej w

galowych mundurach. Obok, Giulio Battista Evola, który nie odrywał ode mnie swego jedyne-
go oka; przy wojskowych wydawał się jeszcze mniejszy niż normalnie i musiał czuć się nieswojo,
bo koło niego był jezuita Nuno Goncalves Dias Macedo, świeżo wypuszczony z aresztu na mój
rozkaz. W kącie, poza zasięgiem wzroku zgromadzonych znajdował się pod silną strażą
Giorgio Carlo Tami. Uczestniczył we mszy na własną prośbę; przystałem niemal w ostatniej
chwili, bo nie wypadało odmówić udziału w Eucharystii, ale w żadnym wypadku nie mogłem
pozwolić – jako oskarżonemu o herezję – by przystąpił do stołu Pańskiego. Gdyby wbrew
zakazowi próbował to uczynić, żołnierze mieli rozkaz zaciągnąć go natychmiast do celi. Tak oto
uczestniczyłem we mszy pełen sprzecznych myśli i dręczących wątpliwości.

Oplotłem dłonie różańcem i złożyłem je do modlitwy. Ale zamiast się modlić, grzebałem w
sumieniu i próbowałem rozmawiać z Chrystusem, żeby poznać odpowiedź, której mimo mej
niewzruszonej wiary nie mogłem odnaleźć sam.

„Panie, jaką pójść drogą? Straciłem ślepe zaufanie do Rzymu i boję się, że w zamęcie walki o
władzę w naszym Kościele znajdą się ludzie gotowi uraczyć wiernych zgnilizną płynącą z ksiąg.
A to byłby początek końca i cała moja praca w obronie wiary pójdzie na marne, gdyż stanę się
wtedy zbrojnym ramieniem zła, nie dobra. Czy to usprawiedliwia mą dezercję?

Panie, jeśli wrócę do Rzymu z księgami i wypełnię swą powinność do końca, zrobię jagnię ofiarne z porządnego człowieka, który walczy w słusznej sprawie i jest gotów przyjąć dla tej sprawy męczeńską śmierć. Pomóż, mój Boże! Pomóż mi zajrzeć w głąb siebie!"

Przerwałem modlitwę. Otworzyłem oczy i popatrzyłem na wiernych. Evola wciąż mnie obserwował. Celebrans przechodził do drugiej części mszy: konsekracji. Wziął patenę z chlebem i modlił się nad nim, żeby przedstawić Bogu:

–Suscipe, sancte Pater, omnipotens aeterne Deus, hanc immaculatam Hostiom...

Potem wziął kielich, wlał trochę wina i kilka kropel wody z octem:

–Deus, qui humanae substantiae dignitatem mirabilius reformasti: da nobis per hujus aquae et vini mysterium, ejus divinitatis esse consortes, qui humanitatis nostrae fieri dignatus est particeps, Jesus Christus, Filius tuus.

Na koniec podniósł do góry kielich:

–Offerimus tibi Domine, calicem salutaris...

Jak pięknie brzmiały te słowa ofiarowania chleba, który przemieni się w ciało Pana Naszego. Powtarzałem je w duchu: „Przyjmij, Ojciec święty, wszechmocny, wiekuisty Boże, tę hostię niepokalaną". I jeszcze piękniej te o winie: „Boże, któryś godność natury ludzkiej, przedziwnie stworzył i jeszcze przedziwniej naprawił, spraw przez tę tajemnicę wody i wina, abyśmy mieli uczestnictwo w Bóstwie Tego, który raczył stać się uczestnikiem człowieczeństwa naszego, Jezus Chrystus, Syn Twój", a potem słowa pełne nadziei, umocnionej i odnowionej ofiarą: „Ofiarujemy Ci, Panie, kielich zbawienia". Wszyscy umarliśmy i mieliśmy zmartwychwstać w wierze, w tej wierze, której tak bardzo potrzebowałem do podjęcia decyzji. Zamknąłem oczy i ścisnąłem w palcach różaniec.

„Muszę odgadnąć, o Panie, jaka jest moja droga. Co Ty byś zrobił na mym miejscu? Wydałbyś księgi i heretyka? Zgodziłbyś się podsycić ogień wewnętrznych sporów w Kościele? Nie

utraciłem wiary, Panie, moja wiara jest nienaruszona. Wciąż jestem Ciebie godny, wciąż jestem tym Anielem, który strzeże Cię za wszelką cenę i rzuca Twoich wrogów na kolana, kimkolwiek by oni byli. Tyś moim światłem i przewodnikiem. Dopóki jesteś ze mną, niczego się nie lękam..."

Ojciec Killimet podniósł chleb do konsekracji, która przemienia chleb i wino w ciało i krew Chrystusa. W tej niezwykle uroczystej chwili jezuita, wznosząc do góry najpierw chleb, a

potem kielich, powtarzał słowa Chrystusa z ostatniej wieczerzy:

–Accipite et manducate ex hoc omnes. Hoc est enim Corpus meum.

Te potężne słowa – „Bierzcie i pożywajcie z niego wszyscy. To jest bowiem ciało moje” – przemieniały zwykły chleb w ciało Chrystusa. Potem ojciec Killimet podniósł kielich i powiedział:

–Accipite, et bibite ex eo omnes. Hic est enim Calix Sanguinis mei, Novi et aeterni Testamenti: Quipro vobis et pro multis effundetur in remissionem peccatorum.

I znowu Jego słowa – „Bierzcie i pijcie z niego wszyscy. To jest bowiem kielich krwi mojej, nowego i wiecznego przymierza: który za was i za wielu wylany będzie na odpuszczenie grzechów” – dokonały cudu przeistoczenia, zamieniając wino w krew, którą Chrystus wylał za nas wszystkich. Chrystus znowu żywy i zwycięski, niewidoczny dla naszych zmysłów, ale obecny w naszej wierze. Chrystus umarły i zmartwychwstały z miłości do ludzi.

I właśnie ta miłość zdolna do największej ofiary przemówiła do mnie w ubogiej świątyni Świętego Stefana, żeby wskazać mi drogę, którą mam pójść.

„Panie, teraz jesteś we mnie, zmartwychwstałeś we mnie, przepelnia mnie miłość. I to ona będzie mym przewodnikiem – moja miłość do Ciebie, moja miłość do Piera Del Grandę i moja miłość do Raffaelli. Nikt nie zdoła mnie sprowadzić z tej drogi i będę nią kroczył do końca”.

Jezuita zakończył konsekrację:

–Hoc est mysterium Fidei.

„Oto tajemnica wiary”, naszej wiary, mojej wiary, która wreszcie znalazła swą drogę dzięki miłości Chrystusa. Nadszedł moment uczestniczenia w tajemnicy, zbliżyliśmy się do ołtarza, żeby przystąpić do komunii; sprawiedliwi i skruszeni grzesznicy, zakonnicy, wojskowi i neofici, każdy w taki sam sposób. Evola pierwszy przyjął Ciało Chrystusa Corpus Christi, które jezuita podał mu do zjedzenia, po usłyszeniu amen z ust Neapolitań-czyka. Potem podał mu kielich; wypiwszy mały łyk, notariusz wrócił na miejsce i pogrążył się w modlitwie. Kolejno podchodzili kapitan Martinez, jezuita Dias Macedo i większość żołnierzy. Na końcu ja. Zbliżałem się do ołtarza, nie odrywając oczu od Tamiego. Odpowiedział umęczonym spojrzeniem człowieka zrezygnowanego, który godzi się na swój ciężki los. Oto na jego oczach wszyscy przyjęliśmy komunię jako dobrzy synowie Boży, zapominając o tych, których potępiliśmy. Odepchnięty, samotny i moralnie zniszczony Tami patrzył smutno jak ktoś, o kim sam Pan Bóg nie pamięta. Ale mylił się, boja byłem z nim myślami także podczas komunii.

Po komunii wróciłem na miejsce jak wszyscy, żeby zagłębić się w modlitwie. Przypomniała mi się dewiza Corpus Carus: „Wikariuszem Chrystusa jest to, co dyktuje twoje pierwsze i spontaniczne odczucie sumienia”. Jeśli twoje sumienie mówi, wysłuchaj, bo to Chrystus mówi do ciebie. Straszliwa herezja dla niektórych. Ale niesłusznie, gdyż papież nie przestawał być w sprawach Kościoła Wikariuszem Chrystusa, głową całej struktury, nieomylnym doktorem. Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. A jeśli chodzi o moje osobiste decyzje, to zamiast czekać na bullę, która nie przyniesie mi rozwiązania, powinienem wysłuchać Chrystusa w ciszy myśli. Tam, gdzie go słuchamy, choć zda się nieobecny, tam On żyje naprawdę i prowadzi nas.

Po mszy urządziliśmy ostatnią wieczerzę w osadzie. Nie zabrała nam dużo czasu, bo nikt nie miał ochoty na rozmowę.

Zjedliśmy i rozeszliśmy się do swych izb. Nazajutrz mieliśmy wyruszyć w drogę powrotną do galeonu. Trzeba było się spakować, przestudiować trasę i przygotować się mentalnie do przeprawy przez dżunglę. Wszystkim przyświecał ten sam cel, ale nie mnie. Tej nocy położyłem się spać ze spokojem, jakiego nie zaznałem od jedenastu lat pracy inkwizytora. Dokonałem wyboru. Wiosna, która rozkwitła tej nocy, przejdzie w zimę, jak tylko dotrzemy do Europy. Zamknąłem oczy i zasnąłem.

Giulio Battista Evola zapukał do mej alkowy wraz z pierwszym pianiem koguta. Był trochę wzburzony, chociaż próbował się opanować.

–Dzień dobry, ekscelencjo. Przepraszam, że przeszkadzam... Wprowadziliście pewne zmiany, o których nie zostałem poinformowany – zaczął najdelikatniej, jak umiał.

–Dzień dobry, bracie – rzekłem. Dokończyłem wkładania łańcucha z krucyfiksem i zamierzałem postąpić tak, jak postanowiłem. – Zmiany? Nie wiem, o czym mówicie.

–Tak, ekscelencjo. Przecież Xanthopoulos miał być odstawiony pod eskortą do Asunción. Wszystko przygotowałem...

–Aha, to o to chodzi... – wtrąciłem.

–Tak, ekscelencjo, „o to” – odparł rozdrażniony. – To admirał Calvente kazał wydać tego osobnika gubernatorowi Asunción, gdzie będzie osądzony za zbrodnie dokonane w czasie rejsu.

–I co...? Co chcecie przez to powiedzieć? Dobrze pamiętam rozkazy admirała – odpowiedziałem, przyjmując wyzwanie.

–Jak to „i co”, ekscelencjo? – rzucił notariusz bezczelniej niż zwykle. – Kiedy chciałem to zrobić, kapitan Martinez powiedział, że więzień zostaje z nami. Wraca z nami do Rzymu? Naprawdę tak rozkazaliście?

–Tak – odpowiedziałem krótko.

348

–Tak? Co usprawiedliwia tę decyzję? Dlaczego nikt mnie nie uprzedził, należało to zaprotokołować.

–Nie sądziłem, że to dla was takie ważne. Zresztą i tak zawsze o wszystkim wiecie. Zdecydowałem, że będę go sądzić, dlatego jedzie z nami.

–Xanthopoulos popełnił przestępstwo cywilne, a nie kościelne. Nie ma powodu, żeby odpowiadał przed inkwizycją.

–Od wczoraj wieczorem Xanthopoulos jest podejrzany o herezję. Będzie miał proces o przestępstwo przeciwko wierze.

–Jaka herezja?! – zawołał Evola, parskając sardonicznym śmiechem. – Xanthopoulos jest zwykłym mordercą, zbiegłym więźniem, poszukiwanym przez hiszpańską sprawiedliwość. To żaden heretyk. Musicie go wypuścić.

–Przecież sami mówiliście na statku, że Xanthopoulos jest czarownikiem. Podzielim wasze zdanie. Dlatego zostaje z nami.

–Powtarzam, puśćcie go do Asunción. Niech tam go sądzą.

–Puścić? Co to za wyrażenie? Z tego, co wiem, nie figuruje w żadnym z moich podręczników inkwizycyjnych – zare-plikowałem ostro i Evola umilkł. – Czekam na odpowiedź! Gdzie jest napisane, że inkwizytor ma „wypuścić” heretyka?

–Nie muszę odpowiadać – odparł dumnie Evola.

–Ależ tak! Musicie, nawet jeśli nie znacie odpowiedzi. A ja znam – powiedziałem i pokazałem na skrzynię z moimi książkami. – Proszę mi przynieść pierwszą z brzegu książkę.

Evola niechętnie otworzył skrzynię i wyciągnął wskazany podręcznik.

–Proszę bardzo – mruknął, podając mi gruby tom.

–Wy będziecie czytać. Otwórzcie...

–Co chcecie osiągnąć w ten sposób? – zapytał notariusz.

–To jest klejnot literatury z zakresu kościelnego prawa karnego. Chcecie wiedzieć, jak się nazywa? – kontynuowałem.

–Nie.

–A jednak wam powiem: Malleus maleficarum, sławny Miot na czarownice, wydrukowany w Niemczech, istna kopalnia

wiedzy o tym, jak rozpoznać i osądzić czarownika. Macie pojęcie, ile kosztuje ta książka?

–Nie, ekscelencjo.

–Więcej niż luksusowa karetka z czwórka andaluzyjskich rumaków. Proszę mi znaleźć, gdzie tu jest mowa o „wypuszczeniu” heretyka.

–Już dobrze. Dajcie mi spokój – poprosił zawstydzony Evola.

–Niech brat czyta, jeśli nie chce wrócić na statek na grzbiecie osła! – wrzasnąłem ku jego zdumieniu.

Neapolitańczyk zaczął przeglądać książkę.

–Nie widzę... – szepnął ledwo słyszalnym głosem.

–Nie widzicie? – zapytałem ironicznie.

–Nie, ekscelencjo.

–Część druga, czytajcie „część wtóra: sposoby leczenia czarami w sobie zamykająca. Kwestia, albo pytanie do tej części należąca”.

–„...Słowo wstępne o trudnościach zbywania czarów czarami; Lekarstwo kościelne przeciw inkubom i sukubom; Lekarstwa służące tym, którzy we władzy rozmnażania uczarowani bywają; Lekarstwa służące uczarowanym w miłości albo...” – Evola podniósł oczy znad książki i popatrzył błagalnie. Nie miałem dla niego litości.

–Nie przerywać. Myślicie, że zapomniano dołączyć rozdział mówiący o tym, kiedy można „wypuścić” czarownika? Znam tę książkę na pamięć, mogę wyrecytować każdy fragment jak zdrowaśkę: „Czary to zbrodnia przeciw Majestatowi Bożemu”, to cytat z pierwszej części. Jeśli mi nie ufacie, zostaniemy tu tak długo, aż znajdziecie w książce te słowa.

–Ekscelencjo, proszę o wybaczenie. Wszystko przez niedostatek informacji z waszej strony. Nie sprawia mi przyjemności chodzić za wami i wtrącać się do waszej pracy. – Evola próbował się usprawiedliwić.

–Mimo to, wypowiedaliście się na temat czarów jak doktor

Kościola. Czy nie lepiej wetknąć nos w swoje zapiski zamiast w sprawy inkwizytora? Notariusz zamilkł i patrzył na mnie z łagodnością kruka.

–Dalej chcecie poznać powody mojej decyzji? – spytałem.

–Tak, ekscelencjo.

–Więc posłuchajcie: Xanthopoulos jest nie tylko zwykłym mordercą; jest tajnym członkiem Corpus Carus i chce mieć te księgi tak samo jak Tami. Właśnie dlatego musi z nami wrócić, żeby złożyć zeznania w Rzymie.

Evola rozdziawił usta i stał tak dłuższą chwilę, zanim wydobył z siebie głos.

–Jak się o tym dowiedzieliście?

–To moja sprawa – odparłem sucho.

Evola nawet nie próbował udawać, że pierwszy raz słyszy nazwę Corpus Carus.

–Jestem zaskoczony, ekscelencjo. Naprawdę zaskoczony. Przez chwilę myślałem...

–Mało brakowało, a pomoglibyście się wymknąć jednemu z głównych sprawców tego całego galimatiasu – przerwałem notariuszowi. – Na przyszłość proszę nie przeszkadzać mi w pracy. A teraz sprawdźcie, czy wszyscy zatrzymani są gotowi do podróży, tak jak poleciłem kapitanowi Martinezowi. Wrócimy do tej rozmowy na statku. Udaremniłem tajny spisek przeciwko inkwizycji. Mam wam dużo do opowiedzenia. Ale nie teraz. Heretycy dopiero co dali się złapać na moją przynętę i muszę mieć jeszcze trochę czasu, żeby się nie wymknęli...

–Przepraszam, ekscelencjo, myliłem się co do waszej osoby, bardzo się myliłem.

–Nie ufacie mi?

–Nie zawsze – wyznał Evola. Po jego spojrzeniu widziałem, że zaczyna traktować mnie z szacunkiem. Postanowiłem go wypróbować.

–Brat nie jest jedynym wiernym sługą Rzymu. Nawet nie najwierniejszym. To mnie powierzono tę misję. Proszę o tym nie zapominać. Ani o tym, że ktoś z Corpus Carus próbował

mnie zabić na statku. Niech brat powie, jest brat gotowy na* wszystko dla Świętej Inkwizycji? Umrzeć za nią?

–Umrzeć i zabić, ekscelencjo. Tak, jestem gotów. Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że mówi prawdę, bo tak

postąpił z tymi, których podejrzewał. Taki mały, a taki mściwy.

–Jesteście wątlej postury, a zapachu w was tyle, że starczyłoby dla całej armii.

–Moja twarz zawsze budziła szykany i odrazę. Wszyscy się ode mnie odsuwali. Przyzwyczałem się do samotności i już mnie nie przeraża. Otrzymałem konkretne polecenia w związku z tą wyprawą i wykonam je. Jeśli trzeba, zmierzę się z masonami, czarownikami i z samym diabłem. W pojedynkę. Jak zwykle do tej pory. A teraz wreszcie z wami...

–Porozmawiamy na statku – powtórzyłem. – Będziemy mieć więcej czasu na nasze sprawy.

–Co zrobimy z masonami? – spytał Neapolitańczyk.

–Zamkniemy ich w zęzie – powiedziałem z westchnieniem, spoglądając przez okno. – Muszę jeszcze wyciągnąć sporo rzeczy z Tamiego. Coś wam powiem, zdołałem go przekonać, że jestem jednym z nich.

Evola uśmiechnął się.

XIX

ZARAŻLIWY PRZEJAW

ŚWIĘTOKRADZTWA

50

Mimo pesymistycznych przewidywań nie sądziłem, że powrót zabierze nam aż osiem długich miesięcy. W życiu nie widziałem i nie zobaczę czegoś takiego, co najbardziej przypominało piekło. Spadło na nas multum problemów z powodu burz, które nękały nasz galeon, doprowadzając go do bardzo złego stanu. Ledwie minęliśmy wyspę Trinidad, morze pokazało nam swą dzikość, okrutną jak najgorszy koszmar senny i bardziej perwersyjną niż najśmielsze wyobrażenia. Przez trzy dni i trzy noce niebo było czarne jak węgiel, a fale pienily się od wściekle dmących wiatrów. Rzucalo nami jak statkiem Jonasza. Bałem się o swe życie, nie przeczę, ale nie szalałem z przerażenia jak reszta załogi, która przeklinała moją obecność i winą za burzę obarczała nieznaną księgę znajdującą się w mojej kajucie pod ciągłą strażą. Ci dzielni marynarze byli tak przesądni jak prostytutki z genueńskich burdeli. Bezpośrednim

skutkiem burzy było zniszczenie wyższego masztu i prawie całego ożaglowania oraz utrata stera, co sprawiło, że dryfowaliśmy na pełnym Morzu Karaibskim przez cały dzień.

Na szczęście dragi galeon „Catalina Nina” podholował nas do wyspy Trinidad. W bezpiecznym porcie liczyliśmy straty:

było ich bardzo wiele. Nie było innego wyjścia, jak przetransportować statek do Cartagena de las Indias, jedyne go portu ze stoczną, gdzie mogli naprawić maszt i ster. Burza trwała trzy tygodnie, uniemożliwiając prace naprawcze. Na dodatek piraci przetrzebili flotę indyjską w czasie ostatniej wyprawy i Korona hiszpańska postanowiła zawiesić czasowo rejsy. Toteż nawet kiedy byliśmy już gotowi do drogi, musieliśmy poczekać, aż Hiszpania przyśle nowe statki dla wzmocnienia bezpieczeństwa floty, ponieważ nasze galeony nie mogły płynąć w pojedynkę. Był początek sierpnia, a my wciąż znajdowaliśmy się w Nowym Świecie.

Przez cały ten czas pracowałem nad utrzymaniem zaufania, jakie udało mi się wzbudzić w Evoli, i miałem nadzieję, że Opatrzność pokieruje moimi krokami w taki sposób, abym mógł służyć jej jak najlepiej. Dni mijały mi nie tylko na lekturze i pogawędkach z załogą, gdyż poprosiłem admirała, żeby przydzielił mi jakieś zajęcie, które wypełni mi wolny czas. Pod kierunkiem marynarzy nauczyłem się różnych drobnych prac i coraz lepiej rozumiałem, jak funkcjonuje statek. Moje ciało nabrało tężyzny, werwy i mięśni; skóra stwardniała mi i czułem się silny jak dawniej, kiedy jako dziecko uprawiałem dużo ćwiczeń fizycznych. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo przyda mi się ta siła...

Trzeba trafić, że pewnego wieczoru po kolacji zostałem w mesie sam na sam z kapitanem Martinezem. Dla zabicia nudy umilaliśmy sobie czas rozmową przy alkoholu.

Po kilku kieliszkach brandy Martinez zaczął opowiadać, że jego szwagrem jest markiz, człowiek o wielkim uroku osobistym i niewielkim majątku, który cieszy się szczególnym zaufaniem dworu królewskiego Filipa II. Uczestniczy w cotygodniowych spotkaniach osób z najbliższego otoczenia króla, na których pojawia się ulubiona córka monarchy Isabela Clara Eugenia. Nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć, bo kapitan Martinez

był pryncypialny i nieskory do fantazjowania nawet przy alkoholu. Na dodatek miał szczere spojrzenie, co ostatecznie potwierdzało wypowiedziane słowa. Było jeszcze sporo kieliszków i wiele różnych zwierzeń, zanim rozeszliśmy się wreszcie do swych kajut. Informacja uzyskana od kapitana była dla mnie tak cenna, że nie mogłem zasnąć z wrażenia. Do tej pory wciąż dręczyła mnie myśl, co zrobić z księgami po przybyciu do Rzymu. Rewelacje Martineza otworzyły mi oczy i wreszcie znalazłem rozwiązanie.

Następnego dnia poprosiłem admirała o prywatne spotkanie; musiałem z nim porozmawiać bez świadków. Z ulgą dowiedziałem się, że jego załoga sama kierowała statkiem i robiła to lepiej niż Calvente, który postanowił wypocząć w drodze powrotnej i pił do nieprzytomności. Wychodził z kajuty tylko po to, żeby pokrzyczeć na oficerów i oglądać gwiazdy. Był świetnym marynarzem z rodu znakomitych żeglarzy, synem bohatera spod Lepanto, ale przez dziewięć miesięcy przebywania na jednym pokładzie zdążyłem poznać słabe strony admirała. Morze było jego miłością, a butelka – najlepszą przyjaciółką. Calvente przyjął mnie późnym wieczorem.

Moja prośba wprawiła go w wielkie osłupienie. Na koniec poprosiłem jeszcze o pełną dyskrecję, nawet wobec Martinezza. Powiedziałem, że od tego zależy los króla i samego papieża.

Admirał dokładnie wykonał powierzone zadanie, które miało swe konsekwencje pięć dni później. I okazało się całkowitą klęską.

Byłem głęboko przekonany, że dobrze robię, choć podobno nawet niegodziwcy wierzą w pewnych momentach życia w słuszność swojego postępowania. Oczywiście, nie chciałem okazać S'C jednym z nich wskutek podjętej decyzji. Aby mój plan się Powiódł, musiałem najpierw ukryć księgi.

355

Na godzinę przed świtem otwarłem szafę w kajucie, gdzie zainstalowaliśmy sekretną komnatę. Wyciągnąłem kuferek z księgami i postawiłem na stole. Byłem sam, nikt mnie nie widział oprócz Boga. Musiałem zajrzeć do tych ksiąg, bo tak radykalnie zmieniły moje życie, że po części czułem się usprawiedliwiony z tego przymusu. Otworzyłem kuferek i wyjąłem obie księgi. Położyłem je na stole: Necronomicon obok Kodeksu.

Gdy tak leżały na drewnianym stole, obserwowałem je uważnie – były wszak słowem Szatana – badałem wzrokiem każdy fragment okładki i grzbietu. Przesuwałem ręką po krawędzi, wyczuwałem chropowatość foliałów i twardość okuć z brązu na narożnikach oprawy. Otworzyłem Necronomicon.

Na pierwszej stronie, którą widziałem już w Asunción, był rysunek stopy czarownicy i podpis Gianmarii, jako autora przekładu. Następna zawierała umieszczone pośrodku krótkie przesłanie wyrażające ducha księgi:

Dwanaście plemion Izraela zniszczy Nazareńczyka. Dwunastu apostołów przywiedzie go do zguby.

Przeczytałem kilkakrotnie te dwa zdania. Była w nich złowieszcza liczba, o której mówił mi Tami: dwanaście plemion, dwunastu apostołów, dwanaście zaklęć otwierających wrota demonom i chaosowi. Kartkowałem dalej. Na kolejnej stronie był krótki prolog pod ryciną przedstawiającą potwory błądzące po pustyni pod osłoną nocy. Wstęp, stanowiący zarazem prorocstwo i admonicję, świadczył wyraźnie, że Gianmaria był dobrym znawcą i tłumaczem z greki, a z ryciny wynikało, że był również utalentowany malarsko.

Horda grobowca nie nadaje czcicielom przywilejów. Ich moc jest nieduża, mogą tylko w niewielkiej mierze zmienić wymiary przestrzenne i uczynić namacalnym jedynie to, co przynależą do świata zmarłych. Posiadają

356

władzę wszędzie tam, gdzie zostaną zaintonowane formuły Zeghela Bliela, a jeśli nastąpi to we właściwym czasie, mogą przywołać tych, którzy otworzą wrota w domach cmentarnych. Nie mają konsystencji w naszym ludzkim pojęciu, ale wnikają w śmiertelną powłokę istot ziemskich, gdzie znajdują jądło i schronienie. Tam czekają, aż dokona się czas gwiazd

nieruchomych i otworzy się brama do nieskończoności, uwalniając Tego, który z drugiej strony usiłuje ją zniszczyć, żeby otworzyć sobie drogę...

Szybko zamknąłem księgę i wyjrzałem przez okienko kajuty. Noc była czarna jak stronicę Necronomiconu. Owinąłem obie księgi w jedwabną tkaninę i włożyłem do grubego worka z foczej skóry, którą zaimpregnowałem lojem. Obwiązałem worek sznurami; teraz księgi były zabezpieczone na wypadek deszczu, przygniecenia i innych szkód, jakim mógłby ulec pakunek. Wziąłem go pod pachę i wyszedłem z kajuty.

Skierowałem się do cel umieszczonych w zęzie, pod drugim poziomem ładowni. Z wielką ostrożnością, oświetlając sobie drogę małym kagankiem oliwnym, przemierzałem wilgotne przejścia wiodące do tego cuchnącego miejsca w kałużach brudnej wody, której opary przyprawiały o chęć wymiotów. Postawieni na straży żołnierze z przerażeniem patrzyli na zakapturzoną sylwetkę, wylaniającą się z mroku niczym ponury duch zęzy.

–Witam Waszą Ekszelencję – wyjąkał kapral, nie spodziewając się żadnej wizyty o tak wczesnej porze. – Przyszliście odwiedzić więźniów?

–Pozdrawiam was w imię Boże, kapralu – rzekłem, patrząc Andreu Llosie prosto w oczy. W słabym świetle kaganka moja twarz była ledwo widoczna, ale nie pozwalałem sobie na poufałość w obecności jego ludzi. – Bądźcie uprzejmi opuścić zęzę i poczekać na górze. Wezwę was w razie potrzeby.

–Chcecie iść do więźniów bez ochrony?! – zawołał kapral z wielkim zdziwieniem.

–Nie ma powodu do obaw. Nic mi nie grozi.

–Ależ, ekscelencjo, kapitan Martinez specjalnie nakazał mi was pilnować i mieć oczy szeroko otwarte na wasze poczynania.

–W porządku, kapralu, możecie pełnić swą służbę u wylotu schodów. I proszę się nie martwić, nic mi się nie stanie.

Straże niechętnie przyjęły rozkaz wycofania się. Wziąłem klucz i otworzyłem zamek. Nieprzyjemny zgrzyt metalu w ciszy zęzy zapowiadał więźniom wizytę. Dźwięk ten nie tylko w nich rozbudził obawy. Ja też czułem się niepewnie.

–Mamy niewiele czasu, musimy się spieszyć – powiedziałem zaraz po wejściu do celi.

Giorgio Carlo Tami spojrzał zaciekawiony. Domyślał się celu tej wizyty.

–Pomożesz nam? – zapytał jezuita.

Schyliłem się, żeby uwolnić go z kajdan, i nic nie odpowiedziałem.

–Angelo – rzekł Xanthopoulos – zostało jeszcze siedem dni drogi do portu. To nie jest najlepszy moment na uciezkę.

Za wcześnie...

Tami uśmiechnął się i trwał tak chwilę w milczeniu, po czym szepnął:

–To wspaniałe, co zrobiłeś, Angelo. Piero byłby z ciebie dumny – powiedział z uśmiechem.

–Dlaczego tak mówisz? – spytał Xanthopoulos, nie rozumiejąc jego radości ani mojego uśmiechu.

–Bo z pewnością jest tak, jak myślę.

–A co myślisz, bracie Giorgio? – wypytywał Grek.

–Angelo zmienił kurs galeonu. To cudowne – oświadczył Tami.

–Gdzie teraz jesteśmy!?! – ryknął Xanthopoulos.

–Na wodach Hiszpanii. Płyniemy do portu w Sewilli – odparłem z niemalą dumą.

–A reszta załogi? Co powiedzą, jak zobaczą ziemię? – Nikos nie rozumiał, z czego się tak cieszymy. Według niego sytuacja była bardziej skomplikowana i miał rację.

–Słońce jeszcze nie wstało, noc bezksiężycowa. Nikt się nie orientuje, dopóki nie dobijemy do portu – powiedziałem, uwalniając pospiesznie wikinga. Zapadła cisza; mężczyźni zamienili się w słuch. – To dla ciebie – wręczyłem Tamiemu grubą paczkę owiniętą w foczą skórę. – Tu są księgi. Zabierz je w bezpieczne miejsce.

–Znasz jakieś bezpieczne miejsce, w Europie? – zapytał Tami, prosząc w ten sposób o instrukcje.

–Opactwo San Fruttuoso. Tam nie dopadnie ich inkwizycja.

–W Genui? – upewnił się Tami.

–Tak. To najbezpieczniejsze miejsce jakie znam. Szukaj na cmentarzu grobowca obok bezimiennej mogiły. Tam je schowasz, dopóki Piero nie znajdzie lepszej kryjówki. Musicie jak najszybciej przedostać się do Włoch.

–Co zrobisz po przybyciu do portu? – pytał Tami.

–Zatrzymujemy się w porcie wyłącznie dlatego, że Cal-vente przystał na moją wyjątkową i nadzwyczajną prośbę. Powiedziałem, że potrzebuję uzyskać audiencję u nuncjusza papieskiego. Musicie uciec z Sewilli jak najdalej. Jest szansa, że się uda, jeśli znajdziecie jakiś statek, który dowiezie was do Francji następnego dnia albo w ciągu kilku dni.

–A Evola? – Grek przypomniał, że wciąż jesteśmy na łasce mordercy.

–Niczego nie zauważy, dopóki nie zacumujemy w sewilskim porcie. Mam nadzieję, że udało mi się go zwieść i nie podejrze, że sprawy przybrały inny obrót.

–Jak wydostaniemy się ze statku? – dopytywał Xan-thopoulos.

–Mam dla was stroje robocze i garść monet. Zejdziecie ze statku jako część załogi. Będzie dużo zamieszania, jak się okaże, że jesteśmy w Sewilli, więc wykorzystacie ten moment. Potem już sami musicie sobie poradzić.

–A ty? Co będzie z tobą? – martwił się Tami. – Prędzej czy później odkryją naszą ucieczkę i wyjdzie na jaw, że mamy księgi.

–Wiem. Powiem, że ukradliście.

–Nie przekonasz Evoli – stwierdził Xanthopoulos. – Zacznie wypytywać o zmianę kursu i oskarży cię o współudział.

–O tym też pomyślałem. W Hiszpanii mam znajomego markiza. Jego protekcja pomoże mi opóźnić proces na tyle, żeby przygotować swoją obronę.

–Pakujesz się w poważne problemy... – powiedział Tami smutnym, zmęczonym głosem.

–Nie bardziej niż wy – odparłem, próbując dodać im animuszu.

–Kiedy będziemy w porcie? – przerwał nam Grek jak zwykle praktyczny.

–Mniej więcej za godzinę. Czas się zbierać.

Przed wyjściem z celi Xanthopoulos położył mi rękę na ramieniu i szepnął:

–Zawdzięczam ci życie, Angelo. Kiedy księgi będą bezpieczne, wrócę po ciebie, gdziekolwiek byś był.

Ale po opuszczeniu celi ujrzeliśmy uosobienie terroru i sparaliżował nas strach. Z cuchnących ciemności wyłonił się Evola. Stał w przejściu i patrzył na nas w milczeniu z twarzą bez wyrazu.

Przybył siepacz inkwizycji.

–Co to ma znaczyć? – zapytał Evola. Więźniowie byli na wolności, a wielki sędzia trzymał drzwi

do celi otwarte.

–Może wy mi powiecie, czego tu szukacie? – spytałem ostro.

Neapolitańczyk miał kaptur nasunięty na twarz, toteż trudno było odgadnąć, o czym myślał. Giulio przemówił:

–Dziwna ta noc, ekscelencjo. Rzadko mi się zdarza, że nie

jjjogę zasnąć, ale tym razem właśnie tak było. Postanowiłem pospacerować po pokładzie, choć

jeszcze ciemno. I tam zaskoczył mnie widok ptaków morskich, które chmarami fruwały nad statkiem, oraz światło na horyzoncie, całkiem blisko, mniej więcej w odległości mili. Czyżby coś mi się przywidziało wskutek bezsenności...? Otóż nie, ekscelencjo. Skoro został nam jeszcze tydzień do portu w Genui, to skąd tyle ptactwa na pełnym morzu i światła migające tak blisko, że za dnia lub przy nocy księżycowej można by dostrzec wybrzeże? Moja bezsenność nie była zwykłym przypadkiem, tylko ostrzeżeniem Bożym przed diabelskim spiskiem. Zmieniliście kurs statku, nie płyniemy do Genui, tylko zupełnie gdzie indziej...

–Świetnie, bracie Evola! – przerwałem. – Muszę przyznać, że macie spory talent dedukcyjny, ale niewielką wyobraźnię i mały zasób słów, bo termin „spisek” jest nieadekwatny do tego zdarzenia. Wszystko się dzieje zgodnie z moimi rozkazami, z których nie muszę się wam tłumaczyć.

–Dość tych kłamstw, ekscelencjo! – wrzasnął Evola. – Nie wierzę w żadne wasze słowo, bo to, co robicie, jest konspiracją przeciwko inkwizycji, choćbyście nie wiem jak zaprzeczali. Może powiecie, że zmiana kursu jest nieistotnym szczegółem i dlatego mnie nie powiadomiliście? Albo że wasza obecność w tym miejscu i uwolnienie więźniów nie mają większego znaczenia i stanowią nowy element przynęty, na którą mają złapać się jeszcze bardziej? To chyba raczej mnie chcieliście omotać i złapać na tę waszą przynętę. Naprawdę sądziliście, że wam się to uda?

–Co zamierzacie zrobić? – spytałem wprost, nie próbując się usprawiedliwiać ani wyjaśniać sytuacji.

–Przekonałem się, ekscelencjo, że bardzo zdolny z was człowiek, nie tylko świetny inkwizytor, ale też wyjątkowo sprytny konspirator – odparł Evola spokojnie. – W pewnym sensie was podziwiam, ale reprezentujemy opcje nie do pogodzenia. Szkoda, że nie jesteście po właściwej stronie, bardzo mi was żal.

–I co teraz, Evola? – ponowiłem pytanie.

–Jesteście konfratrem Corpus Carus – stwierdził z nienawiścią. – Zapłacicie za swoją zdradę.

–Co takiego? Coście uknuli w waszym zbrodniczym umyśle?

–To proste: każę was zamknąć razem z tymi dwoma. Jesteście takim samym heretykiem jak oni – oświadczył Evola.

Zadziwiająca śmiałość, zważywszy na dużą różnicę, jaka nas dzieliła w hierarchii stanowisk. Był tak arogancki, że zastanawiałem się, czy nie zamierza nas zgładzić potajemnie. Ten mnich jest szalony albo bardzo zuchwały. W każdym razie zaprezentował się jako człowiek groźny, z planem lub bez. Giulio pochodził z niebezpiecznych przedmieść neapolitańskich. Jego bronią – oprócz sztyletu ukrytego w krucyfiksie – była odwaga i szpetota kalectwa, które działały tak odstraszająco, że nie zawsze musiał wyciągać sztylet. Spróbowałem inaczej.

–Wybacz, Giulio, ale jak chcesz to osiągnąć sam, bo nie widzę tu nikogo, kto by ci towarzyszył – powiedziałem z lekkim uśmiechem, pokazując ręką w stronę ciemnego przejścia, gdzie nie było żywego ducha.

–Porozmawiam z admirałem Calvente. Proszę mi wierzyć, ekscelencjo, że niezależnie od tego, coście mu naopowiadali, nigdy nie pozwoli wam wysiąść, jak się dowie, że próbowaliście uwolnić więźniów i planowaliście ucieczkę. Nie sądzę, aby w tej sytuacji admirał dał się wam przekonać, bo zostanie uznany za współnika konspiracji, co grozi między innymi procesem i degradacją. Wybaczcie, bracie DeGrasso, nie rozumiem waszego postępowania, naprawdę nie rozumiem. Może przy innej okazji zdolacie mi wyjaśnić, dlaczego jeden z najlepszych włoskich inkwizytorów zamienia się w heretyka i złodzieja. Co się z wami stało, do diaska? Jestem mocno zaintrygowany, bo nie pojmuję, że ktoś może dążyć do samozagłady tak uparcie jak wy.

Wymawiając te słowa, notariusz zaczął cofać się, żeby znaleźć się pod osłoną ciemności. Jak odejście, wszystko

przypadnie. Dlatego Xanthopoulos przejął inicjatywę, dopadł notariusza w trzech susach i przewrócił go. Sapanie i chrapliwe okrzyki towarzyszyły tej szarpaninie. Xanthopoulos potrząsał Evolą, łapiąc go za habit z furią byka, a notariusz bronił się, wpychając kciuki w oczy napastnika. Grek na moment rozluźnił uścisk pod wpływem bólu, co Evola natychmiast wykorzystał, żeby ugryźć go w nos aż do krwi.

Tam odłożył księgi na stojącą obok beczkę i rzucił się na Neapolitańczyka, wymierzając mu kopniaka w żebra. Ten cios rozdzielił walczących, ale nie był na tyle silny, żeby wyeliminować

notariusza z walki. Tami ponowił atak, uderzając go pięścią w momencie, gdy Evola złapał się za żebro, jęcząc z bólu. Kiedy się wyprostował, w ręku trzymał sztylet i zanurzył go w piersi Tamiego aż po uchwyt. Giorgio oparł się o beczkę i przymknął oczy. Rękojeść w kształcie krucyfiks tkwiła na wysokości żebra w miejscu, gdzie Chrystus miał przebity bok. Evola odzyskał kontrolę nad sytuacją. Brytan Kościoła pokazał zęby. Pokonawszy jezuity, odwrócił się do Nikosa i ugryzł go w policzek, jakby chciał wyrwać mu kawał mięsa, i okaleczyć przeciwnika. Grek próbował się uwolnić, uderzając go parę razy w brzuch. Musiałem interweniować. Rozejrzałem się dookoła, znalazłem dostatecznie grubą deskę i podbiegłem do notariusza, wymierzając mu cios w nerki. Evola puścił Xanthopoulosa i powoli odwrócił się do mnie. Zobaczyłem okrutną twarz i usta umazane cudzą krwią. Tego było za wiele. Podniosłem rękę i brutalnie walnąłem go w twarz. Notariusz nawet nie jęknął, tylko runął jak długi w brudne wody zęzy. Już się nie poruszył.

Xanthopoulos wyłonił się z ciemności z zakrwawioną twarzą i podszedł od razu do jezuity, który najbardziej ucierpiał w tej walce. Tami próbował bezskutecznie wyciągnąć z ciała śmiertelny metal.

–Spokojnie, to nic poważnego – powiedział cicho Nikos, badając ranę.

Tami oddychał urywanie, ale był pogodny.

–Nie mogę go wyciągnąć. Nie mam siły – szepnął jezuita.

–Nic nie mów, zostaw to mnie – odparł Grek. Wziął ode mnie chusteczkę, owinął rękęjeść sztyletu, oparł

kolano na piersi jezuity i patrząc mu prosto w oczy, żeby go uspokoić, jednym ruchem wyszarpnął metal i odrzucił z wściekłością w głąb celi.

Tami wykrzywił twarz w straszliwym grymasie bólu i zemdłał. Wkrótce potem odzyskał normalny kolor. Nikos zdjął koszulę, żeby go zabandażować i po tym zabiegu jezuita był gotów stanąć na nogi.

Razem z Xanthopoulosem zaciągnąłem ciało Evoli do celi i zaniknęliśmy drzwi na klucz. Potem poszliśmy na górę do pełniących wartę żołnierzy i poprosiłem, żeby zostali tu do południa, nie schodząc do zęzy i nie zwracając uwagi na dobiegające stamtąd krzyki. Żołnierze popatrzyli na mnie z mieszaniną szacunku i strachu, bo myśleli, że inkwizytor będzie używał swych narzędzi w stosunku do więźniów. Tymczasem Nikos, dźwigając Tamiego na plecach, opuścił ładownię, kierując się w stronę dziobu statku, gdzie mieli pozostać, aż dobijemy do portu.

Prawie godzinę później, przy pierwszych blaskach jutrzeńki zawinęliśmy do portu w Sewilli spowitego we mgle. Za pomocą grubych lin statek przycumował do brzegu wraz z naszą nadzieją. Pomimo komplikacji moja strategia zdawała się przynosić pierwsze rezultaty.

52

Celnik z Sewilli wszedł na pokład, żeby sprawdzić, dlaczego zjawiliśmy się w tym porcie. Admirał osobiście udzielił mu wyjaśnień. Po otrzymaniu formalnej zgody na postój powiadomiłem nuncjusza, że jesteśmy w Sewilli. Trzy godziny potem wysłannik nuncjatury był na statku.

–Co takiego się stało, ekscelencjo DeGrasso? Dlaczego

364

jesteście w Sewilli, choć od miesiący oczekuje się was w Rzymie? Skąd ta dziwna zmiana kursu?

–Mieliśmy na pokładzie kilka poważnych wypadków, o których nie pora teraz mówić szczegółowo. Dlatego podjąłem decyzję zacumowania w Sewilli. Proszę zawiadomić listownie Święte Oficjum, że natychmiast wyruszam do Rzymu drogą lądową i że powierzone zadanie wykonałem z sukcesem.

Wysłannik nuncjusza nie ukrywał zdumienia.

–Zgoda, Wasza Ekszelencjo. Mamy świadomość wagi waszej misji. Ojciec Święty osobiście jest nią zainteresowany. List wyślę najbliższym statkiem i zaraz każę przygotować dla was powóz do podróży.

–Oby jak najszybciej – poprosiłem.

–Oczywiście. Tymczasem zapraszam Waszą Ekszelencję wraz z towarzyszącym wam w tej misji notariuszem na krótki odpoczynek do nuncjatury.

–Nie trzeba – odparłem zdecydowanie. – Zdążę odpocząć w drodze, teraz nie mogę tracić czasu. Poza tym mam smutną wiadomość... – Wysłannik nuncjusza nadstawił uszu. – Mój notariusz zmarł w czasie podróży...

–Wielkie Nieba! – zawołał przejęty. – Co mu się stało?

–Malaria – skłamałem. – Zechciejcie powiadomić miejscowe władze celne, że nikt, włącznie ze mną, nie może opuścić statku bez zgody lekarza.

–Rozumiem i natychmiast się tym zajmę, żeby nie opóźnić waszego wyjazdu. Może jednak zajrzycie do nuncjatury, żeby wyjaśnić szczegóły śmierci notariusza – zaproponował wysłannik nuncjusza.

–Teraz to niemożliwe – odmówiłem. – Wszystko wyjaśnię w Rzymie. Nie mam czasu do stracenia. Sami wiecie, z jak wielką niecierpliwością Ojciec Święty czeka na wieści o tej misji. Pragnę wyruszyć stąd jak najszybciej. Dlatego proszę usilnie o specjalną przepustkę z nuncjatury, która pozwoli mi szybko opuścić statek.

–Racja – stwierdził wysłannik i od razu wystawił prze-

puszkę z pieczęcią. Odczułem dużą ulgę. W drodze do Włoch zdołałam obmyślić plan ucieczki. Wystarczy zaczekać na odpowiedni moment.

Wszystko szło po mojej myśli, dopóki nie rozległo się pukanie do drzwi; zanim zdążyłem odpowiedzieć, wszedł kapitan Martinez z sześciuosobową eskortą i urzędnikiem portowym. Ich twarze wyrażały powagę sytuacji, która spowodowała tę wizytę. Z tyłu za nimi był jeszcze ktoś: Evola.

Mój notariusz wciąż wskazywał na mnie palcem, opowiadając

O całym zdarzeniu wysłannikowi nuncjusza i żołnierzom, którzy nie wierzyli własnym uszom. Była to dla mnie fatalna konfrontacja świadcząca o tym, że skłamałem, ponieważ chwilę przedtem mówiłem o śmierci Evoli. Nie udało mi się uniknąć poważnych oskarżeń o zdradę i spisek przeciwko Rzymowi, choć prestiż mojego urzędu pozwalał na odparcie pierwszych ataków. Nie pozwolono mi opuścić kajuty, ale nikt się nie ośmielił zakuć mnie w kajdany. Czekano na nuncjusza, bo tylko on mógł podjąć jakąś decyzję wobec mojej osoby. Przybył około południa.

Nuncjusz papieski był szacownym starszkiem, który powitał mnie nader uprzejmie i z atencją poprosił, bym zechciał go wysłuchać, jako że był już o wszystkim poinformowany.

–Ekscelencjo DeGrasso, muszę stwierdzić, że nie przyjmę żadnych tłumaczeń z waszej strony, ponieważ zbadałem sytuację

1 nie widzę innego wyjścia, jak wysłać was do Rzymu. Tam będziecie mieć okazję do wygłoszenia mowy obrończej we własnej sprawie. Tuszę, iż moja decyzja jest dla was zrozumiała z racji waszego urzędu – powiedział nuncjusz, umywając ręce, i wcale się nie dziwiłem, że wybrał dla siebie najlepsze wyjście. Tym samym zamknął moją sprawę i nie pozostawało mi nic innego, jak jechać do Rzymu na pewną śmierć.

–Co was zmusiło do podjęcia tej decyzji? – spytałem mimo wszystko, żeby zyskać na czasie.

Starzec głaskał swój pierścień i spoglądał na mnie smutno, zanim odpowiedział.

–Stawia się wam zarzuty, których nie można lekceważyć. Admirał potwierdził przede mną, że zwróciliście się doń o zmianę kursu. Kłamstwo w sprawie śmierci notariusza jest oczywiste, prawda? To bardzo przykre. Poza tym, nie znalazłem na statku ani heretyków, którzy mieli być osądzeni w Rzymie, ani „przedmiotu” waszej misji...

–Heretycy zniknęli z księgami? – przerwałem pełen nadziei.

–Tak.

Ucieszyłem się w duchu, bo już myślałem, że wpadli w tarapaty jak ja. Ale los okazał się dla nich łaskawszy niż dla mnie. Inkwizytor zawiódł i przegrał. Jego heretycy mają wciąż szansę na wygraną. Nuncjusz kontynuował:

–Pewien woźnica zaświadczył, że tego ranka o świcie wioził dwóch cudzoziemców. Twierdzi, że jeden był ranny i jęczał po włosku. Drugi miał okaleczony nos i trzymał grubą paczkę zawiniętą w skórę. Coś wam to mówi, ekscelencjo?

Na wieść, że księgi są bezpieczne, postanowiłem skorzystać z prawa do milczenia. Dalsza rozmowa na nic by się zdała, skoro już zapadła decyzja o wysłaniu mnie do Rzymu.

–Nic więcej już nie powiem. Zachowam swoje zeznania dla Rzymu – odparłem, a nuncjusz na to przystał.

Nie mogłem wykorzystać swych wpływów inkwizytora ani bronić się za pomocą prawa kanonicznego. Miałem jeszcze jedną nadzieję, której uczepiłem się jak tonący deski. Stary Abelardo Perez Antua był nuncjuszem papieskim od piętnastu lat. Utrzymywał się tak długo na tym stanowisku dzięki swemu talentowi dyplomatycznemu i kontaktom politycznym. Pozwoliłem sobie skorzystać z tej ostatniej deski ratunku.

–Czy jest jakaś możliwość, bym został w Hiszpanii?

–Na płaszczyźnie kościelnej nie ma żadnej. Macie nie-załatwioną sprawę ze Stolicą Apostolską i nie istnieje żaden

powód, aby zatrzymać was tutaj, chyba że jakiś niepokorny biskup przyjmie was pod swoją jurysdykcję. Ale kto by zechciał uwikłać się w kłopoty?

–Rozumiem. A gdyby władze cywilne zechciały mnie zatrzymać?

–To co innego. Wtedy zaistniałaby taka możliwość... Ale dlaczego pytacie?

–Muszę pozostać tutaj przez jakiś czas – powiedziałem, nie wdając się w wyjaśnienia.

–Co to za dziwna sprawa, w którą jesteście zamieszani, ekscelencjo? – spytał zaintrygowany nuncjusz.

–Ta sprawa wymaga czasu, zanim wszystko się wyjaśni.

–Czy znacie kogoś potężnego, kto ochroniłby was przed Świętym Oficjum? – zapytał nuncjusz.

–Znam. Tylko najpierw muszę z nim porozmawiać.

–Kto to jest, jeśli wolno zapytać?

–Pewien markiz związany z infantką Isabelą Clarą Eugenią, ukochaną córką króla. Mogłaby mnie uwolnić i zagwarantować mi bezpieczeństwo. Chyba jej poręka wystarczy – powiedziałem triumfalnym tonem.

–No tak. Wy nic nie wiecie. Tyle czasu na odległej ziemi lub na pełnym morzu...

–A co mam wiedzieć? – przestraszyłem się.

–Ekscelencjo DeGrasso, z pewnością osiągnęlibyście swój cel przy pomocy waszego markiza, ale nie macie szczęście...

–Dlaczego? – zapytałem, a serce biło mi coraz mocniej. Nuncjusz odpowiedział łagodnie i cicho:

–Nasz król Filip Drugi nie żyje.

–Król umarł? Kiedy? – Moja nadzieja rozprysła się jak kielich z kryształu.

–Wczoraj, w niedzielę trzynastego września, w klasztorze w Escorialu. Niestety, teraz mamy bezkrólewie, trwa żałoba i do czasu koronacji jego syna nikt nie zajmie się waszym problemem. Nawet markiz nie zostanie wysłuchany.

Nie było więcej nic do omówienia. Nie miałem żadnego wyjścia. Filip II umarł, a wraz z nim moja ostatnia nadzieja. Tego samego wieczoru znalazłem się na statku płynącym do Genui.

W kilka dni potem zaczęła się moja droga przez mękę. Inkwizycja surowo karze za zradę. Jej wilki będą mnie szarpać. Żądać odpowiedzi i zadawać ból. Zawładnęło mną niespokojne przeczucie krążącej wokół mnie śmierci.

CZĘŚĆ CZWARTA

SABAT CZAROWNIC

XX

JARZMO

53

Na Morzu Śródziemnym szanowano jeszcze moją godność inkwizytora i mimo uwięzienia w kajucie miałem do dyspozycji wszelkie wygody, na które nie mogą liczyć inni oskarżeni; na przykład papier do pisania, pióra i atrament oraz posiłki takie same jak w mesie oficerskiej. Była szara, zimna jesień i tęskniłem do wiosny oraz lata, które po raz pierwszy spędziłem na obczyźnie.

Dwudziestego września w genueńskim porcie czekała już na mnie legacja z Rzymu. Kapitan Martinez wręczył im pismo od nuncjusza papieskiego z Sewilli, na mocy którego zostałem przekazany kościelnej jurysdykcji Stolicy Apostolskiej, czyli de facto kardynałowi Iulianowi. W Rzymie stracę wszelkie przywileje, zostanie mi tylko szara monotonia odosobnienia w wilgotnej celi i skowyt bólu. Już nie będę widzem ani sędzią, lecz przestępcą. Droga do Rzymu zajęła nam dwa dni i przez ten czas myślałem z rozdzierającym żalem tylko o jednym: o tragicznej śmierci ojca Piera Del Grandę. Właśnie dowiedziałem się, że został zamordowany i że zbrodnia ta wywołała wielkie poruszenie w Genui, potęgując konflikt między kapucynami i dominikanami, którzy nawzajem się o nią oskarżali. Popadłem w ogromne przygnębienie. Mój ukochany mistrz nie żyje. Straciłem przewodnika, ojca duchowego, główną przy-

373

czynę życzliwości dla Corpus Carus. Byłem przekonany, że to właśnie Del Grandę był Wielkim Mistrzem bractwa, choć nikt nie chciał mi tego powiedzieć wyraźnie. Nie miałem żadnych wiadomości o Tamim i Xanthopoulosie. Znajdowałem się w Rzymie, a nie mogłem zobaczyć Raffaelli... Co ona sobie o mnie myśli? Uznała, że nie żyję... czy że ją porzuciłem? Odcięty od świata zewnętrznego, mogłem tylko czekać na wysłannika kardynała. Ale nikt nie przybył.

Zaczynał się drugi dzień mojego przymusowego pobytu w więzieniu Świętego Oficjum, kiedy wczesnym rankiem wtargnął do mojej celi kardynał Vincenzo Iuliano. Był sam, ubrany na czarno, jak przystoi inkwizytorowi, i tylko wspaniała srebrny krucyfiks na piersi, zawieszony jak zwykle na grubym łańcuchu, rozjaśniał tę czerń. W jego oczach zabłysła na chwilę paradoksalna mieszanka dobroci, złości i zaciekawienia. Superior Generalny Inkwizycji pierwszy przerwał milczenie:

–Wielce rozczarowałeś mnie swoimi postępkami, bracie DeGrasso. Jesteś zdrajcą, sprawiłeś Ojcu Świętemu przykrość nie do naprawienia. Muszę jednak przyznać, że mnie to nie dziwi, bo już jakiś czas temu straciłem do ciebie zaufanie, zwłaszcza po twojej wizycie u tego kapucyna Del Grandę, niech spoczywa w pokoju.

–To dlaczego, eminencjo, wysłaliście mnie w tę podróż? Po co było powierzać mi tę misję, skoro uważaliście mnie za członka Corpus Carus:

–To nie ja cię wybrałem, Angelo, tylko Ojciec Święty, za radą swego astrologa – powiedział Iuliano.

Rzeczywiście, już raz mi o tym mówił w katedrze Świętego Wawrzyńca, ale to było tak dawno...

–Wobec tego nie ponosicie żadnej odpowiedzialności za moje czyny – odparłem, a kardynał wlepił we mnie badawczo swe niebieskie oczy.

–Interesuje mnie tylko jedno: co takiego się stało, że uwolniłeś heretyków i zostawiłeś im księgi? Co cię do tego przywiodło? Jeśli w ogóle istnieje na tej ziemi jakiś poważny powód tak żalostnej decyzji... – rzekł Iuliano i zamilkł w oczekiwaniu na odpowiedź.

–Zawsze jest jakiś powód, czcigodny ojcze generale. Wystarczy umieć czytać między wierszami.

–Bracie DeGrasso, darujmy sobie erudycyjne wywody i zagadki. Faktem jest, że sprawa niezwyklej wagi pozostała nierozstrzygnięta. Tak dłużej być nie może, dlatego tu jestem. Wiem, że to nie miejsce ani chwila na spowiedź życia, ale radzę niczego nie ukrywać, bo od tego zależy teraz twoje życie. Od twoich słów i mojej wyrozumiałości. Mogę okazać ci łaskę, jeśli się postarasz.

–Znam swoje prawa, ojcze generale.

Kardynał długo smakował swój komentarz, zanim go wypowiedział, jak gospodarz, który patrzy z dumą na tuczonego indyka, zanim utnie mu głowę.

–Wiesz, co ci powiem, DeGrasso? Jesteś demonem, groteskową i niegodziwą kreaturą, która pracuje dla Antychrysta, broniąc wrogów Kościoła. Jest w tobie pycha opętanego. Wpadłeś w ręce inkwizycji, ale wszak sam najlepiej wiesz, jakie mogą mieć prawa ludzie pozostający na łasce lub nielasce doktorów Kościoła. Więc lepiej się zastanów – powiedział Iuliano, delektując się swymi słowami.

–Tuszę, że nie przyszłicie tu tylko po to, by wyzywać mnie od pomocników Antychrysta – odparłem cicho. – Więc czego tak naprawdę ode mnie chcecie, dostojny księżę kardynale?

–Chcę ci pomóc, Angelo – kontynuował kardynał, zmieniając niespodziewanie temat i ton rozmowy – chcę ci doradzić jak najlepiej. Współpracuj z nami, a może zdołasz naprawić wyrządzoną szkodę. Uprzedzam, że jarzmo inkwizycji, które spadnie na twe barki, okaże się tym cięższe, im większy będzie twój upór. Twoi przyjaciele nie zdołają ci pomóc. Twój mistrz

nie żyje i nie masz nikogo, kto mógłby się za tobą ująć. Zostałeś sam. Możesz liczyć tylko na mnie.

–Zastanowię się, ojcze generale – odpowiedziałem, spuszcżając oczy.

–Mądra odpowiedź, bracie DeGrasso. Może stać się początkiem twej drogi do wolności.

–Czy będzie mnie sędził zakon Świętego Dominika? – spytałem.

–Skądże znowu! Ten proces pozostaje w gestii inkwizycji.

–Inkwizycja ma prawo orzekać tylko w sprawach wiary – zareplikowałem – a nie w przypadku zwykłej niesubordynacji. Czyżbyście zwątpili w moje poszanowanie dogmatów wiary?

Juliano uśmiechnął się i pogładził swój pierścień.

–Zwykła niesubordynacja?! – zawołał. – To wszystko?

–O co jeszcze można mnie oskarżyć?

–Będiesz sądzony za herezję, a nie za brak posłuszeństwa. Ukryłeś heretyckie teksty i spiskowałeś przeciwko Kościołowi z zamiarem obalenia kanonu Pisma Świętego, praw i konstytucji.

–Przecież nie ja napisałem zakazane księgi! Więc o jaką herezję będę oskarżony?

–Ukrywając je przed inkwizycją, przyczyniasz się do ich rozpowszechnienia. Odpowiesz za szerzenie demonicznych i świętokradczych treści zawartych w tych księgach.

–To czysta spekulacja! Kim jesteście, księża kardynale, aby decydować o motywach procesu?

–Tak się nieszczęśliwie dla ciebie składa, że jestem twoim przełożonym i najwyższą władzą. Zapewnię ci sprawiedliwy proces, a potem niech dominikanie osądzą cię dodatkowo o brak dyscypliny i nieposłuszeństwo, jeśli mają ochotę.

–Czego chce ode mnie Święte Oficjum?

–Tylko tego, co jest w twojej mocy uczynić. Oddaj zakazane księgi i donieś na swych przyjaciół, współników i konfrat-rów z Corpus... Na wszystkich!

–Dlaczego ich prześladowacie?

–To stara historia i długo by o tym opowiadać, bracie Angelo. Moją główną troską, oprócz odnalezienia ksiąg, zawsze było zdemaskowanie i rozbicie tej niebezpiecznej łoży, która, jak twierdzi, pragnie powrotu do czystości pierwszych chrześcijan, a to jest w naszych czasach niemożliwe. Chwała Bogu za to, że dziś mam tych masonów w zasięgu szpady i nie zawaham się odciąć im głowę.

–A więc wszystko jest polityką? – odparłem przygnębiony.

–Posłuszeństwem – sprostował. – Posłuszeństwem wobec władz kościelnych, czyli tym, czego nie uznają masoni, bo oni mają własnych przywódców. Kościół przetrwa, ponieważ zawsze umiał sobie radzić z takimi organizacjami. Nie można być jednocześnie posłusznym Wielkiemu Mistrzowi i papieżowi. Nie można pozwolić na istnienie ukrytych wikariuszy.

–To rozumiem – stwierdziłem.

–Cieszę się, że to słyszę, bo to dowodzi, że nie całkiem pomieszało ci się w głowie.

–Co mnie teraz czeka? – spytałem. Florentyńczyk kontynuował:

–W tym samym czasie co ty, przybyła do Rzymu delegacja z Genui. Zarówno arcybiskup Rinaldi jak i gubernator Bertom nie zgodzili się, aby sąd nad inkwizytorem Ligurii odbył się w tym mieście. Po burzliwych negocjacjach doszliśmy do porozumienia: sąd nie odbędzie się w Genui, tak jak oni chcieli, ani w Rzymie, jak my chcemy. Staniesz przed trybunałem inkwizycyjnym we Florencji.

–Kiedy zostanę tam przewieziony?

–Już jutro.

–Kto jest inkwizytorem Florencji? – spytałem przez ciekawość, a kardynał uśmiechnął się w sposób, który nie bardzo mi się spodobał.

–No tak... Zapomniałem powiedzieć, że Florencja ma nowego inkwizytora, to ktoś, kogo dobrze znasz. W czasie twojej nieobecności Ojciec Święty mianował na ten urząd

doktora Damiana Wołchowicza. I to właśnie on poprowadzi proces heretyka, który do niedawna był jego przełożonym. Na pewno zostaniesz potraktowany tak, jak na to zasługujesz.

Nie czułem sympatii do Wołchowicza, ani on do mnie. Wiadomość o tym, że on będzie mnie sądził, była jak zaproszenie głodnego na obfitą kolację złożoną głównie z pokrzyw. Wołchowicz znajdował się pod wpływem kręgu florenckiego, co z góry stawiało mnie na pozycji przegranej.

Chyba że zawarłbym pakt z kardynałem. Iuliano zakończył wizytę słowami:

–Poczynając od dziś, bracie, twoje warunki się pogorszą. Wydałem rozkaz, żebyś dostawał jedzenie tylko raz na dzień, wodę będziesz miał reglamentowaną i żadnych wygód do spania. Rozkaz zostanie odwołany tylko wtedy, gdy okażesz lojalność, gotowość do odzyskania zakazanych ksiąg i pomoc w uwiezieniu twoich współników. W przeciwnym razie sam dobrze wiesz, jak łatwo pozbawić więźnia człowieczeństwa. Aby dać ci dowód mej dobrej woli, zgadzam się na jedną wizytę. Wierzę, że w przyszłości odzyskasz wygody, dobre jedło i, kto wie, może nawet wolność. Tylko zgódź się na współpracę, bracie. Życzę dobrej podróży do Florencji.

Po tych sarkastycznych słowach Iuliano ruszył ku wyjściu. Ale ja miałem jeszcze jedno pytanie:

–Dlaczego nigdy nie powiedzieliście mi prawdy, księżę kardynale?

Iuliano przystanął i obrócił się, żeby odpowiedzieć. Był zaskoczony tym pytaniem.

–A czemu miałbym to zrobić?

–Uniknąłbym intryg i wątpliwości, które podczas długich podróży pienia się w myślach jak kąkol w zbożu. Gdybym poznał prawdę dzięki wam, pozostałbym wiemy do końca...

–Może popełniłem błąd. A może nie powinieneś był tak dużo myśleć. Jedno i drugie prowadzi do sytuacji, w której obaj ponieśliśmy klęskę; ja nie mam ksiąg, a ty jesteś w więzieniu.

–Czytałem Necronomicon, wiem o istnieniu formuł ma-

gicznych zaklęć, wiem, jakie są wasze intencje, czego chcą konfratry, a czego czarownicy.

–To bardzo wąski krąg osób – powiedział Iuliano, podchodząc bliżej – i wszyscy się znamy. Kłamiesz, twierdząc, że wiesz, o co chodzi, treść książki bowiem to bardzo dobrze strzeżona tajemnica. Zastanów się choć przez chwilę, czy nie uległeś wpływom kogoś, kto nie jest tym, za kogo się podaje. Skąd masz pewność, że Wielki Czarnoksiężnik nie ukrywa się w loży, za którą tak obstajesz? Ja jestem Kościołem, ty jesteś Kościołem, a oni są masonami i być może narzędziem diabła. Zastanów się i działaj rozważnie. Ty wiesz, gdzie są księgi. Dobrego dnia, bracie.

Kardynał opuścił celę, zostawiając mnie na pastwę wątpliwości. Zgodnie z logiką mogłem uznać za pewnik, że księgi opuściły Hiszpanię, gdyż w przeciwnym razie inkwizycja nie próbowałaby ze mną negocjować. Co się dzieje z Tamim i Grekiem? A jeśli oni są czarownikami? Czy mógłbym aż tak się pomylić? Przypomniałem sobie pentagram znaleziony przez Evolę w koszuli Xantho-poulosa. Czy warto jeszcze, po śmierci Piera Del Grandę, walczyć o bractwo, do którego nie należałem i które być może wcale nie miało tak szlachetnych zasad i idei, jak mi się wydawało? Takie pytania były naturalne dla kogoś, kogo jedynym towarzystwem są grube mury. Choć tym razem więzień miał dużą przewagę; znał doskonale metody inkwizycji i wiedział, że w takich przypadkach chodzi zazwyczaj o to, by zasiać niepewność w umyśle zatrzymanych. Z rozmowy z kardynałem wyciągnąłem jasne wnioski: moja pozycja jest słaba, ale inkwizycja straciła z oczu księgi i tylko ja mógłbym pomóc w ich odzyskaniu. I nie myliłem się.

54

Po południu zostałem wyrwany z niespokojnego snu, który długo nie chciał przyjść, tym bardziej przykre było przebudzenie, bo potrzebowałem dłuższego odpoczynku dla skołatanej

379

głowy, poza tym sen czynił znośniejszym moje obecne położenie. Strażnik więzienny przyniósł garnek lichej strawy, która musiała mi starczyć na cały dzień, i miskę mętnego płynu zamiast wody.

–Tu masz coś, co ci zapcha kałdun, ale po wodę do studni nie pójde, bo jest za zimno. Dlatego przyniosłem ci trochę rosółu od więźnia z sąsiedniej celi, żebyś miał czym zaspokoić pragnienie. Taki szubrawiec jak ty może się obejść bez jedzenia.

Strażnik z pewnością nie wiedział, że jestem inkwizytorem, który popadł w niełaskę, i że jeszcze kilka dni temu kazałbym mu połknąć własny język razem z tym ohydny rosółem. Ale cóż, tak wyglądał początek ujarzmiania więźnia; trzeba go upodlić, potraktować jak najgorszego szkodnika, żeby stracił swą godność i tożsamość.

–Dziękuję panu – mruknąłem.

Słyszając me słowa, strażnik postanowił poświęcić mi jeszcze trochę czasu.

–Wyglądasz na dobrze odżywionego, masz normalny kolor skóry, to znaczy, że jesteś tu od niedawna.

–Tak, proszę pana, od wczoraj.

–W porządku. Powinieneś zatem znać reguły. Wyobraź sobie, że siedzisz na dwóch sznurkach. Za jeden pociąga inkwizytor. Drugi trzymam ja. Jeśli chcesz wypaść dobrze wobec inkwizytora, masz mówić to, co on chce usłyszeć. Jeśli chcesz żyć w zgodzie ze mną, to każ komuś z rodziny przynieść złotego dukata, a twój los odmieni się na lepsze. Dam ci jedną dobrą radę: nie warto narażać się człowiekowi, którego będziesz widywać codziennie tak jak mnie, bo żaden doktor Kościoła nie pofatyguje się do tego chlewu, żeby przynieść ci podwójną porcję jedzenia. Zrozumiałeś?

–Tak, proszę pana – odpowiedziałem pokornie.

–To dobrze. Kto mi przyniesie pieniądze? – spytał ten łotr.

–Jestem z Genui, proszę pana. W tym mieście nie znam nikogo – skłamałem.

Mógłbym poprosić Tommasa... Albo Raffaellę. Ale za nic w świecie nie chciałem wplątywać ich w moją niedolę.

–Popracuj głową i wymyśl, skąd wziąć trochę złota, bo inaczej wykończą cię biegunki albo umrzesz na dżumę, kiedy zaczniesz żreć szczury!

Gdyby strażnik w moim genueńskim klasztorze był takim grubianinem, tyranem, złodziejem i lajdakiem, kazałbym mu siedzieć na śniegu tak długo, aż jądra skurczyłyby mu się do rozmiaru dwóch oliwek... Próżne marzenie, bo dobrze wiedziałem, że on tu rządzi. Próbowałem coś zjeść, ale za każdym razem gdy wkładałem łyżkę w to paskudztwo, zbierało mi się na wymioty. Zrezygnowałem z dalszych prób, gdy w którymś momencie zobaczyłem na łyżce długi i poskręcany włos. Wołałem już raczej pościć, zresztą nie miałem innego wyboru. I tak zaczęła się męczarnia.

–Masz wizytę – warknął strażnik. Zaczynało się zmierzchać. Usłyszałem, jak odsuwa rygiel, zanim otworzył drzwi. – Dziwne, że ci na to pozwolono. Masz swój szczęśliwy dzień. Korzystaj!

Gość nieśmiało przekroczył próg ciemnej celi. Strażnik zamknął drzwi i zostawił nas samych. Miałem przed sobą Raffaellę D'Alemę. To była ta wizyta, o której mówił Iuliano. I pomyśleć, że tak bardzo chciałem ją chronić, choć umierałem z tęsknoty, żeby zobaczyć moją ukochaną. Teraz stała przede mną: taka młoda i taka dzielna...

Mieliśmy się spotkać kilka miesięcy wcześniej, tak jej obiecywałem, ale nie robiła mi z tego powodu wyrzutów. W jej oczach tkwiło nieme pytanie, a rysy twarzy nie były już tak dziewczęce jak wtedy, gdy oddawała mi się bezwarunkowo. Teraz była bardziej kobieca i bardzo podobna do matki. Linie ciała również świadczyły o dojrzałości. Patrzyła na mnie w milczeniu, nie wiedząc, jak się zachować. Podbiegłem do niej, uściskałem, pocałowałem, jakby to był ostatni pocałunek w moim życiu.

–Raffaella, mój aniele, moja miłości... Co ty tu robisz? Nie chciałem, żebyś oglądała mnie w takim położeniu. Nie chciałem cię narażać na kompromitację... Mój Boże! Raffaella! – szeptałem do ucha i przywierałem do niej całym ciałem.

–Co ci się stało? – spytała Raffaella cieniutkim głosem.

–To zbyt skomplikowane i długo by opowiadać... Nie mówmy o tym. Czekalaś na mnie?

Uśmiechnęła się, powstrzymując usilnie łzy wzruszenia.

–Przez cały czas.

Wciąż trzymałem ją w objęciach, ale już spokojniej. Potrzebowaliśmy rozmowy. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem na więzienne wyrko. Usiedliśmy obok siebie. Spojrzałem jej w oczy i znalazłem to, czego tak bardzo potrzebowałem: doskonale schronienie. Raffaella pieściła moje włosy i głaskała po twarzy. Bóg jeden wie, o czym wtedy myślała, lecz ja widziałem w niej anioła, który przybył, by wyrwać mnie z otchłani piekielnych.

–Chciałem wrócić na wiosnę, ale wszystko się pomieszało... Nie wiem, co zrobiłem z moim życiem. Mam nadzieję, że nie wyrzuciłem ci krzywdy nie do naprawienia – mówiłem szybko. – Jak się dowiedziałas, że tu jestem? Jak uzyskałaś pozwolenie na wizytę?

–Pogłoski szybko rozchodzą się w Rzymie... Sprawdziłam tylko ich wiarygodność i dowiedziałam się, co trzeba zrobić, żeby cię zobaczyć. Zapłaciłam żadaną kwotę... I jestem.

–Raffaello... Kocham cię.

–Ja też, Angelo, nawet nie wiesz jak bardzo – podniosła głowę do góry, żeby spojrzeć na mnie, i z trudem wypowiadała słowa, które tłoczyły się w jej gardle. – Nigdy nie przestałam cię kochać. Od tamtych dni w Genui jesteś panem mojego serca. Wciąż układam plany na nasze wspólne życie i, uwierz mi, moja miłość do ciebie jest tako samo bezmierna. Nic się nie zmieniło.

Spojrzałem na dziewczynę z głębokim wzruszeniem i oddaniem, bo składała dowód bezwarunkowej wierności człowie-

kowi poniżonemu i przegranemu. Nie kierowały nią względy polityczne ani chęć wzbogacenia się, tylko czyste i szlachetne intencje zakochanej kobiety.

–Co pamiętasz z ostatniej zimy? – wyszeptalem.

–Naszą noc, nasz spacer... Smaczne jedzenie i to uczucie, że mnie kochasz i wspierasz we wszystkim. Było widoczne w twoim liście do moich rodziców i w karocy, która przywiozła mnie z powrotem do Rzymu... I przede wszystkim pamiętam to niezwykle doznanie, kiedy uczyniłeś mnie kobietą w swoim łóżku. Masz jeszcze mój medalik?

–Oczywiście. Nie rozstaję się z nim. Pomagał i pomaga mi znosić samotność wieczorów i nocy. Ukryłem go pod ubraniem, żeby strażnik nie zauważył. Czekam na moment, kiedy będziemy razem na wolności, żeby ci go oddać i zawiesić na szyi.

–Nie trzeba. Jest twój.

–Wiem, ale wolałbym, żebyś ty go nosiła. Nie wiem, co mnie czeka. U ciebie będzie bezpieczniejszy.

Wziąłem jej twarz i przysunąłem delikatnie do swoich warg. Objęła mnie za szyję i otworzyła lekko usta do pocałunku. Ten pocałunek był dowodem, jak bardzo warto żyć, jak bardzo jestem oddany tej kobiecie i jak mocno jej pragnę... Kochałem ją i zrozumiałem, że zawsze będę ją kochał.

–Co robiłaś, jak mnie nie było? – szepnąłem jej do ucha.

–Studiowałam poezję. Nauczyciel mówi, że mam dobre pióro.

–A więc zajmowałaś się wierszami i rymami... To cudownie! Literatura cię uwiodła... – chciałem jeszcze coś dodać, ale Raffaella pokręciła przecząco głową.

–Obserwowałam uważnie każdego mnicha w mieście z nadzieją, że ujrzę pod kapturem twoją twarz, i marzyłam, że kiedyś nastąpi ten dzień. Oczywiście, nigdy nie przypuszczałam, że stanie się to w więziennej celi... Nieważne, wolę to niż koszmar niepewności. Bałam się, że nigdy nie wrócisz, a jeśli nawet, to nie zechcesz być ze mną, kobietą jednej nocy.

Wdychałem delikatny zapach jej skóry i uśmiechnąłem się z czułością, zanim odpowiedziałem:

–Sądzisz, że jest taki mężczyzna na ziemi, który mógłby cię zapomnieć? Ktokolwiek odkryłby taki skarb, choć raz poczuł twój oddech i ciepło twego ciała, zapamiętałby cię na zawsze. Któż nie pragnąłby znaleźć się w twych ramionach, Raffaello? Któż nie czułby się wyjątkowo uprzywilejowany, że odwzajemniasz jego miłość i pragniesz planować wspólne życie? Zawsze będę z tobą. Teraz nie umiałbym już odejść, bo cała moja miłość do ludzi należy teraz do ciebie

i nic nie znaczy bez ciebie – powiedziałem z uniesieniem. Wbrew wcześniejszym obawom Raffaelli moja miłość do niej nie tylko nie osłabiła uczuć, jakimi darzyłem Kościół, ale wręcz przeciwnie: wzmocniła je jeszcze bardziej. Nie miałem już wątpliwości, czy da się pogodzić miłość cielesną i duchową, nie zadręczało mnie poczucie winy, że daleko mi do wyjątkowości, której Chrystus ode mnie wymaga. Po chwili ciszy, w której snułem te rozważania, powróciłem do pytań: – Jak cię przyjęli rodzice po powrocie z Genui?

–Teraz już się z tym pogodzili, ale początkowo byli bardzo zagniewani. Czas naprawił nasze stosunki rodzinne – odparła Raffaella.

–Co ci o mnie powiedzieli?

–Dla ojca jesteś wciąż jego najlepszym przyjacielem. O nic nie pytał. Potraktował moją ucieczkę z domu jako dziewczęcy wybryk, któremu przywróciłeś właściwe rozmiary, odsyłając mnie z powrotem do rodziców.

–A matka?

–Wiesz, o co najpierw mnie zapytała, jak zostałyśmy same? – rzekła Raffaella z figlarną iskrą w pięknych, gorących oczach.

–O co?

–Czy mnie dotykałeś.

Nie byłem zaskoczony, bo matki mają specjalny instynkt, ale nie sądziłem, że zada to pytanie wprost.

–Co odpowiedziałaś?

–Prawdę, Angelo, powiedziałam jej, że byłam z tobą w łóżku... – Mała Rzymianka nie potrafiła skłamać przed matką ani, teraz, przede mną.

–Ojciec wie? – spytałem.

–Wie, że cię kocham. Tylko tyle. Kazałam matce przysiąc, że nikomu o tym nie powie – wyznała i przytulona do mojej piersi zapytała: – Co teraz będzie z nami, Angelo?

–Słuchaj uważnie, co ci powiem, Raffaello. Kocham cię. Kocham cię tak mocno, jak nigdy nikogo na świecie i nawet nie podejrzewałem, że jestem zdolny do takiej miłości. Ale są jeszcze sprawy bardzo wielkiej wagi, te same, które wcześniej oddaliły mnie od ciebie, a teraz spowodowały, że znalazłem się w tej celi. Nie wiem, co ze mną będzie. Proszę jednak, żebyś nie traciła nadziei, choć przez jakiś czas nie będziemy się widywać. Jak się to wszystko skończy, o ile dobrze się skończy, będę już tylko twój.

Na twarzy Raffaelli odmalował się smutek i żal, napełniający goryczą jej serce, choć próbowała to ukryć.

–Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała. Przysunąłem się i pogłaskałem ją pieszczotliwie po twarzy.

Była taka piękna!

–Angelo, co chcesz, żebym dla ciebie zrobiła? – ponowiła pytanie, ścisząc głos.

Cela przestała istnieć. Wszystko zniknęło oprócz Raffaelli, pięknej i silnej jak miłość, którą we mnie rozbudziła. Cały mój świat kręcił się w tym momencie wokół jednego: mojej miłości do niej.

–Chcę, żebyś kochała się ze mną tu i teraz – szepnąłem. Raffaella uśmiechnęła się, obejrzała się w stronę drzwi

i wracając wzrokiem do mnie, powiedziała:

–Ależ to szaleństwo, Angelo.

–Pragnę zachować dla siebie twój zapach, tylko tak będę czuł, że żyję w tym chlewie. Nikt nie odbierze mi tego wspomnienia, będę je przywoływał codziennie przez cały czas

więzienia. Chcę cię poczuć, tylko poczuć, w ten sposób zostaniesz ze mną.

Miłość i pożądanie pokonały obawy Raffaelli. Podniosła się z wyrka, na którym siedzieliśmy oboje, i stanęła przede mną. Zadarła spódnicę, rozpięła mój habit i usiadła mi na kolanach; jedną ręką mnie pieściła, a drugą ściągała z siebie górne części ubrania, żeby odsłonić swe dojrzałe piersi. Głaskałem jej nogi, pieściłem od wewnątrz uda, posuwając się coraz dalej i gdy dotknąłem wżgórka łonowego, rozkwitł pod moją dłonią, ciepły i przytulny. Chwyciłem Raffaellę w pasie, uniosłem lekko i opuściłem z powrotem prosto na mojego członka. Odnależliśmy wspólny rytm ruchów i nie przestając patrzeć sobie w oczy, osiągnęliśmy niezwykłą przyjemność. Wyrażały ją nasze twarze i uczucie dławienia w gardle od powstrzymywania jęków rozkoszy. Zapytałem tylko prawie bezgłośnie: „Kochasz mnie?“, na co odpowiedziała, przytulając się jeszcze bardziej i gryząc wargi w ekstazie. Potem opadła z sił, ale nadal ścisnęła mnie mocno za szyję, czując ogień płonący między nogami. Ta sama D'Alena, którą poznałem podczas pierwszych wizyt w Rzymie jako nieśmiałe i rozkapryszone dziecko, siedziała mi teraz na kolanach, ale nie dla zabawy jak dawniej, tylko po to, aby dać mi najwyższą rozkosz. Przełknęła ślinę, westchnęła i nie wypuszczając mnie z objęć, wyszeptała do ucha:

–Dobrze ci było?

–Cudownie, zważywszy na warunki... – odpowiedziałem również szeptem, nie kryjąc zadowolenia.

–Kiedy czuję cię w sobie, nic więcej się nie liczy, wszystkie troski znikają i rzeczywistość zmienia się w fikcję, istniejącą tylko po to, aby przeżywać takie chwile. Niestety, znów jesteśmy w celi i życie na nowo obraca się przeciw mnie – stwierdziła Raffaella, powstrzymując łzy z wielkim trudem.

–Bądź silna i czekaj, moja najdroższa. To już ostatnia taka próba dla naszej miłości – uścisnąłem ją mocno. Wiedziałem, że w tak młodym wieku bierze na siebie ciężar ponad siły, niejako z mojej winy, choć nie tak planowałem.

Zaskrzypiały drzwi wejściowe do strefy więziennej. Wracał strażnik. Raffaella pocałowała mnie, podniosła się szybko, poprawiła na sobie ubranie i pożegnała się ze mną w milczeniu, zanim ten nikczemny człowiek pojawił się z drugiej strony krat.

–Koniec wizyty – warknął, otwierając drzwi. Przyjrzał się Raffaelli, kiedy przechodziła obok. Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła w ciemnościach. Potem odwrócił się do mnie i powiedział: – Ładna sztuka... A mówiłeś, że nikogo nie znasz w Rzymie. Myślę, że chętnie zapłaci, żeby znów cię odwiedzić. Chyba się nie mylę?

Słowa tej kanalii rozpętały we mnie furję, którą dotąd starałem się powstrzymywać. Zerwałem się na nogi z wrzaskiem:

–Nie waż się z nią rozmawiać. Ona nic nie wie o niedolach życia w więzieniu.

Strażnik odsłonił w uśmiechu brudne, spróchniałe zęby. Istna hiena!

–Za kogo się uważasz, żeby mówić do mnie tym tonem?

–Ze mną możesz robić, co chcesz! Traktuj mnie jak niewolnika! Ale wara od dziewczyny! Nie proponuj jej żadnych świństw!

Strażnik podszedł bliżej i walnął mnie pięścią w twarz tak mocno, że się przewróciłem. Dołożył kopniaka w usta, kiedy leżałem już na podłodze. Najprostsza i skuteczna metoda udowodnienia swej racji.

–Milczeć! – rozkazał. – Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić! Ta ladacznica musi być dobra w jebaniu, skoro zrobiłeś się taki odważny. No to na pewno zechce ci oszczędzić niepotrzebnych cierpień. Ale musi zapłacić, a jak nie, to może potrzymać mi go w ustach. Takie usta są warte złotego dukata. Co ty na to? Mam ją wyjechać z przodu czy z tyłu? Niezły ten jej tyłek... Decyduj się szybko, bo muszę ją wypuścić na zewnątrz. Chyba że wolisz, abym bezpośrednio negocjował z twoją przyjaciółką...

–Idź do diabła! – wybełkotałem, czując krew w ustach.

Strażnik zamknął drzwi do mojej celi, ale na odchodnym wychylił się zza kraty.

–Może ona już więcej nie przyjdzie, bo będzie jej przykro patrzeć, jak się wykańczasz... Albo będzie się bała, że znów musi mi dogodzić. Na pewno nie przyjdzie – stwierdził i szybko oddalił się korytarzem w ślad za Raffaella.

Cisza zawładnęła celą, ja wciąż krwawiłem, a krew wsiąkała w podłogę.

Następnego dnia rano, jeszcze przed świtem wyruszyłem do Florencji. Nie miałem już żadnych wiadomości od Raffaelli. Ale zabierałem ze sobą jej zapach, który był moim schronieniem. Błagałem Boga, żeby odsunął ode mnie ten kielich, lecz milczenie było jedyną odpowiedzią. Wiedziałem, że to dopiero początek mojej męki w jarzmie niewoli inkwizycji.

Florencja oznaczała dla mnie jeszcze gorsze więzienie. Przybyłem tam pod koniec września i przez kilka dni byłem odizolowany, pozbawiony kontaktu ze światem zewnętrznym do tego stopnia, że zatraciłem poczucie czasu. Co prawda za dnia docierało do mej celi słabe światło i tylko dzięki temu potrafiłem odróżnić dzień od nocy. Inkwizycja atakuje najslabszą część duszy człowieka, mówię to ja, który przez lata kierowałem procesami i wiedziałem, jak się niszczy ducha. Więzienie pokazuje nam, że można pozbawić człowieka barwy życia, że największy opór słabnie, kiedy wciąż doskwiera głód i zimno, a żadne błagania nie są wysłuchane. Odosobnienie ma cię przekonać, że nic nie znaczysz, twoja godność warta jest tyle co worek ekskrementów i w ogóle nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Umarły za życia, oto czym jesteś. Przez dwa pierwsze dni niewoli czekałem, że przyjdzie ktoś z trybunału, ale tak się nie stało. Damian Wołchowicz, któremu przydzielono moją sprawę, bardzo dobrze nauczył się fachu inkwizytora. Nie na próżno był moim uczniem; stosował te same środki co ja i jeśli ja byłem bezlitosny, to on też taki będzie. Miałem jedynie tę przewagę, że doskonale znałem kolejne posunięcia, co, niestety, zwiększało tylko mój lęk przed cierpieniem, bo z pewnością Damian zechce zastosować metody jeszcze surowsze

niż moje, choćby po to by wykazać, że uczeń prześcignął mistrza. Wiedziałem, że nie uniknę tortur.

Cisza inkwizycji potrwa dopóty, dopóki będą widzieli, że się dobrze trzymam. Cmi tylko czekają na moment słabości więźnia, dlatego za wszelką cenę muszę zachować roztropność.

Pewnego październikowego dnia (nie potrafię określić dokładniej) o świcie zjawił się w mej celi zakapturzony mnich. Strażnik zamknął za nim drzwi i zostawił nas samych. Było potwornie zimno. Nareszcie inkwizycja zdecydowała się przemówić, a wybór pośrednika świadczył, że nie będzie to rutynowa inspekcja. Giulio Battista Evola, bo on był tym zakapturzonym mnichem, odsłonił twarz i patrzył na mnie swym jedynym okiem jak sęp na kawałek padliny.

–Dzień dobry, bracie DeGrasso – przywitał się. W moich oczach błysnęło zdziwienie i strach.

–Ty tutaj, we Florencji? – odezwałem się.

–Przychodzę negocjować.

–Negocjować? Czy to jakaś nowa specjalność notariusza?! – zawołałem rozdrażniony.

–Och, nie! Już nie jestem notariuszem, drogi mistrzu. Szczerze mówiąc, nigdy nim nie byłem. Udawałem notariusza, żeby towarzyszyć inkwizytorowi w podróży.

–Wciąż mnie zaskakujesz, bracie Evola... Zgodzisz się pewnie teraz ze mną, że w roli notariusza źle wypadłeś. Żaden inkwizytor nie byłby z ciebie zadowolony.

–Wprost przeciwnie, ekscelencjo. Myślę, że jako notariusz byłem dobrym inspektorem.

–Czym inspektorem?

–Kościoła, bracie – oświadczył Evola z uśmiechem. Było w tym geście coś przerażającego, bo jego ułomność

sprawiała, że część uśmiechu przekształcała się na zdeformowanej połowie twarzy w dziwnie groteskowy grymas.

–Ciekawe, czy ta praca „inspektora”, jak to nazywasz,

usprawiedliwia cię w oczach Kościoła ze zbrodni popełnionych na statku po każdym otwarciu zapieczętowanego listu. Jesteś mordercą.

–Błąd w ocenie, bo mordercą jest ten, kto zabija z powodów doczesnych.

–Nic nie usprawiedliwia morderstwa, bracie Evola.

–Król Dawid też zabijał, chociaż był wybranym Bożym.

–I ty, i król Dawid zapłacicie za to – stwierdziłem stanowczo.

–A co powiedzieć o Waszej Ekscelencji? Zabiłeś ponad sto osób – kontratakował Evola.

–Ja nie mordowałem! – krzyknąłem z uniesieniem. – Wydawałem wyroki w obronie integralności wiary. Radzę nie przekręcać faktów.

–Dobrze. Widzę, że wreszcie się rozumiemy. Robiłeś to, jak mniemam, dla Chrystusa. Ja też tak oceniam swoje postępowanie. Jak by to nazwać? Podoba ci się określenie „uświęcająca krwawa kąpiel”?

Postanowiłem nie odpowiadać, bo nasza rozmowa zaczynała przypominać dwa równoległe monologi szaleńców. Ale nadal pytałem:

–Tak bardzo boicie się Corpus Carus? Przeraża was, że oni przejmą księgi? Dlaczego? Przecież nie są wrogami naszej wiary.

–Corpus Carus jest bractwem starszym, niż ci się zdaje – wyjaśnił ten okaleczony człowiek. – Od czasów średniowiecznych cieszyło się przychylnością części prałatów i dlatego mogło działać z ukrycia. Masoneria wewnątrz Kościoła nie jest dobrym rozwiązaniem, zwłaszcza gdy próbuje go kontrolować, umieszczając swych ludzi na kluczowych stanowiskach w hierarchii kościelnej.

–Nadal nie wiem, co was tak w tym przeraża... – odparłem.

–Boimy się, że pochłoną ich ciemności – odparł enigmatycznie Evola.

–Ciemności? Znasz kogoś z Corpus Carus, kogo można by uznać za zwolennika ciemności?

–Na przykład ojca Piera Del Grandę – rzekł Evola – duchowego mistrza Waszej Ekscelencji.

–Gdybyś miał zaszczyt poznać go osobiście, wiedziałbyś, że to bezpodstawne oskarżenie.

–Był z Corpus Carus.

–Był dobrym człowiekiem.

–Nie cieszą mnie cudze nieszczęścia, ale w tym przypadku jestem wdzięczny niebiosom za jego śmierć.

Poczułem, jak wzbiera we mnie niepohamowany gniew. Opanowałem się z trudem i pogardliwie wzruszyłem ramionami, mówiąc:

–To, że jego już nie ma, niczego nie zmienia. Nauki mistrza żyją w jego uczniach.

–Owszem, jego śmierć dużo zmienia! Był świetnym propagatorem swej doktryny i trudno będzie go zastąpić...

–Może nie umarł, może Corpus sfingowało tę śmierć, żeby go chronić, i teraz, ukryty gdzieś w bezpiecznym miejscu, czeka na moment, kiedy będzie mógł powrócić, żeby... – przerwałem, bo Evola patrzył na mnie z niedowierzaniem i czymś w rodzaju współczucia.

–Zapewniam Waszą Ekszelencję, że nie żyje... Ja go zabiłem – powiedział z zimną krwią. Oszło mi to wyznanie, tymczasem Evola napawał się moim cierpieniem. – Był zbyt ślepy, biedaczysko, żeby się bronić. Próbował ze mną rozmawiać, kiedy podcinałem mu gardło. „Kościół zażąda uregulowania rachunków”, mruknął. Upadł na kolana w swej alkowie i skręcał się z bólu na podłodze, a życie uchodziło z niego wraz z krwią, tryskającą z szyi. Przyznaję, że ciężko było mi patrzeć, jak cierpi...

Nie dałem mu dokończyć zdania; oślepiiony gniewem rzuciłem się na niego, ale Neapolitańczyk zawnazasu przewidział taką reakcję, był bowiem uzbrojony.

–Stój! Co robisz?! – krzyknął, wyciągając sztylet z rękawa

habitu i przystawiając mi go do twarzy, żeby uspokoić mą wściekłość. – Aż tak boli prawda? – ciągnął. – Siadaj, bracie DeGrasso! Popłynęło już dość dużo krwi i nie mam ochoty brudzić noża twoją.

–Przyszedłeś, żeby mi opowiedzieć, jak zabiłeś mojego mistrza? – spytałem, wracając powoli na swoje miejsce. – Żeby się zemścić? Czego chcesz? Zemsty?

–Już powiedziałem: przyszedłem negocjować.

–Szkoda, że za słabo uderzyłem cię wtedy na statku. Powinienem był cię zabić. Świat by tylko na tym zyskał.

–Rzeczywiście, mogłeś to zrobić. Tylko w ten sposób uwolniłbyś się ode mnie i miałbyś teraz spokój. Porozmawiajmy, bracie DeGrasso – powiedział Evola, chowając sztylet. Ukryłem twarz w dłoniach. To było nie do zniesienia. Musiałem rozmawiać z mordercą mojego umiłowanego mistrza; ten odrażający, zdeformowany i okrutny osobnik był moim interlokutorem.

–Dobrze, Evola. Słucham.

–Zadałem sobie trochę trudu – zaczął Evola – żeby poszperać w twoim życiu prywatnym i znalazłem coś, co dla innych jest może bez znaczenia... A mnie się wydaje, że jest to coś, co postawi Waszą Ekszelencję między młotem a kowadłem...

–Starczy tej gadaniny, proszę konkretnie! – przerwałem zniecierpliwiony. Miałem już dość tego dziwoląga.

–Znasz Raffaellę D'Alema? – kontynuował Evola. Podszedł bliżej i musiałem opuścić głowę, tak bardzo cuchnęło mu z ust. Nie odpowiedziałem, więc mówił dalej: – Wiem, że odwiedziła cię w rzymskim więzieniu. Mógłbym pominąć ten fakt, ale to nie w moim stylu. Zwłaszcza gdy sprawdziłem, że sporo zapłaciła, żeby cię zobaczyć i zapewnić ci lepsze traktowanie.

–Skąd masz tę wiadomość? – zapytałem, pełen niepokoju o dziewczynę.

–Sądziś, że Iuliano nic nie wie o łapówkach za możliwość

odwiedzenia więźnia? To kardynał decyduje, kogo strażnik może wpuścić, a kogo nie. Zresztą rozmawiałem również ze strażnikiem, trochę się opierał, ale musiał odpowiedzieć na moje pytania.

–Zrobił jej krzywdę?

–Nie. Ale musiała mu dać trzy złote monety. Proponował, że odbierze zapłatę w naturze, ale się nie zgodziła. To chciałeś usłyszeć? – Evola uśmiechnął się z satysfakcją.

–Moralność rzymskich strażników więziennych, a także twoja, bracie, opiera się, jak widzę, na tak samo solidnych podstawach. Wiedziałeś, jak potraktował dziewczynę, i nie zareagowałeś... – powiedziałem, kompletnie przybity.

–Za szybko mnie oceniasz. Kazałem go wychłostać i na dwa tygodnie zakuć w dyby za taką bezczelność. Nigdy więcej już tego nie zrobi, mogę cię zapewnić... Ale pomówmy raczej

o tym, co mnie interesuje. Co łączy Waszą Ekscelencję z tą dziewczyną? Jest coś „podejznanego” w tej znajomości?

–Podejznanego? To córka starego przyjaciela, znamy się od lat. – zawołałem.

–Wiem. Zadałem sobie i ten trud, żeby osobiście porozmawiać z Tommasem D'Alemą.

–Powiedziałeś mi, że jestem w więzieniu?

–Nie. Odpowiadał tylko na moje pytania, nie wdając się w szczegóły. Ludzie na ogół nie zadają pytań wysłannikowi inkwizycji.

–I co powiedział?

–Dużo rzeczy nieistotnych i jedną, która potwierdziła moje przypuszczenia. Powiedział, że przez kilka dni córki nie było w domu, bo pojechała odwiedzić Angela DeGrasso w klasztorze.

1 że to się stało wkrótce po twoim pobycie w ich domu. Wiem, że mówił prawdę, bo na potwierdzenie tych słów i na moją prośbę pokazał list, który własnoręcznie napisałeś, przedstawiając postępowanie dziewczyny jako zwykły wybryk młodości. Powiadałeś, że karoca kościelna natychmiast odwiezie

ją do domu rodzinnego, i prosileś, żeby nie wymierzali jej żadnej kary...

–I co w tym podejrzanego? – podjąłem wyzwanie.

–W tym nie ma nic podejrzanego, ale w Genui ludzie mówią, że spędziła jedną noc w sypialni inkwizytora.

–To plotki! Odkąd to, bracie Evola, dajesz wiarę słowom pospólstwa?

–Są też inne plotki, mistrzu. Widziano cię z młodą dziewczyną w porcie owego mglistego poranka przed wypłynięciem. Czy to była Raffaella D'Alema? Ktoś cię wtedy odprowadzał.

Niebu niech będą dzięki. Evola nie posiada pełnej informacji. Gdybym nie potwierdził, musiałbym powiedzieć o wizycie Anastasii, a tego nie zamierzałem uczynić.

–Możliwe... – odpowiedziałem krótko.

–Jak to „możliwe”? – wykrzyknął Evola, tracąc cierpliwość. Znów podszedł bliżej; miałem go tuż przed nosem. – To była ona, czy nie? Odpowiedz!

–Tak, to była ona.

–Przeto wszystko się zgadza. Moje podejrzenia są słuszne. Potwierdzasz, że utrzymujesz grzeszną znajomość z tą dziewczyną?

–Tego nie potwierdzam. Nie masz prawa mnie przesłuchiwać.

–Nie pomyślałbym o tobie nic złego, gdybyś wyznał, że kochasz Raffaellę D'Alema. Nie byłbym oburzony, bo znam cię jako człowieka o szlachetnych pasjach, choć czasem błędzącego. Zresztą nie musisz nic mówić, ale pozwól, że dokończę negocjacje.

–Mów dalej – odparłem bardzo zmęczony. Neapolitańczyk podniósł rękę do góry i pokazał palcem

na mnie.

–Mam dostatecznie dużo dowodów, żeby oskarżyć tę dziewczynę o czary. Nikt się nie sprzeciwi, gdy wyślemy na stos młodą rozpustnicę, która zwabiła i zdeprawowała zakonnika, czyniąc grzeszny użytek ze swego łona...

–Co za kanalia z ciebie! Taka sama podła kanalia jak ten rzymski strażnik więzienny! –

wrzasnąłem, nieprzytomny z wściekłości.

–Uspokój się i daj skończyć. Nie powiedziałem tego po to, żeby mieć satysfakcję z twojego cierpienia. Moja strategia jest jasna. Chcesz wysłuchać konkretnej propozycji?

–Słucham –jęknąłem, a Evola oparł się wygodnie o ścianę, zanim podjął wątek.

Znalazłem się w potrzasku. Nie miałem wyjścia. Ogar wyczuł trop i już nie wypuści zwierzyny.

–Znasz miejsce ukrycia zakazanych ksiąg. Stąd moja propozycja: księgi w zamian za uwolnienie Raffaelli D'Alema.

–Jak to „uwolnienie”? – wstrzymałem oddech.

–Informuję, że już ją zatrzymałem. Teraz czeka tylko na decyzję sądu. Inaczej nie potraktowałbyś moich słów poważnie.

–Co za szaleństwo – powiedziałem z niedowierzaniem, choć chciało mi się płakać. – Raffaella w więzieniu!

–Nie zamartwiaj się, bracie, bo na razie dziewczyna jest w sytuacji uprzywilejowanej. Nikt nie zamierza jej spalić, masz na to moje słowo, tylko od ciebie zależy, czy uznamy ją za czarownicę. Nie musisz teraz udzielać odpowiedzi. Poczekam jeden dzień. Dasz mi to, czego chcę, a zwrócę ci dziewczynę całą i zdrową.

Giulio Battista Evola skierował się do wyjścia i głośno zawołał, żeby strażnik otworzył drzwi. Był to właściwy moment, żeby poprosić go o przysługę.

–Mam specjalną prośbę.

Evola przystanął i odwrócił się w moją stronę.

–Prośbę osobistą?

–Tak.

–Słucham – rzekł Neapolitańczyk.

Patrzyłem na niego przez chwilę, zanim się odezwałem, i próbowałem zapanować nad wściekłością, że muszę poprosić go o pomoc.

–Chciałbym, żebyś przekazał Raffaelli coś ode mnie. –

Poszukałem na szyi łańcuszka z Przenajświętszą Dziewicą, który mi kiedyś podarowała. Zdjąłem go i dałem mu do ręki. Popatrzył na medalik ledwo widoczny w słabym świetle i pokręcił przecząco głową. – Błagam cię, na miłość Boską, żebyś zawiózł ten łańcuszek do Rzymu. Będzie dla niej światełkiem w utrapieniu – nalegałem, próbując go przekonać. Evola rzucił medalik na podłogę.

–Nie trać cennego czasu – poradził. – Jedno twoje słowo może być światełkiem dla małej D'Alemy; ty możesz ją uratować, a nie medalik. Zaufaj mi, choć wiem, ile cię to kosztuje. W gruncie rzeczy mamy ze sobą coś wspólnego; obaj jesteśmy wierni naszym przekonaniom, walczymy o ducha wiary i walka o władzę budzi w nas wstręt.

–Ty trzymasz z kardynałami florenckimi – powiedziałem oskarżycielskim tonem, podnosząc medalik.

–Nieprawda. Jestem po stronie Kościoła. W dniu, w którym Florentyńczycy zejną z drogi wiary, rozpocznę z nimi walkę. Obaj myślimy o Kościele z równą pasją, choć w różny sposób. Uważasz mnie za sadystę, krzywdziciela i mordercę... Nie jestem wysłannikiem piekieł. Jestem tak samo wrażliwy jak ty.

–Dość zręcznie ukrywasz tę wrażliwość – odparłem z ironią.

–Naprawdę myślisz, że brak mi uczuć? Wiesz, co by się z tobą stało, gdybym nie zaproponował, że osobiście zajmę się twoją sprawą?

–Nie wiem.

–Damian Wołchowicz był gotów zastosować tortury, żeby wyciągnąć z ciebie informacje o księgach. Poprosiłem kardynała Iuliana, żeby pozwolił mi działać po mojemu i, oczywiście, uzyskałem zgodę.

–Wydaje mi się dziwne, że postawił na ciebie, a nie na inkwizytora. – Kim jest ten kaleka, że cieszy się specjalnymi względami Iuliana?

–Wołchowicz to zarozumialec i nietaktowny głupiec. Kardynał dobrze o tym wie. Mając do czynienia z tak delikatną

sprawą, wolał wybrać mnie, bo potrafię uzyskać to, co trzeba, bez użycia siły.

–Dlaczego chcesz oszczędzić mi tortur?

–Bo w pewnym sensie czuję dla ciebie podziw – stwierdził Evola, zaskakując mnie po raz

kolejny. – Sądzę, że ty też byś to dla mnie zrobił. Bardzo mi przykro, że musiałem zabić twojego mistrza, ale to było jedyne wyjście. Powtarzam: choć ty i ja wybraliśmy różne drogi, łączy nas miłość do Kościoła. Zresztą, zważywszy na nasze charaktery, możemy być wobec siebie tylko jak bracia albo najgorsi wrogowie; innych możliwości nie ma, bo obaj nie uznajemy półśrodków. Zapewniam cię, że zawsze dotrzymuję słowa, czy chodzi o zabicie kogoś, czy o to, żeby komuś pomóc – powiedział Evola, patrząc na mnie badawczo. – Pomyśl o mojej ofercie, Angelo.

Z tymi słowami Neapolitańczyk naciągnął na głowę kaptur i zniknął w korytarzu, którym przyszedł. Cisza znów zawładnęła moją celą. Otworzyłem dłoń i medalik Raffaelli opadł na podłogę jak zwiędły płatek.

Po północy zazgrzytał zamek w drzwiach. Dwa cienie wyłoniły się znikąd, podniosły mnie bez trudu i pociągnęły wąskimi przejściami, wlekły po długich schodach, zakończonych drzwiami, przez które wleciałem do obszernego pomieszczenia. Nie byli to ludzie Świętego Oficjum, jeśli sądzić podług stroju i zachowaniu. Mimo wszystko mieli zbyt arystokratyczne maniery w porównaniu z tą szczególną rasą brutalni, zatrudnionych w naszych więzieniach. Jeden z nich dobył szpady z pochwy i przystawił mi ostrze do gardła. Do tej pory o nic nie pytałem, ale teraz poczułem lęk o życie.

–Zabijecie mnie? – mruknąłem.

Mężczyzna nie od razu odpowiedział. Widać lubił napawać się cudzym lękiem.

398

–Nie otrzymałem takiego rozkazu, chyba że próbowalibyście uciec, panie. Tu jest łazienka, daję wam pół godziny na toaletę, jasne?

–Co to znaczy? Dlaczego mam wziąć kąpiel? – odparłem zaskoczony.

–Nie więcej niż pół godziny – powtórzył i bez dalszych wyjaśnień zniknął za drzwiami.

Rozejrzałem się dokoła, przyjrzałem się sufitowi, umeblowaniu i, rzeczywiście, była to łazienka. Napięcie zelzało. Ale po co, do diaska, ja jestem w tej łazience?! Wzruszyłem ramionami i westchnąłem. W każdym razie kąpiel mi nie zaszkodzi, a wręcz przeciwnie, przyniesie ulgę obolałemu ciału.

Rozebrałem się i wszedłem do wanny z gorącą wodą; natychmiast ogarnęło mnie uczucie bliskie ekstazy. Nie wiedziałem, czy to Pan Bóg wysłuchał mych modlitw, czy też były to tylko majaki z głodu... Może tak, a może nie? Choć ci dwaj, co mnie tu przywiedli, nie wyglądali na życzliwych aniołów... Zanurzyłem się cały w wodzie, wystawiając na zewnątrz tylko nos i górną część twarzy. Panujący w pomieszczeniu półmrok, cisza i wewnętrzny spokój, jaki ogarnął mnie po przybyciu do tej oazy szczęścia, kazały mi się zastanawiać, czy przypadkiem nie umarłem, czy na zakończenie naszego spotkania Evola nie zamordował mnie jak innych... Coś mnie ukłuło i zobaczyłem ponownie znanego mi już anioła ze szpadą.

–Mówiłem o kąpeli, a nie o spaniu – zawołał oburzony.

–Umarłem?

–Jeszcze nie. Chodźmy, już późno.

Wytarłem się do sucha i włożyłem czyste ubranie, które przynieśli moi strażnicy. Mijaliśmy korytarze nieznanego budynku. O nic nie pytałem. Szedłem za nimi.

O ile chwila spędzona w łazience była przedpokojem raju, o tyle miejsce, gdzie się teraz znalazłem, było samym rajem. Moi nowi strażnicy zostawili mnie samego i zamknęli drzwi.

Liczne świece koloru szkarłatnego dawały przyjemne światło w tym pachnącym kadzidłem pokoju. Na pięknym marmurowym stoliku stała srebrna misa z różnymi owocami świeżo przyniesionymi z ogrodu, a obok – w kryształowym flakonie pyszniły się irysy i białe róże. Z lewej strony znajdowało się okno otwarte na ciemną noc, a pod oknem – intarsjowany sekretarzyk ze zgrabną złotą nadstawką, wysadzaną szlachetnymi kamieniami. Umeblowania dopełniało królewskie łóże w głębi pokoju. Siedziała na nim młoda dama i przyglądała mi się uważnie.

Anastasia Iuliano podniosła się i powoli zbliżała się ku mnie, a przykryte jedwabiem piersi kołysały się przy każdym stąpięciu. Tej nocy oczy Anastasii były szarego koloru i rzucały ukradkowe spojrzenia, co dodawało uroku tej niemal doskonałej twarzy. Córka kardynała była cudowną i skuteczną pułapką na mężczyznę. To ona zapewniała mu sukcesy dzięki swej nadzwyczajnej urodzie i bez walki łamała serca jego adwersarzom wdzięcznym poruszeniem ciała. Anastasia zatrzymała się i powiedziała:

–Miło was widzieć, mistrzu DeGrasso.

–Wzajemnie, ale jeśli się nie mylę, postanowiliśmy odejść od form protokolarnych, Anastasio. Mów mi Angelo – rzekłem kurtuazyjnie, choć to tajemnicze spotkanie budziło we mnie niepokój. Ona zauważyła to i spytała:

–Co się dzieje? Czym się tak martwisz?

–Nic nie rozumiem, Anastasio. Jeszcze godzinę temu znajdowałem się w brudnej, zimnej celi więziennej, a teraz jestem tutaj, wykąpany, i rozmawiam z tobą. To ty mi powiedz, co się dzieje? Kim są ci ludzie, którzy po mnie przyszli?

Anastasia uśmiechnęła się lekko i odpowiedziała na pytanie:

–To moja straż osobista. Reszta jest bez znaczenia. Cieszę się, że odmieniłam twoje życie na lepsze w niecałą godzinę. To nie ma nic wspólnego z moim ojcem ani z inkwizycją. Jesteś tutaj na moje polecenie.

–Co to za budynek?

400

–Nuncjatura.

Obserwowałem szmaragd, który wisiał na jej szyi. Lśnił między piersiami, rzucając błyski w różnych odcieniach jak zaproszenie, żeby zajrzeć pod suknię tej pięknej kobiety.

–Przeczytałem twój list – rzekłem, przenosząc wzrok ze szmaragdu na jej twarz. – Dlaczego

uprzedziłaś mnie o sprzy-siężeniu?

–Mam swoje powody – odparła krótko Anastasia.

–Dziwi mnie, że tak się o mnie troszczysz. Wręcz przesadnie. Czy to kolejna pułapka, jaką na mnie zastawiłaś? Ciekawe, że chcesz mi pomóc nawet w tak ciężkiej sytuacji...

Anastasia nic nie powiedziała. Podeszła do stolika z owocami i podała mi gruszkę.

–Weź, na pewno jesteś głodny.

Oczywiście, miała rację. Prawie nic nie jadłem od czasu uwięzienia w Rzymie, bo nadal był w mocy rozkaz Iuliana. Przytrzymałem gruszkę w obu dłoniach i zamknąłem oczy. Z nagle zareagowałem jak w napadzie szaleństwa.

–Dość tego! – odrzuciłem gruszkę i złapałem Anastasię za nadgarstki. – Czego ode mnie chcesz?

–Zwariowałaś? – wykrzyknęła. – Zostaw mnie, to boli!

–Zjawiasz się w moim życiu, kiedy masz taki kaprys, narażasz się dla mnie, dla nieznajomego. Co się za tym kryje? Dlaczego zachowujesz się jak moja protektorka? Po co sprowadziłaś mnie do swej alkowy? Chcesz pokazać, że jesteś dobrą katoliczką, wzorem cnót wszelkich? Nigdy w to nie uwierzę! Powiedz mi prawdę! Tylko prawdę! – mówiłem, wciąż trzymając ją mocno za rękę.

–Spójrz mi w oczy, Angelo! – powiedziała Anastasia, a łzy spływały jej po policzkach. – W nich znajdziesz odpowiedź na swoje pytania. Czy ci mówią, że kłamię? Myśl sobie o mnie, co chcesz, ale zaufaj mi, bo nie masz nikogo innego. Komu miałbyś zaufać? Evoli? Wołchowiczowi?

Spojrzałem jej w oczy i nie zobaczyłem w nich kłamstwa,

tylko miłość, rozpacz i poświęcenie. Rozluźniłem uścisk, a ona zabrała rękę.

–Wierzę ci, Anastasio, ale co ja tu robię? Kim ty jesteś?

–Chcę ci powiedzieć, że jednak jest wyjście z tej sytuacji. Możesz zostać ze mną we Florencji. Wybór należy do ciebie. – Córka Iuliana mówiła niespiesznie, a ja słuchałem uważnie.

–Wiem, co ci zaproponowała inkwizycja, i zapewniam cię, że cokolwiek byś zrobił, pójdziesz na stos. Wykorzystają cię dla swoich celów, a jak dostaną to, czego szukają, spalą cię żywcem.

–A co z Raffaella?

–Też pójdzie na stos – odpowiedziała bez wahania.

–Skąd ta pewność?

–Usłyszałam to z ust mego ojca – oznajmiła.

–Zatem nie mam wyjścia – jęknąłem przygnębiony – nie mamy wyjścia.

–Zdaje się, że Evola trafił w sedno – stwierdziła Anastasia. Nie odpowiedziałem, więc kontynuowała: – Zapadła ci głęboko w serce. Biedny Angelo i biedna Raffaella!

Dziwnie było usłyszeć imię mej ukochanej w ustach Anastasii.

–Znasz ją?

Anastasia zaprzeczyła lekkim ruchem głowy.

–Nie znam, ale domyślam się, że to ta dziewczyna, z którą widziałam cię w porcie w Genui pod osłoną mgły, kiedy przyszedłam pożegnać się z tobą. Wydawało mi się, że się całowaliście... – Milczałem, a ona mówiła dalej: – Co cię z nią łączy, Angelo? Chyba miłość, skoro godzisz się umrzeć, byleby ona przeżyła.

–Każdy by tak postąpił...

–Nie każdy. Jesteś zakochany i reagujesz, jak człowiek zakochany. Narażasz dla niej życie – odparła gwałtownie Anastasia.

–Nawet jeśli to prawda... Co ci do tego? Anastasia opuściła głowę.

–Nic... To pięknie, kiedy mężczyzna idzie za głosem serca. Nie osadzam twojego uczucia.

Chcę ci tylko powiedzieć, że możesz jeszcze wywinąć się śmierci...

Słowa Anastasii zabrzmiały w mych uszach jak niebiańska muzyka, choć nadal myślałem, że nie ma żadnego wyjścia, gdy ona powiedziała:

–Ożeń się ze mną.

Oniemiałem z wrażenia. Anastasia oszalała z miłości czy z rozpacz, sam nie wiem. Jej propozycja nie miała żadnego sensu. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu; ona pierwsza się odezwała:

–Nie patrz tak na mnie, Angelo. Tylko to powstrzyma mojego ojca. Nie zabije mojego męża. Nigdy tego nie zrobi. Istnieją też inne powody, aby cię uszanował... ale on nie chce ich uznać. Małżeństwo ze mną to twoja jedyna szansa, uwierz mi...

–Nie mogę Anastasio, nie mogę – powtarzałem, chodząc po pokoju, żeby zebrać myśli. – Co się stanie z Raffaella? Potrafisz ją uratować?

–Niestety, Raffaella nie uniknie swego losu, Angelo, i nawet nie wiesz, jak mi przykro.

–To szaleństwo... Czyste szaleństwo – mruknąłem z niedowierzaniem.

–Wszystko jest przygotowane – kontynuowała Anastasia, widząc, że zaczynam się wahać. – Ślub może odbyć się za dwa dni. Najpierw musisz zrzucić habit. A po ślubie nikt nie odważy się wtrącić cię ponownie do więzienia. Zamieszkamy w pałacu, należącym do rodu Iulianów. Volterra to prawdziwa twierdza. Jest tam służba, ziemie uprawne, plantacje winorośli i wspaniała biblioteka, gdzie będziesz mógł pracować...

–O czym ty mówisz? O miłości? – zapytałem, stając naprzeciwko niej.

–O nie! – odparła stanowczo. – Zostaniesz moim mężem tylko po to, by uratować skórę. Nie wolno ci mnie dotknąć ani tym bardziej żądać, żebym zagrzała ci łóżko...

–Tak myślałem, po co ci zakonnik do tych rzeczy – odparłem z całym sarkazmem, na jaki było mnie stać. W poczuciu osaczenia zaatakowałem jedyną osobę, która mogła i chciała mi pomóc, choć wybrała taki niedorzeczny sposób. Anastasia przyjęła zniewagę spokojnie, ale wielka żalność pojawiła się w jej oczach.

–Jesteś jedynym mężczyzną, któremu pozwoliłam krzyczeć na siebie i sprawić mi ból. Ale nie obrażaj mnie, Angelo...

–Wystarczy! Nie mówmy o tym więcej. Nie oszukam inkwizycji za pomocą małżeństwa... Na miłość Boską, przecież ja jestem zakonnikiem! – krzyknąłem rozpaczliwie, patrząc, jak oczy Anastasii napęlniają się łzami.

–Ale zrezygnowałbyś z kapłaństwa dla Raffaelli... Jestem pewna – szepnęła.

–Co powiedziałaś?

–Zastanów się, Angelo: ja chcę cię uratować, lecz ty nie możesz się ze mną ożenić, bo musiałbyś zrezygnować z kapłaństwa, ale zrobiłbyś to, żeby być z Raffaella, choć ona ci nie pomoże...

–Dla niej bym to zrobił... Dla ciebie nie! – odparłem w przyływie wściekłości. – Jak dam Evoli, co chce, uwolni Raffaellę, bo wiem, że dotrzyma słowa, i odejdę w spokoju. Zaproponuj małżeństwo innemu, nie będę panem twojej fortecy Volterra. Wybieram moją celę i wolność Raffaelli.

–Jesteś uparty i źle wychowany – mruknęła Anastasia ze zniechęceniem.

–A ty krnąbrna i kapryśna, złości cię, że przegrywasz z młodszą dziewczyną...

Nie dokończyłem, bo Anastasia wymierzyła mi siarczysty policzek, aż się zaczerwieniłem.

–Uważaj, co mówisz, Angelo – powiedziała tonem groźby.

Złapałem ją za włosy i szarpnąłem, ale nie za mocno, żeby nie zrobić jej krzywdy. Przyciągnąłem do siebie jej twarz tak blisko, że prawie muskałem ją wargami, kiedy mówiłem.

–Nie igraj ze mną – ściszyłem głos. – Jesteś pierwszą i ostatnią kobietą, która mnie spoliczkowała. Umówmy się, że to była brzydka pieszczota, bo w przeciwnym razie musiałbym sprawić ci ból zamiast oczekiwanej przyjemności. Znam najsurowsze metody wychowywania księżniczek...

Anastasia patrzyła na mnie z niechęcią swoimi kocimi oczami. Miała ochotę zaatakować, ale powstrzymywało ją jakieś dziwne uczucie lojalności. Była taka piękna...

–Wynoś się! – zawołała. – Wracaj do swojej celi. Wiele zaryzykowałam, żeby cię tu ściągnąć, ale ty tego nie rozumiesz. Tak jak nie rozumiesz, że propozycję małżeństwa złożyłam ci tylko dlatego, żebyś mógł żyć. Ty głupcze i niewdzięczniku... Niczego nie rozumiesz...! Wynoś się! Nie chcę już o tobie słyszeć! – krzyczała, zalewając się łzami.

Puściłem ją, a ona pobiegła do łóżka i rzuciła się na nie, szlochając.

Wkrótce potem byłem znów w wilgotnej i brudnej jak chlew celi, bardzo z siebie dumny, choć jednocześnie przeklinałem dzień, w którym Bóg pozwolił mi na takie zaślepienie. Nie wiedziałem jeszcze, ile znaczyło to, co odrzuciłem... Wkrótce miałem się dowiedzieć. Tymczasem, w swej pysze i głupocie uważałem, że postąpiłem bardzo szlachetnie, i nie myślałem o śmierci...

Tej samej nocy drzwi zaskrzypiały po raz drugi i znów zobaczyłem członków straży przybocznej Anastasii. Zaciągnęli mnie do ciemnego, cuchnącego pomieszczenia i rzucili na ziemię, pokrytą słomą i gnojem. Byłem w stajni. Czekałem na cios sztyletem w brzuch, ale zamiast cięcia dostałem wierzchowca, sakiewkę z pieniędzmi i możliwość opuszczenia Florencji jeszcze przed świtem. Zdziwiłem się, że Anastasia, mimo wszystko, postanowiła wyciągnąć mnie z więzienia.

–Czy wiecie, co wam grozi, jak inkwizycja dowie się, że pomogliście mi w ucieczce?

Człowiek, który siodłał dla mnie konia, odpowiedział: – Panienska Iuliano będzie mieć dużo kłopotów... Mogą nawet ją aresztować i postawić przed sądem, kto wie... My tylko wykonujemy jej rozkazy. Nie traćcie czasu, panie, i wyjedźcie stąd jak najszybciej. Każdy otrzyma to, na co zasługuje...

Dosiadłem konia, strażnik klepnął go w zad i zwierzę ruszyło galopem w stronę ulicy, ku wolności. Raffaella była zakładniczką i musiałem dostarczyć to, czego chcieli, żeby ją uwolnić. Nie mogłem dłużej czekać. Martwiłem się tylko, czy księgi dotarły do San Fruttuoso. Jechałem do Genui, do siedziby mojego dawnego mistrza, do panteonu przy bezimiennym grobie. Po drodze myślałem tylko o księgach zamieszanych w tyle nieszczęść, konspiracji i śmierci.

XXII

PANTEON

57

Szesnastego dnia października dotarłem na mały cmentarz opactwa o zmroku, przez nikogo niezauważony. W lekkiej mżawce przemierzałem ścieżki wiecznego spoczynku, kierując się do bezimiennego grobu. Wspomnienie ostatniej wizyty w tym miejscu było we mnie wciąż żywe. Uczucie słodkie, bo byłem tu z moim ukochanym mistrzem, ale zarazem gorzkie ze względu na to, czego się wtedy dowiedziałem. Oto tak dobrze znane mi miejsce, centrum wszystkich moich trosk, płyta skrywająca doczesne szczątki mojej zawsze nieobecnej matki, do której teraz wołałem na klęczkach o pociechę, oparłszy czoło o zimny kamień. Deszcz spływał mi po twarzy i mieszał się ze łzami. Byłem jak syn marnotrawny, który powraca po długim czasie, zrujnowany i obolały, syn wzbroniony, który wydał na nią wyrok śmierci, któremu nie zdążyła nadać imienia, gdy został wyrwany z kołyski i skazany na wieczną samotność sieroty. Otarłem z twarzy deszcz i łzy i patrzyłem na te swoje białe, delikatne dłonie, owoc bezmyślnego gwałtu. Na pociechę pozostawało mi tylko to, co wiedziałem od Piera Del Grandę – że matka mnie kochała. Prosta miłość skromnej kobiety do syna bękarta była wypisana na kamieniu, choć żadne inne oczy, oprócz moich, tego nie widziały. Czulem, że matka opiekuje się mną z tego mil-

czącego grobu. Podniosłem się z kolan i spojrzałem w bok, na panteon ojców kapucynów. Tam czekają na mnie ważne sprawy, więc tam się skierowałem.

Z mżawki zrobiła się ostra burza. Nagła błyskawica oświetliła wejście do grobowca. W panteonie było sześć wnęk. Wybrałem pierwszą po swojej lewej stronie, tuż przy ziemi, w przeciwieństwie bowiem do pozostałych nie była pokryta pajęczyną, i zobaczyłem napis: „Brat Bruno Rossi, 1495-1560”. Przyjrzałem się krawędziom płyty, nabrałem powietrza w płuca i uderzyłem mocno dłonią zawiniętą w brzeg habitu, żeby uniknąć zranienia i przytłumić hałas. Płyta poruszyła się, zatem wyjąłem ją ostrożnie i spojrzałem w ciemny otwór. Nie wspomagało mnie żadne inne światło oprócz blasku błyskawic, żeby nie zdradzić swej obecności. Przeżegnałem się tylko i włożyłem rękę do otworu. Z twarzą przyciśniętą do muru mogłem nie czuć woni wilgoci i zgniłego sukna, wydobywającej się z grobu. Grzebałem w ziemi po omacku, znajdując prochy, kości i kawałki tkaniny, dopóki nie natrafiłem na znajomy kształt. Uśmiechnąłem się.

To były księgi, tak jak umówiłem się z Tamim. Wyciągnąłem węzełek i w blasku kolejnej błyskawicy zobaczyłem worek z foczej skóry, ale nie tylko; ktoś stał przy wejściu i obserwował mnie spokojnie pomimo ulewnego deszczu. Sparaliżowany strachem, nie mogłem oderwać oczu od tej sylwetki, która z każdą nową błyskawicą stawała się coraz bardziej realna. Groźny mieszkanić grobowców. Trzymając księgi, cofałem się w głąb panteonu, w miarę jak cień się do mnie zbliżał. –

–Nie bój się, bracie DeGrasso... – rzekł nieznajomy. Wiedział, kim jestem, choć mnie nie widział, a więc ktoś

musiał go poinformować, że tu przyjdę. Mogła to uczynić tylko jedna osoba, przeto już spokojniejszy zapytałem:

–Kim jesteś? Znam cię?

–To ja, walebny ojcie przeorze, wikariusz Rivara – odparł cień. Kiedy udało mi się wreszcie opanować strach, rozpoznałem jego głos.

–Na Boga, Rivara! Napędziłeś mi strachu! Nie wyobrażasz sobie nawet, jak się cieszę, że cię widzę... ale co ty, do diabła, tu robisz? – Podszedłem do mnicha i objęliśmy się w uścisku.

–Ja też się cieszę. Tęskniłem za tobą, ojcie przeorze, i ogromnie zmartwiła mnie wieść o twojej niełasce... Ale nie traćmy czasu. Czekam tu na ciebie od tygodnia.

–Jeden jedyny człowiek wiedział, że przyjdę tu, jak tylko będę mógł...

Szczerze oczy Gianluiki zajaśniały w świetle błyskawicy. Był bardzo poważny, gdy powiedział:

–Extra Ecclesia nulla salus, ojcie przeorze.

–Ty...? – zawołałem zdziwiony.

–Piętnaście dni temu złożył mi wizytę konfrater. Powiedział, że byliście razem w podróży i dzięki tobie zdobył księgi, zgodziłeś się bowiem przystąpić do Corpus Carus...

–Tami? – spytałem, przerywając. – Czy to był Tami?

–Nie, Xanthopoulos – odpowiedział Rivara, co nie zmniejszyło mej troski o los jezuity.

–Co jeszcze powiedział?

–Że przykazałeś mu ukryć księgi tutaj, aby potem, razem ze świętej pamięci ojcem Pierem (oby Bóg przyjął go do swej chwały), podjąć decyzję co dalej. Ja natomiast mam ci przekazać wiadomość od Xanthopoulosa. Powiedział, że Corpus ślepo ci ufa i po odejściu ojca Piera, tobie powierza opiekę nad księgami.

–Ślepo mi ufa? Przecież ja nikogo nie znam! Kim są ci, którzy mi tak ślepo ufają? Chciałbym ich wreszcie poznać! – zawołałem.

–Xanthopoulos ci ufa, a to jest wystarczającą rękojmią dla wszystkich pozostałych. Nie trzeba się niecierpliwic, nasi przełożeni ujawnią się w odpowiednim momencie. Możesz mi wierzyć. A teraz skorzystaj z nocy, żeby się wymknąć. Weź ze

sobą księgi, bo tam, gdzie jedziesz, będą bezpieczniejsze, dopóki nie zapadnie nowa decyzja.

–Gdzie mam się udać?

–Musisz opuścić Włochy. Xanthopoulos powiedział, że znajdziesz azyl w twierdzy arcyksięcia Mustaine'a de Chamo-nix, który ochroni cię przed inkwizycją.

–We Francji? Mam jechać do Francji?

–Tak, ojciec przeorze.

–Słyszałem o tym arcyksięciu z Chamonix... Domyślałem się, że też jest konfratrem...

–Owszem. Od początku swego istnienia Corpus cieszyło się opieką możnych. Oni są świeckim ramieniem bractwa – oznajmił Rivara.

–Zatem mam zostać przez jakiś czas w Chamonix.

–Tak. Tam będziesz bezpieczny. Możemy liczyć na paru francuskich biskupów, którzy nie pozwolą wydać cię inkwizycji. Będzie ci tam dobrze.

–Powiedz, bracie Rivara, czy jezuita Tami jest o tym poinformowany?... Wydobrzeł już po tej naszej burzliwej podróży?

–Jeszcze nic nie wie, wciąż jest bardzo chory od rany sztyletem.

W krypcie zaległa cisza.

–Ojciec przeorze – kontynuował Rivara – zawsze darzyłem ojca wielkim szacunkiem, kiedy byłeś inkwizytorem, i nic się nie zmieniło teraz, gdy jesteś zbiegłym więźniem. Twoim przeznaczeniem jest żyć i nie tracić ducha. Nigdy dotąd Corpus nie cedowało tak wielkiej odpowiedzialności na kogoś, kto nie zna bractwa. Być może jesteś następcą, którego Piero wyznaczył przed laty. Postaraj się nas poznać, a przekonasz się, że wstąpienie w nasze szeregi nie było błędem.

–Pora ruszać – szepnąłem. Wikariusz położył mi dłoń na ramieniu.

–Mam ci jeszcze jedną rzecz do przekazania, ojciec przeorze... – Wikariusz z trudem dobierał słowa. Zanosilo się na coś

poważnego. – Piero Del Grandę prosił, że gdyby z nim coś się stało, ja mam ci powiedzieć całą

prawdę o twoim urodzeniu i o twoim prawdziwym ojcu, niezależnie od konsekwencji, jakie to może spowodować...

–Powiedz, bracie Rivara – przerwałem błagalnie – kto nim jest. Wciąż zadaję sobie to pytanie, odkąd dowiedziałem się, że jestem bastardec. Myślałem nawet, że może to Piero...

Wikariusz był zdenerwowany. Zamknął oczy, nabrał powietrza i odpowiedział:

–Twoje prawdziwe nazwisko brzmi... Iuliano. Jesteś synem kardynała...

Kolana się przede mną ugięły i musiałem szukać oparcia w ścianie. Krew odpłynęła mi z twarzy, zbladłem i chyba wyglądałem jak jeszcze jeden duch na tym cmentarzu. Rivara kontynuował:

–Przy okazji kolejnych wizyt w naszym mieście kardynał nachodził pewną chłopkę, aż rozkochał ją w sobie. Poczęła nieprawego syna, ale taki stan rzeczy mocno zawadzał kardynałowi z rodową siedzibą w Volterrze. Stał u progu obiecującej kariery i nie zamierzał pozwolić, aby dziecko pokrzyżowało mu szyki. Bardzo późno dowiedział się, że chłopka jest ciężarna, niemal w ostatniej chwili. Rozkazał ją zabić z dzieckiem w brzuchu. Ta kobieta była twoją matką, a tym dzieckiem jesteś ty, wielebny przeorze. Ludzie kardynała odnaleźli kobietę wkrótce po rozwiązaniu, ale ona zdążyła już wtedy oddać cię pod opiekę ojca Piera w San Fruttuoso. Del Grandę dobrze znał twoją matkę, bo kupował od niej oliwki do produkcji swych olejów. Ona sama nie uniknęła śmierci, jednak zadbała o to, żeby jej ukochany syn znalazł się w dobrych rękach... Ludzie kardynała wszędzie szukali noworodka, a kiedy zapukali do bram opactwa z pytaniem, czy nie ma tu maleńkiego chłopca, ojciec Piero odpowiedział twierdząco i oddał im przyniesione w tym samym czasie dziecko, które było martwe...

–Wystarczy... – jęknąłem, dając mu ręką znak, żeby zamilkł. – Kto jeszcze o tym wie?

Wikariusz chwilę zwlekał z odpowiedzią.

–Bardzo niewiele osób...

–A kardynał? Czy on wie? – zapytałem szybko.

–Tak.

–Skąd wie?

–Kardynał Iuliano jest bardzo podejrzliwy. Od razu spostrzegł rodzinne podobieństwo w rysach i zwłaszcza w charakterze. Jego podejrzlenia wzrosły, gdy zobaczył, że Piero tak bardzo się tobą opiekuje.

–Wszystko mógłbym sobie wyobrazić, ale nie to, że jestem synem kardynała...

–Chyba zauważyłeś, ojcze przeorze, że od jakiegoś czasu kardynał próbował się do ciebie zbliżyć...

–Anastasia jest jego córką! – przerwałem wikaremu skonsternowany. – A przecież ona... ona... – Byłem kompletnie oszołomiony na myśl o moim spotkaniu z Anastasia i propozycji małżeństwa. Wprost nie mogłem uwierzyć...

–Jesteście rodzeństwem przez ojca – powiedział wikariusz. – W waszych żyłach płynie ta sama krew.

–Czy ona... wie?

–A jak sądzisz? – wikary odpowiedział pytaniem na pytanie, chociaż ton głosu nie zostawiał miejsca na wątpliwości.

–Bracie Rivara... Nie chcę nic więcej słyszeć na ten temat.

–Nie mam nic więcej do dodania. Ruszaj w drogę. Teraz już znasz całą prawdę. Mistrz Piero musiał mieć swoje powody, żeby ci ją wyjawić. Jakże inaczej potoczyłoby się twoje życie, gdyby zabrał ten sekret do grobu. Patrzyłbyś Iulianowi w oczy, nie wiedząc, że jest twoim ojcem i, co gorsza, mordercą twojej matki. Chciałbyś tak żyć? Zabierz ze sobą tę prawdę jako ostatni prezent od Piera.

Schowałem księgi pod płaszczem i skierowałem się do wyjścia. Jeszcze raz odwróciłem się do Rivary, kiedy zapytał:

–Gdzie spędzisz noc?

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się. Błyskawica oświetliła mi pół twarzy.

412

–Nie wiem, chyba gdzieś w lesie.

–Nie zbaczaj z drogi. Oczekują ciebie w Chamonix. Niech Bóg ma cię w swej opiece!

–Oby twe słowa zostały wysłuchane – powiedziałem na pożegnanie i zniknąłem w ciemnościach tej deszczowej nocy.

Gnałem prosto przed siebie, bo jeszcze nie zdecydowałem, co zrobić. Miałem do wyboru: Chamonix albo Florencja. Inkwizycja dobrze wiedziała, że nawet jeśli zdołam wymknąć się im z więzienia, będę musiał podjąć jakąś decyzję. Giulio Battista Evola spokojnie czekał na mój powrót. Ja miałem to, czego oni szukali, a oni – osobę, którą najbardziej kochałem.

Zatrzymałem konia w dębowym lesie, niedaleko brzegu morza, i podjąłem decyzję. Iuliano ukradł mi życie, a Piero Del Grandę, jedyny człowiek, który zawsze się o mnie troszczył, choć popełnił błąd, oddalając mnie od siebie i od kapucynów w trosce o interesy Corpus Carus, był martwy. Nie powtórzę jego błędu. Moją jedyną miłością-teraz, gdy jego zabrakło – była Raffaella i tylko jej będę wiemy. Nikt, oprócz Boga, nie zdoła mnie z nią rozdzielić; żadna walka o władzę, żadna frakcja nie sprawi, że odstąpię od swoich uczuć. Tylko miłość usprawiedliwia nas wobec Boga i tylko za to odpowiadamy. Zdradzić tę miłość dla jakichś innych celów to zdradzić Jezusa. Pomyślałem o Nim, o Chrystusie Odkupicielu pełnym miłości. I pomyślałem o ojcu Pierze: „Wikariusz Chrystusa to jest to, co nam dyktuje nasze pierwsze i spontaniczne odczucie sumienia”. Moje pierwsze i spontaniczne odczucie sumienia będzie takim języczkiem u wagi przy podejmowaniu decyzji.

Postanowiłem wejść od tyłu, przez ogrody, skradając się jak złodziej. Gmach był pogrążony w półmroku, świeciło się tylko kilka lamp, ale musiałem być ostrożny, bo ktoś mógłby zauważyć mój cień na murze pałacu. Straże pilnowały wejścia

413

głównego i nie miały zamiaru się ruszać. Dla nich była to zwykła noc, taka sama, jak inne.

Szybko przebiegłem wśród krzewów i oparłem się o mur tylnej fasady. Spojrzałem do góry, na drugie piętro: to tam chciałem się dostać. Zdjąłem pelerynę i schowałem wśród krzewów, sprawdziłem, czy węzełek z księgami trzyma się mocno pasa, i rozpocząłem wspinaczkę, wyszukując oparcie dla dłoni i stóp w spoinach kamiennej ściany. Powrót statkiem był bardzo męczący, ale gdy teraz, przyklejony do muru, posuwałem się coraz wyżej z niezwykłą, jak na mnie, zręcznością, cieszyłem się, że trud marynarskiego rzemiosła tak mnie zahartował i wyćwiczył ciało. Dotarłem już do balkonu pierwszego piętra. Spojrzałem w dół, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiegoś poruszenia, ale na pozór nikt nie zauważył mojej obecności. Nabrałem powietrza i wdrapywałem się dalej, do następnego balkonu, celu mojej wędrówki.

Drugi odcinek wspinania był bardziej skomplikowany niż pierwszy i gdy wreszcie sięgnąłem rękami parapetu, ledwo starczyło mi siły, aby przewiesić ciało przez balustradę – runąłem jak kłoda na balkonową posadzkę. Leżałem tak dłuższą chwilę, uspokajając oddech i zaciskając dłonie na węzełku z księgami. Potem wstałem i podszedłem do okna, które było otwarte.

Bez szmeru wszedłem do pokoju, powoli zbliżyłem się do łóżka i popatrzyłem na smacznie śpiącą damę. Przysiadłem ostrożnie na łóżku, delikatnie położyłem dłoń na jej ustach i przysuwając twarz do jej twarzy, szepnąłem do ucha:

–Anastasio, nie krzycz, to ja, Angelo.

Patrzyła na mnie, przestraszona i zaskoczona. Czułem, jak mocno bije jej serce. Kiedy kiwnęła głową na znak, że rozpoznała mój głos, pozwoliłem jej oddychać swobodnie.

–Nie mogę nakazać ci milczenia. Wezwij strażę, jeśli chcesz.

–Co tu robisz, do licha? – wyszeptała Anastasia urywanym głosem, wciąż jeszcze trochę przestraszona.

–Jak by to powiedzieć... Znalazłem się we Florencji, choć powinienem być w drodze do Francji. Wezwiesz strażę?

–Nie – odparła, patrząc na drzwi.

–Anastasio, chcę zostawić u ciebie księgi, których szuka twój ojciec. Przekaż je Giuliowi Battście Evoli, bo tak się z nim umówiłem. Może cię to dziwić, ale pomimo wszystko mu ufam – powiedziałem i odpiąłem od pasa tobolek, kładąc go na stole. – Tu są Necronomicon i Szmaragdowy Kodeks, pożądane przez Kościół księgi. Już nie trzeba ich szukać.

–I dlatego wróciłeś? Chcesz wymienić księgi za dziewczynę. A twoje życie? Jesteś poszukiwany, musisz się ukrywać. Nie myśl, że dobrowolnie oddając księgi, unikniesz potępienia przez inkwizycję! Po co pomogłam ci uciec! Wiesz, ile warta jest twoja głowa we Florencji? – wołała Anastasia, wyskakując z łóżka zagniewana.

–Jestem ci bardzo wdzięczny... Wiem, że moje problemy się nie skończą, ale będę spokojny o Raffaellę. Evola dotrzyma słowa. A ja rozpocznę życie zbiega. Nie martw się; mam protektorów.

Anastasia westchnęła i spuściła oczy.

–Dobrze. Wszystko zostało powiedziane. Masz wspaniałe serce, ale jesteś wyjątkowym głupcem.

–Trudno. Zrobisz to, o co proszę?

–Zrobię – odparła Anastasia i wróciła do łóżka, nie przerywając rozmowy. – Gdzie byłeś?

–W Genui – wyznałem. Usiadłem obok niej. Patrzyłem na twarz Anastasii, włosy rozsypane na poduszce. Musiałem o to zapytać, a nie będzie lepszego momentu. – Bądź ze mną szczerą, Anastasio... Powiedz, dlaczego chcesz mi pomóc...

Nie odpowiedziała. Odwróciła się do mnie plecami. Nie ustępowałem:

–Wiem wszystko, Anastasio... Wszystko. Chyba zawsze wiedziałem, bo mówiły to twoje oczy na placu Świętego Wawrzyńca, w porcie, a zwłaszcza wtedy, gdy zaproponowałaś mi małżeństwo...

–Co ci mówiły moje oczy, Angelo? – spytała Anastasia. Uniosła się na łóżku, żeby na mnie popatrzeć.

–Że jesteś moją siostrą.

Spuściła oczy i zakryła rękami twarz. Lekki szloch wyrwał jej się z gardła; przez chwilę płakała w milczeniu. Wzięłam jej dłonie w swoje i mówiłam:

–Ciężko mi patrzeć na ciebie jak na siostrę, wszystko się poplątało... Tak nagle...

–Nie dla mnie. Ja wiem o tym od dawna. Mój ojciec... nasz ojciec sam mi powiedział.

–Dlaczego? To bez sensu! – wykrzyknąłem.

–Bał się, że pewnego dnia przyjdiesz i wszystko wyjdzie na jaw, choćby nie wiem jak to ukrywał. Nasz ojciec jest ostrożny i przewidujący, wołał, żebym dowiedziała się od niego, a nie od kogoś obcego.

–Co ci jeszcze o mnie powiedział?

–Wszystko.

–Wszystko? Wiesz zatem, co zrobił mojej matce?

–Nie chcę o tym rozmawiać, Angelo... Nienawidzę tego, co zrobił, ale muszę go usprawiedliwić... Był bardzo młody.

–Co wiesz o mojej matce? – przerwałem, podnosząc głos. Anastasia była silnie wzruszona.

–Kazał ją zabić...

–I mimo to chcesz go usprawiedliwiać? Jak możesz? Jak możesz być tak nieczuła? – mówiłam ze łzami w oczach.

–Kocham naszego ojca, Angelo.

–Jest mordercą- orzekłem. Anastasia nic nie powiedziała, tylko milcząco przytaknęła.

Wzięłam ją za brodę i zmusiłam, żeby na mnie spojrzała.

–Czego chcesz? – wybąkała, skarżąc się bezgłośnie na ból.

Natychmiast ją puściłam i pogłaskałam po policzku.

–Przepraszam, nie chciałem sprawić ci bólu... Opowiedz mi o naszym ojcu, proszę.

Anastasia uśmiechnęła się z przymusem, usiadła wyprostowana na łóżku i zaczęła mówić:

–Moje życie zawsze łączyło się z życiem naszego ojca. Jest człowiekiem cierpiącym i zarazem despota, opiekuńczym i bezlitosnym. Był drugim z kolei synem, co samo przez się decydowało o jego losie: musiał wybrać karierę duchownego. Cały majątek rodowy przechodził na starszego brata. Nasz ojciec zrobił błyskawiczną karierę; w wieku dwudziestu lat został kardynałem i miał przed sobą obiecującą przyszłość. Jak wiesz, nasza rodzina należy do najstarszych i najbogatszych we Florencji, toteż nie żałowała pieniędzy na rozwój jego kariery. Wspinał się coraz wyżej w hierarchii kościelnej, gdy pewnego razu zobaczył twoją matkę. Zakochali się w sobie do szaleństwa, niejedną noc spędzili razem i twoja matka zaszła w ciążę. Wkrótce potem czarna zaraza spadła na Toskanie, pochłaniając wiele ofiar, wśród których był nasz stryj i jego siostra. Tylko nasz ojciec został przy życiu jako dziedzic całego majątku. Chciał nawet zrezygnować z kapłaństwa, o mało nie oszalał. Wszędzie widział spiskowców i bał się własnego cienia. W takiej chwili dowiedział się, że twoja matka urodzi mu syna, w którym widział jedynie kolejnego wroga czyhającego na jego majątek... Postanowił zabić ciebie i twoją matkę, żeby spokojnie żyć, bez problemów związanych z posiadaniem nielegalnego syna... Nie wiem, co jest gorsze: czy to, że chciał w ten sposób bronić swej kariery – rzecz mało prawdopodobna, gdyż myślał wtedy o rezygnacji – czy zrobił to ze zwykłego skąpstwa.

–A ty znasz swoją matkę, Anastasio?

–Jestem córką Luciany Aldobrandini – odpowiedziała siostra, biorąc mnie za rękę.

–Jak to możliwe?! – zawołałem zdziwiony.

–Jestem córką siostry papieża. Nasz ojciec miał wiele przelotnych związków i z jednego narodziłam sieja. Ponieważ tym razem kochanka była wysokiego rodu, ojciec musiał po cichu przyznać się do ojcostwa i oficjalnie uznał mnie za swoją

siostrzenicę. Początkowo mnie nie chciał, ale jak tylko zobaczył, pokochał mnie do szaleństwa. Noszę imię jego siostry, której nigdy nie znałam.

–Kocha cię?

–Wprost uwielbia. Ma obsesję na moim punkcie.

–Mogłem się o tym przekonać, bo nie dostałaś żadnej kary za to, że pomogłaś mi uciec z więzienia...

–Wściekł się, jak o tym usłyszał. Zagroził, że zamknie mnie w klasztorze na całe życie. Na

drugi dzień rano już tylko prosił, żeby nikomu nic nie mówić o tym, co zrobiłam. Obiecał, że mnie wybroni. Nadal był bardzo zły i nie chciał mnie widzieć przez pewien czas. Ale nie potrafi czuć do mnie nienawiści, tak samo jak ja wobec niego. Wiem, że w jego życiu liczą się tylko dwie pasje: praca i ja. Jego miłość do mnie jest tak samo ślepa jak twoja do Raffaelli... – zakończyła Anastasia z lekkim wyrzutem.

–Może to jakiś defekt genetyczny – odparłem ze smutną ironią. – Czy ty też na to cierpisz? Dużo jest mężczyzn w twoim życiu?

Anastasia wyglądała cudownie w świetle kandelabrow z twarzą zalaną łzami.

–Tylko tacy, którzy mnie pragną... Nigdy ci, których ja bym chciała – stwierdziła ze smutkiem.

–Giuseppe Arsenio jest twoim kochankiem? – spytałem z ciekawości.

–Skądże znowu! To jeden z tych, co pragną mnie posiadać, ale jest nie dość męski jak na mój gust.

Nasza rozmowa powinna się toczyć przy świetle, Anastasia też tak uważała, toteż wstała, żeby zapalić świecznik na biurku. Kiedy wracała do łóżka, zauważyłem blask w jej oczach, które kilka dni temu były szare, a teraz znów zielone jak wtedy, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz. Jej nastrój też się zmieniał stosownie do koloru oczu. Usiadła obok mnie i patrzyła trochę zmieszana.

–Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytałem.

–Jak dowiedziałam się, że będziesz na Sermo Generalis, nie mogłam spać z wrażenia, sama nie wiem dlaczego. Próbowałam wyobrazić sobie twoją twarz, twój charakter, sposób życia...

–I co poczułaś na mój widok? Rozczarowałaś się?

–Najpierw ty powiedz, co czułeś, jak mnie zobaczyłeś – odparła Anastasia.

–Ujrzałem tajemniczą młodą damę, piękną, elegancką i wykwiśniętą w mowie i w gestach... Nie wiedziałem, kim jesteś, toteż nie ma sensu mówić o moich wrażeniach. Raczej ty powiedz, co ci przeszło przez myśl i jak zareagowało twoje serce, kiedy po raz pierwszy ujrzałaś nieznanego brata.

–Śniłeś mi się tamtej nocy i przez kilka następnych; nie umiałam określić dziwnych uczuć, jakie zrodziły się we mnie na twój widok, ale były to uczucia z gatunku tych, co każą zawojować serce mężczyzny... Niechętnie o tym mówię, Angelo, w tym wszystkim jest bowiem coś brudnego, co staram się kontrolować... Mam na myśli zazdrość... tak, zazdrościłam wszystkim, którzy byli przy tobie, wzrastali razem z tobą i kochali cię. No i miłość, bo bez tego zazdrość nie ma sensu...

Nie wiedziałem, co powiedzieć. W sypialni zaległa cisza, którą przerwała Anastasia.

–Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale zakochałam się w tobie, bo byłeś idealnym substytutem ojca. Uczepiłam się myśli, że jesteśmy tylko przyrodnim rodzeństwem... Ale szybko się pozbywałam... Jestem twoją siostrą i kocham cię jak siostra, bo tak należy. – Anastasia wstała, odwracając się do mnie plecami, zawstydzona. Drżenie ramion wskazywało na przyspieszony oddech i wzburzenie wyrażone urywanymi słowami. – Ale... pragnę cię... jako kobieta. I próbuję wyrwać z serca to niedobre uczucie...

Ja też wstałem i objąłem ją, opierając głowę na jej ramieniu. Był to gest dwuznaczny tak samo jak nasze uczucia; ona miała

odwagę wyznać to, co ja również poczułem na wieść o tym, że jest moją siostrą.

–Anastasio, siostró kochana – powiedziałem -jesteś tak piękna, że każdy mężczyzna skazałby się na wieczne potępienie, żeby być przy tobie. Teraz lepiej rozumiem twoją dziwną propozycję i sposób, w jaki ją przedstawiłaś, gdyż twe oczy przeczyły twym ustom. Jesteśmy skazani na doznawanie takich uczuć przez pewien czas. Dałby Bóg, by nam starczyło tego czasu na wzajemne poznanie się jako rodzeństwo, które odnalazło się po latach.

Anastasia zwróciła się ku mnie, żeby mnie mocno uściskać. Oboje wiedzieliśmy, że musimy się

wspierać i nie iść na żadne ustępstwa. W naszych żyłach płynęła ta sama krew: jeśli ulegniemy pokusie, popełnimy grzech, którego będziemy żałować do końca życia. Anastasia delikatnie odsunęła się i trzymając mnie za rękę, kontynuowała:

–Nie po to cię odnalazłam, żeby cię znowu stracić, Angelo. Potrafię zapanować nad pożądaniem, ale nie zniosę twojej nieobecności. Moja oferta może wydawać się dziwna, ale wciąż jest aktualna, bo naprawdę wierzę, że to jedyny sposób na uniknięcie prześladowań, które nigdy nie ustaną, dopóki będziesz żył. W przeciwnym razie zostaje mi tylko dzielić z tobą wygnanie...

Wysunąłem dłonie z jej rąk i zrobiłem krok do tyłu. Czas się żegnać.

–Muszę już iść, Anastasio... Ale najpierw przysięgnij, że mi pomożesz. Koniecznie oddaj te książki Evoli i ustal z nim, kiedy i gdzie uwolni Raffaellę. Skontaktuję się z tobą za kilka dni.

–Dokąd jedziesz?

–Najpierw muszę mieć pewność, że Raffaella jest bezpieczna. Będę się tu gdzieś ukrywał, dopóki Evola nie przyjdzie po książki. Potem wyruszę do Francji. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, nie chcę narażać na niebezpieczeństwo ciebie ani siebie.

–Nadal uważam, że popełniasz błąd, ale przysięgam, że uczynię, o co prosisz. Kocham cię, bracie. Pamiętaj – powiedziała Anastasia, obejmując mnie na nowo i składając na moim czole gorący pocałunek.

Popatrzyłem na nią, być może ostatni już raz, i odwróciłem się, żeby wyjść przez balkon. Wyjrzałem ostrożnie na zewnątrz: wszędzie panował spokój. Łatwiej było zejść, niż wejść, i wkrótce znalazłem się w zaroślach, gdzie wcześniej ukryłem pelerynę. Spojrzałem w okno Anastasii. Zaslony fruwały na wietrze bez żadnej kontroli. Jak ja. Jak Anastasia.

W dwa dni potem Evola otrzymał w Rzymie wiadomość od Anastasii. Donosiła mu o księgach i nalegała, aby jak najszybciej wypełnił zawarty ze mną pakt. Tej samej nocy dwóch strażników wtargnęło do celi Raffaelli D'Alemy, zerwali z niej ubranie i zhańbili. Trzeciego dnia po południu została spalona na Campo dei Fiori. Rankiem zebrał się specjalnie w tym celu trybunał, który orzekł jej winę. Członkowie trybunału mieli „zaszczyt” pracować pod przewodnictwem kardynała Iuliana jako inkwizytora. To się działo w Rzymie, a ja czekałem we Florencji, nie mogąc nic uczynić. Później dowiedziałem się, że Giulio Battista Evola ze wszystkich sił sprzeciwiał się egzekucji.

Iuliano dał mi siostrę, ale zabrał jedyne kobiety, które pokochałem. Matkę i Raffaellę. Dla tej drugiej byłem gotów poświęcić własną przyszłość. Młoda dziewczyna, jeszcze dziecko, obróciła się w proch, zanim zdążyła poznać życie. Jedyńca Tommasa i Libii D'Alemów zapłaciła wysoką cenę za grzech mej miłości. Okrucieństwo kardynała nie znało granic. Przecież oddałem mu księgi, tak jak chciał. Dlaczego skazał Raffaellę? Co zyskiwał na śmierci tej dziewczyny oprócz śmiertelnej nienawiści z mojej strony? Zabił ją, żeby mnie skrzywdzić, ale jednego nie przewidział. Ogromny ból po jej

stracie, miał pogрузić mnie w bezsilnej rozpacz, obrócił się przeciw niemu.

To tragiczne wydarzenie znieczuliło moje serce. Odchodziłem od zmysłów na samą myśl o tym, że krew Iuliana płynie w moich żyłach, i w przypiływie szaleństwa postanowiłem chwycić za szpadę, żeby raz na zawsze skończyć ze wszystkimi sprawcami mej tragedii.

ŚLEPA ZEMSTA

59

Księżyc w pełni oświetlał drogę do Florencji. Byłem już tak blisko, że widziałem górującą nad miastem wspaniałą kopułę katedry Santa Maria dei Fiori i mnóstwo dzwonnicy.

Za trzy godziny zacznie świtać. Bezwiednie pragnąłem wschodu słońca, żeby ogrzać się w jego promieniach, bo noc była bardzo zimna. Zatrzymałem się i przez chwilę obserwowałem miasto, które spało spokojnie, nieświadome mej obecności. Jednak myśli miałem zajęte wyłącznie planem, który przygotowałem w najdrobniejszych szczegółach, żeby osiągnąć swój cel. Choć nie ukrywam, że był to plan szaleńca zaślepionego gniewem.

Odkąd podjąłem decyzję o zemście i wydałem ostatnie pieniądze od Anastasii na zbieranie potrzebnych wiadomości, udało mi się sprawdzić, że księgi i kardynał Iuliano z całym dworem wyruszają do Rzymu dwudziestego trzeciego października wcześniej rano. Tę oraz inne niezbędne informacje uzyskałem od kuzyna osobistego sekretarza arcybiskupa Florencji. Była ona kluczowym punktem mojego planu zemsty. Działając w pojedynkę, bez niczyjej pomocy, wiedziałem, że jestem z góry skazany na klęskę, ale ten drobny szczegół nie powstrzymał mnie przed działaniem. Raffaella nie żyła i jeśli ja

423

też mam zginąć, to niech to będzie śmierć honorowa, by dokonać zemsty.

Odwinąłem połą peleryny, żeby dotknąć rękojeści szpady, nabytej p0 korzystnej cenie od kowala z Fiesole. Ostatni raz trzymałem w ręku taką broń w latach szkolnych, bo szermierka była częścią obowiązkowej edukacji. Całkiem dobrze sobie wtedy radziłem, miałem zatem nadzieję, że wszystko mi się przypomni, jak tylko poczuję chłód stali. Nie twierdzą, że w szkole byłem najlepszym szpadzistą, ale zręcznością i wytrzymałością przewyższałem wielu, toteż nikt nie chciał się ze mną zmierzyć. W ćwiczeniach szermierki byłem uparty jak we wszystkim innym, czego się miałem: nauczyłem się bardzo dobrze zasłaniać i zmęczyć przeciwnika przed zadaniem ostatecznego ciosu. Wczorajszego popołudnia ćwiczyłem kroki przed cyprysem: pchnięcie, obrót, zastawa i atak. Moje ciało odzyskiwało zdolność ruchów, pamięć wracała jak nuty w głowie starego ślepego muzyka, kiedy włożyć mu w ręce dawno nieużywany instrument.

Spiąłem konia i popędziłem do miejsca, gdzie miałem czekać na sygnał. Krótco potem zamigotały w ciemnościach światła karoc jadących po kardynała. Wtedy rozpocząłem galop w stronę szaleństwa. Noc mnie połknęła i udało mi się prawdziwie zaskoczyć Florencję.

Stukot końskich kopyt po ulicznym bruku zdradzał obecność dziwnego jeźdźca, któremu bardzo się spieszyło. Przegalopowałem przez Ponte Vecchio. W dole toczyła swe mętne wody rzeka Arno, czekając na rychły wschód słońca. Podobnie jak Tyber w Rzymie, Arno była częstym świadkiem i współnikiem spotkań sprzysiężonych. Obie rzeki zmywały winy swego ludu,

424

dawały wodę na chrzest niewinnych dzieci i splukiwały krew z rąk grzesznych władców. Po raz kolejny Arno zobaczy, jak mężczyźni wyrównują swoje długi.

Za mostem ściągnąłem lejce, żeby koń zwolnił. Jadąc stępą, pokonałem odległość dzielącą mnie od Piazza de la Signoria. Wkrótce potem zsiadałem z konia przy Loggia dei Lanzi, mając po lewej stronie Palazzo Vecchio. Zanim zostawiłem pod arkadami pokrytego potem i zdenerwowanego konia, próbowałem go trochę uspokoić. Dyszał ciężko, tocząc z pyska pianę; bałem się, że ktoś to zauważy, a bez konia nie miałem żadnych szans na ucieczkę.

W przeciwieństwie do Rzymu i mej rodzinnej Genui, Florencja została zbudowana na planie prostokątnym, wymyślonym przez rzymskich architektów dla potrzeb zakwaterowania legionów. Łatwo było się poruszać i rozeznać w tym mieście. Wspaniałe pałace i kościoły, wznoszone w potężnej republice od ubiegłego wieku, stanowiły znakomity punkt orientacyjny. A gdyby ktoś mimo wszystko pobłądził, wystarczyło iść w kierunku rzeki i gwiazdy polarnej miasta – wielkiej kopuły Duomo.

Starzy Genueńczycy mawiają, że pałace i domy naszego miasta są jak ziarna chwastów przyniesione przez wiatr, natomiast pałace Florencji – jak ziarna czystej pszenicy zasiane w odpowiednio przygotowanych brzdach.

Mając Arno za plecami i kopułę Duomo w oddali, pod osłoną gmachów wśliznąłem się na plac. Przed głównym wejściem do pałacu czekały już karoce, które widziałem po drodze. Głównego wejścia strzegły okazałe posągi. Dawid Michała Anioła i grupa Herkules i Kakus, przywodząc mi na myśl nie tylko triumfalny wjazd Medyceuszy, ale także walkę z moimi własnymi potworami. Wszystkie okna w zasięgu mojego wzroku były ciemne. Spojrzałem niżej. W bramie stało trzech żołnierzy z gwardii watykańskiej, a za bramą rozciągał się pusty o tej porze dziedziniec. Cierpliwie czekałem na

odpowiedni moment. Usadowiłem się po ciemniejszej stronie gmachu, w portyku sąsiadującym z pałacem Uffizi; było to najlepsze miejsce, bo niezbyt starannie pilnowane przez gwardzistów, zajmujących się teraz głównie karocami. Na moją korzyść działał czynnik zaskoczenia – nikt nie spodziewał się niezapowiedzianych gości, a tym bardziej Angela DeGrasso, nikt nie podejrzewał, że jestem tak szalony, by zjawić się we Florencji i wejść prosto w paszczę lwa. Prędzej liczono się z możliwością ataku Corpus Carus niż z wizytą takiego szaleńca.

Gdy tylko gwardziści zniknęli na chwilę w bramie, natychmiast przystąpiłem do realizacji planu. Położyłem na ziemi szpadę i sakwę podróżną, żeby nic mi nie przeszkadzało w obserwowaniu otoczenia. Gmach przed moimi oczami był tak samo wielki jak ten, który zapamiętałem, ale serce mówiło, że chyba trochę urósł. Wyciągnąłem z otwartej sakwy hak z przywiązanym doń sznurem tak długim, że można by się wdrapać nawet na Duomo. Wcześniej obciągnąłem go skórą, żeby wygłuszyć hałas uderzenia w mur. Gwardziści jeszcze nie wrócili, więc spróbowałem zarzucić hak na kraty w oknach pierwszego piętra.

Jak było do przewidzenia, hak odbił się od kraty i upadł koło moich stóp, robiąc przy tym potworny hałas, ale chyba tylko mnie się tak zdawało, bo wokół panowała głęboka cisza. Oczekałem chwilę i ostrożnie wyjrzałem zza muru. Straże nadal były wewnątrz pałacu. Podniosłem z ziemi hak i przeklinając go w duchu, zarzuciłem ponownie... Po czterech nieudanych próbach i trwodze oczekiwania na ewentualne konsekwencje udało mi się go zaczepić. Pociągnąłem za sznur, żeby sprawdzić, czy mocno tkwi w kracie, włożyłem szpadę do pochwy i rozpocząłem wspinaczkę, przywiązawszy najpierw część sznura do pasa, bo chciałem mieć pewność, że nie zlecę na bruk, jakbym zrobił krok w pustkę.

Z wielkim trudem wspinałem się po sznurze, opierając stopy

o fasadę. Kosztowało mnie to sporo wysiłku i kiedy wreszcie dotarłem do kraty, czułem mimowolne drżenie w ramionach

1 nogach, a ręce bolały jak nigdy przedtem. Po zdjęciu rękawic zobaczyłem białe kostki palców i czerwone dłonie ze śladami otarcia o sznur. Teraz czekało mnie najgorsze, gdyż trzymając się kraty jedną ręką i ze stopami wsuniętymi między pręty, drugą, wolną ręką musiałem zdjąć hak i przygotować następny etap wspinaczki na wyższe piętro, gdzie okna nie były okrato-wane. Zarzuciłem z pół tuzina razy, zanim wreszcie udało mi się zaczepić hak wyżej. I znów męczarnia wspinaczki po murze, szukanie oparcia dla dłoni i stóp, i uczucie sztywnienia w ramionach i nogach. Stopy ślizgały się po gładkiej ścianie. Niejeden raz wisiałem w powietrzu, przelękając ślinę i czując na karku tchnienie śmierci. „Maryjo, Matko Boża, nie opuszczaj mnie”, szeptałem nieustannie. Opadałem już z sił, ale Opatrzność Boża sprawiła, że w ostatniej chwili natrafiłem ręką na gzyms. Wyciągnąłem drugą rękę i niemal nadludzkim wysiłkiem udało mi się złapać gzymsu, ale nadal nie mogłem podciągnąć wyżej ciała. Przez

moment, który zdawał się wiecznością, machałem w powietrzu nogami, wiatr szarpał mi pelerynę i czułem się tak, jakby Atlas złożył na mych barkach ciężar całego świata. Tylko Maryja mnie podtrzymywała. Wreszcie jakoś dotarłem do celu.

Siedziałem na parapecie, wsparty o słupek dwudzielnego okna, i nie mogłem złapać oddechu. Straciłem kilka bezcennych chwil, zanim zawiąłem hak w pelerynę, żeby rozbić szybę. Kawalki szkła rozprysły się po posadzce sali, do której prowadziło to okno. Wsunąłem dłoń przez wybitą w szybie dziurę, żeby je otworzyć, i wszedłem do pomieszczenia, które wydawało się jeszcze bardziej ciemne niż wtedy, gdy patrzyłem nań z dołu. Zamknąłem okno, niezbyt starannie uprzątnąłem kawalki szkła i rozejrzałem się dokoła. Byłem na półpiętrze, na ganku wychodzącym na główny dziedziniec. Miałem przed sobą drzwi, które -jeśli się nie myliłem – powinny prowadzić na schody.

Otworzyłem je i znalazłem się w innym pomieszczeniu dwa albo trzy razy większym niż to, które opuściłem. Wciąż byłem na ganku obronnym. Dopiero za następnymi drzwiami zobaczyłem schody. Gdy wszedłem na drugie piętro, stanowiące główną część pałacu, zastałem po mojej lewej ręce półotwarte drzwi. Z oddali dobiegało słabe światło. Pchnąłem lekko: była to Salla dei Gigli. Po lewej stronie powinna znajdować się Salla delie Udienze, a po prawej – Salla delie Carte Geografiche, skąd dochodziło to jedyne w pałacu światło. Skierowałem tam swoje kroki, trzymając dłoń na rękojeści szpady, i ostrożnie zajrzałem do środka. Na pierwszy rzut oka sala zdawała się pusta. Ale nie wszedłem, dopóki nie zbadłem wzrokiem każdego zakamarka. Jedyne, co się w niej poruszało, to chwiejny blask świec. Poza tym panowała grobowa cisza. Zrobiłem krok do przodu i zatrzymałem się, potem zrobiłem drugi i znalazłem się w sali.

Pośrodku, dokładnie na wprost mnie widniał ogromny globus; na ścianach wisiały mapy żeglarskie, jedna przy drugiej, nie zostawiając wolnego miejsca. To tutaj książę planował wyprawy i ustalał szlaki handlowe dla swojej floty, która zapewniała miastu tyle bogactwa. Zapatrzony w mapy, usłyszałem szelest zamykanych drzwi. Szybko się odwróciłem, wyciągając szpadę, i zobaczyłem niewyraźną sylwetkę. Podniosłem szpadę, mierząc w intruza z zapalem gorliwego katolika i strachem przyłapanego na gorącym uczynku złodzieja. Ale nie zatrzymał się i gdy ujrzałem jego twarz, ogarnęło mnie najwyższe zdumienie.

–Witaj, mistrzu DeGrasso – mruknął. – Wiedziałem, że przyjdiesz tej nocy.

61

–Może byś tak opuścił tę szpadę – zasugerował Darko.

–To ty? – wyjąkałem, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

428

–Ja. Ale niepotrzebnie się niepokoisz. Nie zrobię ci krzywdy...

–Nic mi nie zrobisz – odparłem – bo to ja mam szpadę.

–Ale wszędzie masz wrogów. Wystarczy jeden mój krzyk i twoja szpada na niewiele się przyda.

–Czego chcesz? – spytałem, opuszczając szpadę, jednak nie schowałem jej do pochwy.

Darko przeszedł mimo, stanął obok globusa, po czym odwrócił się w moją stronę i położył kościste dłonie na kuli ziemskiej.

–Długą drogę musiałeś przemierzyć, bracie DeGrasso – powiedział, pokazując na bagna

Asunción – żeby dotrzeć do mnie.

–Kim ty jesteś, do diaska?

–Kims, kto dziś w nocy uratuje cię od śmierci.

–Kłamiesz! – znowu podniosłem szpadę.

–Dlaczego miałbym kłamać?

–Bo trzymasz z kardynałem Iulianem, nie ze mną. Astrolog uśmiechnął się:

–A ty z kim teraz trzymasz? Przecież zdradziłeś Corpus Carus. Widzę, że jesteś zdeterminowany... Więc dobrze, zabij mnie i rób, co postanowiłeś. Jakich chcesz jeszcze dowodów? Nie wystarczy ci własna intuicja? Na co czekasz, bracie DeGrasso?! Zatop stal w mojej piersi, a potem dalej zastanawiaj się, o co w tym wszystkim chodzi!

Obserwowałem uważnie papieskiego astrologa, który śmiało podjął wyzwanie. Był człowiekiem trudnym do rozszyfrowania; nie umiałem nic wyczytać z jego oczu ani z gestów.

–Dlaczego miałbym ci wierzyć? – warknąłem, robiąc krok do przodu i zmuszając go, żeby się cofnął, bo inaczej ostrze szpady dotknęłoby jego piersi.

–Jeszcze mało dla ciebie zrobiłem?

–Dla mnie? Raczysz żartować – nic nie rozumiałem.

–Gdybym powiedział, że to z mojej rekomendacji powie-

rzono ci misję poszukiwania Necronomiconu i Szmaragdowego Kodeksu, uwierzyłbyś? Gdybym powiedział, że to ja przekonałem Jego Świątobliwość, żeby nie posłano cię na stos natychmiast po uwięzieniu, uwierzyłbyś? Gdybym powiedział, że światło w tym oknie paliło się tylko dlatego, żebyś w tę ciemną noc łatwiej znalazł drogę do mnie, uwierzyłbyś? Gdybym powiedział, że do zakonu Świętego Dominika, a potem do inkwizycji trafiłeś za sprawą starego mistrza Del Grandę, uwierzyłbyś?

–Coś już słyszałem o twojej rekomendacji... Ale skąd masz tyle rozeznania w strategiach ojca Piera? Wydaje mi się...

–Pragnę cię uratować, Angelo – przerwał Darko i zaraz dodał: Extra Ecclesia nulla salus, mój bracie...

–...że jesteś konfratrem – dokończyłem zaczęte zdanie, choć Darko przed chwilą sam to przyznał.

Po raz drugi opuściłem szpadę.

–Tak jak Tami, Xanthopoulos – powiedział Darko – i mój mistrz Piero.

–Ale oni... nigdy o tobie nie wspomnieli! – wciąż byłem trochę nieufny.

–To zrozumiałe. Należę do najbliższego otoczenia papieża. Xanthopoulos nie zna mnie osobiście, choć ja go znam. Wiedzieli o mnie tylko ojciec Piero i jezuita Tami... A teraz ty.

–Dlaczego?

–Bo ja jestem Wielkim Mistrzem Corpus Carus. Krew przestała płynąć w moich żyłach. Mistrzowska partia

szachów z roszadą Wielkiego Mistrza nabierała jasności. Darko kontynuował.

–Przyszedłeś po księgi. Wiedziałem, że tak będzie i że śmierć Raffaelli D'Alemy popchnie cię do szybszego działania. Dziś w nocy zabierzesz z pałacu Necronomicon i Kodeks. Zrobisz to bez walki, rezygnując z utopijnego planu ucieczki.

–Nie mam żadnego planu ucieczki...

–Jesteś dzielny, bracie – zawołał astrolog. – Duża w tym zasługa twojego mistrza. Zemsta nie doda ci skrzydeł, żeby stąd wyfrunąć. Zabiją cię. Co prawda w pałacu nie ma wiele straży, ale na zewnątrz żołnierze księcia tylko czekają na hasło do ataku. Wszystkim nie dasz rady.

–Wyjdę stąd, tak jak wszedłem. Nie muszę korzystać z głównych drzwi – odburknąłem.

–Nie zdziwił cię przypadkiem brak straży po tej stronie gmachu, która jest najciemniejsza, zatem najbardziej atrakcyjna dla kogoś, kto pragnie niepostrzeżenie przedostać się do pałacu? Wysłałem gwardzistów w inne miejsce, jak tylko zobaczyłem z Wieży Arnolfa, że jesteś na Ponte Vecchio. Dlatego było pusto.

–Zastanawiałem się nad tym, ale uznałem, że mój los wreszcie odmienił się na lepsze i należy mi się trochę szczęścia.

–Nie zdręczaj się, Angelo. Dokonałeś bohaterskiego czynu, ja zaś zadbałem tylko o to, byś nie tracił cennego czasu.

Darko zamknął drzwi, podszedł do pokrytej mapami konsoli, skąd wyjął dwa pakunki zawinięte w czarną skórę.

–Tu są książki – rzekł, patrząc na mnie. – W jednym węzélku są fałszywe kopie, z którymi pojedę do Rzymu. Ty weźmiesz drugi i wywieziesz go jak najdalej stąd. Wrócisz do Genui, do opactwa San Fruttuoso, a tam...

–Ktoś będzie na mnie czekał? – przerwałem, nie odrywając oczu od skórzanych paczek.

–Twój wikary Rivara.

–Pomyślałeś o wszystkim...

–Tylko tak się zwycięża – powiedział astrolog, kładąc oba węzélki na astrolabium, żeby je otworzyć.

–Ta paczka nigdy nie powinna znaleźć się w Rzymie – stwierdził, odsłaniając jej zawartość. Zobaczyłem gruby grzbiet Necronomiconu i cieńszy Kodeksu. – Oto książka i jej uzupełnienie z tajemnymi zaklęciami. Jesteś naszą ostatnią deską

ratunku; zabierz je stąd, a ja przez kilka dni będę zwodził inkwizycję, żeby dać ci czas na ucieczkę. Nasz los zależy od tych ksiąg.

–Dlaczego na mnie czekałeś? Dlaczego sam ich nie ukradłeś?

–Zamierzam pozostać tam, gdzie jestem: blisko papieża. Ujawnienie mojej roli w Corpus pozbawi nas oczu i uszu w Watykanie. I nasza loża nie będzie wiedziała, co się dzieje w kuluarach i antyszambrach watykańskich pałaców.

–Gdyby księgi dotarły do Rzymu, zaczęłoby się prześladowanie bractwa na wielką skalę, prawda? Dlatego mam je ukryć?

–Są jeszcze większe niebezpieczeństwa, mój bracie.

–Jakie?

–Nie musisz o nich wiedzieć... Na razie.

–Ale...

–Jeszcze za wcześnie – przerwał mi Darko. – Nie jesteś przygotowany, żeby wysłuchać moich racji.

–Czy to się wiąże z kardynałem Iulianem? – dopytywałem.

Darko pokręcił przecząco głową.

–Kardynał dobrze pracuje, ale... – tu przerwał i spojrzał na mnie ze współczuciem. – Znam historię twojej rodziny i mogę cię zapewnić, Angelo, że największym grzechem kardynała nie są uchybienia zawodowe, tylko błędy w życiu prywatnym... A teraz ruszaj, już prawie świt – zawiął odkryty pakunek i wręczył mi go. – Zejdiesz po schodach, ukryjesz się za którąś z kolumn na dziedzińcu, niedaleko wyjścia. Ja w tym czasie spróbuję odciągnąć wartowników, ale nie na długo. Będziesz mieć tylko chwilę, żeby wyjść głównymi drzwiami, a potem uciekaj tak szybko, jak się da.

Przytroczyłem księgi do pasa, z którego zwisała szpada, i wychodząc, zapytałem astrologa:

–A co z tobą?

–Dam sobie radę, nie martw się. Zrzucę na ciebie całą winę, powiem, że ukradłeś księgi. Masz aż nadto powodów, żeby to uczynić. Każdy zrozumie, że chciałeś się zemścić.

–Zobaczymy się jeszcze?

–Już nie muszę się przed tobą ukrywać – rzekł Darko – i na pewno się zobaczymy. Wkrótce o mnie usłyszysz. Ufam, że zachowasz w sekrecie tożsamość Wielkiego Mistrza Corpus Carus...

–Oczywiście – zapewniłem go pospiesznie, zanim dokończył zdanie.

Widać było, że jest zmęczony długim czuwaniem. Powoli zamknął i otworzył oczy. Był starcem, podobnie jak Piero.

–Idź już, Angelo. Wykonaj do końca najważniejsze zadanie twego życia. Bądź dobrym inkwizytorem i zabierz stąd tę herezję.

Zwróciłem się ku drzwiom, ale jeszcze ich nie otworzyłem. Nie mogłem zrezygnować z ostatniego pytania.

–Czego się boisz w Rzymie?

–Nie jesteś na to przygotowany, uwierz mi – mruknął.

–Powiedz, proszę. Byłem gotów tu umrzeć dzisiaj, nic mnie już nie przestraszy.

–Odejdź, Angelo, błagam – nalegał Darko.

–Nie wyjdę, dopóki nie otrzymam odpowiedzi – cofnąłem się od drzwi i ruszyłem powoli w jego stronę.

Darko popatrzył niechętnie, ale w końcu powiedział:

–Boję się Tajnego Stowarzyszenia Czarowników. Ich Wielki Mistrz ukrywa się w Rzymie... Nic więcej ci nie powiem. Teraz już idź.

–Kto nim jest? Ty wiesz i ja też chcę wiedzieć – upierałem się, choć wiedziałem, że Darko liczy każdą traconą sekundę.

–Lepiej, żebyś nie wiedział, Angelo...

–Mów, kto jest Wielkim Mistrzem Czarowników, albo się stąd nie ruszę...

Darko przeszył mnie wzrokiem i poruszył wargami, nie wydając dźwięku.

To co z nich wyczytałem, pograżyło mnie w najstraszliwszej rozterce.

Darko powiedział bezgłośnie – PAPIEŻ.

Wyszedłem jak nieprzytomny. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Księgi ciążyły mi coraz bardziej. Darko miał słuszość. Nie byłem przygotowany na taką rewelację. A jeszcze mniej na to, co zaraz miało nastąpić...

62

Zszedłem po schodach na dziedziniec i ukryłem się w jednym z licznych podcieni, blisko wyjścia strzeżonego przez wartowników. Obserwowałem ich ruchy i sprawdziłem, czy księgi są mocno przytroczone do pasa, żeby nie wypadły, jak będę musiał biec. Wkrótce zjawił się Darko. Podeszedł do wartowników, coś im powiedział i razem z nimi wrócił po schodach na górę. Był to dla mnie sygnał do opuszczenia pałacu. Nasunąłem kaptur na twarz i szybko skierowałem się do portyku. W miejscu, gdzie zaczynały się schodki, przystanąłem, żeby rzucić okiem na plac. Przede mną stały trzy karocy. Kiedy pokonywałem tych kilka stopni, dzielących mnie od wolności, usłyszałem cichy szelest za plecami. Nie było wartowników, ale ktoś za mną szedł. Nie mogłem się odwrócić, żeby sprawdzić kto to, więc szedłem w kierunku Loggia dei Lanzi. Zamierzałem przystanąć koło pierwszej karocy, żeby mieć osłonę. I tak zrobiłem.

Z portyku wyszły dwie osoby, rozmawiając między sobą. Natychmiast je rozpoznałem: Giuseppe Arsenio, dworzanin wielkiego księcia Ferdynanda I Medycejskiego, i Damian

434

Wołchowicz, obecnie Generalny Inkwizytor Toskanii. Zbliźali się do karocy, toteż nie było sensu dłużej się ukrywać. Ruszyłem prosto przed siebie, starając się zachowywać naturalnie. Polak zobaczył mnie pierwszy.

–Stój, kto idzie! – wykrzyknął. – Czekasz na kogoś? Nie znam cię...

Chwyciłem rękojeść szpady i zdjąłem kaptur, stojąc jeszcze do nich plecami. Zdębieli, kiedy się odwróciłem.

–DeGrasso! Kompletnie oszalałeś... Co tu robisz? – wyjąkał Wołchowicz.

–Przyszedłem po to, co do mnie należy – odpowiedziałem krótko.

Giuseppe Arsenio, który szedł nieco z tyłu, stanął obok Polaka. Jego twarz wyrażała przestach, jakby zobaczył zjawę.

–Mistrz DeGrasso jest doprawdy nieprzewidywalny! – zawołał.

–Zejdźcie mi z drogi, jeśli chcecie zobaczyć wschód słońca – pogroziłem im wolną ręką.

–Co was napadło? – odrzekł Arsenio. – Przypominam, że jesteśmy w sercu Florencji o kilka kroków od koszar książęcej straży.

–Florencja śpi i tak ma zostać, jeśli sami nie chcecie zasnąć snem wiecznym – odwinąłem pelerynę, pokazując im szpadę, która zabłysła w świetle księżyca.

Arsenio pobladł, jakby ujrział Girolama Savonarolę, dominikanina buntownika, którego spalono na tym placu sto lat temu. Obaj z Wołchowiczem cofnęli się o kilka kroków, nie spuszczając ze mnie oczu.

–Bardzo dobrze. Widzę, że jako ludzie inteligentni nie będziecie się wtrącać w sprawy, które do was nie należą.

–Przyszedłeś zabrać księgi – odparł Polak z cynicznym uśmiechem – ale nie odejdiesz z nimi... Wszystko wiem, kardynał Iuliano mi powiedział. Szatana ukrywasz pod peleryną, Antychrysta, który chce zniszczyć chrześcijaństwo.

Gdy patrzyłem na niego, poczułem dziwne ciepło wydzielane przez zawieszony u pasa księgi. Noc, oczekiwanie, niepokój i posępne słowa Polaka sprawiły, że uległem sugestii, chociaż powinienem zachować zimną krew. Miał przenikliwe, hipnotyzujące spojrzenie, które mnie osłabiało. Kontynuował:

–Dobrze wiesz, że nie pozwolę ci odejść z księgami. Nie powinny pozostać w rękach konfratra. Ich przeznaczeniem jest znaleźć się w rękach Kościoła, pod opieką dobrego inkwizytora. Takiego jak ja.

–To ja wytropiłem i odnalazłem te księgi.

–Byłeś tylko narzędziem Kościoła, na dodatek kiepskim narzędziem, bo po wykonaniu zadania nie przyszło ci nic innego do głowy, jak oddać księgi Corpus Carus, a potem odebrać dla ratowania dziewczyny, z której nie zostało już nic prócz prochu na rzymskiej ziemi.

Spojrzałem na Palazzo Vecchio, który zaczynał tętnić życiem. Trzy sylwetki opuściły gmach. Chuda, wyniosła postać cała na czarno, to kardynał Iuliano. Po jego lewej stronie szedł biskup Delepiano, po prawej zaś, mnich kaleka Giulio Battista Evola.

Ich obecność dodała Wołchowiczowi odwagi, tymczasem tchórzliwy jak szczur Arsenio wciąż trzymał się dyskretnie na drugim planie. Spojrzałem na Polaka i powiedziałem:

–Kując, zostaje się kowalem, drogi Damianie. Musisz się jeszcze dużo nauczyć. Zapamiętaj raz na zawsze...

–Co mam zapamiętać? – przerwał mi. Spojrzałem mu prosto w oczy.

–Ze to ja jestem mistrzem.

Popchnąłem Polaka tak, że oparł się o koło karocy. Zaczęliśmy się szamotać, co zwróciło uwagę Vincenza Iuliana; zatrzymał się i patrzył w naszą stronę. Rozpoznał mnie, ale chyba nie wierzył własnym oczom. Natomiast Evola się uśmiechnął. Z tyłu za nimi pojawiło się trzech gwardzistów. Nie mogłem się już wycofać. Musiałem zostać i walczyć aż do końca. Mimo to nie traciłem nadziei i ta walka nie napawała mnie lękiem.

Czułem bowiem (choć nie umiem powiedzieć jak i dlaczego), że Bóg jest po mojej stronie. Czyż On nie jest najlepszą armią?

Wołchowicz pozbierał się, wsadził rękę przez okno do środka karocy i wyciągnął stamtąd szpadę. Postanowił stawić mi czoło, bo wiedział, że nie jest już sam. Kardynał przykazał dwóm z trójki żołnierzy chronić biskupa, a trzeciego wysłał na pomoc Damianowi.

–Źle na tym wyjdiesz – powiedział Wołchowicz, przysuwając się bliżej. – Szkoda, że taki uczyony człowiek kończy w potrzasku jak złodziej kur. Oddaj księgi, a pozwolę ci uciec z godnością.

Odwróciłem się na sekundę, żeby zbadać odległość dzielącą mnie od konia. Była zbyt wielka. Wołchowicz zepchnął mnie aż do Fontanny Neptuna, oddalając od Loggii. Zatrzymałem się przy fontannie i patrzyłem na napastników.

–Widzę, że jesteś inteligentnym człowiekiem – powiedział Damian, gdy się zatrzymałem. – A teraz dawaj księgi i odejdz, póki nie zacznę żałować swej obietnicy.

Mocno chwyciłem za rękojeść szpady i wyciągnąłem ją z pochwy, mierząc w Polaka. Czekałem w milczeniu, przygotowany na najgorsze. Wołchowicz uśmiechnął się. Myślał, że ma nad wszystkim kontrolę, nawet nad moją wolą.

–Ty głupi mnichu... Pokażę ci, kto tu jest mistrzem szpady, a kto skazanym na porażkę nieszczęśnikiem. Jesteś uparty i niewdzięczny, zawsze trzymałeś mnie w cieniu. Jesteś zarozumiałcem, który zaraz zadławi się własną pychą.

Wołchowicz wykonał ruch szpadą na wysokości mojej twarzy, ale odparowałem, choć nieśmiało, wywołując tym wybuch śmiechu u mojego przeciwnika. Żołnierz przysłany przez Iuliana wymierzył we mnie halabardę. Dwóch na jednego, nierówna walka. Polak ponowił atak; odbiłem cztery silne ciosy.

–Nieźle, nie doceniałem cię... Przynajmniej umiesz się bronić.

Znów zaatakował i znów odparowałem natarcie. Polak myśl-

łał, że trafił na łatwą zdobycz, ale się pomylił. Kazał żołnierzowi uderzyć na mnie z boku. Ten zamachnął się dwa razy, zanim wykonał szybkie pchnięcie, mierząc w ramię ze szpadą. Zasłoniłem się wolną ręką, na którą przyjąłem głębokie cięcia. Cofnąłem się.

–Podдай się! Nie wyjdiesz żywy z tego placu – wrzasnął Wołchowicz i zaatakował od swojej strony, kiedy uwagę miałem zajętą żołnierzem.

Odpierając jego cios, potknąłem się i upadłem. Gwardzista chciał mnie dobić, ale tylko rozdarł mi pelerynę i trzasnął halabardą o bruk. Tymczasem Wołchowicz natarł tak brutalnie, że zaiskrzyło spod skrzyżowanych szpad, co musiało być widoczne w samym pałacu. Zebrałem się w sobie, żeby stanąć na nogi, i los mi to wynagrodził w dwójnasób. Gwardzista ponownie chybił, usiłując dźgnąć mnie halabardą, i stracił równowagę. Wtedy ja chwyciłem szpadę oburącz, wycelowałem w rękę i trafiłem. Nawet nie krzyknął; podniósł dłoń bliżej oczu i zobaczył swoje trzy palce spadające do fontanny. Krew lała się strumieniami; skorzystałem z zamieszania, żeby poprawić pchnięciem w szyję. Hełm pofrunął, a bezwładne ciało osunęło się do fontanny. Wołchowicz cofnął się. Teraz walka była wyrównana: jeden na jednego.

–Angelo...! Angelo...! – doleciał głos z karocy. Nie byle jaki głos. Wszędzie bym go rozpoznał. Anastasia wrywała się przytrzymującemu ją Arseniowi i chciała biec do mnie.

–Uciekaj! Zabiją cię!

Desperacki krzyk Anastasii rozproszył moją uwagę i nagle poczułem żar rozlewający się po ciele; Polak skorzystał z okazji, żeby przebić mi udo. Anastasia szalała z rozpaczy, przeklinała Polaka, a ten stał naprzeciwko mnie w postawie gotowości.

–Przepadłeś z kretesem, podдай się. Jesteś tylko laufrem. Takie figury zwykło się poświęcać w grze o najwyższą stawkę. Mamy ich wiele i poradzimy sobie bez ciebie. Nie jesteś niezastąpiony. Dostaniesz to, na co zasługujesz.

–A ty jesteś zwykłym pionkiem... – odparłem uśmiechnięty.

Wołchowicz pohamował gniew i mówił dalej, bo coś go bardzo zaintrygowało.

–Dziwne, że panna Anastasia tak się tobą przejmuje. Jak ty to zrobiłeś? Powiedz, jak poskromić taką kapryśną damę, przecież to najlepsza partia we Włoszech. Muszę się dowiedzieć, zanim cię zabiję... Może kiedyś obdarzy i mnie swymi wdziękami.

–Nie spodobasz się jej, drogi Damianie. Ona nawet nie spojrzy na takiego nędznika... Ale podobno jesteś mistrzem szpady. Udowodnij to wreszcie! – rzuciłem prowokacyjnie.

–Zapomniałeś o drobnym szczególe... Twoja noga... To dopiero początek – rzekł uśmiechnięty Wołchowicz, wyciągając ku mnie szpadę.

–Anastasia nie zwróci na ciebie uwagi. Za kogo ty się masz? Jesteś tylko czeladnikiem inkwizytora. Nie wywrzesz na niej wrażenia, choćbyś się nie wiem jak starał. Czym ty możesz jej zaimponować? Niczym, nawet jako mężczyzna... – trafiłem w słabą stronę Damiana. Zacerwienił się, a uśmiech na jego twarzy przeszedł w grymas wściekłości. – Nie zazna z tobą rozkoszy łóżkowych. Vox populi głosi, że Polacy są w tych sprawach jakoś... niezbyt męscy. Noś zawsze w kieszeni kilka złotych monet, a będziesz miał swą księżniczkę... taką z florenckiego burdelu.

–Zamknij się! – ryknął, podczas gdy cofałem się, utykając boleśnie na jedną nogę.

Fontanna Neptuna była spryskana krwią w czerwonawej wodzie unosił się żołnierz twarzą do dołu. Po raz kolejny ludzka krew rozplynie się w wodach Arno. Rana w nodze obficie broczyła krwią, zostawiając gęste ślady na wybrukowanym placu. Broniłem się, jak mogłem, przed atakami Wołchowicza, który nie dawał mi wytchnienia. Nasze szpady zderzały się co chwila, syjąc skry i wydzielając metaliczne dźwięki. Rana paliła i kulałem coraz mocniej; już tylko mogłem

się cofać, zamiast atakować. Serce łomotało mi w piersi ze zmęczenia i strachu. W uszach rozlegały się głosy Parek, jakby to były ostatnie chwile mego życia. Walcząc, dotarliśmy do stóp posągu Kośmy I na koniu, wzniesionego na cześć ojca obecnego księcia Florencji. Zmęczenie i utrata krwi dały o sobie znać. Poczulem raptowny przypływ słabości i zawroty głowy, kolana ugięły się pode mną; byłem pokonany. Z trudem utrzymywałem się na nogach, ciężła w rękach szpada skierowana na Polaka. Wyciągnąłem ramię w geście zapraszającym, żeby podszedł bliżej. Liczyłem, że potraktuje mą rękę jako łatwy cel i na nią skieruje pchnięcia. Wtedy ja mógłbym zadać mu z bliska śmiertelny cios bez obawy, że chybię.

Polak zaatakował inaczej, niż się spodziewałem. Podszedł, kopnął mnie w ranę tak, że zgiąłem się w pół, jęcząc z bólu, i mimowolnie zasłoniłem udo wolną ręką. Wołchowicz w mig wykorzystał tę niezwykle okazję. Powietrze przeszył dźwięk stali, zapowiedź pchnięcia, którego już nie mogłem uniknąć. Uderzył mnie przez twarz ostrzem szpady i runąłem jak długi. Leżąc na w pół przytomny, słyszałem bezsilne krzyki Anastasii. Szum w uszach przechodził w gwizd. Oszołomiony, sprawdziłem tylko ręką, czy ucho wciąż jest na swoim miejscu. Od razu poczułem też gorzki smak w ustach i nie wiedząc jeszcze, że straciłem zęby, zacząłem pluć krwią.

–Kiepsko wyglądasz – ucieszył się Wołchowicz. Z trudem stanąłem na nogi i uniosłem szpadę.
– Jeszcze ci mało? Miej litość dla siebie, opuść broń i pozwól, że ukróczę twą mękę.

–Ty zarozumiały głupcze – charczałem – uważasz się za mistrza, a jesteś tylko marnym praktykantem.

Uśmiechnięty Wołchowicz z obojętnością przyjął obraźliwe słowa i szykował się do ostatniego pchnięcia. Zamierzał dosięgnąć mnie od obolałej strony. Odsunąłem się szybciej, niż przewidział, i cios poszedł na ziemię. Był tak silny, że musiały rozboleć go ręce.

Spojrzał zdumiony, gdy przygniotłem koniec jego szpady;

został bez broni. Nie zwlekając, zagłębiłem ostrze w jego białej szyi. Damian Wołchowicz podniósł ręce do gardła, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaczął wymiotować krwią.

Opadł na kolana i zwałił się u mych stóp.

Instynktownie spojrzałem za siebie. Nie było mi dane zaznać spokoju. Z tyłu, o kilka kroków dalej stali Giulio Battista Evola i kardynał Iuliano. Neapolitańczyk, uosobienie mych najgorszych koszmarów, czekał tylko na rozkaz do ataku, który miał nadejść niebawem.

–Czego tu szukałeś? – krzyknął Iuliano.

–Tego, co do mnie należy – powiedziałem straszliwie wyczerpany.

Kardynał spojrział na leżące opodal martwe ciało Polaka i znów zwrócił się do mnie.

–Dlaczego sądzisz, że księgi należą do ciebie?

–Bo wasz siepacz, kardynale, wynegocjował coś ze mną na wasze polecenie.

Nastąpiła krótka cisza, którą przerwał Iuliano.

–Jesteś głupcem! To, że ukradłeś te księgi, nie znaczy, że są twoje. Należą do nas. – Superior Generalny Inkwizycji miał beznamiętny głos.

–Nie obchodzi mnie, do kogo należą- krzyknąłem resztką sił. – Nie obchodzi mnie, na co potrzebne są wam, a na co Corpus Carus, nie mówiąc już o czarownikach diabła! Podarowałem je wam, oddałem bez wahania i co dostałem w zamian? Zdradziliście mnie! Życie młodej dziewczyny, która nie miała nic wspólnego z herezjami i nie znała się na waszych ambicjach ani intrygach, oto prawdziwa cena tych ksiąg i dlatego są moje! Należą do mnie, bo wy, kardynale, złamaliście dane słowo, wysyłając na stos Raffaellę D'Alemę!

441

Wspornienie ukochanej niespodziewanie przywróciło mi siły. W chaosie walki na moment zapomniałem, po co znalazłem się na tym placu. Zemsta! Mam powinność do spełnienia. Jeszcze nie koniec! Spojrzałem gniewnie na Evolę, wskazując na niego zakrwawioną dłoń.

–Ty kanalio! Ty plugawy karle! Dałeś mi słowo! Obiecałeś, że ją uwolnisz! No i uwolniłeś, ale na swój sposób! Dla Boga!

Iuliano interweniował natychmiast.

–To nie jego wina. Nic nie mógł zrobić – powiedział beznamiętnie.

–Jak nie jego, to czyja? Kto odpowie za śmierć dziewczyny?

Kardynał spojrział przenikliwie, ale nie przyznał się do zbrodni.

–Nieważne, kto to zrobił. Spójrz na to, jak na jedną z wielu tragedii, której nie mogłeś uniknąć.

–Zgoda – odpowiedziałem. – Zatem wy, kardynale, potraktujcie księgi jako jedną z tych

tragedii, której już nikt nie uniknie.

–Jesteś bardzo odważny, zapalczywy i uparty, Angelo. – Iuliano uśmiechnął się. – Ciekawe, jak chcesz pozbawić mnie ksiąg. Jesteś ranny i nie masz nikogo do pomocy oprócz swojej szpady.

Rzeczywiście tak było. Powieki mi ciążyły i wciąż musiałem przełykać krwawą mieszankę śliny i zmęczenia. Iuliano mówił dalej.

–Bądź rozsądny; nie masz żadnych szans. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił. Twoja kruczata skończona.

–Ja was do tego nie zmuszam ani teraz... ani jak byłem dzieckiem... – powiedziałem, patrząc na kardynała. Vincenzo Iuliano nie zareagował. Wciąż naciskał.

–Oddaj księgi, to cię nie zabiję.

–Twoja córka nigdy ci nie przebaczy, jeśli mnie zabijesz. Przebaczyła ci różne spiski i akty zemsty, ale wszystko ma

swoje granice. Nigdy ci nie przebaczy, jeśli zabijesz jej jedyne brata, którego kocha całym sercem.

Anastasia znajdowała się w karocy dość blisko, aby nas słyszeć.

Evola wbił wzrok w kardynała, tymczasem Iuliano długo coś ważył w myślach. Grzechy młodości wróciły w najmniej spodziewanym momencie. Syn, którego nigdy nie pragnął, mówił do niego teraz, jakby powstał z grobu.

–Opuść szpadę i oddaj mi księgi – mruknął zmieszany, lecz nieustępliwy.

Evola słuchał ze zdumieniem, nie śmiejąc powiedzieć słowa.

–Rozumiem twoje lęki – powiedziałem. – Rozumiem, że się mnie wyrzekłeś, rozumiem nawet to, że chciałeś się mnie pozbyć. Wybaczam ci, ojczy. Jednak nigdy ci nie wybaczę, że zabiłeś moją matkę. I Raffaellę.

Giulio Battista Evola westchnął i zamyślił się, odrywając na chwilę wzrok od twarzy kardynała. Iuliano rzucił mu zimne spojrzenie i rozkazał:

–Zabij go...

Evola zrazu stał nieruchomo, jakby nie pojmował, co się do niego mówi. Potem wziął szpadę Wołchowicza i stanął naprzeciwko mnie, zachowując czujność. Jego jedyne oko wyrażało więcej pytań niż odpowiedzi, ale był zahartowany w ślepym posłuszeństwie jak stal, którą próbował zatopić w moich trzewiach.

Błysk szpad przyćmił pierwsze brzaski dnia widniejące na horyzoncie i rozjaśnił panujący na placu półmrok. Szpicel kardynała wywijał szpadą po mistrzowsku, jak żołnierz, i miał swoją strategię śmiertelnego ciosu, którą realizował bez pośpiechu. Od początku myślałem z lękiem, że przyjdzie mi się z nim zmierzyć i oto ten moment nastąpił w fatalnych dla mnie warunkach, Evola bowiem był świeży, a ja zmęczony i ranny. Zastosowałem taką samą taktykę jak w pierwszych chwilach walki z Polakiem. Tańczyłem tak, jak mi zagrał: on atakował,

a ja się broniłem. Okrążyliśmy cały plac pod czujnym okiem kardynała, który zachował luksusową pozycję widza tej krwawej walki.

–Jesteś ohydny zdrajcą. Okłamałeś mnie, Evola – zdołałem mu powiedzieć, kiedy skrzyżowaliśmy szpady.

–To nie ja posłałem Raffaellę na śmierć i przysięgam, że robiłem wszystko, aby temu zapobiec

– odburknął.

–Chcesz mnie zabić? Zamordować jak mojego mistrza?

–Nie gadaj tyle, tylko broń się! – krzyknął Evola, wymierzając pchnięcie, od którego przedziurawiła mi się peleryna z boku, koło brzucha. – Twój mistrz nie mógł walczyć. Ty możesz zginąć jak mężczyzna.

W brzasku wstającego dnia coraz lepiej było widać pozostałości tej nieszczęsnej bitwy: żołnierz pływający w Fontannie Neptuna, zakrwawione ciało Inkwizytora Generalnego Toskanii i dwóch mężczyzn walczących na śmierć i życie. Anastasia obok swojej karocy wciąż płakała i wrywała się Arseniowi. W jej łzach nie było już gniewu, tylko raczej rezygnacja w obliczu śmierci, która zdawała się nieuchronna. Walcząc, okrążyliśmy plac, docierając w pobliże Loggia dei Lanzi, gdzie nadal czekał na mnie mój koń. Blisko, lecz za daleko, bo nie mogłem go dosięść. Musiałem się bronić, nie okazując słabości przed Evolą, bo on nie ustawał w próbach zadania mi ciosu, żeby wykonać jak najszybciej rozkaz swego pana.

–Jesteśmy do siebie podobni, bracie DeGrasso. Szkoda, że nie walczymy po tej samej stronie, ale życie i twój głupi kaprys postawiły nas naprzeciwko siebie. Żałuję, że muszę cię zabić. Tym bardziej przykro, że zabiję syna kardynała Iuliana.

Zauważyłem, że Evola z wielkim zaskoczeniem przyjął wiadomość, że jestem z rodu Iulianów. Ale nie przypuszczałem, że zrobi to aż takie wrażenie na tym mordercy. Poczulem zimny kamień za plecami. Evola osaczył mnie przy Loggii i pewny swego zwycięstwa ciał w szyję. Jednak szpada trafiła

w twardą, kamienną ścianę, łamiąc się na dwie części, a Neapo-litańczyk wpadł na mnie całym ciężarem ciała. Iuliano wstrzymał oddech. Wiedział, że jak tylko Evola się odsunie, będzie na lasce mojej szpady. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że mnich przywiera coraz mocniej, pragnąc zyskać na czasie i obmyślić nową taktykę. Nie dałem mu takiej szansy. Rąbnąłem go bykiem w twarz, żeby odsunął się choć na krok. To poskutkowało. Natychmiast potem Evola schylił się, szukając czegoś w rękawie, a ja wbilem mu szpadę między żebra. Jego oczy zabłysły na znak zwycięstwa, czego nie rozumiałem, dopóki nie zagłębił w mej piersi sztyletu równie łatwo i szybko, jak wyjął go z ukrycia. Ta dziwna daga, prawie świętokradzka, ceniona przez Evolę bardziej niż relikwie, weszła mi pod obojczyk tak głęboko, że koniec ostrza wystawał przez ramię. Zranił mnie tą samą bronią i w taki sam sposób, jak zranił Tamiego.

Giulio Battista Evola runął na ziemię i patrzył na mnie. Niezdolny do dalszej walki, próbował powstrzymać resztką sił krew tryskającą z rany pod żebrami. Konał. Słabe światło brzasku padało na stojący w Loggii posąg Perseusza, który Benvenuto Cellini wyrzeźbił dla Kośmy I. Popatrzyłem na posąg przez chwilę i pomyślałem, że ja też zadałem śmierć potworowi. Z obolałą nogą i sztyletem wystającym z ramienia, opuściłem plac. Marzyłem, że dosiadam wierzchowca, który był już w zasięgu mej ręki, ale... Iuliano stanął mi w poprzek drogi.

–Pozabijałem twych siepaczy, ojcze – powiedziałem, próbując utrzymać się na nogach.

Iuliano był coraz bliżej, widział, że jestem śmiertelnie ranny, i nie powiedział ani słowa. Za to ja mówiłem.

–Nie chcę już walczyć, chcę tylko odejść z tym, co mi się należy – powiedziałem, z nadludzkim wysiłkiem unosząc szpadę. – Teraz ty? Nie zmuszaj mnie, ojcze, żebym i ciebie zabił.

Oczy same mi się zamykały, nie mogłem oddychać. Ledwo

trzymałem szpadę, stojąc na trzęsących się nogach. Iuliano zbliżał się nieubłaganie. Szpada wysunęła mi się z rąk i z metalicznym traskiem upadła na bruk. Zrobiłem kilka kroków do tyłu i zatrzymałem się. Jednym szarpnięciem ręki wyciągnąłem dagę z ciała, aż zakręciło mi się w głowie od potwornego bólu. Nie wypuszczając jej z dłoni, upadłem na kolana. Pozostałem chwilę w tej pozycji, patrząc na człowieka, który był mym ojcem. Opuściłem głowę, śmiertelnie wyczerpany, otworzyłem zaciśniętą dłoń i sztylet wypadł na ziemię, a zaraz potem padłem do tyłu, na plecy, prosto w kałużę. Nie miałem już na nic sił, nie miałem czym oddychać, bo powietrze nie dochodziło do płuc, błądziłem spojrzeniem po bladym o świcie niebie. Dobięły końca moje dni. Brudna florencka kałuża, zmieszana z moją krwią, będzie mi całunem. Kardynał przyklęknął i przysunął swoją twarz do mojej.

–Przegrałem... – wyszeptałem, patrząc mu prosto w oczy. Nieśmiało dotknął mego czoła,

ocierając zeń pot i resztki

krwi.

–Nie powinienś walczyć z całym światem – przerwał ciszę kardynał.

–Nie powinienem przyjść na ten świat.

–Kto wie... Może to wszystko tłumaczy – odparł Iuliano, odsuwając mi pelerynę, żeby odpiąć od pasa szpady zawiniątko z księgami. Położył je na ziemi, koło mnie.

Ślina zgęstniała w mych ustach; miała więcej krwi niż wody; zanosłem się od kaszlu i znów spojrzałem na mojego kata.

–Jakie masz wspomnienie swego ojca? – wyszeptałem.

–Jak najlepsze – kardynał pogłaskał mnie po głowie. Uśmiechnąłem się. Strużka krwi spłynęła mi z ust.

–Spłodziłeś mnie dla zimnego, niepojętego świata. Ukradłeś mi wspomnienia... Dałeś mi życie puste, bez ojca... Szkoda, że nie umarłem jako dziecko...

–To wszystko się skończy, Angelo – mruknął kardynał.

–Nie zasłużyłem na taką śmierć. Z twojej ręki! – wykrzyknąłem. Iuliano wciąż podtrzymywał mi głowę, lecz jego oczy nie wyrażały żadnego uczucia. – Czy twój ojciec cię kochał? – pytałem w agonii.

–Bardzo. Zawsze mnie kochał.

–Kochasz swoją córkę? Iuliano nie odpowiedział.

–Kochasz swoją córkę? – nie ustępowałem. Przytaknął ruchem głowy i stwierdził:

–Jest tym, co kocham najbardziej na tym świecie.

–A ona... Kocha cię? – kontynuowałem.

–Tak...

Spojrzałem na ojca z bólem.

–Ja też chciałem kochać i być kochanym. Tak jak Anastasia. Ale zabiłem wszystkich, którzy obdarzyli mnie uczuciem. Jestem sam, jestem sierotą. Nie opuszczaj mnie teraz... Na miłość Boską! – Po policzku spływała mi łza. – Nie każ mi umierać samotnie w tej kałuży... zostań ze mną do końca.

Mój ojciec zawahał się chwilę. Nigdy nie pomyślał, że weźmie mnie w ramiona, konającego, i splami się moją krwią, która pochodziła od niego.

–Popatrz na mnie z szacunkiem – poprosiłem. – Tylko teraz, w tym momencie. Bo ty zamkniesz mi oczy.

Drżałem ze strachu i przerażenia przed śmiercią. Iuliano przyjrzał się swoim palcom poplamionym krwią i popatrzył na księgi.

–Synu – powiedział niewyraźnie.

Dusiłem się z bólu. Mój głos stawał się słaby i omdlewający. Czulem ogień w ranach i czarną mgłę przed oczami.

–Umieram. Nie puszczaj mojej głowy. Będę szczęśliwy, jeśli spełnisz tę prośbę.

Kardynał oparł głowę na mojej piersi i wybuchnął gorzkim, bezgłośnym płaczem płynącym z głębi jestestwa. Oddychałem z trudem. W pobliżu dały się słyszeć czyjeś kroki. To Anastasia.

Przystanęła nieopodal, zaskoczona i zdyszana. Zanosila się od placu, a mimo to olśniewała urodą wręcz doskonałą. Podeszła do rannego brata i obolałego ojca. Usiadła przy nas w eleganckiej sukni, nie zważając na brudną kałużę, czerwoną od mojej krwi. Popatrzyła na ojca, wtulonego we mnie jak dziecko. Potem zwróciła oczy na mnie.

–Wybacz nam, Angelo, wybacz wszystko, co było złe. Wybacz, że rozpętaliśmy to szaleństwo.

–Powiedz to Chrystusowi. On wam wybaczy – wydysza-łem, trzymając się mocno jej ręki, jakby to mogło pomóc zatrzymać życie, które ze mnie uchodziło.

O świcie plac zaludnił się dziwnymi istotami, wyłaniającymi się z mroku jak duchy wraz z pierwszym brzaskiem dnia. Kardynał uniósł głowę znad mej piersi, słysząc zbliżające się kroki. Z Loggia dei Lanzi wychodziło siedmiu mnichów w ciemnych habitach i kapturach nasuniętych na głowę. Uzbrojeni jak dawni krzyżowcy. Zatrzymali się nieopodal. Z tyłu za nimi kardynał dostrzegł wielu jeźdźców, obstawiających wyjście na plac w kierunku karoc. Jeden z zakapturzonych mnichów podszedł bliżej i powiedział do kardynała:

–Odejdźcie, tu nie ma już nic, co mogłoby was zainteresować.

–Przychodźcie po niego? – zawołał Iuliano. Jedną ręką ochraniał córkę, a drugą chwycił za rękękojeść szpady.

–Nie sądzicie, kardynale, że już dość krwi polało się na tym placu? – odparł łagodnie, ale stanowczo zakapturzony i wskazał na stojącego za nim kusznika, który mierzył prosto w mego ojca. Był to Xanthopoulos; przybył na pomoc, tak jak obiecał. Jeszcze inny mnich schylił się po węzełek z księgami. Uśmiechnąłem się, rozpoznając włoskiego jezuitę: był jeszcze chudszy niż przedtem, ale żywy. Przeciął sztyletem sznurek na skórzanym worku, otworzył węzełek i wyciągnął księgi, które

wszyscy mogli zobaczyć. Były w bardzo dobrym stanie, prawie nietknięte, jakby nie miały za sobą takiej długiej podróży.

–Wszystko stracone – mruknął kardynał i zrozumiałem, że księgi nigdy nie dotrą do Rzymu.

Na nic zdała się cała jego praca i wszystkie zbrodnie. Potęga jednej kuszy sprawiła, że musiał ustąpić.

Giorgio Carlo Tami zrobił krok do przodu i spojrzał na mnie. Lekki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Ja też uśmiechnąłem się mimo bólu, wdzięczny zmiennemu losowi.

–Wielki Mistrz dokończy mego dzieła... Tami spojrzał na księgi

–Wielki Mistrz? – zawołał.

–Tak, dzięki niemu mogłem wejść i wyjść z pałacu. To on mi dał księgi.

Tami podniósł tobolek z ziemi i wydał polecenie jednemu ze swych ludzi:

–Trzeba wycofać się stąd jak najszybciej, bo lada moment mogą pojawić się gwardziści księcia. – A potem zwracając się do mnie, zapytał: – Więc to Wielki Mistrz dał ci te księgi?

–Pomógł mi w najtrudniejszym momencie – powiedziałem, patrząc na Tamiego, a potem na kardynała, który miał taki wyraz twarzy, jakby nie mógł zrozumieć, co się dzieje, bo dotychczas nikt przy zdrowych zmysłach nie śmiał w jego obecności użyć słów: Wielki Mistrz Corpus Carus. Giorgio Carlo Tami podniósł Necronomicon wyżej, żebym w świetle wschodzącego dnia lepiej widział to, co chciał pokazać: wszystkie strony w środku były czyste, niezapisane. Wyraz najwyższego zdumienia zagościł na mej twarzy, a Tamiego ogarnął głęboki smutek.

–To niemożliwe! – zawołałem najgłośniejszym głosem, jak mogłem, i nowa strużka krwi pociekła mi z ust.

Tami wziął do ręki Szmaragdowy Kodeks i też go przekart-kował. Białe kartki papieru.

–Mistrz pomylił węzółki i zamiast ksiąg dał mi fałszywe

kopie, które on miał zawieźć do Rzymu – ciągnąłem mocno speszony.

Anastasia patrzyła wielkimi szarymi oczami, tajemniczymi jak zagadka białych kartek. Tami zaś odwrócił się powoli, trzymając wciąż Kodeks w ręku.

–Angelo... My nie mamy teraz Mistrza. Po śmierci ojca Piera del Grandę jeszcze nie wybraliśmy nowego.

–Przecież Wielki Mistrz... – powtórzyłem skonsternowany.

Jezuita Tami pokręcił przecząco głową, zanim odpowiedział. Jego twarz odzwierciedlała całą powagę chwili.

–Corpus Carus jest teraz bez Mistrza.

Kardynał Iuliano zamknął oczy. Najstraszliwszy z jego koszmarów stał się rzeczywistością.

Dziewiątego dnia po tym gorzkim poranku we Florencji przybyłem do Francji, gdzie znalazłem schronienie i wewnętrzny spokój wśród śnieżnych szczytów Alp, zamarzniętych rzek, rozległych przestrzeni pokrytych winnicami i zasypanych śniegiem o tej porze roku. Tu, w Chamonix, problemy Kościoła wydają się odległe, przytłumione przez szalejące w górach wichury i ciągle śnieżyce. Arcyksiążę Jacques David Mustaine przyjął mnie bardzo gościnnie, dał mi do dyspozycji ciepłą kwaterę w twierdzy i dwa wierzchowce ze swej stadniny. Poleciał przygotować dla mnie miejsce do pracy na szczycie starego, opuszczonego młyna z dala od innych zabudowań, ale w obrębie murów.

Co rano wychodzę z twierdzy, punktualny jak pianie koguta, i pokonuję zaśnieżoną drogę do młyna. Utykając, idę powoli, wsparty na jesionowej lasce. W tym gabinecie mam wszystko, czego mi jeszcze trzeba: samotnię i ciszę sprzyjającą refleksji.

450

Tu spędzam większą część dnia na pisaniu, a w przerwach wyglądam przez okno i spaceruję po młynie. Przekształciłem stare pomieszczenie robocze w miejsce pracy intelektualnej i otoczyłem się książkami. Mam wszystkie dzieła Ojców Kościoła, woluminy poświęcone różnym soborom i nowym herezjom protestanckim. Mam pod dostatkiem piór, papieru i atramentu, świec, bibuł do suszenia i innych narzędzi służących pracy badacza. Sensem istnienia jest dla mnie pisanie i kontemplacja.

Zabliżniły się rany otrzymane we Florencji, ale jednak pieką jak ogień za każdym razem, gdy wspominam ów świt i walkę na szpady, od której zabarwiły się na czerwono wody rzeki i bruk tego nieprzyjaznego miasta. Wszystko dlatego, że zaślepiło mnie pragnienie zemsty. Wtedy po raz ostatni widziałem zakazane księgi, ostatni raz marzyłem o ich odzyskaniu. I po raz ostatni patrzyłem na twarz mojej siostry.

Wielki Czarnoksiężnik zrujnował mi życie. Wszędzie miał oczy i uszy, pod tym względem dorównywał inkwizycji i bractwu Corpus Carus, toteż nie musiał się wiele natrudzić, aby sprawdzić, gdzie są zakazane księgi. Wiedział, że dominikanów poruszy wiadomość o ukrywaniu ksiąg przez jezuitów, bo oba zakony rywalizowały ze sobą. Znalazł dobry argument, bo inaczej Rzym nie zdecydowałby się na pokrycie olbrzymich kosztów wyprawy morskiej przez Atlantyk.

Bardziej ryzykowną, choć również przemyślaną zagrywką było powierzenie tej całej misji mojej osobie. Cieszył się, że uwolnię go od Gianmarii, chciał bowiem zająć miejsce Wielkiego Czarnoksiężnika, ale nie był zbyt zadowolony, że wyruszę w poszukiwaniu ksiąg, podejrzewał mnie bowiem o przynależność do Corpus, co początkowo było niezgodne z prawdą. Dlatego Darko sprytnie podszedł kardynała Iuliana, proponując skomplikowany system otwierania zalakowanych kopert jako pułapkę na masonów.

Reszta jest historią. Byłem bohaterem i dezerterem, byłem

wojownikiem i kochankiem, byłem zaciekle i zostałem zdradzony.

Teraz wiem, jak kruche są nasze przekonania i nasza wola, jak niebezpieczne dla naszej duszy może być życie pełne rozmaitych pokus, czyhających za każdym zakrętem drogi. Dlatego dziś twierdzę stanowczo, że na tej ziemi nie ma nic pewnego; wystarczy, aby los lekko człowieka potrącił, przypadkiem bądź celowo, a wszystko, co mamy i co czujemy, nagle zostaje nam odebrane. Prześladowałem demony i orzekałem w sprawach o ukrócenie ich pobytu na ziemi, dlatego mam prawo was przestrzec: uwierzcie w diabła! Uwierzcie w jego istnienie, nie lekceważcie go, miejcie baczenie na innych ludzi, bo diabeł mieszka w człowieku i w pokusach się objawia. Szukajcie opieki Kościoła i waszych inkwizytorów, bo kiedy uważacie go za martwego lub pokonanego, diabeł wraca z siedmioma nowymi demonami.

Nie przestaję myśleć, że Piero miał rację. Tylko on potrafił dostrzec, jaki jestem naprawdę pod pancerzem edukacji, studiów, formacji inkwizycyjnej, i wiedział, że mam w sobie coś, co przetrwa w każdych okolicznościach. Nawet teraz, choć wciąż bolą rany ciała i duszy, choć otaczają mnie duchy osób, które kochałem i utraciłem, czuję chwilami, że serce zaczyna bić szybciej, pięści się zaciskają i wzbiera we mnie pragnienie, aby porzucić żal, książki i spokojny azyl (bo jednak wciąż grożą mi prześladowania) i rozpocząć nowe poszukiwania tych dwóch ksiąg, ruszyć do walki z Szatanem i nieprzyjaciółmi wiary. Bo nikt nie jest pokonany, dopóki wróg nie postawi mu stopy na gardle i nie przebije serca szpadą. A to jeszcze nie nastąpiło.

Gabinet jest zawałony kartkami, które tworzą historię mego życia. Skończyłem. Zapada zmierzch w Chamonix, gasnące światło dnia przenika przez szyby i kładzie się pieszczotliwie na tych papierach. Zawarłem w nich wspomnienia, spisywane

z cierpliwością mnicha i rozwlekłością skryby. Ale mój wzrok nie zatrzymuje się na nich, tylko na przedmiocie, który kontempluję w milczeniu. Medalik z Przenajświętszą Dziewicą spoczywa tu jako znak czyjejś nieobecności. Myślę o Raffaelli. Zastanawiam się, czy aby Bóg nie zabrał jej do siebie dlatego, że kochała tak samo mocno jak ja. Biorę medalik do ręki, uśmiecham się i oczy zachodzą mi łzami. Niech Bóg Cię strzeże i zachowa przy sobie, moja maleńka, moja ukochana. Zdmuchuję świeczki w lichtarzu, wkładam pióro do kałamarza, obserwując przez okno zachodzące czerwienią niebo, które rozpala się gdzieś za Mont Blanc, we włoskiej dolinie Aosty. Horyzont nowej rzeczywistości jest bliski. Wiem to. Wkrótce nadejdzie chaos.

Oto kronika mych dni, długa odyseja, w której nic nie było takie, na jakie wyglądało. Oto historia wypływająca spod palców człowieka żarliwego, marzyciela, bezwzględного i prześladowanego. Który otwarcie zmierzył się z diabłem w każdej dziedzinie jego działania. Człowieka ufego, który pomnożył owe demony. Oto kronika prawdziwego Rycerza Wiary, nowego krzyżowca w tych trudnych czasach, katolika, którego wciąż jeszcze zwą Czarnym

Aniołem inkwizycji.

EPILOG

JĘZYK ZNAKÓW

Astrolog Darko ma przed sobą otwarte księgi. W oczach błyszczy mu chciwość i satysfakcja. Tajne Stowarzyszenie Czarowników działało nieprzerwanie przez siedemset pięćdziesiąt lat, od czasu helleńskiego Egiptu aż do tej nocy, tylko po to, żeby strzec dla Wielkiego Czarnoksiężnika tajemnicy, którą on zaraz rozszyfruje. Przy świetle setek świec w krypcie opuszczonego kościoła obecny Wielki Mistrz Czarowników – Darko – przesuwa długim, kościstym palcem po stronach zakazanej księgi. Wargami intonuje zakazane psalmy, w rytm przesuwanego się palca czytając i wybierając tajemne wersety Szmaragdowego Kodeksu po to, żeby umieścić je na powrót w Necronomiconie.

Darko podnosi oczy na mur, kontemplując wielki pentagram, który sam namalował na wytartym już fresku ze sceną Bożego Narodzenia. Uśmiecha się na myśl o tym, że Stopa Czarownicy pokrywa się dokładnie z obrazem nowo narodzonego Jezusa. To najlepszy sposób na otwarcie wrót Antychrystowi.

Od zarania czasów przeistaczano sens pięcioramiennej gwiazdy, doprowadzając do zupełnego pogmatwania. Wielu czarowników umyślnie nazywało ją żeńskim bóstwem. Uczynili to celowo i podstępnie, aby włączyć tę gwiazdę w krąg chrześcijaństwa jako niegroźny symbol pozostały po archaicznych

454

rytach. Ale Darko zna prawdziwy sens pentagramu: schematyczne przedstawienie ludzkiej istoty z rozkrzyżowanymi ramionami i rozstawionymi nogami. Pięć ramion: cztery na kończyńy górne i dolne, tak aby każda ręka i noga była w osobnym wierzchołku gwiazdy, a piąte przeznaczone na głowę. Pentagram jest konstrukcją jednoznacznie i symbolicznie wyobrazającą człowieka.

Astrolog wpatruje się w gwiazdę i myśli: pentagram nad Chrystusem, człowiek nad Chrystusem, człowiek ponad Bogiem. Kult człowieka z jego ziemską, występłą tężyzną ponad kultem Boga, ducha wiecznego. Adoracja Szatana, króla wszystkich królestw ziemi. Szatan ponad Bogiem – konkluduje Darko. Oto logika rozumowania prowadzącego od pentagramu do diabła.

Necronomicon i Szmaragdowy Kodeks leżą otwarte na haniebnym ołtarzu Wyroczni Tajnego Stowarzyszenia Czarowników. Kryptę zawłaszczzonego kościoła zdobi mnóstwo demonicznych symboli, czyniących z Domu Bożego siedzibę godną diabła. Darko rozpoczyna czarną liturgię Wielkiego Sabatu; dorosłego kozła z poderżniętym gardłem w świętych szatach biskupa sadza pod pentagramem na tronie i koronuje mitrą. Dokoła rozstawia płonące świece paschalne. Jest tu również figura Niepokalanej, której usta budzą obsesję astrologa.

–Mater Dei – szepce zamyślony i kropla potu spływa z jego czoła.

Darko zostawia księgi i podchodzi do rzeźby. Kontempluje nabożny wyraz twarzy Maryi, delikatny kształt dłoni złożonych do modlitwy i świat u jej stóp.

–Mater Dei – powtarza.

Drżąca ręka czarownika pieści zimne, nieobecne usta, dalekie i obojętne. On sam porusza wargami w bluźnierczym wyrzucie.

–Dlaczego On? Dlaczego On, a nie ja? – skrzeczy w rodzimym dialekcie mołdawskim. Potem przysuwa twarz

bliżej i syczy: – Już za późno... Pokonałem Twojego Syna. Bóg z Ciebie zrodzony wpadł w mój potrzask. Zwiodłem Jego owce, zwiodłem Kościół i Ojca Przedwiecznego. Jestem potężniejszy niż Bóg, w Trójcy Jedyny, Alfa i Omega, Ousia wszechmogąca, praprzyczyna rzeczy. Jestem najpotężniejszym człowiekiem, jakiego Ziemia widziała...

Czarownik bierze delikatnie rzeźbę Niepokalanej i umieszcza na tronie obok kozła.

Po kilku godzinach intensywnej pracy Necronomicon jest prawie uzupełniony. Darko odkłada pióro do kałamarza i odwraca wzrok od księgi. Jest wyczerpany, ale wie, że odnalazł właściwą drogę. Odziedziczył po swych poprzednikach wiedzę, że klucz do zlokalizowania w Kodeksie fragmentów usuniętych z Necronomiconu znajduje się w słowie wstępnym czarnej księgi:

Dwanaście plemion Izraela zniszczy Nazareńczyka. Dwunastu apostołów przywiedzie go do zguby.

Pierwsze zdanie wskazuje na Necronomicon, który jest narzędziem do zniszczenia chrześcijaństwa. Darko musiał odnaleźć dwanaście fragmentów tekstu zawierających imiona dwunastu plemion Izraela. W ten sposób odgadł część dwunastu zaklęć. Uzupełnienia musiał szukać w Kodeksie, bo to jest księga wiodąca do Jego zguby. Szukał dwunastu fragmentów z imionami dwunastu apostołów. Ma już te dwanaście tekstów, które uzupełnią luki w Necronomiconie. Wzajemne związki między jednymi i drugimi łatwo będzie ustalić. Łatwo dla czarownika, teologa albo masona.

Odkąd dawni chrześcijanie zaczęli stawiać pierwsze kościoły, obraz Jezusa Chrystusa w otoczeniu dwunastu apostołów wyobrażał kosmos, ład i stabilność wszechświata. Ale astrologowie nadali mu też inne znaczenie: nasz Pan Jezus Chrystus jest Słońcem, a wokół Niego krążą konstelacje, reprezentowane przez dwanaście znaków zodiakalnych, pogańskich elementów,

które nigdy nie przyjęły się w nauczaniu kościoła. Porządek astrologiczny został wyklęty i potępiony, niemniej jego sens przetrwał w cieniu herezji. Każdy apostoł ma tu przypisany znak i cechę znaku, która nie jest niczym innym, jak częściowym objawieniem samego Boga. W ten sposób gwiazdy zostały podporządkowane woli Bożej i mogą kontynuować swój bieg. Dwunastu apostołów, dwanaście znaków zodiaku, dwanaście plemion Izraela – doskonała fuzja chrześcijaństwa, judaizmu i astrologii. Badając te gnostyczne schematy, Darko dostrzega, że można połączyć obie księgi.

Baran Juda Piotr

Byk Isachar Szymon

Bliźnięta Zebulon Jakub Mniejszy

Rak Ruben Andrzej

Lew Symeon Jan

Panna Gad Filip

Waga Efraim Bartłomiej

Skorpion Manasses Tomasz

Strzelec Beniamin Jakub Większy

Koziorożec Dan Mateusz

Wodnik Aszer Juda Tadeusz

Ryby Naftali Maciej

–Pasuje – mruży zadowolony. – To ciemne jak ciemności i jasne jak słońce. Niech Szatan ma was w swej opiece, moi dzielni przodkowie! Klucz do zniszczenia Kościoła rodzi się na mych oczach!

Kolejność wymawiania poszczególnych zaklęć też nie stanowi dla niego tajemnicy; jest oczywiste, że odpowiada podziałowi znaków zodiaku na pory roku. Czegoś tu jednak brak... Dwanaście to liczba ładu kosmicznego, zatem dwanaście zaklęć nie może otworzyć wrót chaosu. Trzeba zrobić jeszcze jeden krok, znaleźć ostatnie zaklęcie... Trzynaste. Tym krokiem do obalenia kosmicznego porządku będzie zapomniane, mrocz-

ne zakłęcie, którego odpowiednikiem jest Judasz Iskariota, wykluczony uczeń, zastąpiony z czasem przez Macieja. Na ostatniej stronie Kodeksu Darko znalazł dziwny urywek poświęcony zdrajcy Judaszowi:

Słowa dwunastu napisz bez tchu,

oznacz pięcioma wierzchołkami, a wrota się otworzą

podczas koniunkcji dwóch z dwoma.

Zakłęcie Judasza jest kluczem do oznaczenia najbliższej daty, która spełnia idealne warunki do otwarcia wrót chaosu. Darko obserwuje migotanie świec i uśmiecha się. Ma już gotowych dwanaście szatańskich wersetów i wie, co dalej z nimi zrobić.

Nikt go już nie powstrzyma. Pokonał papieża. Pokonał Kościół. Z gardła ofiarnego kozła wypływa kropla krwi i spada na policzek Matki Boskiej.

Sztylet przelatuje w ciemnościach i zatrzymuje się dokładnie w jego karku. Świece rzucają blask na ołtarz wyroczni, ale dokoła panuje wystarczająco gęsty mrok, aby ktoś zręczny, znający swe rzemiosło, zdołał zaskoczyć czarownika.

Darko odwraca się i patrzy jasnymi oczami na napastnika. Sztylet przesuwają się z karku do gardła, naciskając lekko. Wielki Mistrz wypuszcza z ręki pióro i przewraca kałamarz.

–Bramy piekielne nie przemogą apostołów – szepcze napastnik. – Czas już zobaczyć, na czym polega to misterium...

Wielki Czarnoksiężnik prosi, czując chłód stali na swym gardle:

–Nie zabijaj mnie, błagam. Jeszcze nie ukończyłem dzieła. Zostało tylko trochę pracy. Zabierz księgi, możesz je sobie wziąć, jeśli chcesz. Nie wszystkie wersety są rozszyfrowane...

–Skończ pracę, a potem zobaczymy – szepcze przybysz.

–Proponujesz mi układ? – pyta zaskoczony Darko.

Nie ma odpowiedzi. Przybysz spogląda na świece płonące w świętokradczej krypcie czarownika. I Darko nie zwleka. Wie doskonale, że ma przed sobą bezlitosnego mordercę, który zdołał go odnaleźć i teraz nad nim panuje zgodnie z odwiecznym prawem stali.

Giulio Battista Evola odwraca się do czarownika i patrzy przenikliwie. Choć ciężko i

gwałtownie zraniony, benedyktyński mnich wykrzywia twarz w straszliwym uśmiechu. Wielki Czarnoksiężnik drży z przerażenia.

Przybył Gargulec Boży.

PODZIĘKOWANIA

Odpowiedzialność biorę na siebie Z nimi dzielę się tym, co dobre

Mojemu Mistrzowi.

Mimie, za to, że wozila mnie po takich miejscach, gdzie nigdy nie doszedłbym na piechotę. Willy'emu i Ivanowi za ich opowieści, ciągle zainteresowanie i nieustanne pogawędki przy kawie. Lucasowi. Historykom i teologom jezuickim: Danielowi Mino i Hugonowi Pisanie. Alvarowi Bertoniemu (śp.), który przekazał mi najcenniejszą wiedzę

0 Genui, zaplanował tysiąc i jeden podbojów włoskich księstw i pożegnał uściskiem. Misjonarzom redemptorystom z Bella Vista za uprzejme udostępnienie mi swej biblioteki. Lidii za jej optymizm, kiedy nie szło mi pisanie. Alicii Fernandez za tę książkę. Teologowi i historykowi salezjańskiemu Albertowi Capboscapwi za pomoc w czytaniu, korekcie

1 przekładach z greckiego. Moim czytelnikom: Jorge, Marianowi, Coco i Alejowi. Alicii Delbosco. Verónice Trentini za włoskie materiały o inkwizycji. Juanowi Grassetowi. Włoskiemu Towarzystwu San Miguel. Anicie. Hernanowi za książki. Jorge Ferro i Juanowi Fuentesowi za pomoc w łacinie. Zaprzyjaźnionym misjonarzom od św. Karola Boromeusza w Meksyku, Haiti, Brazylii, Paragwaju i Urugwaju. Misjonarzom od św. Wincentego a Paulo. Jezuitom Nacho i Humbi. Osvalditowi, za filozofię odkrytą w jego barze i niezapomniane gadki o starym kinie czechosłowackim. Dla Guadalupe. Dla Rut Beresovsky, za korekty i troskę. Kolegium Maximum z San Jose za to, że pozwolili mi propagować tę książkę w największej bibliotece teologicznej

460

Ameryki Południowej. Guillermo Muzziowi (śp.), który zainteresował się tą powieścią, kiedy była jeszcze w brudnopisie. Matteowi i Sarze, którzy jechali ze mną od Genui po dolinę Aosty z jej średniowiecznymi zamkami. Danieli Rinaldi za zainteresowanie moimi pomysłami. Gęstym i mrocznym lasom Bella Vista. Chuckowi Schuldinerowi (śp.), który nauczył mnie, że są nieznanymi, tajemniczymi geniuszami na tym świecie; Chuckowi – z najwyższym podziwem i szacunkiem. Dziękuję Ci, Claudia.

SPIS TREŚCI

prolog: Łowcy czarownic... 9

część pierwsza

SZTUKA CHAOSU

I. Rycerz Świętego Zakonu... 15

II. Droga w ciemność... 39

III. Trybunał Świętego Oficjum... 51

IV. Oddech diabła... 85

V. Magia ciała... 94

VI. Stary Mistrz...120

VII. Autodafe...145

VIII. Dom Boży...167

część druga KROKI W NIEZNANE

IX. Dama w bieli...185

X. Pieczęć świętego Łukasza...209

XI. Pieczęć świętego Mateusza...221

XII. Czarownice z Montpellier...249

XIII. Ostatnia pieczęć. Objawienie świętego Jana...277

462

CZEŚĆ TRZECIA

KSIĘGI ODNALEZIONE

XIV. Czuwanie...291

XV. Librorum Prohibitorum...298

XVI. Revelatio...313

XVII. Księgi...322

XVIII. Odkupienie...338

XIX. Zaraźliwy przejaw świętokradztwa...353

CZĘŚĆ CZWARTA SABAT CZAROWNIC

XX. Jarzmo...373

XXI. Pakt i zasada ognia...389

XXII. Panteon...407

XXIII. Ślepa zemsta...423

EPILOG: Język znaków...454

PODZIĘKOWANIA...460

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/